PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps. 143.*

ROK LI. Tom 202.

KWIECIEŃ — MAJ — CZERWIEC

1934

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Kryzys współczesnej kultury.

I

Współczesna kultura przeżywa ostry kryzys, sięgający w głąb najistotniejszych podstaw dzisiejszej ludzkości. Świadomość jednak zawrotnych przemian, dokonywujących się na polu intelektualnem i duchowem zagłusza walka z kryzysem ekonomicznym, który budzi powszechne zainteresowanie. Warunki materjalne są dla dzisiejszego człowieka ważniejsze, niżeli procesy duchowe, ujawniające się niemniej gwałtownie od wstrząsów natury gospodarczej czy społecznej. Równolegle z tem obserwacja obecnych zmian kulturalnych jest słabsza, a wyniki mniej budzące zainteresowania, mimo, iż dzisiejszy kryzys kulturalny tworzy nowego człowieka, nową epokę istnienia, godzącą we wszelkie dotychczasowe zasady naszego życia.

Kryzys dzisiejszej kultury widoczny jest szczególnie w zjawisku silnych sprzeczności, które nas niepokoją. „Nie było jeszcze cywilizacji, — mówi Ferraro, znakomity włoski historyk — któraby z taką łatwością zaparła się tego, co wczoraj uważała za najcenniejsze dobro". [1]) Istotnie dzisiejszy człowiek krąży ustawicznie po labiryntach najrozmaitszych przeciwieństw, świadczących aż nadto wyraźnie o tem, że z pod nóg usunęły mu się te pewniki, na których się dotychczas opierał. A może one straciły swoją wartość, stały się zakłamanemi prawdami, nie wytrzymującemi ani próby czasu ani wypadków? Upadły pewniki wiary w trwałość postępu

[1]) Ferraro G. *Między przeszłością a tem co nas czeka*, Poznań, 1927, str. 8.

i rozwój kultury. Jesteśmy panami przyrody, wszystko wiemy, rozumiemy, zgłębiliśmy tyle zagadek natury, że aż nas samych już lęk ogarnia przed potęgą naszego rozumu, a nie rozumiemy tylko siebie samych. „Ciągle czegoś chcemy. Chcemy ciemności, niewoli i nędzy, anarchji, nienawiści, wojny, a pragniemy światła, wolności, bogactwa, ładu, miłości i pokoju". [1]) Chorujemy na rozszczepienie woli i na głęboką pustkę. Ale jak mówi znowu Fr. W. Foerster, dzisiejsza dusza musi „zaznać pierwej całej pustki nowoczesnej, zanim poczuje znowu czem jest człowiek, czem życie oraz co się dzieje z duszą, gdy nie przyświeca jej żadne światło wiekuiste". [2])

Powszechnie mówi się, że kryzys kultury wywołała wojna, że nie jesteśmy jeszcze w stanie zdać sobie dokładnie sprawy z przewrotu, jakiego dokonała ona w ludzkości. Załamanie się podstaw ideowych, wygaśnięcie, wobec nowej rzeczywistości, tych źródeł, które dawały zaczątki naszym najcenniejszym wartościom — to wszystko miała jakoby spowodować wojna. Niesłusznie jednak wojnie przypisuje się przyczyny klęsk dzisiejszej ludzkości. Ona tylko przyspieszyła tempo zmian, ale sama przez się nie wywołała tego procesu. Dzisiejszy kryzys tkwi daleko głębiej, początkami swemi sięga w dziesiątki lat XIX w. I dawniej istniały te same nastroje oraz niekończące się tęsknoty, niespokojne poszukiwania nowych wartości w miejsce tych, które nieubłaganie podlegały stopniowemu rozkładowi, nie rzucały się one jednak tak jaskrawo w oczy; dopiero wojna wszystko wydobyła z ukrycia, ujawniając cały tragizm rzeczywistości.

Pierwszym, który zagadnienie współczesnego kryzysu wprowadził na drogę bardzo ożywionej dyskusji był O. Spengler, ogłaszając w r. 1918 pierwszy tom swojego głośnego dzieła p. t. *Untergang des Abendlandes*. Książka ta wywołała niesłychanie liczne komentarze, niemal całą literaturę.

Spengler przeciwstawił się twierdzeniu o jakiejś ciągłości kulturalnej, według niego historja świata jest tylko wielością zamkniętych w sobie kultur, z których każda posiada

[1]) Ferraro G. *Przemowy do głuchych*. tł. J. Kuryłowicz, Poznań, (b. r.).

[2]) Foerster Fr. W. *Chrystus a życie ludzkości*, tł. J. Mirski, Warszawa, 1926, str. 116—117.

swoje szczególne możliwości wyrażenia i tworzenia. Ostatnią fazę w życiu każdej kultury nazywa cywilizacją, która jest logicznem następstwem, wypełnieniem i końcem kultury, oraz jej nieuchronnym losem. W cywilizacji kultura osiąga szczyt, od którego począwszy rozwiązują się wszystkie istotne i najcięższe pytania historycznej morfologji.[1]) Słowo cywilizacja oznacza stan narodu, który żyje już nie w dzikości, ale w uporządkowanem, mieszczańskiem społeczeństwie. Więc pojęcie kultury jest dalsze. Cywilizacja jest to wiek zgrzybiałości, w którym cała duchowa płodność znajduje się w stanie wyczerpania, upada zarówno wielka sztuka, jak i bogactwo systemów myślowych.

Współczesna kultura Zachodu znajduje się w stadjum cywilizacyjnem, co Spengler stara się udowodnić przy pomocy bardzo rozległego aparatu porównawczego.

Charakterystycznym rysem wewnętrznego upadku każdej kultury jest przewartościowanie wszelkich wartości, jako proces już zamknięty, dokonany. Kultura w stadjum cywilizacyjnem nic nie tworzy, stara się tylko formy, które w poprzednim okresie zostały wypracowane inaczej zrozumieć. Nie tworzy jednak innych, nowych form.

Również typowym objawem okresu cywilizacyjnego jest stosunek do moralności, przeciwko której nie walczy, ale ma ją w sobie jako coś istotnego. Skoro jednak instynktownie tworzące się życie zamiera, skoro zjawia się konieczność opracowania teorji, aby swój byt stosownie ukształtować, skoro życie musi podlegać pewnym rozpatrywaniom i definicjom, koniecznym do jego podtrzymania, wtedy moralność staje się problemem. Moralność w formie problemu jest objawem życia schyłkowego, okresem upadku kulturalnego, zjawiskiem każdej cywilizacji. U Kanta moralność rozumiała się sama przez się, etyka służyła do zaokrąglenia metafizyki. Dopiero z Schopenhauerem zaczyna się rozwój etyki cywilizacyjnej. Teraz, mówi Spengler, znika wszelka metafizyka w wielkim stylu, czysta intuicja przed koncepcją praktycznej moralności, która ma stać się regulatorem życia, ponieważ ono samo nie umie sobą kierować.[2]) Dawniej życie było

[1]) Spengler O. *Untergang des Abendlandes*, München, 1920, Bd. I, S. 44.
[2]) Tamże, Bd. I, S. 491.

czysto organiczne, było pełnym wyrazem duszy, teraz, pod opieką wszechwładnego rozumu, stało się nieorganiczne, bezduszne. Dzisiejsza plebejska moralność nie widzi już w świecie Boga, ale istotę rzeczywistości. Plebejska, trywjalna moralność rzeczywistości, jest tem na poziomie powszedniego bytu, co, pomimo wszystkich wielkich słów od Schopenhauera aż do Shawa, obala wszelkie zapatrywania życiowe.

Spengler wskazuje jeszcze na jeden objaw schyłkowości kulturalnej, a mianowicie hasło „powrotu do natury", któremu fantastyczną oprawę dał Rousseau. Jego natura jest zaprzeczeniem kultury, buntem przeciwko wszelkiemu stylowi, zjawiskiem antyhistorycznem, które uwalniało od zmory przeszłości. Stąd głęboka nienawiść do tradycji, autorytetu, prawideł, ta rewolucyjna słabość do unikania wszystkiego, co wyrosło ze społecznych, politycznych i artystycznych pragnień, aby to wszystko zniszczyć, a w miejsce tego postawić anorganiczne, sztuczne wyniki uczonej analizy.

Jeszcze silniej niżeli w moralności występuje różnica między kulturą a cywilizacją w zagadnieniach religijnych. Spengler wychodzi z założenia, z pewnika, że każda prawdziwa kultura posiada swoją religję, wszystkie formy rzeczywiste są religijne. „Istotą każdej kultury — jego słowa — jest religja, podobnie jak istotą każdej cywilizacji jest bezreligijność". [1]) Głosicielem niereligijności (co nie jest równe z antyreligijnością) jest pospólstwo, skonstruowane bez żadnych form w wielkich miastach, wchodzące na miejsce „ludu". Ta masa (nie ludzkość), która jest przedmiotem socjalistycznej propagandy przywiązuje równe znaczenie do zewnętrznego życia, jak i procesów witalnych, zagadnienie alkoholizmu i wegetarjanizmu traktuje z religijną czcią. Ogólnie biorąc: socjalizm, który stał się treścią życia, jest fantastycznym przykładem cywilizacyjnej, intelektualistycznej etyki. Spengler występuje z gruntowną krytyką socjalizmu, sprzeciwiając się jakoby miał on być systemem miłosierdzia, humanitaryzmu i pokoju, jego celem jest imperjalistyczna pomyślność tych, którzy pragną mieć wolność działania; w ten sposób powstaje mechanizacja organicznej zasady czynu,

[1]) Spengler O. *Untergang des Abendlandes*, Bd. I, S. 499—500.

idea pracy. Rys kłamstwa życiowego, jak mówi Spengler, przylgnął do całego politycznego, gospodarczego i etycznego socjalizmu.

Wreszcie usiłuje Spengler wykazać, że również w nauce i w filozofji nasza cywilizacja jest w stanie upadku. Stwierdza, że podobnie jak każda kultura posiada swoją szczególną filozofję, tak również i każda jej filozofja posiada okres metafizyczny, w którym życie objawia się w swojej pełności i zdolności do kształtowania świata, oraz etyczny, w którym jako przedmiot badawczy bierze się wyczerpane życie, i w którym resztki kształtujących sił musi się zużywać na zagadnienie dnia. Metafizyka wyczerpała u nas swoje możliwości. Zachodnio-europejski mózg (można tak mówić zamiast rozumu) domaga się władzy i potęgi, i dąży do zorganizowania ogółu na podstawach praktycznych przesłanek i, tracąc z oczu metafizyczną przeszłość, przyjmuje etykę o charakterze ekonomiczno-narodowym. Jedynym i najważniejszym tematem rzeczywistej filozofji XIX w. jest stosunek woli do władzy w cywilizacyjnym, intelektualnym kształcie, jako woli do życia, siły życiowej, jako zasady praktyczno-dynamicznej. Obecnie po metafizycznym okresie skończył się również okres etyczny.

Trudno mówić o całej problematyce filozoficznej Spenglera, usiłującej wykazać, że dzisiejsza kultura jest w okresie upadku, a zbudowanej na bardzo szerokich podstawach,[1]) wychodzących daleko poza granice filozofji. Spengler posługuje się bardzo rozległym aparatem porównawczym, który wprowadza we wszystkie swoje dowodzenia, każdy objaw życia poddaje drobiazgowej analizie, sięgającej w najmniejsze zagadnienia dzisiejszej ludzkości. Badania filozoficzne, historyczne, polityczne i gospodarcze miały stać się pewnikiem, że dzisiejsza kultura jest w stanie całkowitego rozkładu.

Ale Spengler dążył jedynie do przeprowadzenia dowodu upadku kultury, nie starał się być nauczycielem, krążył koło rzeczywistości, analizował teraźniejszość, nie

[1]) Szczegółowo zajmuje się tem August Messer w książce p. t. *O. Spengler als Philosoph*, Stuttgart, 1922.

usiłując sięgnąć w zagadnienie przyszłości. Nie pragnął być prorokiem, ani też szukał środków zaradczych. Tej roli podjął się głośny mistyk i teozof niemiecki Herman Keyserling, który w r. 1920 zakłada w Darmstadzie słynną „szkołę mędrców", mającą na celu, jak sam mówi „odnowienie życia przez ducha" [1]).

Keyserling uważa się za proroka, sądzi, że jest powołany przez Boga do najwyższej misji, że tylko on potrafi wydobyć świat z chaosu. „Ja osobiście — jego słowa — wskazuję tylko na cel, ku któremu muszą być zwrócone wszelkie możliwości moralnego i duchowego odnowienia, aby z chaosu powstał nowy kosmos" [2]). Stwierdza, że żyje tylko dla przyszłości, która dla niego nie jest żadną abstrakcją, ani wyobrażeniem, ale „żyjącą, przeżywaną teraźniejszością". „Gdy inni — znowu jego słowa — widzą to, co przechodzi, ja to co powstaje. Nowe powstaje nie wtedy dopiero, gdy stare zamiera, ale historycznie ściśle, jakby fizjologicznie jeszcze podczas rozkwitania poprzedniego, tak, że dla mnie nowe, które ja przedstawiam, dla mojego przeżycia już dawno istnieje, tylko że nie jest ono jeszcze gotowe do objawienia. Odpowiednio do tego ja sam należę, tak jak dzisiaj jestem, do epoki, która historycznie dopiero nastąpi" [3]). To jest niejako metafizyczne stanowisko Keyserlinga wobec teraźniejszości i zagadnień, które porusza; musi się je wziąć pod uwagę jako oświetlenie stawiające na właściwym poziomie jego zapatrywania. Obok tego należy również mieć przed oczyma jego podstawę polityczną. Keyserling jest w każdym calu Niemcem, broni się jednak przed posądzeniem, że jego teorje mają jakieś podłoże nacjonalistyczne; nieraz wspomina o sobie jako o Europejczyku pracującym dla Niemiec dlatego, ponieważ „problem niemiecki jest jądrem europejskiego, i jego podniesienie w rzeczywistej postaci jest najlepszą, jedyną rękojmią ogólnego postępu". [4]) Ale w to ponadnacjonalistyczne stanowisko Keyserlinga

[1]) Keyserling H. o sobie w *Die Philosophie der Gegenwart in Selbstdarstellungen*, Leipzig, 1923, Bd. IV, S. 119.

[2]) Tenże, *Politik, Wirtschaft, Weisheit*, Darmstadt, 1922, S. 26.

[3]) Tamże, S. 29.

[4]) Tamże, S. 29.

zaiste trudno uwierzyć, zwłaszcza po przeczytaniu np. artykułu p. t. *Deutschlands wahre politische Mission.*[1])

We wstępie do niemieckiego przekładu dzieła M. Berdjajewa p. t. *Smysł istorii (Der Sinn der Geschichte,* Darmstadt, 1925) Keyserling zaznacza, że obecnie nie jest czas na patrzenie wtył, ale musi się zwrócić oczy ku przodowi, ku duchowemu przygotowaniu. Przeszłość, analiza faktów, które przestały istnieć nie dadzą żadnych konkretnych wyników; jeżeli jedna epoka świata kończy się, jej spadek nie żyje już nadal w żadnym innym sensie. Stąd i kultury same w sobie są tak samo śmiertelne, jak i pojedyńczy człowiek, bo co osiągnęło swoją indywidualną doskonałość, a z tem wszystkiem doskonale wypełniło swoje możliwości, kończy się. Dziś wyczerpały się wszystkie siły popędowe, które z siebie tworzyły historję ostatnich stuleci, sens, kierunek i kształt; stąd panowanie martwych rzeczy nad żyjącymi ludźmi. Keyserling stanowczo twierdzi, że wszelkie usiłowania, aby ze zmarłych założeń budować na nowo życie jest zgruntu błędne. Ale negując wartość przeszłości mimo to dopuszcza znaczenie analogji i mówiąc o dzisiejszych czasach stwierdza gdzieindziej, że są one podobne do epoki, która ciągnęła się od narodzenia Chrystusa do r. 1200. Wtedy stare społeczeństwo upadło a powstało nowe.[2]) To pewne jednak, że zasadniczy punkt negacji wobec przeszłości jest istotnym i podstawowym rysem w jego zapatrywaniach, a w obliczu takiej podstawy jakościowa analiza teraźniejszości musiała służyć jedynie do pewnych stwierdzeń, na podstawie których można było budować wszystkie problemy przeszłości.

Keyserling wychodzi również z pewniku, który jego zdaniem nie da się obalić, że europejska cywilizacja najnowszej daty doszła już do absurdu. Wielki postęp intelektualny, który ją oznacza, urzeczywistnił się kosztem życia duchowego.[3]) Od XVIII w. coraz bardziej emancypujący się

[1]) W artykule tam drukowanym w *Politik, Wirtschaft, Weisheit.* Darmstadt, 1922 stara się Keyserling obalić twierdzenie, że Niemcy pragnęły wojny i stwierdza, że nie dążyły do hegemonji politycznej.

[2]) Keyserling H. *L'avenir de l'Europe. Revue de Genève,* 1922, p. 427.

[3]) Tenże. *Schoepferische Erkenntnis,* Darmstadt, 1922, S. 117.

rozum osłabił i wreszcie zabił najszczytniejsze organa i kształty duszy. Wszystkie historyczne formy bytu, począwszy od treści wiary, pojęć prawnych, aż do socjalnych instytucyj są dziś poważnie zagrożone. Wszędzie największe znaczenie zdobył sobie rozum indywidualistyczny, jako ostatnia instancja, od której niema żadnego odwołania. Dzisiaj wobec różnorodnych form rozumowych, niema ani jednej formy ducha. Wielu opiera się na jakimś światopoglądzie, mało jest jednak takich, u których wiara byłaby treścią życia. Przerażający dowód na ten stan rzeczy widzi Keyserling w socjalizmie. Nie ulega wątpliwości, mówi, że dzisiejszy świat jest socjalistyczny, to jest taki, który daleko rozumowo posuniętą solidarność uważa za ideał, nie posiadając poza tem żadnych dogmatów, ani też zasad wiary.[1])

Wobec tej pustki życiowej we współczesnym świecie — co należy czynić? Keyserling stwierdza, że dziś popularne jest przekonanie, iż to co było dawniej jest lepsze, a więc, aby złemu dzisiejszego życia zaradzić, musi się uskutecznić gruntowną restaurację polityki, religji, etyki i tych form, które stanowią podstawę naszego bytu. Keyserling jednak sądzi, że ta recepta jest wynikiem nieporozumienia. Wiele dawnych form życiowych jest tak gruntownie zamarłych, że wyklucza się już całkowicie możliwość powołania ich na nowo do życia. Ożywienie zaś innych wymaga zbyt długiego czasu. Człowiek dzisiejszy musi stworzyć nową formę, lepszą i głębszą, wobec tego, że rozum zniszczył dawne podstawy ducha. Dzisiaj trzeba „nowej syntezy ducha i duszy",[2]) która, zdaniem Keyserlinga, narodzi się w Niemczech.

Tej „syntezy ducha i duszy" dokona filozofja, ale nie ta uprawiająca suchą mądrość albo duchowy sport, ale ta której zadaniem jest „urzeczywistnienie wiedzy w syntezie mądrości".[3]) Filozofja musi z duchowego sportu na nowo wrócić do mądrości i w ten sposób znowu podjąć swoją rolę podstawy życiowej.

---

[1]) Keyserling H. *Schoepferische Erkenntnis*, Darmstadt, 1922, S. 122.
[2]) Tamże, S. 124.
[3]) Tamże, S. 133.

Poglądy na zadanie filozofji w dzisiejszem życiu usiłuje Keyserling poprzeć stwierdzeniem, że historyczna konjunktura współczesnych czasów budzi liczne analogje z epoką wielkich mędrców. Wtedy również rozpadły się formy ducha, a jedynie lepsze poznanie mogło uratować człowieka od zagłady, głębsza mądrość, w której mieściła się wiedza, wolna od elementów burzących, a posiadająca życiotwórczą siłę. Ale od czasów greckich mędrców, wszystko uległo tak gruntownym przemianom, że różnice, które przez ten czas się ujawniły są daleko wydatniejsze i bardziej oczywistsze, niżeli wszelkie podobieństwa. Dlatego też słowo mądrość, stare jak świat, teraz nabiera nowej treści. Cała dotychczasowa mądrość rozwijała się mniej lub więcej równolegle z ideałem doskonałości Kościoła katolickiego. Było to jednoznaczne z urzeczywistnieniem pewnych prawd, dających zasadniczą formę władzom życiowym, ale dzisiaj żadnej określonej postaci nie uważa się za ostatnią instancję. Dzisiaj doskonałość znajduje się w pełnej wolności poznawczej i to jest właśnie celem dążeń mądrości. [1])

Żyjemy więc w czasach, jak dowodzi Keyserling, w których mądrość ma być ratunkiem. Krytyka począwszy od Lutra, poprzez Woltera i Kanta, dała duchowi pełną wolność w takim zakresie, jakiego tylko pragnął. Ale ta sama krytyka równocześnie podcięła życiu korzenie, bo doprowadziła do tego, że wszystko co mieściło się w ramach rozumowych pojęć, naraziła na niebezpieczeństwo. Wskutek tego ujawniła się możliwość zaniku religji, moralności i etyki. Dzisiaj sam krytycyzm powinien stanąć do odbudowy życia i powrócić należny autorytet zmysłowi moralności, religji i tego wszystkiego, co może służyć życiu. Te zadania stawiane filozofji wymagają nowych, dotychczas nieznanych, dróg.

Przed filozofem otwierają się więc nowe zadania; musi stać się mędrcem, musi od ideału doskonałej wiedzy zwrócić się do mądrości; musi się nauczyć sprowadzać duchowe władze, którym rozkazuje, z powierzchni nagiego pojęcia do skoncentrowanego życia; musi na drodze odpowiedniego

[1]) Keyserling H. *Schoepferische Erkenntnis*, Darmstadt, 1922, S. 138.

przerzucenia akcentu przeorganizować swoją istotę duchową tak, aby ideałem stał się człowiek wiedzący, a nie myśliciel.[1]) Mędrzec, który całe swoje życie wyprowadza z ducha najwyższej wiedzy, oznacza szczytowe spełnienie koncentracji, zaś mądrość jest najwyższym stopniem „pełnoczłowieczeństwa", ucieleśnioną uniwersalnością. W świecie, w życiu jego rola przejawia się przez samo istnienie, a nie przez działanie, jego zadaniem jest dźwięczeć w symfonji życia jako zasadniczy, wskazujący ton, który wyrówna wszelką dysharmonję.

To są podstawy filozofji Keyserlinga. Według niego siłą duchową obecnych czasów nie jest religja, ale filozofja, będąca „życiem w formie wiedzy".[2]) Jej cel leży z tamtej strony wszelkiej krytyki, w świadomości tych najgłębszych postaw życia, które warunkują wszelkie kształtowanie od wewnątrz. Keyserling mówiąc o roli mędrców, jako odnowicielach współczesnej duchowości, a raczej jej budowniczych, miał na myśli przedewszystkiem siebie i swoją szkołę mądrości w Darmstadzie. Jednostronność jego sądu krytycznego, wybitny egocentrycyzm jego filozofji, musiał z natury rzeczy wywołać ostre sprzeciwy.[3]) Krytykę ułatwiła przedewszystkiem jego zarozumiała pewność, że zbawcami świata będą Niemcy, zaś apostołami tej zbawczej misji on i jego szkoła.

Keyserling mówiąc o budowie nowych podstaw duchowych w życiu współczesnej kultury, starał się zapełnić pustkę dzisiejszego człowieka, stworzyć jakąś ideę. Ale usuwanie z duchowości pierwiastka chrześcijańskiego i chęć zastąpie-

[1]) Keyserling H. *Schoepferische Erkenntnis*, Darmstadt, 1922, S. 142.

[2]) Tamże, S. 148.

[3]) Wspomnieć należy głośną książkę H. Massis'a p. t. *Défense de l'occident*, Paris, 1929, w której ostrej krytyce poddano całą filozofję Keyserlinga. „Jaką — mówi Massis — damy nazwę temu pojedyńczemu objawieniu, tej dziwnej mieszaninie kantowskiego idealizmu, bergsonizmu, freudyzmu, która stara się wyzwolić rozum z wszelkich objektywnych zawartości, wynosi pierwszeństwo psychiki i indywidualizmu ... uświęca ekstazę mownicy i wyzwala siły żywotne pod pozorem ich uduchownienia? Ani inteligencja ani rozwaga nie znajduje tu miejsca ... Kto nie wierzy w potęgę szaleństwa, w jasność absurdu, w bezwładność twórczą, ktokolwiek nie bierze potoków słów za podstawę zasadniczego poznania, powinien porzucić nadzieję stania się mędrcem, chyba, że przyjdzie mu z pomocą ewangelja z Darmstadu" (p. 42—43).

nia go teoretyzowaniem na temat hinduskiego buddaizmu odejmowało tym poglądom istotną treść. Kryterjum religji chrześcijańskiej przejął w swojej filozofji Max Scheler, jeden z najwybitniejszych filozofów niemieckich, postać pod każdym względem niezwykła, „nie przez to, by życiem swem, strukturą psychiczną tak dalece odbijał od typu nowoczesnego człowieka, czy też od typu dzisiejszego kulturalnego Niemca. Niezwykły jest Scheler przez świat swoich idej, świat silnie przeciwstawiający się nowoczesnej kulturze europejskiej, a pokrewny średniowieczu".[1]) W miejsce dzisiejszej zbankrutowanej kultury stara się Scheler postawić „przezwyciężony świat idej średniowiecza, świat panowania autorytetu, prymatu wiary nad poznaniem, świat poznania intuicyjnego, opartego na podłożu aktów miłości, świat różnic stanowych rycerskiego ducha, chrześcijańskiej ekstazy i pokory, odmiennej od nowożytnej sprawiedliwości".

Scheler głęboko przeniknąwszy współczesną kulturę i widząc, że staje ona na progu jakichś zawrotnych przeobrażeń, grożących upadkiem i katastrofą, stara się przedewszystkiem poznać przyczyny tych niszczycielskich zmian, i skonkretyzować szczególnie te siły, które w historycznym rozwoju wzajemnie na siebie działając a częściowo wspierając się, spowodowały wyparcie z europejskiego przewodnictwa chrześcijańskiej etyki. Ujawniając te przyczyny, zbliża się ogromnie do głośnego dzisiaj filozofa rosyjskiego Berdjajewa, o którym później będzie mowa. Scheler określa te siły w kilku punktach. 1) Humanitaryzm, wywłaszczający z miłości chrześcijańskiej; 2) jednostronny indywidualizm albo socjalizm w przeciwieństwie do chrześcijańskiej myśli moralnej o solidarności; 3) nieograniczone pragnienie władzy i panowanie absolutnego i suwerennego państwa, które niszczy wszelką ideę feudalizmu; 4) nowoczesny polityczny nacjonalizm i towarzyszący mu, wyłączny kulturalny nacjonalizm, będący w sprzeczności z chrześcijańskiem pojęciem, że istnieją narodowe kultury, uzupełniające się wzajemnie w kulturze ogólnej; 5) wyparcie solidarnego współżycia i po-

[1]) Ingarden R. *Max Scheler. Przegląd Warszawski*, Warsz. 1922, nr. 13, str. 12.

działu klasowego przez nagie, w dowolnych układach prawnych kiełkujące i do osiągnięcia wyłącznie partykularnych celów zmierzające społeczeństwa i temu stanowi rzeczy odpowiadający klasowy i majątkowy podział grup ludzkich; 6) wyparcie chrześcijańskiej etyki gospodarczej solidarnego, zorganizowanego zaspokojenia potrzeb wszystkich gospodarczych grup, w ramach najwyższych zasad chrześcijańskiej nauki życia przez mieszczańsko-kapitalistyczną etykę nieograniczonej gospodarczej produkcji i nieograniczonego zysku finansowego; 7) wyparcie idei i prawideł chrześcijańskiej gminy kulturalnej, wskutek czego zamiast by wszelkie urzeczywistnienia kulturalne następujących po sobie ludów i narodów spełniały się w kooperacji, opartej na wzajemnej woli zrozumienia się, duchowa kultura kształtuje się całkowicie niezależnie do wszelkiej religijnej inspiracji, co rozbija duchową jedność Europy.[1])

Sprecyzowawszy w ten sposób w krótkich zdaniach swoje poglądy, Scheler stara się je rozwinąć i uzasadnić. Przedewszystkiem zastanawia się nad humanitaryzmem, jako elementem, który zasadniczo zwraca się przeciwko chrześcijańskiemu przykazaniu: kochaj Boga ponad wszystko (a także kochaj swych bliźnich w Bogu, zawsze mając przed oczami najwyższe dobro). Humanitaryzm i inne kierunki pracowały nad budową etyki, która człowieka i ludzkość odwiodła od Boga, często nawet człowieka przeciwko Bogu kierowała. Zmiana etyki, którą wprowadził humanizm i reformacja sięga do dni dzisiejszych, wytwarzając katastrofalną sytuację. Bo cóż mają robić ludzie, których historyczny los i wzajemna przynależność oraz elementarna siła połączyła w jedności życia, jeżeli już nie mogą łączyć się w imię rzeczy najwyższych i ostatecznych w swojej wierze? W miarę czasu sfera wartości ich możliwego zjednoczenia coraz bardziej zanika. Ten proces rozkładu nie dał się zatrzymać, sięga coraz dalej w głąb najwyższych wartości. Zanikają centralne, a posiadające swój cel, twórcze siły ludzkiego ducha, wskazujące, co należy czynić i jaka jest misja człowieka. Odnosi się to

[1]) Scheler Max. *Vom Ewigen im Menschen.* Leipzig, 1923, Bd. I, Halbband I, S. 136—138.

do całej Europy, która utraciła swoją jedność usymbolizowaną w Kościele. Wygnanie chrześcijańskiego nakazu miłości z życia publicznego, zahamowanie religijno-kościelnego wpływu obyczajowej energji chrześcijaństwa w sferze objektywnego ducha oznacza zacieśnienie tej energji i zamknięcie jedynie do indywidualnej, wewnętrznej dziedziny człowieka.

W zakresie ustroju państwowego, Scheler, podobnie jak Berdjajew, uznaje za najlepszy system korporacji, której idealny obraz widzi w Kościele, z jego mistyczną głową Chrystusem i widomemi głowami, następcami św. Piotra. Jest to najwyższa korporacja, mająca służyć za przykład wszystkim ludzkim związkom.[1]) Wychodząc z tych poglądów Scheler jest przekonany, że zbliża się epoka, w której idea chrześcijańskiej wspólnoty będzie podstawą nowego, zdolnego do życia ustroju. Dotychczas chrześcijańskie elementy Europy większą część swojej energji zwracały ku temu, aby utrzymać się wobec ataków nowoczesnej cywilizacji i nie dać zagasnąć świętym płomieniom swojej wiary. Dziś jednak świat przechodzi gwałtowne wstrząsy, kruszeją podstawy nowoczesnej cywilizacji, cały organizm ludzki toczy sceptycyzm, brak wiary w swoje siły i w siebie samego. Na miejscu zbankrutowanych idej dzisiejszego życia, powoli zapanuje wielka idea chrześcijańska. W to najgoręcej wierzą zarówno Scheler jak i Berdjajew.

Obaj też kierują wzrok ku średniowieczu, sądząc, że tam człowiek współczesny znajdzie krzepiące siły do nowego życia.

II.

Krytyki teoryj, głoszących upadek kultury zachodnioeuropejskiej podjął się jeden z najwybitniejszych przedstawicieli współczesnego essay'u francuskiego, Henri Massis, we wspomnianem już dziele p. t. *Défense de l'Occident* (Paris 1929), będącem pewnego rodzaju pendent do dzieła Spenglera. Jest to subtelna i bezsprzecznie mądra, ale bardzo jednostronna krytyka teoryj o upadku cywilizacji za-

[1]) Scheler M. *Vom Ewigen im Menschen*, Leipzig, 1923, Bd I, Halbband 1, S. 168.

chodniej, a specjalnie polemika z dziełem Spenglera i teorją Keyserlinga. W pasji polemicznej Massis niejednokrotnie zaciera w sobie świadomość trzeźwości objektywnego polemisty, dochodząc do wniosku, że wszystko, co istnieje poza Francją należy zaliczyć do barbarzyństwa, czyhającego na zgubę cywilizacji zachodniej, wliczając w to specjalnie wszystkie narody słowiańskie i germańskie. Ten „azjatyzm" toczy dziś, zdaniem Massis'a, nieubłaganą walkę z cywilizacją francuską, o czem szczególnie szeroko rozwodzi się w artykule p. t.: *Na okopach Zachodu. Myśli o Francji i Europie.*[1])

Mówiąc o dzisiejszej Europie Massis stwierdza, że ludzkość jest obecnie w mniejszym stopniu zjednoczona, niżeli za czasów Tytusa, gdy wszystkie cywilizowane rasy grupowały się pod temi samemi rzymskiemi sztandarami. Jedność europejską duchowo rozluźniła już reformacja, a fizycznie zerwał r. 1914. „Jesteśmy dziś — mówi Massis — świadkami tragicznego epilogu tego nieludzkiego i ohydnego rozdziału". Ten rozdźwięk w rodzinie europejskiej poniżył nas w oczach Wschodu, który pragnie się zjednoczyć przeciwko białemu człowiekowi. Azja przedewszystkiem chce pokonać duszę Zachodu, rozdwojoną i niepewną swych zasad, niejasno pragnącą wyzwolenia duchowego. Osobowość, jedność, stałość, autorytet i ciągłość — oto zasadnicze idee Zachodu w dzisiejszych czasach. Chodzi o ich zniszczenie na rzecz pewnego dwuznacznego ascetyzmu, w którym osobowość ludzka ginie i wraca do nicości.[2]) Ale człowiek Zachodu jest rozdwojony i dlatego bezsilny wobec naporu wschodniego mistycyzmu. Winę tego stanu rzeczy ponoszą rozbieżne myśli, różne wiary, niejednolita nauka, jednostkowa moralność, wreszcie niejednakowe wychowanie. Poza tem brak człowiekowi Zachodu porządkującej prawdy, z której mógłby czerpać duchowy materjał. Bez doktryny, — mówi dalej Massis — bez wspólnego ducha, bez filozofji, która nadaje rzeczom jedno imię i wyraża te same idee przez te same znaki — nie można znaleźć lekarstwa na zło, które doprowadza do ruiny zarówno państwa, jak i jednostki. Problem,

---

[1]) Massis. *Na okopach Zachodu.. Droga*, Warszawa, 1931, nr. 2.
[2]) Massis. *Défense de l'Occident*, Paris, 1929, p. 16.

który mamy przed sobą, jest przedewszystkiem natury duchowej. Należy przywrócić hierarchję istot ludzkich i znaczenie osobowości człowieka, obronić przed wszystkiemi błędami, które je osłabiają i pragną zniszczyć. Ażeby dać istotnie żywą duszę nadmiernie powiększonej materji i prawdziwie ludzkiego ducha postępowi nowoczesnemu — trzeba przeprowadzić całkowite przywrócenie zasad cywilizacji grecko-łacińskiej i katolicyzmu. Ta wielka tradycja starożytnej i chrześcijańskiej mądrości może jeszcze ocalić to, co jest na świecie zdolne do życia.[1])

Zkolei Massis stwierdza, że dzisiejszej Europie brak wiary nadprzyrodzonej. Należy więc przedewszystkiem odnowić świadomość wewnętrznej siły i przywrócić znaczenie człowieka, które zaginęło przez wyłączny cel wymagań materjalnych. Stanowczo sprzeciwiając się twierdzeniu, że ratunek może przyjść z Dalekiego Wschodu, Massis wskazuje, gdzie odnajdziemy jedność moralną, która dla cywilizacji jest najpotrzebniejszem ze wszystkich dobrem.[2]) Azja, niemniej jak Europa, oddalona jest od źródeł prawdziwej duchowości, której poszukują tu i tam; zjednoczyć świat może tylko pojednanie w chrystjanizmie.

Rzecz godna uwagi: nie jest złośliwością propagatorów Wschodu przeciwko europejskiemu materjalizmowi, jeżeli unoszą się nad Europą średniowieczną, cywilizacją chrześcijańską XIII w., gdzie twórcza wola człowieka przerastała granice jednostki, usiłując stworzyć porządek świata zewnętrznego, który odpowiadałby porządkowi powszechnemu świata wiecznego. Rehabilitacja przeszłości — oto co narzuca się samo przez się, trzeba iść śladami własnych wierzeń i ukochać to, co minęło i tam znaleźć podstawę naszej siły i naszej przeszłości. Massis jest również tego zdania, sądzi jednak, że nie należy przeciwstawiać ideał Wschodu ideałowi Zachodu, ale ideał wieków średnich ideałowi współczesnemu, ideał doskonałości i jedności ideałowi postępu i rozbieżnej siły.[3]) Najbardziej charakterystyczną w czasach ogólnego

---

[1]) Tenże, *Na okopach Zachodu. Droga*, Warszawa, 1931, nr. 2, str. 100.
[2]) Massis H. *Défense de l'Occident*, Paris, 1929, p. 253.
[3]) Tamże, p. 256.

rozprzężenia, jest ta tęsknota do wieków średnich, ten żal za piękną organizacją chrześcijańską, pragnienie, aby odnaleźć nową cywilizację w charakterze powszechności. Dlatego też dzisiaj bardzo wielu zwraca się do tej wielkiej epoki, w której wspólność w tej samej wierze uczyniła z Europy jeden naród. Człowiek średniowieczny zanim został Francuzem, Anglikiem, Niemcem był obywatelem powszechnej cywilizacji, która miała swój język, swoją wiarę, naukę, sztukę, swój sposób odczuwania bez żadnego uszczerbku dla granic świata. Jedność tę dzisiejsza Europa straciła.

Oto co znaczy powrót do nowego średniowiecza. Jest to problem żywotny. „Rozróżniamy tam potrzebę katolicyzmu, powszechności, wolę zdobycia tych wielkich dóbr, których jesteśmy pozbawieni. Nic nie pozostaje rozumowi, jak przedewszystkiem zwracać się do epoki, która wydała tak niewiarogodne dobrodziejstwa; nie idzie tutaj o absurdalne naśladownictwo, o powtarzanie, lecz o żywotną ideę." [1])

Ideę jedności całej Europy może uskutecznić tylko Kościół katolicki. Jeżeli jego całkowita jedność wypływała z duchowości, jeżeli jego możliwości przez swoją istotę zwracają się do uświęcenia dusz i ich zbawienia, wielkie zasady porządku, ustalenie życia społecznego, powinny być przez niego nadewszystko bronione z energją i stałością. Daleki od przeciwstawienia się tym interesom, on je harmonizuje, albowiem jego wyłącznem zadaniem, objawiającem się w ułożeniu i organizacji spraw ludzkich jest pewien rodzaj matczynej powszechności. Państwo chrześcijańskie oparte na prawdach nadprzyrodzonych, zbudowane, przeniknięte przez życie i ducha Jezusa Chrystusa abstrahuje od różnych narodowości, kultur, ras i środowisk. [2])

Mówiąc jednak o kryzysie kultury zachodniej, Massis bije na alarm przedewszystkiem dlatego, aby ją bronić przed naporem wschodniego barbarzyństwa, do którego jak już wspomniano, zalicza wszystkich Słowian. Mówiąc o kulturze zachodniej, myśli wyłącznie o Francji. „Z ruiną Francji — dowodzi — uległaby zniszczeniu nie tylko fizyczna

---

[1]) Massis H. *Défense...* p. 260.

[2]) Tamże, p. 263.

forma cywilizacji europejskiej, ale skutki jego okazałyby się głębsze, bo sięgnęłyby zarazem samego duchowego bytu Zachodu. W dniu, w którym stracilibyśmy (t. zn. Francuzi) nasze stanowisko wśród innych narodów i naszą rację bytu, zostałoby równocześnie zachwiane moralne centrum bytu".[1]) Dlatego też Massis mówiąc o odrodzeniu Europy według najszczytniejszych zasad katolicyzmu sądzi, że tę misyjną rolę posiada jedynie Francja „posłanniczka Chrystusa".

Przeciwnikiem Massis'a jest René Gillouin, który w dziele pt. *Le Destin de l'Occident, suivi de divers essais critiques* (Paris, 1929) prowadzi z nim ostrą polemikę. Występuje przeciwko propagatorom nowego średniowiecza, których cechuje niechęć do reformacji i rewolucji. Szczególnie broni reformacji, która, jego zdaniem, zachowała nietylko ducha chrystjanizmu, ale również katolicyzm obudziła ze skostniałości; uważa, że absurdem jest przypisywać protestantyzmowi „rozwiązłość osobowości" bo pojęcie osobowości jest kluczem jego teologji, filozofji i pedagogji; również potępia twierdzenie, że protestantyzm wywołał rozprzężenie społeczne; nie można mu także przypisywać nacjonalizmu, który wprowadziła rewolucja francuska w epoce, gdy Niemcy były rozbite na szereg państewek.

Mimo to jednak Gillouin przyznaje, że pomijając wewnętrzne przeciwieństwa, chrystjanizm naogół nie okazuje znamion upadku,[2]) a nawet widać w nim zdolność do podbojów. Z drugiej strony ciężar podziału Kościołów jest coraz żywiej odczuwany przez chrześcijan wszystkich obrządków. Obecnie Kościół rzymski zaprasza „braci rozdzielonych" do powrotu na macierzyste łono. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że Kościół chrześcijański obrządku wschodniego będzie należał do federacji, która połączy wszystkie religje. Chrystjanizm przedstawiający wspólny front mógłby z energją i powodzeniem zbliżyć się do cywilizacji współczesnej z jednej strony, a z drugiej do innych wielkich religij przeszłych czy teraźniejszych.[3])

---

[1]) Massis *Na okopach Zachodu. Droga*, Warszawa, 1931, nr. 2, str. 102.
[2]) Gillouin R. *Le Destin de l'Occident*, Paris, 1929, p. 48—49.
[3]) Tamże, p. 51.

Gillouin sądzi, podobnie jak Keyserling, że zbawienia Zachodu, a właściwie zbawienia świata nie należy szukać w przeszłości, lecz w przyszłości. Nie trzeba wracać do chimery wieków średnich, pozostawmy je na swojem miejscu. Jedno co nam ono dać może, to przekonanie, że skoro w przeszłości można było zorganizować pewien porządek różnemi siłami, które składały się na Zachód, można to będzie uczynić i na przyszłość. Ale, struktura tego porządku i sposób jego wykonania zależy jedynie od nas samych, bo zagadnienia życiowe zmieniają się z roku na rok i tylko historyk filozofji odczuwa analogje w głębi różnych form. Wyłącznie przez rozważanie i pogłębienie własnych doświadczeń może współczesny świat naprawić swe błędy i wejść na drogę doskonałości i postępu.

Również filozof hiszpański Miguel de Unamuno w książce p. t. *Agonja chrześcijaństwa* sądzi, że tragizm dni dzisiejszych leży w powiązaniu kultury z religją, tych dwóch antytez, które, jego zdaniem, nigdy nie dadzą się zharmonizować [1]). Wynikiem ich połączenia jest wzajemne osłabienie i wyniszczenie. Unamuno stawia katolicyzmowi jak najczarniejsze wróżby, sądzi, że chrześcijaństwo jest skazane na zagładę, a z niem i zachodnia cywilizacja. Dzisiejsza kultura, wywodzi, nie mogąc uwolnić się od paraliżujących wpływów religijnych, przeżywa ostry kryzys, chrześcijaństwo zaś znajduje się w ciągłej agonji. [2]) Przy pomocy bardzo płytkiej, wprost zdumiewającej swoją powierzchownością argumentacji, stara się Unamuno dowieść sprzeczności w katolicyzmie, stwarza sam niejasności, przytaczając tendencyjnie wyrwane zdania ze Starego i Nowego Testamentu. Usiłuje wykazać, że chrześcijaństwo jest przyczyną dzisiejszego kryzysu, że tragedja współczesnej ludzkości polega na tem, iż prawda, której

---

[1]) Z tem samem stanowiskiem spotykamy się w artykule André Gide'a p. t. *L'avenir de l'Europe. Le point de vue d'un Français. Revue de Genève*, 1923, w którym czytamy: „Nasza słabość przychodzi przedewszystkiem stąd, że religja i cywilizacja dręczą nas w przeciwnym sensie i nie możemy ani tu ani tam znaleźć coś prawdziwego. Aby nie uznać jednej lub drugiej strony za fałszywą uczyniliśmy Europę miejscem kłamstwa i kompromisu" (p. 8).

[2]) Unamuno M. *Die Agonie d. Christentums*, München 1928, S. 103.

świat pragnie, jest czemś wspólnem, socjalnem, świeckiem, a chrześcijaństwo jest czemś nie dającem się udzielić i połączyć, pomijając najistotniejsze cechy gminy chrześcijańskiej i przemilczając jej znaczenie. Unamuno sądzi, że zbawienie dzisiejszej ludzkości przyjdzie przez Rosję z bolszewizmu, stworzy inną cywilizację, azjatycką, orjentalną o podstawach buddaistycznych, cywilizację komunistyczną.

W innym jednak artykule, [1]) mniej pesymistycznie zapatruje się Unamuno na chrześcijaństwo, stwierdza, że odkąd stracono wiarę w przyszły raj ziemski, z której zrodził się socjalizm, zniknęła nadzieja odkupienia proletarjatu na ziemi, i wówczas dano jej sens religijny, nadprzyrodzony, jako walor przywiązany do wiecznej przyszłości t. zn. do wieczności, do ideału zawsze istniejącego poza czasem.

Unamuno przypuszcza, że dzisiejsza ludzkość wyda jakąś nową religję, bo każda wiara powstaje z beznadziejności, i ta nowa wiara, nie będzie niczem, jak tylko dawną wiarą zrodzoną z beznadziejności. Odrodzenie religijne, ściśle mówiąc chrześcijańskie, może jeszcze ocalić cywilizację zachodnią. Będzie to raczej odrodzenie religijne ewangeliczne, bo ewangelja polega na potędze religij, które istnieją tak, że cała historja nazywa ją chrystjanizmem. [2])

Ale na tle bogatej literatury, mówiącej o kryzysie współczesnej kultury, stanowisko Unamuna jest niemal odosobnione, naogół problem religijny w sensie dodatnim wybija się we wszystkich teorjach na ten temat.

Z dzieł głośnych, o tych zagadnieniach mówiących, wspomnę jeszcze książkę Daniel-Ropsa p. t. *Le monde*

[1]) Unamuno M. *L'avenir de l'Europe. Le point de vue d'un Espagnol. Revue de Genève*, 1923.

[2]) Tamże, p. 22. Na tem samem stanowisku negacji religji stoi u nas Al. Herz w art. p. t. *O europejską ojczyznę, Droga*, Warszawa, 1931, nr. 11, w którym zaznacza, że czynnik religijny, jednoczący niegdyś średniowiecze nie może tę samą rolę odgrywać w dzisiejszem życiu. „Pomijając różnolitość wyznaniową Europy, trzeba podnieść, że wśród nas odejście od kościoła jest bardzo wyraźne. Epokę dzisiejszą znamionuje duże ożywienie uczuć i nastawień religijnych, jednakże ma on charakter raczej pozakonfesjonalny" (str. 821). Herz przypuszcza, że siłą jednoczącą dla dzisiejszej ludzkości przedstawia tylko bolszewizm, który jednak reprezentuje pewne walory sprzeczne z ideałami kultury zachodniej. Dochodzi ostatecznie do wyników pesymistycznych.

sans âme (Paris 1932). Daniel-Rops przedewszystkiem nie wierzy w zniszczenie europejskiej kultury, może tego dokonać tylko powszechna katastrofa niezależna od ludzi. Wojny zniszczą naszą sztukę i literaturę, ale nie nasze pojęcia życiowe, które daliśmy światu z równoczesną koniecznością ich spełnienia. Wojny barbarzyńców mogły w IV w. zniszczyć kulturę rzymską, organizację materjalną, ale cywilizacja chrześcijańska nie obawia się tego, wiedząc że od potęgi militarnej, politycznej, artystycznej nie zależy, ale od wewnętrznego udoskonalenia, i że państwo Boże nie jest z tego świata, nie może też ulec żadnemu zniszczeniu.

Przyczynę dzisiejszego kryzysu widzi Rops w powszechnym hedonizmie, w zwróceniu uwagi na zewnętrzne użycie, gdy tymczasem jedynie porządek wewnętrzny może położyć kres wszelkim niepokojom.[1]) Stwierdza jednak, że kryzys zapoczątkowany przez renesans rozgrywa się na tle walki między dwoma pojęciami: chrześcijańskiem i antychrześcijańskiem, która wynika z odkryć naukowych. Ta nowa koncepcja znalazła swój wyraz w pismach XVIII w. a przedewszystkiem XX w. Zastanawia się co jest przyczyną, że wszystkie przesilenia mają podkład religijny, ściślej mówiąc metafizyczny? Natura ludzka jest w ten sposób utworzona, że bezwzględnie przyjmuje istnienie czegoś absolutnego. Jeżeli nie umieści tego w Bogu będzie stawiała na piedestale samą siebie, swoją osobowość, czy jej przejawy, jak rasę czy narodowość. Jest jednak rzeczą zupełnie inną czy wyobrazić sobie absolut jako czynnik zewnętrzny, istniejący poza człowiekiem, poza jego uwagą t. zn. dać mu określenie metafizyczne, a umieścić go w człowieku przez koncepcję czysto psychologiczną czy socjalistyczną. W naszej epoce widać przeciwstawienie dwóch różnych uczuć: pragnienie absolutu i beznadziejność absolutu.[2]) Odkąd człowiek, dając rozumowi bezwzględną autonomję, przyzwyczaił się umieszczać w swej własnej naturze pojęcie absolutu, zachwiała się jego równowaga. Człowiek przyjmując życie jako coś skończonego stara się zaspokoić swoje pragnienia przez rozkosz pod wszystkiemi jej

[1]) Daniel-Rops. *Le monde sans âme*. Paris, 1932, p. 30.
[2]) Tamże, p. 53.

formami i tu szukać należy przyczyny współczesnego kryzysu. By wyjaśnić wielość kryzysów trzeba wyjaśnić przedewszystkiem kryzys współczesnego człowieka.

Zkolei zastanawia się Rops nad rolą, jaką odegrała w dzisiejszem życiu maszyna. Dla ludzi cywilizowanych mechanizacja i cywilizacja stanowią dwa nierozdzielne elementy. Jeżeli jednak mechanizacja dzisiejszą ludzkość niszczy, to ocalenia nie należy szukać w ucieczce od maszyn, nie w cofaniu się, ale w ich racjonalnem spożytkowaniu. Zło, które niesie ze sobą maszyna powstaje przedewszystkiem z niedoskonałości organizacyjnej. Najważniejsze jednak, że dzisiejsza cywilizacja wynosząc na wyżyny człowieka mechanicznego, zapomniała o człowieku prawdziwym.

Równie ważnym czynnikiem dla dzisiejszej ludzkości jest humanizm. Nowoczesny humanizm przedstawia doktrynę, która wspiera się mocno na rzeczywistości, albo na tem co za rzeczywistość uważa, i starając się wyjaśnić problemy, które stawia świadomość i wyjaśnić je sama, bez wszelkiej religji, chce zużytkować do ostatecznych granic wszystkie pomoce naukowe, które objaśnia człowiekowi przez niego samego. Tutaj znajdziemy zasadnicze składniki współczesnego indywidualizmu. Czasem towarzyszy humanizmowi pewne poczucie, nieco panteistyczne, o przeznaczeniu człowieka. Ale zapomina się równocześnie, że rzeczywistość stawia przed człowiekiem zagadkę, której nie rozwiąże się ani przez właściwości rzeczywistości fizycznej, ani przez własną naturę, przez istnienie, przez sens swego przeznaczenia. I dlatego wszystkie wysiłki, które poczynił współczesny człowiek, aby sobie samemu dać zadowalniającą, racjonalistyczną podstawę tylko jeszcze wyraźniej ukazały przepaść współczesnej cywilizacji, spowodowaną przez upadek duchowy. Człowiekowi zdawało się, że już wszystko oparł na rozumie i logice, a tymczasem są wypadki, w których i rozum i logika prowadzą do zguby.

Również Daniel-Rops pośrednio zwraca się przeciwko Massis'owi i jego twierdzeniom, że cywilizacja może upaść pod naporem Wschodu, sądząc, że dzieje się wprost odwrotnie, raczej Zachód niesie groźne niebezpieczeństwa dla Wschodu, bo daje mu swoje maszyny, swoje metody, swoje

systemy polityczne i ekonomiczne, daje mu różne sposoby zniszczenia tego, co go wyróżnia. Nie prawdziwy Wschód zagraża Zachodowi, ale pseudowschód, który jest wcieleniem beznadziejności, zniechęcenia i goryczy. To skłanianie się ku Wschodowi oznacza w większości współczesnych albo zerwanie z ustalonemi formami naszej cywilizacji, albo poszukiwania metafizyczne, których nie mogą, albo nie chcą odnaleźć w religjach Zachodu, o wiele bliższych i bardziej znanych.

Wreszcie Rops zastanawia się czy idea wspólnoty, komunizm może we współczesnym świecie odegrać rolę podobną, jaką odegrała w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i dochodzi do wniosku, że może, ale nie w dzisiejszej formie tego pojęcia [1]) dlatego, że opiera się on na tej samej, co kapitalizm podstawie t. zn. na pragnieniu osobistego zadowolenia. Komunizm pragnąc przemówić do człowieka słowami najbardziej przekonywującemi ma tylko jeden argument, obietnicę powszechnego, materjalnego szczęścia. Podtrzymuje hedonistyczne pragnienia, w przeciwieństwie do chrześcijaństwa, które zabiło świat starożytny głosząc ideę wyrzeczenia się.

Po tych rozważaniach Rops stwierdza, że ratunek dla dzisiejszej ludzkości leży w nowej rewolucji, ale nie pojętej w codziennem znaczeniu przejścia władzy z jednej klasy do drugiej, ani w formie zastąpienia dyktatury nową oligarchją. Rewolucja jest to może nieustanna młodość naszych serc i świata, radosna siła w naszej świadomości, spełnienie naszego przeznaczenia, apel do naszych najżywszych i najszlachetniejszych aspiracyj przeciwko wszystkiemu, co chce zniszczyć naszą miłość. [2]) W tym sensie trapista albo buddysta są bodaj jedynymi rewolucjonistami naszej epoki. Dla świata bez duszy, żyjącego koło nas być naprawdę rewolucjonistą oznacza znalezienie w swej świadomości, w głębi swej natury praw straconego sensu bytu. [3])

(Dokończenie nastąpi)

---

[1]) Daniel-Rops. *Le monde sans âme*, p. 156.
[2]) Tamże, p. 161.
[3]) Tamże, p. 162.

Adam Bar.

Jeszcze w sprawie życia „nienarodzonych".

Rok temu wydaliśmy niewielką rozprawę na temat sztucznych poronień, analizując zagadnienie ich w świetle najnowszych badań i faktów, ze stanowiska lekarskiego, etycznego, społecznego i prawniczego.[1]) Aktualność sprawy i potrzeba dalszych wyjaśnień każą nam powrócić jeszcze do niej. Rzecz jest bezwątpienia drażliwa, bylibyśmy szczęśliwi, gdyby obeszło się bez jej poruszania. Niestety dziś milczenie byłoby błędem równym tej fatalnej pomyłce wielu rodziców, którzy nie chcą sami, w sposób zgodny z naturą i z planem Bożym uświadomić swego dziecka, lecz wolą je rzucić na pastwę pouczenia przez zepsutych kolegów i koleżanki, którzy podetną może na całe życie jedną z najważniejszych arteryj jego przeżyć wewnętrznych i zniekształcą jego ustosunkowanie się do pierwszorzędnych zadań życiowych. Obecna deprawacja stosunku do drugiej płci, upadek małżeństwa i rodziny, są w niemałej mierze tego następstwem.

To niewłaściwe, choć uzasadniane przez wielu najszlachetniejszemi motywami, przemilczanie pewnych rzeczy zemściło się nadto pod innym względem na społeczeństwach cywilizowanych, gdyż pozwalało szerzyć się niepostrzeżenie zgniliźnie moralnej w różnych dziedzinach życia jednostkowego i zbiorowego. Ponieważ złego nie wolno było, lub co najmniej nie wypadało ruszać, więc mogło się krzewić spo-

[1]) Ks. St. Podoleński: *O życie nienarodzonych.* Kraków 1933, Wydawnictwo Ks. Jezuitów. Str. 128.

kojnie. Tworzyło się owo uroczą zielenią pokryte bagno, które dopiero poruszone odstraszyło wszystkich swym zatrutym tchem. Nie wojna bowiem światowa ani okres powojenny spowodowały tyle złego. Ono istniało przedtem, tylko wykłuwało się zwolna, jak ów zarazek chorobowy, który tkwi już i rozmnaża się w organiźmie pozornie zdrowym, by dopiero po owładnięciu nim ujawnić się w formie ostrego zachorzenia. Gdybyśmy dawniej poruszali niektóre z dzisiejszych niedomagań moralnych, może w niejednym wypadku zapobieglibyśmy złemu, a w każdym razie zmniejszyli jego nasilenie. Ale przystąpiliśmy do tego za późno, kiedy choroba już się rozwinęła i kiedy widok spustoszenia, jakie dokonała w życiu jednostki, rodziny i społeczeństwa, przeraża nas swym ogromem i trudnością opanowania.[1])

Ten ogrom złego pociągnął za sobą, obok zdeprawowania duszy i obyczajów, dalsze jeszcze bardzo ujemne następstwo — przyczynił się mianowicie w dużej mierze do tego bezceremonjalnego i urągającego wszelkim wymogom przyzwoitości i wyższej kultury wydobywania tych rzeczy na forum publiczne. Poprostu zgnilizna przeżarła niektóre części organizmu zbiorowego do tego stopnia, że cienka powłoka nie zdołała już wytrzymać jej naporu i cuchnąca zawartość wylała się nazewnątrz. Nie było to wprawdzie nieuniknionem i stało się tylko dzięki zawinionemu niedopatrzeniu jednych i świadomej akcji drugich. Nie było chyba koniecznem, żeby pewne odłamy prasy wyciągały wszelkie brudy przed oczy czytelników; żeby jedni literaci w nich czerpali „natchnienie", drudzy zaś wmawiali w siebie i w innych, że odrażającym realizmem odwrócą ludzi od złego; żeby pewni wychowawcy i osoby wpływowe wprowadzały te rzeczy brutalnie przed młodzież i kazały się jej wypowiadać w tym względzie. Ci wszyscy, którzy do tego przyłożyli i przykładają rękę, są winowajcami i częściową przyczyną obecnego smutnego stanu rzeczy.

---

[1]) Warto przypomnieć, że prof. nauk społecznych i politycznych w Paryżu, P. Bureau, mówiąc o upadku moralności we Francji, przypisuje część winy milczeniu duchowieństwa, a na poparcie swego zdania przytacza paru wybitnych księży. *Rozprzężenie obyczajów.* Studjum socjologiczne. Kraków (Wyd. Ks. Jezuitów) 1929, str. 471—74, 477.

Jakkolwiek jednak niezaprzeczoną jest ich wina, niemniej stoimy przed innym ciekawym, również niezaprzeczalnym faktem, że wystąpienia te niewłaściwe, potępione przez jednych, zostały przez wielu przyjęte z uznaniem, a pisma i osoby grzebiące w błocie zdobyły sobie niemałą popularność. Zjawisko to, jakkolwiek przykre samo w sobie, jest niestety psychologicznie zrozumiałem następstwem nietylko ogólnego obniżenia atmosfery obyczajowej, ale także owej przebranej miary zła, jakie nagromadziło się pod złudną powłoką mniemanego ładu i zdrowia moralnego. Przedłużanie tego stanu zakłamania się wewnętrznego stawało się poprostu niemożliwem i przecięcie wrzodu odczute zostało jako ulga, nawet przez niejednego z tych, którzy potępiali sposób wykonania zabiegu.

Tylko w ten sposób, zdaje nam się, można tłumaczyć sukces T. Boy'a-Żeleńskiego. Nie w tem leży źródło jego popularności, jakoby bronił godności kobiety — bo przez swą działalność literacką i przez swą akcję lat ostatnich poniżył ją tylko; nie jakoby bronił moralności — gdyż należy do szczególniejszych szkodników na tem polu. Ale przez to samo, że rzucił hasło zerwania z obłudą, że wezwał do traktowania pewnych zagadnień życiowych w świetle prawdy, wyzwolił jednych z atmosfery, w której (winnie czy niewinnie) się dusili, a drugim ułatwił zadanie, jakie dawno uważali za wskazane. I gdyby był poprzestał na tem przełamaniu barjer, a tem bardziej gdyby potem wskazał drogę ku moralnemu odrodzeniu, to zapewne niejeden z jego początkowych przeciwników przyznałby mu słuszność i stanął po jego stronie. Niestety dalszą swą działalnością pogrzebał wszystko, pozostanie ona na zawsze plamą na jego pamięci. Stwierdzamy to, choć z żalem, bo przy swych zdolnościach i wpływie mógł dokonać bardzo wiele dobrego.

Lecz choćby nawet T. Boy-Żeleński nie zrobił owych dalszych nieszczęśliwych posunięć, nie moglibyśmy się zgodzić na jego metody „odkrywania prawdy". Że o rzeczach drażliwych powinno się mówić w razie potrzeby, to rzecz jasna i nigdy tego etyka katolicka nie zabraniała — ale należy to czynić o tyle tylko, o ile wymaga potrzeba, a powtóre: w stosownej porze i miejscu i przedewszystkiem w odpowiedni

sposób. Normy te obowiązują zawsze, wtedy nawet, gdy zło rozleje się tak szeroko, jak obecnie. Wyniknie wówczas konieczność poruszenia tych zagadnień przed szerokiem forum społeczeństwa, ale zawsze z zachowaniem stosownej formy, z poszanowaniem godności człowieka, z uwzględnieniem planów Bożych. Tak uczynili w latach powojennych biskupi katoliccy różnych krajów, Episkopat polski w r. 1921 w zbiorowym *Liście Pasterskim o Małżeństwie* i w ostatnim *Liście Pasterskim „O ducha chrześcijańskiego w Polsce"*, z dn. 21 lutego b. r.; tak uczynił Ojciec Św. Pius XI w swej Encyklice *Casti Connubii* o małżeństwie chrześcijańskiem, z r. 1930.

Natomiast akcja obozu T. Boy'a-Żeleńskiego, posiłkowana kolportowaną niezdrową literaturą zagraniczną, w rodzaju B. Lindsey'a i B. Russell'a, nosiła i nosi wszelkie cechy przeciwne. Rozdzierając szaty nad istniejącym stanem rzeczy, wypędza on zło jednemi drzwiami, by spotęgowane wprowadzić zpowrotem innemi. Jego odkrywanie prawdy było brutalne, tak jakby całe niemal społeczeństwo polskie było zgangrenowane moralnie, jakby nie istniały żadne wymagania, jeśli nie chrześcijańskiej, to przynajmniej naturalnej przyzwoitości. Akcja ta, połączona z kłamstwem i rzucaniem oskarżeń, nie liczyła się wreszcie z najprymitywniejszemi postulatami wychowawczemi, zwracając się bez różnicy do dorosłych i młodzieży, jakby droga do ideału musiała prowadzić przez bagna i śmietniska.

W rezultacie musimy stwierdzić, że z prawej i z lewej strony były błędy. Jedni nie mówili, kiedy trzeba było mówić, drudzy mówią za wiele i w niewłaściwy sposób. Jedni grzeszą przez niedociągnięcie, drudzy przez przesadę i błędne ujęcie. Pierwsi robili to przez niedocenianie całej jednej rozległej sfery życiowej i mylnie pojęte poczucie wstydliwości, drudzy przez przecenianie dziedziny seksualnej i niekulturalne niekrępowanie się wymogami przyzwoitości.

Na tle tych kilku uwag ogólnej natury możemy teraz łatwiej ocenić stanowisko, jakie nasze społeczeństwo zajęło wobec zagadnienia „życia nienarodzonych", przedłożonego w świetle nauki katolickiej i wobec wykazania zgodności

tejże nauki z postępem wiedzy i sztuki lekarskiej? [1]) I nie chodzi nam o tę część społeczeństwa, która jawnie należy do obozu T. Boy'a-Żeleńskiego, obozu opierającego się na przekreśleniu prawa Bożego i zapoznaniu godności i przeznaczenia człowieka. Lecz pragniemy rzucić parę spostrzeżeń co do zachowania się kół katolickich, oraz paru grup bardziej w tej sprawie interesowanych.

Zdawałoby się, że przedłożenie krwawego bilansu — paru miljonów istnień ludzkich, mordowanych rok rocznie w Europie, około dwóch miljonów tychże wypadków w Stanach Zjednoczonych Am. Pn.,[2]) wysoka zapewne cyfra w pozostałych krajach, a oprócz tego niemała liczba zgonów oraz ogromna cyfra okaleczeń i innych ujemnych następstw u matek — przemówi do wszystkich, wstrząśnie sumienia, skłoni do przeciwdziałania. I rzeczywiście przemówiło, ale nie do wszystkich.

Jedni przyjęli publikację, która otwierała im oczy na te ukryte tragedje, z uznaniem i przystąpili do pracy. W niektórych częściach kraju rozwinięto nawet planową akcję, m. i. przeciw mnożącym się stowarzyszeniom t. zw. „świadomego macierzyństwa", „obrony moralności" i t. p. Lecz znaleźli się i tacy, którzy gorszyli się z poruszania tego rodzaju tematów; strusia polityka chowania głowy w piasek wydała im się najzgodniejsza z sumieniem katolickiem, sądzą widocznie, że gdy będą milczeli, zbrodnicze praktyki ustaną, zakwitnie moralność i cnota. Także niektóre Redakcje pism katolickich, nie wahające się kiedyindziej recenzować literatury pornograficznej (oczywiście w celu zwalczania jej), lękały się wspomnieć *O życiu nienarodzonych* nawet w rubryce „nadesłanych", lecz schowały je starannie w szufladzie, choć o klęsce sztucznych poronień pisali już dwanaście lat temu nasi Arcypasterze w *Liście* o małżeństwie.

[1]) Nawiasem zaznaczamy, że nie byliśmy pierwszymi, którzy poruszyli to zagadnienie. Uczynili to już przedtem: obecny Rektor Uniwersytetu Lubelskiego, ks. Dr. A. Szymański w broszurze *Ograniczanie urodzin i karalność przerywania ciąży* (Lublin 1930) i prof. uniw. warszawskiego, ks. Dr. Z. Kozubski: *Problem potomstwa* (Warszawa 1930, na str. 77—100).

[2]) Liczby powyższe obejmują łącznie poronienia zbrodnicze i przerywania ciąży, wykonywane na podstawie wskazań lekarskich.

A tymczasem pouczenie o tem zagadnieniu, wszechstronne i podane w świetle etyki katolickiej, zawsze było i będzie potrzebnem, inaczej szerokie warstwy społeczeństwa będą nieustannie bałamucone przez lewicę moralną, a nie będą wiedziały, gdzie szukać prawdy, gdzie znaleźć odpowiedź na różne trudności. Sam kategoryczny nakaz: „nie wolno"! wystarczy do osobistego użytku ludzi o sumieniu należycie wyrobionem, ale nie wystarczy w chwilach trudniejszych, nie wystarczy do wykazania błędu stronie przeciwnej, zwłaszcza jeśli ta strona pozostaje w dobrej wierze i chce prowadzić dyskusję rzeczową. Stara zasada filozofji chrześcijańskiej *in medio virtus* posiada trwałą wartość — i milczenie i mówienie są złotem, ale każde w swoim czasie i w odpowiedni sposób.

Ten brak orjentacji, kiedy i jak należy mówić, względnie milczeć, uderzył nas u jednej zwłaszcza kategorji osób. Nikt chyba nie jest tak interesowany, bezpośrednio i pośrednio, w kwestji „niszczenia kiełkującego życia", jak kobieta. Zrozumiałem jest więc, że każde odkrycie medycyny na tem polu, każde nowe postawienie zagadnienia, a w kraju naogół katolickim, jak Polska, przedewszystkiem uzgodnienie go z wymaganiami etyki katolickiej, będzie dla kobiet sprawą zawsze aktualną, zwłaszcza dla przedstawicielek ruchu kobiecego i działaczek społecznych.

I faktycznie pewna, choć szczupła, garstka pań katolickich zrozumiała swój obowiązek, przyjęła chętnie broszurę dającą im gotowy materjał, starała się rozwinąć pracę wśród innych, zwłaszcza dziewcząt i kobiet pracujących fizycznie. Ale mocno przeważająca część tych, które mogłyby w tem dopomóc, woli milczeć i to czasem w okolicznościach niekoniecznie chlubnie o nich świadczących. Czyniąc tę ostatnią uwagę, mamy na myśli grupę kobiet, skupiających się koło tygodnika *Kobieta Współczesna* (Warszawa). W r. 1929 zamieściły w tym organie na temat sztucznych poronień kilka artykułów, bynajmniej zresztą nie ujętych w duchu chrześcijańskim; kiedy zaś w r. 1933 posłano im naszą broszurę o tejże kwestji, przemilczały ją dyskretnie, nie wymieniając nawet wśród książek nadesłanych. Oczywiście fakt ten trudno sobie wytłumaczyć inaczej, jak że Redakcja stroni

nie od zagadnienia, lecz od zgodnego z przyrodzoną i katolicką etyką jego rozwiązania i dlatego lęka się, by nawet wiadomość o jego istnieniu nie dotarła do czytelniczek. — Na szczęście *Kobieta Współczesna* jest wyrazem odłamu tylko kobiet współczesnych!

Przejdźmy teraz do najważniejszej przy omawianym problemie kategorji osób — do świata lekarskiego. W broszurze *O życie nienarodzonych* staraliśmy się zostawić mu więcej miejsca i pozwolić się wypowiedzieć własnemi słowami, przez usta lekarzy polskich i zagranicznych. Rzuciło to wiele światła na ich sposób pojmowania rzeczy i wykazało, że poglądy te są dopiero w ewolucji, która bardzo wolno i opornie, ale wytrwale zdąża ku stanowisku, głoszonemu przez etykę. W tej chwili panuje w świecie lekarskim duże zamieszanie. Jednostki zaledwie postępują zgodnie z zasadami moralnemi, pozostali przyznają, że sprawa przerywania ciąży jest zagadnieniem przykrem, oświadczają w części, że ideałem medycyny byłoby wyeliminowanie go, ale narazie uważają to za niedające się zrealizować.

Czy rzeczywiście zachodzi ta niemożliwość? — Omówienie tej sprawy z punktu widzenia lekarskiego, w świetle orzeczeń i praktyki niektórych wybitnych lekarzy, jakie zamieściliśmy w naszej broszurze (str. 28—35), świadczy wręcz przeciwnie. Rozbiór zaś ze stanowiska etyki, decydującej ostatecznie w każdej a więc i w tej rzeczy, wykazał, iż zabieg przerywania ciąży jest b e z w z g l ę d n i e n i e d o z w o l o n y, że ani jedna z racyj przytaczanych w jego obronie nie wytrzymuje krytyki i że lekarze stosujący go nie zdołali p r z e m y ś l e ć d o k o ń c a ani własnych haseł, ani tem bardziej podstawowych zasad moralnych (str. 42—62).

Wszakże zasada *nemini nocere* obowiązuje względem w s z y s t k i c h a więc nietylko wobec matki, ale i tworzącego się w niej nowego życia! Zasłanianie się zaś, że obowiązkiem lekarza jest „ratować", jest właśnie najoczywistszym dowodem owego „nieprzemyślenia" zasad moralnych, które nie pozwalają w tym wypadku na zabijanie jednych w celu ratowania drugich. A już chyba czystą grą słów i powierzchownem prześlizgnięciem się przez trudność byłoby usprawiedliwianie zabiegu rozróżnianiem pomiędzy „zabiciem"

a „unicestwieniem życia", lub odwoływanie się do „wskazań lekarskich", jakby te mogły zwolnić od ogólnie i bezwzględnie wiążących zasad moralnych. Jakież triumfy, a tak niezasłużone, święci dzięki tym niekonsekwencjom hasło — cel uświęca środki!

Fakt, że te oczywiste prawdy pozostały dotąd obce przeważającej liczbie lekarzy, znajduje częściowe wytłumaczenie w tem materjalistycznem ujmowaniu człowieka, w jakiem wychowywali się dotychczas. Pod jego wpływem wyrobiło się u nich przekonanie, że *salus corporis* to *lex suprema*, przed którem ustąpić muszą wszelkie inne względy; zdaje się im, że lekarz ma dbać jedynie o ciało chorego i jeśli to czyni, spełnił obowiązek — może być „spokojnym w sumieniu".

Zmiana na lepsze, choć powolna, zaznacza się jednak i na tem polu. Rozpoczęła się od uwzględniania w działalności lekarskiej momentu społecznego.[1]) Potem zwrócono baczniejszą uwagę na prastarą, ale dość po macoszemu traktowaną prawdę, że czynnik psychiczny niemniej nieraz znaczy niż pozostała terapja; więc na ostatnich zjazdach w sprawach szpitalnictwa nie zajmowano się wyłącznie technicznemi ulepszeniami, ale zainteresowano się również sprawą wpływania na psychikę chorych, zużytkowania czynników moralno-religijnych i wychowawczych. Skoro strona psychiczna tak jest ważna, to widocznie istnieje coś więcej niż ciało — powiedzieli sobie inni — i zwrócili się do poszukiwania owego duchowego pierwiastka. Dzięki temu otrzymaliśmy niedawno z pod pióra Dra med. Gustawa Bychowskiego (Warszawa) artykuł, który można krytykować w sposobie przeprowadzenia, ale który w obecnej chwili należy powitać jako dokument naprawdę wartościowy.

W rozprawie p. t. „Psyche i soma", zamieszczonej w *Warszawskiem Czasopiśmie Lekarskiem* (r. 1933 nr. 35—36, str. 722 n.), podkreśla Dr. Bychowski we wstępie, że „obecnie przeżywamy okres pogodzenia... kierunku materjali-

[1]) Niestety i tu pokazało się, że i najlepsze hasło można nadużyć. Pod pozorem dobra społecznego wprowadzono najgorszą chyba, bo ułatwiającą każde nadużycie, formę „wskazań społecznych" do przerywania ciąży (Por. O *życie nienarodzonych* str. 67—72).

stycznego ze spirytualistycznym", a syntezą, „która proces ten miałaby uwieńczyć, to ujęcie osobowości psychofizycznej jako całości" (str. 722). Następnie w świetle historji filozofji i medycyny wykazuje autor, jak rozwijało się zagadnienie wzajemnego stosunku ciała i duszy, poczem kończy: „Odbyliśmy wędrówkę za duszą w jej pochodzie od górnych idei filozofów, którzy wiele przeczuwali, a mało jeszcze widzieli poprzez badaczy, którzy jej się wypierali. Dziś wiemy, że jest równie rzeczywista, jak ciało, choć nie możemy wskazać jej pod mikroskopem. Dziś powraca do nas, odnajdujemy ją nanowo, kształtuje nasze ciało i nasze życie" (str. 722; por. też str. 731 kol. lewa).

Lekarz, który odnalazł duszę, musi też traktować człowieka jako istotę wyższą, fizyczno-duchową i konsekwentnie zrewidować pewne zanadto materjalizmem tchnące teorje i praktyczne wskazania. Człowiek przestaje być dla niego wyższego rodzaju zwierzęciem, w trosce o jego zdrowie nie może zapominać, że i on sam i pacjent posiada duszę i ma pewne wyższe obowiązki, których bez ciężkiego sprzeniewierzenia się nie może łamać; będzie więc liczył się z tem, uwzględniał więcej „całość" człowieka.

U lekarza wierzącego, zwłaszcza katolika, świadomego swej odpowiedzialności przed Bogiem, wszystkie powyższe względy nabierają wzmożonej siły. Uświadamia on sobie godność i przeznaczenie człowieka, a równocześnie zdaje sobie sprawę ze zobowiązania, jakie nakłada na niego przyrodzone i pozytywne prawo Boże. Widzi również, że wykroczenie przeciw temuż staje się podwójnem z jego strony sprzeniewierzeniem, gdyż nietylko sam dopuszcza się złego, ale nakłania do tego, lub w każdym razie współdziała z pacjentem, jak się to dzieje właśnie w wypadkach przerywania ciąży. I dlatego mylił się prof. Dr. A. Czyżewicz (Warszawa), kiedy w przedmowie do zbiorowej pracy o przerywaniu ciąży napisał, że wykaz rzeczywistych wskazań do tego zabiegu jest koniecznym „dla tych najlepszych (lekarzy), co chcą być spokojni w swem sumieniu". [1]) — Nie, lekarz - katolik

[1]) *Ginekologja Polska* r. 1927 zesz. 10—12, str. 1104; zeszyt ten wyszedł w odbitce jako osobna broszura.

w żadnym z tych wypadków nie może być spokojnym w sumieniu, czy wydaje wskazania, czy je wykonuje! To samo zresztą trzeba powiedzieć o każdym lekarzu, bez względu na jego religijne przekonania, bo sama etyka przyrodzona stwierdza dostatecznie, że nigdy nie wolno celowo i pozytywnie zdążać do zabicia jednej niewinnej istoty ludzkiej dla ratowania drugiej.

Słowa powyższe wydadzą się większości lekarzy przesadą, a przecież nie są one niczem nowem, owszem w broszurze naszej mieliśmy sposobność podać nazwiska różnych lekarzy, którzy zasadę tę od dłuższego czasu głosili i w czyn wprowadzali. Szkoda tylko wielka, że musieliśmy poprzestać na samych przedstawicielach zagranicy, bo niestety nie znaleźliśmy polskiego lekarza - publicysty, który na tym polu zajmowałby zupełne poprawne stanowisko. Ci nawet na których powoływaliśmy się jako na przeciwników przerywania ciąży, uznają jednak dozwoloność tego zabiegu w pewnych przynajmniej wypadkach.

Czy i kiedy można liczyć na zmianę frontu w świecie lekarskim? — Będzie to zależało przedewszystkiem od wyswobodzenia się z więzów materjalistycznego pojmowania człowieka i od wyjścia z zaściankowego kręgu t. zw. „etyki lekarskiej" na szerszy horyzont ogólno-ludzkich obowiązujących zasad moralnych. Jedynie na tym terenie można liczyć na ostateczne rozwiązanie zagadnienia przerywania ciąży, a nie, jak sądzą niektórzy lekarze, na drodze postępu medycyny. Postęp ten wykazuje wprawdzie coraz namacalniej szkodliwość zabiegu i możność obejścia się bez niego, lecz ten proces likwidacji, jeślibyśmy mieli sądzić na podstawie dotychczasowego biegu wypadków, może trwać bez końca, bo jakkolwiek znosi się jedne wskazania, ale na ich miejsce tworzy się inne.

Nad przyśpieszeniem procesu tej likwidacji, której terminu niepodobna dziś określić, należy jednak usilnie pracować. Wiele tu będzie zależało od kierowniczych sfer lekarskich i fakultetów medycznych, ale wiele także od społeczeństwa; trudno bowiem spodziewać się, by lekarz był lepszym od otoczenia, z którego wyszedł i w którem się obraca. Środkiem bardzo pomocnym byłyby tu dyskusje w gronie

samych lekarzy na tematy moralne, związane z ich pracą zawodową, jakie zagranicą cieszą się takiem wzięciem i urządzane są przez liczne Stowarzyszenia lekarzy katolickich. I dlatego z radością powitać należy wiadomość, że i u nas zawiązało się „Zjednoczenie Polskich Lekarzy-Katolików", którego statut został zatwierdzony w Warszawie w grudniu 1933 roku, a Zarząd wybrany z początkiem lutego bieżącego roku. [1])

Że tego rodzaju dyskusje, prowadzone przez ludzi intelektualnie i pod względem poczucia odpowiedzialności tak wysoko stojących, jak lekarze, miałyby dużo tematów do poruszenia i mogły się przyczynić do wyjaśnienia wielu trudności, oraz uzgodnienia postulatów etyki z praktyką lekarską, nikt chyba nie wątpi. Mieliśmy zresztą pewną tego próbę. Broszura nasza *O życie nienarodzonych* dostała się także w ręce wielu lekarzy oraz Redakcyj czasopism lekarskich i doczekała się recenzyj przez paru profesorów medycyny. Z pism tych i z osobistych rozmów pokazało się, że etyczna strona zagadnienia przerywania ciąży zawiera rzeczy dla niektórych zupełnie nieznane. A co najważniejsze i co przedewszystkiem chcielibyśmy podkreślić — nawet z pośród lekarzy niepodzielających naszych poglądów, a n i j e d e n n i e w y k a z a ł, ż e e t y c z n e r a c j e p o t ę p i a j ą c e w s z e l k i e p r z e r y w a n i e c i ą ż y, s ą b ł ę d n e, l u b n a m y l n y c h o p a r t e p r z e s ł a n k a c h.

Wobec tego mamy więc prawo zapytać — czy można przejść koło tych racyj obojętnie, skoro chodzi o rzecz tak wielkiej wagi, o szafowanie życiem ludzkiem? Czy zamiast rewizji wskazań do przerywania ciąży, nie należałoby raczej poddać zasadniczej rewizji samą rację bytu tego zabiegu?

A rewizji tej można tem śmielej żądać, że nie wymaga ona żadnych heroicznych wysiłków, ani nie kroczy po mogiłach niewinnych ofiar. Owszem, właśnie droga tych lekarzy, którzy stosują przerywanie ciąży, znaczona jest krwią

---

[1]) Prezesem Zarządu „Zjednoczenia P. L. K." jest Dr. Stanisław Wąsowicz (Warszawa, ul. Chłodna 33, m. 3), który udziela wszelkich informacyj i przyjmuje zgłoszenia. — W najbliższym czasie poświęcimy nowej Organizacji obszerniejszą wzmiankę.

i trupami dzieci, a nieraz także i matek, i to — podług wszelkiego prawdopodobieństwa — w znacznie wyższym stopniu niż u tych, którzy się od takiego zabiegu wstrzymali!

Ofiary te, zamierzone i przypadkowe, są bardzo liczne nawet przy największej sumienności i wiedzy lekarzy. A cóż dopiero mówić o wypadkach, w których wiedza, wprawa lub zewnętrzne warunki nie dopisują, lub o nadużyciach, jakim i Kodeks Karny razem z Ustawą o wykonywaniu praktyki lekarskiej (z r. 1932) nie zdoła zapobiec. Wprawdzie szereg wybitnych lekarzy stara się wpłynąć na zmniejszenie szafowania wskazaniami i podkreśla nieraz na kursach lekarskich i w czasopismach fachowych niebezpieczeństwa przerywania ciąży, nawet wykonanego *lege artis* i w najlepszych warunkach. Wprawdzie inni zwracają uwagę na szkody, jakie narodowi i państwu wyrządzają rosnące dziś w liczbę sztuczne poronienia, oraz podnoszą, że „przedewszystkiem powinni lekarze wystąpić przeciwko tym prądom", a tymczasem „niestety dzieje się inaczej". Wprawdzie każą „każdą ciążę uważać za rzecz świętą, którą za wszelką cenę należy bronić i chronić"; „wszelkiemi środkami — powiadają — powinniśmy zwalczać tych", co lekkiem sercem zgadzają się na zabieg, „nie wyczerpawszy poprzednio wszystkich środków celem ratowania ciąży". [1])

Lecz głosy powyższe są jeszcze zbyt nieliczne i słabe, a przedewszystkiem nie poparte dostatecznie autorytetem kierujących sfer lekarskich i dlatego nie znajdują należytego echa wśród ogółu lekarzy. A jeśli jest chlubą polskiego świata lekarskiego, że artykuł 12-y wspomnianej Ustawy o praktyce lekarskiej, krępujący swobodę lekarza przy przerywaniu ciąży, przeszedł właśnie dzięki staraniom samych lekarzy — to jednak nie trzeba zapominać, że sporej liczbie innych punkt ten mocno się niepodoba, owszem ośmielili się stanowisko tamtych przypisać „nieoczytaniu, nieuspołecznieniu i wstecznictwu". Łącznie z niektórymi prawnikami wysilają się dziś ci niezadowoleni na znalezienie takiej inter-

---

[1]) Prof. Dr. Bolesław Kowalski (Poznań) we wstępie do artykułu: „Postępowanie lekarza praktyka w przypadkach poronienia". *Medycyna Praktyczna*. Poznań 1933, nr. 6, str. 161.

pretacji prawa, która dałaby im jaknajszerszą swobodę, owszem robią starania o wprowadzenie noweli do Ustawy o wykonywaniu praktyki lekarskiej, która pozwoliłaby na przerywanie ciąży także dla wskazań społecznych.

Druga, głębsza przyczyna, dla której obecna akcja lekarzy w kierunku ograniczenia przerywania ciąży nie może, nawet w razie jednolitego frontu u góry, rozwiązać w całości tego zagadnienia, tkwi w tem, że obraca się ona ciągle w granicach kompromisów, nie przystępuje do zasadniczego omówienia dozwoloności przerywania ciąży, tylko uznając zgóry jego dopuszczalność, dąży jedynie do redukcji wskazań. Że załatwienie takie jest niewystarczającem, musi uznać każdy myślący a nieuprzedzony człowiek, a że w praktyce nie jest zdolnem zapobiec nadużyciom, wiedzą dobrze sami lekarze. Każdy z nich mógłby podpisać słowa, które na posiedzeniu Warszawskiego T-stwa Lekarskiego z dnia 27 września 1932 r., w związku z referatem o dopuszczaniu przez polski Kodeks Karny przerywania ciąży, wypowiedział jeden z uczestników zebrania. W sprawie wykonywania tego zabiegu, mówił, „zdania lekarzy są często krańcowo różne" i doświadczenie stwierdza, iż „zawsze można znaleźć lekarza z poglądami liberalniejszemi, który łatwo znajdzie wskazanie do przerywania ciąży". [1])

Z tem wszystkiem, wobec małej nadziei zmienienia w najbliższej przyszłości zasadniczego nastawienia lekarzy do problemu przerywania ciąży, trzeba przyjmować z zadowoleniem każdy krok naprzód na drodze eliminowania tego zabiegu. Odkrywanie coraz nowych możliwości uniknięcia go i wykazywanie poważnych szkód, jakie mimo wszelkich wysiłków sztuki lekarskiej przynosi ów zabieg kobiecie, przyczynia się do stopniowego dyskredytowania go w opinji świata lekarskiego i stawia coraz jaśniej przed oczy prawdę, że rzeczywisty postęp medycymy nie może iść nigdy w kierunku niezgodnym z etyką.

Parę takich ważniejszych odkryć mamy do zanotowania w polskiem piśmiennictwie lekarskiem ostatniego roku. Należy tu naprz. obszerny referat Dra med. J. W. Grott'a

[1]) *Warszawskie Czasopismo Lekarskie* r. 1933, nr. 24, str. 556.

p. t. „Cukrzyca a ciąża" (*Medycyna* r. 1933, nr. 15, str. 463—474). Kiedy przedtem, pisze autor, śmiertelność matek z powodu tej choroby dochodziła do 50 %, a dzieci ich do 80 %, dziś jedna i druga zmalała ogromnie i zmniejsza się w dalszym ciągu; wskazania do przerywania ciąży z tego tytułu maleją stale, owszem zdaniem niektórych lekarzy zabieg ów wykonany w tym stanie jest raczej szkodliwym.

To znowu w czasop. *Ginekologja Polska* (Warszawa r. 1933 nr. 7—9 str. 564) Dr. med. Kleinermann streszcza artykuł z *La Presse Médicale* o uporczywych wymiotach u ciężarnych, uważanych dawniej za bezwzględne wskazanie do przerwania ciąży. Otóż autorzy tego artykułu, dwaj lekarze francuscy, podnoszą, że po wojnie zaznaczył się silny spadek przerywań ciąży z tego tytułu, owszem „w ciągu 12-u lat ostatnich nie dostrzegali ani jednego takiego przypadku, wymioty bowiem u ich chorych ustępowały bądź pod wpływem samej psychoterapji, bądź wzmocnionej farmaceutycznem leczeniem objawowem, fizykalnem i dietetycznem".

Jeśli chodzi o zasadnicze — szkoda tylko, że również nie „przemyślane do końca" — podejście do zagadnienia przerywania ciąży, na szczególniejszą wzmiankę zasługuje referat profesora medycyny sądowej na uniw. Jag., Dra L. Wachholz'a.[1]) Autor zajął się przedewszystkiem historyczno-prawniczą stroną tego zagadnienia, ale we wnioskach końcowych, które, jak powiada, „powinny dla nas lekarzy być jedynemi wytycznemi w tej sprawie", oświadcza na pierwszem miejscu: „Skoro dzisiaj nie może dla nas ulegać najmniejszej wątpliwości, że płód od pierwszej chwili swego poczęcia jest tworem żywym i w zwykłym przebiegu ciąży zdolnym do prawidłowego rozwoju na samoistną zczasem jednostkę, przeto usunięcie go przedwczesne z łona matki, jako identyczne z jego zabiciem, nie jest niczem innem z punktu widzenia religijnego, ludzkiego i prawnego jak tylko zabójstwem".

---

[1]) Referat ten, wygłoszony dn. 6 czerwca 1933 r. na posiedzeniu Krak. T-stwa ginek. i lekarskiego, został wydrukowany w *Polskiej Gazecie Lekarskiej*, r. 1933 nr. 28, str. 533 n.

Po tak słusznem i jasnem postawieniu rzeczy zdawałoby się, że jedynym logicznym wnioskiem może być bezwzględne potępienie i wykluczenie przerywania ciąży. Tymczasem nie. I prof. Wachholz, choć bardziej uwzględnia etyczną stronę tego zabiegu niż prof. A. Czyżewicz, nie zdobywa się na wyciągnięcie konsekwentnego wniosku i pozwala na przerwanie ciąży w razie niebezpieczeństwa, zagrażającego życiu (nie zdrowiu!) matki.

To samo „nie-przemyślenie do końca" moralnej, a więc decydującej dla praktyki, strony zagadnienia zastajemy wszędzie. Dla ilustracji pozwolimy sobie powołać się na recenzję naszej broszury *O życie nienarodzonych* przez Dra M. Kacprzak'a. [1]) Ten światły i ceniony przez nas wysoko lekarz, profesor higjeny społecznej w Warszawie, oraz redaktor i współpracownik paru czasopism lekarskich, streszcza z całą objektywnością powyższą broszurę, przyznaje wiele, nie wykazuje, żeby choć jedna z przytoczonych racyj była błędną, a mimo to nie może się pogodzić z płynącemi z tych przesłanek wnioskami. Dlaczego? — Bo, pisze, wnioski te wypowiada „teoretyk, moralista, obrońca etyki, którą można propagować *ex cathedra*", a nie „lekarz, który choć raz spędził kilka godzin przy ciężkim porodzie", lub który wobec niebezpieczeństwa życia dla matki musi się zdecydować „na dzieciobójstwo, czy na matkobójstwo".

Słowa powyższe oddają doskonale sposób rozumowania lekarzy w tej rzeczy, oraz słabe jego strony. Momentem, który tu zdaje się decydować, jest czynnik uczuciowy, [2]) oraz przeświadczenie, że lekarz powinien wtedy „ratować", choćby *per fas et nefas*, choćby po trupie niewinnej ofiary. Takie ujęcie obowiązku lekarza przesłania mu oczy, nie widzi, że gwałci podstawowe zasady moralne, kiedy rozporządza życiem drugiej istoty i to niewinnej, że uprawia „podwójną etykę" w stosunku do dziecka i matki, że wprowadza w całej pełni w czyn zasadę „cel uświęca środki". To zapomnie-

[1]) W czasop. *Zdrowie*, Organie Polskiego T-stwa Higjenicznego. Warszawa r. 1933, nr. 15—16, str. 788.

[2]) Pod tym względem musimy jednak sprostować zarzut, uczyniony „teoretykowi", gdyż ksiądz niemniej od lekarza spotyka się z tragedjami ludzkiemi.

nie się dochodzi do tego stopnia, że — jak widać ze słów powyższej recenzji — lekarza, który znajdzie się wobec wypadku niebezpieczeństwa życia dla matki, uważa się za z m u s z o n e g o do wybierania między matkobójstwem a dzieciobójstwem. Tymczasem w świetle etyki dylemat taki wogóle jest wykluczony, gdyż jedno i drugie jest niedozwolone, jest zbrodnią i lekarz nietylko nie musi, ale nie może wybierać żadnego z tych czynów! Obowiązkiem jego jest ratować, ale skoro wyczerpał wszelkie dozwolone środki ratunku, zrobił co do niego należało; jeśli śmierć matki nastąpi, stanie się to naturalnym biegiem natury, podobnie jak dzieje się w innych wypadkach śmiertelnej choroby.

Na zakończenie jeszcze jedna kwestja. W broszurze *O życie nienarodzonych* podaliśmy pozytywny program rozwiązania zagadnienia sztucznych poronień (str. 116—126), ale oprócz tego wspomnieliśmy, że w przeciwstawieniu do moralnie niedozwolonego „bezpośredniego" przerywania ciąży (*abortus directus*), może zajść czasem wypadek t. zw. „pośredniego" poronienia (*abortus indirectus*), które ze stanowiska etyki jest dopuszczalne (str. 63—65). Na ten punkt zwrócił uwagę w swej recenzji Dr. Kacprzak, ale załatwił go krótką uwagą — „sprawa ta jest dla mnie mętną".

Rzeczywiście poświęciliśmy za mało miejsca jej wyjaśnieniu, a należy ona do trudniejszych. O. Augustyn Gemelli, były lekarz, który wstąpił potem do zakonu OO. Franciszkanów, a obecnie jest rektorem Uniwersytetu Katolickiego w Medjolanie i profesorem psychologji doświadczalnej, sam opowiada, że kiedy w r. 1931 przemawiał na ten temat na XXX-ym kongresie Związku włoskich lekarzy położników i ginekologów, i zaczął posługiwać się terminologją filozoficzno-teologiczną, spotkał się z niezrozumieniem, owszem z niezadowoleniem ze strony słuchaczy, nieprzyzwyczajonych do takiej mowy i musiał zastosować się do nich, tłumacząc rzecz w języku dla nich przystępnym. Spróbujmy iść jego śladem.

Co należy zatem rozumieć przez „pośrednie" przerwanie ciąży? — Przypuśćmy, że kobieta, będąca w ciąży, zapadnie w chorobę, która normalnie wymaga użycia pewnych określonych środków leczniczych lub zabiegu operacyjnego.

Środki te są jednakże tego rodzaju, że w obecnym jej stanie mogą wywołać poronienie. Jeżeli wszakże innych bezpieczniejszych, a równie skutecznych niema, wolno tamte zastosować, ponieważ z natury swej są lekarstwem przeciw chorobie, a nie środkiem do wywołania poronienia. To ostatnie nie jest wcale zamierzonem, owszem jest wyraźnie niepożądanem; jeśliby więc mimo całej ostrożności nastąpiło, będzie przypadkowem, ubocznem następstwem i dlatego nosi nazwę poronienia „pośredniego" — w przeciwstawieniu do „bezpośredniego", które zostaje świadomie i celowo wywołane.

W języku lekarskim, powiada O. Gemelli, można tę rzecz tak wyrazić: „Poronienie (sztuczne) jest zawsze bezpośredniem, ilekroć lekarze kierują się wskazaniem lekarskiem, t. j. kiedy stosują środki skuteczne w celu spowodowania poronienia; jest zaś pośredniem, gdy nie kierują się wskazaniem lekarskiem, t. j. kiedy używają środków leczniczych, które mają na celu leczenie choroby, jakkolwiek zachodzi możliwość, że środki te wpłyną ubocznie (drugorzędnie) na wywołanie poronienia."

Różnica pomiędzy temi dwoma przypadkami jest więc istotna. Wprawdzie w jednym i w drugim chodzi lekarzowi o uratowanie matki, ażeby jednak ten cel osiągnąć zmierza on w pierwszym wypadku świadomie i celowo do usunięcia płodu — to jest b e z p o ś r e d n i cel jego zabiegów — wybiera środki skuteczne do wywołania poronienia, by przez nie dopiero, a więc pośrednio, ocalić matkę. Natomiast w wypadku poronienia „pośredniego" lekarz bezpośrednio zmierza wyłącznie do leczenia zachorzenia i dlatego stosuje środki, jakich użyłby również, gdyby ciąży wcale nie było. Poronienie (względnie śmierć płodu) może więc wprawdzie nastąpić, ale będzie to tylko p o ś r e d n i e następstwo owych zabiegów, następstwo, do którego lekarz nie zmierzał, którego nie chciał, owszem przed którem starał się zabezpieczyć, jeśli możliwość jego przewidywał. Dążenie do zabicia płodu, a zatem ludzkiej istoty — czyn ze stanowiska etyki niedopuszczalny — było więc w pierwszym wypadku świadome i celowe, podczas gdy w drugim było wykluczone.

Powyższe wyjaśnienia winny wystarczyć do określenia różnicy między poronieniem pośredniem i bezpośredniem. Trudności mogą jedynie zajść w konkretnem zastosowaniu powyższych norm do poszczególnych bardziej zawiłych wypadków. Jak wielkie mogą być czasem te trudności nawet dla wprawnego moralisty, świadczy dyskusja, przeprowadzona w ubiegłym roku między wspomnianym O. Gemelli'm a jednym z najwybitniejszych moralistów, ks. A. Vermeersch'em T. J., profesorem teologji moralnej na uniwersytecie Gregorjańskim w Rzymie. Chodziło o specjalny przypadek operacji *hysterectomia uteri cancerosi gravidi*, którą Vermeersch zaliczył do kategorji poronień pośrednich, a Gemelli do bezpośrednich. Długa, bo obejmująca 81 stron druku dyskusja, prowadzona z całym aparatem naukowym i w której każdy z przeciwników po dwakroć zabierał głos, przyczyniła się bardzo do wyjaśnienia niektórych punktów, ale do pozytywnego wyniku nie doprowadziła i obie strony pozostały przy swojem zdaniu. [1])

Przykład powyższy nie przemawia oczywiście przeciw samej zasadzie, która jest jasna i pewna, tylko świadczy o trudności stosowania jej w niektórych więcej skomplikowanych wypadkach. Ktokolwiek styka się z kazuistyką moralną czy prawniczą, wie dobrze, że podobne trudności należą do częstych i że w wypadkach bardziej zawiłych moraliści, względnie prawnicy nieraz rozchodzą się w swych sądach, mimo że co do podstawowych założeń panuje u nich całkowita zgoda. Najwięcej usługi oddaje w takich razach spokojna, rzeczowa dyskusja, gdyż wyjaśnia i precyzuje pojęcia, oraz zmusza do logicznego myślenia. W zagranicznych kołach lekarskich organizuje się też specjalne zebrania i odczyty w tym celu, zwłaszcza z inicjatywy Katolickich stowarzyszeń lekarskich. Tak naprz. na kongresie Związku włoskich lekarzy katolickich we Florencji, w październiku 1932 r. poświęcono osobny referat kwestji poronień „pośrednich", a w dłuższej i ożywionej dyskusji brało udział także kilku profesorów uniwersytetu, Palmieri, Mazzeo, Gismondi, Rizzatti, Pastori.

[1]) *Nouvelle Revue Théologique*, Louvain; r. 1933 nr. 6 str. 500, nr. 7 str. 577, 600, nr. 8 str. 687, 694.

Recenzję broszury *O życiu nienarodzonych* kończy Dr. M. Kacprzak cennem wyznaniem: „Przykłady i cytaty Ks. Podoleńskiego przeciw poronieniom, a za możliwością rozwiązania każdego porodu bez zabijania płodu dotyczą prawie wyłącznie klinik wielkomiejskich i przemawiają za ograniczeniem wskazań lekarskich, lecz nie za ich przekreśleniem. Nie jestem specjalistą, ale znając literaturę muszę powiedzieć, że niewielu jest lekarzy, którzy są za całkowitem wyrugowaniem przerywania ciąży z praktyki lekarskiej".

Dr. Kacprzak nie zaprzecza więc możliwości obejścia się bez tego zabiegu, ani faktu istnienia pewnej liczby lekarzy stojących na tem stanowisku — innemi słowy przyznaje, że ze stanowiska ściśle lekarskiego nie zachodzi istotna przeszkoda do zupełnego wyeliminowania przerywania ciąży. Ze swej strony ośmielimy się uzupełnić to stwierdzenie uwagą, że moralna wartość czynów ludzkich i zarazem ich dozwoloność zawisła nie od biologicznego ich uzasadnienia — jakiem w istocie swej są „wskazania lekarskie" — ale od etycznego, od stosowania się do bezwzględnie obowiązujących zasad moralnych.

Pozostaje więc — „przemyśleć zagadnienie do końca" i wyciągnąć konsekwencje.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Biskup-podkanclerzy Piotr Tomicki na tle swej epoki.[1])

„Dwiema rzeczami" — powiada Łukasz Górnicki „wszystkie na świecie Rzeczpospolite stoją: wojennych ludzi męstwem, a uczonych ludzi rozumem. Albowiem męstwo matką pokoju będąc, podaje ludziom uczonym pogodę do obmyśliwania o dobru pospolitem, a rozum ludzi godnych, męstwu plac czyni. Te dwie rzeczy i naszą Rzeczpospolitą tak wielką jako jest, uczyniły"; co jeżeli tak jest, tedy najpierwszem zadaniem badacza jest poznać tężyznę poszczególnych ogniw, składających się na wielki, nieprzerwany łańcuch dziejów narodowych. Do dziś dnia „brak nam monografij poszczególnych panowań i epok, brak biografij naszych znakomitych mężów i wielu innych dzieł niezbędnych do mocnego związania naszej teraźniejszości z przeszłością, do ustalenia organicznej ciągłości w rozwoju naszej myśli narodowej".

Z powodu niewyzyskania dotychczas materjału, pole dla historyka olbrzymie, bo i niewiele przesady jest w tej myśli starego kronikarza, iż to „z trudnością niemałą przyjdzie, gdyż jako wiemy, przodkowie nasi, skądbychmy wiadomomość pewną tych rzeczy mieć mogli, pisać nie umieli,

[1]) Praca niniejsza jest fragmentem wyjętym z obszernej monografji poświęconej Piotrowi Tomickiemu, biskupowi krakowskiemu i podkanclerzemu koronnemu (1464—1535). Wyjątki z tej monografji zostały ogłoszone drukiem w t. XII. 49, 65, 81, 110 Miesięcznika Heraldycznego p. t. „Panowie z Tomic" oraz w tomie II wydawnictwa zbiorowego „La Pologne au VII Congrès International des Sciences Historiques", Varsovie 1933, str. 245, po francusku p. t. „Un bibliophile de la Renaissance en Pologne".

a raczej się w kłopotnym Marsie, niż w spokojnych muzach kochali, y przetoż wiele ich spraw zacnych podziśdzień w ciemnej nocy leżą".

O wieku XV i XVI, który choć pisać już umiał i pisał nawet dużo i z zamiłowaniem, jest to niemniej prawdą, jeśli chodzi o Polskę z dwóch przyczyn. Po pierwsze — choć epokę tę badano w ciągu wieku XIX i lat ostatnich stosunkowo najwięcej, jest ona jednak tak obfita w wątek treści o najwyższej doniosłości, nietylko dla życia politycznego, gospodarczego i społecznego narodu, ale dla życia jego kulturalnego, umysłowego, dla wykształcenia się nowoczesnego typu Polaka, że długie jeszcze lata miną, nim historycy kultury, mozolną pracą badań nad źródłami przeszłości i pomnikami życia narodu, dzieje te wyświetlą, gdyż w owej epoce dokonywa się, pod wpływem prądów humanistycznych odrodzenia, owa wielka przemiana Polski średniowiecznej — w nowożytną.

„Ludzie XV w. są tymi, którzy przynoszą" — w świetle najnowszych badań — „nowe idee, na teren XVI stulecia i rzucają fundamenty pod najpiękniejszy rozwój polskiego ruchu renesansowo-humanistycznego w czasach Zygmuntowskich. Dziedzictwo ideowe idzie w następne czasy... Szczep Kalimachowy przechodzi swemi odgałęzieniami, nieraz trudno uchwytnemi, w złoty wiek renesansu polskiego".

Powtóre — „uchwycenie" tego zjawiska jest w specyficznych warunkach polskich tem trudniejsze, że ma ono swoje źródło w zupełnie specjalnym talencie rasy słowiańskiej, umiejącej, jak to wykazują nasze dzieje późniejsze XVIII w. i chociażby współczesne dzieje narodu rosyjskiego, z przedziwną prężnością nakłaniać się w osobach „szczytowych" przedstawicieli społeczeństwa swojego, do najwyższego wyrazu współczesnej kultury i cywilizacji, przy zachowywaniu a nawet, przez kontrast — pogłębianiu się, różnicy „poziomu" społecznego tych jednostek w stosunku do szerokich warstw narodu. Stąd, jeśli, co jest jedyną drogą, jednostka nie przekaże swego dorobku choćby najbliższemu otoczeniu, to to, co ona uosabia, wraz z nią się kończy. Poziom kultury społecznej może się nagle znaleźć cofniętym o lat dwieście. Nie należy więc łudzić się miarą prze-

mijającą poziomu jednostki, gdy jedyną trwałą miarą jej zasług dla kultury narodowej, jest wytworzenie szkoły następców. Wiek XVI dla badacza dziejów kultury ojczystej tem jest ciekawy, że wytworzył szkołę uczniów, którzy nieraz mistrzów przewyższyli. Uczniowie Kalimachowi na trzech tronach władali nieomal czwartą częścią Europy. Polska Jagiellońska synów Kazimierzowych sięgała het, poza granice polityczne swoim wpływem i zainteresowaniami. Świadczy o tem wymownie korespondencja ówczesnych panów polskich na obcych dworach w charakterze posłów przebywających — zachowane obfite listy Jana Dantyszka z odległej Hiszpanji, korespondencja Kmity, młodych Łaskich z Anglji i Włoch, listy rzymskie Stanisława Borka i tylu innych.

Taki Dantyszek, bawiąc czas dłuższy na dworze królewskim w Madrycie, Burgos, Grenadzie i Valladolid, nietylko załatwia na hiszpańskim gruncie najtrudniejsze sprawy polityczne, t. zw. „negotium Barense", sum Księstwa Bari, ale jako wytrawny i świadomy spraw wielkiego świata dworak, wykwintne pisuje listy do króla Zygmunta i królowej Bony, do ówczesnych panów polskich, bawiąc ich przeróżnemi anegdotami hiszpańskiego dworu, dając im rady hiszpańskich lekarzy co do zdrowia i opisując barwnie przeróżne sprawy własne i cudze, jak to niejaki Fabjan Wojnowski, z racji podejrzanych opinij religijnych, w niemałe kłopoty z Inkwizycją popadł i przez pięć miesięcy był więziony, i z wielką trudnością, za staraniem samego cesarza, wolność odzyskał; jak to trzęsienie ziemi nawiedziło Iberyjski półwysep; jakich on, Dantyszek, w sprawowaniu swego poselstwa doznawał na dworze Karola V honorów, że aż w samą oktawę Bożego Ciała niósł na procesji baldachim z cesarzem. I jeśli narzeka, że „czas mi się dłuży na tem wygnaniu", ale musi dopilnować „końca interesu", to jest to raczej narzekanie dla formy i tęsknota za mającą właśnie już nastąpić nominacją na warmińskie biskupstwo, gdyż, jako typ skończony humanisty XVI wieku, czuł on się na wzór wielu innych humanistów w tych właśnie ramach kultury umysłowej i towarzyskiej dalekiego Zachodu — doskonale.

Dantyszek jest zresztą jednym z wielu. Z równem powodzeniem możnaby tu inne przykłady przytoczyć. Wszyscy ci ludzi, od Zygmunta Starego i Bony począwszy, czekają na swoje monografje, na wzór pracy dr. Kieszkowskiego o Szydłowieckich, czy prof. Ludwika Kolankowskiego o Zygmuncie Auguście, monografij opartych o szerokie tło historyczne i kulturalne, lub nawet pomniejszych źródłowych przyczynków do dziejów historji naszej kultury, jak ks. Detloffa o Urjelu z Górki — nieco wcześniejszej postaci, bo z końca XV wieku, ale ważnej ze względu na pierwszy wśród naszych biskupów, na szerszą skalę sprawowany mecenat kulturalny, kiedy to, będąc w latach 1479—1498 biskupem poznańskim, sprawiał sobie i swemu ojcu, wojewodzie poznańskiemu Łukaszowi, zmarłemu w 1475 roku, w katedrze swojej, cenne nagrobki dłuta Piotra Vischera, wykonane dla niego w Norymberdzie, z którą utrzymywał ożywione stosunki artystyczne, handlowe i finansowe, stalując tam u Lainbergera cenne srebra, lub składając do tamtejszej „Losungstube" (urzędu skarbowego miejskiego) sumę 500 dukatów węgierskich, z poleceniem do zaufanego swego, Tomasza z Grodziska, „nonnullas nobis res necessarias comparare" — by zakupił dla niego niektóre potrzebne przedmioty.

Działalność ta zapoczątkowała nietylko szereg poważnych mecenatów kulturalnych na poznańskiej stolicy biskupiej, ukoronowanych powstaniem słynnej Akademji Lubrańskich w 1520 roku, ale dała impuls i innym możnym panom duchownym i świeckim, wśród których w pierwszej połowie XVI w. w pierwszym rzędzie idą: Piotr Kmita, Krzysztof Szydłowiecki i brat jego Mikołaj, podskarbi wielki koronny, oraz biskup krakowski i podkanclerzy koronny Piotr Tomicki, ów, jak się wyraża prof. Stanisław Kot, „aktywny reprezentant pierwszego pokolenia polaków-humanistów", biskup-mecenas, uczony i dyplomata Zygmuntowski, który wychowany sam w wykwintnej szkole humanizmu włoskiego, przeszczepił go na rodzimy grunt polski, z którego wyrosły takie postacie, jak: biskup krakowski Samuel Maciejowski, Jan Latalski, Benedykt Izdbieński, Jakób Buczacki, Andrzej Krzycki, Jan Chojeński i Stanisław Hozjusz, którzy za szczyt kultury humanistycznej poczytywali sobie naśladować we

wszystkiem biskupa-podkanclerzego i wykwintnego w słowie i obejściu humanistę. „Dość im było na tem, jeśli Tomicki tak czynił", aby go w rzeczach najdrobniejszych naśladowali.

I tak, następca Tomickiego na stolicy w Przemyślu, biskup Jan Chojeński chętnie wzorował się na nim we wszystkiem, a nawet naśladować kazał w swojej kancelarji biskupiej, ów piękny charakter pisma, jakim pisano w kancelarji Tomickiego i miał zwyczaj, tak jak to robił Tomicki, i co było dowodem znajomości najwykwintniejszych form ówczesnego „modus epistolandi", kończąc list napisany ręką sekretarza, dodawać kilka słów przed podpisem, jak to łatwo stwierdzić, porównywując dwa obok siebie znajdujące się listy Tomickiego i Chojeńskiego do Dantyszka, z r. 1530, w oryginalnym kodeksie listów ówczesnych do biskupa chełmińskiego, w archiwum bibljoteki XX. Czartoryskich w Krakowie.

Dwór Tomickiego był nietylko szkołą wychowania młodzieńców najszlachetniejszych rodzin całego kraju: synów braci jego — młodych Tomickich, a wraz z nimi: Szamotulskich, Ostrorogów, Pampowskich, Czarnkowskich, Tarnowskich, Kościeleckich, Opalińskich, Jazłowieckich, Konarskich, Rusockich, Chlewickich i innych; był ów dwór biskupa krakowskiego siedzibą uczonych mężów ówczesnych, wśród których rej wodzili: znakomity matematyk polski Jan Leopolita, włoch Lazarus Bonamico i holender, słynny filolog, Jan van Campen.

Gospodarz tego dworu, jak o tem świadczą współcześni, był z pewnością jednym z najbardziej uczonych mężów swojego czasu, nietylko w Polsce, ale i w Europie. Mówi o tem najlepiej przyjaźń, jaka łączyła go z humanistami włoskimi i niemieckimi, że wspomnimy tu tylko Rudolfa Agricolę — mistrza wiedeńskiego, wielkiego Rotterdamczyka Erazma, Jana Upsaleńskiego, biskupa dalekiej Skandynawji, i Siccarsa Cochlaeusa.

Bibljoteka Tomickiego świadczy może najwymowniej o rozpiętości zainteresowań i gruntowności wiedzy jej właściciela, który własnoręcznemi, do dziś dnia doskonale czytelnemi adnotacjami, dowodzącemi zupełnej znajomości przed-

miotu, zaopatrywał marginesy najbardziej na owe czasy naukowych traktatów teologicznych, filozoficznych, prawniczych czy filologicznych, jak dzieł z zakresu medycyny, przyrodoznawstwa, matematyki czy astronomji.

Rekonstrukcja, chociażby niezupełna, bo o takiej trudnoby dziś było mówić, bibljoteki biskupa Tomickiego, daje nam ciekawy obraz uczoności i zainteresowań tego protektora nauk i sztuk w epoce najświetniejszego rozkwitu renesansu polskiego. Jest ona także dowodem niezwykłej szczodrobliwości panów polskich ówczesnych, którzy snać nietylko w jedzeniu, piciu i strojach się kochali, ale właśnie za przykładem króla Zygmunta Starego i Piotra Tomickiego, szerzyli wykwintne w Polsce obyczaje, kult wiedzy i piękna klasycznego i już na początku drugiego dziesiątku XVI w. skupywali po całym świecie cenne manuskrypty i druki, sprowadzane z wielkim nakładem starań i kosztów do Polski, głównie z Wenecji, Ferrary, Pawji i Fryburga, z Kolonji, Norymbergi, Rzymu, Bolonji i Treviso, dopóki w krajowych drukarniach, u krakowskiego Unglera, Hallera i Wietora, a potem u innych, nie zaczęły wychodzić księgi sumptem owych mecenasów wydawane, o czem najlepiej świadczy fakt, że je im dedykowano, jak np. gdy w r. 1516 niejaki Jan z Wiślicy poemat swój łaciński p. t. „Bellum Prutenum" poświęca królowi, lub gdy sekretarz królewski, włoch Decjusz, wydaje w r. 1518 dzieło, w którem opisuje szczegółowo uroczystości związane z obrzędem zaślubin Zygmunta Starego z Boną i książkę swą dedykuje Tomickiemu.

Bibljoteka Tomickiego musiała być jedną z najcenniejszych i najbogatszych na owe czasy w kraju, jak o tem sądzić można z tych kilkudziesięciu, bądź w oryginale dochowanych aż do naszych czasów egzemplarzy, bądź z wieści, jakie nam o tej cennej bibljotece przechowały źródła i zapiski.

I tak, udało się ustalić przeszło 70 tomów rękopisów i druków, które były własnością Piotra Tomickiego,[1]) jak

[1]) O tej bibljotece Piotra Tomickiego autor pisze w cytowanej już swojej rozprawie francuskiej, w której znajdą Czytelnicy całkowite zestawienie dzieł wchodzących w skład tego cennego księgozbioru, a które udało się odnaleźć lub ustalić.

to stwierdzają przechowane do nas dowody: adnotacje, lub oryginalne oprawy z herbem Łodzią i infułą biskupią, wreszcie z dedykacjami lub napisami: „Piotr Tomicki biskup krakowski kolegjum teologów (filozofów lub artystów w Akademji Jagiellońskiej) w testamencie zapisał" — i wówczas jest wszędzie napisany rok 1536.

Dzieł współczesnych, dedykowanych znakomitemu mecenasowi książki, jakim był biskup-podkanclerzy Tomicki, musiało być oczywiście więcej, niż się ich do naszych czasów dochowało. To co jest, jest wszakże bardzo ciekawe, daje bowiem pewne pojęcie, jakiego rodzaju dzieła swoi i obcy na dworze Zygmunta Starego tworzyli, z których zapewne tylko najcelniejsze, pisarze-dworacy i bliscy dworu uczeni mężowie, jednako u Tomickiego doznający poparcia, ośmielali się mu dedykować.

W roku 1516, a więc w rok niespełna po objęciu przez Piotra Tomickiego urzędu podkanclerzego, co charakteryzuje wymownie jego wcześnie zapoczątkowany mecenat kulturalny, poeta Jan z Wiślicy dedykuje mu swój wspomniany poemat łaciński o „Wojnie Pruskiej", ofiarowany królowi Zygmuntowi Staremu. Poemat ten, wydany w krakowskiej drukarni Jana Hallera, autor zaopatrzył wstępem: „Najprzewielebniejszemu w Chrystusie Piotrowi Tomickiemu, z łaski Bożej Przemyskiemu Biskupowi i Królestwa Polskiego najzasłużeńszemu Podkanclerzemu, ofiaruję jamb trójmiarowy, z prośbą, by dziełko moje Najjaśniejszemu Panu łaskawie zalecić raczył", poczem następuje ów jamb, kończący się mniej więcej tak, w wolnym przekładzie podpisanego:

„Opiekunowi memu
Co mężów uczonych podporą,
(Że wieść podchwycę skorą:)
Ze wszystkich najgodniejszemu,
Którego nie los ślepy
Lecz wielkich cnót najlepiej
(W Atropos mając posła)
Na świecznik moc wyniosła!

Twojemu wyniesieniu
Przyklaśnie ziemia cała,
Gdyżeś w ludu imieniu

U króla zawsze działał...
Weź — że i księgi moje
I złóż u stopni tronu".

Jeśli zwrot środkowy o sławie jest niewątpliwie, w owych latach, po humanistycznemu przesadny, usprawiedliwia go cel wyrażony na końcu, a który poeta-dworak chciał osiągnąć, licząc zapewne na to najwięcej, iż dobrym wierszem łacińskim zjedna sobie opiekę wykwintnego i hojnego dla artystów mecenasa.

Justus Ludwik Decjusz Wissenburski, sekretarz królewski, późniejszy właściciel wsi Wola pod Krakowem, nazwanej od jego imienia Justowską, gdzie zbudować sobie kazał piękną renesansową willę włoską, autor kilku cennych dzieł i pamiętników z epoki, wydając 31 maja 1518 u Hieronima Wietora w Krakowie, ciekawy pod względem obyczajowym, wspomniany swój opis zaślubin królewskich, w którym nadzwyczaj szczegółowo opisuje wszystkie zabiegi o małżeństwo Zygmunta Starego z Boną, czego był świadkiem, a także przebieg samych uroczystości weselnych na Wawelu, dedykuje swe dziełko, w dniu 10 maja 1518 r. — Tomickiemu, do czego przyłączają się Jan Dantyszek, Andrzej Krzycki i Rudolf Agricola junior, zamieszczając na wstępie epigramy łacińskie.

Tenże młody Agricola „poeta a Caesare laureatus", wydaje w Krakowie w 1518 r. „Statuta dla prowincji gnieźnieńskiej", które z pewnością w jakimś egzemplarzu wchodziły do bogatej i w dzieła o treści prawniczej bibljoteki Tomickiego, który sam jest doktorem praw obojga i to nie byle jakiego na owe czasy uniwersytetu. Iżby miał w skład bibljoteki biskupa wchodzić ów egzemplarz, znajdujący się dziś wśród najcenniejszych druków owej epoki w zbiorach Bibljoteki Jagiellońskiej, nasuwa tę myśl porównanie adnotacji na marginesach: charakteru owego „uciętego" pisma, tak charakterystycznego dla ręki Tomickiego, adnotacji identycznych z temi, jakie się znajdują w innych książkach, co do których, na zasadzie wspomnianych dowodów, stwierdzić można, że były własnością biskupa-podkanclerzego.

Humanista krakowski, Antoni Mela, wydaje w r. 1521, w maju, u Hieronima Wietora, dziełko niewielkie, bo razem z kartą tytułową zaledwie 24 strony w t. zw. „ćwiartce" liczące, piękną, ówczesną, jakbyśmy dziś powiedzieli: dużą kursywą ozdobnie drukowane. Jest to „Mowa Demostenesa o wolności Rodyjczyków", jedno z tych dzieł z ducha i zamierzeń humanistycznej kulturze literackiej ówczesnej Polski służyć mające, na które zapewne sam Tomicki nie żałował pieniędzy. Tem też tylko wytłumaczyć można herb jego Łodzia na tarczy, a nad nim infułę biskupią na karcie tytułowej oraz dedykację: „cnót uczonych mężów i dorobku literackiego niezrównanemu Mecenasowi" i wstęp łaciński, do Tomickiego zwrócony, w którym sławi go Mela, jako muz wielkiego miłośnika i protektora, któremu poeci hołd składać powinni.

Znajduje się w tym dziele jedna sentencja prawno-polityczna, podkreślona jakąś ręką z wieku XVI, a może i samego Tomickiego, który, doceniając pojęcia i studja prawne, „pchnął silnie naprzód" — według prof. Estreichera — studja prawne na Uniwersytecie Jagiellońskim; brzmi ona ciekawie i bodaj czy nie pełnowartościowo dla wykładni prawa wszystkich czasów, tak dobrze okresu renesansu, jak doby obecnej:

„Dekret wydawszy lub cokolwiekbądź zarządziwszy, nie jesteśmy bliżsi dzieła i jego urzeczywistnienia, niż byliśmy, gdy jeszcze nie było owej ustawy".

Andrzej Krzycki, ukochany siostrzeniec biskupa Tomickiego, dedykuje wujowi pierwsze wydanie swoich łacińskich poezyj, jakiego dokonał w Krakowie około 1522 roku. Wydanie to nie dochowało się do naszych czasów, a tylko wzmianka o niem, wraz z ową dedykacją wierszem, powtórzoną przez Krzyckiego w wydanej przez niego w 1524 r. u krakowskiego Hallera: „Mowie Kalimacha o wojnie z Turcją".

Poza utworami czystej muzy i mądremi myślami filozofów, nie brak wśród dzieł ofiarowywanych biskupowi Tomickiemu przez współczesnych, dzieł, jakbyśmy dziś powiedzieli: „ściśle naukowych". Za przykład takiego dzieła słu-

żyć może praca astronomiczna, matematyka i magistra sztuk wyzwolonych Jagiellońskiego Uniwersytetu — Mikołaja Szadka, wydana w Krakowie u Hieronima Wietora, dwukrotnie za życia Tomickiego: raz w r. 1521, z epigramem Rudolfa Agricoli, a drugi raz w 1527 roku z epigramem Leona Coxusa, za każdym razem dedykowana podkanclerzemu Piotrowi Tomickiemu, „sztuk mecenasowi" za pierwszym razem poznańskiemu, a za drugim — już krakowskiemu biskupowi.

Gdy młody wówczas praktykant w kancelarji królewskiej i domownik Tomickiego, któremu daleko jeszcze było do kardynalskiej purpury i soborowej sławy — Stanisław Hozjusz, wydaje także u Wietora w Krakowie, w r. 1527, list Erazma z Rotterdamu do króla Zygmunta Starego, to i to niewielkie — pierwsze swoje dzieło w zakresie literackim, umieszcza pod patronatem Tomickiego, któremu się kiedyś wypłaci hojnie za doznaną opiekę, pisząc jego życiorys, literacko najpiękniejszy ze wszystkich, jakie napisano.

Wśród dzieł, jak widzimy, najróżnorodniejszych, jakie Tomickiemu dedykowano, znajduje się też traktat astronomiczny mistrza krakowskiego Adama Tuszyńskiego z Tarnowa, wydany w końcu czerwca 1533 roku u Florjana Unglera w Krakowie, z dedykacją dla biskupa prozą, z herbem Łodzia z infułą i pastorałem w wieńcu, oraz traktat pedagogiczny „O wychowaniu dzieci" mieszczanina krakowskiego Glicznera i rozprawa prawnicza Jaskiera.

Wreszcie dziełem, wchodzącem w skład bibljoteki Tomickiego, jest traktat łaciński znakomitego humanisty Jerzego Libana, o wersyfikacji greckiej, p. t. „Pieśni Sybilli Erytrejskiej", wydany w maju 1535 roku w Krakowie, u Florjana Unglera, dedykowany Piotrowi Tomickiemu „Całego Królestwa Polskiego Wielkiemu Kanclerzemu, wszech nauk w stolicy najpieczołowitszemu Mecenasowi". Tytuł kanclerski, jaki autor daje Tomickiemu, choć ten nigdy kanclerzem nie był, a tylko podkanclerzym koronnym, objaśnia się tem, iż rzeczywiście po śmierci kanclerzego Krzysztofa Szydłowieckiego w r. 1532, Tomicki do końca życia funkcje te faktycznie sprawował, choć nigdy „wielkiej pieczęci" nie używał.

Wreszcie, ciekawem może będzie wspomnieć tu, z okazji omawiania bibljoteki Tomickiego, jako faktu swoiście ilustrującego rolę tego człowieka na tle jego epoki, jeszcze o dwóch książkach, dedykowanych nie jemu bezpośrednio, ale jego bliskim przyjaciołom i zaufanym.

Grzegorz z Szamotuł, kanonik i wielki penitencjarjusz kapituły katedralnej krakowskiej, wydał u Florjana Unglera w Krakowie w r. 1529 „Spis przeszkód małżeńskich, według kanonów" z tablicami wszelkiego rodzaju stopni kanonicznego pokrewieństwa, i dzieło to dedykował sekretarzowi królewskiemu, Janowi Chojeńskiemu, naówczas prepozytowi poznańskiemu i archidiakonowi krakowskiemu. We wstępie do tego dzieła, które z pewnością doszło rąk podkanclerzego i spoczywało może wśród ksiąg jego bibljoteki, autor zapewne nie bez ukrytego celu, wspomina sobie, iż lat temu trzy, przez wówczas poznańskiego, a dziś krakowskiego biskupa, Piotra Tomickiego, powołany sam został na poznańską kanonję. To jedno jest pewnem, iż formy wyrażania wdzięczności jednym ludziom przez drugich, bywały w tej epoce wykwintu towarzyskiego i wyszukanej dworskiej grzeczności, już bardzo subtelne, nietylko na dalekim Zachodzie, ale i w Polsce.

Drugą wreszcie książką tego typu, jest wydany w Krakowie w 1532 r. u Florjana Unglera traktat poetycki Szymona z Proszowic o sztuce wierszowania, z inwokacją wstępną poety Piotra z Tarczyna, wierszem napisaną. Autor traktatu dedykuje swą pracę kanonikowi katedralnemu krakowskiemu, scholastykowi Mikołajowi Bedleńskiemu, wikarjuszowi generalnemu „in spiritualibus" — „Najprzewielebniejszego w Chrystusie Ojca, Biskupa Piotra Tomickiego", jak wiemy, zaufanego jego domownika i przyjaciela.

Obydwie te dedykacje są wymownem świadectwem promieniowania mecenatu kulturalnego, jaki sprawował podkanclerzy Tomicki, a którego może najlapidarniejszą charakterystyką jest powyższy, nieco obszerny, przegląd niektórych dzieł jego bibljoteki, typowej bibljoteki humanisty, biskupa i polityka XVI w.

Obecność w jego bibljotece wielu dzieł medycznych, które widać często i z zamiłowaniem czytywał, będzie spe-

cjalnie może charakterystyczną dla zamiłowań biskupa Tomickiego, o którym mówi jego biograf Hozjusz, iż za młodu skłaniał się ku studjum poetyckiemu i medycznemu, od czego odwiódł go jego wuj i opiekun, wojewoda poznański, Jędrzej z Szamotuł, ku karjerze prawnej, większą przyszłość młodemu Tomickiemu rokującej — wysyłając go na studja do Bolonji.

Tam też zapewne, a potem na dworze papieskim w Rzymie, gdzie około dwóch lat przebywał, nabrał Piotr Tomicki owego upodobania do spraw nauki, literatury, kultury i sztuki, z któremi zetknąć się już musiał najpierw jako uczeń w Gnieźnie czy w Lipsku, czy to potem, jako scholar krakowskiej Akademji.

Tomicki, nietylko na swoim dworze, jak już wyżej mówiliśmy, kształcił młodzież i wysyłał potem mniej zamożnych, swoim kosztem, na studja zagraniczne w tak wielkiej liczbie, że budził podziw u obcych, lecz także nie żałował trudów i kosztów na fundowanie trwałych dzieł sztuki, mających utrwalić jego pamięć u współczesnych i potomnych, w czem postępował z godnością i miarą i nie bez pewnej oryginalności, wbrew opinji niektórych historyków sztuki i kultury, jakoby tylko „naśladował" króla. Boć, że używał tych samych, co Zygmunt Stary, budowniczych, czy artystów, np. Berecciego do budowy swej kaplicy, lub Jana Dürera, w tem niema nic, co mogłoby zadziwić, biorąc pod uwagę jego stanowisko i środki. To samo zresztą robił i Krzysztof Szydłowiecki, a potem Andrzej Krzycki, czy hetman Tarnowski, a jeszcze później kanclerz Jan Zamoyski. Oryginalność mecenatu Tomickiego polegała przedewszystkiem na krzewieniu naukowej kultury humanistycznej, której może nikt naówczas narówni z nim nie doceniał; na zakładaniu i uposażeniu nowych katedr i fundowaniu stypendjów w Akademji Krakowskiej i na szczególnej dbałości o jej rozwój. Dzieje tego stosunku Tomickiego do rozwoju nauki i sztuki w Polsce XVI wieku, dotychczas przez nikogo szerzej nie opracowane, domagają się obszernego potraktowania. Tu ograniczymy się tylko do kilku przykładów najwymowniejszych z życia tego „najznakomitszego szermierza humanizmu" w Polsce ówczesnej, który, jak pięknie powiada Morawski,

„gasił światła, co były gromnicami upadłych wieków i zapalał nowe, które stać się miały jutrzenką i świtem".

Dbały o rozwój wiary katolickiej, biskup polecał już w r. 1524, jeszcze jako biskup poznańskiej diecezji, kanonikom swoim, by pilnie przeciwdziałali szerzącej się herezji luterskiej i dopomagali do jej zwalczania w sąsiedniej diecezji wrocławskiej, z racji swego położenia, bardziej na to niebezpieczeństwo narażonej. Tą samą działalność rozwijał potem jako biskup krakowski, nietylko wydając dekrety przeciw dziełom treści heretyckiej, lecz popierając kaznodziejów i pisarzy, którzy prawdy wiary szerzyli. I tak, w obszernym liście, datowanym z Kielc 21 grudnia 1534 r., dziękuje teologowi Janowi Chochło za nadesłany mu traktat teologiczny przeciw luteranom, wynagradzając go za to hojnie 20-ma czerwonemi złotemi węgierskiemi. Opiekuje się kościołami i klasztorami w swej diecezji, o których nawet w testamencie swoim pamięta, zapisując im kwoty pieniężne. W diecezjach swoich dba o wykształcenie duchowieństwa i zakłada nowe parafje. Kościoły przyozdabia i zaopatrza w zasobne fundacje, jak np. ową kaplicę św. Tomasza w katedrze krakowskiej, którą na miejsce swego wiecznego spoczynku przeznacza, mianując na jej pierwszego beneficjarjusza swego sekretarza, notarjusza Nikodema Przemińskiego, „znanego mi z wierności, uczciwości i zdolności człowieka". Tomicki zaopatruje ową kaplicę w potrzebny sprzęt kościelny i ustanawia dla niej prebendę na wsi swej biskupiej Zamoście, koło Skarbimierza, polecając jednocześnie kapitule krakowskiej, aby na tę godność zawsze tylko ludzi „godnych i uczonych" dożywotnio powoływała, którzyby tam odprawiali Msze św. za spokój jego duszy.

Wspaniały grobowiec marmurowy dłuta Padovana, jaki sobie Piotr Tomicki w tej kaplicy wystawić kazał, zarówno jak i napis na nim wyryty — dzieło własne Piotra Tomickiego, poprawione tylko przez Krzyckiego, jego siostrzeńca, stały się do pewnego stopnia klasycznym wzorem grobowców biskupich tej i późniejszej epoki, jak klasycznym wzorem dla królów była kaplica Zygmuntowska. Naśladowała go niewolniczo Bona dla swego ulubieńca, nagle zmarłego jej najwierniej-

szego sługi, jak o tem mówi napis na jego grobowcu, biskupa krakowskiego Piotra Gamrata. Naśladował go biskup Samuel Maciejowski i inni.

Dla przyozdobienia tej kaplicy, jak i samej katedry, funduje biskup Tomicki własnym kosztem kilkanaście wzorzystych, złotem przetykanych, szpalerów ściennych, czyli arrasów, o które zwraca się listownie do swego przyjaciela, radnego gdańskiego Eggerta van Campen, aby polecił je w tym mieście dla niego wykonać. Arrasy te, zapisane w testamencie biskupa Tomickiego katedrze krakowskiej, należały przez długi czas do najwspanialszych, jakie posiadała i jako takie, wymienia je na pierwszem miejscu najstarszy przechowany nam inwentarz katedry, z 1563 r., wraz z pięknemi tkaninami, służącemi do nakrycia stalli biskupiej i stopni ołtarza. Miały one wyobrażać różne sceny religijne i mitologiczne, świętych i patronów katedry, a wszędzie widniały herby „Łodzia" na znak hojności fundatora.

Niestety, jak informuje mnie znakomity znawca i badacz przedmiotu, ks. prof. Kruszyński, którego uprzejmości wiadomości te o arrasach Tomickiego zawdzięczam — „z arrasów po biskupie Tomickim nic się nie dochowało, najdawniejsze katedralne są dopiero po biskupie Zadziku (1635—1642)".

Zarządzając obszernemi dobrami biskupstwa krakowskiego, Tomicki usprawniał ich administrację, zamieniał wsie mniej dogodne na inne i sporządzić kazał ich dokładny opis i inwentarz, w którym znajdujemy szczegółowe wiadomości o dobrach biskupich: Bieżanów, Kaim, Wieliczka, Raciborowice, Dziekanowice, Witkowice, Rudawa, Węgierce, Wąsów, Pychowice, Borek, Zielonki, Gardlica, Wola Zachorowska i Borków w województwie krakowskiem położonych. Zbudował zamki w Radłowie, Bodzentynie i Siewierzu, gdzie cały zamek „jakgdyby od fundamentów zmurował", upiększając go łaźnią dla wygody i dwoma ogrodami ku ozdobie, i dodając mu uprawnego gruntu, z którego dochody iść miały na jego utrzymanie. W Piotrkowie, gdzie odbywały się sejmy koronne, obszerny dwór drewniany dla siebie i następców swoich, na t. zw. „Tomicczyźnie" zbudował.

Dwór swój biskupi w Krakowie, pod zarządem marszałka, zaufanego swego i na wielu aktach podpisanego sługi — „szlachetnie urodzonego" Mikołaja Bogusza, na palach, w dość wilgotnem miejscu, na placu Kanoniczym wielkim kosztem zbudowany i przyozdobiony, wystawnie utrzymywał, trzymając wiele służby domowej, forysiów, stangretów i przeróżnych funkcjonarjuszy administracyjnych. Posiadał obszerne stajnie, pięknie na przedmieściu Krakowa zbudowane, z licznemi końmi rasowemi, których używał na wyjazdy i częste podróże, a potem je w testamencie przyjaciołom swoim zapisał.

Dbał także Tomicki, jako biskup krakowski, o członków swej kapituły katedralnej, na których powoływał jeno ludzi wzbudzających zaufanie i posiadających należytą wiedzę. Wiemy o tem, jak sam nienawidził wszelkiego nepotyzmu i protekcji w rzeczach kościelnych i ostro przeciw temu powstawał, dając pod tym względem przykład innym w stosunku do swoich siostrzeńców, młodych Tomickich, którzy się na jego dworze wychowywali. Na naukę ich nie żałował, nie wydał natomiast ani grosza z pieniędzy kościelnych na pomnożenie ich majątku, jak to inni czynili biskupi, i często mawiał, iżby to siostrzeńcom jego nietylko żadnego pożytku, ale raczej szkodę wielką przynieść miało.

Z wielką zaś pieczołowitością wszelkie kapitały obracał na potrzeby kościoła i jego sług, czego mamy ciekawy dowód w przywileju z dnia 2 lutego 1535 r. w Krakowie wydanym. Mocą tego przywileju potwierdzał biskup Tomicki kapitule krakowskiej dawne akta z czasów swego poprzednika, Jana Konarskiego, w myśl których żadne beneficja w diecezji krakowskiej nie mogły być nadawane nie-kanonikom krakowskim i cudzoziemcom, choćby nawet biskupom. Akt ten, jednocześnie normujący sprawę mieszkań i domów dla kanoników krakowskich i ich obowiązki w kapitule, podpisany jest przez biskupa Tomickiego i całą kapitułę, 27 prałatów i kanoników w następującej kolejności podpisanych: Piotr Wapowski — dziekan kapituły, Jan Chojeński — biskup przemyski, archidiakon katedralny krakowski (zachował on widocznie tę prebendę i tytuł, jako sekretarz królewski, z powodu bardzo lichych dochodów biskup-

stwa przemyskiego), Bernard Wapowski — kantor, Mikołaj Bedleński — scholastyk, Piotr Konarski — kustosz, Jakób Staśkowski, Jan Jakubowski, Tomasz Rożnowski, Stanisław Czaśnicki, Jakób Arciszewski, Stanisław Tarło, Jan Wolski, Stanisław Oleśnicki, Florjan Czuryłło, Stanisław i Mikołaj Bielowie z Nowego Miasta, Jan Naropiński, Kacper Podlański, Stanisław i Maciej Borkowie, Benedykt Izdbieński, Stanisław Przeborowski, Paweł Krassowski, Jerzy Myszkowski, Jan Andrzej de Valentinis i Andrzej Zebrzydowski.

Jednym z najpamiętniejszych czynów Tomickiego dla kapituły krakowskiej i wogóle dla Kościoła w Polsce, jest wydanie drukiem Mszału dla diecezji krakowskiej. Mszał ten, na którego pierwszej karcie figuruje, obyczajem Tomickiego, jego herb Łodzia z infułą biskupą i pastorałem, nie jest jednak jeszcze drukowany w Polsce. Snać nie mógł, czy też nie chciał Tomicki powierzyć tak odpowiedzialnej roboty krakowskim drukarzom, wydał go tedy, pięknemi sztychami ozdobionym, w weneckiej drukarni Piotra Lichtensteina, a pośredniczył w tej sprawie między fundatorem a drukarzem, niejaki Michał Fechter z Rymanowa, mieszczanin i księgarz krakowski. Uczynił to biskup Tomicki, by zaradzić „wielu błędom, jakie zakradły się do ksiąg diecezji krakowskiej i wielkiej rozbieżności między nimi“ ... by wszyscy w diecezji jego kapłani „jak należy, jednako tę świętą sprawowali Ofiarę“.

O działalności Piotra Tomickiego na urzędzie podkanclerskim w ciągu lat dwudziestu, gołosłownie i nic nieznacząco byłoby mówić, że była ogromną i jedną z najświetniejszych w naszych dziejach. Jaką ta działalność była i jaki zarówno pod względem administracyjnym, dyplomatycznym, czy politycznym dała wynik, to może uda się uzasadnić w ciągu dalszych rozdziałów niniejszej pracy, nieodłącznie od rozwoju wypadków, na tle których tak w Polsce, jak zagranicą będzie się ona rozgrywać.

Narazie idzie tylko o charakterystykę człowieka.

Dla tej charakterystyki, wystarczy zupełnie wziąć jeden choćby niewielki przekrój, o możliwie najpełniejszem napięciu i na tej zasadzie wytworzyć sobie pewien obraz zgodny z ogólną rzeczywistością.

Weźmy ów rok 1534, kiedy to już siedmdziesięcioletni Tomicki, po śmierci Krzysztofa Szydłowieckiego, sam sprawował urząd kanclerski, na którym musiał rozwijać ogromnie ożywioną działalność i „pióra z ręki nie wypuszczać", skoro, biorąc pod uwagę nie tak przecież szybki sposób „wygotowywania" listów w kancelarjach ówczesnych, znajdujemy w regestrach przeszło 220 listów wysłanych w ciągu jednego roku i 137 odebranych od przeróżnych korespondentów, tak krajowych, jak zagranicznych, wśród których figurują: Albrecht ks. Pruski, oraz posłowie i prałaci pruscy, biskup i rada miejska Wrocławia i Gdańska, kardynałowie kurji rzymskiej, Jan Zapolya król węgierski, książęta Münsterbergscy Karol i Henryk, Fryderyk ks. Lignicki, Jerzy ks. Saski, Stefan Brodarics biskup syrmijski, Filip de Senis „protonotarjusz Apostolski, dziekan kamery rzymskiej i korektor archiwów rzymskiej kurji", jak głosi jego tytuł urzędowy; dalej — doktór medycyny Filip Heer, którego Tomicki radzi się o zdrowie — jako częsty korespondent podkanclerzego, oraz morawczyk, niejaki Wilhelm Wickow, kanclerz królestwa węgierskiego Stefan Verböczi i o wiele więcej korespondentów krajowych, z którymi łączyły podkanclerzego Tomickiego ożywione stosunki urzędowe i osobiste, a często jedne i drugie w Wielkiej i Małej Polsce, na Litwie, Rusi i Pomorzu.

Humanista Tomicki, wykwintną piszący łaciną do panów polskich i obcych, z którego kancelarji wychodziły wspaniałe akty i illuminowane dokumenty o wysokiej nieraz wartości artystycznej, jak przechowywany w Akademji Umiejętności w Krakowie przepięknie wykonany dyplom łacińsko-ruski dla Mikołaja Rudego Radziwiłła; ów Tomicki, umie także pięknie a prosto, na lat kilkadziesiąt przed Rejem i Kochanowskim, złożyć świadectwo, „iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają", w czem zresztą nic dziwnego niema, bo coby się nie było narodziło za Piastów a rozrosło za Jagiellonów bujnie i obficie, nie rozkwitłoby za Batorego w Trenach lub fraszkach wieszcza z Czarnolasu.

Nasi historycy literatury XIX w., opanowani entuzjazmem dla niezrównanych, ich zdaniem, zasług Reformacji około pobudzenia do życia mowy polskiej, w czem cząstka

prawdy tkwi niewątpliwie, sami wpadli w potrzask klasycznej metafory „pars pro toto", i dla stronniczej tendencji zapoznali prawdę historyczną.

A taką prawdą historyczną jest dla historyka literatury ówczesnej szereg przepięknych aktów, dokumentów i listów polskich, zawartych już choćby tylko w Tomicjanach. Ale ktoby też miał sięgać aż do tych zapylonych rękopisów, by wydobyć z ich trudnej do odczytania głębiny, rzadką, bezcenną perłę mowy polskiej za Zygmuntów!

Jest w papierach po biskupie Tomickim szereg takich arcydzieł, pasujących go na pierwszorzędnego pisarza polskiego, o zgrozo! przed Reformacją i... przed Rejem!

Jest szereg listów do królewny Jadwigi, późniejszej małżonki Joachima Brandenburskiego, i jej naiwnych dziewczęcych odpowiedzi, i ów najpiękniejszy ze wszystkich listów polskich Piotra Tomickiego, list do Jana Łaskiego młodszego, wojewody mazowieckiego, datowany z Krakowa jesienią 1534 roku, który przytaczam w dzisiejszej pisowni dla łatwiejszej oceny:

„Panie, Miły Wojewoda,
aby twa Miłość zawsze zdrów był, a na wszystkiem się twa Miłość szczęśliwie a wedle myśli twej Miłości wodziło, tobych zawsze rad widział i o tem często słyszał. Bardzo twej Miłości dziękuję, żeś mnie twa Miłość w tej chorobie mojej raczył listem swoim nawiedzić, i choroby a niemocy mojej żałować i oddziałować da li Bóg, tę przychylność i przyjacielskość twej Miłości ku mnie, chcę i będę zawdy najwyższej możności mojej.

„Byłem mój Panie, Miły Wojewoda, wielką i niejedną chorobą nawiedzion od Pana Boga i takem w chorobiech onych przez całe lato niemocen leżał i wielkiem cierpiał bole, a wszakoż, z łaski Bożej już się lepiej poczynam na zdrowiu swym i mam nadzieję, by jeno Pan Bóg dać raczył, rychło zdrów będę, aczkolwiek owa tak ciężka i długa choroba bardzo mnie zemdliła i skaziła, która iż przyszła na mnie z dopuszczenia Bożego, cierpiałem ją i cierpię, a z pokorą, jako przysłuży na biskupa chrześcijańskiego. Z tym dasz Pan Bóg, aby twa Miłość dobrze zdrów był, a na wszystkiem się miał twa Miłość dobrze".

Słowa te, pełne prostoty, siedmdziesięcioletniego starca, cechuje ta sama mądrość życiowa najgłębsza, pełna umiaru mądrość chrześcijańska, znajomość spraw Boskich i ludzkich, zwana popularnie wyrobieniem duchowem, jakiem nacechowane są, podyktowane w rok wcześniej sekretarzowi Hozjuszowi, jego rady w sprawie wychowania Zygmunta Augusta, w formie listu do królewicza. Jest to ów sławny memorjał w sprawie wychowania królewicza, traktat pedagogiczny, najświetniejszy jaki w ówczesnej Polsce napisano — godzien stanąć obok najlepszych tego rodzaju dzieł na Zachodzie. Tomicki poucza w nim młodocianego Zygmunta Augusta jakim oddawać się powinien studjom i ćwiczeniom umysłu i ciała, by przygotować się godnie do owych rzeczy wielkich, do jakich powołała go Opatrzność.

* * *

Takim mężem w radzie królewskiej, w kościele, w życiu prywatnem i publicznem, znakomitemi walorami kultury duchowej, intelektualnej i dyplomatycznej, na tle swej epoki się odznaczającym, był Tomicki. Trudno byłoby stwierdzić, opierając się na tych kilku przykładach, jakie zdołaliśmy przytoczyć, czy współczesnych przerastał, to jedno wydaje się pewnem, że im dorównywał „jako człowiek, biskup, senator, urzędnik, administrator, gospodarz, mecenas w życiu publicznem i codziennem; w usposobieniu, postępowaniu, geście, słowie, piśmie okazał się Tomicki prawdziwym synem włoskiego renesansu z najszlachetniejszej jego doby" — pisze prof. Stanisław Kot. Zdaje się, że na zasadzie tego, co wyżej powiedziano, słowa te są w zupełności uzasadnione.

Jeśli uczoność takiego mecenasa sztuki, jakim niewątpliwie był kanclerz Krzysztof Szydłowiecki, była według jego własnych słów niewielką, gdyż jak sam się przyznaje „żadnym nie był łacinnikiem", a jak pisze o nim jego biograf „nie odebrał wykształcenia uniwersyteckiego i nigdy wyższym nie oddawał się studjom", to niewątpliwie Tomicki, doktór praw i filozofji, uczeń najświetniejszych ówczesnych akademji, pod tym względem go przewyższał.

Wobec wielkiej i wszechstronnej erudycji naukowej podkanclerzego, jakąż szczerą naiwnością i dezynwolturą wielkiego pana tchną słowa kanclerskie: „jam od młodości więcej na królewskich pokojach i wśród żołnierstwa, niźli wśród ksiąg przebywał". Tomicki mógł był o sobie powiedzieć coś przeciwnego. I może właśnie dlatego, ci dwaj, tak różni od siebie temperamentem, dyplomaci Jagiellońscy, tak znakomicie się uzupełniali i tak się dopasowali na urzędzie, że w przeciągu lat około dwudziestu wspólnej, niemal codziennej pracy, nie słychać nigdy, pomimo możliwych i dosyć nawet prawdopodobnych różnic politycznych, o jakichkolwiek niesnaskach między nimi, a śmierć Krzysztofa Szydłowieckiego zostawia w sercu jego przyjaciela żal głęboki.

Jeśli wszakże Szydłowiecki mógł — co doskonale charakteryzuje jego większą niż Tomickiego „rodzimość" kultury humanistycznej — twierdzić o sobie, iż jest „więcej w polskiej rzeczy, niż w łacińskiej wzwyczajony", i co niewątpliwie było prawdą, to Tomicki, mówiący biegle czterema językami, niewątpliwie zasługiwał na pochwałę współczesnych, jaką mu oddaje Libanus, iż „jak ów wspaniały Gerjon, potrzykroć rycerski, wszystkich przewyższa w Polsce biskupów, kanclerzy i humanistów: biskupów w rzeczach wiary, kanclerzy w sprawiedliwości, a mecenasów w hojności".

To też gdy Łukasz Górnicki, w lat kilkadziesiąt później nie bez słuszności pisał do króla Zygmunta Augusta, 18 lipca 1565 roku, iż „za żadnego polskiego króla, tak wielu uczonych ludzi w Polszcze nie było", stało się to w znacznej mierze dzięki zasłudze poprzedniego pokolenia humanistów polskich, którym przewodził Zygmuntowski podkanclerzy. [1])

[1]) By nie obciążać niniejszego szkicu balastem niepotrzebnych przypisów, autor pomija całkowicie podawanie źródeł drukowanych, a zatem dla każdego dostępnych, oraz opracowań, z których dla tego szkicu korzystał, z wyjątkiem przytoczonych w tekście, — uważa natomiast za konieczne wskazać na archiwalja następujące, z których dla niniejszego szkicu czerpał, chociażby już tylko ze względu na możliwość łaskawych uzupełnień, za które zgóry wszystkim Czytelnikom-specjalistom dziękuje.

1. Acta Tomiciana — rękopisy Nr. Nr. 270, 271, 272, 273 w Bibljotece XX. Czartoryskich w Krakowie.

2. Kodeks oryginalnych listów Jana Dantyszka, biskupa Warmińskiego, pisanych z Hiszpanji, Włoch i Niemiec w latach 1526—28 do bi-

skupa Piotra Tomickiego i innych osób w Polsce, Bibljoteka XX. Czartoryskich w Krakowie, rękopis Nr. 242.

3. Kodeksy rękopiśmienne z XVI w., w Bibljotece XX. Czartoryskich w Krakowie Nr. Nr. 1238, 1595 i 1664.

4. Teki Naruszewicza, rękopisy Nr. Nr. 46, 47, 48, 49, 50, 51 i 52, w Bibljotece XX. Czartoryskich w Krakowie.

5. Kodeksy rękopiśmienne Nr. Nr. 1648, 1917 i 2265 w Bibljotece Jagiellońskiej w Krakowie.

6. Archiwum kapituły katedralnej krakowskiej, z którego niektóre nader cenne dla tej pracy dokumenta, autor ma do zawdzięczenia uprzejmości Dr. Kazimierza Marjana Morawskiego, za co serdeczne dzięki mu składa.

7. Nader ważny dla tego szkicu dokument testamentu bp. Tomickiego, znany jest autorowi w trzech wersjach, nieco wzajem się różniących: a) którą autor uważa za najbliższą oryginału, w tomie rękopiśmiennym XVI Acta Tomiciana (t. zw. Zwodu Karnkowskiego) w Bibljotece Narodowej w Warszawie, sygnatura Lat. F. IV. 146. q. według pozostałego po rewindykacji oznaczenia katalogu Korzeniowskiego, b) rękopisu Nr. 170 w Bibljotece Ossolińskich we Lwowie i c) rękopisu Nr. 1664 w Bibljotece XX. Czartoryskich w Krakowie.

8. Oryginał transsumpcji przywileju Kazimierza Jagiellończyka dla Radziwiłłów, dokonany przez biskupa-podkanclerzego Piotra Tomickiego na prośbę Mikołaja Rudego Radziwiłła, dyplom Nr. 120 w archiwum Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie.

9. Kodeks rękopiśmienny z XV—XVI w. w Archiwum Powiatowem w Norymberdze, tom S. I. L. 118, Nr. 15.

10. Kodeks rękopiśmienny - illuminowany Nr. 5 w Bibljotece Ordyn. Hr. Zamoyskich w Warszawie p. t. „Vitae Archiepiscoporum Gnesnensium" (Długosza).

11. Oryginalny kodeks rękopiśmienny kapituły krakowskiej z XV i XVI w., Nr. Lat. Q. II. 427, w Bibljotece Narodowej w Warszawie.

12. Tom XXV Acta Tomiciana — szczególnie ważny dla działalności kościelnej Piotra Tomickiego — rękopis w Bibljotece Narodowej w Warszawie, oraz „Acta Episcopalia Ecclesiae Cath. Posnaniensis" w Poznańskiem Archiwum Archidiecezjalnem „Lubranscianum", kodeksy rękopiśmienne z XVI w. sygn. AE. VII, VIII i IX.

Dr. Stanisław Brzeziński.

Problematyka planowej gospodarki Sowieckiej Rosji.

I. Powstawanie i istota „piatiletki".

Rosyjski planowo-gospodarczy eksperyment jest jedynem w historji świata wydarzeniem. Istniały, jak się zdawało, pewne okoliczności, zazwyczaj uważane za dodatnie dla powodzenia takiej próby. Przedewszystkiem Rosja jest rozległym krajem, w którym gospodarstwo może się w pewnej mierze kształtować samoistnie (autarkicznie). Powtóre w Sowieckiej Rosji podczas socjalnej rewolucji ustaliły się rządy dyktatorskie bez ograniczeń rozporządzające się wszelkiemi środkami produkcyjnemi kraju.

Prawie 8 lat upłynęło, nim wyłonił się pierwszy zarys planu, który, dobrze czy źle, objął całokształt gospodarstwa. Chaos, w który rewolucja socjalna i wojna domowa wtrąciły gospodarstwo, był przeszkodą w powstaniu tego planu. Przytem okazało się, iż marksistowska idea bezpieniężnej gospodarki stoi w pewnem przeciwieństwie do planowej gospodarki. Gospodarstwo bez rachunkowości, opartej na pieniądzu jest tak zagmatwanem, iż planowanie staje się prawie niemożliwością.

Państwowa Komisja Planowa (ros. skrót Gospłan) poczynając od roku 1925/26, ogłaszała plany gospodarcze na każdy rok gospodarczy od 1 X do 30 IX pod tytułem „Kontrolne cyfry gospodarstwa narodowego S. S. S. R.". Celem planowej gospodarki z samego początku było popieranie szybkiego rozwoju upaństwowionego wielkiego przemysłu. Ale Gospłan nie chciał zaszkodzić spontanicznemu roz-

wojowi prywatnego gospodarstwa, w pierwszym rzędzie włościańskiego rolnictwa.

Jednak już pierwsze kroki w kierunku planowej gospodarki wykazały, iż pomimo ogromnej siły odcinka socjalistycznego, gospodarstwo prywatne, będąc obsłużone przez handel prywatny, krzyżuje tak ściśle obmyślane plany. Więc dla ich urzeczywistnienia rząd Sowiecki poczyna ograniczać w różnych dziedzinach handel prywatny i przemysł lub też całkowicie je wykluczać. Naskutek tych środków równowaga na rynku produktów rolniczych została zachwianą i zimą 1928-go roku Rząd Sowiecki widzi się zmuszonym powrócić do przymusowego wywłaszczenia produktów. Otóż najważniejszy filar Nowej Polityki Gospodarczej został obalony właśnie w przededniu wejścia w życie piatiletki.

Rozwój planowej pracy musiał nasunąć ideę planu, mającego w perspektywie dłuższy przeciąg czasu, np. pięć lat. Przy opracowaniu planu pięcioletniego przeciwstawia się tak zwanemu „genetycznemu" kierunkowi, opartemu na wynikach przeszłości, — tak zwany kierunek „teleologiczny" reprezentowany przez prawowiernych komunistów i popierany przez rząd Sowiecki. „Teleologowie" byli zdania, iż zwycięski proletarjat dokonaniem socjalnej rewolucji zrobił skok w państwo swobody. Wobec tego można bez wahania robić jaknajszersze plany i dążyć do ich wykonania. Kreślono więc plany na coraz większą skalę i wkońcu z dwóch projektów piatiletki został zatwierdzony bardziej rozległy i mniej opracowany t. zw. „optymalny" projekt. Miał on być wykonany w okresie od I/X 1928 do I/X 1933-go roku.

Głównym celem planu pięcioletniego była industrjalizacja kraju w najszybszem tempie. W ciągu pięciu lat miano „dogonić i przegonić" dominujące kapitalistyczne państwa. Najpilniejszem zadaniem jest wytworzenie nowego wielkiego przemysłu środków produkcji, ponieważ kraj z punktu widzenia militarnego musi być dobrze uzbrojony i gospodarstwo musi stać się jaknajbardziej niezależnem od kapitalistycznego otoczenia. Zapomocą budowy elektrocentrali rozwój przemysłu ma być znacznie zdecentralizowany i dzięki temu najbardziej odległe rejony i najbardziej zacofane narodowości zostaną wciągnięte w proces socjalistycznej budowy.

Najważniejszym warunkiem wykonania planu pięcioletniego jest szybki jakościowy postęp gospodarstwa. W ciągu pięciu lat ma się indeks budowlany zmniejszyć o 40% i koszta produkcji przemysłu o 35%. Przestrzeń zasiewów ma być zwiększona o 20% i przytem urodzaj na jednostce przestrzeni ma być zwiększony: zboża o 1/4 część; bawełny o trzecią część, lnu — więcej niż o połowę i t. d. Wszystko to ma być osiągnięte przez przeniesienie na grunt rosyjski ostatnich zdobyczy zachodniej a zwłaszcza amerykańskiej techniki. Tą drogą w ciągu pięciu lat powiększy się dochód narodowy w dwójnasób. Przy pomyślnym rozwoju uda się 30,5% dochodów narodowych zaoszczędzić i inwestować bez przysparzania ofiar masom ludowym. Przeciwnie, realny dochód na głowę ludności, pozostawiony do jej dyspozycji, ma się powiększyć o dwie trzecie.

Cały rozwój musi być dokonany w ramach uregulowanej gospodarki pieniężnej. Z emisją pieniędzy należy być bardzo ostrożnym i wartość pieniądza winna nieco wzrosnąć. Formalnie swobodna łączność pomiędzy dwoma odcinkami gospodarstwa społecznego, między prywatnym a socjalistycznym ma trwać i nadal. Włościanie chętnie będą dostarczać na rynek swoją zwiększoną produkcję, ponieważ ceny detaliczne wyrobów przemysłowych w ciągu pięciu lat mają być zniżone o 23%, ceny zaś zakupu produktów rolnych zaledwie o $5^1/_2$ %. Tak zwane „nożyce" mają się znacznie zemknąć.

Zatwierdzenie planu pięcioletniego wywołało w partji i wśród młodzieży robotniczej pewien entuzjazm i w drugim roku piatiletki zadecydowano plan zrealizować nie w ciągu pięciu, lecz w ciągu czterech lat (właściwie w $4^1/_2$) zamiast do 1. X. 1933 plan miał być wykonany do 1. I. 1933 roku. Przytem plan budowlany nietylko nie został zredukowany, lecz przeciwnie rozszerzony. Szczególnie silny nacisk kładziono na rozbudowę na wielką skalę drugiego ośrodka przemysłu metalurgicznego, prócz istniejącego w Zagłębiu Donieckiem, zapomocą połączenia bogatych żył kruszcowych południowego Uralu (Magnitogorsku) z Zagłębiem węglowem w Zachodniej Syberji (Kuznieck). Ponieważ kruszczowe i węglane złoża znajdują się od siebie w odległości do 2400 km., jest to zadanie szczególnie trudne do wykonania.

II. Realizacja „piatiletki".

Okres planu pięcioletniego został zakończony. Z całą stanowczością stwierdzić można, iż główny cel, do którego rząd Sowiecki dążył — stworzenie na wielką skalę nowego przemysłu ciężkiego — naogół został osiągnięty. Czy akuratnie wszystkie projektowane fabryki zostały ukończone — nie jest to tak wielkiej wagi. W związku z tem zwiększył się również i obszar produkcji przemysłowej. Oczekiwane polepszenie się jakości pracy na tle tego olbrzymiego planu jednak nie urzeczywistniło się, a więc tak dobrze obmyślany plan finansowy został zupełnie spaczony. Rozbudowa przemysłu na wielką skalę odbyła się kosztem zredukowania konsumpcji mas narodowych.

Inflacja nie była dostatecznym środkiem dla osiągnięcia wyznaczonego celu. Ilość pieniędzy w okresie piatiletki coprawda wzrosła od 2-ch milj. rubli do $6^1/_2$ milj. Lecz wszystkie najważniejsze dla państwa części składowe gospodarstwa w warunkach gospodarki planowej są przy stałych cenach, bardzo mało elastycznych, mniej więcej ochronione przed inflacją. Przełożenie zaś strat powstałych wskutek inflacji na gospodarkę prywatną, wskutek jej upadku, staje się im dalej, tem trudniejszem. Więc, częściowe wykonanie planu pięcioletniego zostało osiągnięte zapomocą bardzo prymitywnych sposobów przymusowej gospodarki.

Wszystko, co prywatni producenci, t. j. chłopi i chałupnicy, produkują, zabierano im po stałych cenach w zdewaluowanej walucie. Aby przeprowadzić konsekwentnie wywłaszczenie chłopów zimą 1929/30 i 1930/31 r. zostali oni we wszystkich najważniejszych rejonach rolniczych połączeni w spółdzielnie produkcyjne (Kolektywy). Wskutek rozbieżności pomiędzy silnym wzrostem obiegu pieniężnego, a mniej lub więcej stałemi cenami towarów, co określano w Rosji Sowieckiej, jako „głód towarowy", artykuły konsumcyjne, jak również środki produkcji, nie mogły być sprzedawane, lecz musiały być rozdawane, przytem konsumenci otrzymali bardzo znikome racje. W literaturze gospodarczej (nader zubożałej) w r. 1930 przeważyło mniemanie, iż rachunkowość pieniężna straciła swe znaczenie, iż nie należy liczyć się z emisją pieniędzy, natomiast trzeba przejść do

podziału towarów w naturze. W tym kierunku rozwijało się w szybkiem tempie gospodarstwo Sowieckie w ciągu pierwszych 2 lat piatiletki.

Lecz w związku z tem wkrótce popada całe gospodarstwo w groźny stan rozkładu. Wskutek zarzucenia rachunkowości gospodarczej, gospodarka stawała się coraz bardziej rozluźnioną. Kierownicy gospodarczy starali się coprawda wypełniać plan, lecz uważali za zbyteczne oszczędzanie środków produkcji i siły roboczej. Jednocześnie centrale, które czuwały nad podziałem środków produkcyjnych, okazały się niezdolne do prawidłowego dysponowania temiż, wskutek czego w niektórych przedsiębiorstwach pewne środki produkcyjne nagromadziły się w nadmiarze, w innych zaś odczuwano zupełny ich brak. Ponieważ środki produkcji muszą wszystkie być w określonych proporcjach, aby produkcja mogła trwać, trudności zaopatrzenia w środki produkcji paraliżowały pracę wielu fabryk. Konsumenci ze swej strony też cierpieli największy niedostatek nietylko z powodu absolutnego braku odpowiednich produktów, lecz jeszcze więcej dlatego, iż po scentralizowaniu ich podziału, towary nigdy nie dochodziły do właściwego miejsca. Konsument nigdy nie otrzymuje w swym sklepie współdzielczym tego, czego mu potrzeba, i narzucają mu natomiast towary najlichszego gatunku i dla niego zupełnie zbyteczne.

Niezwłocznie musiano przedsięwziąć środki dla powstrzymania tego procesu rozkładu. Środki te były przewidziane w mowie Stalina z dnia 23 czerwca 1931 r. Sens tej mowy polegał na tem, iż gospodarka socjalistyczna nie może żadną miarą uniknąć pewnych kapitalistycznych form. Idea bezpieniężnej gospodarki została potępiona jako lewicowe „trockistowskie zboczenie". Rachunkowość gospodarczą należy we wszystkich przedsiębiorstwach prowadzić skrupulatnie, wszystko winno być „kontrolowane zapomocą rubla", kredyty muszą być udzielane oszczędnie i punktualnie spłacane. Potępiono zjednoczenie przedsiębiorstw w ogromne kompleksy („gigantomanję"), należy pozostawić samodzielność poszczególnym przedsiębiorstwom oraz część osiągniętych przez nie zysków pozostawiać do ich dyspozycji. „Podział socjalistyczny" musi, o ile możliwe, być zastąpiony przez

„handel sowiecki". Wynagrodzenie robotników nie powinno być jednakowe dla wszystkich, lecz zróżniczkowane wedle sprawności. Przy wyborze kierowników należy zwracać uwagę nietylko na przynależność do partji, lecz i na kwalifikację.

Wskazówki Stalina o zachowaniu kapitalistycznych form w socjalistycznem gospodarstwie uratowały je od ostatecznego rozpadu, lecz konsekwentne przeprowadzenie ich było niemożliwe. Dla kierowników gospodarstwa w warunkach planowej gospodarki jest ważniejszem dobre lub złe urzeczywistnienie planu, aniżeli zaoszczędzenie kosztów. Dyscyplina kredytowa w gospodarstwie socjalistycznem nie może być przestrzeganą. Wskutek ogromnej rozbieżności pomiędzy obiegiem pieniężnym a stałemi cenami towarowemi podział socjalistyczny nie może być ostatecznie zastąpiony przez handel. Przy głodzie mieszkaniowym, przy braku pożywienia i odzieży wynagrodzenie robotników nie może być znacznie zróżniczkowane. A najważniejsi kierownicy gospodarstwa muszą być komunistami, ponieważ konsekwentny socjalizm oznacza najściślejsze zamalgamowanie gospodarstwa z polityką.

W tymże 1931 r. uwydatniły się jaskrawo negatywne wyniki nierównomiernego rozwoju poszczególnych gałęzi gospodarstwa. W swem dążeniu do rozbudowy ciężkiego przemysłu w jaknajszybszem tempie, władza Sowiecka zaniedbała budowę dróg kolejowych. Wyzyskiwano w najintensywniejszy sposób istniejące koleje żelazne, dopóki one nie przestały służyć. Ich niedostateczne funkcjonowanie szczególnie źle się odbiło na przemyśle metalurgicznym, który w r. 1931 wykazał silny spadek wytwórczości. Niedostateczny rozwój tego podstawowego przemysłu ujemnie wpłynął na wszystkie gałęzie gospodarstwa i we wrześniu 1931 roku Rząd Sowiecki widział się ostatecznie zmuszonym zredukować swą akcję budowlaną. Ale przez zaniechanie wznoszenia wielkich budowli zostały unieruchomione ogromne kapitały.

Lecz największej porażki władza Sowiecka doznała w dziedzinie rolnictwa. Wskutek socjalizacji rolnictwa cała produkcja była pozostawioną do dyspozycji rządu Sowieckiego; zbiór zboża w porównaniu z okresem Nowej Polityki Go-

spodarczej w dwójnasób się zwiększył i z urodzaju 1930 i 1931 roku po raz pierwszy po rewolucji socjalnej można było uskutecznić znaczniejszy eksport zboża. Lecz oczekiwany wzrost produkcji rolnej w związku z socjalizacją i mechanizacją rolnictwa nie nastąpił. Przeciwnie, kolektywizacja gospodarstw wiejskich związana była z katastrofalnym upadkiem hodowli bydła. Masowe zaopatrzenie rolnictwa w traktory nie było w stanie zrównoważyć ogromnego uszczuplenia inwentarza pociągowego. Przytem praca traktorów w niesprzyjających warunkach Rosji okazała się mniej wydajną i wartościową niż w Stanach Zjednoczonych. Nigdy pola rosyjskie nie były tak zaniedbane, zachwaszczone i zanieczyszczone, jak po socjalizacji rolnictwa. Zwiększone zbiórki przy ogólnym upadku rolnictwa musiały wreszcie doprowadzić do katastroty, która też wybuchła zimą 1932 r. Obszary stepowe, zwłaszcza najżyźniejsze — Kaukaz Północny i Ukraina, zostały dotknięte ciężką klęską głodową, której Rosja nie doznała od czasów „wojującego komunizmu". Pomimo dość sprzyjających warunków meteorogicznych roku 1932-go sytuacja po zwiezieniu plonów w końcu tego roku nie polepszyła się. Fluktuacja robotników, którzy stale są w poszukiwaniu lepszych warunków mieszkaniowych i żywnościowych, tak się wzmogła, iż należyta praca stała się prawie niemożliwą. Pomimo uruchomienia nowych fabryk nastąpiło znaczne zmniejszenie produkcji przemysłowej w drugim i trzecim kwartale 1932 r. Wielki wysiłek podjęty dla rozbudowy przemysłu zdawał się być bezkutecznym.

Po pewnych wahaniach w swej polityce gospodarczej rząd Sowiecki na zakończenie piatiletki celem przezwyciężenia trudności jednocześnie kroczył dwiema drogami. Po pierwsze postanowiono gospodarkę przymusową doprowadzić konsekwentnie do końca. Nie wystarcza już rządowi swobodne dysponowanie wszystkiemi materjalnemi środkami produkcji, dąży on do nieograniczonego dysponowania i ludźmi. Ogłoszone zostały iście drakońskie zarządzenia dyscyplinarne dla robotników. Najważniejszem z nich jest wprowadzenie surowego systemu paszportowego w miastach. Przez to rząd Sowiecki uzyskał możliwość wydalenia z miast

tych, którzy zostają uznani, za niepotrzebnych, oraz przymusowego utrzymania na miejscach pracy niezbędnych robotników i urzędników. Po wsiach zorganizowano całą sieć oddziałów GUPU, które mają kontrolować rolników. Te oddziały wyposażone są w nieograniczone pełnomocnictwa: nietylko każda kradzież społecznej własności jest karana śmiercią, lecz również karze śmierci może podlegać niewykonanie lub niedbałe wykonanie pracy. Rolnictwo jest poniekąd postawione w stanie oblężenia.

Lecz jednocześnie rząd Sowiecki doszedł do wniosku, iż jego uroszczenie ujęcia w ramy planowej gospodarki całej działalności gospodarczej mas narodowych posunięte jest za daleko. Otóż rząd jest gotów zezwolić na rozbudowę jeszcze innej swobodniejszej gospodarki jednocześnie z planową, lecz pod warunkiem, iż swobodna gospodarka nie będzie szkodziła rozwojowi planowej. Od lata 1932 r. rząd Sowiecki nie rości sobie prawa do zabierania u włościan wszystkich produktów rolnych. Ograniczył ściśle swe zadania. Gdy po zbiórkach włościanom pozostają nadwyżki, zezwala się sprzedawać je na targu po cenach rynkowych. Rząd Sowiecki sprzyja rozwojowi pewnych działów prywatnego chłopskiego gospodarstwa w ramach kolektywów. Pozwala on chałupnikom swobodnie sprzedawać swe wyroby pod warunkiem, iż nie będą konkurować przy zakupie surowców z upaństwowionym przemysłem. Ale w przeciwieństwie do okresu Nowej Polityki Gospodarczej prywatna działalność kupiecka zostaje surowo zabronioną. Prawo pośrednictwa przysługuje wyłącznie państwowym organizacjom handlowym, wskutek czego pootwierano sklepy, które swobodnie po wysokich cenach sprzedają.

Skutki tych reform ujawnią się w najbliższej przyszłości. Lecz już teraz można przewidzieć, iż rozwój swobodnej gospodarki w takich warunkach nie ma pomyślnych widoków. Opodatkowanie włościan w naturze jest tak wysokie, iż pozostaje im mało produktów dla własnego wyżywienia. Trudno też sobie wyobrazić, w jakim stopniu możliwe jest połączenie zupełnego ujarzmienia ludności z częściową rozbudową swobodnej gospodarki.

III. Wyniki piatiletki.

Ogłoszenie piatiletki wzbudziło w swoim czasie głęboki sceptycyzm zagranicą. Nie chciano poważnie się odnieść do tego planu. Jakkolwiek urzeczywistnienie piatiletki w sensie realizacji ogromnych inwestycyj, przy równoczesnem podniesieniu stopy życiowej mas narodowych jest rzeczą niemożliwą do przeprowadzenia, to jednakże sceptycyzm zagranicy okazał się przesadnym. Wszechwładny rząd socjalistyczny może sobie stawiać takie cele, jakich rządy burżuazyjne nie są w stanie osiągnąć. Rozbudowa ciężkiego przemysłu podług najwspółcześniejszych wzorów została przez rząd Sowiecki pomimo trudności urzeczywistniona. Twierdzenie Stalina w mowie z dnia 7 stycznia 1933 r., iż w ten sposób zapewnione jest wojskowe uzbrojenie sowieckiej Rosji, okazało się poniekąd prawdziwem. Lecz potrzeby ludności zostały przytem całkiem zaniedbane. Zwiększenie produkcji przemysłu nie miało pod tym względem żadnego pozytywnego znaczenia. Zwiększyła się prawie wyjątkowo wytwórczość środków produkcyjnych, podczas gdy wzrost produkcji artykułów konsumcyjnych zwiększył się zaledwie o 50%. Ale temu przeciwstawić należy kurczenie się przemysłu drobnego i chałupnictwa i zupełny brak wwozu artykułów konsumcyjnych. Lecz najważniejszem jest, iż wzrost produkcji w związku z planem zakreślonym zbyt szeroko był połączony z ogromnem pogorszeniem się jakości wyrobów; mogą one w bardzo znacznej mierze być uważane, jako brak. Szczególnie niebezpieczną jest zła jakość produkowanych środków produkcji. Ze złego węgla i źle uwarstwionej rudy otrzymuje się liche żelazo. Ze złego metalu przygotowuje się mniej wartościowe maszyny, które przy nieumiejętnem użyciu nadają się do rupieciarni. I otóż cała produkcja zamienia się w bezmyślne marnowanie materjału i siły roboczej. Właśnie dla rozbudowy tego ciężkiego przemysłu poświęcono wielkie rolnictwo Rosji. Najgorszą zaś jest dla konsumcji ta okoliczność, że towary w całej tej planowanej gospodarce nie są zużytkowane według swej wyższej wartości, lecz ich wartość zostaje zredukowaną drogą socjalistycznego podziału.

Jest możliwe i nawet prawdopodobne, że część inwestycyj industrjalnych będzie zczasem zużytkowana na ko-

rzyść ludności. Lecz w żadnym razie wszystkie, gdyż tylko ta wytwórczość ma sens gospodarczy, w której koszta produkcji i wartość wytwórczości pozostają w pewnym stosunku. Wszelkie gospodarstwo, zasługujące na tę nazwę, musi być oparte na zasadzie rentowności. Stwierdzenie zaś rentowności przedsiębiorstw jest możliwem tylko w ramach gospodarki handlowej, a nie planowej.

W sowieckiej gospodarce spotykamy się z największym, jaki kiedykolwiek istniał, paradoksem gospodarczym. Świat jest pełen podziwu dla zbudowanych na wielką skalę według ostatnich wskazówek techniki, zakładów przemysłowych, które powstały w kraju ubogim i zacofanym. Ale jednocześnie w tym samym kraju, który jeszcze niedawno wywoził znaczne ilości zboża i dotychczas ostatecznie nie wyrzekł się jego wywozu, miljony ludzi giną z głodu.

Często zarzuca się handlowej gospodarce, iż za podstawę uważa rentowność zamiast zaspakajania zapotrzebowań ludności i przeciwstawia się jej gospodarkę socjalistyczną, jako taką, której celem jest zaspokojenie potrzeb ludności. Otóż rosyjska socjalistyczna gospodarka planowa stanowi wstrząsający obraz gospodarki narodowej, która przestała spełniać swoje istotne zadanie i nie ma nic wspólnego z zaspakajaniem potrzeb mas narodowych. Gospodarka w Rosji sowieckiej przeistoczyła się ze środka w samoistny cel. Nie gospodarka dla ludzi, lecz ludzie — dla gospodarki.

Prof. Dr. B. Bruckus.
Berlin.

Na falach eteru.

W poprzednim artykule [1]) rozpatrywaliśmy genezę pojęcia eteru kosmicznego we fizyce. I widzieliśmy, że dwoma drogami doszła fizyka do tego pojęcia, a mianowicie konsekwentne rozważania na temat zjawisk optycznych z jednej strony i elektrycznych z drugiej strony domagały się tej hipotezy. W szczególności teorja falowa światła, posiadająca tak ważkie argumenta, jak np. interferencja światła nie dała się utrzymać bez równoczesnej myśli o eterze świetlnym. Jak nie możemy sobie wyobrazić fal wodnych bez wody, fal głosowych bez powietrza (lub innego ośrodka), tak też nie umiemy sobie wyobrazić fal świetlnych bez eteru świetlnego, jako ośrodka nie podpadającego pod nasze zmysły, nieważkiego, niematerjalnego, o którym nic więcej powiedzieć nie umiemy, jak tylko to, że ma własność przenoszenia fal świetlnych z szybkością 300.000 km/sek.

Z drugiej strony rozbiór elementarnych zjawisk elektrycznych (lub magnetycznych) jak np. t. zw. przyciąganie lub odpychanie się ciał naelektryzowanych (lub magnesów) doprowadza do wniosku, że t. zw. „działanie na odległość" (actio in distans) jest fikcją, wynikłą ze zbyt pobieżnego i niedokładnego przyglądnięcia się istocie zjawiska, bo żadne ciało, choćby naelektryzowane, nie może działać tam, gdzie go niema, a więc na drugie ciało naelektryzowane lub nie. Siedliska siły elektrycznej nie należy szukać w ciałach naelektryzowanych, lecz w eterze kosmicznym, w którym znajdują się te ciała, ośrodku, nie podpadającym pod nasze

[1]) P. *Przegląd Powszechny* Nr. 602 z r. 1934, str. 249.

zmysły, nieważkim, niematerjalnym, o którym znowu nic więcej powiedzieć nie umiemy, jak to, że ma własność przenoszenia „działań" elektrycznych z jednego ciała na drugie z szybkością 300.000 km/sek.

I jakkolwiek rozważania, prowadzące nas do takiego, a nie innego wyniku zdają się być naogół przekonywujące, to jednak nie trzeba sądzić, aby tem samem zostały już wszystkie niejasności wytłumaczone. Wspomnę tu o dwu trudnościach, jakie się nasuwają tak w teorji falowej światła, jakoteż w przyjęciu pojęcia eteru.

Przedewszystkiem logicznie i konsekwentnie sądząc, powinniśmy przyjąć istnienie d w u e t e r ó w: eteru świetlnego i eteru elektrycznego. Wszak zdaje się, że siedmiobarwna tęcza jest czemś całkiem innem, jak np. prześwietlenie ręki promieniami Röntgena, że więc zjawiska optyczne są zasadniczo różne od zjawisk elektrycznych, a zasadniczo różne rozważania musiały doprowadzić do dwu odrębnych pojęć: eteru świetlnego i elektrycznego, nie należy się bowiem bałamucić podobnie brzmiącą nazwą. Zdawałoby się, że trudność tę możnaby ominąć przypuszczeniem, że istnieje tylko jeden eter, który jednak ma dwie własności, a mianowicie przewodzi fale świetlne swoją drogą, a działania elektryczne swoją drogą. Rozumowanie takie byłoby nielogiczne, jak nielogicznem byłoby mniemanie kogoś, kto widząc zdaleka wjeżdżający pociąg pod zakrytą halę wielkiego dworca kolejowego, a następnie widząc z drugiej strony wyjeżdżający z hali pociąg, twierdził, że to był jeden i ten sam pociąg; wszak mogły to być dwa pociągi, jeden przyjechał, a drugi odjechał. Przypuszczenie jedności eteru byłoby tylko wówczas dopuszczalne, gdybyśmy potrafili znaleźć jakiś związek, jakąś bodaj analogję między zjawiskami optycznemi a elektrycznemi, a to — przynajmniej z początku — zdawało się całkiem nieprawdopodobnem. Gdzież bowiem np. można dopatrywać się objawów elektrycznych w palącej się świecy? Czy fale świetlne mogą e l e k t r y c z n i e oddziaływać na drugie ciało? A wszakże takby być musiało, gdyby w zjawiskach świetlnych tkwiły, choćby ukryte zjawiska elektryczne. Albo np. laska ebonitowa potarta futrem „elektryzuje się". Czy ma to jaki związek ze światłem? Dlaczego wówczas nie

świeci? A wszakże takby być musiało, gdyby z drugiej strony w zjawiskach elektrycznych tkwiły — choćby ukryte zjawiska świetlne.

Druga trudność tkwi w interpretacji natury fal świetlnych. Uczeń gimnazjalny zapytany jak powstaje głos i na czem polegają fale głosowe, odpowie z łatwością, że drgająca, materjalna struna może być źródłem głosu, bo może oddziaływać na otaczające ją powietrze, wywołując w niem perjodyczne zagęszczenia i rozrzedzenia pewnego natężenia i obszerności, rozchodzące się na wszystkie strony z szybkością 340 m/sek. Lecz proszę spróbować odpowiedzieć na identyczne pytanie postawione odnośnie do światła. Źródłem światła mają być drgające atomy. Lecz jak się to dzieje, że materjalne atomy oddziaływują na niematerjalny eter? A jeżelibyśmy nawet i to w jakiś sposób wytłumaczyli, to pozostanie drugie pytanie: Czem są owe hipotetyczne fale eterowe, może także jego zagęszczeniem i rozrzedzeniem na podobieństwo fal głosowych? Przypuszczenie takie, początkowo przez zwolenników falowej teorji światła stawiane, niedługo dało się utrzymać, gdyż teoretyczne rozważania doprowadziły do absurdalnego wniosku, że skoro szybkość światła wyraża się olbrzymią liczbą 300.000 km/sek, eter kosmiczny w wypadku przenoszenia zagęszczeń i rozrzedzeń musiałby być bardzo trudno ściśliwy i niezmiernie sztywny, sztywniejszy, niż stal, a wówczas jakżeż to się dzieje, że w owym eterze poruszają się przecież wszystkie słońca, gwiazdy i planety, nie napotykając po drodze żadnego oporu?

Wymienione tu dwie trudności jednak nie są bynajmniej tak beznadziejne, jakby się to napozór zdawało. Czy między światłem a elektrycznością istnieje jakiś związek? Odpowiedź brzmi: Tak jest. Nie tylko związek, ale identyczność. Uzasadnienie jest następujące: [1])

---

[1]) Uzasadnienie to nie jest istotne, bo posługuje się tylko elementarnemi wiadomościami z zakresu budowy materji, o których była mowa w dotychczasowych artykułach. Dokładniejsze wniknięcie w istotę promieniowania nie zmieniłoby wyniku powyższego rozumowania, wymagałoby jednak daleko szerszych wiadomości z dzisiejszych podstaw fizyki teoretycznej. Czytelnik je znajdzie np. w dziele: *Promieniowanie i materja* Szczeniowskiego i Ziemeckiego.

Jak długo będziemy się zapatrywali na materjalny atom, jako na coś niepodzielnego, tak długo nie odpowiemy na pytanie, jak może materjalny atom oddziaływać na niematerjalny eter. Ale wszak wiemy, że masa atomu nie wypełnia bynajmniej całej objętości atomu, że jest skoncentrowana w postaci jądra w środku atomu, naokoło którego drgają z zawrotną szybkością pyłki elektryczności, ujemne elektrony, nie posiadające masy w zwyczajnem tego słowa znaczeniu. I obojętne, czy będziemy śledzili ruch drgającego elektronu wewnątrz atomu, czy też ruch elektronów wskutek molekularnego drgania całych atomów, jedno jest pewnem: Światło świecy nie pochodzi od drgających atomów palącego się tam węgla, jako takich, lecz od drgających wewnątrz lub poza atomami węgla elektronów. Zjawisko dla naszego oka optyczne, jest w istocie rzeczy elektrycznem. I dzisiejszemu fizykowi jest doskonale wiadomem, że barwa wysyłanego światła jest ściśle związana z liczbą i położeniem elektronów wewnątrz atomu, doświadczony fizyk potrafi dziś magnesem lub środkami elektrycznemi zmieniać barwę światła. I oto jest jedna strona problemu.

Z drugiej strony rozwińmy konsekwentnie i logicznie zjawisko indukcji elektrostatystycznej [1]) i wyobraźmy sobie rozpięte nad ziemią dwa metalowe druty, w pewnej od siebie odległości, chociażby nawet bardzo wielkiej. Naelektryzujmy pierwszy ujemnie t. j. doprowadźmy do niego nadmiar wolnych elektronów (np. łącząc go z ujemnym biegunem silnej baterji). Wmyśl poglądów Faradaya [1]) elektrony te znalazłszy się na drucie, spowodują w otaczającym je eterze jakąś nam bliżej nieznaną zmianę, która zacznie się rozprzestrzeniać na wszystkie strony z szybkością 300.000 km/sek, dojdzie wreszcie po pewnym — choćby bardzo krótkim — czasie do drugiego drutu i spowoduje tam szarpnięcie wolnych elektronów na dobrym przewodniku, jakim jest ów drut. Naelektryzujmy w następnym momencie pierwszy drut silnie dodatnio t. j. odprowadźmy zeń możliwie jak najwięcej elektronów (np. przez połączenie go z biegunem dodatnim silnej

[1]) P. artykuł: „Jak powstało pojęcie eteru we fizyce?“ *Przegląd Powszechny*. Nr. 602 z r. 1934, str. 249.

baterji), wówczas z drutu tego wypłynie w otaczający eter nieznana nam bliżej zmiana, o której musimy powiedzieć, że będzie wręcz przeciwnej tendencji, jak pierwsza, ona rozejdzie się również na wszystkie strony, dojdzie do drugiego drutu i szarpnie w nim eletronami, lecz w przeciwnym kierunku. I gdybyśmy tak ustawicznie ładowali pierwszy drut naprzemian dodatnio i ujemnie — t. j. innemi słowy: wprawiali elektrony tego drutu w ruch drgający, to one wyrzucać będą w otaczający je eter jakieś perjodyczne zmiany, rozchodzące się na wszystkie strony z określoną szybkością 300.000 km/sek i mające tę zasadniczą własność, że mogą wprawić napotkane elektrony w drugim drucie w podobny ruch drgający, jakim poruszały się elektrony pierwsze. Czy nam to czego nie przypomina?

Na spokojnej, zwierciadlanej tafli jeziora stoją nieruchomo dwie łódki w pewnem od siebie oddaleniu. Jeżeli ktoś siedzący w pierwszej łódce zacznie ją powoli kołysać — innemi słowy wprawi ją w ruch drgający, to wówczas boki łódki zaczną w znany nam sposób oddziaływać na powierzchnię wody, która pokryje się wnet szeregiem kolistych fal, będących odkształceniem powierzchni wody, fale te rozchodzić się będą we wszystkich kierunkach z określoną szybkością, dojdą wreszcie po pewnym czasie do drugiej łódki i wprawią ją w — może słabszy, — ale zupełnie podobny ruch kołysający. Nazywamy je: falami wodnemi. Inny przykład: Dwie naciągnięte struny, o jednakowym tonie, w pewnej od siebie odległości. Szarpnijmy jedną z nich, to po pewnym czasie i druga drgać i brzmieć zacznie. Drgająca struna jest w stanie oddziaływać na otaczające powietrze, wyrzuca fale — nazywamy je głosowemi — będące odkształceniem powietrza, a mianowicie jego zagęszczeniem i rozrzedzeniem i fale te mogą wprawić drugą strunę w podobny ruch drgający, jakim poruszała się pierwsza.

Czyż nie możemy za przykładem Maxwella, który ująwszy koncepcję Faradaya w ścisłą, matematyczną formę przewidział na papierze istnienie fal elektro-magnetycznych, powyższej terminologji zastosować do zjawisk eletronowych i powiedzieć: Jeżeli na drucie pierwszym (a n t e n n a r a d j o s t a c j i n a d a w c z e j) pobudzimy w jakikolwiek spo-

sób elektrony do ruchu drgającego,[1]) to drgające elektrony będą oddziaływać w nieznany nam sposób na otaczający je eter, wyrzucając weń fale — nazywamy je elektromagnetyczne, — które rozchodząc się na wszystkie strony z szybkością 300.000 km/sek, są zdolne wprawić w podobny ruch drgający napotkane elektrony drugiego drutu (antenny odbiorczej)?

Teoretyczne przewidywania Maxwella wywołały z początku ogrom niedowierzania, my dziś patrząc na rozwój radjofonji nie powątpiewamy o jej realności, a fakt ten utwierdza nas w przekonaniu, że rozumowanie nasze jest słuszne, że zjawiska elektryczne mogą być natury falowej, na podobieństwo fal świetlnych. I to jest odwrotna strona medalu.

Drgające elektrony antenny są więc źródłem fal elektromagnetycznych, drgające elektrony w płomieniu świecy są źródłem fal świetlnych, jeżeli jednak niema być zasadniczej różnicy między niemi, to dlaczego antenna nie świeci? Dlatego, bo światłem nazywamy tylko te fale elektromagnetyczne, na które wrażliwe jest nasze oko. Elektrony w świecy drgają od 400 do 800 biljonów na sekundę i wyrzucane fale świetlne są bardzo krótkie, mierzą się one tysiącznemi ułamkami milimetra i jako takie działają na siatkówkę naszego oka. Elektrony antenny drgają bezporównania wolniej, bo „tylko" kilka miljonów razy na sekundę, wypromieniowane fale są dłuższe, mierzy się je setkami metrów i jako takie nie działają nie tylko na nasz wzrok, ale wogóle na żaden nasz zmysł. W rzeczywistości więc niema zasadniczej różnicy między falami elektromagnetycznemi a świetlnemi, różnica jest tylko ilościowa i w ten sposób optyka jest tylko jednym — zresztą bardzo niewielkim — działem promieniowania wogóle.

Bo ileż to radjostacyj nadawczych mamy obecnie na kuli ziemskiej, a niema niemal miesiąca, aby nowych nie przybywało! Każda pracuje na innej długości fali, od kilkuset do kilku tysięcy metrów. Wszystkie pracują jednocześnie, a ponieważ górne warstwy naszej atmosfery są niejako elek-

[1]) Lecz nie zapomocą łączenia go naprzemian z biegunami baterji bo na to są inne, skuteczniejsze sposoby (lampa elektronowa).

trycznem zwierciadłem, od których się odbijają wszystkie fale na ziemi wytwarzane, więc też wszystkie tłoczą się na niewielkiej stosunkowo odległości od ziemi i ziemi opuścić nie mogą. I w każdem mieszkaniu teraz i zawsze, nawskróś murów i ulic przebiegają ustawicznie najróżnorodniejsze choć niewidoczne fale, wysyłane nieraz przez nawet bardzo odległe nam stacje.

A dalej. Każda elektrownia jest urządzeniem, które tłoczy wolne elektrony w druty miedziane i rozprowadza je po całem mieście. Lecz najczęściej elektrownie nie wytwarzają prądu stałego, lecz t. zw. przemienny, to znaczy, że elektrony nie płyną w drutach w jednym kierunku, jak woda w rurach wodociągowych, lecz są ustawicznie szarpane w jedną i drugą stronę — innemi słowy wykonują również ruch drgający, a wykonując, go stają się źródłem fal elektromagnetycznych, których długości mierzą się kilometrami. Wszystkie więc przewody elektryczne miasta, wszystkie żarówki dostarczają nowych fal elektromagnetycznych.

Przewody telegraficzne również. Tam płyną zazwyczaj elektrony coprawda zawsze w jednym kierunku, lecz w ciągłych skokach, to się zatrzymują, to znów szarpnięte ręką urzędnika, wybijającego na tastrze znaki Morsego, za każdą kropką, czy kreską poruszają się niespokojnemi rzutami naprzód. A ileż to rozmów telefonicznych odbywa się równocześnie, choćby tylko w jednym mieście! Każdej spółgłosce, każdej samogłosce, każdej barwie głosu rzuconego w mikrofon telefonu odpowiada inna fala elektromagnetyczna, wyrzucona — coprawda — bardzo słabo przez przewody telefoniczne. Lecz i te fale znajdują się wszędzie w powietrzu.

Jeżeli kiedy — z jakiegokolwiek powodu — nastąpi rozdział elektronów na jakimś dobrym przewodniku od ziemi izolowanym np. na chmurze, wtenczas jesteśmy świadkami olbrzymich i grozą przejmujących burz i wyładowań elektrycznych. To elektrony przeskakują z chmury do ziemi, a raczej tam i zpowrotem, bo trzeba wiedzieć, że jedna iskra, jedno uderzenie piorunu, to kilkasetkrotne przeskoczenie olbrzymich ilości elektronów tam i zpowrotem. Tak jak wahadło w ruch wprawione uspokaja się dopiero po kilkunastu wahnieniach, tak i tu elektrony wypchnięte

raz z równowagi, odbywają setki wahnień w ułamku sekundy pomiędzy ziemią i chmurą. Jakżeż potężny ciąg fal elektromagnetycznych powstaje wówczas i rozchodzi się na wszystkie strony, jeżeli napięcie w chmurach osiąga miljardy woltów! I one dołączają się do innych.

A ciała promieniotwórcze! Znajdują się one w skorupie ziemskiej na wagę minimalnej ilości, lecz pod względem ilości wypromieniowanej energji nie ustępują innym źródłom, wszak i im przypisują pewną część własnego ciepła wnętrza ziemi. Wyrzucają one ze siebie potężne, potrójne promienie, między któremi są i fale elektromagnetyczne, promienie „gamma" tak przenikliwe, że dopiero warstwa ołowiu 7 cm gruba, lub wody 80 cm chłonie je całkowicie. Dają się one wykryć i wyczuć subtelnemi przyrządami z pośród innych dotychczas poznanych fal.

Ale to wszystko jeszcze nic. Istnieją daleko powszechniejsze źródła fal elektromagnetycznych. Wszak każda materja, a więc i ciało nasze składa się z atomów, będących w ustawicznym ruchu, przeważnie drgającym, tem żywszym, im wyższa temperatura. A przecież — jak już wyżej było wspomniane — wewnątrz tych atomów znajdują się również elektrony, które również w ruchu drgającym atomów udział brać muszą, choćby w normalnej nawet temperaturze. A więc i ciało nasze, i ręka, serce i mózg są ustawicznie w trakcie wysyłania drobniutkich, bo milimetrami, lub jego częściami mierzonych fal elektromagnetycznych i zaiste możnaby wcale poetyczne snuć fantazje na temat spotykania się sympatycznych lub niesympatycznych fal elektromagnetycznych — ludzkich, ich wzajemnego wzmacniania się lub interferowania — wreszcie wynikłego stąd przyciągania lub odpychania. Ale normalnie uchodzą one naszej świadomości, gdyż nie działają na żaden nasz zmysł fizyczny.

Połóżmy żelazko na gorącej kuchni. Wspomagane ciepłem palących się węgli, zaczną atomy żelaza żywiej się poruszać i z chwilą, gdy ilość drgań dosięgnie liczby 100—200 miljonów na sekundę, zaczynamy czuć promieniujące ciepło. Jakto, więc ciepło, to także promieniowanie elektromagnetyczne? Także — takie samo, jak promienie antenny radjostacji nadawczej — także rozchodzące się w eterze i także

drgające elektrony za źródło mające — tylko bezporównania krótsze, bo setnemi częściami milimetra mierzone.

Lecz włóżmy to żelazko wprost do żaru — rozgrzewa się — pęcznieje, a wreszcie w temperaturze 400—500 % C zaczyna się żarzyć na czerwono. Atomy dosięgły już 400 biljonów drgań na sekundę, rozpoczyna się wysyłanie już omówionych fal świetlnych, a to nic innego, jak te same fale eteru o długości tysiącznych i dziesięciotysiącznych milimetra. I należało do wielkich zdobyczy fizyki teoretycznej i doświadczalnej zidentyfikowanie napozór tak odmiennych zjawisk, jak ciepła, światła, elektryczności i magnetyzmu.

A ileż to ciepła i światła na ziemi zawdzięczamy naszemu życiodajnemu słońcu, jakież to olbrzymie zasoby energji elektromagnetycznej przebiegają tę 150 miljonów kilometrów liczącą pustkę od słońca do ziemi pod formą ciepła i światła, przenikającego naszą atmosferę i wnikającego w głąb skorupy ziemi! A ileż to fal elektromagnetycznych otrzymujemy pod postacią tych nocnych światełek, rozsianych w nieprzeliczonej ilości w bezdennej otchłani niebios!

A skoro mowa o wszechświecie, to jeszcze jeden przykład. Naelektryzowane ciało (np. elektroskop) można zostawić w powietrzu, lecz ono po pewnym czasie rozbraja się, świadcząc, że powietrze nie jest bezwzględnym izolatorem. Powodem tego jest działanie ciał promieniotwórczych, zawartych w skorupie ziemskiej, a chcąc elektroskop uchronić od tego działania, należy go otoczyć blachą ołowianą kilku centymetrów grubości. Podobne próby nie pomogły jednak zupełnie, co wskazywało na to, że rozbrojenie elektroskopu jest wynikiem jeszcze innych działań, niezwiązanych z ziemią. Chcąc się o tem upewnić robiono próby na wielkich wysokościach, wypuszczając próbne baloniki w górne warstwy atmosfery i oto pokazało się, że rozbrajanie elektroskopu na wysokości ponad 15 km było w i ę k s z e, niż na dole, co wskazywało na to, że źródła tych tajemniczych promieni, zamieniających powietrze na dobry przewodnik należy szukać nie na ziemi, lecz w „niebie". I ażeby się dalej upewnić zanurzano elektroskop do wody wysoko położonych jezior amerykańskich. Okazało się, że w miarę zanurzania rozbrajanie malało, a na głębokości około 20 metrów ustało całkowicie.

Wszystkie te doświadczenia [1]) wskazują na istnienie jakichś bliżej nieznanych, nadzwyczaj przenikliwych promieni „kosmicznych", które dopiero przez warstwę ołowiu 2 metrów mogą być całkowite pochłonięte. Pochodzenie ich jest jeszcze dziś całkowitą tajemnicą, być może są one pierwszym głosem rodzących się gdzieś w wszechświecie nowych światów, formowania się materji z protonów i elektronów, powstawanie pierwiastków, z których po miljonach lat wytworzy się „materja" znana nam z naszego codziennego życia. Narazie tylko wiadomo nam, że są najbardziej przenikliwe z pośród wszystkich znanych nam promieni, że działają podobno na każdą tkankę organiczną, a ponieważ niepodobna nam schodzić na 20 metrów w głąb wody lub nosić dwumetrowej grubości ołowianych ubrań, więc nie pozostaje nam nic innego, jak poddać się działaniu promieni kosmicznych. I możnaby i tu snuć najrozmaitsze fantazje na temat wpływu gwiazd na losy ludzkie.

Ale dość już przykładów. Z powyższego aż nazbyt jest jasnem, jak najróżnorodniejsze promieniowania elektromagnetyczne przechodzą tuż obok nas i napełniają to napozór przeźroczyste powietrze. Wypada znów za Flammarionem powtórzyć: „To, co widzimy, to pozór, rzeczywistość jest inna" i dodać, że gdyby oczy nasze posiadały potęgę widzenia rzeczywistości, widziałyby wiry atomiczne, widziałyby nieskończony ciąg fal eterowych, przewalających się nawskróś murów, nawskróś ciał naszych, przenikających najdrobniejsze tkanki naszego jestestwa, którym my posłuszni jesteśmy, jak barka na falach wzburzonego morza. „Oto tęcza rozpościera swe koło promieniste", oto zachodzące słońce żegna nas wspaniałą grą barw... Niema barw! Niema światła! Są tylko falowania eteru, same przez się niewidoczne. Gdyby nie oko i nie mózg, nie byłoby światła ni barw, w rzeczywistości jest tylko ruch".

I wyobraźmy sobie teraz w tym chaosie fal ustawioną antennę aparatu odbiorczego, którą dziś technika stara się uczynić jak najczulszą na najsłabsze bodaj fale. Czy nie należy się dziwić, że z pośród tego chaosu człowiek umie wy-

[1]) Współczesnie organizowane loty w stratosferę (Picard) mają właśnie na celu — między innemi — badanie promieni kosmicznych.

brać śrubką kondensatora tę falę, której w danej chwili zapragnie? I cóż dziwnego, że tu i ówdzie — a czasem nawet i ciągle — odzywa się przeraźliwy gwizd lub dokuczliwy szmer — trzeba pamiętać, że — to gwiazdy śpiewają, a tylko my jesteśmy jeszcze na takim poziomie, że się na harmonji gwiazd poznać nie umiemy.

Lecz z tych przykładów wypływa jeszcze wniosek inny. Jakkolwiek zjawiska optyczne i elektryczne były kolebką pojęcia eteru, to jednak te zjawiska nie doprowadziły do rozbieżności. Przeciwnie — elektron i eter, te dwa pojęcia, związane ze sobą jakimś niezrozumiałym dla nas związkiem, zdawałoby się tak nieuchwytne, a może tylko w bujnej wyobraźni fizyków istniejące — pozwoliły wczorajszemu fizykowi wytworzyć sobie przedziwny, jednolity obraz harmonji, jaka panuje we wszystkich gamach n a f a l a c h e t e r u.

Czy więc pojęcie eteru jest rzeczywistem, prawdziwem, konkretnem?

I znowu dzisiejszy fizyk, który niejednokrotnie był świadkiem pogromu najwięcej nieraz „oczywistych" i tradycją uświęconych hipotez i który wie o tem, że bezwzględne sprawdzenie hipotezy jest filozoficzną mrzonką — musi odpowiedzieć: Nie wiem. Pojęcie eteru było dla wczorajszego fizyka oczywistem, bo przy jego pomocy mógł on sobie wytworzyć harmonijny i głęboki treścią obraz otaczającego go świata i to było dla niego wystarczającem. Dzisiejszemu fizykowi, który się dowiaduje o doświadczalnym fakcie interferencji elektronów lub atomów (a więc nie fal!), o kwantowej teorji światła, będącej jakby powtórzeniem dawnej i zapomnianej teorji emisyjnej światła, pojęcie eteru jest co najmniej zbyteczne.

I pod tym względem charakterystyczne są piękne słowa Newtona:

„Zdaje mi się, że jestem dzieckiem nad brzegiem oceanu i że bawię się pięknemi muszelkami, które uda mi się ręką tu i ówdzie wyłowić, lub które mi przypadkiem morze wyrzuci. Lecz ogromny ocean pozostaje ciągle dla mnie niezbadany i niezmierzony".

Feliks Rapf.

Przegląd piśmiennictwa.

Hans Heckel: Geschichte der deutschen Literatur in Schlesien. I Band. Von den Anfängen bis zum Ausgange des Barock. Breslau 1929.

Praca nad historją dzielnicy, której cząstka tylko wróciła do zmartwychwstałego państwa polskiego, rozwija się — po obu stronach granicy — w sposób gorączkowy. Oczywiście praca niemiecka, jako dobrze zorganizowana i świadoma celu a opierająca się o specjalną historyczną komisję dla Śląska, przewyższa polską. Nauka polska ma na sumieniu wiele zaniedbań do tego stopnia, że ani dzieje polityczne, ani kościelne, ani literackie nie znalazły u nas wcale do niedawna badaczy. Wypada nieustannie zwracać się do źródeł i opracowań niemieckich, zaczynając od sześciotomowej śląskiej bibljografji Loevego a kończąc na przebogatych w informacje dziełach i zbiorach źródeł sięgających w odległą przeszłość.

Nie ma Śląsk i swego historyka literatury, nie mówiąc o kulturze, która w monumentalnem dziele Brücknera znalazła tylko skąpe uwzględnienie. Natomiast jawią się próby zajęcia się historją Śląska, jak świadczy zbiorowa publikacja polskich historyków dokonana pod okiem Kutrzeby, która uwzględniła dotąd tylko sprawy polityczne do r. 1400. Jawią się też próby opracowania literatury różnych epok niestety piórem dyletantów a nawet całości, z której zdać sprawę trzeba i wypada. Te próby świadczą o rosnącej u nas świadomości konieczności podjęcia tematu, który mogą nam wytrącić z rąk obcy. Żałować wypada, że brak dotąd poważnych na tem polu usiłowań szczególnie w kołach pracowników na uniwersytetach zachodnich ziem państwa.

Tem skwapliwiej należy zwracać uwagę na fakt, że sprawą tą zajmują się badacze niemieccy rozumiejący dobrze, że Niemcy Śląsk znać muszą. Chodzi im o to, by uświadomić ziomkom, że niemiecka literatura śląska jest krwią z krwi i kością z kości niemieckiego organizmu. Niestety uświadamiają oni sobie sami, że ta literatura jest często polską a częściej jeszcze owocem współpracy ducha polskiego i niemieckiego. Wyniki są więc interesujące, choć opierają się niekiedy na mylnych założeniach.

A przedewszystkiem nie można uznać za niemieckimi badaczami, jakoby niemiecka kultura dała początek śląskiej. Jest śląska kultura częścią polskiej, o ile idzie o pierwsze wieki. Dopiero epoka podziałów na dzielnice utorowała drogę niemieckim wpływom. Zatem rocznik, kronika, legenda, wiersze polskie są wspólną własnością wszystkich dzielnic a więc i śląskiej. Literatura opiera się przecież o kościół, co ma metropolję w Gnieźnie, któremu poddany jest Wrocław. Kultura opiera się zaś o szkoły, które są wszędzie te same i stanowią podstawę supremacji duchowej organizmu dającego jedność podzielonemu na dzielnice państwa. Póki jedność kościelna trwa, niema mowy o zatarciu duchowego łącznika z macierzą. Niestety zatargi piastowskich książątek między sobą torują drogę niemieckim wpływom do coraz więcej rozdrobnionego politycznie kraju. Niemiecki rolnik, mieszczanin, zakonnik osiedla się ciągle idąc wgórę Odry. I szczególnie cystersi, a potem franciszkanie odegrali tu rolę rozstrzygającą.

Niemniej polskie kronikarstwo staje się podnietą dla śląskiego, jak świadczy kronika henrykowska a też klasztor w Brzegu, gdzie również się je uprawia. Hagiografji oddaje się Engelbert, by, za podnietą dynastji piastowskiej, pisać żywot św. Jadwigi. Wiadomo zaś, że postać tej księżny pociągała jeszcze w kilka wieków później kronikarzy, że opisane jej cuda są źródłem rysów kulturalno-obyczajowych, że gorliwość zakonu dominikańskiego umiała zespolić w wizerunku świętej osobistą pobożność z tworzeniem nowych ośrodków kulturalnych. Jej miły stosunek do dworzan, wysoki poziom umysłowy i artystyczny, wreszcie otaczanie się polskimi urzędnikami nie świadczą, by była ona germanizatorką. Jeżeli mimo pochodzenia niemieckiego, zaskarbiła sobie zaufanie ludu, znak to, że jest świętą polską.

Tych momentów nie podkreśla nauka niemiecka. Natomiast słusznie zaznacza, że pod opieką piastowskiej dynastji rozwija się poezja, że w jeszcze polskim kościele grywa się dialogi liturgiczne. Dwór polski przypomina czeski Przemyślidów i popiera tematy polskie w twórczości, gdzie element świecki wypiera religijny. Filozofję uprawia Witelo, co kultury kraju jest chyba mocnem świadectwem. Śląsk wybija się niewątpliwie na czoło polskiej umysłowości, im bardziej rola Wielkopolski maleje a punkt ciężkości wszystkiego przenosi się nad górną Odrę i Wisłę.

W miarę wzmagania się wpływów czeskich, Praga poczyna być punktem pociągającym. Wczesny renesans karoliński, co czerpie wzory z francuskiej sztuki, rzuca i na Wrocław swe blaski. Kanclerz Karola IV Jan z Nowego Targu pod Wrocławiem utrzymuje stosunki z Petrarką. Śląscy scholarze ciągną na uniwersytet nad Wełtawą. Nie zatracają przecież swego związku z polską jednością, skoro jako legaci o polskich nazwiskach zjawiają się

na soborze konstancjeńskim. Zatem Śląsk idzie w pomoc poselstwu z Krakowa, co broni, piórem Włodkowica, polskich interesów.

Za dni husytyzmu wpływy niemieckie ustępują jeszcze więcej. Szlachta śląska lawiruje między dwoma słowiańskiemi państwami. Wreszcie Kraków zajmuje miejsce Pragi, by ściągać tłumy śląskich scholarów. W krakowskiem studjum generalnem wykładają licznie śląscy magistrowie a humanizm nadwornego poety Celtisa ma echa i nad Odrą. Śląski poeta Corvinus uważa swą dzielnicę za związaną z macierzą, by sławić czary stolicy nad Wisłą i nauczać w Krakowie i we Wrocławiu arkanów sztuki poetyckiej. Poeta Velius pisze zaś panegiryk na cześć Zygmunta I.

Protestantyzm śląski wytwarza za dni reformacji mistyków, jak Schwenckfeld, który i w Królewcu ma zwolenników. Na tym gruncie rozrasta się talent pisarski mistyka Böhmego, później Anioła Ślązaka, którego nadwrażliwość wyjaśnia badacz niemiecki jego polskiem pochodzeniem. Niestety dynastja piastowska wymiera, wpływy habsburskie rosną, polskość cofa się coraz więcej wgórę Śląska. A jednak Opitz, ojciec poezji niemieckiej, ma w sobie krew polską Opeciów. Bawi on w Toruniu i Gdańsku, cieszy się poparciem dynastji Wazów, przekłada, jak nasz Potocki, Argenidę Barclaya.

Epoka śląskiego baroku wiąże się z oddziaływaniem Wiednia. Niemniej łączność z macierzą trwa, skoro poeta Gryphius przekłada Sarbiewskiego i sławi w poemacie o Piaście ród książąt na Lignicy. W poezji krzewi się ozdobność i gra słów, jak u nas za dni Morsztyna. Dużą kulturalną rolę gra teatr jezuicki. Nie hołduje on wyłącznie łacinie, wprowadza nawet role kobiece. Niektóre sztuki zakonne przypominają nawet opery. Ludowe intermedja dialektowe urozmaicały całość. Zatem teatr jezuicki zaćmiewał protestancki. Co zastanawia, to, że Gryphius, jako dramaturg, wtargnął nietylko w dziedzinę pradziejów Śląska, ale próbował też pisać dramaty o św. Jadwidze i Henryku Pobożnym.

Związek z Polską staje się jednak luźny. Poeci, jak Hellmann, piszą przecież nagrobki książąt piastowskich a romanse awanturnicze śląskie wprowadzają typy polskie. Pradzieje Śląska nie przestają nęcić pisarzy, czego dowodzi poemat Hunolda Silene ante Piastum. Silniej przedstawia się więź religijna u protestantów śląskich, co chętnie czerpią nauki z dzieł polskich w. XVI i utrzymują jak Gdacjusz, stosunki z ośrodkami wyznaniowemi Wilna i Poznania, wreszcie Leszna. Rewelacyjną treść posiada zatem dzieło Heckela. Muszą o niem pamiętać ci polscy badacze, którzy wywody niemieckie pragną w wielu miejscach poprawić a w wielu uzupełnić. Wtedy obraz prawdy będzie wyglądał nieco inaczej od danego przez niemiecką naukę.

Tadeusz Grabowski.

Polska Akademja Umiejętności. Jan St. Bystroń, Przysłowia polskie. — Kraków, skł. gł. u Gebethnera i Wolffa.

Podobno „przysłowia są mądrością narodów". Niewiadomo czy należy temu wierzyć, bo zapewnia nas o tem jedynie — przysłowie, na które możnaby zareplikować też przysłowiem: „Świadczy się cygan własnemi dziećmi" albo innem, łacińskiem: „Laus propria foetet".

W każdym razie, gdybyśmy uwierzyli w tę „przysłowiową mądrość", tedy za szczególnie mądrych (i to nietylko ...„po szkodzie", znów wedle przysłowia!) uznać musielibyśmy Polaków. W mało którym bowiem narodzie cieszyły się przysłowia równą, jak u nas wziętością. Wziętość ta dochodziła nieraz do manjactwa, które unieśmiertelnił Fredro w „Panu Jowialskim"; pamiętamy, jak szambelan, pragnąc ojcu swemu dorównać rzekomą mądrością, stara się wymyśleć przysłowie: „Łatwo grubemu kijkowi... gruby cienkiego kijka... łatwo kijek grubowego..." Bo posiadanie własnego przysłowia było, narówni z herbami i tytułami, przedmiotem ambicji:

„Mopanku" powiadali wszyscy Horeszkowie,
I nieboszczyk pan Stolnik miał takie przysłowie...

Od przysłowia przecie brali nieraz swe przydomki możni i wzięci w całym kraju ludzie, choćby wspomnieć dwóch magnatów, Radziwiłłów: Panie kochanku i Rybeńku. Nieodłączne były przysłowia od popularnego w swoim czasie stylu sarmackiego, „kontuszowego", a i dziś, choć moda na ów styl przeminęła, przecie zręczne zastosowanie przysłowia dodaje wabiącego smaku feljetonowi dziennikarskiemu czy aktualnej piosence czy widniejącemu na afiszu tytułowi sztuki teatralnej. Bo przysłowia same z popularności wyrosły, przeto na popularność zawsze przez czas dłuższy czy krótszy liczyć mogą.

Dlatego i nauka o przysłowiach — paremjologja — może liczyć zawsze na rozwój i powodzenie, oczywiście proporcjonalne i do rozpowszechnienia przysłowi i do ogólnego rozwoju nauki w danym kraju. U nas ta gałąź wiedzy — można powiedzieć — wcześnie zaczęła się rozwijać. Myli się p. Janina Porazińska, autorka świeżo wydanego, nader miłego zbiorku „przysłów i pogwarek polskich dla młodzieży i dorosłych" („Kto śpiewa, troski rozwiewa", Lwów 1934, Księg. K. S. Jakubowskiego), twierdząc, iż „pierwszym człowiekiem, który pokusił się zebrać w jednej księdze przysłowia polskie, był Samuel Adalberg". Zbierał je już przecie, prawda że dorywczo, Jan z Koszyczek w swym „Marchołcie", a XVII wiek przyniósł trzy zbiory, mające wielką wziętość i sławę przez długie lata (Knapski, Rysiński i A. Maks. Fredro); nie brak było takich zbiorów i później, prawda, że przeważnie zacieśnionych bądź do jednego tematu (Darowskiego „Przysłowia odnoszące się do nazwisk szlacheckich i miejscowości") bądź do pewnego tylko terytorjum (Lompa, Cinciała, Cenowa).

Miał więc poddostatkiem materjału pod ręką prof. Bystroń, gdy przystąpił do pisania swej książki. Cały rozdział drugi, omawiający dzieje polskiej paremjografji, jest poświęcony kwalifikacji tego materjału; słusznie zwraca w nim autor uwagę na wielkie zasługi swego poprzednika prof. Brücknera, który w swej pracy „Przysłowia, kartki z dziejów literatury i kultury polskiej", niestety szkicowej i ukrytej w jednym z dawnych roczników „Ateneum", nietylko materjał ów walnie pomnożył, ale co ważniejsza, po raz pierwszy dał „próbę związania przysłowi z żywem ich podłożem, zamiast słownikowego ich układu", więc to, na co nie zdobyli się np. niemieccy autorowie grubych tomów paremjologicznych.

Śladem Brücknera (nie po raz pierwszy) idzie prof. Bystroń, lwią część swej pracy, bo aż dwa rozdziały najdłuższe i centralne, poświęcając związkowi przysłowi z kulturą narodu. „Przysłowia są skostniałemi, utrwalonemi dzięki swej lapidarności fragmentami mowy potocznej... właśnie dlatego badanie przysłowi nastręcza tyle ciekawych zagadnień i tyle ma uroku: znajdujemy się tu w bezpośredniem zetknięciu z minioną codziennością życia. „Dowiadujemy się z tych fragmentów, o czem najczęściej mówiono w tej lub innej epoce, co ludzi najwięcej interesowało, radowało czy smuciło, czem i jak się trudnili, a wreszcie w co wierzyli. A więc z przysłowi okazuje się, że Polacy kochali się w koniach, łowiectwie i rybołówstwie; dalej także to „rzecz prosta, że społeczeństwo szlacheckie, wojenne i zawadjackie, łatwo tworzyło przysłowia w związku z bronią, pojedynkiem, burdą", dawna barwność i rozmaitość stroju też pozostawiła ślad swój i tradycję nawet w czasach dzisiejszego uniformizmu: „poznajemy pana po cholewach", mimo, że bogacze wolą chodzić w lakierkach; podobnie bywa z dawno „zdewaluowanemi" pieniędzmi: dziś jeszcze „dobry żart tynfa wart", choć pewno każdyby wolał frank szwajcarski lub dolar. Co więcej, choć dziś rzemiosło upada wobec konkurencji fabrycznej, i choć mało kto za fachowca może się uważać w tej dziedzinie, przecie nieraz „nie patrząc kopyta", posługujemy się przysłowiami z zakresu bednarstwa („klin klinem się wybija") czy tkactwa („tracić wątek"). Zachowały się w przysłowiach i wspomnienia gier dawnych, dziś wyszłych z użycia; niezrozumiały dziś zwrot „drzeć z kim koty" (pierwotnie „kuty") wywodzi się z terminów gry w kości! A oto inny zwrot popularny, tak częste niestety mające dziś zastosowanie: „wieszać psy na kimś" wywodzi się z dawnych obyczajów prawnych; podobnie tradycję dawnych kar sądowych podtrzymuje humorystyczny raczej okrzyk: „Pal sześć!" Prof. Bystroń jest nietylko autorem arcycennego dzieła o kulturze staropolskiej, ale przedewszystkiem zasłużonym od wielu lat badaczem etnografji i folkloru, nic też dziwnego, że tę tak ulubioną sobie dziedzinę uwzględnił wydatnie. Z każdym obrzędem ludowym łączy się niejedno przysłowie, także i z każdem ważniejszem świętem w ciągu roku; w związku z tem

nie zawadziłoby może wspomnieć o Piotrze Stachiewiczu, który w słynnym swym cyklu zużytkował właśnie motywy tych przysłowi „świątecznych". Ponieważ o święta te opiera się u ludu rachuba kalendarza nic też dziwnego, że wiążą się z niemi różne przysłowiowe „przepowiednie", takie jak: „Od świętej Hanki zimne wieczory i ranki" czy „Na Nowy Rok dnia na kurzy skok", dotyczących często meteorologji czy innych zjawisk przyrody. O różne dziedziny przyrody zawadzają ponadto inne przysłowia, z których odtworzyć sobie można czyto sposób życia czy wygląd zwierząt już wymarłych wzgl. wymierających (chłop jak tur, płacze jak bóbr) czy przesądy związane z żywiołami ognia, powietrza i wody.

Jak dawną „wiedzę przyrodniczą", tak i dawną geografję z przysłowi odczytać można. Mówi o niej Bystroń w rozdziale „Kraje i ludzie". Przysłowiowe były u nas uwiecznione jeszcze przez Sienkiewicza zwłaszcza prześmiewki z Litwinów i Mazurów (jak w Niemczech ze Szwabów, w Anglji ze Szkotów); dopiero ostatniemi czasy (jak słusznie stwierdził Wasylewski w książce „Na końcu języka") Mazowszanie oddali z nawiązką „Galileuszom". Takie przycinki i przysłowiowe określenia dotyczyły i przeróżnych narodowości, z któremi się Polacy spotykali; były więc nietylko polskie mosty, ale i niemieckie posty i włoskie nabożeństwa. Polak i Węgier to byli „dwaj bratanki i do szabli i do szklanki". a Niemiec „Szwab drab, kuternoga, co nie wierzy w Pana Boga". Wsławiły się przysłowiami i miasta; najwięcej ich dostał Kraków, który „nie odrazu zbudowano" i który przez długie wieki najwięcej ściągał przybyszów z całej Polski; pozatem sławne były fujary z Mościsk; Berdyczów słynął z tego, że tamtędy przesyłano sobie „Listy, które go nie doszły". O Paryżu wiedziano, że tam nie zrobią z owsa ryżu", o Rzymie, że „wiele dróg do niego prowadzi".

Przysłowia nietylko z potocznych wyrażeń, czy z zapomnianych fragmentów rozmów się brały. Nieraz wywodzą się z piosenek popularnych, czasem i z literatury. Cytata (czy cytat) często powtarzana też staje się przysłowiem. Pisze o takich przysłowiach Bystroń już zwięźlej, bo to materjał mniej osobliwy. Zgarnąwszy w ten sposób i posegregowawszy sporą wiązkę przysłowi najróżnorodniejszego typu (sentencje, powiedzonka, morały, określenia barwne, etc.) kończy rozważaniem na temat owej wspomnianej przez nas na początku „Mądrości". Bilans wypada ujemnie: „mizerna to mądrość, bardzo codzienna filozofja". Czyż przysłowia są bez wartości? Bynajmniej! „Bezwartościowe w użyciu praktycznem, stają się bezcennym materjałem w ręku tych, którzy umieją związać je z minionemi czasami i śledzić ich rolę w codziennem, szarem życiu".

Prof. Bystroń umiał to zrobić i dlatego książka jego jest ogromnie cenną, a przytem niezmiernie ciekawą. Przyczynia się

do tego i styl żywy, obrazowy, być może że właśnie przysłowiom barwność i wartkość swą zawdzięczający. Książka ta, przez najpoważniejszą w Polsce firmę naukową wydana, nie powinna znajdować się wyłącznie w rękach naukowców i specjalistów. Ma wszelkie dane po temu, by stać się lekturą popularną warstw szerokich, a także i młodzieży szkolnej.

Józef Birkenmajer.

Ks. Nikodem Ludomir Cieszyński: Roczniki Katolickie na Rok Pański 1934. Tom XII. Str. XII+508. Nakładen Autora. Poznań 1934. Skład główny u Autora w Poznaniu przy Kościółku P. Jezusa.

Z mnóstwa drobnych, ułamkowych notatek i wiadomości, wyławianych w prasie bieżącej, niełatwo przychodzi nawet zawodowemu publicyście, śledzącemu z obowiązku bieg wydarzeń, odtworzyć rzeczywisty nurt życia katolickiego. Dlatego dobrze jest, że znalazł się ktoś, co rok rocznie zestawia bilans działalności Kościoła po całym świecie. A że czyni to z talentem, ze znajomością rzeczy, z młodzieńczym entuzjazmem dla każdej sprawy Bożej, która gdzieś w mozole i trudzie na świat przychodzi, — że w szeregu podróży zwiedził znaczną część opisywanych przez siebie krajów i dzięki znajomości miejscowych stosunków umie wiele niezrozumiałych dla laika szczegółów rzucić na szersze tło i odpowiednio naświetlić, — że posiadając kilkanaście obcych języków, czyta niesłychanie dużo i z miarodajnych źródeł pomnaża swe wiadomości, — że nadewszystko swą nieomylną intuicją i płomiennem katolickiem sercem umie wnikać we wszystko, co Kościół raduje lub boli, — więc nie dziw, iż dzieło jego drga życiem, porywa i uczy ogarniać myślą szerokie horyzonty, modlić się i czuć z Kościołem prawdziwie po apostolsku, po katolicku.

W Rocznikach jawi się w swej powszechności wszędzie ten sam zewsząd uciskany i zawsze zwycięski Kościół Chrystusowy. Widzimy go, jak zmaga się z opasłym dolarami protestantyzmem w Ameryce Południowej i po rozłogach misyjnych, jak w walce ze zbrodniczą mafją wolnomularską krwawi otwartą raną czerwonego Meksyku, dochodzi swych praw w Jugosławji i Czechosłowacji, a przygotowuje decydującą rozprawę w Hiszpanji i Francji, jak w misjonarskiem utrudzeniu, wśród przeszkód ze strony rozpętanych nacjonalizmów i szerzącego się komunizmu, piędź po piędzi, zdobywa ziemie Czarnego Lądu i indyjskiego kolosu, jak we własnych szeregach, nawet wsród duchowieństwa, tępić musi przesadny nacjonalizm, który w Niemczech, na Litwie, we Francji, w Czechosłowacji i u nas, na Łemkowszczyźnie, całe zespoły mniejszościowe od katolicyzmu odstręcza, jak naprzekór swym prześladowcom, ofiarnością swych wiernych rozbudowuje własne szkolnictwo w Holandji, we Francji, w Stanach Zjednoczonych, jak zapomocą nowoczesnych środków, prasy i radja, całemu światu

głosi katolicki ideał pokoju i współpracy skłóconych warstw społecznych i powaśnionych narodów.

Interesująco i barwnie wypadły ustępy, gdzie Autor na gorąco, z świeżej autopsji maluje tło znanych wypadków w Nitrze i w Wiedniu, nie omieszkując przytem zetrzeć kopji z teutońską historjografją o Sobieskiego, czy też uczynić wypad w zamierzchłe czasy ks. Pribiby i Swatopluka. Osobny rozdział dostał się Konferencjom św. Wincentego à Paulo. Dużo do myślenia dają świeże prądy radykalne w Holandji i rozwinięta na tem podłożu, niezmiernie ciekawa dyskusja na temat klerykalizmu. Dla Polaka szczególnie interesująca będzie wnikliwa analiza przyczyn i dokładne przedstawienie rozmiarów szerzącego się na Łemkowszczyźnie prawosławia, które skłoniło Stolicę św. do ustanowienia osobnej administratury, zwalczanej zajadle przez nacjonalistyczną prasę ukraińską. W „podzwonnem" obszerniejszą wzmiankę poświęcono społecznej działalności ś. p. biskupa Wałęgi, a bardzo serdeczne wspomnienie jednemu z pierwszych pionierów Albertyna, O. Włodzimierzowi Piątkiewiczowi.

Wśród tegorocznych współpracowników Autora spotykamy prof. Torosiewicza, który daje obszerny przegląd polsko-amerykańskiego piśmiennictwa, Redemptorystę, ks. St. Misiaszka, który na podstawie swych wycieczek misyjnych kreśli religijną sylwetkę mało pod tym względem u nas znanej Danji; znany badacz dziejów polskich Bernardynów, ks. dr. Kamil Kantak, spisuje swoje wrażenia z podróży po Litwie; ks. dr. Łuczak roztacza obraz „potępieńczych swarów", jakie wniosło wolnomyślicielstwo w organizacje naszej emigracji we Francji, ks. T. Rzewuski prawdziwie *con amore* przedstawia współczesne odrodzenie bizantynizmu (oczywiście nie tego politycznego, za jakim gardłuje Legjon Młodych, lecz owego mistycznego, który niepodzielnie się zrósł z duszą słowiańskiego Wschodu); wreszcie z okazji pięćdziesięcioletniego jubileuszu Księży Redemptorystów w Polsce opowiada ukryty pod literami X. Y. autor w sposób sympatyczny o dziejach i pracach polskiej prowincji swego Zgromadzenia. Reszty dopełniają dwie z zacięciem polemicznem i swadą napisane rozprawki przeciw napaściom znanego wolnomyśliciela, prof. Ułaszyna, oraz jak zwykle, bogaty zbiór recenzyj najnowszej literatury religijnej.

Szata zewnętrzna dzieła przedstawia się całkiem dodatnio, korekta schludna, w ortografji triumfy święcą nowe przepisy Akademji Umiejętności o scalaniu utartych, skostniałych wyrażeń. Autor stosuje je śmiało i poza nielicznemi wyjątkami jak np. na str. 131 (spocżątku — z czasem) — konsekwentnie.

Z pośród tematów, któreby ze względu na rozwijający się przebieg zdarzeń niemniej od masonerji zasługiwały na osobne opracowanie w roku przyszłym, wymienilibyśmy II Międzynarodówkę, która poniósłszy klęskę w Polsce, w Niemczech i ostatnio w Austrji, kroczy ku ostatecznej rozgrywce w Hiszpanji a prawdopodobnie

w Belgji i we Francji. Wartoby też może parę kartek poświęcić z racji tegorocznego jubileuszu Sodalicjom Marjańskim, możeby niejeden piękny szczegół z działalności Kościoła przeniknął przytem do świadomości ogółu, stanowiąc cenny przyczynek dla Roczników Katolickich.

Sąd nasz o dziele ks. Cieszyńskiego rysuje się jasno. Włóżmy je do ręki każdego inteligentnego katolika, żądajmy go w publicznych wypożyczalniach książek, dołóżmy starań, by się znalazło we wszystkich bibljotekach szkolnych jako lektura uzupełniająca do nauki religji — barwnością swoich opisów zjedna ono sobie dojrzalszą młodzież niegorzej od niejednej powieści, a przytem zwiąże ją z Kościołem i sprostuje to wszystko, co się jej kładzie do głowy o polityce... „watykańskiego państwa".

Ks. Wacław Zajączkowski T. J.

Henryk Romanowski: Filozofja cywilizacji. Prawo Realne Cywilizacji, jej ideały, typy i pochód. 438 stron druku. Wydawnictwo Księży Pallotynów — Warszawa 1934.

Wydana pod powyższym tytułem książka p. H. Romanowskiego, chcąca wyjaśnić właściwą treść pojęcia cywilizacji, ma przedewszystkiem na celu wypełnienie luki, istniejącej z powodu braku dotychczas opracowanej chrześcijańskiej filozofji kultury. Jest ona owocem wieloletnich, wybitnie źródłowych i wysoce naukowych studjów autora, owianych troską o gruntowne, szczerze katolickie wyświetlenie istoty zagadnienia i harmonijne skoordynowanie rozwoju cywilizacji dla dobra kraju. Książka ta przeciwstawia się kategorycznie licznym niekatolickim teorjom „postępowym", pozbawionym objektywizmu i ścisłości. Przedstawia ona czytelnikowi, wtajemniczonemu cokolwiek w dziedzinę filozofji katolickiej, rozwiązanie zagadnień cywilizacji w świetle metafizyki przyrodzonej i nadprzyrodzonej. Tem samem autor ściągnie na siebie lekceważenie ze strony „nauki" wolnomyślnej i liberalnej, nie uznającej nierozerwalnego związku pomiędzy twórczością ludzką a pierwiastkiem Bożym.

Książka powyższa stara się być syntezą ogólną wszystkich zjawisk cywilizacji, a więc poznać nietylko ostatnie przyczyny wielkości i upadku społeczeństw ludzkich, lecz również wszystkie pierwiastki twórcze cywilizacyj we wzajemnych ich stosunkach i ich współzależności. Ujmuje ona wszystkie dziedziny cywilizacji, mimo ich różnorodności, jako części całości organicznej, mającej na celu dobro człowieka w społeczeństwie. Książka składa się z trzech części. Pierwsza, najważniejsza, poświęcona jest realnym prawom cywilizacji, wynikającym z natury ludzkiej i świata zewnętrznego, jak również natury Boga. Prawa te dzielą się na ontologiczne, antropologiczne, kosmologiczne i teologiczne.

Autor zaczyna od określenia cywilizacji jako stanu doskonałości moralnej, intelektualnej i fizycznej „społeczeństwa poli-

tycznego", zgodnej z wymaganiami rozumu i ułatwiającej członkom społeczeństwa, drogą jaknajczynniejszego i harmonicznego rozwoju zdolności ludzkich, osiągnięcie szczęścia doczesnego i wiecznego, oczywiście z podporządkowaniem doczesnego wiecznemu. Wskazuje on, jak piękno, dobroć, jedność, poczucie piękna, i inne nieorganiczne, czysto duchowe poczucia człowieka tłumaczą powstanie cywilizacji; cywilizacja ta jest poczęści statyczna, poczęści dynamiczna; obok rezultatów dotychczas osiągniętych zawiera ona w sobie ogromne możliwości dalszego rozwoju. Autor przeciwstawia się, uzbrojony w druzgocące argumenty naukowe, znanym teorjom ewolucyjnym i innym, wychodzącym z założenia przypadkowości rozwoju ludzkości i negującym tak prawdziwość jego przyczyny pierwszej, jak i konieczność przyczyny ostatecznej.

Bardzo obszernie autor omawia rolę człowieka jako podmiotu cywilizacji, przedewszystkiem rolę psychologji ogólnej i indywidualnej w pochodzie cywilizacji. Poszczególne zdolności człowieka, jego mowa, przeznaczenie, skłonności i potrzeby miały ogromny wpływ na postęp moralny, intelektualny i materjalny. Talent, genjusz, siła woli, dziedziczność i naśladownictwo znajdują w tej pracy wyczerpującą ocenę. Odrębne właściwości psychologiczne płci, mas i warstw społecznych, rodziny, zawodów partyj politycznych, wyznań, ras i narodów omawiane są tutaj pod kątem widzenia ich wpływu na kształtowanie się kultury. Również znaczenie czynników ilościowych i jakościowych, wogóle wszelkich wpływów na naturę człowieka, jako źródło kultury intelektualnej, roztrząsane jest wszechstronnie przez autora. Omawia on też w związku z powyższem zagadnienia potrzeby podziału pracy, wzajemnego stosunku jednostki i społeczeństwa, dobroczynnej nierówności podziału dóbr cywilizacji, fatalnej roli zła i wynikającej stąd konieczności organizowania wolności człowieka w łonie najbardziej nawet cywilizowanego społeczeństwa; roztrząsa on problematy współzawodnictwa, sporów religijnych, społecznych, gospodarczych, politycznych, naukowych, literackich i artystycznych, współzależności pierwiastków twórczych cywilizacji, znaczenia wzajemnego przenikania się różnych cywilizacyj, wpływów narodowych, rasowych i t. d.

Wiele miejsca poświęca autor ogromnemu wpływowi przyrody na cywilizację danego środowiska, podkreślając jednak również ograniczenie własne przez naturę możliwości rozwoju cywilizacyjnego. W dalszym ciągu autor dowodzi że pierwotnem źródłem i ostatecznym celem wszelkiej cywilizacji jest Bóg, który stworzył człowieka na swoje podobieństwo i chce, by zapanował w miarę danych mu zdolności nad bogactwami i siłami tej ziemi; udziela On swojego natchnienia tym, którzy na to zasługują, strąca zaś z wyżyn tych, którzy nadużywają powierzonych sobie narzędzi cywilizacyjnych. Autor przedstawia Chrystusa Pana jako najwyż-

szy ideał cywilizacji duchowej, który wszyscy powinni naśladować. W końcu części pierwszej autor omawia endemonologję katolicką i niekatolicką dóbr cywilizacji. Naturalnym wnioskiem: stwierdzenie faktu podporządkowania używania wszelkich materjalnych, czyli wtórnych dóbr cywilizacji prawidłom moralności, czyli cnoty.

Druga część książki poświęcona jest ideałom i typom cywilizacji państw, jednostek i społeczeństw w ciągu dziejów i w perspektywie przyszłości, zwłaszcza pod względem przeciwieństwa założeń chrześcijańskich i przeciwchrześcijańskich. Trzecia wreszcie część książki zajmuje się zagadnieniami początków i źródeł cywilizacji, jej rozwoju i upadku, oraz jej ostatecznego załamania się, m. i. z punktu widzenia teorji ewolucyjnej i historycznej. Książka kończy się wskazaniem na nieunikniony koniec cywilizacji tego świata, wobec objawionej i naukowej pewności końca świata, oraz na bezporównania wyższą „cywilizację" czekającego nas Królestwa Niebios, w którem nikt żałować nie będzie najwyższych nawet szczeblów cywilizacji doczesnej. Niemniej mamy obowiązek narazie nietylko starać się o dalsze udoskonalanie tej cywilizacji, lecz i o jej ochronę przed grożącemi jej ze strony materjalistów „liberalnych" i wywrotowych niebezpieczeństwami.

Książka p. Romanowskiego zawiera cały szereg niezmiernie aktualnych, na wysokie autorytety kościelne powołujących się wskazówek dla współczesnych działaczy katolickich w dziedzinach politycznej, społecznej i gospodarczej. Owiewa ją przedewszystkiem zdrowy optymizm, m. i. wiara w szczęście doczesne, jako osiągalny i naturalny a wtórny cel cywilizacji. „Suma szczęścia przewyższa przeważnie sumę nieszczęścia". Autor wyśmiewa teorje zwierzęcego pochodzenia człowieka i jego mowy, wykazując na samym początku dziejów człowieka, istnienie wyższej cywilizacji utraconej z winy ludzkiej. Wobec współczesnych prądów ustrojowych autor staje w obronie inicjatywy jednostki przed omnipotencją państwa, dowodząc tendencji kierunku faszystowskiego do podlegania zwalczanym przezeń skądinąd teorjom kolektywistycznym („marksizmowi") i skrajnie etatystycznym. Nie pozostawia on wątpliwości co do wyższości cywilizacji narodów katolickich nad niekatolickiemi, wskazując zwłaszcza na ogromne zasługi Kościoła i Papieży. Autor rozprawia się gruntownie z modnemi dziś doktrynami rasowemi i nacjonalistycznemi, i to nietylko głoszonemi przez Hitlera; potępia on twierdzenie o wrodzonej nierówności ras, upośledzeniu jednych i wyższości drugich, nie będące zresztą tylko wymysłem niemieckim, lecz podtrzymywanem również przez uczonych wielbicieli germanów w innych krajach (np. Gobineau). Odrzuca on tak propagowaną przez Dmowskiego i jego wyznawców teorję o odrębnej „duszy narodu", jak również głoszone przez wodza nacjonalizmu polskiego hasło bezwzględnej własnostarczalności gospodarczej, przedstawiając walkę p. Dmowskiego

z handlem międzynarodowym, będącem według p. Dmowskiego narzędziem żydów, jako podkopanie przez „egoizm szowinistyczny i nienawiść rasową źródła dobrobytu narodów"! Autor bezwzględnie odrzuca zalecenia współczesnej eugeniki w rodzaju zwalczania ciąży i sterylizacji, żądając natomiast mobilizacji społeczeństw do walki z nędzą i chorobami.

P. Romanowski rzuca też całą swoją wiedzę katolicką do walki z „ultrademokracją", z prawem głosowania „ludzi ciemnych", z rządami większości, z „zabobonem" parlamentaryzmu i pochodzenia władzy od ludzi. Żąda on takiego ustroju, któryby zabezpieczał, bez gwałtu nad godnością i wolnością człowieka, „urzeczywistnienie dobra". Podstawy prawa i sprawiedliwości są odwieczne i nie mogą być zmieniane — głosowaniem parlamentarnem. Autor potępia bezwzględną wolność wyznań, słowa i pracy, nauczania i sumienia, choć odrzuca „zamachy na prawa człowieka". „Wolność dla wszystkich i wszystkiego, z wyjątkiem dla zła i złych". Wykazuje on absurdy socjalizmu na przykładzie Rosji, wskazując na jedynie zbawienne zalecenia encyklik „Rerum Novarum" i „Quadragesimo Anno" przy rozwiązywaniu zagadnień społecznych i gospodarczych. Przestrzega on przed wszelką przesadą i jednostronnością, czy to w dziedzinie moralnej czy materjalnej; hiperkultura jest zwykle zwiastunem upadku. Ostrzega on przed nowatorskiem burzeniem wszystkiego, co dała przeszłość, w imię postępu, jak to już było w epoce „Odrodzenia".

Niestety ta niezmiernie wartościowa książka ma i pewne ale... Niech autor daruje, lecz trudno zrozumieć, jak mógł dopuścić do tak wysoce naukowych i szczerze katolickich wywodów — dosadnych określeń niechęci do całych narodów, do Niemców i Rosjan. W szczególności wytknąć należy takie wyrażenia jak „krokodyle polityczne", użyte pod adresem obu tych n a r o d ó w! Przecież pożądanem byłoby, by ta pierwsza katolicka filozofja cywilizacji trafiła i do rąk katolików zagranicznych... cóż np. poważany przez cały świat katolicki obrońca Wiary, Kardynał Faulhaber, pomyślałby o pojmowaniu w Polsce braterstwa narodów w Chrystusie po przeczytaniu podobnie demagogicznego zwrotu w dziele uczonego katolickiego...?

Adam Romer.

Mickiewicz Adam: D z i e ł a w s z y s t k i e. Zebrane i opracowane staraniem Komitetu redakcyjnego. Tom VI (Pisma prozaiczne polskie, Część II). Warszawa 1953. Nakładem Skarbu Rzeczypospolitej Polskiej. 8⁰, str. 605.

Nowy tom sejmowego wydania pism Mickiewicza obejmuje głównie utwory o charakterze politycznym i dzieła historyczne, oraz poetyckie „Słowa Chrystusa" i „Słowa Najświętszej Panny". Z wyjątkiem pism historycznych, do których wstęp napisał prof. Kazimierz Tymieniecki i notat do historji zestawionych przez

L. Płoszewskiego, cała reszta została opracowana przez niestrudzonego prof. Pigonia. Zestawienie dzieł politycznych i historycznych w tym tomie jest bardzo słuszne. Bo i „Księgi Narodu i Księgi Pielgrzymstwa Polskiego" i artykuły polityczne, głównie z „Pielgrzyma Polskiego" i „Pierwsze wieki historji polskiej" i pomniejsze pisma historyczne przenika jeden duch; wszystkie głoszą nieśmiertelną prawdę o wyższości wartości moralnych nad materjalnym przebiegiem wypadków, o niespożytej mocy i niezwyciężonej przewadze w dziejach ludzkości wpływu siły Ducha nad siłą materji. Mickiewicz, którego całe życie było heroicznem — poprzez upadki — dążeniem wzwyż, do ideału moralnej doskonałości, miał wzrok szczególnie wyostrzony na te dążenia w całej ludzkości; co więcej, nie wystarczało mu to nieustanne wypatrywanie najwyższych dóbr, on stale dla ludzkości chciał tę „doskonałość tworzyć". Toteż nie pojmie nigdy Mickiewicza, kto podchodzi do niego tylko od strony literatury, albo tylko od strony polityki. By go zrozumieć i s t o t n i e trzeba być zżytym z psychologją świętości. Zdaje się, że obu komentatorom nieobce są te najistotniejsze pokłady duszy najprawdziwszego „wieszcza" polskiego. Obaj — Pigoń w silniejszym, Tymieniecki w słabszym — stopniu umieją istotne jego idee uwydatnić i podkreślić.

Tego, kto znał myśl polityczną Mickiewicza tylko z biblijnych „Ksiąg Pielgrzymstwa" zdumieje niewątpliwie jego talent publicystyczny, ciętość pióra, siła dowodzeń, wybuchowa moc reakcji na zjawiska bieżącego życia, gorycz straszliwej ironji (jak np. we wstrząsającym artykule „O naszych żołnierzach w Prusach i w Rosji"), ale i łagodzący zatargi humor i płomienny entuzjazm w publicystyce na codzień. Szkoda, że mechaniczny podział wydawnictwa na pisma polskie i francuskie, nie dozwolił na złączenie w jednym tomie całej publicystyki Mickiewicza. Obraz byłby pełniejszy. Szkoda też, że autor znakomitego wstępu do pism politycznych tak mało nawiązuje do późniejszej twórczości politycznej poety, rezerwując sobie widocznie na później jej omówienie. Tu — obok wszechstronnej analizy — poprzestaje na bardzo interesującem wyszukaniu związków myśli politycznej Mickiewicza ze współczesnem piśmiennictwem na tem polu, a przedewszystkiem zbieżności jego pojmowania despotyzmu i niewoli jako dwóch kształtujących dzieje ludzkości kontrastujących sił — z ideami Hoene-Wrońskiego i Mochnackiego.

W przeciwieństwie do autora wstępu do pism politycznych autor bardzo wyczerpującego wstępu do pism historycznych nawiązuje nietylko do współczesnego piśmiennictwa na tem polu, ale nieustannie przypomina późniejsze ujęcia historyczne samego Mickiewicza w prelekcjach paryskich, co pozwala nam na zdanie sobie sprawy z całokształtu poglądów historycznych poety. Bardzo cenne i pracowite zestawienia poszczególnych jego sądów historycznych ze współczesnemi poglądami należało jednak może uzupełnić

konfrontacją z dzisiejszym stanem badań. Dzieje się to bowiem tylko fragmentarycznie i tylko w odniesieniu do historji polskiej. Zagadnień „starożytności słowiańskich" z dzisiejszego punktu widzenia komentarz nie oświetla. Za mało też została podkreślona, bo tylko w nocie początkowej, artystyczna wartość „Pierwszych wieków historji", jak i ich romantyzm, widoczny przedewszystkiem w uczuciowem nastawieniu względem średniowiecza; jasno natomiast występuje ogromny zasięg zainteresowań historycznych i historjozoficznych poety i jego wielka zdolność do syntezy. Samodzielność jego myśli objawia się we własnych i bardzo interesujących koncepcjach dziejów, z których najciekawszą jest może oświetlenie przyczyn i skutków zabójstwa św. Stanisława. Jak Mickiewicz odczuwał aktualne potrzeby badań historycznych, dowodem może być jego projekt ogólnej polskiej biografji, projekt, niezależnie od niego, dziś dopiero zbliżający się do realizacji. Tak więc i w pracy naukowej nie zawodzi orli wzrok twórcy.

Dwie grupy pism politycznych, tej „prostej powieści" zamknięte są jakgdyby w ramy w utwory o nastroju „hymnu": „Księgi Pielgrzymstwa i Księgi Narodu Polskiego" z jednej strony, „Słowo Chrystusa" i „Słowa Najświętszej Panny" z drugiej. Hymniczny wstęp Pigonia do pierwszego z tych utworów jest na wyżynie, krótki wstęp do „Słów" to swego rodzaju arcydzieło. Najcenniejszym w nim pomysłem jest stwierdzenie, że gigantyczna koncepcja dramatu dziejowego, rozgrywanego przez wieki między Polską a Rosją, stanowiąca „wiązanie głównej nawy Prelekcyj" to owoc prawdziwego natchnienia poetyckiego i mistycznych wizyj, poczynających się od r. 1840. Dodatkowo tom zawiera jeszcze przekład „Veni Creator", urywki przekładów z Emersona i St. Martina, odkryte przez prof. Pigonia i wypisy do „Pierwszych wieków historji" pracowicie zweryfikowane przez prof. Płoszewskiego.

Nowo wydany tom, obok ustalenia autentycznego brzmienia wielu tekstów, przynosi kilka nowych pozycyj, nie zaliczanych dotychczas do dzieł Mickiewicza, których autorstwa dowodzi prof. Pigoń z dużem prawdopodobieństwem: są to przeważnie artykuły z „Pielgrzyma Polskiego". Dwa z nich znalazły się w dodatku, mimo że autorstwo Mickiewicza jest prawie zupełnie pewne. Naodwrót w tekście głównym znajduje się artykuł „O Słowiańszczyźnie w ogólności", którego autentyczność, jak stwierdza prof. Pigoń, jest ograniczona, ponieważ miał być pisany pod dyktandem i nie przejrzany przez autora. Stwierdziwszy to, wydawca artykułem tym bliżej się nie zajmuje, uważając, że nie przynosi nic nowego w porównaniu z pierwszą księgą „Pierwszych wieków". A jednak zasługiwałby on na baczniejszą uwagę ze względu na powiązania w nim idej historycznych Mickiewicza z frazeologją towiańską (co dawałoby w każdym razie możność ustalenia terminu napisania *a quo*). Rozwlekłość, powtarzania się, brak właści-

wej Mickiewiczowi precyzji i siły w niektórych ustępach, wreszcie obce mu słownictwo, kazałyby wogóle stawiać autorstwo Mickiewicza pod wielkim znakiem zapytania, albo przypuszczać obszerne wtręty obce. Z drugiej strony artykuł, zawierając nowe poglądy, stanowi jakgdyby rozwinięcie w kierunku mistycznym teoryj z „Pierwszych wieków", oraz bardziej syntetyczne ich ujęcie. W każdym razie przedstawia bardzo ciekawy problem studjów mickiewiczowskich, którego rozwiązanie, a przynajmniej próba rozwiązania, powinnaby poprzedzić przedruk w wydaniu zbiorowem.

Wyczerpujący komentarz możnaby tu i ówdzie uzupełnić.[1]) Tekst jest poprawny, a omyłki i błędy druku, jak się zdaje, bardzo nieliczne.[2]) Nie mogąc znaleźć błędów istotnych krytykuje się drobiazgi. Są one niczem wobec sumy pracy, włożonej w wydawnictwo, wobec bystrej przenikliwości i głębokiej miłości dla dzieła Mickiewicza, jakie biją jasnym promieniem z każdego nowego tomu wydania sejmowego.

Dr. Z. K. Ciechanowska.

Juljusz Kleiner: Mickiewicz. T. I. Dzieje Gustawa. Lwów 1934.

Każda książka Kleinera stanowi niewątpiiwie walną pozycję w polskiej nauce o literaturze. Na ich czele postawiłbym przepyszny wstęp o sztuce wydawania tekstu literackiego, który znajduje się na początku zbiorowego wydania dzieł Słowackiego, potem monografję o Krasińskim, wreszcie monografję o Słowackim. Jeżeli wstęp przypomina poziomem i wysiłkiem badawczym słynną inicjatywę Bernaysa, to monografja o poecie myśli swemi horyzontami myślowemi, tłem porównawczem, wreszcie wnikliwą analizą dzieł ze stanowiska ich zawartości, co nie wykluczała i spostrzeżeń psychologa, postawiła monografistę w pierwszym szeregu polonistów. Zrozumieliśmy dopiero wtedy ewolucję myślową poety, odczuliśmy i w pełni artyzm poezji ideowej i intelektualnej.

Odtąd monografista mógł wznosić się jedynie wyżej, co było do przewidzenia u badacza tak rzetelnego i tak uzdolnionego. Rozjaśnił nam myśl Krasińskiego, każąc zkolei oczekiwać rozjaśnienia problemów artystycznych, które nasuwają jego dzieła. Zkolei przystąpił jednak do Słowackiego, analizując znakomicie jego strony psychiczne, orjentując się niezrównanie wśród jego zna-

[1]) Np. str. 37, nota 14: należałoby dodać o uwalnianiu niewolników przez poszczególnych wyznawców pierwotnego chrześcijaństwa; nie można stawiać w jednej linji niewolnictwa w Rzymie starożytnym i nowożytnego. Str. 41. nota 25: należało dodać, że idzie tu o żołnierzy istotnie sprzedawanych przez książąt niemieckich. Cf. rola, jaką motyw ten odgrywa w Schillerowskiej „Kabale und Liebe".

[2]) Np. str. 114, w. 15 „Góreckiego," zam. „Goreckiego". Str. 203, w. 8 „tyczących" zam. „dotyczących" (jak w pierwodruku), str. 566, w. 16 „li vescovi", zam. „i vescovi", str. 575 w. 27 „pracowicsi" zam. „pracowitsi" w. 33 „Ptolomasz" (!).

jomości literackich, olśniewając nietylko wywodami genetyczno-porównawczymi ale i przesubtelnemi analizami estetycznemi. Te ostatnie świadczyły, że badacz umie wyprowadzić naukę o literaturze z bezdroży, na które ją wprowadzili genetycy bez zdolności estetyków.

A niestety nauka ta jest i będzie zawsze przedewszystkiem estetyką stosowaną. Nie zmysł genetyka tylko ale i estetyka pozwolił Kleinerowi, przy pomocy intuicji, wniknąć w tajne niedostępne dotąd nikomu poza Janem Gwalbertem Pawlikowskim, odgadnąć intencje i zrekonstruować plany, na które machnął ręką Małecki, domyśleć się tego, co było tajemnicą dla Tretiaka. W przeciwieństwie do monografji o Krasińskim, monografja o Słowackim dążyła do potraktowania dzieł uważanych za filozoficzne jako dzieł sztuki. Wartości kolorystyczne, muzyczne, słowne poety wystąpiły narówni z dochodzeniem źródeł.

Ze wszystkiego, co jest najbardziej istotnem w dziele Kleinera o Słowackim, wolno wnosić, że stoi on nietylko na stanowisku badacza, ale i wyznawcy poety. A to pozostaje w związku z irracjonalizmem bergsonowym i simmlowym. Zwróciła na to uwagę krytyka, zwróci zapewne i dziś, gdy ukazała się monografja o Mickiewiczu. Był na to czas ostatni, skoro biografistyka w Rosji i w Niemczech stanęła na wysokim stopniu rozwoju. Gdy dziś ukazuje się pełne i poprawne wydanie dzieł Mickiewicza po raz pierwszy w dziejach naszej mickiewiczologji, czas jest, by Chmielowskiego, Kallenbacha, Szpotańskiego zastąpił kto inny. Pierwszy pisał w warunkach trudnych a nadto racjonalizował poetę w sposób pożałowania godny. Drugi, pełen pietyzmu dla ukochanego wieszcza, dał całość pełną ciepła i zrozumienia estetycznych wartości, ale ani nie wyzyskał dokonanych przez siebie odkryć ani nie starał się uzupełnić braków, które były widoczne w odniesieniu do pewnych epok, jak wykłady paryskie, organizacja legjonu, redagowanie czasopisma rewolucyjnego, wreszcie prace na Wschodzie. Monografja Szpotańskiego była znów jednostronną i chaotyczną.

Kleiner uznał słusznie, że w naszem życiu państwowem należy zdać sobie sprawę z tego, czem dla nas jest Mickiewicz. I stwierdził na wstępie, że jest on, poza aktualnością, i poetą rzeczy wieczystych. Zaznaczył też, że w umiejscowieniu dzieł i o faktach biograficznych nie tkwi racja ukształtowania tych dzieł. Niemniej nie odrzucił tego, co nazwał tłem poznawczem, choć stanął, jak dawniej przy Słowackim, na nowem stanowisku nauki o literaturze. Nie zrzekł się przecież i dawnego, choć Gundolf przyświecał mu zapewne i wtedy, gdy dawał... tytuł swej monografji.

Intuicją, wnikanie w tworzenie drogą analizy, rzucaniem rozwoju duchowego poety na szeroko podmalowane tło, usiłował przecież dotrzeć do sensu egzystencji Mickiewicza. Miał niewątpliwie na myśli Gundolfa, gdy dążył stale do pokazania w postaci

Mickiewicza największej jedności, w której ucieleśnił się duch polski. Stwierdzał jedność życia i twórczości, by uchwycić postać, substancję, psychofizyczny kształt w nigdy niepowtarzalnej strukturze. Można znaleźć u niego mickiewiczowskie praprzeżycia i przeżycia kształcące czyli wstrząsy i wpływy duchowe, co wskazuje, że mamy poniekąd do czynienia z monografją stojącą na wyżynie tak zwanej filozoficznej biografji typu Gundolfa, Bertrama, Hankamera i innych.

Coprawda, tło poznawcze zajęło tu też dużo miejsca. Kleiner wywodzi poetę trafnie z ludu aczkolwiek herbownego, podnosi jego dążenie do wychowania na człowieka pełnego, nie pomija wyszkolenia klasycznego, nie zaniedbuje podkreślania stałego wpływu ideologji filomackiej. Nie waha się nie podkreślać ciągle, że nie z literatury wpłynęły zasadnicze dążności poety. Ten, który czuł się klasykiem, szedł przecież ku samodzielności, ku istotnej twórczości, ku wyżynom, gdzie walka o ideał była już treścią osobistą.

Rysy poezji Gustawa pochodziły z życia i ze stylu duchowego grupy. Tkwi w niej energja witalna, co szła z mas, odpowiadała konieczności życia i była życiem. Z lirykiem sprzymierzył się w niej epik, surowy, prosty, mocny, nawet dramaturg o postawie religijnej. Odpowiadała ta poezja pragnieniu uniezależnienia się od romantyki zachodniej, co widać choćby w uczynieniu obrzędu gminnego istotnej treści dramatu a jednocześnie w potępieniu narzucania koncepcyj literackich. Była więc w niej energja witalna, skoro z dramatu miłości wynikało jakby klasycystyczne pouczenie i ostrzeżenie. Gustaw był wogóle bogatszy psychicznie od schematów, co go wywołały.

Siła duszy w tem tkwi, co odczuwa się przez całość monografji. Kleiner musiał zresztą zwalczać niemałe trudności. Nie miał za sobą kilkunastu monografij, jak Gundolf, gdy pisał o Goethem. Pobytu Mickiewicza w Rosji nie rozświetlono dotąd należycie, czego dowodzą uwagi Blütha. A skoro tak jest, syntetyczna monografja na miarę niemiecką jest niemożliwą. Z energją umie zatem monografista uporać się z trudnościami, uzupełnić i sprostować wiele, snuć, co najważniejsze, linję rozwoju artysty w sposób niezmiernie przewyższający poprzedników.

Czy nie widać tego, choćby o przygotowaniach do nakreślenia dziejów Konrada, które obejmą zapewne tom drugi? Nowy typ psychiczny wydobędzie Kleiner z dawnego, jak i nową poezję z dawnej. Jakże pouczające są rozbiory sonetów miłosnych! Jak głęboko ujęta jest religijna postawa sonetów krymskich! „Bo sztuka tu włada — mówi Kleiner — i posłusznem tworzywem czyni otchłanie duszy. One już nie przedzierają się spontanicznym, nieokiełznanym wybuchem spowiedzi Gustawowej — one idą w usługi kształtującej woli artystycznej i przekuwać się dają w posągową zwartość". Powiedziałem, że monografja Kleinera

stoi poniekąd na wyżynie monografji syntetycznej, choć jej nie dosięga. Nie wina to autora, co dźwiga naukę o literaturze na stopnie, na których dotąd nie była. Nie wątpię, że dalsze tomy uwydatnią jeszcze więcej strukturę ducha poety. Widzimy ją już w pierwszym tomie.

Tadeusz Grabowski.

Ks. Dr. Kazimierz Kowalski: N a u k i r e k o l e k c y j n e o A k c j i K a t o l i c k i e j. (Bibljoteka Rekolekcyjna Nr. 5). Wyd. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej, Poznań 1934, str. 192, 8⁰. Cena 2·50.

Oryginalne te nauki rekolekcyjne „dla działaczek Akcji Katolickiej" osnuł Autor na tajemnicach różańcowych. „Podstawy Akcji Katolickiej" wiąże z różańcem r a d o s n y m. Zwiastowanie jako „tajemnica wiary" nastręcza mu sposobność do mówienia o wierze — jako fundamencie Akcji Katolickiej. Nawiedzenie św. Elżbiety o pokorze — jako podstawie Akcji K. Narodzenie P. Jezusa o łasce uświęcającej, przez którą Jezus rodzi się w duszach ludzkich, a przecież normalnym stanem działaczki A. K. powinien być stan łaski. Życie ukryte P. Jezusa ma się stać punktem wyjścia Akcji Katolickiej: siebie wprzód uświęcić, by móc uświęcać bliźnich.

Z różańcem b o l e s n y m wiąże Autor „ofiarny czyn Akcji Katolickiej". Przyczyną konania w Ogrojcu i całej Męki Jezusowej grzech — trzeba go wyrzucić z duszy. Bicze i ciernie za grzechy ludzkie mają być działaczce A. K. pobudką do czynienia pokuty, do praktykowania umartwienia także zewnętrznego. Śmierć Chrystusa ma zachęcać do uśmiercenia w sobie skutków grzechu pierworodnego przez praktykę cnót kardynalnych: roztropności, sprawiedliwości, wstrzemięźliwości i męstwa. Krzyż Chrystusa powinien ją porywać na królewską drogę krzyża aż do zamiłowania pracy i cierpienia dla Chrystusa.

Różaniec c h w a l e b n y daje Autorowi sposobność do nauk „o promieniowaniu A. K". Chrystus zmartwychwstał — wywyższył go Bóg za to, że się stał posłusznym aż do śmierci krzyżowej — i działaczka A. K. zbawi się przez posłuszeństwo. Chrystus wstąpił do nieba z ciałem swojem — i nasze ciało tam się dostanie przez czystość dziewiczą czy małżeńską. Duch Św. zstąpił na Apostołów i poszli szerzyć wiarę, nadzieję, miłość — tak i działaczki A. K. Marja wniebowzięta stała się szafarką łask, Matką miłosierdzia — w apostolstwie miłosierdzia powinna ją naśladować działaczka A. K. Po prawicy Ojca niebieskiego zasiadł Chrystus-Król — A. K. ma szerzyć jego powszechne królestwo na ziemi, ma się przyczynić do tego, by we wszystkiem i we wszystkich królował Chrystus.

Nauka wstępna przedstawia potrzebę zamkniętych ćwiczeń duchownych oraz warunki do ich dobrego odprawienia — wślad za Matką N. i niewiastami ewangelicznemi, słuchającemi z pożyt-

kiem nauk Chrystusa. Nauka końcowa jednoczy uczestniczki tych pięknych rekolekcyj przy wspólnym Stole Pańskim w eucharystycznem Sercu jezusa.

Już samo streszczenie tych podniosłych i głęboko obmyślanych nauk jest ich najlepszem zaleceniem. Gdyby były podane stylem mniej ciężkim, byłyby niezrównane. Nadają się znakomicie i dla kierowników rekolekcyj — jako materjał przemówień i dla odprawiających rekolekcje — jako pożyteczna lektura i temat rozważań.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Morice Henri: La vie mystique de Saint Paul. Paris, Téqui. T. I. 1932 12° XIV—250. T. II 1933 12° VIII—264.

Św. Paweł był mistykiem, wielkim mistykiem. Zgadzają się dziś na to wszyscy uczeni katoliccy i większość protestanckich. Nie mamy jednakże dotąd wszechstronnego przedstawienia tej strony życia Apostoła pogan. Nie dał go nam ani wybitny teolog, Bartmann (Die paulinische Mystik w jego *Paulus* 1914 str. 73—113), ani wytrawny egzegeta, Wikenhauser (*Die Christusmystik des hl. Paulus* 1928 138). Otóż dziełko ks. Morice'a ma nam zobrazować całokształt życia mistycznego św. Pawła. Książka składa się z sześciu części. W pierwszej autor, po nakreśleniu stanu duchowego Szawła prześladowcy, opisuje przełomową chwilę jego nawrócenia pod Damaszkiem, następnie tłumaczy widzenia i objawienia Pawła wspomniane w Dziejach Apost. i w Listach. Osobny rozdział poświęca zachwytowi opisanemu w 2 Kor. 12, 1—4, osobny charyzmatom. Te bowiem dary nadzwyczajne: widzenia, objawienia, zachwyty, dary cudów, proroctw i języków, dowodzą zdaniem autora, że św. Paweł był nie mniejszym mistykiem jak św. Teresa lub św. Jan od Krzyża. W dalszych częściach przedstawia autor wpływ przemożny mistycyzmu Pawła na jego sposób pojmowania sakramentów (chrzest, bierzmowanie, eucharystja), na jego stosunek do Chrystusa (miłość), na pojęcie o doskonałości chrześcijańskiej (upodobnienie się z Chr.), o apostolstwie, na całe wreszcie postępowanie Pawła. Zdrowy rozsądek i paradoksalność, realizm i idealizm, dialektyka i intuicja, zmysł praktyczny i poetyczna wzniosłość, patrjotyzm i katolicyzm to cechy moralnej fizjognomji Apostoła, zrozumiałe dla nas tylko wtedy, gdy się patrzymy na niego jako na wielkiego mistyka.

Przez stan mistyczny rozumie autor za św. Janem od Krzyża „świadomość obecności i działania Bożego w duszy". Przyjmuje za pewne, że św. Paweł przeszedł wszystkie stopnie doznań mistycznych aż do zaślubin duchowych włącznie. Lecz o przeżycia mistyczne potrąca Apostoł tylko jakby mimochodem w swych Listach. Autor zbiera te promienie i przy pomocy podobnych opisów św. Teresy i Jana od Krzyża stara się je zbliżyć do oka czytelnika. To cecha oryginalna dziełka.

Książka ks. Morice'a odda rzetelną przysługę wszystkim tym czytelnikom, którzy niedość są przygotowani do zagłębienia się wprost w Listy św. Pawła. Napisana lekko, przystępnie, z gorącem umiłowaniem Apostoła, jego nauki i życia, z dużą wnikliwością w jego myśl. Zdania w tekście często urwane lub powikłane, rozwinięte na tle mistycznych doznań Apostoła nabierają ciągłości i jasności. Oczywista, są w dziełku i niedociągnięcia. I tak wątpliwej wartości jest cały ów dowód z darów nadprzyrodzonych; mam wrażenie, że św. Paweł pierwszyby się nań nie zgodził. Zbędny jest rozwlekły a mętny wywód o solidarności i jej znaczeniu w teologji św. Pawła. Autor niedość wyraźnie zaznacza, że jego przytyki do „egzegetów" odnoszą się tylko do uczonych niekatolickich (i to nie wszystkich) i wolnomyślnych. Zbyt jest również pewny, że w Rz. 7 ma św. Paweł na oku człowieka odkupionego, chrześcijanina. Nie zawadzi wkońcu dodać, że biblista zawodowy nie znajdzie w dziełku ks. Morice'a prawie nic nowego; a trudnego zagadnienia mistyki św. Pawła nie posunęło ono ani o krok naprzód.

Ks. W. Prokulski.

Leon Pomirowski: Nowa literatura w nowej Polsce. Warszawa 1933. Tenże: Walka o nowy realizm. Warszawa 1933.

Krytyka powojenna, jak i literatura, nie ma jeszcze całkiem określonej fizjonomji. Za realizmu i modernizmu, były kierunki, które posiadały swe źródło filozoficzne, swe wskazania estetyczne, nawet swą postawę społeczną. Na takiem tle wyrastały indywidualności Tarnowskiego, Chmielowskiego, Matuszewskiego, Brzozowskiego. Byli ludzie, były i systemy, gdy dziś niema ani jednych ani drugich. Rewizjonizm przyziemny Boya, patetyczny uniwersalizm Millera, niewyraźność programu Irzykowskiego, co wyrastają na gruncie, jakiejś gorączkowej atmosfery, nie świadczą zbytnio, by ludzie i systemy osiągnęły pewien stopień dojrzałości.

Coś podobnego można stwierdzić u Pomirowskiego. Wydał on aż dwie książki kosztem poważnej firmy, choć związku między niemi, jakby na pierwszy rzut oka się wydawało, niema i być nie może. Całość wydaje się pisaną z pośpiechem dziennikarza, w sposób jakby urywkowy, na użytek dnia ale nie całych lat. Nawet Feldman, który operował głównie frazesami, komponował lepiej swe książki, nie mówiąc o Potockim. Zatem obie części usiłowania Pomirowskiego są płodem niedojrzałym i okazują, że krytyka współczesna nie dorosła do swego zadania.

Przyjrzyjmy się części teoretycznej, co ma stanowić wstęp do praktycznej. Autor uznaje potrzebę psychicznego dystansu, gdy się pisze o zjawiskach literackich. Czemu zatem pisze o współczesności, skoro taki dystans jest niemożliwy? Jeżeli współczesnością, nazywa to, co nosi w sobie zaród nowego bytu i stwierdza, że może istnieć jedynie uczuciowy stosunek do dziejących

się spraw, to zmusza do wniosku, że mamy do czynienia tylko z impresją a nie z krytyką opartą na pewnych kryterjach. Czy walka musi być czynnikiem współczesności? Nie sądzę, skoro taki Matuszewski walczył a jednocześnie umiał być sprawiedliwy dla przeszłości. Nie myli się autor, gdy mówi, że nie należy poddawać się sugestjom nowoczesności, że są hierarchje i różnice form kulturalnych, że literatura zawiera nietylko rzeczywistość ale i możliwości, ale są to rzeczy nie dające nic nowego.

Nie widać, by autor znał prądy i wskazania estetyki zachodniej choćby na temat realizmu. Coś przeszło w formie elementarnej do jego wyobrażeń, ale w tem wszystkiem niema konsystencji. I dlatego pozostaje autorowi nawrót do Brzozowskiego, co znaczy, że odwraca się on od estetyzmu, skoro życiem kierować może tylko życie. Zatem ustala on odpowiedzialność artystyczną jako formę społecznego obowiązku literatury w epoce, kiedy chodzi o nowego człowieka. Zatem dochodzi i do wniosku, że krytyk jest najgłębszą wiadomością moralną swej epoki a jego zadanie, jak mówił Brzozowski, będzie polegało na rozwiązaniu zagadnienia, czem jest nowy twórca w obliczu ideału ludzkości, względnie narodu. Autor mówi o narodzie, który idzie ku nowej psychosocjalnej epoce i musi mieć organizatorów życia.

I niepotrzebnie cofa się w przeszłość starając się określić realizm i modernizm. I tu niema ani nic nowego ani wnikliwego, jest tylko płycizna i frazeologja. Niema zrozumienia estetyki modernizmu, głucho jest o Bergsonie i Guyau, zatracił się Schopenhauer a symplifikacja Nietschego osiągnęła szczyt. Możnaby zapytać, poco wraca autor do poetów modernizmu, ktorzy przecież z walką o nowy realizm nic wspólnego nie mają. A więc książka jest czemś bezplanowem i związanem mechanicznie dla wypełnienia tomu. Nie dowiadujemy się, czem jest właściwie realizm, choć stwierdza autor jego głód. Czy polega on tylko na zwróceniu się do szarego człowieka, na introspekcji i psychologizowaniu? Ależ to wszystko było dawniej wraz z wyczuwaniem twórczego instynktu życia. Można się zgodzić z autorem, że wojny ideowej państwu potrzeba, ale ta wojna musi się rozgrywać w atmosferze wolności i prawa. Zagadnienie formy w realizmie zostało przez autora uznane, ale ani nie rozwinięte ani nie objaśnione przykładami.

Część praktyczna zaczyna się znów utyskiwaniem na brak dystansu czasowego. Ma ona za cel dać zarys ważniejszych wydarzeń pisarskich współczesności, co usiłuje w głębiach powszechności niepodległościowej odnaleźć twórcze źródła nowych widzeń i raczej ekspresji słowa i idzie za Rimbaudem, Hamsunem, Coxrodem, Joycem, Mannem. I znowu, gdy autor mówi o istocie liryki, wypowiada rzeczy, nieskończenie niższe od wywodów Ortwina. Czemu wraca znów do poetów przedwojennych? To, co czytamy u autora o futuryzmie, czytało się wszędzie. Przychodzi żałować

Irzykowskiego, który umiał wojować z różnemi prądami i podpatrywać ich słabe strony. Pomagały mu jednak jego kultura filozoficzna, jego głębokie ujmowanie sztuki, piętno indywidualne wszystkiego, co napisał.

Może najlepsze byłyby charakterystyki pewnych autorów. Ale i one rażą częstą symplifikacją zjawisk skomplikowanych. Przypominają się charakterystyki Dębickiego, które wszystkie były podobne jedne do drugich, choć miały nawet miano portretów. Nawet charakterystyki nie są pełne, bo jest mowa o Pawlikowskiej jako liryczce a niema słowa o pisarce scenicznej. Najlepsze są zapewne w dziale romansu, a zatem Kadena, Nałkowskiej, Struga. Przesadzone i pochlebione są Wołoszynowskiego, Zarembiny i innych. Może za mało jest o Wasylewskim, Kossowskim, gdy znów Szczucka, szczególnie gdy chodzi o jej wielki romans historyczny, nie jest uchwyconą w tem, co stanowi jej siłę. Nieszczęściem książki jest, że autor nie ustopniował swoich pisarzy, że postawił ich na jednej linji, że postawił obok siebie twórców nie mających z sobą nic wspólnego.

O niektórych nawet wprost zapomniał, choć pomieścił ich w drodze łaski, w spisie bibljograficznym. Najsłabszym jest ustęp o dramacie, gdzie pewne charakterystyki nie należą do najgorszych. Zdumienie może wywołać rozdziałek o polonicystyce na uniwersytetach. Jest on napisany w celu pobudzenia zapewne odpowiedzialnych czynników do stworzenia katedry literatury współczesnej. Jeszcze większe zdumienie ogarnia, gdy widzi się brak uwzględnienia współczesnej krytyki. Ale tu zapewne napotkałby autor na trudności, gdyby miał charakteryzować nie takich, co idą na dowcip, jak Boy, albo na frazes, jak Miller, ale na myśl i budzenie myśli, jak Irzykowski, nie mówiąc o estetykach tej miary, co Borowy, Kołaczkowski, Suchodolski, Adamczewski.

Z dzieła autora wynikałoby, że polonistyki na uniwersytecie wogóle niema, bo nikt nie wykłada literatury współczesnej. A, przecież polonistyka stoi dziś lepiej niż kiedykolwiek, by wymienić Kleinera, Chrzanowskiego, Pigonia, Ujejskiego, Kridla i legjon innych. Przychodzi żałować czasów Feldmana, któryby takiej słabej książki, mimo swego dyletantyzmu, na świat nie wypuścił.

Tadeusz Grabowski.

Ks. Władysław Hozakowski: Dzieje mszy świętej. Z angielskiego („The Mass" by Adrian Fortescue). Nowe opracowanie uzupełnione. „Ostoja", Poznań 1933. — Str. XIII+311. 8°.

Dzieło angielskiego biskupa, ks. A. Fortescue p. t. „The Mass" przyswoił ks. H. językowi polskiemu już w r. 1914; wydał je wówczas w dwóch osobnych rozprawach, jedna p. t. „Dzieje mszy świętej", drugą „Wykład (historyczny) mszy świętej". „Pierwsza — jak czytamy w przedmowie do pierwszego wydania —

zajmuje się więcej historyczną stroną rozwoju całej mszy rzymskiej; druga archeologiczną stroną jej układu a raczej szczegółów". — Pierwsza z tych rozpraw doczekała się ponownego wydania, znacznie rozszerzonego i uwzględniającego nowsze zdobycze nauki w dziedzinie liturgiki. W szczególności znaczniejszym zmianom uległ rozdział o liturgji opisanej w VIII księdze t. zw. Konstytucyj Apostolskich, gdzie uwzględniono nowsze badania. W rozdziale IV o obrządkach liturgicznych, po rycie gallikańskim zostały osobno omówione ryty mozarabski i medjolański z opisem ich kolei i przemian aż do obecnego ich stanu w Toledo i Medjolanie; przybył także paragraf o rycie rzymsko-słowiańskim, zachowanym w kilku diecezjach dzisiejszej Jugosławji. Kwestję trzech najstarszych sakramentarzy rzymskich oświetlono najnowszemi (z 1927 i 1931 r.) pracami Baumstarka. Jego też prace jakoteż prace uczonego włoskiego Alfonso (z r. 1931) uwzględniono przy omawianiu początków kanonu rzymskiego.

Wśród teoryj o powstaniu kanonu rzymskiego zostały obszernie omówione dwie najnowsze teorje Batiffol'a i Lucas'a. Rozszerzone zostały rozdziały o różnych rodzajach mszy w średniowieczu i ich nadużyciach; dodany został paragraf o mszach za zmarłych. Krótka w I wydaniu wzmianka o „mszach suchych" rozrosła się w osobny paragraf „Missa sicca i jej kształty". Rozszerzone lub też zupełnie nowe dodane zostały paragrafy o średniowiecznych rytach pochodnych, np. o rytach różnych zakonów, o rytach celtyckim i anglosaskim, o rytach w Salisbury i Ljonie; odrębności mszałów polskich zostały również omówione w osobnym paragrafie. Wreszcie uzupełniono także ostatni rozdział, o reformach mszału rzymskiego od św. Piusa V. do najnowszych czasów oraz dodatek o nazwach mszy.

Wszystkie ustępy w tekście i przypiski, które w polskim przekładzie bądź uległy przeróbce, bądź w całości zostały dodane, oznaczone są w tem wydaniu gwiazdką. Te ustępy świadczą wymownie, ile samodzielnej pracy naukowej włożył w polski przekład jego Autor. To też słusznie uważać można to nowe wydanie „Dziejów mszy św." za polski dorobek w stosunkowo ubogiej u nas literaturze liturgicznej.

Z zewnętrznych innowacyj tego wydania trzeba podnieść z uznaniem to, że zbyt długie nieraz w pierwszem wydaniu ustępy podzielono na krótsze „a linea" i że zostawiono w tekście dwa rodzaje druku. Daje to książce większą przejrzystość. — Stara przedwojenna pisownia została oczywiście zmieniona, niestety nie we wszystkiem z równą konsekwencją i dokładnością. Zdarzają się i konstrukcje wadliwe.

Można nadto mieć zastrzeżenia co do terminologji „unjaci" o czem w najbliższym *Oriensie*. Usterki te jednak nie uszczuplają prawdziwych zalet dzieła i jego polskiego przekładu. Ze szczególną radością powitali je zapewne zwolennicy ruchu liturgicznego

w Polsce, którym zależy na głębszem zrozumieniu obrzędów mszy św. A do tego zrozumienia przyczyni się niewątpliwie to dzieło o jej historycznym rozwoju. Dlatego też pragnęlibyśmy ujrzeć wkrótce na półkach księgarskich nowe wydanie drugiej części dzieła p. t. „Wykład mszy świętej".

Ks. B. Waczyński T. J.

Władysław Pobóg-Malinowski: Narodowa Demokracja 1887—1918. Fakty i Dokumenty. Warszawa 1933. „Dom Książki Polskiej" S. A.

Pod powyższym tytułem ukazała się bardzo ciekawa praca, mająca być krytyczną historją obozu politycznego, noszącego obecnie nazwę „stronnictwa narodowego". Autor spędził całych ośm miesięcy w wielu archiwach i bibljotekach uniwersyteckich, szczególnie zaś w archiwach Muzeum Rapperswilskiego i P. P. S.; to też dokumenty, na które się powołuje, względnie które przytacza w całości, były bądź to całkowicie zapomniane, bądź to wogóle dotąd nieznane. Niektóre z nich uznane zostały za rewelacje, przyczem autor ogłoszenie niektórych zastrzega sobie na później. To też dla historyka zawarte w tej pracy fakty mają niewątpliwie pierwszorzędne znaczenie, mimo oświetlania ich wyłącznie z punktu widzenia b. „frakcji rewolucyjnej".

Autor zaczyna od zarysu prób stworzenia legjonów polskich w okresie po powstaniu styczniowem, zwłaszcza w Galicji i Francji; posługuje się on przytem głównie pracą Feldmana: „W dziejach polskiej myśli politycznej", m. i. co do prób wywołania powstania w 1868 r. w nadziei oparcia o Papieża Piusa IX (na podstawie znanych słów Jego do demonstracyjnej pielgrzymki polskiej), pod kierownictwem „rządu narodowego" z ks. Adamem Sapiehą na czele. Już zato na podstawie nowych zupełnie dokumentów podaje autor dzieje powstania w Genewie „Ligi Polskiej" i „Skarbu Narodowego Polskiego", których założeniem podstawowem było oparcie dążeń niepodległościowych o rozbudzony intensywną akcją oświatową patrjotyzm najszerszych mas ludowych. Na czele stanęli b. powstańcy Ludwik Matyasek-Michalski i pułkownik Zygmunt Miłkowski (Jeż), znani z nieskazitelnej miłości ojczyzny i ofiarnego apostolstwa na rzecz jej wyzwolenia. Pierwotny program „centralizacji" Ligi polskiej jest nie tylko wyraźnie rewolucyjny, lecz w założeniach swoich bardzo przypomina późniejszy niepodległościowy program Piłsudskiego (federacja narodowa b. Rzeczypospolitej, główny nacisk na zrzucenie jarzma rosyjskiego, czynny udział w ewentualnej wojnie pomiędzy zaborcami przeciwko niej właśnie i t. d.). Jednak już w rok później, t. zn. w 1888 r. złagodzono ten program, pozbawiając go wyraźnego dążenia do niepodległości przy pomocy walki orężnej. Zdaniem autora drugi ten program nie znosił bynajmniej pierwotnego a przeznaczonym był ad captandam benevolentiam sfer, lękających się wyraźnych haseł powstańczych. Bardzo ciekawe są dzieje powstania „Zetu" (Związek

młodzieży polskiej) w kraju, uzależnionego od Ligi i zorganizowanego konspiracyjnie w kilku stopniach na wzór masonerji; w następstwie Liga polska zostaje przeniesiona do kraju, przemianowana na „Ligę Narodową" i poddana kierownictwu „Komitetu centralnego", względnie „rady tajnej". W swojej działalności Liga narodowa jest niesłychanie radykalna, zwalczając „ugodowych" ziemian i przemysłowców oraz lojalnych wobec znienawidzonego caratu Biskupów jako „zdrajców", zwalcza jednak teroryzm socjalistów i dążenia do wywołania „przedwczesnego" powstania, pozbawionego jakichkolwiek szans sukcesu. Interesujące są odezwy Ligi do Rosjan, Ukraińców i Rusinów w imię braterstwa narodów w walce z caratem. Działalność Ligi szybko spowodowała represje ze strony władz, zwłaszcza przeciwko powtarzającym się z okazji rocznic narodowych manifestacyj studenckich. Po wstąpieniu na tron Mikołaja II Liga zaciekle zwalcza nowopowstałe stronnictwo realistów i iluzje jego względem możliwości ugody z Rosją.

P. Roman Dmowski, kierujący już wówczas z redakcji „Przeglądu Wszechpolskiego" we Lwowie całym ruchem Ligi, występuje w słowie i piśmie jako nieprzejednany wróg „barbarzyńskiej" i „azjatyckiej" Rosji, zalecający na wypadek wojny rosyjsko-austrjackiej czynne poparcie Austrji, zaczynając od najdalej idącego sabotażu mobilizacji rosyjskiej a kończąc na organizacji „legjonów" i „siły zbrojnej". W tym samym duchu działają w Warszawie Jan Popławski, Balicki i t. d. Bardzo szczegółowo podaje autor dzieje powstania jawnego już stronnictwa demokratyczno-narodowego, jako emanacji Ligi, na podstawie ogłoszonego w 1897 r. bardzo „ludowego" programu. Program ten już w 1903 r. uległ daleko idącym zmianom, zrywając ostatecznie z programem rewolucyjnym a przechodząc do „organizacji jednolitej na trzy zabory polityki narodowej" w ramach istniejących warunków prawno-państwowych, nie wykluczając już „ugody" jako ewentualnego środka do celu. W przytoczonych przez autora urywkach prasy „narodowej", zwłaszcza w artykułach Dmowskiego, widać wyraźnie stopniowe przygotowywanie tego nowego programu. Stronnictwo zachowuje jednak jaskrawy charakter antyrosyjski i przeciwmoskalofilski aż do rewolucji rosyjskiej 1904 r., wynikłej wskutek klęsk Rosji w wojnie z Japonją.

Autor szczegółowo opisuje „pojedynek" pomiędzy J. Piłsudskim a R. Dmowskim na gruncie Tokijskim; misja Piłsudskiego, mająca na celu pozyskanie Japonji dla wspomagania polskiej rewolucyjnej walki niepodległościowej, w znacznym stopniu dlatego się nie powiodła, że zastał on już sztab japoński pod wrażeniem wręcz przeciwnej „démarche" Dmowskiego, który groził Japończykom wzmocnieniem Rosji przez „nieuniknione" zgniecenie powstania, chwaląc się natomiast propagandą wśród żołnierzy Polaków w armji rosyjskiej za „szkodzeniem Moskalom" i dezercją. Wówczas jeszcze „narodowcy" manifestowali w Warszawie przeciwko

„lojalistom" i arcybiskupowi Popielowi, organizującym pociąg sanitarny dla Rosji. Liga urządzała „akcję gminną", pielgrzymki unitów do Rzymu, pogodziła się nawet, po początkowym oporze z strajkiem szkolnym. Dopiero w 1905 r. Dmowski, zrywając z całą swoją przeszłością, otwarcie szuka ugody z Rosją i, przerażony powodzeniem „syfilisu (!) socjalistycznego" w kraju, ofiaruje ministrowi Wittemu — za cenę autonomji — pomoc w tłumieniu „anarchji" w Królestwie. Zaczyna się krwawa walka pomiędzy „narodowcami" a socjalistami, których drogi się już rozeszły w 1888 r. z okazji odsłonięcia pomnika Mickiewicza a którzy teraz stali się nieprzejednanymi wrogami. Wobec bojkotu wyborów w 1906 r. przez socjalistów, demokracja narodowa zdobyła już wszystkie mandaty do dumy, gdzie wystąpiła jako stronnictwo lojalne wobec państwa rosyjskiego, żądające jedynie autonomji i stojące na gruncie ogólno słowiańskiego zjednoczenia!! Powoduje to rozłamy w partji oraz opozycje w łonie Komisji nadzorczej Skarbu Narodowego, subwencjonującego dotychczas Ligę — zgodnie z statutem — jako organizację „niepodległościową". Spór ten zakończony zostaje w 1908 r. dymisją Z. Miłkowskiego z Skarbu Narodowego i napiętnowaniem przezeń w liście otwartym całej polityki Dmowskiego, zwalczającej coraz wyraźniej wszelkie poczynania niepodległościowe jako „masonerję" i liczącej na sukcesy w Rosji przez uniknięcie wymarzonej przez Mickiewicza „powszechnej wojny".

Autor kończy swoją pracę charakterystyką polityki narodowej demokracji w czasie wojny światowej. Niestety nie zadowala się on przytaczaniem dokumentów, i tak dostatecznie miażdżących dla twierdzeń Dmowskiego w ostatnich jego pracach, jakoby cała polityka jego obozu była od początku konsekwentną i jednolitą. Dla nikogo też dzisiaj nie może ulegać wątpliwości, że ugodowa polityka prorosyjska narodowej demokracji nie dała Polsce żadnych korzyści, ani przed wojną, ani w czasie jej trwania. Bez rewolucji rosyjskiej, której Dmowski przecież nie przewidywał, nigdy nie doczekalibyśmy się wolnej Polski. Przytoczony przez autora list prof. Stanisława Grabskiego do Komitetu Narodowego w Paryżu, którego był członkiem, również jest dostatecznie silnym argumentem za winą Komitetu w opóźnieniu przysłania do Polski armji Hallerowskiej. Wszystkie te fakty nie upoważniają jeszcze autora do stawiania Dmowskiemu tak nieudowodnionych i obelżywych zarzutów, jakoby np. pojechał do Tokio jako płatny agent zaniepokojonego o rynki rosyjskie przemysłu polskiego, lub przehandlowywał z Stołypinem Chełmszczyznę. Wogóle praca p. Malinowskiego, rojąca się od nieużywanych w poważnej literaturze epitetów, często zbyt pochopnie zarzuca kłam i przesadę raportom Ligi Narodowej do Komisji Skarbu Narodowego, opierając się czasem jedynie o dane archiwum P. P. S., nie gwarantujące z natury rzeczy bezstronności. Ta *ira* jest właśnie ujemną stroną tej niezmiernie ciekawej pracy. *Adam Romer.*

Purgatorium iuxta doctrinam Seraphici Doctoris S. Bonaventurae propositam a P. Thoma Villanova Gerster a Zeil, O. M. Capuc., Lectore S. Theol., In 8, 1932. Str. VIII+108. Taurini (Italia). Ex Officina Libraria Marietti.

Jest to bodaj pierwsza rozprawa o czyścu, pomyślana poniekąd monograficznie. Przedstawia pierwszorzędnie całokształt nauki o czyścu św. Bonawentury, drugorzędnie — chociaż obficie — opinje i zdania Ojców Kościoła, uczonych eschatologów współczesnych św. Bonawenturze, głównie zaś XIX i XX wieku (e. g. Bautz, Oswald, Redner, Schmid, Tappehorn, Bartmann, Nicolussi, Cornely, Knabenbauer, Collet i i.).

Naukę o czyścu św. Bonawentury wyłożył Autor w siedmiu rozdziałach. 1. Istnienie czyśca, 2. Dusze w czyścu przebywające. 3. Jakość kar czyścowych. 4. Miejsce czyśca. 5. Długotrwałość kar czyścowych. 6. Radości czyśca. 7. Pomoc dla dusz czyścowych.

Doktryna św. Bonawentury odnośnie do czyśca niejednokrotnie wybiega poza ramy rozumowań wybitnych innych teologów. Jest to możliwe. Dotychczasowa bowiem nauka Kościoła katol. w stosunku do czyśca streszcza się w dwóch dogmatach: 1^0 że czyściec istnieje; 2^0 że duszom czyścowym świat żyjący może skutecznie pomagać przez Msze św., modlitwy i inne zasługujące uczynki. Stąd zagadnienia takie, jak: miejsce czyśca, jakość i intensywność kar, dalekosiężność oczyszczająca ,czyli przedmiot oczyszczania i t. p., jako nieobjęte orzeczeniem Kościoła, stanowią dla teologów teren otwarty.

Z przytoczonych zagadnień niektóre szczególnej podlegają dyskusji, np. intensywność kar czyścowych. Że kary czyścowe są wielkie, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Czy jednak przekraczają intensywnością wszelką karę ziemską? — Św. Bonawentura przeczy temu twierdzeniu w stosunku do *poena damni* (polegająca na chwilowem wstrzymaniu widzenia Boga), zgadza się co do *poena sensus* (polegająca na pozytywnej karze od przedmiotu zmysłowego, fizycznego ognia). Natomiast św. Tomasz z Akwinu jasno i zdecydowanie twierdzi, iż kary czyścowe tak w zakresie *poenae damni,* jak *sensus,* w najmniejszem nawet natężeniu, przewyższają wszelką karę ziemską, choćby najszerszej rozpiętości (Cfr. S. Thomae Aquinatis Summa Theologica t. v, Appendix Qu. II art. I Ed. Marietti 1928). Zdanie św. Tomasza wydaje się być prawdopodobniejsze. Podobnych kwestyj spornych uwzględnił Autor więcej; ten fakt podnosi wartość książki.

Dobrze, że teologowie zabierają się do eschatologji. Lepsze zrozumienie psychologji śmierci, drugiego świata — słowem — eschatologji katolickiej bezwątpienia wpłynie na zmianę naturalistycznego poglądu na świat i życie ludzkie.

W wielkiej mierze zadanie to spełnić może omawiana książka. Wszelako ze względu na język łaciński, oraz naukowe ujęcie,

dostępną jest tylko dla duchownych. Przekład jej na j. polski, a raczej opracowanie byłoby bardzo pożądane.

Maksymiljan Rode.

Georg Bernhard: Tragedja Niemieka, Samobójstwo Republiki 1933. Nakładem sp. akc. „Orbis" w Pradze.

Wśród licznych republikańskich pisarzy i publicystów niemieckich, którzy przed hitlerowskiemi prześladowaniami schronili się zagranicę, znalazł się i b. naczelny redaktor *Vossische Zeitung*. Na wygnaniu w stolicy Czechosłowacji napisał on obszerną książkę, poświęconą „dziejom grzechu" republiki niemieckiej, zrodzonej z słynnej konstytucji Weimarskiej 1919 r. a grzebanej obecnie przez Trzecią Rzeszę Adolfa Hitlera. Jako przekonany republikanin i liberał nie szczędzi on oczywiście najokropniejszych zarzutów regime'owi narodowo-socjalistycznemu, stwierdza jednak, że bez bardzo ciężkich, równających się samozabijaniu się, przewinień rządów republikańskich od początku ich istnienia, nigdy dojście do władzy Hitlera nie byłoby możliwem. Znaczna część zarzutów skierowana jest w stroną b. koalicji przeciwniemieckiej za to, że przeszła do porządku dziennego nad obietnicami Wilsona i całym szeregiem aktów „przemocy" naród niemiecki doprowadziła do pewnego rodzaju „obłędu rozpaczy". Klęska bezrobocia dopełniła czary.

Książka Bernharda dzieli się na dwadzieścia dwa rozdziały, ułożone co do treści w porządku chronologicznym, za wyjątkiem pierwszego, poświęconego pożarowi Reichstagu, który jest rodzajem wstępu do następnych. Stoi on oczywiście na stanowisku, że chodziło tu o prowokację hitlerowską dla steroryzowania opozycji i zapewnienia narodowym socjalistom zwycięstwa wyborczego. Żadnych jednak rewelacyj tam nie znajdujemy. Następne cztery rozdziały, poświęcone „zbrodni listopadowej", „Weimar'owi", „Wersal'owi" i „nieudanej demokracji", opisują początki niemieckiej republiki. Twórcy jej wzięli na siebie całe odium podpisania rozejmu i pokoju, zamiast powierzyć pierwszą czynność naczelnemu dowództwu (Hindenburgowi i Ludendorff'owi) i uzasadnić publicznie następną ultimatum rządów państw południowych Rzeszy, grożących zawarciem oddzielnych pokojów z koalicją w razie wkroczenia jej wojsk do Niemiec! Konstytucja zaś Weimarska nie dała narodowi niemieckiemu żądanej jedności państwowej, ulegając tendencjom partykularnym i federalnym, oraz zastępując tak potrzebną Niemcom silną władzę najgorszego rodzaju partjokracją. Rozczarowanie narodu do republiki spotęgowały narzucone Niemcom olbrzymie odszkodowanie wojenne oraz — oddanie Polsce „korytarza" i Śląska (!). O ile jednak Bernhard zarzuca rządom republikańskim, że nie broniły się zrzucaniem odpowiedzialności na winowajców wojny z cesarzem-dezerterem na czele, o tyle nie

widzi on tego przewinienia w braku jakiegokolwiek uświadamiania narodu niemieckiego o prawach narodu polskiego do zwrotu niesłusznie zabranych im ziemi! Niema za to słuszności twierdząc, że właśnie przez bezsensowne żądanie wydania „winowajców wojny" z cesarzem na czele koalicja spowodowała w Niemczech reakcję „honorową" na korzyść ludzi, których większość opinji niemieckiej wówczas potępiała.

Następne rozdziały p. t. „odszkodowania i nienawiść do Francuzów", „czary miljardowe", „inflacja moralności" i „odrodzenie militaryzmu", omawiają krytycznie poszczególne etapy dziejów republiki Weimarskiej aż do okupacji Ruhry. Autor charakteryzuje błędne koło, wywołane nałożeniem na Niemcy nierealnych od początku odszkodowań, przyczem z jednej strony sojusznicy wierzycieli zmuszali wyczerpaną finansowo Francję do nacisku na Niemcy jako jedynego źródła gotówkowego, z drugiej nacjonalizm niemiecki wykorzystał nieuniknione rozgoryczenie do Francji dla sabotowania wszelkich prób ugodowego załatwienia sprawy z Francją, sabotowania ukoronowanego zabójstwem Rathenau'a i zniszczeniem przez inflację niemieckiego stanu średniego. Użycie zaś Reichswehry dla tłumienia komunizmu spowodowało uzależnienie się demokracji niemieckiej od wojska, które, mimo stłumienia poszczególnych „puczów", pozostało nienaruszoną ostoją reakcji, obok nienawistnych autorowi junkierstwa, ciężkiego przemysłu, sądownictwa i biurokracji.

Rozdziały poświęcone „przygodzie z Ruhrą", „Stresemannowi jako wybawcy", „republice bez republikanów", „duchowi Locarna", „od Dawes do Jounga" i „grzechom mieszczaństwa", omawiają dzieje okresu Stresemanowskiego i t. zw. „Erfüllungspolitik". Autor broni Stresemanna przed zarzutami, wywołanemi ogłoszeniem pośmiertnem jego pamiętników. Zdaniem jego dążył on szczerze do ugody z Francją, wierny przyjaźni z Briandem, musiał jednak „udawać nacjonalistę" wobec odwetowej prawicy. Francja jakoby nie zrozumiała Erzbergera i zwlekaniem z ustępstwami paraliżowała jego politykę, stale natchnioną „duchem Locarna". Wskutek tego — wbrew Stresemannowi — reakcja nacjonalistyczna ogarniać zaczęła nawet demokratów i socjalistów. Nietylko nie uczynili oni nic dla ugruntowania swojej władzy, lecz pozostawili oni wychowanie młodego pokolenia nauczycielom starej daty, uprawiającym „gloryfikację Germanów" i szerzącym kult dla cesarstwa jako rozdawcy tytułów i orderów, tak drogich „bürgerom" niemieckim. Klasy posiadające, w których interesie prowadzona była wojna i następnie opór przeciw okupacji Ruhry, wskutek inflacyjnego finansowania tych imprez nie odczuły ich skutków na swojej skórze i nietylko spokojnie marzyły o odwecie, lecz hojnie finansowały agitację nacjonalistyczno-reakcyjną. W ten sposób bojówki stały się atrakcją dla bezrobotnych. To samo czynili książęta b. dynastji z funduszów szczodrze im przy-

znanych przez republikę tytułem „odszkodowania". Tak znakomicie ułatwiające sytuację Rzeszy układy Haskie przedstawiono w agitacji jako dzieło żydowskich i socjalistycznych sprzedawczyków. Łudzono się co do Anglji, która doskonale z tych złudzeń umiała korzystać. Socjaliści podzielali nietylko „lojalne" złudzenia Stresemanna co do Hohenzollernów, lecz najspokojniej powierzali przedstawicielom wielkiego przemysłu, śmiertelnym swoim wrogom, obronę interesów gospodarczych Rzeszy. Autor widzi w wyborze Hindenburga fatalny skutek braku republikańskiego „wodza", stwierdza jednak, że — wbrew osobistej lojalności starego feldmarszałka — wybór ten musiał logicznie doprowadzić do reakcji, i to — co za ironja losu — w oparciu o ludowładczą emanację władzy Prezydenta konstytucji Weimarskiej.

Ostatnie rozdziały, „Precz z Stresemannem", „Krach bankowy i mnich-pokutnik", „dobosz", „obalenie Brüninga", „jeździec wielkopański jako kanclerz", „chytry lis" *(Der Schleicher)* i „w Hitlera królestwie niebios", poświęcone są stopniowemu załamywaniu się republiki niemieckiej pod naporem żerującego na nędzy mas z coraz większem powodzeniem hitleryzmu. Autor zdradza daleko idące uprzedzenie do Brüninga, którego głęboka religijność działa mu widocznie na „liberalne nerwy". Zarzuca on mu więc chęć zdrady republiki na rzecz monarchizmu, przyczem powołuje się na rewelacyjne zeznanie b. min. Treviranusa w procesie przeciwko b. komisarzowi osiedlenia p. Gerecke. Nazywa on go wprost „grabarzem" demokracji! Odmawia mu wszelkich zasług, nawet uratowania marki w chwili krachu bankowego i załamania się całej tej sztucznej konjunktury, wywołanej bezmyślnem inwestowaniem pożyczonych na cele reparacyjne miljardów amerykańskich. Autor zarzuca Brüningowi i niepowodzenie „Anschlussu" celnego, i tolerowanie wojny domowej pomiędzy bojówkami, i próby „dogadania się" z Hitlerem i t. d. Nie lepiej oczywiście wypada sąd autora o następcy jego, von Papenie, mężu zaufania „Kamaryli" Hindenburga i winowajcy niechęci Wilsona do Niemiec (z powodu aktów sabotażu w Ameryce). Zdaniem p. Bernharda eksmisja demokratycznego rządu pruskiego udała się tylko z powodu tchórzliwej kapitulacji socjalisty Severinga, który jako minister spraw wewn. mógł kazać aresztować „Komisarzy" i przeciwstawić policję Reichswehrze. Sądzi on, że Hindenburg nie byłby się odważył na wojnę domową. Zaznacza on też von Papenowi, że podważył on w Lozannie „dogmat" niewypłacalności Niemiec zgodą na pewne spłaty wzamian za — koncesję zbrojeniową! Następny jego układ z Hitlerem tłumaczy on poprostu chęcią zemsty na gen. Schleicherze za „podstępne" wytrącenie go z „łaski Prezydenta Rzeszy". Zdaniem autora Schleicher dążył poprostu do wojny odwetowej, chciał on więc wcielić bojówki hitlerowskie do wojska, samego zaś Hitlera spławić w oparciu o związki zawodowe i „nakręcanie konjunktury", co oczywiście się nie udało.

P. Bernhard przypisuje powierzenie władzy Hitlerowi głównie przekonaniu „Kamaryli", otaczającej starzejącego się coraz Hindenburga, że — pod presją bankierów-wierzycieli — stanie się on powolnem narzędziem w ręku von Papena i Hugenberga. Tymczasem, po wspólnem „zgnieceniu" żydów i „marksistów", Hitler pozbywa się kolejno swoich partnerów. Zdaniem autora powodzenie Hitlera zależy w przyszłości od socjalnego rozważania zagadnienia gospodarczego!? Bernhard nie wierzy jednak, by Hitler skruszył potęgę junkrów i przemysłowców, tak jak nie skruszyły ich, na swoje nieszczęście rządy demokratyczne. Wobec tego Hitler, by uniknąć rewolucji rozczarowanych mas, będzie kiedyś zmuszony szukać zbawienia w — wszechświatowej katastrofie wojennej.

Ujęcie dziejów republiki niemieckiej w książce Bernharda jest niewątpliwie bardzo ciekawe, konkluzje i wnioski, podyktowane animozją, nie zdołają wszakże wzruszyć optymistycznych obserwatorów burzliwych narodzin nowego okresu ustrojowego w Europie.

Adam Romer.

Eugenius Druwé S. J. Libri sancti Anselmi „Cur Deus homo" prima forma inedita. Analecta Gregoriana vol. III. Romae 1933. pg. IX + 104 + [46], 8°.

Nietylko miłośnik teologji św. Anzelma powita z radością III-ci tom wydawnictwa „Analecta Gregoriana". Przynosi on bowiem cenne odkrycie pierwotnej redakcji sławnego dzieła św. Anzelma „Cur Deus homo". Wydanie odnalezionego tekstu opracował i poprzedził obszernym, stustronicowym wstępem krytycznym sam jego odkrywca, ks. Eug. Druvé T. J. Tekst wydany opiera się na 3-ech kodeksach, znajdujących się w Gandawie (Bibljoteka Uniwersytecka), Brukseli (Bibljoteka Królewska) i Paryżu (Bibljoteka Narodowa). Dołączone „Appendices" na str. 99 i [39] ułatwiają zestawienie treści odnalezionego traktatu, nazwanego przez odkrywcę „Libellus", ze znanemi dotychczas dziełami św. Anzelma, a zwłaszcza z C. D. H.

We wstępie, po drobiazgowym opisie manuskryptów, wyłuszcza ks. Druwé racje przemawiające za tem, że Libellus nie jest ani „florilegium", ani „compendium" obszerniejszego C. D. H., lecz niezależnym, w sobie zamkniętym traktatem (rozdz. 1 - y). Wbrew opinji B. Hauréau wypowiedzianej w „Notices et extraits de quelques manuscrits de la Bibljothèque nationale" wykazuje ks. Druwé, iż autorem Libelli jest z całą pewnością św. Anzelm (rozdz. 2 - gi). Najważniejszą część wstępu stanowi rozdz. 3 - ci, w którym Autor ustala tezę, że Libellus jest pierwszą redakcją znanego C. D. H. Według Autora, św. Anzelm przed swem wygnaniem z Anglji nakreślił jedynie szkic przyszłego dzieła („opus adumbratum tantum"). Szkic ten bez wiedzy Świętego został prze-

pisany (zob. Praefatio do C. D. H.) i dzięki temu zachował się. Jest to właśnie nasz Libellus. We Włoszech w r. 1098 przystąpił św. Anzelm do ujęcia naszkicowanych myśli w formę wykończoną. Pod wpływem jednak okoliczności, przedstawionych przez ks. Druwé w rozdz. 4-tym, zmienił Święty zasadniczo pierwotną koncepcję. Tak ze szkicu o charakterze spekulatywno-dogmatycznym powstała rozprawa apologetyczna, jaką mamy w C. D. H. W dość silnych śladach pierwszej redakcji widzi ks. Druwé wytłumaczenie pewnych niekonsekwencyj w C. D. H., które dotychczas sprawiały tyle trudności komentatorom. W tem też jest znaczenie dogmatyczno-historyczne dokonanego odkrycia. Nie cała również zawartość ideowa Libelli została zużytkowana przy opracowywaniu C. D. H. Niektóre jej punkty doczekały się swego wykończenia w późniejszych pracach, a mianowicie „De conceptu virginali" i „De concordia", inne natomiast pozostały w swej formie szkicowej. Libellus więc wydatnie przyczyni się do wyjaśnienia genezy wielu idei teologji anzelmiańskiej. Szczególne zaś światło rzuci na anzelmiański system soterjologiczny (theoria satisfactionis vicariae). Na str. 96 wyjawia Autor zamiar dalszej pracy poświęconej właśnie tym zagadnieniom.

Z zauważonych błędów drukarskich ważniejsze są: na str. X (pod II) winno być „Iudicia interna zamiast externa, na str. X „libri C. D. H." a nie C. D. M., na str. 35 „editum fuisse" a nie edendum. Na str. 80 zbytecznem zdaje się nagromadzenie określeń „maxima longe ex parte".

Ks. J. Piwiński T. J.

Doering Oskar: Christliche Symbole. Leitfaden durch die Formen und Ideenwelt der Sinnbilder in der christlichen Kunst. Herder 1933, str. 144, 69 ilustracyj.

Hesse Ludwig: Die letzten 1000 Jahre. Kulturgeschichtliche Tabellen. Müller u. I. Kiepenheur Verlag. Potsdam (1934). str. 252.

Dwie pożyteczne, o charakterze podręcznym książki. Pierwsza przynosi zarys symboliki chrześcijańskiej. Autor zamierzał pierwotnie przygotować nowe, uzupełnione wydanie Symboliki Andrzeja Schmida z r. 1909. W czasie pracy okazało się, że wobec konieczności uwzględnienia wyników badań ostatniego ćwierćwiecza, rzecz nie da się ująć w formy nowego wydania, ale należy obrobić temat nanowo. Z książki Schmida pozostał tylko układ treści. W części pierwszej, ogólnej, autor na 24 stronach wyjaśnia pojęcia, omawia źródła i historję symboliki chrześcijańskiej. W części zaś szczegółowej przechodzi poszczególne symbole, ujęte w grupy wedle prawd, osób i rzeczy symbolizowanych. Mamy więc symbolikę Trójcy św., nieba, Chrystusa i Jego krzyża, Matki Boskiej, Aniołów, Kościoła, Ewangelistów, Sakramentów, cnót i grzechów, rzeczy ostatecznych, szatana, symbolikę liczb, barw, kwiatów, nauk, przyrody. Na końcu dodano symboliczne

atrybuta Świętych, symbole, nie dające się ująć w wyżej podane grupy, bibljografję najpoważniejszych dzieł z zakresu symboliki i indeks rzeczowy. Gruntowność opracowania, jasny układ treści, stąd łatwość korzystania, dobre ilustracje — te wszystkie zalety sprawiają, że książka Doeringa stanie się wprost nieodzownem *vade mecum* symboliki i źródłem pierwszych wprowadzających i orjentujących informacyj dla historyków i teologów.

Wśród licznych chronologij i tablic chronologicznych książka Hessego jest pewną nowością, ponieważ po raz pierwszy w swoich zestawieniach objęła nietylko historję polityczną, ale w szerokim zakresie całą historję kultury. Dla 933 lat naszego tysiąclecia zebrano ponad 10000 pozycyj, ułożonych chronologicznie latami, bez podawania jednak miesięcy i dni. Autor uwzględnia przedewszystkiem i szeroko dzieje kultury zachodnio-europejskiej a bardzo skąpo wschodnio-europejskiej, słowiańskiej, a więc i polskiej. Z historji polskiej znajdujemy tylko najważniejsze zdarzenia historyczne; literatura i sztuka polska jest prawie zupełnie pominięta. Poza tym pierworodnym grzechem wszelkich nietylko zestawień chronologicznych o celach popularyzatorskich, ale niestety prac nawet naukowych, książka Hessego zrobiona jest porządnie i przynosi mimo nieuniknionych zresztą braków i przeoczeń (np. str. 64 r. 1535 „Die heilige Therese vom Kinde Jesu, Urheberin des Herz-Jesu-Festes, tritt in ein Karmeliter-Kloster ein"), bardzo obfity materjał, z którego chętnie i łatwo będą korzystać redaktorzy dzienników i czasopism.

Ks. St. Bednarski T. J.

Morawski Michał Ks. Dr.: Monografja Włocławka (Włocławia), Włocławek 1933. Nakładem Autora. Str. 439 i ilustracje.

Włocławek należy do bardzo nielicznej grupy miast polskich, które najwłaściwiej mogą być nazwane miastami biskupiemi. Fakt istnienia w niem od 12 wieku siedziby biskupiej zadecydował o jego historyczności, o takim a nie innym jego rozwoju. Gdy w dziejach innych miast katedra biskupia była jednym tylko z wielu czynników kształtujących, to we Włocławku stała się ona czynnikiem dominującym, naczelnym, w pewnych okresach nawet jedynym. Ten charakter, który miasto, mimo zmienionych warunków, posiada i dzisiaj, budzi zainteresowanie historyków Kościoła w Polsce. Świadczy o tem spora literatura, podana w dodatku omawianej przez nas monografji, świadczy przedewszystkiem ona sama. Autor, profesor historji kościelnej włocławskiego seminarjum duchownego, zebrał całą dotychczasową literaturę historyczną, odnoszącą się do Włocławka, uzupełnił ją własnemi badaniami źródłowemi, i na podstawie tego materjału dał nam wyczerpującą monografję dziejów miasta od ich początków po dzień dzisiejszy. Wielka obfitość szczegółów i drobiazgów sprawia, że książka omawiana jest raczej jakby encyklopedją Włocławka,

a nie monografją we właściwem tego słowa znaczeniu, brak bowiem pracy ks. Morawskiego syntetycznych ujęć i przeglądów. W niektórych partjach, a zwłaszcza w rozdziałach poświęconym zabytkom sztuki Włocławka, autor zbyt ufa relacjom swych poprzedników, zamało sięga do źródeł i wygłasza poglądy i oceny budzące czasem poważne zastrzeżenia. Szata zewnętrzna książki i ilustracje stoją poniżej minimum najskromniejszych wymagań, stosowanych do tego rodzaju wydawnictw. Jest dla nas rzeczą niezrozumiałą, jak to się stało, że taka praca nie znalazła mecenasów w środowisku, w którem powstała.

Ks. St. Bednarski T. J.

Henryk Życzyński: Problemy wersyfikacji polskiej. Cz. I. Rytm poetycki. Lublin 1934. — Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie. Praca Komisji Filologicznej Nr. 4.

Katolicki uniwersytet lubelski uczynił z miasta prowincjonalnego ośrodek naukowy. Pomnikowa zbiorowa monografja o Staszicu, rozprawy o dawnej kulturze lubelskiej i innowiercach w stronach lubelskich Riabini'na i Kossowskiego, prace nad historją wychowania Kukulskiego zwracają uwagę na znaczenie tego ośrodka, który promieniuje również na kresy wschodnie. Wśród uczonych lubelskich rysuje się też wyraziście, obok niestrudzonego w wysiłkach erudycyjnych Hahna, indywidualność polonisty Życzyńskiego. Dobry teoretyk, niepospolity znawca romantyzmu i jego związków z teorjami Zachodu, zorjentowany w rozwoju nauki o literaturze na Zachodzie, ma Życzyński dużą przenikliwość badawczą i jasność stylu, co pociągają dla jego wywodów i spostrzeżeń.

Że zaś teorja polskiego wiersza nie jest ustaloną, więc zabrał się do niej tem więcej ochoczo, że tak zasłużony jeszcze przed wojną światową Wóycicki nie zajmuje się więcej swą specjalnością. Łoś był zaś lingwistą i nie znał nawet tak podstawowych dzieł zachodnich, jak Sarana o wierszu francuskim. Życzyński stwierdza, że teorja mało interesuje badaczy, a zwłaszcza teorja wiersza polskiego. Niema u nas nawet ścisłej definicji wiersza. Życzyński, idąc za Grammontem i Sieversem, daje definicję istoty poetyckiego rytmu, opierając się na Dessoirze i Müller-Freienfelsie, zestawia dawną i nową naukę o wierszu, wreszcie, biorąc za punkt wyjścia dzieło Sarana, roztrząsa, w polemice z Wóycickim, pojęcie wiersza i miary rytmicznej, zastanawiając się szczególnie nad budową polskiego trzynasto i jedenasto zgłoskowca. Osobne uwagi poświęca zmianie rytmu, popierając swe uwagi licznemi cytatami. Wypada życzyć autorowi, by polską naukę o wierszu rozbudował w sposób, któryby dotkliwą lukę w nauce o literaturze wypełnił, zgodnie z postępem tej nauki na Zachodzie.

Tadeusz Grabowski.

Benedictus Henricus Merkelbach O. P.: Summa theologiae moralis. Tomus tertius, Paris. Desclée de Brouwer & Comp. 1933; str. 959.

Wyrażone na tem miejscu (grudzień 1932 r. str. 367) życzenie rychłego doczekania się trzeciego tomu omawianej teologji moralnej, zostało przez uczonego jego autora stosunkowo szybko zrealizowane. Leżący przed nami trzeci tom teologji moralnej, a zawierający wykład o sakramentach, stoi w zupełności na wysokości zadania i całkowicie harmonizuje z poprzedniemi tomami. Śmiało tu też można powtórzyć za takim znawcą tych kwestyj, jakim jest O. Vermeersch, profesor gregorjańskiego Uniwersytetu w Rzymie (Gregorianum 1932. fsc. 2.), że studjum dzieła O. Merkelbacha zarówno młodzieży teologicznej jak i dojrzałym już kapłanom ułatwi nabycie wiedzy nietylko solidnej, ale też i prawdziwie naukowej, i to w stopniu wyższym, niż przeciętny.

Jak poprzednie dwa tomy tak i obecny tom odznacza się jasnym stylem i potoczystym, przytem w wykładzie umiał autor przedziwnie zachować doskonały umiar przy uwzględnianiu zarówno części dogmatycznej, która musi być podstawą spekulacyjną praktycznej nauki o sakramentach, — jak i przepisów prawa kanonicznego i liturgicznego, które przy administracji sakramentów św. muszą być zachowywane. Ponadto przez obficie porozrzucane po całem dziele uwagi i wskazówki wyczerpująco uwzględnia autor wymagania kazuistyki. Szczególniejszą zaś zaletą dzieła omawianego jest ta okoliczność, że wiernie opiera się o naukę św. Tomasza z Akwinu i szczegółowo uwzględnia błędy i zarzuty zarówno dawne protestanckie jak i nowsze krytyki liberalnej i modernizmu. Zawsze jednak, gdy ma autor do czynienia z przeciwnikami, czyto autorami niekatolickimi czy też innemi zapatrywaniami teologów katolickich, zdania przeciwne przedstawia spokojnie i rzeczowo i w taki też sposób odpowiada na zarzuty i poruszone trudności.

Dlatego to w całości należy dzieło O. Merkelbacha uznać nietylko jako dzieło prawdziwie magistralne, ale i w najlepszem tego słowa znaczeniu za nowoczesne i postępowe.

Ks. Dr. E. Chomrański T. J.

Kossak-Szczucka Zofja: Pątniczym Szlakiem. Wrażenia z pielgrzymki. Nakładem Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. Str. 245 i ilustracje.

Tygodnik Ilustrowany zapowiedział, że w kwietniu b. r. zacznie drukować nową powieść historyczną Kossak Szczuckiej, osnutą na tle wypraw krzyżowych. Powieść tę Autorka przygotowywała od lat przez studja historyczne, a w r. 1933 wybrała się na „wizję lokalną" szlakiem krzyżowców do Ziemi Świętej. Wrażenia swoje i przeżycia opisała w pięknej, przemiłej, po mistrzowsku napisanej książce, którą zamierzamy omówić. Tytuł:

Pątniczym szlakiem doskonale oddaje treść książki i nastawienie Autorki. Nie turystką zwykłą była, ale pątniczką, idącą szlakiem tysięcy pątników, zdążających do świętych miejsc, by na nich przeżywać zdarzenia, jakie się tam rozegrały i uczcić święte pamiątki. Pamiątek tych przedewszystkiem szuka, gdy je znajdzie, cieszy się jak dziecko, kiedy odkrywa pamiątki po swoich rodzicach, gdy ich nie znajduje, gdy one zniszczone lub niedostępne lub w pohańbieniu, wtedy w żarliwości swej wiary krzyżowców boleje i w twardych, choć słusznych słowach rzuca t. zw. chrześcijańskiemu światu w twarz surowy wyrzut. Najbardziej boli ją pohańbienie Grobu św., a radością napawa i źródłem gorących przeżyć stają się te święte miejsca, które przechowały się do naszych czasów nienaruszone i nietknięte nawet wątpliwej wartości ozdobami kultu i sztuki. Wtedy oddaje się kontemplacji i w krótkich ale prześlicznych obrazach, żywo i barwnie wskrzesza zdarzenia biblijne. Rozdziały: *Z wieczernika do Getsemani, Przy świętym Grobie, Szlakiem kolend, Na puszczy, Swojacy jerozolimscy, Ołtarz Przemienienia, Chrystus Młodzieniec, Słowa żywota masz* są najpiękniejszymi obrazkami biblijnymi naszej literatury. Opisy Nawiedzenia, Betleemu, Nazaretu, Studni Jakubowej, Góry Tabor przepojone są niezwykłym czarem poezji i żarem uczucia religijnego. Autorka, malując nam te wzniosłe obrazy, nie zapomina jednak, że książka jej jest tylko zbiorem wspomnień z podróży; w takt pędu autokarów turystycznych od kontemplacji świętych dziejów i wspomnień wypraw krzyżowych, wraca do chwili obecnej, do towarzyszów podróży, do barwnej, krzykliwej rzeczywistości i rzuca znowu krótkie, ale zawsze mistrzowsko plastyczne obrazki, uwagi i refleksje, nierzadko dowcipne, to znowu wiele dające do myślenia. Nasza literatura podróżnicza została wzbogacona o dzieło pierwszorzędnej wartości. Zastanawiające jest jednak milczenie oficjalnej krytyki, która zachwyca się tandetą, nagradza laurami miernoty postawione na świeczniku celową reklamą. Rozwiązanie zagadki proste: *catholica non leguntur et non laudantur.*

Ks. St. Bednarski T. J.

Marja Kępińska: Świadome macierzyństwo. Poznań 1934, nakł. Zjednoczenia Katolickich Związków Kobiet (Księg. Św. Wojciecha). Str. 175.

Nareszcie mamy jedną z tych książek, których nam tak bardzo potrzeba — książkę o kobiecie, o matce, o macierzyństwie, napisaną przez kobietę inteligentną, matkę, katoliczkę! Nie potrzebujemy obawiać się zarzutu powtarzania starych poglądów, narzekania na obecne czasy, wyklinania winowajców. Autorka orjentuje się dobrze w zagadnieniach chwili, zna prądy nowoczesne i ich przedstawicieli, umie ocenić je rzeczowo a trafnie, i co szczególnie jest ważnem, nie poprzestaje na samej krytyce,

ale kreśli też pozytywny program — czem jest i być powinno macierzyństwo „świadome" i kobieta-matka.

Ta pozytywna część zaznacza się w ciągu całej książki, ale całkowicie poświęcony jest jej ostatni rozdział p. t. „Świadome macierzyństwo" (str. 143—173). Otrzymujemy tu jego wizerunek jasny, zgodny „z wysokiem dostojeństwem kobiety-matki". Widzimy znaczenie dziecka, ważność przygotowania przyszłej matki, potrzebę społecznej pracy w tym kierunku, szczęście, jakie macierzyństwo niesie.

Wnioski te nie są tylko wykwitem naiwnego optymizmu. Poprzedza je sto kilkadziesiąt stron, na których autorka rozprawia się ze stosunkami i prądami, jakie stają dziś na drodze powyższemu programowi. Rozpoczyna od „dzisiejszej" kobiety, częstej u niej niechęci do dziecka, wskazuje na przyczyny tego zjawiska, na obecne obniżenie poziomu moralnego i upadek instytucji małżeństwa, odpowiada na wysuwane trudności, podkreśla społeczne znaczenie rodziny. Rozdział 2 i 3 zajmuje się bliżej tymi, którzy przyczynili się tu do złego. Trzy osoby zostały scharakteryzowane dokładniej: Boy, Lindsey, Russell; autorka nie wyzyskuje wszystkich ich dzieł, ogranicza się do najgłośniejszych, ale zestawia dobrze zawarte w nich poglądy i poddaje sprawiedliwej, przedmiotowej krytyce. Rozdział 3-i poświęcony jest dzisiejszemu ruchowi eugenicznemu w ujemnej jego postaci, której przeciwstawiony zostaje na punkcie macierzyństwa zdrowy, katolicki program.

Całość, oparta na szerokiem oczytaniu i zdrowej orjentacji wśród panujących stosunków, zasługuje na gorące polecenie. Wobec rozlicznych poruszonych tu zagadnień, niektórych wogóle trudnych do rozstrzygnięcia, nie mogło się oczywiście obejść bez pewnych usterek, są one jednak dla właściwego tematu czemś drugorzędnem i nie zmniejszają wcale wartości pracy. Sądzimy, że ze strony katolickich kobiet byłoby błędem nie do darowania, gdyby nie starały się o jaknajszersze rozpowszechnienie tej książki.

Ks. St. Podoleński T. J.

Spacil Theofilus S. I., Doctrina Theologiae Orientis Separati de Revelatione, Fide, Dogmate. Pars I Doctrina Theologiae Orientis Separati exponitur... — Orientalia Christiana fasc. 88, Vol. XXXI, 2. pg. 145—390. Romae 1933.

Rozmach prac, jakie w ostatniem zwłaszcza dziesięcioleciu podjęto nad zjednoczeniem Kościołów schizmatyckich z macierzą, nietylko w dziedzinie praktycznej, ale także na polu naukowem, może napełnić każdego katolika szlachetną dumą. Wyrazem działalności naukowej na tem polu są przedewszystkiem Orientalia Christiana, organ Papieskiego Instytutu Wschodniego. Cały zeszyt omawiany wypełnia praca ks. Spacila. Na podstawie bogatej lite-

ratury fachowej, uwzględnia on przedewszystkiem księgi symboliczne i nowszą literaturę, przeważnie rosyjską. Autor, wybitny znawca teologji porównawczej, przedstawia objektywnie, *sine ira et studio,* podstawowe pojęcia objawienia, wiary i dogmatu w oświetleniu teologów prawosławnych.

W ramach krótkiego sprawozdania trudno wchodzić w szczegóły, schematyzować też niepodobna, gdyż pojęcia teologów wschodnich niezawsze dadzą się wtłoczyć w ścisłe kategorje naszego myślenia teologicznego. Autor również nie systematyzuje sposobem podręcznikowym wyniku swych badań, nie zaciera odcieni myśli poszczególnych teologów prawosławnych, lecz stosuje metodę analityczną, jedyną w tego rodzaju pracy, chociaż nie zapomina także o syntetycznym rzucie oka na całość poszczególnych rozdziałów.

Bardzo dobrze czyni Autor, że zaczyna od zestawienia opinij teologów prawosławnych o religji wogóle. Tutaj bowiem tkwi już istotne źródło wielu odchyleń od prawdy. Następnie analizuje kwestje wchodzące w skład teologji fundamentalnej, pomijając tylko traktat o Kościele. W końcowym rozdziale zestawia krótko poglądy teologów prawosławnych z nauką katolicką.

Praca jest gruntowna i na czasie. Dlatego przyjęta będzie z wdzięcznością przez środowisko intelektualne, zainteresowane teologją porównawczą.

St. Felczak T. J.

Bronisława Ostrowska: Pisma poetyckie tom czwarty. Pierścień życia — Tartak słoneczny — Wiersze ostatnie. Warszawa 1933. Wyd. Mortkowicza, str. 228.

Świeżo wydana wiązanka liryków Ostrowskiej obejmuje utwory poetki z lat od 1918 do 1925 i obok wierszy uprzednio drukowanych podaje sporo nowych. Wspólną ich cechą jest gorące umiłowanie życia, piękna przyrody i ojczystych pól, żywe uczucie religijne i słoneczna pogoda duszy, którą przyćmiewa nieco jeno pewne znudzenie na widok szarzyzny życia i jakiś smutek płynący z przeczucia rychłej śmierci. Poetka unika akordów silniejszych, opisu wstrząsających kataklizmów, ale z ogromną wnikliwością wyraża przeżycia łagodne, odzwierciedla uczucia wrażliwej swej duszy, budzące się pod wpływem nieuchwytnych niemal pobudek, jakie niesie codzienne życie. I w tej wnikliwości subtelnie oddanej w pełnym uroku, melodyjnym wierszu tkwi właśnie główny powab jej utworów. W opisach przyrody wyrazistość i żywy koloryt. Oto naprzykład piękny opis wieczoru:

Wilgotny smętek wieczoru
Płynie po leśnych moczarach
W śnie...
Zachód prześwieca wśród boru,
Smugami złocąc w oparach
Pnie.

Pełne wdzięku wierszyki o dzieciach (Stasia, Radość, Smutek) przypominają żywo strofy Słońskiego o Hani. Natomiast „Koło święconej kredy" grzeszy pewną zawiłością i niejasnością w urywanych niedopowiedzeniach.

Ks. Tadeusz Karyłowski.

O. Dr. Kostecki, Dominikanin: Św. Albert Wielki. wyznawca, biskup i Doktór Kościoła. Lwów 1934. Wydawnictwo OO. Dominikanów. 8° str. 178 + IX.

Wielka wdzięczność należy się O. Dr. Kosteckiemu za ten pierwszy w języku polskim życiorys św. Doktora Powszechnego. Rzecz, oparta na szerokiem oczytaniu się w najstarszej i najświeższej literaturze (bibljografja podana na końcu książki), robi wrażenie silnego skrótu przebogatej treści. Treścią tą jest życiowe dzieło św. Alberta. W trzynastu rozdziałach, jakby w sobie zamkniętych szkicach, przesuwa się ono szybko przed oczami czytelnika. Czytelnik słyszy daty, krótkie wiadomości o osobach, wypadkach, stanowiskach, podróżach, pracach, zamiłowaniach. Przygląda się rysom charakteru Świętego jako człowieka, syna Kościoła i swego Zakonu, badacza, myśliciela, męża Bożego. Z miłem zdziwieniem natknie się na interesujący rozdzialik o legendach. 14 rozdział daje historję kultu Świętego od chwili śmierci aż do ostatnich uroczystości polskich (może zbyt szczegółowo opisanych). Książka napisana jest bardzo przystępnie, językiem scholastycznie przejrzystym i prostym, owianym sympatycznem ciepłem przywiązania do własnego Zakonu i do uwielbianego Świętego, noszącym stygmat szczerości i pełnej lojalności wobec prawdy. Prócz nielicznych i drobnych przeoczeń (np. ponowny opis tych samych rzeczy str. 111 i str. 135; powtarzanie prawie identycznych zwrotów np. „należy pamiętać, że...", nic nie można zarzucić. — Życiorys ten odkłada się z zadowoleniem, że polskiej literaturze hagjograficznej przybyła tak pożyteczna i miła książka. Nakoniec trzeba wyrazić nadzieję, że w niedalekiej przyszłości, albo Szan. Autor, albo inna „ręka jakiegoś historyka - fachowca" z pośród polskich OO. Dominikanów poda naszemu społeczeństwu obszerniejsze i bardziej szczegółowe dzieło o św. Albercie Wielkim.

Ks. J. Piwiński T. J.

Car. Boyer S. I. Tractatus de Deo creante & elevante, ed. 2. Romae 1933, p. 8 vo. 545,

Jest to 2. wyd. po druku prywatnym z r. 1929. Dzieli się jak zwyczajnie, na 4 części: o stworzeniu, o uświęceniu człowieka rajskiego, o grzechu pierworodnym i Niepokalanem Poczęciu N. P., angelologja. Materjał szkolny zawarty w 25 tezach, rozszerzony w dopiskach i wyimkach z celniejszych dzieł Ojców Kościoła. Nauka jest zgodna z powszechną tradycją teologiczną, spekulacja

w duchu tomistycznym. Nowsza literatura podręczna podana przed każdą tezą. Brak wykazu biblijnego i autorów. Książka wobec braku nowszych podręczników z tego zakresu i walorów wewnętrznych zasługuje na polecenie.

Ks. Morawski T. J.

De Oriente documento, Studia et libri. Orientalia Christiana, fasc. 89. vol. XXXII pg. 294.

Obecny zeszyt przynosi nam wiele cennych szczegółów z różnych dziedzin orjentalistyki. I tak G. Hofmann, przedstawiając stosunek kilku patrjarchów konstantynopolitańskich z XV—XVIII w. do katolicyzmu, daje ważny przyczynek źródłowy do historji unji (str. 5—39). P. Vancourt, opierając się na dokumentach dotąd jeszcze nie opublikowanych, przedstawia naukę Jerzego Coressiosa (zm. ok. 1654) o łasce. Autor wykazuje że dzielny obrońca prawosławia przeciw błędom kalwińskim w swem pojęciu o łasce, pomimo pewnych naleciałości palamickich, zgadzał się zasadniczo z nauką katolicką (str. 40—95).

Z zakresu prawa kanonicznego długi i gruntowny artykuł E. Hermana o obrządku bada samo pojęcie rytu w prawie kościelnem i wyciąga stąd konsekwencje prawne; zwłaszcza stara się określić, czy i o ile obrządki wschodnie podlegają konstytucjom i dekretom Papieża oraz Soborów powszechnych, a również jak obowiązuje obrządek wschodni swych wiernych, przebywających na obcem terytorjum kościelnem (str. 96—158). Tenże Autor omawia nowsze publikacje z dziedziny prawa kościelnego wschodniego. Na pierwszy plan wysuwa się tu 10 tomów źródeł, wydanych przez papieską Komisję Kodyfikacyjną prawa kanonicznego wschodniego w latach 1931—33, jak również Statystyka hierarchji i wiernych obrządków wschodnich (str. 228—248). — Na wzmiankę zasługuje także przyczynek do filozofji Wł. Sołowjowa E. v. Iványka. — Z pod pióra F. X. Rocca pochodzi zaopatrzone wstępem i uwagami włoskie tłumaczenie legendy malabarskiej o św. Tomaszu Ap. (str. 168—179). Wkońcu J. Ledit analizuje niektóre nowsze prace historyczne, dotyczące Słowian wschodniego obrządku (str. 180—227)

S. Felczak T. J.

L. Lohn: Doctrina Nestorii de mysterio Incarnationis, Leopoli 1933 in 8° p. 39. Wyd. „Bibljoteka Religijna" (seorsim impressum ex „Collectaneis Theologicis" XIV (1933).

Autor obrał sobie za cel rozwiązanie pytania: „Czy Nestorjusz był nestorjaninem?" Krótki wstęp łącznie z danemi zawartemi w zakończeniu (conclusio) pozwalają zorjentować się w genezie historycznej zagadnienia. W I-ej części pracy znajdujemy przedstawione powody, dla których krytycy protestanccy uznali N. za niesprawiedliwie napiętnowanego mianem heretyka. W II-ej

części przprowadza Autor wnikliwą i głęboką analizę chrystologji N. Wynikiem jej koniecznym jest wniosek, że jednak nauka N. zdecydowanie nie pokrywa się z nauką katolicką, owszem jest z nią sprzeczna. Wobec tego łamanie rąk nad niesprawiedliwością jest nieuzasadnione. — Rzecz napisana jasno, z pewnem zacięciem retorycznem; materjał dowodowy obfity. Interesujące to studjum o charakterze specjalnym przeczyta z pożytkiem każdy teolog.

Ks. J. Piwiński T. J.

Michał Ochorowicz: Utopiony księżyc. Warszawa 1934, str. 54.

Tytuł zbiorka dosyć trafnie określa zasadniczy ton podanych w nim wierszy. Cechuje go pewna niejasność, mglistość, brak wytyczonych drogowskazów. Forma wierszy udatna i gładka, świadcząca o dużem oczytaniu autora, natomiast treść uboga, żywszego reagowania na piękno w utworach jego nie znajdujemy. Autor nie ma właściwie wiele do powiedzenia. Nie brak jednak przebłysków talentu twórczego. Szczęśliwie oddane są niektóre bezpośrednie odczucia wrażeń, zaczerpnięte z przyrody. (Chochoły, Noc, Jesień, Warszawa). Pełne uroku jest porównanie nocy do dziewczęcia „o oczach przymkniętych, idącego szlakiem srebrzystym księżyca i zrywającego złote gwiazdy z czarnej tafli stawu" (str. 11). W drugiej części zbiorku zawierającej erotyki, obok niezaprzeczenie udatnych strof (Tęsknota) sporo prostej grafomanji, usiłującej daremnie zastąpić brak poezji tonem pewnego cynizmu, lub wybujałej zmysłowości.

Ks. T. Karyłowski.

Ks. Dr. Eugenjusz Dąbrowski, Historyczność zapowiedzi prymatu Piotra w świetle krytyki i filologji. (Sprawy Biblijne, zeszyt XVI). Poznań 1933, str. 32.

Ważny tekst ewangelji św. Mateusza r. XVI w. 17—19, dotyczący zapowiedzi prymatu Piotra, był i jest przedmiotem szczegółowych i wszechstronnych badań. Słuszną więc było rzeczą, by i w języku polskim znalazł treściwe ale gruntowne zarazem opracowanie. Zadania tego podjął się ks. prof. Dąbrowski. W referowanej przez nas rozprawie, zbiera on w syntetycznem ujęciu wynik dotychczasowych dociekań, uzupełniając go własnemi wnioskami.

Roz. 1. podaje krótko zarys historji badań nad autentycznością tekstu (str. 5—13). W roz. 2. wykazuje, że krajobraz Cezarei Filipowej doskonale harmonizuje z przenośnią użytą przez Chrystusa (str. 14—21). Wreszcie w roz. 3. Autor podaje w transkrypcji fonetycznej możliwą rekonstrukcję aramajską logjonu, która uwydatnia jego koloryt semicki, a tem samem jest nowym dowodem autentyczności.

Rozprawa pomimo swej przystępności jest utrzymana na wysokim poziomie naukowym. Zwłaszcza roz. 2-gi rzuca wiele nowego światła na zrozumienie perykopy. Dla uniknięcia jednak pewnej mieszaniny językowej może lepiej byłoby dosłowne cytaty w językach obcych przenieść do przypisków.

S. Felczak T. J.

Juljan Podoski: Rycerze z K. O. P. Powieść. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa, str. 190.

Obrona rubieży Rzeczypospolitej niejednokrotnie już dawała pisarzom naszym temat do zajmujących opowieści. Nie dziw więc, że barwny opis życia na kresach, zawarty w powieści Podoskiego starszy nawet czytelnik czyta z zapartym tchem, tem więcej będzie się ona podobała młodzieży, dla której w pierwszym rzędzie była pisaną. Charaktery osób zaznaczone wyraziście, akcja powieści fascynująca i żywa. Mile uderza swoistość typów, rdzennie polskich i humor, ożywiający tok opowiadania. Wprost kapitalny jest typ wiarusa kresowego, jaki daje nam autor w wachmistrzu Przepiórce! Ale obok sielankowych i komicznych epizodów mamy w powieści Podoskiego sceny o napięciu wysoce tragicznem, obrazy porywającego męstwa i poświęcenia. Cała powieść przepojona jest najszczytniejszą, daleką od jakiejkolwiek partyjności, miłością Ojczyzny. Co do szczegółów powieści sądzę, że epizod zamachu samobójczego Przepiórki lepiej byłoby opuścić. Nie jest on dosyć uzasadniony, a nadto niepedagogiczny. Pozatem „Rycerze K. O. P." zasługują na najusilniejsze zalecenie jako miła, zajmująca, a przedewszystkiem pożyteczna lektura dla polskiego chłopca. Oby więcej takich książek zjawiało się na wystawach naszych księgarń i kiosków książkowych!

Ks. Tadeusz Karyłowski.

Dr. Anna Danuta Drużbacka, Esquisse du développement du problème du mal physique et moral depuis l'antiquité jusqu'à saint Augustin. Varsovie, Société Polonaise d'histoire. Warszawa 1933 str. 13. Odbitka z „La Pologne au VII Congr. Internat. des Sc. hist."

Autorka kreśli dzieje problemu zła od dualizmu, poprzez filozofję grecką, aż do chrześcijaństwa z jego świadomą opozycją przciwko gnostycyzmowi i uwydatnieniem tej prawdy, że zło moralne ma początek we woli stworzenia rozumnego, które tylko przez łaskę zdoła się podźwignąć z upadku. Treściwe i jasne ujęcie problemu w jego rysach istotnych kończy się uwagą, że myśl chrześcijańska, oświecona wiarą, bezpiecznie wznosi się do spekulacji filozoficznej.

S.

Z literatury powieściowej.

Jan Parandowski: Odwiedziny i spotkania (Rój). — Michał Rusinek: Człowiek z bramy (Gebethner). — Michał Choromański: Opowiadania dwuznaczne (Gebethner). Adam Grzymała Siedlecki: Miechowiec & Syn (Gebethner). — Wanda Miłaszewska: Trzecia siostra (św. Wojciech). — Kazimierz Zdziechowski: Podzwonne (Odbitka z „Czasu"). — Janusz Meissner: Latający djabeł (Rój). — François Mauriac: Powrót do Boga, przekład Marji Rafałowicz-Radwanowej (Księgarnia popularna). — Maksymiljan Józef Ziomek: Czytelnictwo powieści w Polsce w świetle cyfr (nakładem tow. ekonomicznego w Krakowie).

Studja literackie, książki „o książkach", nie cieszą się u nas poczytnością. Szeroka publiczność mało się niemi interesuje, uważając je za lekturę fachową dla pisarzy i literatów. Jeszcze biografje, zwłaszcza *biographies romancées* — znajdują czasami łaskę w oczach czytelników, ale tom zawierający szkice i studja pozostaje najczęściej na ladzie księgarskiej, gdyż już spis rozdziałów ewentualnego czytelnika zniechęca. Temu tylko nastawieniu przypisać można, że jedna z najświetniejszych książek, jakie ukazały się ostatnio tak małe stosunkowo do swej wartości wzbudziła zainteresowanie. Mówię o ostatnim tomie Jana Parandowskiego „Odwiedziny i spotkania". Oczywiście głośno o niej w prasie i krytyce, ale mało się o niej słyszy i mówi; szeroka publiczność jej nie czyta, pozbawiając się wielkiej literackiej rozkoszy. Bo bez przesady powiedzieć można, że ten tom, na który składają się studja o Flaubercie, France'ie, Kochanowskim, Remarque'u, Massisie, Bendzie, Prusie i Zielińskim — to najwyższy szczyt na jaki wznieść się może literacka krytyka, to „essaye", którym równych długo szukaćby można w literaturze europejskiej. Gdy się mówi o Parandowskim trzeba zawsze zaczynać od jego języka i stylu. Powiedzenie, że jest to jeden z najświetniejszych, może wogóle najświetniejszy polski stylista jest tylko stwierdzeniem faktu, ale nie oddaje zupełnie tego jakiegoś nieporównanego czaru wiejącego z każdego zdania tego pisarza, nie daje pojęcia o przedziwnym blasku i wadze słów, twardych jak marmur, lśniących jak diamenty, grających jak muzyka. Na czem polega przedziwna fascynacja tego jedynego w swym rodzaju języka Parandowskiego, języka ascetycznie surowego, ogołoconego z wszelkich ozdób, języka przejrzystego jak źródło górskie, zrozumiałego dla dziesięcioletniego dziecka, języka niczem zda się nie różnego od najpotoczniejszej mowy, a wystrzelającego ponad nią jak szczyt góry nad płaszczyznę — to już własna tajemnica pisarza. Każde z krótkich prostych zdań sklepione jest jak katedra. Każde w sobie zamknięte, doskonale wykończone, ogładzone i wymierzone a do następnego jak kamień do kamienia w doskonale dostosowanej mozaice przystające. Ma się wrażenie, że każde słowo wchodzące w małe arcydzieło zdania było osobno ważone dobierane i szlifowane, każde

zmuszone zostało do wydania najpełniejszego na jakie je stać dźwięku. Gdy się czyta w studjum o Flaubercie, jak pisarz ten w mozole i męce ważył zdania, pisząc ich pięć przez długi pracowity dzień, walcząc ze słowami jak Jakób z aniołem, jak wyrywał w rozkosznej męce zdanie za zdaniem z mgławicy ludzkiej mowy — ma się wrażenie, że Parandowski pisze o sobie. Nie wątpię, Parandowski pisze prędzej i łatwiej, gdyż myślę, że do tej walki z chaosem słowa jest lepiej od Flauberta uzbrojony, ale nie wątpię, że tak jak dla Flauberta każde zdanie jest dla niego przeżyciem i problemem, że żadne mu się nie wymknie, że każde pisze z poczuciem odpowiedzialności twórczej, że instrument mowy trzyma w swym ręku z miłością i szacunkiem. Jeżeli tak szeroko rozpisałam się o stylu i języku Parandowskiego, to nie dlatego, że jak się to mówi zalety tego pisarza są czysto „formalne", lecz przeciwnie w myśl powiedzenia, że styl to człowiek, a trochę i dlatego, że przyznać muszę, że trudno przestać mówić o tem co czaruje, zachwyca i olśniewa. Zresztą mówiąc o stylu Parandowskiego mówi się i o całości jego dzieła, bo tego rodzaju styl nie mógłby być w żaden sposób sklepieniem pokrywającem próżnię. Formował się od wewnątrz: potężna myśl kształtowała i wyginała jego wspaniałe łuki. A tak, jak każde zdanie jest architektoniczną całością, tak i każde studjum jest konstrukcją doskonałą. Żywość i świetność myśli, głęboka i wszechstronna kultura, oryginalność i prosta śmiałość podejścia do każdego tematu, stosunek prawdziwie osobisty do każdej z omawianych książek, czy ludzi sprawiają, że i czytelnik pozbywa się drzemiących w nim od lat sądów konwenansowych, że zrzuca z siebie całe brzemię komunałów i zamiast martwych, zmumifikowanych postaci książkowych „spotyka" i „odwiedza" ludzi żywych, jakichś nagle odmłodzonych i odświeżonych. Z pod nudnych szarych tynków ukazuje się fresk barwny i soczysty. Stanisław Adamczewski nazwał książkę Parandowskiego książką „wielokrotnicą" t. zn. książką, do której każdy kto ją przeczytał wracać będzie. Myślę, że ma rację, bo wraca się zawsze do książek, które nietylko przynoszą wiadomości, ale zmuszają do samodzielnej pracy myślowej, które działają jak stos elektryczny na myśl i twórczość czytającego, które są jednem słowem ideowo zapładniające — a taką jest właśnie książka Parandowskiego, ukazująca nam dalekie horyzonty myślowe, ukazująca je w doskonałych skrótach i syntetycznych objęciach.

Omawianie „Odwiedzin i spotkań" z punktu ideologji katolickiej jest o tyle utrudnione, a nawet bezcelowe, że Parandowski zupełnie się temi sprawami nie zajmuje. Żadnej ideologji religijnej, żadnego „światopoglądu", ani nie broni, ani nie atakuje. Z doskonałym spokojem Greka — jakim faktycznie jest — przechodzi obok tych spraw, nigdzie ich nie potrącając, przechodzi może z lekkim uśmiechem sceptyka, ale też i z zupełną nieagresywnością — i nawet pisząc o France'ie, gdzie poruszenie kwestji

światopoglądu zdawałoby się nieuniknione, nie czyni tego, zajmując się tym pisarzem jedynie jako artystą. Zresztą ocenia trzeźwo i jego dzieło i jego nadzwyczajną, ale krótkotrwałą i dziś zupełnie gasnącą popularność.

„Człowiek z bramy" Michała Rusinka jest dalszym ciągiem „Burzy nad brukiem". „Burza nad brukiem" kończy się wyjazdem Piotra Ożelucha do Gdyni. „Człowiek z bramy" opowiada jego tamże losy. Młody Piotr, obdarty krakowski ulicznik, z małym kapitałem otrzymanym od czyścibuta, zabiera się do wywoływania amatorskich fotografij. Pracą, sprytem, wytrwałością „dorabia się"; powoli rozszerza zakład, zostaje wielkim fotografem-artystą, zdobywa majątek, kupuje parcele, i jako człowiek względnie zamożny wraca do rodzinnego Krakowa. Taka jest w fakty uboga fabuła tej pierwszorzędnie pisanej pięknej książki. Dziwnym jej błędem, może nie błędem, lecz właściwością, jest to, o czem już pisałam omawiając Burzę, mianowicie, połączenie prawdy z nieprawdopodobieństwem. Psychologja Piotra — zwłaszcza dziś, gdy przyzwyczajeni jesteśmy, że pisarz nachylony nad swym bohaterem, notuje najdrobniejsze drgnienia, załamania i niekonsekwencje jego duszy — nie jest przekonywująca, a naprawdę żelazna konsekwencja tego człowieka, konsekwencja nie znająca wahań, wątpliwości, załamań — nie jest prawdopodobna. Nie jest też prawdopodobne to mądre, głębokie, tak bardzo siebie świadome, na wrażenia artystyczne jak sejsmograf czułe — na siebie i drugich spojrzenie — tego krakowskiego andrusa i dziecka ulicy. Jest to oczywiście spojrzenie samego autora. Ale notując te pseudobłędy książki Rusinka zastanawiam się, czy nie są to raczej błędy naszego spojrzenia, czy nie tkwi w tem pewien szablon, jakim przyzwyczailiśmy się powieści mierzyć, jakiś konwenansowy klucz, zapomocą którego prawdę powieści sprawdzamy. Bo chociaż niewątpliwie Piotr jest psychologicznie mało prawdopodobny, (chyba żeby był prawdziwy) choć myśli i czuje pojęciami sobie właściwie niedostępnemi, mało jest książek o tak bardzo przekonywującej i „biorącej" prawdzie, a nieprawdopodobieństwa jej nie rażą nas absolutnie w niczem. Przeciwnie mamy wrażenie, że autor odniósł w tej książce jakieś walne zwycięstwo, że rozerwał jakieś krępujące pęta, że się nad coś wzniósł i na bardzo wysokiej płaszczyźnie osiągnął szczęśliwą syntezę. Może tą syntezą jest połączenie dwóch wielkich powieściowych walorów: znakomitego realizmu i ideowego symbolizmu. Pisarz nie mający realnej ostrej wizji ludzi i rzeczy nie jest i być nie może powieściopisarzem. Powieściopisarz nie mający poza realistyczną wizją świata jego wizji ogólnej — nie może być wielkim pisarzem. Postacie nie przerysowane z życia nie są nigdy żywe, postacie jedynie fotografowane nie mające i nie chcące być typami, wyrazami, wykładnikami — nie wejdą nigdy w literaturę. Mimo całego krzyku o bez-

interesowności sztuki, o jej „czystości", nieutylitarności i t. d. faktem pozostanie, że sztuka w pewnem znaczeniu, zawsze była i będzie symbolem i znakiem, że w najwyższych swych przejawach zawsze była i będzie wyrazem dążeń, wyrazem miłości lub nienawiści, a przecież ten ożywiający ją nurt emocjonalny nie ograniczy się nigdy do konstatowania jedynie, do odrysowywania, co znowu znaczy, że idealnie i wyłącznie realistyczna nie będzie nigdy. Człowiek tworzy to, czego pragnie, a w tem pragnieniu, w tem bolesnem lub radosnem wyciąganiu ramion ku zrealizowaniu bytów swoich marzeń lub cierpień, nie może być statycznego spokoju, nie może być czystego konstatowania faktów. A także gdyby sztuka nie miała w sobie tych elementów chcących przez szczegóły tłumaczyć i wyrażać rzeczy ogólnych, nie byłaby sztuką; gdyby nie była do pewnego stopnia symboliczną, byłaby tylko zwykłą fotografją, nigdy syntezą. Utrzymanie równowagi między temi dwoma słusznemi wymaganiami powieści jest rzeczą bardzo trudną, dostępną tylko nielicznym, a tę właśnie równowagę osiągnął Rusinek w swej ostatniej książce w sposób mistrzowski. Obraz życia „ludzi z bramy", sylwetki szewca Kajdy, praczki Karasiowej, żyda Milrada, Marty, są wprost zdumiewające swą prostą, nieozdobną prawdą. Niema wątpliwości, że Kajda i Karasiowa i Milrad istnieją, że autor znał ich osobiście i w najdrobniejszych szczegółach nam ich przerysował. Ale gdyby poprzez nich nie był zobaczył i zrozumiał całej biedy, nędzy, wszystkich drobnych radości, zawodów i nadziei całego świata pracy, nie byłby tym wielkim artystą jakim jest. Ze swymi znajomymi z bramy zapoznał nas osobiście, ale także kazał nam spotykać ich zawsze i wszędzie, na każdem podwórku i w każdej bramie, przez którą przechodzimy. I choć nasz dociekliwy intelektualizm każe nam podawać w wątpliwość „prawdopodobieństwo" psychologiczne Piotra, jednak wierzyć musimy i wierzymy, że istnieje w Piotrze, i w wielu poza Piotrem, i może w nas, ta jakaś wola niezłomna, ten upór, to dążenie, że w Piotrze i w nas są i istnieją możliwości zwycięstwa i triumfu. Ten szczęśliwy realizm symboliczny Rusinka odniósł tu może jeszcze bardziej uderzające, bo mniej zwykłe, zwycięstwo, przez zespolenie w jedną artystyczną całość wielkiego owocnego wysiłku Piotra, ze zwycięskim, królewskim rozkwitem Gdyni. Ten hymn wiary i triumfu, hymn ufności w wartość i owocność wysiłku życia, w owocną dla narodu wartość ofiary, cierpienia i pracy, jest tonem porywającym a przeprowadzenie go na dwugłosie historji powieściowej bohatera i powstającej Gdyni, wyrażenie przez prostą powieść, tak pełnego optymizmu i zapału „credo" narodowego i społecznego — jest niezwykłym triumfem artystycznym autora. Gdy się zacznie wyliczać zalety książki udanej trudno skończyć, to też nie można nie wspomnieć o głębokim nurcie lirycznym, ożywiającym od wewnątrz tę surową i ściśle pisaną książkę. Ukryty ten nurt ożywia ją jakiemś ciepłem

wewnętrznem, a wydobywając się czasami nawierzch, daje obrazy tak pełne rzewności, jak nigdzie nienazwana a tak bardzo wzruszająco-smutna historja miłości i zaręczyn Marty, jak zwłaszcza historja powrotu Piotra do Krakowa. Wspomnienie matki przewijające się przez całą książkę tęskną i bolesną nutą jest może najbardziej wzruszającym pomnikiem miłości i wdzięczności synowskiej. Są prawdopodobnie błędy i niedociągnięcia w książce Rusinka, ale przyznam szczerze, mnie tak się podobała ta książka przewiana morskim wiatrem, książka rysowana grubym węglem ludzkiej biedy, rysowana dosadnie i śmiało, a taka mimo drgających w niej łez radosna, optymistyczna, tak pełna ufności i triumfu, że ciesząc się jej pięknością, błędów szukać nie mam ochoty.

Ktoś bardzo słusznie powiedział, że pisarz powinien mieć odwagę „kreślić", t. zn. poświęcać ustępy, choćby sobie miłe i bliskie, o ile z jakichkolwiek powodów nie odpowiadają doskonale konstrukcji dzieła. Ta myśl o poświęceniu oczywiście w odpowiedniej adaptacji ciągle plącze się po głowie przy czytaniu „Opowiadań dwuznacznych" Michała Choromańskiego. Po wielkiem przeżyciu literackiem jakiem była „Zazdrość i medycyna", czyta się te świeżo wydane nowele z poczuciem wzrastającego zawodu, a poczucie tego zawodu, jakiegoś niedosytu i niedociągnięcia, jest tem wyraźniejsze i bardziej uderzające, że w tym tomie odnajdujemy wyraźne echa potężnych nastrojów i wielkich literackich walorów książki zeszłorocznej. Zdarza się czasem, że osoba brzydka podobna jest czasem do osoby bardzo pięknej. Podobieństwo to drażni, czasami wywołuje jakiś błysk piękna, ale naogół osoba brzydka, czy powiedzmy mniej piękna na podobieństwie traci a nie zyskuje. Gdyby „Opowiadania dwuznaczne" były pierwszą książką Choromańskiego, napewno byłyby rewelacją, rewelacją potężnego talentu i napewno „wzięłyby nas". Ale talent ten widzieliśmy już w pełnym rozkwicie, już znamy jego nieoczekiwane chwyty, potężne uderzenia, znamy nawet doskonałą technikę „kolistą", technikę idącą z mistrzowską śmiałością i konsekwencją pod włos porządku chronologicznego. To wszystko co zapowiadają „Opowiadania dwuznaczne", widzieliśmy już zrealizowane. I teraz raczej nas drażni oglądanie w próbkach tego, co widzieliśmy w bogato i wspaniale rozwiniętej sztuce, choć oczywiście i próbki są piękne. Ale jak z tych „próbek" wydobywają się nawierzch braki i niedociągnięcia, wykazuje choćby to, że właściwy Choromańskiemu ostro zmysłowy ton opisów, opisów często makabrycznie-chorobliwych, jest tu, w tych nowelach bardziej przykry i bardziej rażący, bardziej jakoś niepotrzebnie na pierwszy plan się wysuwający, niźli w Medycynie. Wskutek tego jakiegoś pokrewieństwa obu książek nie możemy oprzeć się uczuciu, że podano nam niezużyte resztki. Gdy dochodzimy do strony ostatniej, data widniejąca na końcu, data 1931 r. przekonywuje

nas, że pomyliliśmy się, że to co braliśmy za resztki było raczej przygrywką, gdyż Opowiadania pisane były przed Medycyną. I już to wolimy. Wtedy rozumiemy, że te nowele, które mimo swych piękności nie bardzo nam się podobały były niejako „wprawką", trenowaniem, które wydało w rezultacie sukces Medycyny. I rzeczywiście wrażenie ćwiczeń robią takie opowiadania, jak to opowiadanie naprawdę „banalne", o ohydnym w swej makabryczności romansie suchotnika, jak poruszenie całego aparatu grozy, odmalowanie ponurych zboczeń, nienormalności, tajemnych powikłań nato, by opowiedzieć jak przewieziono warjata z jednego pawilonu do drugiego. Zadania świetnie może, nawet genjalnie pisane zadania, na niepotrzebne błahe zadane tematy! Może dla historyków literatury, dla badaczy dróg, któremi chadza twórczość, będzie ta książka ciekawa i cenna, ale dla nas zwykłych czytelników pozostanie tylko dziełem jakiemś niekompletnem i niedociągniętem, choć rzeczywiście na każdym fragmencie piętno olbrzymiego talentu noszącem.

Gdy się przerzuca książki na ladzie sklepowej, sprzedający rekomendują ostatnią książkę Adama Grzymały-Siedleckiego „Miechowiec & Syn" podnosząc, że jest to od czasów „Lalki" Prusa, pierwsza polska powieść kupiecka. Ponieważ powieść t. zw. obyczajowa jest oczywiście odbiciem życia, nic więc dziwnego, że w Polsce, która cierpiała zawsze na brak „stanu mieszczańskiego" powieści z tego środowiska są rzadkie i nieliczne. Lukę tę wypełnia bardzo szczęśliwie powieść Siedleckiego, zwłaszcza, że obraz, który przed nami roztacza jest bardzo wszechstronny, dokładny i bardzo przekonywujący. — Akcja powieści toczy się w jakiemś miasteczku na Pomorzu, zdaje się w Toruniu. Bohaterem jest Franciszek Miechowiec, wielki hurtownik towarów kolonjalnych. Autor wprowadza nas we wszystkie arkana handlowe wielkiego domu; poznajemy jego kalkulacje, zyski i straty, pertraktacje z zagranicznymi grosistami, z miejscowymi odbiorcami, z kompanjami okrętowemi; poznajemy konstrukcję przedsiębiorstwa, jego personel, prawie, że rachunkowość. Ta cała niejako techniczna — a o ile sądzić mogę dobrze przestudjowana i wiernie oddana — strona książki, jest bardzo ciekawa. Może zresztą wydaje nam się tak ciekawa przez to, że zapoznajemy się z nią poprzez kapitalny typ starego Miechowca. Stary ten kupiec, z pochodzenia chłop, typowy „self-made-man", założyciel dynastji, rubaszny, szorstki, poczciwy, chciwy i wyrachowany — ma rozczulająco-śmieszne ambicje dla „swego domu". Gdy okoliczności kryzysowe zmuszają go do handlu bardziej detalicznego czuje się tak dotknięty i upokorzony, jakby wielkiemu wieszczowi narodowemu kazano zamiast książek pisywać teksty na afisze. Godzinami łamie sobie głowę, jakby oszczędzić 10 zł. na jakimś transporcie, lub sposobie opakowania, od swoich pracowników

wymaga pracy nieraz ponad siły, targuje się z nimi o każdy dzień urlopu — ale, gdy przychodzi potrzeba zredukowania personelu cierpi nad tem głęboko i wszelkich używa środków, aby do tej ostateczności nie dopuścić. Cała niejako prywatna strona psychologji Miechowca jest do całości dobrze dostrojona. Jego stosunek do syna, w którym o tyle widzi człowieka o ile widzi kupca, jego pełna poczciwej gburowatości po kupiecku kalkulowana miłość dla wykwintnej Elizy, rezygnującej zresztą łatwo na rzecz syna, są pomyślane i oddane doskonale. Ta rzeczywiście wyjątkowo udana postać jest kręgosłupem powieści. Koło niej grupuje się cała galerja typów mniej lub więcej udatnych. Prokurent Kondracki byłby też doskonały, gdyby nie był tak bliskim krewnym Rzeckiego. Doskonałe są sylwetki licznie w Toruniu osiadłej emigracji kresowej, zwłaszcza trajkotliwa, poczciwa opiekunka głodomorów „stara baśń" uwija się po książce żywo, wzruszająco i zabawnie. Para klasycznych amantów Janusz i Eliza jest dość blada, ale to jest tak zwykłym losem amantów, ustrojonych w czułość, wierność i wzniosłość, że nie mamy zbytnich do autora pretensyj a jako czytelnicy już wyszkoleni, interesujemy się i wzruszamy ich historją, choć widzimy jej banalną konwencjonalność i o jej szczęśliwy koniec jesteśmy, mimo najgroźniejszych powikłań, spokojni. Większe natomiast mamy pretensje do autora o to, że dobrej swej książki nie dociągnął. Konstrukcja dobra, plastyczność postaci, żywość poszczególnych scen, szeroki i udatny rozmach tła, to wszystko zadatki na powieść bardzo dobrą a wziąwszy wszystko razem jednak tak powieści Siedleckiego nazwać nie można. Naprzód jest trochę za rozwlekła. Rzeczywiście przypomina się klasyczne powiedzenie pani de Sévigné: ma fille je n'ai pas le temps d' être brève. Widać doskonale, że trzeba było jeszcze trochę czasu i może sporo pracy, aby ściągnąć nity i śruby tej książki, aby ją uszczelnić i skondensować. Potem i to może przedewszystkiem — rażą dość liczne niedbalstwa stylowe i językowe, razi miejscami patos i oklepana banalność pewnych zwrotów i powiedzeń, razi jakiś brak zadania sobie pracy nad rozwiązaniem trudności technicznych, nad wzajemnem ustosunkowaniem do siebie „scen" i „opisów", nad związaniem w całość tego, co mówią postacie powieści, a co mówi autor od siebie. Bardzo możliwe, że ma rację Piwiński twierdząc, że Siedlecki ma żyłkę sceniczną, i że jego książka zyska wiele w scenicznej przeróbce. Co będzie trudno sądzić w tem, to jest, ma się wrażenie, że Siedlecki piękne obrazy rozgrodził bukietami papierowych kwiatów i ta dysproporcja bardzo razi zwłaszcza, że widzimy, że można było tych niebieskich róż ze złotemi listkami uniknąć. W każdym razie mimo surowego sądu jaki możnaby wydać o tej książce — może tem surowszego, właśnie, że są w niej wartości jednak pierwszorzędne — przyznać trzeba, że jest o wiele lepsza od „Samosęków". Niema w niej tego jakiegoś niemiłego, zjadli-

wego tonu, tej jakiejś niedorzecznej przesady. Przeciwnie: ton książki jest dziwnie miły, atmosfera wyjątkowo poczciwa. Już nie podnoszę tego nawet z punktu widzenia atmosfery moralnej, która jest bez zarzutu, ale jako duży i pozytywny walor literacki, bo wiadomo, że łatwiej jest pisać negatywnie t. zn. w tonie szyderstwa i satyry, łatwiej jest dać krytyczny obraz środowiska, niż dać jego obraz pozytywny, łatwiej tworzyć karykaturę, jak portret. A właśnie Siedlecki pokusił się — i pokusił szczęśliwie — o taki obraz pozytywny. Uniknął ułatwienia sobie roboty i efektów do znudzenia dziś wygranemi tonami persiflażu i „społecznej chłosty", i przez to uczynił swoją książkę nietylko miłą w tonie i sympatyczną, ale także postawił ją na poważnym poziomie artystycznym.

Wanda Miłaszewska jest autorką miłą i sympatyczną. To też „Trzecią siostrę", tak jak i każdy nowy tom w kremowej okładce o czerwono tłoczonym tytule, bierzemy do ręki chętnie i z przyjemnością. Wiemy może, że nie spotkamy się tu z żadną rewelacją, że autorka nowych dróg nam nie wskaże, że nie wprowadzi nas na tak nieraz strome i do zdobycia trudne szczyty arcydzieła, ale wiemy też, że zajmie nas fabuła opowiadania, że wśród nowo z fantazji autorki wywołanych postaci, będziemy mieć prawdziwych przyjaciół i nieprzyjaciół, że znajdziemy się wśród ludzi barwnych i żywych, w ślicznych nieraz (jak np. w Czarnej Hańczy) krajach i pejzażach; wiemy, że powieść konsekwentnie zbudowana, silnie stać będzie na nogach, że język może bez wielkiego bria, ale będzie jednak poprawny, staranny, i potoczysty, a atmosfera zacna, poczciwa, spojrzenie na życie rozumne. A to już bardzo, bardzo wiele. Genjusze trafiają się rzadko, na wierchach stale przebywać nie można. Przeciętny czytelnik potrzebuje strawy na codzień, a przyznać musimy, że właśnie o ten chleb codzienny, o książkę miłą, lekką, stanowiącą wypoczynek i rozrywkę, a jednak kulturalną i pisaną z talentem u nas jest najtrudniej. Tak jak we wszystkich społeczeństwach kulturalnie mało wyrównanych, gdzie najwyższe wykwity kultury sąsiadują z barbarzyństwem — mamy i literaturę o niewiarygodnych wprost różnicach poziomu. Obok dzieł genjalnych, dzieł na których widnieje piętno tysiącletniej kultury, mamy książki poprostu niechlujne, książki pisane zdawałoby się przez ludzi dzikich. Naszą literaturę tak jak i dawną strukturę społeczną charakteryzuje kompletny brak stanu średniego. We Francji np. czy Anglji obok dzieł wielkich, istnieje cała bujna bardzo i liczna literatura powieściowa. Są to powieści, które miną zapewne z pokoleniem, które je czyta, ale które jednak pisane są dobrze, starannie, z dużą kulturą, często z wdziękiem i dowcipem i które czytających je ludzi przyzwyczajają niejako do porządnego towarzystwa, które jeśli smaku nawet nie wyrabiają to go przynajmniej nie psują i nie deprawują, które tworzą tę kulturalną podbudowę, umożliwiającą potem ocenienie i zro-

zumienie dzieł na poziomach wyższych i najwyższych. U nas książki nie należące do kategorji najwyższej są już zazwyczaj książkami najgorszemi, najgorszemi jako robota, jako styl, jako poziom, są najczęściej już książkami tak niechlujnemi, że w zakresie kultury społecznej i smaku literackiego są już prawdziwymi szkodnikami. W tym stanie rzeczy Wanda Miłaszewska stanowi chlubny wyjątek. Nie sięgając żadną miarą szczytów, utrzymuje się jednak na bardzo poprawnym poziomie, rzetelnej, starannej, kulturalnej roboty. Żadna jej książka, powtarzam, dróg nowych nie otworzy, ale też żadna poniżej pewnego poziomu się nie stoczy, każda swoje rzetelnie zdobyte stanowisko utrzyma. Nie może nikt mieć więcej talentu niż ma, ale może tym talentem dobrze lub źle gospodarzyć, może go kultywować, rozwijać, lub zaniedbać. Otóż Miłaszewska stanowczo dobrze a przedewszystkiem czego z dostatecznym naciskiem powtarzać nigdy nie dosyć — bardzo kulturalnie talentem swym gospodarzy, talentem zresztę żywym i znacznym. Ale gospodarowanie swym talentem, wytrwanie na pewnym poziomie, wymaga dużego wysiłku, dużej pracy, a także dużego samokrytycyzmu. A pod temi względami „Trzecia siostra" budzi w nas pewien niepokój. Nie żeby była gorzej pisana, czy nawet mniej żywa, jak inne książki Miłaszewskiej, ale... ale są w niej pewne „łatwizny" sytuacyjne, pewne uproszczenia myślowe, są pewne postacie, wątki i tony, przypominające niemile, powieści z kategorji o wiele niższej, są pewne podźwięki szablonu i gorzej, których dotąd u Miłaszewskiej nie było. Czytelnik jest wobec autora, którego ceni, bardzo wymagającym, ma dla niego duże ambicje, a gdy śledzi jego twórczość od początku, chce w każdej nowej książce widzieć postęp, widzieć krok naprzód. Otóż, gdy czytając „Trzy siostry" wspomina się dawniejsze powieści Miłaszewskiej, nie widzi się tego postępu, raczej przeciwnie i to już jest zawodem. Ani urozmaicona i ciekawa sensacyjna (właśnie zbyt sensacyjna) fabuła, ani nawskróś uczciwa atmosfera tej książki nie pozwala nam zapomnieć, że pisała ją autorka „Cmentarza i sadu", a właśnie dlatego, że Miłaszewską uważamy za zjawisko społecznie i kulturalnie tak bardzo dodatnie, nie możemy się oprzeć uczuciu pewnego żalu i zawodu.

Dawno już nie spotkaliśmy się z książką sympatycznego autora Kazimierza Zdziechowskiego, to też z ciekawością bierzemy do ręki potężny rozmiarami — trzeba przyznać — tom jego świeżo wydanej powieści „Podzwonne". „Podzwonne" jest powieścią współczesną, jeśli się można tak wyrazić obyczajowo-polityczną. Główna bohaterka, pani Inia, wraca po kilkuletniej tułaczce w Rosji do kraju, do męża ongiś kochanego. Zastaje człowieka zmienionego, wzbogaconego na wojennych spekulacjach, zajętego interesami i miłostkami. Może być, że mąż wydaje się p. Ini jeszcze mniej miły przez to, że w Rosji poznała i pokochała

młodego ideowca, Andrzeja. Andrzej, marzyciel szlachetny lecz mało zrównoważony, rzuca się we wszystkie kierunki społeczne i polityczne, szukając w każdym możliwości szczęścia dla ludzkości, ideału społecznej sprawiedliwości. Jest tępicielem „fałszu i obłudy". W kraju naraża się wszystkim, burzliwemi i namiętnemi wystąpieniami; jest oskarżony o bolszewizm i komunizm. Tylko pani Inia wierzy w swego bohatera i kocha go nadal. Andrzej chce się z p. Inią żenić, namawia ją na rozwód. Ale p. Inia jest wierzącą katoliczką, zgodnie z nauką Kościoła, nie uznaje rozwodów, i woli poświęcić szczęście, niż zejść na drogę krzywoprzysięstw, krętactw, zmiany religji i t. d. Wewnętrzna jej walka jest ciężka. Opuszcza męża, którego płaskość, interesowność a także podejrzanie zdobyty majątek są jej wstrętne. Nie chce z tego majątku korzystać i zaczyna pracować na siebie. Ale, gdy dowiaduje się, że jej mąż ciężko zachorował wraca do niego, pielęgnuje go z poświęceniem, a z Andrzejem zrywa kompletnie i definitywnie. Andrzej, którego szlachetna ale dość mętna ideologja ulegnie zdaje się zmianie na lepsze, pod wpływem dobrego i rozumnego księdza — poświęci się realnej pracy społecznej. Ona, wyszedłszy zwycięsko z próby, zostanie przy mężu i także prawdopodobnie odda się akcji oświatowej i humanitarnej. Oczywiście takie streszczenie nie oddaje ani w części całej psychologji tych trzech bohaterów książki, nie oddaje przedewszystkiem najbardziej wycieniowanej historji wewnętrznych przeżyć i walk pani Ini, oddanych z uwzględnieniem wszelkich jej ludzkich słabości i pokus i całej przeciwstawianej im mocy jej wiary.

Dookoła tego wątku psychologiczno-obyczajowego, zgrupował autor bogatą galerję sylwetek politycznych, ludzi reprezentujących przeróżne polityczne zapatrywania, ludzi u władzy, do władzy dążących, od władzy odsuniętych. Pokazał środowisko Warszawy powojennej (rzecz dzieje się w latach niepodległości) różne kółka i koterje, ludzi i grupy dźwigające się ku górze, inne w cień się zsuwające. Schwycił jakby to powojenne przesuwanie się i tasowanie nowych hierarchij i wielkości; pokazał społeczeństwo, które jeszcze nie skrystalizowało się, nie złapało równowagi. Ten olbrzymi obraz ukazany w „Podzwonnem" robi wrażenie ogromnego huczącego mrowiska, gdzie wszyscy drą się do góry, staczają, wspinają, kłębią i kotłują, wszyscy wojują frazesami i hasłami, mającemi im służyć jako szczeble drabiny. Na powieść mającą odmalować społeczne i polityczne oblicze jakiejś epoki czyha zawsze groźne niebezpieczeństwo pewnej ciężkości i zbytniego przerostu części teoretycznej, „dyskusyjnej". Nie ominął tego niebezpieczeństwa i Zdziechowski. Książka jego jest stanowczo przeładowana dyskusjami teoretycznemi, politycznemi, ideowemi, religijnemi, społecznemi. Choć te dyskusje mogą być ciekawe, jednak powieść na ich rozbudowie cierpi, jest stanowczo zbyt rozwlekła i przeładowana. Ludzie powieściowi, gdy zbyt dużo

mówią, tracą na wyrazistości konturów i życia i to właśnie przydarzyło się niestety, wszystkim bohaterom z „Podzwonnego". Mimo tych bardzo znacznych, przyznajmy szczerze, błędów, „Podzwonne" jest jednak książką „z poziomem", książką kulturalną, pełną głębokich spostrzeżeń i myśli, a także książką o bardzo wybitnie katolickiej ideologji.

Kilkakrotnie już pisałam na tem miejscu o powieściach i nowelach pisarza-lotnika Janusza Meissnera; to też pisząc o nowym tomie jego nowel „Latający djabeł", musiałabym powtarzać rzeczy już mówione, że Meissner pisze dobrze i ładnie, że czyta go się z przyjemnością, że zawsze chętnie idziemy za nim w świat chmur, w świat podniebnych walk i zmagań, w świat, który autor zna tak dobrze i opisuje tak udatnie, choć może nie z takiem pogłębieniem, nie z takiem napięciem dramatycznem, jak to uczynił niedawno Antoni de Saint-Exupéry. O tym więc tomie nie mielibyśmy nic szczególnego do powiedzenia, gdyby nie przedmowa. W tej przedmowie autor tłumaczy się przed ludźmi, którzy robią mu zarzuty, że opisując zbyt często katastrofy lotnicze zniechęca ludzi do komunikacji lotniczej i odbiera do niej zaufanie, a tem samem nie robi dość skutecznej propagandy. Autor nie broni się, lecz „tłumaczy", w pewnym sensie obiecuje poprawę i w obecnym zbiorze poprawę w czyn wprowadza, starając się swoich bohaterskich lotników otoczyć nimbem pogody i sielanki, oczyścić ich z zarzutu pijaństwa i nadać swym pedagogiczno-lotniczym opowiadaniom niezmienny *happy end*. Oczywiście nie rażą nas napisy na stacjach, że samolotem podróżuje się najszybciej i najbezpieczniej, nie rażą tej treści artykuliki wstawiane petitem w kroniki gazet ale razi nas taka deklaracja, umieszczona na czele nowel, razi nas, gdy dowiadujemy się, że czytając książkę mamy ulegać propagandzie. Tego rodzaju utylitaryzm, utylitaryzm na rzecz „Lopu" nie jest dopuszczalny. Może być, że Lopowi potrzebna jest propaganda, ale my chcemy wiedzieć czy mamy do czynienia z literaturą czy z reklamą. Niech będzie reklama, ale niech jej nie robi Meissner, który ma wybitny talent naratorski, który tak dobrze czuje samolot i w samolocie walczącego człowieka. Niech nam dalej, jak dotąd, mówi o bohaterskich wysiłkach, tragicznych śmierciach i triumfalnych zwycięstwach uskrzydlonego człowieka, a nie o tem, jak z samolotu zdobywa się panny. Przyznaję, że przedmowa mnie podrażniła, bo nowela o zdobytej z samolotu narzeczonej jest zresztą ładną i zabawną. Nie mam pretensji, aby każdy lotnik był ponurym bohaterem, a każdy opisywany lot kończył się katastrofą, a młode panny nie mają nic przeciwko temu, aby śmiali lotnicy zdobywali ich fotografje, w brawurowych lotach podczas gdy marzą w oknach zrujnowanych zamków! Mam tylko pretensję o „zasadę" — o rozgraniczenie reklamy od literatury. Tak wyładowaw-

szy zły humor, może, przyznaję, zbyt błahą wywołany przyczyną, muszę dodać, że nowele zawarte w tomie „Latający djabeł" są miłe i ładne, zwłaszcza jak zawsze u Meissnera nowele lotnicze, które bardziej od innych są przeżyte i odczute. Nowele wojenne nie mają już tej bezpośredniości i wdzięku, są jakby trochę „zakurzone".

Czytelnik znający dzieło Mauriaca zastanawia się, co za nieznana powieść tego autora ukazała się w polskiem tłumaczeniu p. t. „Powrót do Boga". Dopiero znajdujący się na pierwszej stronie tytuł oryginalny, objaśnia go, że jest to jedna z lepszych powieści Mauriaca „Ce qui était perdu". Niewiadomo z jakich powodów zmieniono tak niepotrzebnie tytuł. Gdy czytamy polski egzemplarz dzieła Mauriaca, stwierdzić musimy, że jakkolwiek tłumaczenie jest względnie poprawne, nie oddaje jednak ani w części przepięknego stylu oryginału, tego dyszącego, gorącego stylu, tak dobrze zespolonego z treścią dzieła. Oczywiście to oddarcie formy od treści jest dla dzieła bolesne i niszczy w dużej mierze artystyczną jego sugestywność. Żeby skończyć ze stroną zewnętrzną, dodać należy, że umieszczone na końcu książki „errata", dalekie są od wyczerpania błędów drukarskich, o które jak o kamienie ciągle się przy czytaniu potykamy. Jakkolwiek jednak polska wersja dzieła Mauriaca cierpi na znaczne braki, dobrze się stało, że książka ta dostała się w ręce naszego społeczeństwa. Jest to stanowczo jedno z tłumaczeń potrzebnych. Jak we wszystkich książkach Mauriaca — może jaśniej i wyraźniej jak w wielu — występuje tu tragiczne i głębokie przeciwstawienie się dwóch światów: świata przyrodzonego, złego, pogrążonego w brudzie i grzechu, wydanego bezbronnie na łup najgorszych namiętności, i jasnego, pełnego miłości świata nadprzyrodzonego łaski, świata, bez którego ten pierwszy jest tylko mętną czarą ohydy. Te dwa światy walczą ze sobą o jedynie wielką i cenną rzecz na ziemi: o duszę człowieka. Mauriac nie zna litości względem ludzkiej natury sobie pozostawionej, oświeca najciemniejsze jej dno, dochodzi do głębin, gdzie drzemią instynkta najgorsze. Odziera je z płaszcza konwenansowej przyzwoitości, którym zazwyczaj ludzie sami przed sobą swą podłość i tchórzostwo okrywają. Patrząc na tych ludzi tak niemiłosiernie zdemaskowanych, człowiek nie śmie spojrzeć w głąb siebie samego; czy i w nim niema tej strasznej słabości woli, tego potwornego egoizmu, tej bezlitości dla cierpienia drugich, jakie dostrzegamy u takiego np. Hervé, który patrząc na chorobę i cierpienia żony marzy tylko o swoich grzesznych przyjemnościach, o swojej ewentualnej swobodzie, który usuwa i łatwo zwycięża wszelkie względem cierpienia bliźniego skrupuły. Nawet straszna, samotna śmierć tej żony, do której się ostatecznie przyczynił, nie kruszy potwornej skorupy egoizmu, uczyni to dopiero odblask łaski. W jakim stopniu,

powieść nam nie mówi, ukazuje tylko, że jedyne co zbudziło lepsze uczucia w tym ludzkim potworze egoizmu, to słowa matki pełne miłości, miłości nie zwykłej, ludzkiej, która była dla niego bez wpływu, ale miłości zaczerpniętej w sakramencie pokuty. Ta matka Hervégo, stara pani de Blénauge, to postać dla Mauriaca bardzo charakterystyczna. Osoba wierząca i pobożna, ale oschła, zatopiona w drobnych dewocjach, dostrzegająca w swojem życiu słomki, a przeoczająca belki. Niema prawie powieści, w której Mauriac nie dałby nam sylwetki osoby antypatycznie pobożnej. Zdaje się, że oschła formalna pobożność jest dla niego rzeczą najwstrętniejszą. W tej jednak powieści, bardziej niż inne owianej duchem miłości, łaska, która zwykle u Mauriaca nie przebija tej skorupy bigoterji, zwycięża i zdobywa oschłą i surową panią de Blénauge. W konfesjonale widzi nagle fałsz swego życia. Wyznaje, jak źle w czyn wprowadzała religję miłości, poznaje z bólem, że może właśnie ta jej oschła pobożność odepchnęła od wiary biedną jej synową, Irenę. Rozpacz ogarnia staruszkę, że może z jej winy Irena umarła w opuszczeniu, samotności i bez Boga. Ale z konfesjonału zamiast potępienia spływa na nią głos miłosierdzia. Kapłan każe penitentce zmówić za pokutę „Magnificat", bo czyż radością najwyższą nie jest odnalezienie się duszy w pokorze i prawdzie? Ta łaska, która jak nam autor daje do zrozumienia, oświeciła w godzinę śmierci Irenę, duszę bezwiednie Boga zawsze szukającą, łaska, która skruszyła starą panią de Blénauge, a poprzez nią rzuciła swój blask nawet na mętną duszę Hervégo zdobywa najbardziej triumfalnie i kompletnie młodego chłopca Alain. Alain został wychowany w środowisku zupełnie niewierzącem. Słowa Bóg nie słyszał nigdy. Ale Bóg nie potrzebujący ludzkiej pomocy, upodobał sobie tę duszę zadumaną i jak kryształ czystą. Objawia się Alainowi przez przedziwną radość wewnętrzną. Dusza czysta i czujna głos ten usłyszeć i zrozumieć potrafi. Alain nie zna jeszcze imienia Boga, ale już poznaje w świetle jego łaski znikomość świata i jego szczęścia. I podczas gdy nieświadomy jeszcze, a już uległy i posłuszny słucha Alain głosu wewnętrznego — daje nam Mauriac w kilku słowach jakby syntezę całego swego dzieła: wizję podwójną świata, malując przepyszny obraz „prawdy". Ukazuje nam, jak pod pianą brudnego, rozwiązłego i pozornie tak bardzo realnego życia ziemi, życia Paryża, płynie życie drugie, od tego pozornie prawdziwego, o ileż realniejsze! O szarym świcie wstającym nad uśpionem w grzechu mieście rozbrzmiewa klasztorny dzwon. Na jego głos z pod osłon zła budzi się prawdziwe, nieprzeczuwane i nieznane życie „świętego Paryża". Po ubogich przedmieściach, po zapomnianych zaułkach, w mrocznych klasztorach wstają ze snu rzesze ludzi, rzesze kobiet i mężczyzn, którzy na wyciągniętych w niebo ramionach świat utrzymują... W wirze życia, w zaślepieniu grzechu nie spostrzegamy, że ta jedyna miłość i prawda jest tuż koło nas,

że jest w nas. Gdy zdumiona siostra pyta Alaina czy jego miłość jest blisko, odpowiada jej Alain: „Bardzo blisko nas — o rzut kamienia..." Już wtedy zna Alain imię Boga, już wie, że Bóg go powołał. Nie wie jak i dokąd — wie tylko, że zawsze i wszędzie za głosem Jego pójdzie. Na tem kończy się przepiękna książka Mauriaca, książka pełna tragizmu i grozy, ale także ufności i blasku, książka przepełniona historją namiętności człowieka ale także przepełniona Bogiem i Jego zwycięską łaską.

Każdy kto interesuje się zagadnieniami kulturalno-literackiemi z największą ciekawością weźmie do ręki broszurę M. J. Ziomka „Czytelnictwo powieści w Polsce w świetle cyfr". Zdanie sobie sprawy z autorów i książek najpoczytniejszych daje obraz zainteresowań literackich społeczeństwa, a tem samem jego gustów i poziomu kulturalnego. Suche cyfry mogą rzucić światło nawet na etyczno-moralną stronę stosunku społeczeństwa do literatury. Ziomek za podstawę swojej statystyki bierze 5 wypożyczalń krakowskich (nie zajmuje się tu zestawieniami czytelnictwa w Wilnie i Samborze, które jako bardzo fragmentaryczne mało nam zorjentować się pozwalają w czytelnictwie t. zw. prowincji). Na podstawie w czytelniach branych książek (powieści) przez jeden miesiąc, układa szereg tablic, wykazujących, jacy autorzy są najpoczytniejsi, jakie są różnice literackich upodobań publiczności w poszczególnych czytelniach, jakie książki są więcej czytywane przez mężczyzn, jakie przez kobiety. Oczywiście tego obrazu za ścisły obraz czytelnictwa uważać nie można. Choć cyfry zdają się być wartościami bezwzględnemi, jednak niema może rzeczy tak giętkiej, jak statystyka; to też w statystyce czytelnictwa trzebaby wprowadzić o wiele więcej zastrzeżeń niż to czyni autor. Naprzód wielu bardzo ludzi czyta książki poza wypożyczalniami, książki kupowane i pożyczane prywatnie. Dalej wzięcie tej a nie innej książki w wypożyczalni jest przynajmniej w połowie wypadków kwestją nie wyboru, lecz przymusu. Po trzecie miesiąc jest czasem zbyt krótkim, publiczność rzuca się na książki wyszłe ostatnio na książki często chwilowo modne wskutek jakiejś polemiki, reklamy i t. d. Jednak te i wiele innych poprawek (choćby podkreślana przez autora kwestja lektury szkolnej) nie zmieniają faktu, że cyfry zebrane przez Ziomka są wymowne. Nie sposób przechodzić tu wszystkich tablic i wyciągać z nich wniosków ogólnych, wymagałoby to całego studjum. Można tylko podnieść rzeczy najbardziej się w oczy rzucające. Naprzód uderza fakt, że autorzy zagraniczni są o wiele od polskich bardziej popularni. Choć w różnych odchyleniach, lecz wszystkie tablice wykazują, że nawet pisarze tak zdawałoby się lubiani i tak właściwie pierwszorzędni jak Szczucka, Goetel, Nałkowska są na bardzo dalekich miejscach. Dziwnie mało stosunkowo czytywane jest takie arcydzieło jak „Noce i dnie" Dąbrowskiej, a nawet uwzględniwszy

wszystkie okoliczności łagodzące, stwierdzić trzeba, że zainteresowanie się literaturą polską jest karygodnie małe. Nazwiska autorów zagranicznych grupują się wedle czytelń rozmaicie, jednak stanowczo na najpierwsze miejsce wysuwa się Dell. To zjawisko jest z punktu literackiej kultury społeczeństwa, przyznać trzeba, dość smutne. Dell jest pisarzem sensacyjno - sentymentalnym, o dużej pomysłowości fabuły i o pewnej pisarskiej zgrabności, ale o jakiejkolwiek wartości niema tu mowy. Jest to literacko biorąc zupełne zero i rzeczywiście dosyć przykro, że społeczeństwo wysuwa go (a właściwie ją) na czoło swych literackich umiłowań. Wśród najpoczytniejszych autorów wysuwają się obok Della rozmaicie kombinowane, ale jednak stale nazwiska następujące: Wassermann, Zewaco, Wallace, Galsworthy, Sinclair, Dreiser, Barclay, z polskich autorów oprócz Rodziewiczównej, Prusa, Żeromskiego (w czem dużą rolę gra zapewne lektura szkolna) wysuwa się Marczyński. Te wszystkie nazwiska mówią same za siebie. Rzeczywiście w ulubieńcach publiczności trudno uznać (oprócz Galsworthiego) szczyty literatury. (Powtarzam że nie biorę pod uwagę autorów szkolnych). Widać, że na gust publiczności nie tyle ma wpływ talent, ile pewna „łatwość" danego autora. Bardzo ciekawe są zestawienia najpoczytniejszych książek w poszczególnych czytelniach, których publiczność jest gatunkowo bardzo różna. Z ogólnych spostrzeżeń uderza jeszcze bardzo mała poczytność literatury rosyjskiej (taki np. Tołstoj nie jest ani razu w czytywanych autorach wymieniony) i stosunkowo mała poczytność literatury francuskiej, na korzyść literatury niemieckiej, angielskiej, amerykańskiej i skandynawskiej.

Jeżeli pod względem kulturalnym zestawienia Ziomka dość smutne wydają naszemu czytelnictwu świadectwo, to pod względem moralnym, obraz jest znacznie lepszy. Istnieje u nas dość rozpowszechnione zapatrywanie wśród ludzi pesymistycznie zapatrujących się na kwestje moralne, że walka z książką złą i niemoralną, z książką pornograficzną, jest beznadziejna, gdyż ludzie właśnie brudu i zła w książce szukają. Otóż cyfry Ziomka mówią co innego. Dell np. który wedle tej statystyki zajmuje bezkonkurencyjne stanowisko w gustach naszej publiczności jest pisarzem wprawdzie literacko lichym, ale moralnie najzupełniej uczciwym. I wogóle wśród pisarzy najpopularniejszych nie znajdujemy żadnego nazwiska pisarza notorycznie złego, owszem są nazwiska pisarzy poprostu dla panienek, jak Barclay, Rodziewiczówna, Prus i t. d. Nazwisko notorycznego pornografa, jakim jest Pitigrilli, zajmuje 37 i 41 miejsce. Oczywiście i to jest smutne, ale pocieszające jest, że przed nim jednak jest i Orzeszkowa i Miłaszewska i Sewer i Curwood i wielu innych. Nazwiska pisarzy, których z punktu moralności katolickiej stanowczo potępić musimy, wysuwają się na miejsca bardziej czołowe tylko w pewnych specjalnych czytelniach, i to sporadycznie. W ten sposób cyfry odpowiadają naszym pesymi-

stom, że choć może publiczność nie specjalnie unika książek złych, to jednak także specjalnie ich nie poszukuje, że gusta tejże publiczności nie są znowu tak zdemoralizowane, jak się niektórym wydaje. To też — jeśli wolno wyciągać z broszury Ziomka wnioski praktyczne, sformułowaćby je można w ten sposób, że walka z literaturą złą i pornograficzną nie jest bynajmniej beznadziejna, że nietylko prowadzić ją trzeba, ale że ma i duże szanse powodzenia — dalej, że stanowczo należy dążyć do obudzenia w publiczności żywszego zainteresowania naszą literaturą polską, a także jaknajbardziej do wyrobienia jej literackiego gustu. We wszystkich tych dziedzinach, które jaknajbardziej mogą i powinny podać sobie ręce, otwiera się szerokie i wdzięczne pole pracy i dla ludzi pracujących społecznie, wychowawców, pedagogów, kierowników bibljotek i dla dziennikarstwa, literackiej krytyki i prasy.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Z literatury niemieckiej.

I. Poezja niemiecka na drogach rozstajnych.[1])

Na przełomie dwóch wieków rozwoju duchowego Niemiec zabiera głos rozważny krytyk, mąż o niepospolitej energji myślenia i kształtowania, artysta, który wielbiąc słowo jako „czarodzieja zdejmującego pieczęć niemoty z wszechstworzenia", sam się stwierdza sługą powołanym i nieomal mistrzem tego słowa. U schyłku piśmiennictwa indywidualistycznego, troszczącego się niewiele o punkty widzenia pozaartystyczne Otto Miller usiłuje zdać sprawę z walorów niewątpliwych, zawartych w dotychczasowej twórczości literackiej tudzież rozwinąć program na przyszłość.

Autor jako wierzący katolik zwraca się przeciw hasłu „sztuka dla sztuki", przeciw estetyzmowi i kultowi jaźni, przeciw literaturze nie uznającej celu poza sobą. Broni wszelako również praw jednostki przeciw „całkowitemu" włączeniu jej do zbiorowości. Chce sztukę słowa ściśle odgraniczyć od uprawnionego zresztą piśmiennictwa tendencyjnego, które baczy jedynie na efekt, nie zaś na środki wiodące do zamierzonych celów. Z tem wszystkiem daleki jest od skłonności do chybionego zgóry zestrajania poglądów nie dających się pogodzić z sobą. Słowem: widzi w zmierzchu światopoglądu, który w Niemczech do niedawna, nazewnątrz przynajmiej, uchodził za prawo obowiązujące w literaturze, następstwo konieczne nieograniczonego indywidualizmu, zuchwałego obłędu wielkości tych, co rozprawiali w imię ducha a duchowi przeczyli. I przestrzega o niebezpieczeństwie wpadnięcia

[1]) Otto Miller, *Der Individualismus als Schicksal.* Fryburg w Bryzgowji. Nakładem Herdera 1933. 8°. Str. VIII+320.

w drugą skrajność i zastąpienia bożyszcza własnego ja bałwanem ubóstwianej zbiorowości. Zestrój narodu z jednostką, rozumu z uczuciem, wędzidła moralnego z wolnością, winien panować nietylko w życiu politycznem i społecznem, lecz również i w poezji. Harmonja taka, jak to uwidacznia Miller w swym rzucie oka na przeszłość dziejową, istniała zawsze we wszystkich wielkich okresach literatury tak Niemiec, jak i innych krajów, zaznaczała się we wszystkich wielkich arcydziełach, u wszystkich wielkich twórców, albo też twór górujący nad innemi zrodził się boleśnie z tragicznego zmagania się o wyrównanie — nieosiągnięte — tych przeciwieństw.

Do tego, co powiedziało już stu innych, Miller umie jeszcze dorzucić spostrzeżenia nowe — i trafne — o spustoszeniach, jakie indywidualizm lub, jeśli chcemy nazwać po imieniu ohydny płód wieku oświecenia, jakie skrajny egoizm wyrządził we wszystkich dziedzinach życia. Duch zarozumiały, butny wyganiał zewsząd duszę, mechanizował życie, zamieniał dusze w maszyny, przeobrażał bogi, aż wkońcu pod naciskiem tych przeobrażeń bez końca samo bóstwo opuściło tłum wyuzdany miljonów jednostek, na które rozsypała się ludzkość rozłożona w swe nieszlachetne elementy. Nie ciska atoli autor obelg na bezpośrednią przeszłość dla przypodobania się pokoleniu sobie współczesnemu, owszem przyznaje bez ogródek prawo do życia i wartość temu, co nazwano „le stupide XIX'e siècle". Nie wielkich myślicieli i artystów doby ubiegłej prześcignęliśmy, lecz przezwyciężyliśmy wreszcie i zdemaskowaliśmy małe idee, wysnuwane z ich dzieł. Wciąż jeszcze sterczy dumny gmach, wzniesiony przez królów ducha, jedynie rzesza miljonowa taczkarzy, co pomagali skrzętnie przy budowie, znalazła się obecnie bez zajęcia.

Ci liczni bowiem — „nazbyt liczni", jak mniemał Nietzsche — wybraniec. — sami się pozbawili prawa bytu, gdy wyrzekli się nałożonej sobie przez naturę spólności i przynależności wzajemnej, podobni do prętów, które zosobna łatwo złamać i zniszczyć, podczas gdy związane razem, zdolne są oprzeć się wszelkim zamachom godzącym w ich całość. Poeci zaś, artyści, nic wprawdzie nie utracili z swej wartości przedmiotowej, jednakże i oni zgrzeszyli, pozbawiając lud cennego skarbu, który tworzyli zamknięci w „wieży z kości słoniowej", zdala od wszelkiego zetknięcia z ogółem narodu. Miller nie waha się nawet najwznioślejszym postaciom Olimpu, nie zważając na ich skronie uwieńczone wawrzynem, wytknąć zbrodni popełnionej przeciw własnemu narodowi. Sami królują na wyżynach, nieśmiertelni, niedostępni i niewzruszeni, podobni do greckich bogów, tłum zaś, opuszczony przez wodzów, wydany jest na uwodzenie przez talenty lichszego gatunku. Nieprzebyta przegroda dzieli poezję od literatury ludowej.

Nigdzie ten przedział nie jest tak ostry, jak na obszarze języka niemieckiego. Tutaj piśmiennictwo dzieli się najwyraźniej na

dwie grupy. Jednych się czyta, drudzy zasługiwaliby na poczytność. Jedni obrzucają błotem najwyższe dobra narodu, drudzy zgoła się nie troszczą o tego rodzaju sprawy. A w gruncie, przedstawiciele obu grup, zarówno ci, których książki rozchwytywano, jak i ci, których sławiono pod niebiosa, jednakowo byli pełni rozpaczy wobec stanu dusz, który wprawdzie można było przeoczyć albo przyjąć jako fakt, ale którego nigdy nie można było uważać za zadowalający.

U progu nowego stulecia odzywa się tęsknota za utraconą łącznością między duchem a duszą. Miller unaocznia dokonywujące się wówczas przeobrażenie na przykładzie wziętym z historjografji literatury, na przeskoku od Wilhelma Schelera, wojowniczego materjalisty, do Diltheya, który adeptom tej nauki znowu przypomniał, iż jedynem źródłem wszelkiej poezji są przeżycia duszy. W tym samym czasie ofensywa, podjęta przeciw materjalistycznemu monizmowi, wkracza do dziedziny nauk przyrodniczych. Wszędzie ujawniają się ślady tajemniczego bóstwa, wszędzie odkrywają rozwiązania tajemnic nierozwiązalnych dla materjalizmu. Fala zapału metafizycznego toczy się poprzez świat. Wojna — Miller może za mało mówi o jej wpływie na zmianę naszego sposobu myślenia — wojna przyczynia się z swej strony do wywołania nastroju apokaliptycznego. Wartości dotychczasowe zachwiały się, a nic jeszcze nowego nie stanęło na ich miejscu. I znowu ludzkość zaczęła szukać Boga, Boga niewiadomego, Boga zapomnianego. Poezja dawała świadectwo tym namiętnym poszukiwaniom. Jak w czasie każdego przesilenia, tak i teraz, gdy indywidualizm uległ rozbiciu w swem dumnem zamknięciu się w doczesności, zapragnęła więzi moralnych, oparcia się na zbiorowości, narodzie i stanie. Kiedy, zaś obecnie naród niezdolny był odegrać rozstrzygającej roli już dlatego, że — jak mniema Miller — nie wzniósł się jeszcze był ponad stopień bytowania ludowego na poziom bytowania narodowego, warstwa społeczna decydująca dla piśmiennictwa, burżuazja, równie mało spełniła swe zadanie wobec poezji, jak nie zdołała utrzymać się na zajmowanem dotychczas stanowisku w dziedzinie życia politycznego.

Jedno jeszcze działa na literaturę: ogólny diapazon epoki. I oto ciążą na Niemcach, jak na innych narodach zachodnich, grzechy doby obecnej: rozluźnienie wszystkich węzłów moralnych, żądza używania, adoracja życia. Cywilizacja mieszczańska, która pragnęła nasycić się samą pełnią życia, zgrzybiała przedwcześnie, wyczerpawszy w naszych oczach swe soki żywotne.

Miejsce bożyszcza filistrów oświaty, rozumu, zajmuje teraz uczucie. „Znowu ludzie noszą w sobie serce". Nie inaczej jak sto lat temu u romantyków, „l'inquiétude", wielki niepokój owładnął Europejczykiem. „Anima" — by użyć porównania wymyślonego przez Claudel'a — bierze górę nad „animus". Lecz oto grozi niebezpieczeństwo, żeby wahadło nie odchyliło się za daleko w stronę

przeciwną. Dość wspomnieć ekspresjonistów niemieckich i współczesnych im francuskich nadrealistów, by zrozumieć do czego prowadzi zupełne wyłączenie „ratio". Zbliża się wszakże wyrównanie. Wahadło zaczyna znowu stosować się do odpowiednich sobie granic. Przynajmniej, o ile wchodzą w grę najlepsi pisarze, taki Emil Strauss lub Wilhelm Schäfer. Niestety wielu z najmłodszych w tej dobie rozfalowanych namiętności nie trafiło jeszcze do miary, godzącej należycie siłę z ciepłem serdecznem. Miller wypowiada o tem słowa święte, a zapomina tylko o pocieszającem doświadczeniu, iż po każdym okresie burzy i naporu zwykł następować okres klasyczny, spokojnej pracy twórczej.

Następnie daje nam autor rzut oka na to, co w poszczególnych rodzajach, w liryce, dramacie i epice Niemcy zdziałali i co jeszcze pozostaje do zrobienia. Miller bada założenia, jakie na gruncie niemieckim istnieją dla tych gatunków poezji. I nie kryje się z swem zdaniem, że liryka jest w mierze najwybitniejszej ową formą niemieckiej poezji, której nigdy nie zabrakło ni świetności ni bogactwa. Stwierdza, że tragedja miała krótki rozkwit tylko w czasie panującego indywidualizmu, poczem nie stworzono nic prawdziwie wielkiego. I słusznie objaśnia to brakiem styczności między twórcami a widzami, brakiem wogóle genjalnego dramaturga. Co do poezji epickiej, ciągnie dalej Miller, Niemcy mogą się poszczycić znakomitemi utworami w dziedzinie zwięzłej noweli, nie zaś powieści. Dlaczego? Bo nowela zasila się z wieczystej krynicy poezji niemieckiej, z powszechnej wśród ludu ochoty do opowiadania i słuchania opowieści — dodajmy bo w ramach epiki ucieleśnia element liryczny — i ponieważ romans jest indywidualistyczną sztuką dla sztuki — dodajmy: ponieważ w dziedzinie epiki przedstawia pierwiastek dramatyczny, — ponieważ wreszcie jest czemś nie istotnem dla duszy niemieckiej.

Cudny pod względem stylu epilog zamyka tę wędrówkę poprzez piśmiennictwo. Jest tam wyznanie nadziei i otuchy, że poezja niemiecka okryje się nowym blaskiem, że z wyrównania napięć między indywidualizmem epoki przezwyciężonej a kolektywizmem wieku nadchodzącego wyłoni się nowa synteza, bardzo płodna dla sztuki i słowa.

Z wdzięcznością i radością czytamy ten przegląd niemieckiej twórczości poetyckiej, dokonany ze stanowiska silnie ugruntowanego. Nie powstrzyma nas to od wypowiedzenia kilku zastrzeżeń, skierowanych przeciw pewnym przesadnym twierdzeniom. I tak zdaje mi się, że Miler w swym świętym zapale zbyt łatwo posuwa się do sądów apodyktycznych. Dobre to, gdy chodzi o ocenę estetyczną faktów ogólnie uznawanych, spornych tylko pod względem swych skutków. Wiedzie zaś zbyt daleko, gdy autor jak najlepiej obeznany z rzeczami niemieckiemi, chce wypowiedzieć w kilku słowach uwagi trafne również i o obcych literaturach. Żeby w Hiszpanji i we Włoszech literatura katolicka nie miała już od-

dawna żadnego znaczenia (str. 69), nie będzie twierdził nikt, kto z autorów hiszpańskich doby obecnej zna takie nazwiska, jak Benavente, Unamuno, Valle-Indán, Maeztu, Berrueta, Eugenio d'Ors, G. Miró, Riccardo León, Palacio Valdés, Asín Palacios, Menendez Pidal, Juán Ramón Jiménez, Rafael Alberti, Bergamín, Marichalar i Gimenez Caballero, t. zn. autorów, którzy mniej więcej reprezentują wszystko, co w Hiszpanji żywotnem i ważnem w dziedzinie sztuki, podczas gdy we Włoszech utwory takich pisarzy, jak Papini, Gemelli, Giuliotti, Tozzi, Bargelini, Mignosi, Manacorda, Auro d'Alba, Angelo Conti, Borgese, Ada Negri stanowią istotną część ogólnego piśmiennictwa swego narodu. Natomiast jest to charakterystycznem dla literatury katolickiej Niemiec, że do dziś dnia nie zdobyła jeszcze znaczenia, jakiem cieszy się poezja katolicka nietylko we Francji i Hiszpanji, gdzie zapewniła sobie poważne stanowisko, lecz także i we Włoszech, Portugalji i Polsce, ba nawet w Anglji, gdzie wpływ jej wcale znaczny. Jeśli prawda, że Niemcy, znakomicie uzdolnieni są do liryki (str. 232), tedy nie można nie przyznać ani Francuzom szczególniejszego talentu do powieści, ani Hiszpanom wybitniejszego uzdolnienia do teatru — jako „qualité maîtresse". Dość bowiem wspomnieć Cervantes'a, Corneille'a, Racine'a, Molière'a, by dowieść, że rzecz ma się przeciwnie, niż to twierdzi Miller. Byłaby to, coprawda, znowu jednostronność. Naprawdę uzdolnienie narodów posiadających wielkie literatury, a zatem Niemców, Francuzów, Anglików, Włochów, Hiszpanów, Rosjan, nie ogranicza się n i g d y do jednego rodzaju.

Również i co do Niemców nie godziłbym się na wszystkie zdania Millera. Kleist jako największy mistrz budowy zdań (str. 202) ma co najmniej w Lessingu i w Jean Paulu groźnych współzawodników. Zachwyt nad okresami Mommsena nie będzie powszechny. Austrjackim poetom sceny ludowej nie oddaje Miller sprawiedliwości, tak jak też często upośledza Austrjaków, wyjąwszy jedynego Hofmannsthala. Napróżno szukamy oceny Adalberta Stiftera jako autora najlepszych powieści historycznych, pisanych w języku niemieckim. W szeregu „fejletonistów" opuszczono Kühnbergera, Speidela, Uhla, Schlögla i Wittmanna, prawdziwych artystów pierwszorzędnych, podczas gdy Emil Ludwig i Stefan Zweig zbliżają się znowu jako „olśniewające" postacie, chwiejne a wcale nie tknięte niełaską stronnictw. Nestroy, Raimund, Anzengruber, postawieni obok siebie czynią wrażenie podobne jak porównanie z sobą, bez względu na różnice doskonałości, przedstawienia Wagnerowskiego w monachijskim „teatrze Księcia Regenta", Parsyfala wykonanego w Bayreucie i sztuki rycerskiej ze śpiewem i tańcami, wystawionej dla P. T. publiczności przez powszechnie znaną trupę Ksawerego Hinterstoissera. Tu i tam muzyka i rycerstwo, a kraina bawarska służy za ramę jednym i drugim... Że Nestroy był genjuszem w kunszcie słowa, że Raimund

był wielkim poetą, gdy tymczasem Anzengruber był miernie uzdolnionym antyklerykalnym pisarzem artykułów wstępnych, któremu jedna tylko udała się sztuka ludowa, „Czwarte przykazanie", o tem Miller byłby mógł poinformować się z samych dzieł tych autorów tudzież z głosów krytyki austrjackiej.

Dłuższej rozprawy wymagałoby zdanie (str. 304): „Sztukę formalną podziwiać jako taką, jest rzeczą estetyków, „dość" poślednego gatunku generis humani". Co do rzeczy samej przyznaję słuszność Millerowi, tem bardziej, że z niezrównanym zapałem wielbi sztukę władania mową czyli estetyczne przyoblekanie myśli w szatę słowa. Żałujemy jednak, że autor w swych rozbiorach nie liczy się praktycznie i konsekwentnie z faktem, któremu zapewne i on nie przeczy, iż j e d y n i e forma zapewnia trwałość dziełu poetyckiemu. Miller niedocenił mężów takiej miary, jak Schunkal, dlatego tylko, że uważa ich za „estetów" — dodaje nawiasowo i przez pomyłkę i skutkiem niedostatecznego zaznajomienia się z późniejszą ich twórczością. Dla George'a żywi nieco z uczuć Eduarda Engelsa, którego zwrot ulubiony o „rozwałkowanym twarogu", raz gdzieś przytacza. Już dawniejsi aforyści niemieccy, jak Lichtenberg, Lagarde, tudzież Jean Paul, następnie przedstawiciele literatury salonowej, jak Książę Schwarzenberg i Villers wiele mieli do wycierpienia z powodu tej niechęci do — „pozornej" — niepopularności. *Aesthetica sunt, non legunfur.*

Tyle miałem zarzutów zasadniczych przeciw Millerowi. Błędne szczegóły, rzadkie i nie rozstrzygające dla tematu, nie mają wielkiej wagi. Wymieniam z nich niektóre tylko w tym celu by, szanownego autora zachęcić do pewnej ostrożnoćci, gdy wypadnie mu mówić o literaturach obcych. Historja o niezbyt aryjskim rzekomo Gabrjelu d' Annunzio (str. 43) jest gadką pokutującą od czasu Wielkiej Wojny. Pieśniarz nowej Italji pochodzi ze starowłoskiego rodu Rapagnettich. Léon de Bloy wydrapałby oczy winowajcy, gdyby mu czytał czarno na białem „partykułę" między imieniem i nazwiskiem swojem (str. 44). Stawiać „Polaka zangielszczonego" Conrada obok Emila Ludwiga, dorzucając uwagę, że Conrad zawdzięcza swe powodzenie głodowi przygód i powieści o detektywach (str. 51), byłoby mniej więcej to samo, co umieszczać „Werthera" Goethego w rzędzie powieści zbójeckich, układanych przez szwagra poety, Vulpiusa — „gdyż lud tak bardzo lubi tematy przejmujące dreszczem, jak samobójstwo lub nocne obchody pogrzebowe". O. Pinard de la Boullaiye (litera „i" jest tu zbyteczna) nie zawdzięcza swego rozgłosu bynajmniej etnografji (str. 106). Filozof Ulitz (str. 163) nie utożsamia się z śląskim opowiadaczem już dla tego, że on Ulitz, recte Utitz, pochodzi od „gości" niemieckich osiadłych w Sudetach, podczas gdy Ulitz recte Ulicz, wywodzi się z polskiej ongiś rodziny wieśniaczej. Na stronie 206 nie znajdujemy nazwiska Schmidt-Rohrsa, koniecznego w tem miejscu, gdyż zostawił po sobie pierwszorzęd-

nej wartości uwagi o mowie jako twórczyni narodów. Siegburg (str. 212), który opowiedział tyle rzeczy dowcipnych o sposobie „rezonowania", właściwym Francuzom, jest przypuszczalnie identyczny z Fryderykiem Sieburgiem. Franciszek Blei jest wprawdzie postacią wykwintnie rokokową, mojem jednak zdaniem (i zdaniem innych) jest on najzupełniej zbyteczny w tem miejscu wśród essayistów, W każdym razie nie należy mu się dziwnie obca literka „y" u końca nazwiska (str. 214).

Z okrzykiem przerażenia protestuję przeciw „surréaliście" Pawłowi Valéryemu (str. 221). Albož czy Miller chce Stefana George'a nazwać ekspresjonistą? Kaffka ma o jedno f za wiele, a za mało skoncentrowanej w sobie siły, by stanąć obok Renna lub Dwingera. A jakże się mógł dostać Carossa, opowiadacz o klasycznym spokoju, między owych dzikich mężów ze starej krainy romantyzmu i z nowego świata rzeczowej powszedniości? (str. 227). O Baudelairze katoliku nie Klemperer, lecz krytyk francuski Fumet zadokumentował sąd rozstrzygający (str. 240). Str. 288: tu pióro moje wzdryga się raz po raz z oburzenia. Nie z powodu dużego C, które wymknęło się Gerstäckerowi, lecz z powodu rzekomego zainternowania Karola May'a „w pięknej krainie saksońskiej" (wszak sprawa licznych podróży May'a dawno załatwiona), dalej z powodu określenia Gerstäckera jako najlepszego podróżopisarza niemieckiego. Biedny Postl-Sealsfield! Austria erit in orbe ultima, zawsze postponuje się Austrję, nawet w świecie literackim.

Zapewne nie czuję się powołanym na obrońcę nieboszczyka pana Aroueta, hr. de Ferney. Zdaje mi się jednak, że nieco ryzykownem jest określić „Candide'a" jako elaborat straszliwie nudny. Podobno istnieje kilka miljonów ludzi będących innego zdania. Są wśród nich także katoliccy krytycy francuscy, a ci powinni się znać na rzeczy (str. 292). Str. 298: że we Francji społeczeństwo a nie jednostka, stanowi właściwy temat powieści, ten tylko może twierdzić, kto uważa za najgłówniejszych przedstawicieli powieści tego właśnie kierunku Balzaka i Zolę, a Prousta ma przedewszystkiem za malarza społeczeństwa. A jakże przeoczyć takich pisarzy, jak Mme de La Fayette, Marivaux, Prévost (ksiądz), Constant, Stendhal, Fromentin, Vigny, Flaubert — aż do Bourgeta, Estauniégo, i dalej aż do Bernanosa, Greena? A Meredith (nie zaś Meridith) czy nie jest głównym reprezentantem powieści indywidualistycznej, która począwszy od Samuela Butlera aż po dni nasze kwitnie i rozwija się w Anglji?!

Przywróćmy jeszcze do czci Sachera Masocha (str. 307), prezentując go jako latorośl nienagannie aryjskiej, niemiecko-austrjackiej rodziny urzędniczej (ojciec jego był w Austrji absolutystycznej dyrektorem policji lwowskiej, on sam zaś żył i pisał w Gracu i w Lipsku). Mimo jego zboczenia seksualne, wahamy się przenieść go z kategorji „pendzli", do rzędu najznakomitszych

malarzy środowiska. Wreszcie — *in love finis* — Goethe nie był „Geheimer Hofrat", lecz „Wirklicher Geheimer Rat und Etast-Minister", jak stwierdza jego bilet wizytowy tudzież urzędowy szematyzm wejmarski.

Wybacz Pan, Panie Miller, że uczepiłem się tylu szczegółów, dostrzeżonych w znakomitej książce Pańskiej. Pragnąłbym ażeby w następnem wydaniu była wolna od tych drobnych usterek, a życzę jej rychłego ukazania się w tem nowem wydaniu. Książka ta bowiem, napisana mądrze i samodzielnie a sprawiedliwa w swych sądach, jest arcydziełem języka pierwszorzędnem, jest zasługującym na wdzięczność naszą przewodnikiem poprzez chaos wzwyż ku światłu, ku powabnej, pięknej przyszłości niemieckiej poezji.

Dr. Otto Forst de Battaglja.

Notatki bibljograficzne.

Ks. Dr. A. Bukowski T. J.: Sakramentalny charakter małżeństwa. Warszawa 1934. Str. 31.

Autor tłumaczy, czem było małżeństwo z ustanowienia Bożego, jego późniejszy upadek, a następnie przywrócenie do pierwotnego stanu przez Chrystusa Pana i wyniesienie do godności sakramentu. Ten ostatni punkt stanowi główny temat broszury niniejszej; autor uzasadnia go na podstawie Pisma św. i tradycji, poczem kończy obszerniejszem wyjaśnieniem dogmatycznej strony małżeństwa chrześcijańskiego.

Przewodnik po Ziemi Świętej. Jerozolima 1934, nakładem Kustodji Ziemi Świętej. Str. VIII+355 z ilustr. i kilku mapami.

Świeżo otrzymaliśmy nowy, zgrabnego formatu i praktyczny przewodnik po Ziemi św. Autor nie chciał wydawać pracy o charakterze naukowym, lecz praktycznym, i równocześnie pobudzającym do pobożności. Przechodzi więc szczegółowo wszystkie ważniejsze miejscowości i pamiątki, a liczne ilustracje, kilka map i dwa skorowidze ułatwiają bardzo orjentację. Dla pielgrzymów znajdują się tu również dokładne objaśnienia co do warunków podróży i pobytu, adresy ważniejszych urzędów i t. d. Należy się wdzięczność autorowi za przewodnik, z którego mogą odnieść dużą korzyść nietylko wyjeżdżający, ale wszyscy, którzy chcą się zapoznać z dzisiejszym stanem Ziemi św. i jej pamiątek.

T. Zieleniewski: Szczytami Karpat. Warszawa 1934, Główna Księgarnia Wojskowa. Str. 112 z licznemi ilustr. (5 zł.).

Zadaniem niniejszej książki jest propaganda narciarstwa w Karpatach, które stanowią najwłaściwszy może u nas teren do

tego sportu, a tymczasem mało są z tej strony znane i wykorzystywane. Pułk. Zieleniewski daje tu opis wspaniałej trasy narciarskiej od Worochty do Sianek, ciekawy pod względem turystycznym i podany niezwykle zajmująco i barwnie. Na szczególniejszą uwagę zasługuje tu nadto nowy sposób wydania: jest to jakby rodzaj albumu, w którym co dwie kartki są luźne; prawdziwą ozdobą jest 18 wspaniałych fotografij. Duża mapa szlaku narciarskiego dołączona została osobno.

Edward Nehring: Zasady łyżwiarstwa. Warszawa 1934. Główna Księg. Wojskowa. Str. 136 z licznemi ilustr. (2·80 zł.).

Książeczka niniejsza, stanowiąca 30-y tomik „Bibljoteczki Sportowej", powinna znaleźć jak najszersze rozpowszechnienie wśród niezliczonych amatorów sportu łyżwiarskiego. Autor, doskonały łyżwiarz i znawca, podaje tu wszystko, co należy do całokształtu łyżwiarstwa: sprzęt i ubiór, naukę jazdy na łyżwach wogóle, jazdę wyścigową i figurową, urządzanie lodowisk i prowadzenie zawodów łyżwiarskich. Dla ułatwienia zrozumienia tekstu i poszczególnych figur jazdy zamieszczono wielką liczbę ilustracyj. Dla organizatorów zawodów i dla sędziów dodane są specjalne wskazówki i nie ogłoszone dotychczas w polskim języku przepisy międzynarodowe. Znajdują się tu również instrukcje o domowem sporządzaniu łyżew dziecinnych „Dezet".

W. Ziętkiewicz: Sprzęt narciarski, wyrób, wybór, konserwacja, smary. Wyd. 3. Warszawa 1934, Główna Księg, Wojskowa. Str. 37 i wkładki (1·10 zł.).

Bardzo praktyczna i pożyteczna książeczka o tem, jak zbudować sobie narty samemu tanim sposobem, jakie narty wybrać, jak je konserwować, jakich używać smarów, zależnie od warunków śnieżnych. Nowe to wydanie zostało przerobione i rozszerzone.

Żeglarstwo w zimie. Wydawnictwo oficjalne Kierownictwa Drużyn Żeglarskich Głównej Kwatery Harcerzy. Warszawa 1934, Główna Księg. Wajskowa. Str. 74 z ilustr. (2 zł.)

Żeglarstwo u nas uprawiane jest tylko w lecie, a więc zaledwie przez kilka miesięcy, tymczasem w krajach północy uprawia się je również w zimie, przyczem daje ono dużo emocyj i jest dobrą zaprawą, a jest łatwe, bezpieczne i tanie. Toteż powyższa broszura, opracowana pod redakcją W. Bublewskiego, i oparta na wzorach zagranicznych, ma zająć się propagandą tego nowego sportu. Broszura niniejsza ma głównie charakter techniczny, uczy budowy jachtów lodowych i sporządzania żagli nośnych do wykorzystania wiatru także w jeździe na łyżwach i nartach.

Świat i Życie, zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Rok II, Zesz. 1—3. Warszawa—Lwów, Książnica-Atlas.

Drugiego tomu wspominanej przez nas już parokrotnie nowej encyklopedji dla młodzieży otrzymaliśmy trzy pierwsze zeszyty („Drukarstwo—Florencja"). Wśród urozmaiconego, jak zawsze, doboru artykułów z wszelkich dziedzin, zastajemy również artykuł o dyplomacji, napisany częścią przez doc. J. Feldmana, częścią przez b. ministra A. Zaleskiego. — Niestety staranny dobór współpracowników nie zdołał zabezpieczyć wydawnictwa przed poważnym błędem, jakim jest artykuł prof. K. Ajdukiewicza p. t. „Dusza-duch" (zesz. 1 kol. 24). Autor sam stwierdza, że zagadnienie to należy do „centralnych w dziejach myśli ludzkiej", a tymczasem pozostawia je, mimo że jest ono i ze stanowiska filozofji i religji dostatecznie rozstrzygnięte — jakby w zawieszeniu; poprzestaje bowiem na wyliczeniu różnych poglądów filozoficznych, ale samych błędnych, o filozofji zaś scholastycznej i wogóle nauce chrześcijańskiej filozofji, dotyczącej istoty i nieśmiertelności duszy nie wspomina nawet. Stanowisko takie świadczy jednak bardzo smutnie zarówno o prof. Ajdukiewiczu, jak o Redakcji encyklopedji, jest bowiem rozminięciem się z prawdą i wprowadzaniem w błąd czytelnika — jedno i drugie w encyklopedji dla młodzieży niedopuszczalne!

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Wydawnictwa Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie.

Monumenta Poloniae Vaticana. Tom V. Series Nuntiaturae Polonae. Alb. Bolognetti, Nuntii Ap. in Polonia Epistolarum et Actorum pars I, 1581—1582. Edward Kuntze & Czesław Nanke edidere. Str. LXXI+748.

Jan Ptaśnik: Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce. Str. VIII+511.

Pieśni ludowe z Polskiego Śląska, z rękopisów zebranych przez K. Emila Szramka i ze zbiorów A. Cinciały i J. Rogera, wydał Jan St. Bystroń, Zesz. II; pieśni o zalotach i miłości. Str. 101—539.

K. Moszyński: Atlas kultury ludowej w Polsce. Zesz. I, opracowany wspólnie z J. Klimaszewską.

Bulletin International de l'Académie Polonaise de Sciences et des Lettres. Classe de Philologie, d'Histoire et de Philosophie. 1933, n. 1—6. Str. 147.

Sprawozdania z czynności i posiedzeń Polsk. Akademji Umiej. 1933 nr. 10. Str. 28.

Wydawnictwa T-stwa Ekonomicznego w Krakowie.

Stefan Schmidt i Stefan Mandecki: Produkcja trzody w świetle badań konjunkturalnych. (T. 64). Str. 70 i 1 tabl.

Marja Ferber: Piekarstwo w Krakowie. (T. 66). Str. 80.

Tadeusz Grodyński: Dziwactwa podatkowe. (T. 67). Str. 22.

Michał A. Heilperin: Projekty rekonstrukcji gospodarczej. (T. 68). Str. 33.

Nakładem różnych.

Paul Ladewig: Politik der Bücherei. Eine Grundlegung ihrer Aufgaben, zugleich ein Handbuch für den Fachunterricht. 3 Aufl. Leipzig 1934, Alfred Lorentz. Str. XII + 491.

Marcel Barrière: Les princes d'Orleans. 8-e ed. Paris, Librairie Gallimard. Str. 285.

Dr. August Hoyler: Gentleman-Ideal und Gentleman-Erziehung. („Erziehungs - geschichtliche Untersuchungen" 1). Leipzig 1933. Felix Meiner. Str. XII + 223.

Stanisław Wałęga: Dzieje polityczne Torunia u schyłku Rzeczypospolitej. (1724—1793). Słowo wstępne Wład. Konopczyńskiego. T. I. Toruń 1933, T-stwo Naukowe w Toruniu. Str. XVI + 392.

Zapiski T-stwa Naukowego w Toruniu. Tom IX, zesz. 7—8 (700-lecie Torunia). Tamże, 1933. Str. 81—164.

Archiwum historji i filozofji medycyny, oraz historji nauk przyrodniczych. Tom XIII. Poznań 1933. Str. VIII + 316.

Rocznik Gdański. Tom VI, r. 1933. Gdańsk, T-stwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku. Str. 502.

Krzysztof Celestyn Mrongowjusz, 1764—1855. Księga pamiątkowa, pod redakcją Dra Władysława Pniewskiego. Gdańsk 1933, T-stwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku. Str. VIII + 380 i 11 ilustr.

Josef Will S. I.: Handbuch der Katholischen Aktion. Mit Geleitwort von Dr. C. Gröber Erzbischof von Freiburg i. Breisg. Freiburg im Breisgau 1934, Herder. Str. X + 138.

Heinrich Schumacher: Kraft der Urkirche. Das „Neue Leben" nach den Dokumenten der ersten zwei Jahrhunderte. Tamże, 1934. Str. X + 171.

Helena Niewiadomska: Broń się prawdo! O Buncie młodzieży Lindseya. Kielce 1933. Str. 152.

Pietro Pirri S. I.: P. Giovanni Roothaan XXI Generale della Compagnia di Gesu. Isola del Liri, A. Macioce & Pisani. Str. 552 z ilustr.

Stanisław Pilch: Ludwik Ćwikliński, 80-lecie urodzin i diamentowe gody z nauką. (Odbitka). Lwów 1933; str. 32.

Wincenty Śmiałek: W perspektywie lat czterdziestu (1893—1933), Lwów 1933, Polskie T-stwo Filolog. Str. 13.

Ars Sacra. Schweizerisches Jahrbuch für christliche Kunst, 1934. Basel J. & F. Hess. Str. 69 i 24 tablic.

Stanisław Pigoń: „Pan Tadeusz". Wzrost — wielkość — sława. Studjum literackie. Warszawa 1934, Instytut Literacki. Str. 397.

W obronie szkoły demokratycznej. Warszawa 1934. Wyd. Tow. Oświaty Demokratycznej. „Nowe Tory". Str. 95.

Jean Monval: Les Sulpiciens. Paris 1934. Editions Bernard Grasset. Str. 283.

Marguerite Aron: L'Eglise et l'Enfant. (Coll. „La vie chrétienne"). Tamże 1934. Str. 249.

X. Y. Z.: Człowiek o trzech obliczach. Warszawa 1933. Str. 72.

Jan Hulewicz: Udział Galicji w walce o szkołę polską, 1899—1914. Warszawa 1934, Komitet obchodu 25-lecia walki o szkołę polską („Nasza Księgarnia"). Str. 117.

Z piśmiennictwa rosyjskiego i ukraińskiego. Prace Polskiego T-stwa dla badań Europy Wschodniej i bliskiego Wschodu; nr. 5. Kraków 1934, Gebethner i Wolff. Str. XIII + 220.

Projekt transkrypcji z języka rosyjskiego na język polski. Tamże, 1934. Str. 8.

Matthias Lechner: Erziehung und Bildung in der griechisch-römischen Antike. München 1933, Max Hueber. Str. VIII+237.

Béla Kossányi: Catalogue de l'Exposition commemorative Báthory — Sobieski. Budapest 1933. Str. 165 z ilustr.

Fr. Táborsky: Arthur Grottger, jeho láska a dilo. V Praze 1933, nakl. Slovanského Ustavu (Institut Slave). Str. 250 z ilustr.

Otto Karrer: Das Religiöse in der Menschheit und das Christentum. Freiburg im Breisgau 1934. Herder & Co. Str. X + 264. (brosz. 5 20 M.).

Kuno Fischer: Schopenhauers Leben, Werke und Lehre. 4 Aufl. Heidelberg 1934, C. Winter's Universitätsbuchhandlung. Str. XVI + 577.

Emil Göller: Papsttum und Bussgewalt in spätrömischer und frühmittelalterlicher Zeit. Freiburg im Breisgau 1933, Herder & Co. Str. IV + 324.

Ks. Bp. Paweł Kubicki: Bojownicy kapłani za sprawę Kościoła i Ojczyzny w latach 1861—1915. Część I., dawne Królestwo Polskie, tom 1—3. Sandomierz 1933, nakł. autora. Str. LVI+582+656+862.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pierwsze podmuchy Kulturkampfu w Trzeciej Rzeszy. — Poważne nauki płynące z francuskich wypadków. — Pocieszające i niepokojące objawy na niwie katolickiej w Polsce.

Ludziom patrzącym z zewnątrz na stosunek katolików niemieckich do rządu Trzeciej Rzeszy trudno było, w ostatniem zwłaszcza półroczu, obronić się uczuciom pewnego żalu i niepokoju. Nie chodziło tu wyłącznie o pozytywne odnoszenie się do hitlerowskiego kierunku. Wszak sam Episkopat niemiecki rok temu uchylił zakaz wstępowania do partji, a w liście zbiorowym, wydanym na Zielone Święta ubiegłego lata wprost zalecił współpracę wiernych z rządzącym obozem. Ale można było mieć obawę, czy owa współpraca nie idzie trochę dalej niż tego Biskupi sobie życzyli i życzyć mogli, t. j. czy nie przeradza się w sympatję dla ideologji nowego wodza narodu, nawet w tych punktach, które żadną miarą nie dadzą się pogodzić z zasadami Chrystusowej wiary. Miało się wrażenie, że tu i ówdzie w pewnych kołach katolickich pojawiają się niepokojące symptomy odurzenia młodem winem rasystycznych teoryj i że nawet wierne dotąd dzieci Kościoła zaczyna ogarniać ten zbiorowy obłęd, w którym cały wielki naród zaczął szukać zapomnienia wojennych klęsk i materjalnego upadku. Bo wszakże dochodziły nas — nietylko z ust v. Papena — podejrzane zapewnienia, że hitleryzm w samej swej głębi jest zupełnie chrześcijański, że trzeba w tym ruchu brać w rachubę istotną jego treść, a nie te męty, które każdy silny prąd duchowy wyrzucać musi na powierzchnię; tłumaczono nam, że Kościołowi dzieje się w nowych Niemczech zupełnie dobrze i że zawarty ze Stolicą świętą konkordat przestrzegany tam jest z całkowitą, a przynajmniej dostateczną, lojalnością. W tem wszystkiem trudno było nie widzieć jakiegoś zaślepienia na nieprzejed-

nane przeciwieństwa swastyki i Krzyża i trudno było obronić się obawie, że na świetny, dzielny katolicyzm niemiecki przychodzi chwila, częściowego przynajmniej, zaćmienia.

Bogu dzięki te obawy zaczynają się rozpraszać, ale rozpraszać nie w taki sposób, żeby zanosiło się na złagodzenie konfliktów pomiędzy katolicyzmem a nową niemiecką wiarą. Obawy ustają dlatego właśnie, że chwilowe odurzenie ustępuje i że katolicy Niemiec coraz jaśniej zdają sobie sprawę z czekającej ich ciężkiej walki religijnej, oraz że do walki zaczynają poważnie się gotować.

Że ze strony rządzącego obozu walki jako takiej sobie nie życzą — to nie ulega wątpliwości; że jednak objektywnie robią wszystko, co musi tę walkę koniecznie wywołać — to jest niemniej oczywiste. Bo przedewszystkiem w dziedzinie ideologji nie widać w miarodajnych kołach, t. j. u *Führer'a* i w jego najbliższem otoczeniu żadnych zgoła usiłowań czy zamysłów, powściągnięcia niesłychanych aberacyj ekstremistów religijnych, którzy z pozytywnego chrześcijaństwa, rzekomo obowiązującego w nowem państwie, nie zostawiają naprawdę najmniejszego śladu. Reventlow i Bergmann, Röhm i Hess, Wirth i Günther i całe mnóstwo innych apostołów nordyjskiej religji uprawia najswobodniej dzieło spoganienia Niemiec, a powierzenie Rosenbergowi nadzoru nad ideologją zbiorowej duszy odradzającego się germanizmu jest najlepszym dowodem, że hitleryzm nietylko nie myśli wejść na drogę do Kanossy, ale chce się stanowczo utrzymać przy zupełnie antychrześcijańskiem nastawieniu.

A że nie chodzi tu bynajmniej o czysto teoretyczne poglądy, to zupełnie niedwuznacznie pokazuje rosnąca agresywność nowej niemieckiej wiary w odniesieniu do katolickiego Kościoła.

Przedewszystkiem mnożą się zaczepki słowne i to nietylko z pod pióra pisarków, produkujących się „soczystym" stylem na łamach hitlerowskich gazet i nietylko z ust rozmaitych przygodnych mowców na niezliczonych partyjnych zebraniach, ale nieraz ze strony najpoważniejszych osobistości, które powinnyby, zdaje się, odczuwać, że nie mogą być nieodpowiedzialne za publicznie wymówione słowa. A jednak nie mniejsi, niż Goebbels i Goering, żeby nie wspominać o różnych mniej widnych mężach stanu, pozwalają sobie raz po raz pod adresem czy to Kościoła i jego nauki czy jego przedstawicieli lub obrońców na pogróżki, drwiny lub proste obelgi, urągające zasadom wszelkiej przyzwoitości, obowiązującej w kulturalnem publicznem życiu. Takie wyrażenia, jak *die schwarzen Maulwürfe* lub *Wühlmäuse*, w odniesieniu do katolickiego duchowieństwa są zupełnie na porządku dziennym, a z epitetami łączą się groźby, że w odpo-

wiedniej chwili uderzy się te „krety i szczury" po głowie, albo chwyci się je skutecznie w pułapkę.

Zresztą „pułapka" funkcjonuje już w dzisiejszych Niemczech nietylko jako pogróżka. Jakkolwiek kneblowana i bardzo starannie pilnowana prasa niewiele o tem podaje wiadomości, z dobrze poinformowanych źródeł wiadomo, że nawet za czasów Bismarcka nigdy tylu księży nie siedziało po więzieniach, i to na podstawie zupełnie błahych oskarżeń o nieprawomyślność w stosunku do rządzącego obozu. Za dowód tej nieprawomyślności wystarczy nawet fakt, że w jakiejś plebanji nie nastawiono aparatu radjowego, gdy *Führer* rzucał w przestrzeń jedno ze swych przemówień do niemieckiego narodu. A prócz więzień i najróżniejszych szykan, organizują bojówki młodzieży hitlerowskiej, pod naczelnem zwierzchnictwem Baldura von Schirach, formalne napady na katolickie instytucje, lokale, obchody, głosząc, że przed upływem roku to wszystko musi być zlikwidowane i wcielone tak co do formy, jak co do ducha w wyłącznie uprawnione organizacje, stojące na służbie integralnego państwa.

Ale ta rosnąca napastliwość tworzącego się pod znakiem swastyki nowego świata pojęć i ustrojów społecznych i ludzi nie pozostała przecież bez jednego, bardzo dodatniego skutku. Oto wywołała ona u katolików wyraźne w y t r z e ź w i e n i e. Jeżeli jeszcze parę miesięcy temu można było zanotować te niepokojące głosy, które starały się rozgrzeszać hitleryzm z jego antyreligijnych zasad i wystąpień, to dzisiaj te głosy prawie zupełnie umilkły. I owszem, nawet ze strony ludzi, których do niedawna ożywiał bezgraniczny entuzjazm dla osoby Wodza, zaczynają nas dochodzić bądźto pewne zastrzeżenia i protesty, o ile w tak skrępowanej prasie mogą one znaleźć miejsce, bądź nawet śmiałe słowa, będące zazwyczaj wyrokiem śmierci na dany organ: Nie możemy nie słuchać Boga raczej niż ludzi.

A obok tej zmiany nastroju w katolickich pismach dokonywa się coś, co oczywiście tylko w fragmentarycznych obrazach, *via* zagranica, uchodzić może argusowego oka hitlerowskiej policji: szykują się do zorganizowanego oporu świetnie dyscyplinowane katolickie szeregi. I niema wątpliwości, że ci ludzie, o których niegdyś krótko powiedział Bourget: *Ils sont formidables d'organisation*, mimo całego gniotu, jakim ich ciśnie shitleryzowany aparat władz administracyjnych, wnet przeciwstawią napaściom rządzącego obozu jednolity a potężny front obronny.

W ostatnich niemal dniach podniosły się w tej sprawie dwa poważne głosy najwybitniejszych w Niemczech przedstawicieli zaczepianego Kościoła. Najpierw w Kolonji Kardy-

nał Arcybiskup Schulte, protestując z oburzeniem przeciw cynicznemu bezczeszczeniu świętości katolickich, jakie niedawno w jego mieście i diecezji miało miejsce, zwraca się z podziękowaniem do młodzieży za jej mężną religijną postawę i wzywa rodziców, żeby posyłali swe dzieci do kościelnych zrzeszeń; w kilka dni później w Monachjum sędziwy a nieustraszony Kardynał Faulhaber, daje duchowieństwu i wiernym śliczne wskazówki, jak nie drażniąc bez potrzeby przeciwników, mogą i powinni z powagą i miłością chrześcijańską zastawiać się za swe prawa a dążyć przytem do nawrócenia błądzących.

Zdaje się więc nie ulegać wątpliwości, że zbliżają się dla Kościoła w Niemczech chwile walki. Spostrzega też to, śledząc bacznie rozwój wypadków i to oko, które z wyżyn Watykanu ogarnia ciągle cały olbrzymi front wojującego Kościoła. Choć przemowy wygłaszane z okazji beatyfikacyjnych czy kanonizacyjnych obchodów nie zwykły zawierać aluzyj do współczesnych wydarzeń, kiedy 24 lutego b. r. przemawiał Ojciec św. do Kolegjum Kardynalskiego i św. Kongregacji Obrzędów z okazji uznania cudów zdziałanych za przyczyną bawarskiego Sługi Bożego, Bł. Konrada Parzham, odezwał się dosłownie jak następuje: „Jest to poprostu opatrznościowe zrządzenie, że dzisiaj właśnie w tak jasnem świetle występuje prześliczna postać Bł. Konrada kiedy szlachetny naród, z którego łona on wyszedł, przeżywa tak tragiczne momenty swych dziejów. Mówimy: tragiczne momenty — bo coraz wyraźniej i straszniej rysuje się tam groźba ciężkich nieszczęść, zwłaszcza dla tych dusz, które Boskiemu Zbawicielowi są najbliższe, t. j. dla dusz młodzieży. W chwili, w której bierze górę jakaś zuchwałość myśli, zasad i praktyk, nietylko już niechrześcijańska, ale nawet nieludzka; w chwili, gdy wyuzdany obłęd rasystyczny prowadzi z konieczności do pychy żywota, która duchowi chrześcijaństwa i duchowi ludzkiej kultury radykalnie się sprzeciwia — w tej chwili stawia Opatrzność przed oczyma niemieckiego narodu szlachetną i tak cudownie chrześcijańską postać Bł. Konrada Parzham."

Owe „tragiczne momenty dziejowe", o jakich z tak wyraźną troską mówi tu Namiestnik Chrystusowy, to mogą być tylko chwile nadchodzącej walki. Kiedy ona na dobre wybuchnie i jakie przybierze formy oraz rozmiary — tego trudno przewidzieć, między innemi i dlatego, że polityka Wodza miewa niekiedy, jak wiadomo, dość nagłe i niespodziewane zakręty. Można jednak bez obawy pomyłki dziś już wywróżyć, jaki koniec będzie miała ta burza, której pierwsze podmuchy dadzą się dziś już wyraźnie stwierdzić. Katolicyzm niemiecki wyjdzie z niej z pewnością oczyszczony

i wzmocniony, a ponieważ równocześnie, na co dziś już oczyma swojemi patrzymy, poza małem jądrem prawdziwie prawowiernych, protestantyzm jej ulegnie, jest nadzieja, że z rozbitych organizacyj kościelnych protestanckich niemało szlachetniejszych jednostek i liczebnie zasili katolickie szeregi. A w każdym razie pocieszające jest jedno, że, lubo zwierzchnicy niemieckiego Kościoła w całej pełni doceniają powagę sytuacji, nie widać w nich żadnej obawy, ale to spokojne męstwo, które zawsze jest rękojmią i zapowiedzią triumfu.

Jeżeli od Niemiec przerzucimy naszą uwagę poza linję Renu i Wogezów, uderzy nas widok zupełnie odmienny. We Francji nie dokonywa się żadna wielka fermentacja religijna, nie grożą tam Kościołowi żadne specjalne niebezpieczeństwa i owszem, pod nowym gabinetem sytuacja wytworzyła się dla katolicyzmu raczej pomyślniejsza niż poprzednio, ale skądinąd dokonywują się i tam rzeczy niemałej wagi, które, choć głównie dotyczą dziedziny polityki, są wielorako związane i z kwestją religijną.

To, co dzieje się obecnie we Francji da się krótko wyrazić w jednem zdaniu: dzielny, potężny naród, który zwłaszcza po zwycięskiej wojnie miał wszystkie szanse wspaniałego rozwoju, szamoce się rozpaczliwie w sieciach następstw popełnionych błędów.

A błędów tych było niestety niemało. Pierwszym z nich było dopuszczenie tego niesłychanego przerostu parlamentaryzmu najgorszego gatunku, który wielką, bogatą Francję postawił dziś nieomal nad brzegiem przepaści.

Od lat trochę więcej niż trzydziestu, a przedewszystkiem odkąd partje radykalne przyszły do władzy, z jedynym wyjątkiem tych chwil, kiedy około osób panów Clemenceau w czasie wojny, a Poincaré w r. 1926 dokonało się jakie takie zjednoczenie, życie publiczne Francji było właściwie jednym wielkim obłędem. Wielogłowa dyktatura rozwydrzonych, zajadle się zwalczających, a nieomal wszechwładnych posłów, nietylko musiała wywoływać te nieustanne przesilenia ministerjalne jakich byliśmy świadkami w ostatnich latach i miesiącach, nietylko zrujnowała gospodarkę publiczną i podważyła znaczenie Francji na wielkiej arenie międzynarodowych interesów, ale przez najfatalniejszy system protekcyj i korupcyj doprowadziła do stanu rzeczy, który dopiero w świetle afery Stavisky'ego ukazał się krajowi i światu w całej swej tragicznej grozie. Aż dreszcz przechodzi na widok tych tysięcy osób, zajmujących przeważnie wysokie urzędowe stanowiska, wplątanych w sieci szkaradnego oszustwa i otoczonych formalną mafją bandytów, stojących na

służbie złodziei publicznego grosza. A przecież ten straszny skandal nie jest izolowanem zjawiskiem, ale jest nowem, coprawda szczególnie wielkiem, ogniwem całego łańcucha podobnych wypadków z ostatnich dziesiątków lat.

Jeżeli Francja nie ma potoczyć się szybko w dół, ku nieuchronnej ruinie, musi wzorem wielu innych narodów, wydać ze siebie prawdziwą władzę, wybujałości parlamentaryzmu ukrócić i polityczne swe życie oprzeć na innej konstytucyjnej podstawie. Narazie, jak słusznie mówi w *Revue des Deux Mondes* z 15 marca p. René Pinon, powinna koniecznie skupić się koło jednego wodza. Zobaczymy, czy na tego wodza pan Doumergue wystarczy.

Ale wyuzdanie parlamentaryzmu to nie jest jedyny błąd, za który pokutować trzeba.

Każdemu wiadomo, że dusza francuska posiada gdzieś w swych głębinach ogromne rezerwy prawdziwej miłości ojczyzny i zdolności do wielkich poświęceń. Ale — powiedzmy szczerze — do tych rezerw nie lubi przeciętny Francuz zaglądać zbyt często. Kiedy naród przechodził *les grandes heures* wojennej opresji, potrafił z nich wydobyć najcenniejsze klejnoty ogromnych ofiar na rzecz ojczyzny. W powszedniem jednak życiu, także publicznem, dominującą nutą francuskiego charakteru jest tępy, twardy, krótkowzroczny egoizm. Ten egoizm, jak podkopuje ciągle rozwój rodziny francuskiej, jak uzbraja przeciw sobie do nieprzejednanej walki przedstawicieli rozmaitych grup ekonomicznych, jak objawia się — wiemy coś o tem — nieużytością dla najlepszych politycznych przyjaciół, tak też jest źródłem owej fatalnej partyjnej niezgody, na którą Francja poważnie choruje, a niezgody tak uporczywej i bezwzględnej, jak w mało jakim innym kraju.

Ale i ten niemiły rys, tak bardzo zniekształcający właściwy charakter francuski, nie jest bynajmniej zjawiskiem, pozbawionem głębszych związków i przyczyn. Całe to wypaczenie ślicznego typu francuskiej duszy jest logicznem a nieuniknionem następstwem głębokiej dechrystjanizacji, która ogarnęła oddawna przedewszystkiem szerokie warstwy ludu. Ogromna część mieszkańców wsi i przedmieść wielkich miast, oraz tej inteligencji lub półinteligencji, którą ta warstwa bezpośrednio, t. j. „bez etapu“ produkuje, nie wierzy właściwie w nic, tylko w osobisty, materjalny dobrobyt. A z chrześcijaństwem ginie w niej wszelki idealizm, ginie ciepło uczuć, ginie zdolność poświęcenia, giną, jednem słowem, te wszystkie przedziwne przymioty, które z prawdziwie wierzących Francuzów — widzimy to i dzisiaj w pewnych kołach wyższej inteligencji — robią wspaniały typ katolików najczystszej wody.

Przed Francją stoi więc właściwie jedno tylko wielkie zadanie nietylko religijne, lecz społeczne i narodowe: trzeba koniecznie napowrót uchrześcijanić szerokie masy ludu. Zadanie trudne, ale nad wszelki wyraz doniosłe. Gdy bowiem lud do wiary powróci i wszczepi tę wiarę w stykającą się z nim warstwę, o stopień wyższą na społecznej skali, za chrystjanizacją serc i umysłów pójdzie niewątpliwie wyzwolenie tych nieocenionych przymiotów, które tkwią gdzieś na dnie prześlicznej, na łacińskiej kulturze wyrosłej, francuskiej duszy, ale dziś są jakby przysypane pyłem i żwirem obcej temu narodowi, materjalistycznej cywilizacji. Wtedy sam się zapadnie, nawet bez wojny domowej, ten dosyć rozwinięty komunizm, ale zwłaszcza, bardzo silnie zorganizowany socjalizm, który w ostatnich kilkudziesięciu latach tak złowrogo zaciężył nad całem publicznem życiem kraju; straci grunt pod nogami potężna dotychczas działalność lóż masońskich; będzie mógł się rozwinąć zdrowy parlamentaryzm, bez fatalnych przerostów i zgubnych następstw, jakie dziś za sobą pociąga.

Czy jednak do tego uchrześcijanienia mas ludowych idziemy?

Nie jest łatwo odpowiedzieć jak przedstawia się ogólny bilans rachunku, złożonego z tylu i tylu różnych pozycyj, ale w każdym razie powiedzieć można że nie brak symptomów powolnego postępu. Duchowieństwo tak wyższe, jak niższe — wogóle zasilane przypływem kandydatów zupełnie dostatecznym — stanowczo wzrasta w gorliwości kapłańskiej i sprawności apostolskiej pracy; nauka i literatura katolicka rozwija się prawie że świetnie, pozyskując dla wiary coraz liczniejsze zastępy inteligencji, także zawodowej, jak lekarzy, inżynierów, przemysłowców i t. p.; Akcja Katolicka w centralnym swym zarządzie w Paryżu i po diecezjach, coraz lepiej organizuje pracę w stowarzyszeniach, jedne łącząc, jak np. dwie różne ligi kobiet katolickich w jedną *Ligue féminine de l'Action catholique française,* liczącą dziś około dwóch miljonów członków, inne specjalizując, jak *Association catholique de la Jeunesse française,* która stworzyła osobne gałęzie dla studentów, robotników, rolników i t. d. i rozwija się wprost imponująco; *La fédération nationale catholique,* pod generałem Castelnau, choć występuje mniej aktywnie, reprezentuje jednak potężną siłę, która w chwili ważnych decyzyj, bardzo silnie zaciążyć może na szali; t. zw. szkoły wolne, w przeciwstawieniu do rządowych, ściągają do siebie na stopniu niższym przeciętnie przeszło 50, a na średnim, jeszcze wyższy procent całej młodzieży kraju; u katolików panuje bezprzykładna ofiarność na przeróżne „dzieła" tak pobożne

i charytatywne, jak społeczne, które opierają się wyłącznie na prywatnej hojności.

Niestety jednak trzeba przyznać, że między tym wspaniałym katolicyzmem wyższych warstw narodu, a tępą niewiarą ludu i niezbyt licznym obozem zdecydowanych wrogów chrześcijaństwa, osmoza w sensie dodatnim odbywa się zbyt powoli. Jest to poważne przypomnienie najpierw tej prawdy, że jest bezporównania łatwiej wpływ na lud zachować, niż raz utracony odzyskać, a powtóre, że nie jest wskazane — kto wie, czy tem nie grzeszy się jeszcze we Francji — trzymać się przeważnie, jeśli nie wyłącznie, postawy walki i obrony, a mało myśleć o pozyskaniu przeciwnika, głównie miłością. Gdyby i za Renem dosłyszano śliczne, poważne słowa, jakie dwa tygodnie temu Kard. Faulhaber skierował do katolików niemieckich, byłyby lepsze widoki na rychłe zwycięstwo katolickiej sprawy.

Z dziejów Kościoła w Polsce mamy do zanotowania najpierw jeden fakt wybitnie dodatni, tem cenniejszy, że wyraźnie świadczy o dobrej woli Rządu, ułatwienia pracy kościelnym organom.

Faktem tym jest znaczne i bardzo korzystne rozszerzenie zakresu tych stowarzyszeń katolickich, które mają odtąd nie podpadać pod ogólne prawo o stowarzyszeniach, wydane dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej z 27 października 1932 roku. Mianowicie prawo to w art. 9. a) wyjmowało z pod stanowiących treść jego przepisów tylko „zakony i kongregacje duchowne oraz inne zrzeszenia, mające wyłącznie i bezpośrednio na celu wykonywanie kultu religijnego prawnie uznanych kościołów i związków religijnych". A zatem wszystkie inne stowarzyszenia katolickie, nie będące zakonami czy kongregacjami i nie praktykujące wyłącznie i bezpośrednio aktów pobożności, miały być poddane przepisom wspomnianego prawa, nawet tak uciążliwym, jak wyrażony w art. 18 zakaz zakładania oddziałów, łączenia się w ogólniejsze związki stowarzyszeń, przyjmowania w poczet członków osób prawnych, korzystania z ofiarności publicznej i t. p. Nie trudno pojąć, jak krępujące byłyby tego rodzaju przepisy dla całego mnóstwa zrzeszeń, które lubo nie wykonują religijnego kultu, oddają się najzbawienniejszej i koniecznej w Kościele działalności katolickiej charytatywnej, społecznej, kulturalnej i innym podobnym.

Otóż rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 28 stycznia b. r. te krępujące działalność katolicką przepisy szczęśliwie uchyla. W myśl owego rozporządzenia, oprócz zrzeszeń wymienionych w przytoczonym powyżej art. 9 a) prawa o stowarzyszeniach, nie podlegają także owym przepisom

„związki mające za cel podstawowy szerzenie zasad katolickich, jeśli powstały za zgodą biskupa diecezjalnego lub po swem powstaniu zostały przezeń aprobowane i jeśli w swych statutach przewidują nadzór biskupa nad swą działalnością". Takim więc stowarzyszeniom, a jest ich w Kościele, i u nas także, niemało, wolno będzie odtąd pod pewnemi warunkami, w których prawniczy rozbiór wdawać się tu nie możemy, zakładać oddziały, łączyć się w większe związki, korzystać z ofiarności publicznej i t. d.

Jest to bezwątpienia bardzo pożądane rozwiązanie rąk katolickiej organizacyjnej pracy, które, jak słusznie podkreślił *Osservatore Romano,* jest nowym dowodem dobrej woli sterników naszej nawy państwowej.

Niestety od tego stanowiska Rządu fatalnie i jaskrawo odbija usposobienie pewnych związków, które chyba przez tragiczne nieporozumienie afiszują się przynależnością do rządowego obozu.

Jak zareagował na List Biskupi Legjon Młodych, to niech pokażą następujące krótkie wyjątki, zebrane z jednego tylko numeru *Państwa Pracy* z dn. 18 marca b. r.

Komendancie! — pisze ta sympatyczna młodzież pod adresem duchowego Wodza narodu polskiego — To, co my myślimy myśli wielka, wielka część Twojej wiary, Twoich żołnierzy, szarej Legjonowej i Peowiackiej braci... Wyciągnęła się do nas z tamtych szeregów braterska, niezawodna ręka: solidarności, podtrzymania w odpowiedzi na napaść dostojników rzymsko-katolickiego kościoła. Z jakże gorącem sercem, ponad głowami tych dostojników, ponad głowami magnaterji rolnej i przemysłowej, ukrywającej się za tą księżą awangardą, przyjmujemy tę braterską, tę wierną, tę kochaną rękę Leguna i Peowiaka.

Niejednokrotnie zapewne będziemy musieli bronić naszych idei, niejednokrotnie staniemy się przedmiotem plugawych i kłamliwych napaści ze strony tego czy innego kramu partyjnego... aż przyzna nam rację polska rzeczywistość, aż wywalczymy w tej Polsce... gdzie rozsiadły się dzisiaj tłuste pańskie brzuchy i księże zady... bezwzględne i jedyne obywatelstwo naszej ideologji.

A wtedy, jak szczury uciekać będą te ciała kataryniarskie i fioletowe, gdy zostanie im odjęta możność bogacenia się cudzym kosztem i wyzyskiwania pracującego ludu.

Biskupi na łamach szmat endeckich i z ambon opublikowali list z dn. 21 lutego. Dlaczego o tem piszemy w *Państwie Pracy?* Dawno przestaliśmy już wierzyć w celowość a nawet w możliwość jakiejkolwiek polemiki z watykańsko-katolickimi urzędnikami. Polemizować można tylko z tym, kto nie jest zaślepiony i kto ma prawo być szczerym. Ani na jedno ani na drugie nie mogą sobie pozwolić oficjalni reprezentanci „nieomylnej"

doktryny watykańsko-papieskiej. Jeżeli jednak tę sprawę poruszamy, to z tego względu, żeśmy zostali bezpośrednio zaczepieni i oskarżeni, że stoimy na stanowisku komunistycznem i odrzucamy chrześcijaństwo... Wydano nam wojnę. Nie myśmy zaczęli lecz Episkopat... List pasterski pisze: Nie możemy się pogodzić z zakusami, któreby czemkolwiek chciały zastąpić wiarę objawioną. Vice versa: Zabraniamy komukolwiek demagogją i wypartemi przez życie „objawieniami" zatarasowywać naszą drogę do umysłów najmłodszych obywateli Państwa zorganizowanej Pracy.

List pasterski nazwał nas ruchem komunistycznym. Sądzimy, że autorom jego obcą była treść naszej deklaracji ideowej, w przeciwnym wypadku treść podobnych enuncjacyj zasłużyłaby na miano prowokacyjnej insynuacji, przeznaczonej na eksport do bezkrytycznego tłumu endeckiej kołtunerji... Ale drogi Legjonu są ściśle wytyczone tak, że żadne zarzuty i ataki nie wpłyną na odchylenie od tych dróg.

Ekspektoracyj tej treści moglibyśmy jeszcze znacznie więcej przytoczyć z tego samego zawsze numeru naczelnego organu Legjonu Młodych, ale sądzimy, że i te wyjątki rzucają dostateczne światło na nastawienie duchowe tych młodzieńców, którzy mają się za budowniczych i jedynie uprawnionych przedstawicieli nowej Polski. Jak zbyteczne są tu wszelkie komentarze, tak nie na miejscu byłaby jakakolwiek tego kierunku ocena. Jedno chyba jest jasne, że wszyscy, którym leży na sercu przyszłość Ojczyzny, powinni otoczyć Legjon kordonem duchowym i tak od niego odseparować prawdziwą Polskę, jak odcina się zdrowe części organizmu od źródła niebezpiecznej gangreny i zarazy.

A Rząd... *videant consules* czy jest roztropnie tolerować dłużej te niesłychane wybryki, miotające błotem na wszystko, czemu kraj nasz zawdzięcza całą swą wielkość.

A jakaś poważna akcja w tej sprawie jest może tem bardziej wskazana, że idzie w tej chwili przez nasz kraj zdumiewająca swem zuchwalstwem propaganda zdecydowanego bezbożnictwa, z którą Legjon Młodych podtrzymuje wyraźną solidarność. Prócz znanego organu ateuszów warszawskich, rozchodzi się i rozrzucane jest szeroko w wojsku i wśród ludu, niezmiernie głupie wprawdzie, ale na głupotę czytelników dość dobrze obliczone pisemko „Błyski wolnomyślicielskie"; po wioskach, zwłaszcza tam, gdzie przygotowało grunt sekciarstwo lub kościół narodowy, bardzo łatwo krzewi się zupełna niewiara; po wyższych uczelniach, nawet w takim Poznaniu, działają bardzo ruchliwe kółka młodzieży, która zerwała już zupełnie nietylko z pozytywnem chrześcijaństwem, ale z jakąkolwiek określoną religijną myślą. Otóż jakkolwiek ta propaganda jest beznadziejnie niemądra, nie-

kulturalna, ordynarna i płytka — *exemplum* najświeższe dziełko prof. Ułaszyna „Z walk z kłamstwem" — może nie jest to pożądane dla kraju, żeby szerzył się bezkarnie tak wyuzdany radykalizm religijny. Jeżeli bowiem, jak dowodził świeżo komentując deklarację, złożoną w senacie przez Ministra W. Jędrzejewicza, poważny organ prorządowy [1]) wychowanie religijne jest bardzo silną podporą wychowania państwowego, to chyba i naodwrót zawzięte podkopywanie wszelkiej religji nie może wyjść na pożytek, bez tego już rozmaicie zagrożonej Ojczyzny.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Drogi wodne w Polsce i zagadnienie Wisły.

I.

Przed 29 laty, kiedy w Małopolsce przystąpiono do częściowej realizacji austrjackiej ustawy o budowie dróg wodnych, ogłosiłem w *Przeglądzie Powszechnym* ogólne uwagi o żegludze śródziemnej i polskich drogach wodnych, oraz o roli ówczesnej Galicji w austrjackim programie budowy kanałów. Z „galicyjskiej" części tego programu rząd austrjacki uporządkował Wisłę w obrębie Krakowa, wykonując bulwary wraz z kolektorami, a w grudniu 1911 r. rozpoczęto budowę kanału żeglugi od Krakowa na Zachód, który miał połączyć Wisłę z Odrą na obszarze zagłębia Karwińskiego i z Dunajem pod Wiedniem; dalszym etapem robót miała być budowa drogi wodnej Kraków — San — Dniestr i odgałęzienie od Dniestru do Prutu i przypuszczano, że to odgałęzienie uzyska większe znaczenie niż droga na Dniestr, który uchodzi do limanu, na zupełnem bezdrożu morza Czarnego, gdy tymczasem Prut wpada do Dunaju pod Reni koło Galaczu na odcinku o silnie rozwiniętej żegludze morskiej. [2]) O użeglownieniu Wisły, w celu otrzymania drogi wodnej Dunaj — Wisła — Bałtyk nie myślano, bo wymagałoby to regulacji 430 km. dzikiego odcinka w b. Królestwie, a krótsze połączenie z Bałtykiem miała dać Odra, skanalizowana od Koźla do Wrocławia i dobrze uregulowana od Wrocławia do Szczecina.

Po wojnie światowej, złączenie środkowych ziem polskich [3]) i uzyskanie całej Wisły, części Warty i Noteci z Kanałem Byd-

[1]) *Czas* z 20 marca b. r.

[2]) Na możliwość połączenia Wisły z Dunajem przez San — Dniestr — Prut zwróciłem uwagę rumuńskiej delegacji handlowej w r. 1921 i umowa handlowa z 1 lipca 1921 r. przewiduje zwołanie wspólnej komisji do zbadania tego połączenia. Komisja ta nie została jeszcze utworzona.

[3]) Obszar gospodarczy dawnej Polski, określony w traktacie przyjaźni między dworami petersburskim, wiedeńskim i berlińskim, zawartym 3 maja 1815 na Kongresie Wiedeńskim i w umowie z r. 1818 o swobodzie handlu i żeglugi, obejmuje granice Polski z przed roku 1772.

goskim, na których odbywa się prawdziwa żegluga handlowa, wreszcie Bugu z Narwią, górnego Niemna i Prypeci, oraz kanałów Królewskiego, Augustowskiego i Ogińskiego, daje wprawdzie zpowrotem naszemu życiu gospodarczemu ważne naturalne drogi handlowe, ale zmusza nas do potężnych wysiłków, aby te trzy odrębne systemy wodne, które w ciągu przeszło stu lat zostały przystosowane do potrzeb zupełnie odrębnych systemów handlowo komunikacyjnych trzech państw zaborczych, zespolić razem i przekształcić tak, aby służyły potrzebom Polski, a nie interesom poszczególnych dzielnic. Tak samo wyglądał w r. 1914 system komunikacyj lądowych dostosowanych do zamiarów politycznych zaborców; otrzymaliśmy więc niedostateczną ilość połączeń b. Kongresówki z Zachodem i Południem (np. z Małopolską połączenia kolejowe tylko w Maczkach i Radziwiłłowie); sieć kolejowa i drogowa zaboru pruskiego miała ułatwiać inwazję na Wschód, sieć małopolska ułatwiać ucieczkę za Karpaty, a tych kilka szlaków kolejowych b. Kongresówki, bo o sieci mówić nie można, miało utrudniać niepożądaną łączność b. Rosji i nielojalnej Kongresówki z Zachodem.

Przed wojną odchodziło naszemi drogami wodnemi głównie drzewo z Południa i ze Wschodu, a więc z dorzecza Wisły, Prypeci i Niemna do Bydgoszczy, Gdańska i Kłajpedy. Wgórę Wisły odchodziło rocznie do Kongresówki z Gdańska i Torunia do 80 tysięcy ton towaru, z Kłajpedy wgórę Niemnem do 30 tysięcy ton, zaś Przemszą i Wisłą spławiano węgiel kamienny do Krakowa i ku Sandomierzowi. Po wojnie stosunki te uległy zupełnej zmianie z powodu przesunięcia granic politycznych; Dolny Niemen i Kłajpeda są dla nas jeszcze niedostępne, handel drzewem, a więc i przewozy zależą od ciągle zmiennej konjunktury, a silny przed wojną przemysł tartaczny w Bydgoszczy zamiera, bo drzewo chętniej przeciera się blisko miejsc wyrębu i przewozi koleją, aby je szybko sprzedać, jedynie przewóz węgla wodą z Zagłębia do Krakowa nie ulega zmianom i utrzymuje się ilościowo na tym samym poziomie co i przed wojną.

II.

Polska zajmuje obszar między Bałtykiem i Karpatami, w miejscu największego zwężenia lądu, t. j. największego zbliżenia morza Czarnego do Bałtyku i położenie to skraca odległość dróg dowozowych ze środka kraju do portów morskich, a równocześnie obejmując swym obszarem na całej szerokości części pasa niżu północno-europejskiego, jest miejscem przechodowem dla tranzytu między Wschodem i Zachodem. Rzeki nasze spływają w różnych kierunkach i sieć ich żeglowych dopływów wnika dość daleko wgłąb kraju, dając łatwy stosunkowo dostęp do portów

morskich (Szczecin, Gdańsk, Kłajpeda), a niskie i płaskie działy wód ułatwiły łączenie z sobą sąsiednich dorzeczy.

Do Bałtyku spływa przedewszystkiem Wisła, która siecią dopływów obejmuje prawie połowę obszaru Polski, do Bałtyku spływają dalej przez Odrę, Warta z Notecią, następnie Niemen i Dźwina, dotykająca swym lewym brzegiem granic Polski na krótkim odcinku, — do morza Czarnego Prypeć przez Dniepr, Dniestr, wreszcie dopływ Dunaju Prut. Przez te rzeki ma Polska dostęp drogą wodną do następujących portów morskich: do Hamburga, Lubeki, Szczecina, Gdańska, Królewca i Kłajpedy, a obecnie, po skanalizowaniu progów dnieprowych, Prypecią i Dnieprem do Morza Czarnego, zaś po doprowadzeniu niemieckiego kanału śródlądowego do Łaby, barki nasze będą miały dostęp do portów delty Renu, a więc do Amsterdamu, Rotterdamu i Antwerpji.

Te niezwykle korzystne warunki położenia geograficznego Polski, skłoniły w pierwszym roku niepodległości wielu naszych inżynierów, — idących wówczas za ogólnym, zresztą chwalebnym popędem natychmiastowego usuwania zaniedbań zaborców, — do opracowania bardzo śmiałych projektów, opartych prawie wyłącznie na fantazyjnych pomysłach zwolenników niemieckiej polityki ekonomicznej w czasie wojny. Wówczas to powstały projekty „Kanału Węglowego" oraz wielkiej drogi wodnej „Wschód — Zachód" i w lecie 1919 r., bez poważniejszych studjów przygotowawczych, przystąpiono do budowy kanału obwodowego w Warszawie, okrążającego od Wschodu Pragę i do budowy portu na Zeraniu pod Warszawą, z krótkiem odgałęzieniem w stronę Bugu. Z początkiem jesieni utworzono w Warszawie dwie Generalne Dyrekcje, jedną naturalnych dróg wodnych, drugą sztucznych dróg wodnych i nowi dygnitarze, powynajdywani w różnych stronach Polski okazali tak wiele energji w chęci zrealizowania swych śmiałych pomysłów, że jakąkolwiek krytykę ich zapału zaczęto uważać za brak wiary we własne siły, niegodne dobrego patrjoty. Prace rozpoczęto, unikając niepotrzebnych biurokratycznych trudności, to też do robót ziemnych na gruntach prywatnych przystąpiono nie troszcząc się o zgodę właścicieli. Otrzeźwienie, Bogu dzięki, przyszło i roboty, przerwane w czasie wojny bolszewickiej zostały zaniechane, a Generalne Dyrekcje, po kilku latach zwinięte. Wartościową pamiątką z okresu robót r. 1919 jest port na Saskiej Kępie, jedyny port na Wiśle w obrębie b. Kongresówki, którego jeden basen obulwarowany i połączony z koleją, odgrywa od kilku lat bardzo ważną rolę w ruchu towarowym Warszawy.

Kłopot mamy z t. zw. Kanałem Krakowskim, rozpoczętym w r. 1912, bo właściwie niewiadomo co z nim zrobić i znaczne sumy, wydane na roboty między Krakowem i Spytkowicami nie przynoszą żadnej korzyści, a kilka zdaleka widocznych mostów, nad suchemi wykopami, nie świadczy zbyt chlubnie o celowości wydatków, — swoją drogą mosty wykonano jeszcze za czasów

austrjackich. Rzecz prosta, że Kanał będzie kiedyś wykończony, lecz zostanie skierowany nie ku Morawskiej Ostrawie (Zagłębie Karwińskie), jak to przewidywał projekt austrjacki, lecz do naszego Zagłębia i ta nowa trasa została już przestudjowana i kosztorys opracowany; kanał ten przyniesie znaczne korzyści, bo umożliwi masowe transporty węgla, który obecnie po Przemszy i Wiśle może być przewożony tylko na małych barkach; — ale o takich wielkich masowych przywozach będzie można mówić dopiero wówczas, kiedy zapotrzebowanie węgla na Powiślu wzrośnie do tego stopnia, że nie wystarczy już dotyczasowa zdolność przewozowa małych barek wiślanych i kolei, dowożących węgiel do Krakowa, Niepołomic, Szczucina i Nadbrzezia (Sandomierza). Ponieważ to jednak nie prędko nastąpi, lepiej będzie zwrócić tymczasem wszelkie wysiłki na polepszenie żeglowności obecnie eksploatowanych dróg wodnych, w szczególności Wisły.

Według urzędowej statystyki długość polskich rzek żeglowych i kanałów żeglugi wynosi 6.870 kilometrów, jednak długość dróg wodnych, na których rzeczywiście odbywa się żegluga, jest znacznie mniejsza i wynosi tylko:

Drogi wodne dla małej żeglugi, t. j. dla barek do 200 ton pojemności	1722 km
Drogi wodne dla barek ponad 200 ton (Wisła od Warszawy do Gdańska 456 km., Warta od Poznania 130 km. i Noteć z Kanałem Bydgoskim 280 km.	866 „
Razem	2588 km

Ministerstwo Robót Publicznych, zniesione w r. 1932 pozostawiło dobrze zorganizowaną służbę wodną i żaden czynny odcinek drogi wodnej nie był pozbawiony opieki, lecz konieczne, choć może zbyt daleko posunięte, oszczędności, spowodowały w ostatnich latach pogorszenie żeglowności i nic dziwnego, jeżeli na utrzymanie rzek żeglownych, portów, zimowisk, taboru i służby wodnej w ostatnich latach preliminowano i wydawano następujące kwoty w tysiącach złotych:

r. 1929/30	Budżet	Min.	Rob.	Publ.	preliminowało	20.304,	wydano	20.189
„ 1930/31	„	„	„	„	„	19.573,	„	15.953
„ 1931/32	„	„	„	„	„	19.880,	„	6.991
„ 1932/33	„	„	Komunik.		„	4.873,	zamkn.	rach.
„ 1933/34	„	„	„		„	4.935,	nie	zakończ.

Ale same, nawet najlepsze drogi wodne, porty i przystanie nie dają żeglugi, do tego potrzeba jeszcze taboru przewozowego, t. j. barek i holowników, no i towaru, który przewożą po wodzie żeglarze tak zw. szyprowie lub szkuci -e (bezpośrednio, lub przez firmy przewozowe). Nasz tabor przewozowy (jest ilościowo i jakościowo niewystarczający, stosunek jego do taboru Francji i Niemiec wynosi dla siły (holowników i statków) 1:20:70, zaś dla

pojemności ładunkowej barek i wszelkiego rodzaju łodzi 1:11:43, pozatem jest on przestarzały, niedostatecznie odnawiany i uzupełniany, bo żeglarze nie mają na to środków, a pomoc im okazywana jest zupełnie niewystarczająca. Lecz mimo ten zły stan taboru i obecnie nienajlepszy stan dróg wodnych żegluga u nas pracuje skutecznie, i jak to okazują dane statystyczne, rozwija się stale mimo okres kryzysu.

Ruch w 1.000 ton rocznie, bez ruchu miejscowego w obrębie 10 km. wynosił:

1) Wisła:

a) przez Oświęcim przechodziło do Krakowa i poza Kraków węgla:
w latach 1906—1911 średnio 38.7 max. 43.6, minim. 32.7
„ 1926—1932 „ 39.0 „ 57.1, „ 31.7

b) przechodziło towarów w r.:	1929	1930	1931	1932	1933
przez:					
Sandomierz	—	—	6.4	1.2	—
Warszawę [1])	95.2	91.6	101.4	124.9	153.2
Tczew (z tranzytem)	212.0	241.6	256.1	232.0	275.0 [2])
przez Tczew przeszło z Polski do Gdańska			208.8	165.2	brak danych
„ „ „ z Gdańska do Polski			40.2	59.8	„ „
Razem			249.0	225.0	„ „
w tej liczbie przeszło wodą do Gdyni i z Gdyni			30.0	25.8	72.0

2) Kanał Bydgoski i Noteć:

Rok	1929	1930	1931	1932
przeszło z Wisły i na Wisłę przez Brdyujście	32.2	93.1	120.1	106.5
z Odry i ku Odrze przez Nakło	15.5	14.2	3.4	8.9
3) Górna Noteć	35.3	56.9	80.1	63.7
4) Warta	220.0	213.2	107.4	107.9

5) Na wschodnich drogach wodnych przewożono małe ilości towarów i ruch ma charakter ściśle miejscowy.

Cyfry powyższe wykazują, że ilość węgla przewożonego do Krakowa od dłuższego czasu nie ulega zmianom, że ruch na Dolnej Wiśle, Kanale Bydgoskim i Noteci wzrasta, zaś od r. 1930 ruch z Niemcami na Warcie i Noteci dolnej spadł do połowy, co jest ściśle związane z niezrealizowaną umową handlową.

---

[1]) W r. 1911 — 95.1 tys. ton; niektóre cyfry przewozowe różnią się wprawdzie w drobnych odsetkach od danych Urzędu Statystycznego, pochodzą jednak ze spostrzeżeń bezpośrednich.

[2]) obliczenia tymczasowe.

Największą pozycję w wywozie stanowi na Wiśle cukier, średnio 70%, zboże 20%, mąka, drzewo i soda — w imporcie owoce południowe, oleje, ryż, tłuszcz, garbnik i żywica, — na Warcie w wywozie zboże, a częściowo węgiel i cukier.

III.

Cyfry przewozowe z ostatnich lat wykazują dobitnie, że ruch żeglugowy stale wzrasta i że na Wiśle intensywna żegluga istnieje tylko na odcinku Warszawa — Bałtyk, który jest drogą wodną, o wielkiem dla nas gospodarczem znaczeniu, czego się niestety dostatecznie nie uwzględnia, dlatego też na ten odcinek powinny być skierowane wszystkie wysiłki, aby wzmocnić i utrwalić połączenie stolicy państwa z obu naszemi portami na Bałtyku.

Ale na tem nie koniec, — Wisła łączy stolicę nietylko z morzem, ale także z naszym najcenniejszym ośrodkiem produkcji, z Zagłębiem i dlatego stopniowa poprawa żeglowności odcinka Wisły Zagłębie — Kraków — Warszawa powinna być również objęta programem robót najpilniejszych.

Pozatem mamy przed sobą jeszcze inne, również pilne zadanie, a mianowicie: uzupełnienie drogi wodnej Wisły przez związanie jej z siecią zachodnich i wschodnich dróg wodnych; Noteć łączy się z Wisłą przez Kanał Bydgoski, podobnie też musi być z Wisłą związana i Warta, i w tym celu powinna być uregulowana w woj. łódzkiem na krótkim odcinku, od ujścia Prosny do Konina, zaś od Konina połączona krótkim kanałem z jeziorem Gopłem. — Studja wstępne zostały już przeprowadzone i regulacja Warty rozpoczęta, lecz postępuje bardzo wolno z powodu koniecznych oszczędności budżetowych. Prypeć łączy się z Bugiem, a więc i Wisłą przez Kanał Królewski, lecz Kanał ten służy dla spławu, zaś Bug jest zupełnie dziki, uregulowanie tego połączenia zostało już rozpoczęte przez stopniową przebudowę Kanału Królewskiego.

Otóż związanie Warty i Prypeci z Wisłą jest zagadnieniem pierwszorzędnego znaczenia i bodaj, że pilniejszem, niż przekształcenie odcinka Wisły między Sandomierzem i Warszawą na dobrą drogę wodną.

Uporządkowanie naszych głównych dróg wodnych wymaga znacznych kosztów i dłuższego czasu, ale praca ta musi być wykonana i przynajmniej w większej części przez obecne pokolenie, chodziłoby tylko o zastanowienie się nad kolejnością robót.

Przedewszystkiem nie należy zapominać, że osią naszego systemu wodnego i najważniejszą arterją komunikacyjną jest Wisła, odwadniająca ponad dwie trzecie całego obszaru obecnej Polski, a jak ona obecnie wygląda, nawet w obrębie stolicy, — która chciałaby urządzić u siebie za 10 lat Wystawę Światową, — wiemy dobrze. Od ujścia Przemszy do Sandomierza i na Pomorzu otrzy-

mała Wisła koryto skoncentrowane i brzegi ubezpieczone, ale na środkowym 430 km. odcinku od Zawichostu do Otłoczyna znajduje się w stanie dzikim, rozbita miejscami na wiele ramion tak, że szerokość koryta dochodzi do kilku kilometrów, jak np. pod Kłodą powyżej Warszawy lub przy ujściu Bzury, woda obrywa grunty orne i zbliża się do osiedli, które przed laty położone zdala od wody, dziś w wielu miejscach są zniszczone lub stoją pod grozą zniszczenia. Ale i odcinek dolnej Wisły na Pomorzu, choć uregulowany przed wojną, wymaga szczególnej opieki, bo robotom brak uzupełnień i odnowy z powodu niedostatecznej konserwacji, a opieka nad tym odcinkiem leży w interesie naszej żeglugi, która obejmuje cały ruch wodny do Gdańska i Gdyni; niedostateczna troska o stan Wisły jest także stale wyzyskiwana przez propagandę niemiecką, gdyż prawy wał wiślany od Grudziądza wdół, którym biegnie granica państwowa, ochrania bardzo żyzną nizinę kwidzyńską.

Jak to już wyżej wspomniałem, nasze drogi wodne, w szczególności Wisła są otaczane opieką i wykonuje się na nich roboty regulacyjne, a na środkowym, dzikim odcinku Wisły wydano na nie w ostatnich 12 latach kilkadziesiąt miljonów złotych, lecz to, co zrobiono dotychczas jest nieznaczną cząstką tego, co bezwarunkowo powinno być zrobione. Roboty regulacyjne na Wiśle postępują więc bardzo wolno, a środki budżetowe, z powodu oszczędności są w tej chwili tak skąpe, że na odcinkach regulowanych stan wód wykazuje nawet pogorszenie.

Lecz brak środków nie jest jedynym powodem małego rozmiaru dotychczasowych wysiłków, przyczynia się do tego i obojętność społeczeństwa, może dlatego, że zrozumienie konieczności uporządkowania Wisły nie przeniknęło jeszcze dość głęboko w szerokie masy ludności i w nasze ugrupowania społeczne. Nasza ustawa wodna (Dz. Ust. Nr. 62 z r. 1928, art. 77 i 102) przyczynia się również do tego, bo troskę o stan rzek, o ile chodzi o rzeki żeglowne, przerzuca na Państwo, mimo, że regulacja i ochrona brzegów większych rzek, które ustawa wodna nazywa żeglownemi, przynosi korzyść nietylko interesom publicznym, ale w przeważnej mierze własności prywatnej, — dlatego też właściciele nadbrzeżni nie powinni być pomijani w ponoszeniu pewnej części kosztów regulacji.

W lecie 1933 r. rozbrzmiewało po całej Polsce hasło „Frontem do Wisły" podjęte z zapałem przez społeczeństwo, szczególnie na Powiślu, to też ludność na różnych zebraniach oświadczała gotowość ofiarowania do robót regulacyjnych pracy, a własność rolna materjałów faszynowych i rozwozu. — Ale nie umiano wykorzystać tego zapału, zresztą w zimie rzucono już inne hasło, obrócono się frontem do dróg, a tyłem do Wisły. Zapewne, że zagadnienie drogowe jest sprawą naglącą — i powinno być wysunięte na pierwsze miejsce, ale przecie i o Wiśle zapominać nie

wolno, podobnie, jak i o trzeciem zagadnieniu, a tem jest wygląd naszych miast i miasteczek; te trzy zagadnienia mogą być jednocześnie rozwiązane i realizowane. Zagadnienia te powinny tworzyć podstawy naszego programu najniezbędniejszych inwestycyj, ale korzystnego rozwiązania doczekają się tylko wówczas, jeżeli ujmą je w swe ręce jednostki lub zgrupowania, zdające sobie sprawę z zasadniczych potrzeb państwowych, mające poczucie odpowiedzialności przed społeczeństwem.

Przecie u nas zrealizowano już niektóre zagadnienia gospodarcze i to ze znakomitym skutkiem, przykładem Gdynia i Mościce, które powstały tylko dzięki energji kilku osób. I Wisła doczeka się uporządkowania jeżeli sprawę ujmie w swe ręce grono osób, rozumiejących ważność zagadnienia i umiejących działać szybko i energicznie.

Alfred Konopka
Inż. Dypl.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 26 marca 1934.

Jak dokonało się odkupienie ludzkości.

Gdy na zebraniu Sanhedrynu, zwołanem z powodu wielkiego wrażenia, jakie zrobiło wskrzeszenie Łazarza, ujawniła się ogólna bezradność, zabrał głos, urzędujący w owym roku arcykapłan, nazwiskiem Kajfasz i rzekł z właściwą sobie wyniosłością: „Wy nic nie wiecie, ani nie zdajecie sobie sprawy, że lepiej jest dla was, by jeden człowiek poniósł śmierć dla ludu, niż żeby cały naród miał zginąć". [1]) Zdanie to wywarło decydujący wpływ na dalsze postępowanie starszyzny żydowskiej względem Chrystusa, albowiem odtąd postanowili, jak zaznacza św. Jan, Chrystusa zgładzić. [2]) Kajfasz miał przy swem przemówieniu bezwątpienia na myśli uchylenie od narodu żydowskiego doczesnego nieszczęścia, niewoli rzymskiej; lecz Opatrzność Boża nadała słowom arcykapłańskim głębsze, prawdziwie prorocze znaczenie, sprawiając, że śmierć Chrystusa stała się odkupieniem całego rodzaju ludzkiego.

Wyrazu odkupienie używamy często równoznacznie ze zbawieniem lub wybawieniem. Właściwie jednak zachodzi między temi słowami pewna różnica: wybawienie oznacza tylko ogólnie uwolnienie od czegoś złego, odkupienie zaś uwydatnia nadto sposób uwolnienia, mianowicie przez złożenie okupu. W tem ściślejszem znaczeniu stosuje już Pismo św. wyraz „odkupienie" do dzieła Chrystusowego. Pierwszym czytelnikom ksiąg św., w czasach kiedy niewolnictwo było prawie ogólnie rozpowszechnione, kiedy jeńców wojennych i niewypłacalnych dłużników sprzedawano w niewolę, było

[1]) Ja. 14, 49—50. [2]) Tamże 11, 53.

pojęcie odkupienia człowieka dobrze znane. Dlatego idea niewoli — nad którą nie znano większego nieszczęścia doczesnego — wraz z ideą odkupienia z niej, nadawały się znakomicie do uświadomienia ludziom niepojętego nieszczęścia, w jakie przez grzech popadli i nieocenionego dobrodziejstwa, jakiego przez śmierć Chrystusa doznali.

Chociaż to określenie dzieła Chrystusowego jako odkupienia opiera się na porównaniu i ma charakter metaforyczny, nie wolno w niem bynajmniej upatrywać, jak chce racjonalistyczna egzegeza, tylko czysto obrazowego wyrażenia, albo czczej przenośni. Tego nie dopuszcza już częstość, z jaką natchnieni pisarze tą nazwą się posługują, a z największą oczywistością to, że dokładnie oznaczają niewolę, z jakiej nas Chrystus wybawił, oraz okup, który w tym celu złożył.

* * *

Wiadomo jak pod koniec starożytnej ery rozpowszechniło się między ludźmi odczucie własnej nędzy i niemocy, i jak silne wskutek tego powstało pragnienie nadludzkiego Zbawiciela. Niestety błądzono przeważnie w ocenie źródła wszystkiego złego i wskutek tego pokładano nadzieję w fałszywych zbawcach. Nawet u wybranego narodu, w którym sam Bóg, daną natychmiast po upadku obietnicę Zbawiciela, przez ponawiane objawienia podtrzymywał i rozwijał — uległa idea Mesjasza-odkupiciela daleko idącemu skażeniu, tak że przeważnie oczekiwano raczej politycznego niż religijnego wybawcy. Dlatego pierwszem zadaniem objawienia Nowego Zakonu było sprostowanie owych fałszywych pojęć i przywrócenie prawdziwej, czysto religijnej idei odkupienia, jako wybawienia od grzechu i jego następstw.

Już przy zapowiedzi narodzenia Zbawiciela rzekł anioł do Józefa: „Nadasz Mu imię Jezus. On bowiem wybawi lud swój od grzechów jego". [1]) Gdy Jezus rozpoczął swą publiczną działalność, zaczął od głoszenia pokuty jako warunku uwolnienia od grzechu. Grzech przedstawiał wyraźnie jako przyczynę wszystkiego złego. Zwracających się doń

[1]) Mt. 1, 21.

z chorobami ciała, miłościwie uzdrawiał, lecz równocześnie pobudzał ich do skruchy za grzechy i udzielając rozgrzeszenia, upominał: „już nie grzesz, aby ci się co gorszego nie przydarzyło". [1]) Kiedy żydzi szczycili się pochodzeniem od Abrahama i rzekomo nigdy nie utraconą wolnością, zwrócił Jezus ich uwagę na to, że znajdują się w gorszej niewoli niż polityczna, bo w niewoli grzechu. „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam", mówił, „każdy kto grzeszy, jest niewolnikiem grzechu... (tylko) jeśli Syn (Boży) was wyzwoli, prawdziwie wolni będziecie", [2]) i powołując się na przepowiednie Izajasza oświadczył, że przysłany został „by koić skruszone serca, jeńcom zwiastować wyzwolenie... uciśnionych obdarzyć swobodą". [3])

Rozpatrując przytoczone teksty w związku z całokształtem nauki objawionej, uczą Ojcowie św. i teologowie, że rodzaj ludzki popadł z powodu grzechu aż w potrójną niewolę. Najpierw w niewolę winy grzechowej, od której o własnych siłach nie mógł się uwolnić. Powtóre w niewolę kary, nałożonej przez sprawiedliwość Bożą, której sam z siebie nikt nie mógł uniknąć. Karę tę stanowiła pożądliwość walcząca przeciwko duchowi, podbijająca w niewolę ciała i wikłająca człowieka w coraz to nowe i gorsze grzechy, oraz śmierć ciała i wieczną śmierć duszy, polegającą na odrzuceniu od źródła nadprzyrodzonego życia. Oprócz tego wymienia Objawienie jako następstwo grzechu, niewolę szatana, w którą człowiek, dając się szatanowi uwieść, sam się oddał, a którą Bóg dopuścił jako słuszną karę za odstępstwo człowieka od swego właściwego pana. Jak skutecznie szatan z otrzymanej nad człowiekiem mocy korzystał, jak dalece go pod swoją władzę podbił, o tem świadczy najlepiej historja demonizmu i satanizmu. Sam Chrystus nazwał szatana władcą tego świata, lecz równocześnie oświadczył, że przyszedł złamać jego moc i precz go wyrzucić. [4]) Ponieważ szatan skazany jest na wieczną śmierć w oddaleniu od Boga i także człowieka przez przywiedzenie go do grzechu o śmierć przyprawił, nazywa go Pismo św. władcą śmierci i mówi, że Chrystus przez śmierć swoją „zniszczył czarta

[1]) Ja. 5, 14. [2]) Ja. 35 ns. [3]) Łk. 4, 19. [4]) Ja. 12, 31.

jako władcę śmierci i wyzwolił tych, którzy dla bojaźni śmierci przez całe życie trzymani byli w niewoli". [1])

Pomimo uzyskania daleko idącego wpływu nad człowiekiem, nie był szatan, rozumie się, nigdy jego prawowitym panem; tym pozostał zawsze Bóg. Dlatego też Bogu, a nie szatanowi należał się okup. Przeciwne twierdzenie odrzucają już najpoważniejsi Ojcowie Kościoła z oburzeniem jako bluźnierstwo. [2])

* * *

Jako okup uwolnienia rodzaju ludzkiego z owej potrójnej niewoli złożył Chrystus Ojcu Niebieskiemu własne swoje życie.

Chrystus nietylko zapowiedział w ogólnych słowach, że życie swoje odda za owce swoje, dla zbawienia ludzi; ale powiedział też wyraźnie, że odda je na okup. Uczynił to z okazji ujawnienia przez apostołów fałszywych wyobrażeń o królestwie Zbawiciela, w którem oni spodziewali się otrzymać najprzedniejsze stanowiska. Gdy z tego powodu powstał spór między apostołami, pouczył ich Jezus, że według planów Opatrzności Bożej nie przyszedł na ziemię nato, by tu wieść życie w zaszczytach i honorach, lecz w pokorze i cierpieniu. „Syn człowieczy nie przyszedł, aby mu usługiwano, lecz by usługiwać i życie swe oddać na okup za wielu". [3])

Jak apostołowie te słowa Zbawiciela zrozumieli i jaką doniosłość im przyznawali, poznajemy stąd, że często wiernym przypominają, iż jesteśmy odkupieni za drogą cenę krwi Chrystusowej. „Nie skazitelnem złotem albo srebrem jesteście wykupieni", tak pisze św. Piotr [4]) „ale drogą krwią jako baranka niezmazanego i niepokalanego Chrystusa". Podobnie odzywa się św. Paweł do Koryntjan: „Kupieni jesteście za cenę wielką". [5]) „Albowiem Chrystus wydał sa-

---

[1]) Żyd. 2, 14—15.

[2]) Grzegorz Naz., Orat. 45, 22, P. G. 36, 654; Jan Damasc., De fide orthod. 3, 27, P. G. 94, 1095.

[3]) Mt. 20, 20—28. [4]) I Ptr. 1, 18. [5]) I Kor. 6, 20; 7, 23.

mego siebie na okup dla wszystkich". [1]) „W nim mamy odkupienie przez krew jego: odpuszczenie grzechów". [2])

Krew i życie Chrystusa jako Boga-człowieka były już same w sobie nieskończenie cenne. Jednak nie na ich materjalnem oddaniu opiera się nasze odkupienie z niewoli grzechu, ale na ich oddaniu dobrowolnem i dokonanem z najwznioślejszych pobudek.

Swoją wolność w poniesieniu śmierci zaznaczył sam Zbawiciel w uroczysty sposób mówiąc: „Ojciec miłuje mnie dlatego, że życie swe oddaję, aby je znowu odebrać. Nikt mi go wydrzeć nie może, ale ja oddaję je dobrowolnie; mam moc ofiarować je, i moc znowu je odebrać". [3]) Jeszcze w chwili pojmania ponowił to zapewnienie oświadczając, że na prośbę swoją mógłby w jednej chwili od Ojca zastępy aniołów dla swojej obrony otrzymać, [4]) i dowiódł, że nawet sam mógłby się obronić, sprawiając spokojną swą odpowiedzią „Jam jest", że uzbrojeni wysłańcy starszych kapłanów i faryzeuszów, jakby gromem rażeni, upadli na ziemię. [5])

Motyw, którym Chrystus się powodował, wyraził trafnie apostoł narodów w owych słynnych krótkich słowach w liście do Efezjan: „Umiłował nas i wydał samego siebie za nas". [6]) Podobnie pisze św. Jan: „Umiłował nas i omył nas z grzechów naszych we krwi swojej". [7]) „Nikt nie ma większej miłości nad tę, jeśli życie swe daje za przyjaciół swoich", mówił Chrystus, [8]) on sam jednak dał dowód większej miłości, jak zauważa św. Paweł, bo „umarł za nas, gdyśmy grzesznikami i nieprzyjaciółmi jego byli". [9])

Pełna poświęcenia miłość Chrystusa dla ludzi wypływała z najdoskonalszej miłości Boga. Sam Chrystus niejednokrotnie zaznaczał, że życie swoje oddaje dla odkupienia ludzi z posłuszeństwa i miłości względem Ojca niebieskiego: „Takie zlecenie otrzymałem od Ojca mego", mówił. [10]) Zlecenie to nazywał kielichem, podanym mu przez Ojca. Gdy Piotr chciał żołnierzy przystępujących do pojmania umiłowanego Mistrza siłą odeprzeć, rzekł Jezus: „Czyż nie mam

[1]) 1 Tym. 2, 6. [2]) Efez. 1. 7; Kol. 1, 14. [3]) Ja. 10, 17—18.
[4]) Mt. 26, 53. [5]) Ja. 18, 7. [6]) Efez. 5, 2; Gal. 2, 20.
[7]) Obj. 1, 5. [8]) Ja. 15, 13. [9]) Rzym. 5, 8.
[10]) Ja. 10, 18.

wypić kielicha, który mi dał Ojciec?[1]) Właśnie przez przyjęcie tego kielicha, pełnego niewypowiedzianych cierpień ciała i duszy, chciał swoje posłuszeństwo i swoją miłość względem Ojca przed całym światem zadokumentować: „Aby świat poznał, że ja miłuję Ojca i że tak działam, jak Ojciec mi przykazał".[2])

W ten sposób, przez dobrowolne wydanie się na śmierć i ujawnienie zamiaru okazania przez to należącej się Bogu najwyższej czci, uczynił Chrystus śmierć swoją aktem ofiarnym w prawdziwem i właściwem tego słowa znaczeniu; albowiem wypełnił wszystko co do właściwej ofiary według ogólnego przekonania należy; wypełnił też, co było przez Izajasza przepowiedziane o Mesjaszu jako baranku, pozwalającym się wieść na zabicie, bez otwarcia ust i ofiarowanym, ponieważ sam chciał.[3]) Krzyż stał się ołtarzem, a Chrystus zarazem ofiarą i ofiarującym.

Ten charakter swej śmierci zaznaczył sam Chrystus, gdy przy ostatniej wieczerzy powiedział do uczniów, że za nich się ofiaruje,[4]) oraz że ciało swoje wydaje i krew swoją przelewa dla odpuszczenia grzechów ludzkich,[5]) wyrażenia te bowiem używane były dla oznaczenia prawdziwej ofiary.

Wielokrotnie potem mowa jest o ofierze Zbawiciela w listach św. Pawła, najobszerniej w liście do Żydów, wykazującym szczegółowo jej doskonałość i doniosłość. Ofiara ta stanowiła według apostoła najistotniejsze zadanie, dla którego Syn Boży stał się człowiekiem i dla którego osobno, przez uroczyste nadanie godności kapłańskiej, został upoważniony. Albowiem godności tej nikt nie może sobie dowolnie przywłaszczyć, lecz kogo Bóg do niej powołał, jak w Starym Zakonie Aarona. Tak też Chrystus nie sam siebie podniósł do tego zaszczytu, iż został arcykapłanem, ale Ojciec, który Go od wieków zrodził.[6]) Jak każdy kapłan ustanowiony bywa nato, by składał ofiary za grzechy, tak też Chrystus przez obdarzenie godnością kapłańską powołany został do sprawowania ofiary, z tą jednak różnicą, że nie potrzebował, jak inni kapłani, w pierwszym rzędzie ofiarować za swe wła-

---

[1]) Ja. 18, 11. [2]) Ja. 14, 31. [3]) Izaj. 53, 7.
[4]) Ja. 17, 19. [5]) Łk. 22, 19—20. [6]) Żyd. 5, 5.

sne grzechy, od których był zupełnie wolny, lecz tylko za grzechy innych ludzi.[1]) Prócz tego ofiarował On nie krew cielców i kozłów, jak kapłani starozakonni, lecz swoją własną krew i samego siebie. Dlatego też ofiara jego miała wartość sama z siebie, podczas gdy tamte tylko stąd, że wskazywały na ofiarę Chrystusa, która stała się ich wypełnieniem, a równocześnie i zniesieniem, bo raz złożona, dokonała wiecznego odkupienia ludzkości.[2])

Więc dochodzimy do wniosku, że Chrystus odkupił nas przez najdoskonalszy i najuroczystszy akt religijny, za taki bowiem uchodziła ofiara zawsze i wszędzie.

Wytłumaczenia tego faktu historycznego należy bezwątpienia szukać w tem, że ofiara z istoty swej nadaje się najlepiej do wyrażenia właściwego stosunku człowieka i całego świata do Boga, mianowicie dla uznania Boga za Stwórcę i ostatni cel wszystkich rzeczy. Oddając bowiem część swych dóbr Bogu w ofierze, wyznaje człowiek, że wszystko od Boga otrzymał i wszystko ku niemu skierować pragnie. Dlatego byłoby składanie ofiar niezależnie od grzechu uzasadnione i nawet obowiązkiem człowieka; wskutek upadku zaś wynikła nowa tego potrzeba i osobny cel. Grzesząc, nadużył człowiek stworzeń do buntu przeciwko Bogu. Za to zasłużył na doczesną i wieczną śmierć. Poznawszy zdrożność swego postępku i pragnąc uniknąć sprawiedliwej kary, zwrócił człowiek zwrok swój na stworzenia, których był nadużył i dla naprawienia swej winy, oraz przebłagania Stwórcy, postanowił najszlachetniejsze ze zwierząt, które były w jego posiadaniu, oddać Bogu przez rytualną ofiarę. Oto geneza krwawych ofiar zwierząt, mających wyraźnie charakter przebłagalny i zastępczy. Według przepisów Starego Zakonu, danych przez Mojżesza z polecenia samego Boga, pokutujący przez osobny obrzęd wkładania rąk na głowę zwierzęcia przenosił symbolicznie swoje grzechy na zwierzę i przez wylanie jego krwi spodziewać się mógł odpuszczenia winy i kary. „Krew dałem wam, aby służyła na odczyszczenie duszy, abyście nią na ołtarzu dopełniali oczyszczenia za dusze wasze", tak rzekł Bóg przez usta Mojże-

[1]) Żyd. 7, 26. [2]) Żyd. 9, 12, 10, 17.

sza do wybranego narodu. [1]) Wspominając o tem św. Paweł podnosi, że Chrystus wylał nie „cudzą", lecz „własną" krew, przez Ducha Świętego samego siebie złożył Bogu w niepokalanej ofierze i stąd udowadnia niezrównaną wyższość ofiary Chrystusowej nad ofiary Starego Zakonu, oraz jednorazową jej wystarczalność na wieki.

* * *

Wracając do naszego właściwego tematu, spotykamy się z zapytaniem: W jaki sposób dokonało się nasze odkupienie przez ofiarę Chrystusa? Odpowiedź jaką daje Pismo św. brzmi: Ofiara Chrystusa stała się naszem odkupieniem przez przebłaganie sprawiedliwego gniewu Bożego i pojednanie nas z Bogiem. Przez grzech bowiem, jak wyjaśnia św. Paweł, byliśmy oddaleni od Boga, nawet jego nieprzyjaciółmi i dziećmi gniewu; lecz Chrystus przez śmierć swoją znów nas do Boga zbliżył i z nim pojednał. „Wy, którzyście byli dalekimi", pisze apostoł do Efezjan, „staliście się bliskimi przez krew Chrystusową. Albowiem on jest pokojem naszym". [2]) A do Rzymian: „Gdyśmy byli nieprzyjaciółmi, zostaliśmy pojednani z Bogiem przez śmierć Syna Jego". [3]) Podobnie do Kolosan: „Tak podobało się Bogu, aby wszystka w nim mieszkała pełność; żeby przezeń, uczyniwszy pokój przez krew krzyża Jego, pojednał ze sobą wszystko, cokolwiek jest na ziemi, jak i w niebie". [4])

Więc podczas gdyśmy z powodu grzechów, wskutek odwrócenia się od Boga, byli od niego oddaleni, a z powodu przekroczenia jego woli, jego nieprzyjaciółmi i przedmiotem jego sprawiedliwego gniewu, zostaliśmy przez całkowite oddanie się Chrystusa Bogu w ofierze na krzyżu, dokonane w imieniu całej ludzkości znów do Boga zbliżeni, jego gniew ustąpił i nastał pokój między nami a Bogiem.

Ten nowy stosunek między Bogiem a ludzkością, powstały naskutek ofiary Chrystusowej, nazywa apostoł „nowem i wiecznem przymierzem", które polega na tem, że Bóg postanowił i przyrzekł, ze względu na ofiarę Chrystusa, lu-

---

[1]) Ks. Kapł. 17, 17. [2]) Ffez. 2, 13 n. [3]) Rzym. 5, 10.
[4]) Kol. 1, 19 n.

dziom przebaczyć na wieki wszystkie grzechy i przywrócić wszystkie przywileje przez grzech utracone.[1]) W tem przymierzu zawierało się też wyswobodzenie z niewoli, w jaką ludzkość z powodu grzechu popadła.

* * *

Atoli nasuwa się dalsze pytanie, jak należy tę skuteczność śmierci Chrystusowej wytłumaczyć? Na czem polegała jej wartość przebłagalna?

Można odpowiedzieć, że na intencji, t. j. na tem, że Chrystus ofiarował śmierć swoją w zamiarze przebłagania Boga za grzechy ludzkości. Tak było bezwątpienia; wartość ofiary Chrystusowej trzeba, jak wogóle wartość każdego czynu ludzkiego, wywodzić przedewszystkiem z intencji, a mając na uwadze godność Chrystusa jako jednorodzonego, umiłowanego Syna Bożego, rozumiemy, że Ojciec Niebieski jego przebłagalną ofiarę z upodobaniem przyjął i skutkiem tego postanowił rodzajowi ludzkiemu przebaczyć.

Lecz poza tym osobistym stosunkiem Chrystusa do Ojca trzeba uznać też pewne przedmiotowe znaczenie jego ofiary. Pismo św. bowiem przypisuje śmierci Chrystusa obmycie i zgładzenie grzechów ludzkości, nazywa krew i życie Chrystusa okupem i podnosi drogocenność tego okupu. Czyż to nie wskazuje na przedmiotową wartość ofiary Zbawiciela? Na czem polegała takowa?

Przez jasne postawienie i trafne rozwiązanie tego problemu, zapisał imię swoje jasnemi zgłoskami w historji teologji św. Anzelm Kantuareński. Rozwiązanie to polegało na wykazaniu, że ofiara Chrystusa była zadośćuczynieniem za grzechy ludzkie. Dowiódł tego Anzelm przez ścisłą analizę istoty grzechu, którą określił jako odmówienie Bogu tego, co jemu się należy. Albowiem każde stworzenie powinno wolę swoją podporządkować woli Stwórcy. Ta jest cześć, której Bóg od nas przedewszystkiem się domaga. Kto tej czci Bogu nie oddaje, odmawia mu czegoś, do czego Bóg ma prawo, i wskutek tego zaciąga dług względem Boga. Ten dług stanowi winę grzechową. Dla jej zgładzenia musi grze-

[1]) Żyd. 9, 15

sznik Bogu cześć, której mu odmówił, oddać; czyli musi za niesprawiedliwe ukrócenie czci zadośćuczynić. Kto tego zadośćuczynienia nie da, tego musi Bóg karać przez odjęcie mu z jego szczęścia w miarę tego, co sobie niesprawiedliwie przywłaszczył. Ponieważ ludzie sami nie mogli dać odpowiedniego zadośćuczynienia za swoje grzechy, przyjął Syn Boży naturę ludzką i przez śmierć swoją na krzyżu za grzechy całej ludzkości zadośćuczynił. [1])

Wytłumaczenie to, co do najistotniejszej jego treści, uznali za słuszne i przyjęli, nietylko najwybitniejsi teologowie, ale także najwyższa władza Kościoła. Św. Tomasz z Akwinu uzasadnia je z właściwą sobie jasnością i zwięzłością w następujący sposób: „Ten czyni właściwie zadość za zniewagę, kto ofiaruje obrażonemu coś, co ten równie lub więcej miłuje, niż nienawidzi zniewagę. Otóż Chrystus, cierpiąc z miłości i posłuszeństwa, ofiarował Bogu więcej niż wymagało naprawienie zniewagi, wyrządzonej mu przez rodzaj ludzki, a to najpierw z powodu wielkiej miłości, z jakiej Chrystus cierpiał; powtóre z powodu wartości życia oddanego dla zadośćuczynienia, które było życiem Boga-człowieka; po trzecie z powodu powszechności cierpienia i wielkości poniesionego bólu. Dlatego męka Chrystusa była nietylko wystarczającem, ale przeobfitem zadośćuczynieniem za grzechy rodzaju ludzkiego". [2])

Podobnie jak u każdego człowieka nietylko czynności czysto duchowe, ale też przez władze ciała wykonane należą do osoby, tak i u Chrystusa wszystkie czynności, czy to natury Boskiej, czy natury ludzkiej, należą do osoby Zbawiciela, mają zatem nieskończoną wartość. Dlatego mógł był właściwie każdy akt cnoty, ofiarowany przez Chrystusa za ludzkość, choć bez jakiegokolwiek cierpienia, wystarczyć dla wynagrodzenia za wszystkie grzechy. Lecz stosownie do odwiecznych planów Bożych, miał i chciał Chrystus w pełniejszy sposób zadośćuczynić; mianowicie przez przyjęcie na siebie kary należnej grzesznikom. Dlatego musiał on, jak sam wyznaje, cierpieć i na krzyżu umrzeć.

---

[1]) Cur Deus homo? I, 11, M. P. L. 158, 376 ns.
[2]) S. Th. p. III q. 48 a. 2.

Już Izajasz, zwany ewangelistą Starego Zakonu, określał cierpienia Mesjasza, oglądane w proroczem widzeniu, jako zastępcze, mówiąc: „On prawdziwie nasze choroby nosił i boleści nasze cierpiał. On zranion jest za nieprawości nasze, start jest za złości nasze". [1]) W Nowym Zakonie pisze książę apostołów w swym pierwszym liście: „Chrystus cierpiał za nas... który grzechu nie uczynił, który sam na ciele swem grzechy nasze poniósł na drzewo... którego sinością jesteście uleczeni". [2]) Tę samą myśl, tylko w silniejszych jeszcze słowach, wyraża św. Paweł, gdy nazywając należną grzechom karę przekleństwem, mówi: „Chrystus wykupił nas od przekleństwa zakonu, stawszy się za nas przekleństwem; albowiem napisano jest: Przeklęty każdy, który wisi na drzewie". [3])

Dla zrozumienia tej tajemnicy krzyża, która Żydom była zgorszeniem, a poganom wydawała się niedorzecznością, jak świadczy apostoł, [4]) niezbędnem jest uświadomienie sobie znaczenia cierpienia i kary.

Najbardziej znany i przez nikogo nie zaprzeczany jest wychowawczy cel kary, poprawa przekraczających prawo i odstraszenie innych. Lecz na tem bynajmniej nie wyczerpuje się doniosłość kary. Ona ma służyć także celowi wyrównania naruszonego porządku moralnego. Św. Tomasz z Akwinu pisząc o tej kwestji, wskazuje słusznie na zjawiska w przyrodzie, które codziennie naokoło siebie obserwować możemy, mianowicie, że każde naruszenie porządku fizycznego wywołuje reakcję sił ten porządek stanowiących, a to w miarę tego naruszenia, aż do przywrócenia zupełnej równowagi. Podobnie dzieje się i dziać się musi w porządku moralnym; jedynie z tą różnicą, że tu przywrócenie porządku nie następuje samorzutnie, lecz musi być, odpowiednio do sposobu, w jaki nastąpiło naruszenie porządku — dziełem wolnej woli. Każdy kto przez grzech nadwereża moralny porządek, obowiązany i dłużen jest go naprawić, albo przez całkiem dobrowolne zadośćuczynienie, albo przynajmniej przez cierpliwe zniesienie nieuniknionego cierpienia. Kto tego nie uczyni, musi być przez stróża moralnego porządku,

[1]) Izaj. 53, 2. [2]) I Piotr. 1. 21 ns,
[3]) Gal. 3, 13. [4]) I Kr. 1, 23.

jak św. Tomasz dobitnie się wyraża, przygnieciony, i to w miarę swego zuchwałego wychylenia się z tego porządku. Takiem przygnieceniem jest stosowna kara, ujmująca grzesznikowi z jego dóbr tyle, ile sobie niesprawiedliwie przywłaszczył.[1]) Bóg, który istniejący porządek moralny ustanowił według przedmiotowych praw, jest też najwyższym jego stróżem i musi nad jego zachowaniem i naprawą, o ile zostaje naruszony, czuwać; a zatem, w razie konieczności, ten porządek wszechmocą swoją przez odpowiednią karę przywrócić.

Gdy to sobie uprzytomnimy, gdy zważymy, że kara, którą Bóg według Pisma św. za grzechy naznacza i wymierza, jest wymaganiem sprawiedliwości i ma, poza względami pedagogicznemi, służyć wyrównaniu naruszonego porządku moralnego, łatwo zrozumiemy, jak Chrystus mógł na siebie przyjąć karę za grzechy ludzkie i za nie przez cierpienia swoje zadośćuczynić.

Wystarczy też choć pobieżnie przypomnieć sobie przebieg męki Zbawiciela według opisu ewangelistów, aby się przekonać, jak cierpienie Chrystusa aż do śmierci na krzyżu włącznie, było wielce stosownem zadośćuczynieniem za ludzkie przewinienia.

Istotę grzechu stanowi nieposłuszeństwo; o tyle bowiem człowiek grzeszy, o ile świadomie przekracza przykazanie Boże. Źródłem zaś wszystkich grzechów jest według Pisma św. pycha. Przez pychę i zarozumiałość oraz pragnienie zrównania się z Bogiem i osiągnięcia zupełnej niezależności zostali pierwsi rodzice przywiedzeni do przekroczenia Bożego zakazu. Otóż, spowodowane przez to naruszenie moralnego porządku naprawił Chrystus przez swoje dobrowolne najgłębsze upokorzenie i najdoskonalsze ofiarne posłuszeństwo; będąc Bogiem z istoty swej „równym Bogu, wyniszczył samego siebie", jak mówi apostoł, „przyjął na się postać niewolnika... uniżył samego siebie, stawszy się posłusznym aż do śmierci, a śmierci krzyżowej".[2])

Ze względu na to, że grzech człowieka poczyna i, co do istoty swej, dokonywa się w duszy, w umyśle i woli,

[1]) Sum. Ak. I II q. 87, a 1. 6.

[2]) Fil. 2, 7—8.

chciał Chrystus przedewszystkiem przez wewnętrzne cierpienie zadośćuczynić. Dlatego poddał on się owym strasznym mękom duchowym, które go, zanim dotknięty był przez rękę nieprzyjaciół, przyprawiły o boleści konania i krwawy pot, spływający w grubych kroplach na ziemię.

Dla zadośćuczynienia za odwrócenie się grzeszników od Boga, pozbawiony był Chrystus w czasie swej męki wszelkiej wewnętrznej pociechy, o czem świadczą owe wstrząsające słowa żałosnej skargi: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?“ [1])

Dla odpokutowania zaś nieuporządkowanego zwracania się grzeszników do dóbr doczesnych, szukania w nich niegodziwej rozkoszy i zadowolenia, znosił Chrystus te straszne katusze, zadane mu przez zawiść i okrucieństwo ludzkie, które uczyniły go „mężem boleści“ [2]) i sprawiły, że na całem jego ciele „od stóp do głowy nie było żadnego zdrowego miejsca“,[3]) że zawieszony był na drzewie hańby wśród dwóch złoczyńców, jako najgorszy z nich.

Wreszcie poniósł Chrystus dla naszego odkupienia śmierć wskutek niewypowiedzianych cierpień ciała i duszy, ponieważ śmierć była przez Boga naznaczona jako kara za grzech i sama w sobie jest najstosowniejszą karą za bunt, jaki w grzechu się zawiera. Albowiem grzesząc, powstaje człowiek przeciwko Najwyższemu Majestatowi Bożemu, usiłuje jakby Boga usunąć i wedle możności zniweczyć, żeby być całkiem niezależnym; więc dla wyrównania naruszonego przez to porządku moralnego, musi być grzesznik wniwecz obrócony, czyli śmiercią ukarany. Wydając się dobrowolnie na śmierć gwałtowną, na śmierć skazańca, „zmazał“ Chrystus, jak mówi św. Paweł, „przeciwny nam cyrograf... całkiem go zniszczył, przybiwszy go krzyża“. [4])

Jeśli racjonalizm przeciwko takiemu wyjaśnieniu tajemnicy krzyża podnosi tę trudność, że według zasad sprawiedliwości powinien być ten tylko ukarany, kto zawinił, a nie ktoś inny, zupełnie niewinny, jakim był Chrystus, i że wobec tego męki i śmierci Chrystusa nie można uważać jako zadośćuczynienie za grzechy ludzkie, — to zarzut ten

[1]) Mt. 27, 46. [2]) Izaj. 53, 3.
[3]) Izaj. 1, 6. [4]) Kol. 2, 14.

polega na podwójnym błędzie i niezrozumieniu rzeczy. Albowiem nigdy nauka katolicka nie przedstawiała niesprawiedliwego zasądzenia i ukrzyżowania Chrystusa jako zadośćuczynienia za nasze grzechy, lecz uznawała je zawsze za największą zbrodnię, która nie mogła się Bogu przenigdy podobać, którą jednak Bóg dopuścił w konsekwencji obdarzenia ludzi wolną wolą i skierował ku dobremu przez natchnienie Chrystusa taką miłością, że zadane sobie niesprawiedliwie cierpienia wraz ze śmiercią, dobrowolnie przyjął i ofiarował na zadośćuczynienie za grzechy ludzkie.

Przytem nie należy na Chrystusa patrzeć jako na pojedyńczą osobę, lecz jako na przedstawiciela i głowę ludzkości; albowiem według nauki objawionej, rozwiniętej szczególnie przez św. Pawła, trzeba cały rodzaj ludzki uważać jako jedną społeczność, jako jeden ogromny organizm. Głową tego organizmu jest Chrystus, a ciało i członki mają tworzyć wszyscy ludzie. Jak w naturalnym porządku głowa i członki tego samego organizmu należą do jednej osoby, tak też w porządku nadprzyrodzonym Chrystus jako głowa i wszyscy ludzie jako członki jego mistycznego ciała są jakby jedną osobą mistyczną. Wskutek tego, jak np. według przykładu przytoczonego przez św. Tomasza, myśl poczęta w głowie lub czyn dokonany ręką może pożytek albo szkodę przynieść całemu organizmowi i całej osobie, podobnie mógł Chrystus jako głowa wszystkie członki swego mistycznego ciała odkupić, za wszystkie grzechy ludzkie zadośćuczynić. [1])

Taki sposób odkupienia był tembardziej stosowny, ponieważ Bóg na samym początku ekonomję zbawienia człowieka ustanowił na podobieństwo porządku naturalnego. Jak naturalne życie człowieka w swym początku i rozwoju zależy od innych ludzi a ostatecznie od pierwszego rodzica, tak podobnie miało być z życiem nadprzyrodzonem. Pierwszy człowiek otrzymał łaskę uświęcająca nietylko dla siebie, ale dla całego rodzaju ludzkiego; wskutek tego przez jej utratę wtrącił nietylko siebie samego, ale też całe potomstwo w nieszczęsną niewolę. Dla wybawienia z niej zesłał Bóg Syna swego jednorodzonego, aby przyjąwszy naturę naszą, jako

[1]) S. Sh. p. III q. 49 a 1.

drugi Adam i jako nowa głowa rodzaju ludzkiego nas odkupił przez swą z posłuszeństwa i miłości poniesioną śmierć.

Posiadając w najwyższym stopniu łaskę Bożą oraz czyniąc i cierpiąc wszystko z pobudki najdoskonalszej miłości, zjednał Chrystus sobie, a jako głowa rodzaju ludzkiego także całej ludzkości nieskończone zasługi i przez to wysłużył nam prawo do otrzymania zpowrotem wszystkich nadprzyrodzonych darów, któreśmy wskutek grzechu utracili. Przez to właśnie stało się nasze odkupienie zupełnem i doskonałem; gdyż zostaliśmy nietylko wyswobodzeni z kajdan niewoli, ale też przywróceni do stanu nadprzyrodzonej wolności, jaką daje łaska poświęcająca wraz z prawem synostwa i dziedzictwa Bożego.

Chociaż Chrystus stosownie do odwiecznych planów Bożych dla naszego zbawienia poświęcił całe swoje życie ziemskie, trwające przeszło trzydzieści lat i stanowiące jedno nieprzerwane pasmo najwznioślejszych czynów i cierpień, to jednak Pismo św. odkupienie nasze przypisuje w szczególny sposób śmierci krzyżowej Jezusa. Czemu? Ponieważ śmierć ta była najuroczystszym i najdoskonalszym aktem ofiarnym, szczytem heroicznych cnót i cierpień Zbawiciela, a zarazem ich zakończeniem i ukoronowaniem zadośćuczynień i zasług, na których się nasze odkupienie opiera.

Wielokrotnie i z wielkim naciskiem podnosi też Pismo św., że Chrystus uczynił zadość za grzechy wszystkich ludzi i wszystkim wysłużył dostateczne i nawet obfite łaski do zbawienia. Pomijając inne znane teksty, czytamy w liście św. Pawła do Rzymian: „nie jako z grzechem, tak i z darem: bo jeśli przez grzech jednego umarło wielu, to łaska Boża i dar w łasce jednego człowieka, Jezusa Chrystusa, daleko obficiej spłynęły na mnóstwa... gdzie wezbrał grzech, tam tem obficiej wylała się łaska". [1])

* * *

Umierając powiedział Chrystus „wykonało się". Słusznie mógł tak powiedzieć; albowiem wykonał do najdrobniejszych szczegółów wszystko, co mu Ojciec Niebieski dla naszego odkupienia uczynić i wycierpieć polecił. Lecz czy dokonało

[1]) Rzym 5, 15—20.

się z tem rzeczywiste odkupienie ludzkości? Czy dokonało się ono przynajmniej w przeciągu dziewiętnastu wieków?

Gdy rozglądniemy się po świecie, gdy zatrzymamy wzrok nasz choćby nad temi krajami, nad któremi już dawno zaświtało światło nauki Chrystusowej, czy widzimy tu wszystkich ludzi szczęśliwych, cieszących się prawdziwą wolnością? Czy nie widzimy wielu jęczących dotąd w niewoli grzechu, w niewoli ciała i szatana, który niekiedy odbiera formalny kult od kulturalnych ludzi? Czy nie widzimy jak gigantyczne wysiłki ludzkie w szerokim zakresie wprost przeciwne wydają rezultaty? Jak przemyślnie wytworzone i nagromadzone bogactwa stają się powodem nędzy i głodu? Jak postęp wiedzy i techniki, zamiast dać ludzkości wolność, czyni jej dolę — właśnie ostatniemi czasy — coraz bardziej nieznośną i prawie, że rozpaczliwą?

Przyczyny tego nie można się dopatrywać w nieużyteczności lub niewystarczalności odkupienia Chrystusowego; lecz tylko w braku należytego zeń korzystania, oraz w szukaniu wolności na fałszywych drogach.

Dzieło odkupienia, dokonane przez Chrystusa nie miało być w planie Bożym równoznaczne z naszem rzeczywistem zbawieniem. Do wiecznego szczęścia chce nas Bóg stosownie do naszej natury przywieść przy świadomem i dobrowolnem współdziałaniu z jego łaską, pobudzającą i uzdalniającą nas do zwycięskiej walki z nieprzyjaciółmi naszego zbawienia. Zadośćuczynienie i zasługi swoje dał nam Chrystus jako nieskończony skarb, z którego we właściwy sposób korzystać trzeba, oraz jako lekarstwo nieomylnej skuteczności, wymagające jednak właściwego stosowania i urządzenia całego życia według wskazań danych przez Zbawiciela słowem i przykładem. W miarę ukształtowania się na podobieństwo Chrystusa, odzyskuje każdy duchową wolność. Atoli całkowitej swobody i zupełnego pokoju nie możemy się spodziewać, dopóki pielgrzymujemy na tej ziemi zdala od Pana [1]); albowiem jeszcze nie okazało się, czem będziemy, lecz wiemy, iż gdy się ukaże, podobni będziemy Panu. [2]) Wtenczas zniszczony będzie ostatni nieprzyjaciel naszej wol-

[1]) 2 Kr. 5, 6. [2]) 1 Ja. 3, 2.

ności, jakim jest śmierć [1]). Albowiem Chrystus, który po swej śmierci chwalebnie zmartwychwstał, wskrzesi też nasze ciała i przemieni je według podobieństwa ciała jasności swej [2]). Wtedy pełni radości wołać będziemy z apostołem: „Gdzież jest o śmierci zwycięstwo twoje? Gdzież jest o śmierci oścień twój"? [3]) Wtedy śmierć Chrystusa okaże w całej pełni wiecznem odkupieniem ludzkości.

* * *

Więc śmierć Chrystusa to najdonioślejsze zdarzenie w historji ludzkiej, a miejsce gdzie Zbawiciel umarł, ośrodkiem świata! Krzyż, na którym Chrystus skonał wsród ciemności, zalegających ziemię od południa do godziny trzeciej, stał się źródłem światła rozjaśniającego cały okręg ziemi. Nadprzyrodzone promienie, stąd wychodzące, okazały już w dalekiej przeszłości zbawienną skuteczność, chroniąc od rozpaczy, w niewolę zaprzedanych synów Adamowych. Wszyscy którzy się zbawili, dostąpili zbawienia mocą łaski udzielonej im przez Boga ze względu na przewidziane zasługi Chrystusa, którego św. Jan z tego powodu nazywa Barankiem, zabitym od założenia świata [4]). W nim jedynie, i w jego śmierci możliwe jest także obecnie i będzie w przyszłości — zbawienie. „Albowiem nie jest pod niebem inne imię dane ludziom, w którembyśmy mieli być zbawieni" [5]). „Gdyż jeden jest pośrednik między Bogiem i ludźmi człowiek Chrystus Jezus: który samego siebie wydał na okup za wszystkich" [6]).

Śmierć Chrystusa będzie także na wieki podstawą szczęścia wszystkich zbawionych. Św. Jan opisuje to szczęście w księdze swych objawień w następujący sposób: „I widziałem, a oto pośrodku stolicy... Baranek stojący jako zabity... i rzesza wielka, której nie mógł nikt przeliczyć, ze wszech narodów i pokoleń i ludzi i języków, stojących przed stolicą i obliczem Baranka, przyobleczonych w szaty białe a palmy w ręku ich. I wołali głosem wielkim mówiąc: Zbawienie Bogu naszemu, który siedzi na stolicy, i Barankowi". A na

[1]) 1 Kr. 15, 26.
[2]) Fil. 3, 21.
[3]) I Kr. 15. 26, 55.
[4]) Obj. 13, 8.
[5]) Dziej. 4, 12.
[6]) I Tym 2, 5.

postawione sobie pytanie: „Ci którzy są obleczeni w szaty białe, którzyż są? i skąd przyszli?" dostaje odpowiedź: „Ci są, którzy przyszli z ucisku wielkiego, i omyli szaty swoje i wybielili je we Krwi Baranka. Dlatego są przed stolicą Boga i służą Mu we dnie i w nocy... a Baranek, który jest pośrodku stolicy, będzie ich rządził i prowadził ich do źródeł żywota, i otrze Bóg wszelką łzę z oczu ich i oświecać ich będzie i królować będą na wieki wieków" [1]).

[1]) Obj. 5, 6; 7, 9, ns.; 22, 5.

Ks. Alojzy Bukowski T. J.

Głos uczonych niemieckich o Polsce.

Ogłoszona niedawno zbiorowa książka uczonych niemieckich o dziejowych stosunkach między Polską a Niemcami [1]), będąca jednocześnie wyrazem poglądów tych uczonych na istotę państwa polskiego, jego rozwój i rolę dziejową, zasługuje z wielu względów na baczną uwagę w Polsce.

Uderza przedewszystkiem i bardzo życzliwie dla całości dzieła usposabia przedmowa podpisana przez dwie wielkie powagi: prof. Alberta Brackmann'a, znakomitego medjewistę i prof. Brandi'ego, wybitnego badacza dziejów Reformacji. Dowiadujemy się z niej o duchu, w jakim wydawnictwo zostało podjęte i o celach, jakie jego autorom przyświecały. „...Historyk — są słowa przedmowy — nie jest sędzią przeszłości ani prawodawcą przyszłości, lecz sługą prawdy...". W jaki zaś sposób uczeni niemieccy zamierzają służyć prawdzie badając dziejowe stosunki polsko-niemieckie, o tem poucza nas następujący ustęp przedmowy: „Ścisłe, historyczne sąsiedztwo zmusza tak Polaków, jak Niemców do liczenia się z tym faktem i do zużytkowania historji w celu zrozumienia wyrosłej w ten sposób styczności, zamiast nadużywania jej do pobudzania przeciwieństw i namiętności". Zobaczmyż jak wygląda w praktyce ta „służba prawdzie" i to „zużytkowanię historji w celu zrozumienia wyrosłej... styczności między narodami polskim i niemieckim"!

Książka podzielona jest na cztery części: 1) prehistorja i średniowiecze, 2) życie duchowe, 3) niemieckie kresy wschod-

[1]) *Deutschland und Polen.* Beiträge zu ihren geschichtlichen Beziehungen herausgegeben von Albert Brackmann. Mit 8 Karten und 17 Abbildungen. München und Berlin 1933. Verlag von R. Oldenburg.

nie (Ostmark) i kraje sąsiednie, 4) czasy nowożytne. W obrębie tych działów mamy dziewiętnaście rozpraw, poświęconych poszczególnym zagadnieniom. W ramach krótkiego z natury rzeczy artykułu niepodobieństwem byłoby zreferować każdą z tych rozpraw oddzielnie, postaramy się więc tylko zwrócić uwagę czytelnika na ciekawsze i bardziej charakterystyczne ustępy wykładu niemieckich uczonych, omawiając kolejno historję polityczną i historję kultury.

I.

„Historyczno-geograficznemi podstawami stosunków polsko-niemieckich" zajmuje się profesor Uniwersytetu wrocławskiego Hermann Aubin. Dzięki położeniu geograficznemu swego kraju — wywodzi on — oraz dzięki swym zdolnościom twórczym, stali się Niemcy pośrednikami między Zachodem a Wschodem i budowniczymi wyższej kultury zachodniej na barbarzyńskim Wschodzie. Podobne możliwości leżały i przed Polską i rzeczywiście — jak przyznaje autor — Polska, choć późno, zaczęła taką politykę istotnie prowadzić. „Ale jej wyniki, jeśli je mierzyć w skali europejskiej, były ograniczone przestrzennie, a na ważniejszych terytorjach nietrwałe". Politycznie dotarła wprawdzie Polska daleko na Wschód, ale nie pozostawiła tam głębszego wpływu kulturalnego, gdyż „katolizacja i polonizacja ograniczyły się głównie do szlachty" (str. 17).

Zaznaczyć wszakże należy, że nie wszyscy uczeni niemieccy podzielają pogląd Aubin'a, tak znikome znaczenie i wpływy przypisujący kulturze polskiej. Wybitny historyk kultury i prawa profesor Uniwersytetu w Gratz, dr. Heinrich Schmidt, którego nazwisko widnieje również w rzędzie współautorów księgi *Deutschland und Polen* w cyklu wykładów wygłoszonych jesienią 1930 r. w Uniwersytecie warszawskim przeprowadził porównanie między ekspansją kulturalną Polski i Niemiec na Wschodzie. Ekspansja niemiecka — dowodził prof. Schmidt — była ekspansją czysto materjalistyczną, cywilizacji materjalistycznej, gdy ekspansja polska była promieniowaniem kultury duchowej; ludy zaś i szczepy znajdujące się pod wpływem kulturalnym polskim nie uległy ani zagładzie ani wynarodowieniu.

Być może zresztą, że to ostatnie spostrzeżenie w oczach prof. Aubin'a uchodzić może za dowód niższości Polski i jej kultury, my jednak będziemy zdania przeciwnego i poglądu o „ograniczonych" i „nietrwałych" rezultatach polskiej pracy kulturalnej przyjąć nie możemy.

Lekceważąco również o kulturze polskiej wyraża się prof. Brackmann w artykule o „Rozwoju politycznym Europy Wschodniej od X go XV w.". „Żadnemu z nich — pisze o dwóch pierwszych Piastach — nie powiodło się przekształcenie państwa prymitywnego, które stworzyli, w państwo o znaczeniu kulturalnem" (str. 33). Wielką dziejową postać Bolesława Chrobrego osądza uczony niemiecki krótko a dobitnie. „Władca niekulturalnego ludu z formami i politycznemi celami wielkiego chana... korzystny sąd Polaków o Bolesławie wymaga jeszcze rewizji" (str. 32).

Gdyby nie wielki szacunek jaki żywimy dla wiedzy i zasług naukowych prof. Brackmann'a, chciałoby się mimowoli zapytać, czy cytowany artykuł pisał historyk, uczony, którego jedynym celem jest „służyć prawdzie" w myśl podpisanej przez tegoż prof. Brackmann'a przedmowy i wykrywać według klasycznej formuły Leopolda von Ranke'go *wie es eigentlich gewesen,* czy też raczej publicysta, nie krępujący się zbytnio kryterjami objektywizmu, byleby tylko móc zaatakować przeciwnika politycznego.

Szczęściem ujemny sąd prof. Brackmann'a o królu Bolesławie da się z łatwością obalić świadectwami dwóch niepospolitych, a współczesnych Chrobremu, ludzi i to właśnie Niemców: ich imiona święty Brunon z Querfurtu i cesarz Otton III. Czyż władca barbarzyński o światopoglądzie chana mógłby zdobyć sobie szacunek i przyjaźń tak wysoko pod każdym względem stojących jednostek?

Rzekome barbarzyństwo polskie charakteryzuje prof. Brackmann metodą porównawczą. „Nie trzeba, chcąc się uciec do porównania, myśleć ani o Kolonji, ani o Moguncji czy o Magdeburgu, już ów Kijów odległego Wschodu przerasta znaczeniem wszystko, co stworzono w Gnieźnie czy w Krakowie" (str. 33).

Prof. Brackmann stosuje tu zupełnie swoistą metodę porównawczą; zapomina, że porównywać wolno, jeśli się ce-

lowo nie dąży do wyciągnięcia fałszywych wniosków, tylko wartości jednorodne. W danym wypadku znaczy to, że z faktu braku w Gnieźnie takich budowli jak katedra św. Zofji lub Złota Brama w Kijowie oraz nieistnienia w Polsce pierwszych Piastów czegoś analogicznego do pracy tłumaczów greckich na Rusi kijowskiej, wolno wyprowadzić wniosek o mniejszych zdolnościach do twórczej pracy kulturalnej u Polaków niż u ich ruskich sąsiadów wtedy tylko, gdy się uprzednio udowodniło, że Polska i Ruś rozwijały się w zupełnie jednakowych warunkach. Nie próbuje tego dowodzić prof. Brackmann; wie bowiem dobrze, że zbliżenie kulturalne do Bizancjum i poddanie Rusi jego wpływom kulturalnym nie groziło jej utratą niepodległości. Natomiast Polska oddalona od ośrodków ówczesnej kultury, skazana w znacznej mierze na wpływy Niemców, którzy nieśli jej nie tylko kulturę zachodnią, ale i to przedewszystkiem — zagładę narodową, musiała wśród ciężkich walk bronić swej niezawisłości, a potrafiła mimo to w najbardziej niesprzyjających warunkach nawiązać mocną więź kulturalną z Zachodem. Potrafiła też wytworzyć z szeregu plemion słowiańskich potężny i żywotny organizm państwowy, który stał się mocną zaporą dla niemieckiego *Drang nach Osten*. Umiała również stworzyć w tej części Europy ośrodek wysokiej kultury zachodniej. Zarówno w dziedzinie polityki jak i kultury wysunęła się Polska tak daleko przed Ruś, że wszelkie porównania upadają.

Czasami nowożytnemi zajmuje się berliński prof. Otto Hoetzsch w artykule „Brandenburgja - Prusy a Polska od 1640 do 1815 r." Profesor Hoetzsch, nie tylko wybitny uczony, ale i czynny działacz polityczny, zasłużony zwłaszcza bardzo dla niemieckiej propagandy zagranicą,[1]) wypowiada ciekawy

[1]) O metodach antypolskiej propagandy prof. Hoetzsch'a por. Handelsman, „Profesor Hoetzsch i jego działalność w Ameryce". *Przegląd Polityczny* t. XIII, zesz. I lipiec 1930 r. ...z jednej strony twierdzenia, zawierające świadomie nieprawdziwe zdania, z drugiej cytaty, oświetlające w sposób również nieprawdziwy zdarzenia. Czy profesorowi Uniwersytetu berlińskiego, który miał niegdyś w swem gronie mistrzów nauki historycznej, wolno stosować dzisiaj taką metodę nawet na eksport — i jaką wartość mieć mogą wszystkie wnioski, apele, insynuacje do mocarstw, oparte na takich mocnych przesłankach, niech on sam osądzi... A co się tyczy autorytetu profesora Hoetzsch'a, po takiej próbie jego metody

nie tyle z naukowego, ile z politycznego punktu widzenia pogląd na przyczyny upadku Polski. Pogląd ten pokrywa się prawie całkowicie z końcową tezą artykułu prof. Brackmann'a, który źródła upadku dojrzał już w końcu XIV w. Z tego też względu poglądy te referujemy jednocześnie. Według prof. Brackmann'a nieszczęściem i zgubą Polski było porzucenie mądrej polityki Kazimierza Wielkiego, dążącego do zbliżenia z Niemcami, a zainicjowanie przez Jagiellonów „polityki bezbrzeżnej ekspansji na Wschodzie i Zachodzie, a wreszcie i na Południu", przez takie postępowanie królowie Polscy „dla osiągnięcia nieziszczalnego celu, opuszczali jedną pozycję po drugiej wewnątrz kraju, aż wreszcie ich władza suwerenna okazała się złudą, a Polska stała się piłką w rękach potężniejszych sąsiadów. Rzadko w dziejach narodu tak zemściła się fałszywa polityka imperjalistyczna, jak w historji Polski. Zakończeniem tej polityki były rozbiory Polski, a oddziaływa ona jeszcze i dzisiaj, gdyż nie pozwala narodowi polskiemu przyjść do spokoju i pobudza go do uganiania się za politycznemi celami przeszłości, które już raz przyniosły mu zgubę" (str. 39).

Podobnie wyraża się prof. Hoetzsch: „Było zgubą i przekleństwem Polski, że mogła do zdumiewającej wielkości rozszerzyć swe państwo równinne wczesnego Średniowiecza, chociaż nawet nie na tej samej przestrzeni. Trzeba przyjrzeć się mapie państwa Jagiellonów na przełomie XV i XVI w. tej Polsce „od morza do morza". Polska nie zaznała nigdy rozwoju koncentrycznego, który Brandenburgji i Moskwie dał możność wzrostu od małego terytorjum państwowego do państwa całkowitego (Gesamtstaat). Państwo polskie było i pozostało za duże" (str. 205).

Powyższe poglądy historjozoficzne autora wybiegające daleko poza ramy artykułu o „Brandenburgji - Prusach i Polsce w latach 1640—1815" nabierają właściwego sobie posmaku, gdy zestawimy je z innym artykułem prof. Hoetzscha, tym razem wyraźnie, już bez obsłonek, politycznym. W wy-

I am sorry, to say it (że użyję jego własnego ulubionego zwrotu) produkcja jego „naukowa" i w przyszłości zawsze będzie wzbudzała w nas nieufność, dopóki w każdym poszczególnym wypadku nie udowodni on sam, iż wyzbył się zwyczaju używania zdań notorocznie nieprawdziwych" (str. 18).

danym przez Dotację Carnegie'ego zbiorowym tomie poświęconym Gdańskowi i zagadnieniu polsko-niemieckiemu czytamy zewszechmiar ciekawy artykuł prof. Hoetzscha o współczesnych stosunkach polsko-niemieckich.

Zastrzegłszy się, iż nie wolno uważać Polski za „państwo efemeryczne" gdyż Polacy wykazali siły i zdolności, o które nikt w Niemczech ani w Europie nie podejrzywał ich w 1919 r. stwierdza autor w dalszym ciągu:[1]) „Pójdę jeszcze dalej. Jakiekolwiek wypadki mogły mieć miejsce w przeszłości, nie mogę sobie wyobrazić na przyszłość, aby Polska wolna i niepodległa zniknęła znowu całkowicie (rozstrzelenie nasze) z karty Europy". Czy przypadkiem prof. Hoetzsch nie chce przez to powiedzieć, że „wyobraża sobie", iż Polska może zniknąć „częściowo" z karty Europy? Zestawienie tych dwóch poglądów prof. Hoetzsch'a na przeszłość i przyszłość Państwa Polskiego nie wymaga komentarzy, a jego wywody historjozoficzne każe nam traktować nie jako „służbę prawdy", lecz jako służbę *pour le roi de Prusse.*

Rozbiory Polski uważa berliński uczony za uzasadnione tem, że Polska w 1772 r. nie była już państwem. Okazało się bowiem w ciągu XVIII w. a zwłaszcza za rządów Augusta III, iż Polska nie była zdolna do wykonania żadnej funkcji państwowej, nietylko nie potrafiła wziąć udziału w polityce międzynarodowej, ale dopuściła, że po terytorjum jej grasowały swobodnie wojska państw ościennych. „Europa w kilka lat później — pisze autor — przyglądała się apatycznie i bez zdumienia pierwszemu rozbiorowi, gdyż Polska swem stanowiskiem podczas wojny siedmioletniej stworzyła do tego bezpośrednie podstawy" (str. 196).

Bardzo dodatnio od cytowanych dotąd artykułów odbija rozprawa dr. Gerharda Rittera, profesora Uniwersytetu we Fryburgu w Bryzgowji p. t. „Pruscy mężowie stanu doby reform a sprawa polska". Autor referując dyskusję w sprawach polskich zajmuje się bliżej stanowiskiem księcia Antoniego Radziwiłła, Grunera i Steina. Ciekawem jest stwierdzenie

[1]) Centre Européen de la Dotation Carnegie. Dantzig et quelques aspects du problème germano-polonais. Paris, 1932 Hoetzsch, Les relations germano-polonaises, str. 93.

faktu, że baron von Stein, jeden z najwybitniejszych pruskich mężów stanu, opowiadał się przeciwko dążeniom germanizacyjnym Grunera, a w Polsce widział „obok wszystkich błędów, które naród polski posiada, szlachetną dumę, ruchliwość, energję, odwagę i gotowość poświęcenia się za Ojczyznę i wolność" (str. 217).

Trudną i drażliwą sprawę stosunków polsko-pruskich w XIX w. opracował berliński profesor Herman Oncken. Bezwzględnie germanizacyjną, eksterminacyjną politykę rządu pruskiego wobec Polaków tłumaczy on względami polityki zagranicznej. Polacy weszli w sojusz z żywiołami wywrotowemi w całej Europie, a nadzieje odbudowania swego państwa związali bądź z ogólną rewolucją, bądź też z wielką wojną europejską; któraby zniosła *status quo*, ustalony traktatami 1815 r. Ponieważ zaś rząd pruski opierał swą politykę właśnie na utrzymaniu *status quo*, jasną więc jest rzeczą, że wszelkiemi środkami musiał zwalczać Polaków. Gdy zaś za rządów cara Aleksandra III nastąpiło zaognienie stosunków niemiecko-rosyjskich i gdy zaczęto liczyć się z możliwością wybuchu wojny między Niemcami i Austrją z jednej a Rosją z drugiej strony, zdawano sobie sprawę z tego, że kwestja polska stałaby się w takim wypadku znowuż aktualną. Przewidywano mianowicie, że Austrja wywoła wtedy powstanie w Polsce i wystawi polski korpus posiłkowy dla walki z Rosją. Ale rząd niemiecki, aby móc udzielić Austrji wolną rękę w sprawie polskiej, musiał przedtem jaknajbardziej osłabić żywioł polski w granicach cesarstwa. Stąd nowe fazy prześladowań polskości za Bismarcka.

Bardzo objektywnie i taktownie ujęta została niemniej trudna i drażliwa sprawa stosunków polsko-niemieckich podczas Wielkiej Wojny. Omówił ją profesor Uniwersytetu berlińskiego dr. Fritz Hartung. Autor nie ogranicza się do wyjaśnienia tylko niemieckiego stanowiska, ale stara się przedstawić i polski punkt widzenia. Tłumaczy np. dlaczego akt 5 listopada 1916 r. nie wywołał w Polsce spodziewanego przez Niemców oddźwięku.

Do historyczno-politycznej strony stosunków polsko-niemieckich należy jeszcze rozprawa profesora Uniwersytetu królewieckiego Hansa Rothfelsa o: „Zagadnieniu nacjona-

lizmu na Wschodzie". Autor charakteryzując stosunek Bismarcka do „polskiego problemu narodowościowego i powody prześladowania polskości", wypowiada opinję, którą zacytujemy dosłownie, gdyż wszelka parafraza mogłaby być wzięta za złośliwą insynuację: „Polski chłop i robotnik miał zapoznać się z błogosławieństwami kultury niemieckiej — pisze prof. Rothfels — i w ten sposób zostać zjednany dla państwa. Miał on poczuć się wyższym od swego pobratymca z drugiej strony granicy, jak to się stało z pruskimi Litwinami i jak to w rzeczywistości oddziaływało podczas plebiscytów w 1920 r. i dziś jeszcze oddziałuje w stosunkach wewnętrznych polskich. Ale nie miał być (t. j. polski chłop i robotnik) zgermanizowany. Ostrość walki dotknęła tylko agitatorów i uwodzicieli" (str. 262—267).

Równie znamienne są konkluzje artykułu, wyraźnie wkraczające w dziedzinę geopolityki. [1]) Geopolityka jest to nauka stworzona przed niedawnym czasem w Niemczech, a bardzo obecnie modna. W gruncie rzeczy sam przedmiot jest starszy od swej nazwy, gdyż chodzi tu nie o co innego, jak o geografję historyczną i polityczną. Niemieccy twórcy geopolityki stosują wszakże dość swoistą metodę naukową, która z przesłanek geograficznych, historycznych i politycznych pozwala wyciągać wnioski najzupełniej subjektywne, nienaukowe. Tak rzecz się ma właściwie z wywodami prof. Rothfelsa. „Nie gwałtowna polityka ekspansji i rugowania — czytamy w zakończeniu jego artykułu — ani narodowy partykularyzm i autarkizm, dla którego brak podstaw w rzeczywistości, nie uwiecznienia konjunktury zwycięstwa lub też bierne przyjęcie samorozkładu, lecz organiczny nowy porządek według dojrzałości sił narodowych i stopnia kulturalnego znaczenia może obszar wschodni uchronić przed chaosem, który w nim samym się czai i który mu z zewnątrz grozi. Obowiązek tej odpowiedzialnej pracy spoczywać musi nie wyłącznie, ale przedewszystkiem na barkach tego na-

[1]) Na moment ten zwrócił uwagę prof. Halecki w recenzji omawianej książki, „Machtgefälle oder Kulturgemeinschaft". Ein Beitrag zur Geschichte der deutsch polnischen Beziehungen vom polnischen Standpunkt aus, ogłoszona w tygodniku wiedeńskim *Der Christliche Ständestaat*. Nr. 8 z 28 stycznia 1934, str. 11—15.

rodu, który od stuleci najgłębiej i najobszerniej zamieszany jest w zbiorowy proces życiowy Wschodu" (str. 269–270).

Długi ten i ciężki frazes wypowiada myśl autora, iż „obszar wschodni" powinien być całkowicie przebudowany i podporządkowany narodowi najbardziej dojrzałemu pod względem „sił narodowych i stopnia kulturalnego znaczenia". Zachodzi teraz tylko pytanie, co prof. Rothfels rozumie przez „obszar wschodni" *(der östliche Raum)*. Pośredniej odpowiedzi udzielić nam na to może rozprawka napozór nic wspólnego z życiem współczesnem nie mająca, bo poświęcona prehistorji. Jest to bardzo niesmaczny, nawiasem mówiąc, artykuł dyrektora Muzeum Przedhistorycznego w Berlinie i profesora tamtejszego Uniwersytetu, Wilhelma Unverzagta.

Tytuł artykułu jest bardzo charakterystyczny, brzmi bowiem: „Z prehistorji obszaru wschodnio - niemieckiego", a przecież autor rozumie przez to terytorjum, zamieszkiwane nietylko przez Niemców ale i przez Polaków. Sądzić należy, że mający ulec przebudowie, według żądań niemieckich, „obszar wschodni" *(der östliche Raum)* prof. Rothfelsa nie jest mniejszy od „obszaru wschodnio-niemieckiego" *(der ostdeutsche Raum)* prof. Unverzagta. A w takim razie szkicowany przez prof. Rothfelsa program przebudowy Europy Wschodniej i Środkowej idzie o wiele dalej niż wysuwane zwykle ze strony niemieckiej żądania rewizji traktatu wersalskiego.

Ale co to wszystko ma wspólnego z historją, z nauką, ze „służbą prawdzie"?

Ażeby skończyć z historją polityczną, wspomnieć należy o dziwnym artykuliku, zatytułowanym „Austrja", a umieszczonym jako ostatni zrzędu w części III „Niemieckie kresy wschodnie i kraje sąsiednie". Przedewszystkiem nasuwa się pytanie, czy wogóle potrzebne było włączanie spraw austrjacko-polskich do książki *Deutschland und Polen*? Ostatecznie nie mielibyśmy nic przeciwko dokonaniu na tym terenie „Anschlusu", byleby tylko zagadnienie potraktowane zostało odpowiednio do swej wielkiej doniosłości, nie zaś mimochodem na marginesie i byleby je opracował ktoś bardziej odpowiedzialny i kompetentny od p. Uebersbergera.

Szkoda czasu i papieru na referowanie jego poglądów; niech nam wolno będzie tylko przytoczyć charakterystyczną próbkę „uczoności" i metody „naukowej" tego profesora. O odsieczy wiedeńskiej pisze on w następujący sposób: „Chociaż właściwy ciężar bitwy spoczywał na lewem skrzydle i centrum wojsk odsieczy, a więc na oddziałach cesarskich i czeskich, gdyż Polacy uderzyli dopiero popołudniu 12 września, a także przytem nie mogli się obejść bez poparcia wojsk niemieckich, to jednak trzeba przyznać, że pomoc polska przyczyniła się do zwycięstwa" (str. 175). Gdyby tak p. Uebersberger zechciał wprzód zapoznać się z zagadnieniem, o którem pisze, gdyby zebrał bibljografję tematu, byłby może swej powagi profesorskiej nie narażał publikowaniem tak śmiałego, tendencyjnego nieuctwa. Gdyby p. Uebersberger zajrzał naprzykład do wydanych przed pół wiekiem *Acta Historica Res Gestas Poloniae Illustrantia* znalazłby w t. VI na str. 382—385 list księcia Anhaltu do t. zw. wielkiego elektora z 13 września 1683 r. przeczytałby tam opis bitwy i udziału w niej Polaków, a zwłaszcza króla, dokonany przez niepodejrzanego chyba o stronniczość niemieckiego świadka; dowiedziałby się z tego listu szanowny profesor, że rzeczywistość była całkiem inna, niż on ją usiłuje przedstawić. Nieznajomość rzeczy nie może tu być okolicznością łagodzącą, gdyż kto jak kto, ale profesor Uniwersytetu i kierownik seminarjum historycznego powinien wiedzieć, iż nie wolno przystępować do opisywania wydarzeń dziejowych i wydawania o nich sądów bez uprzedniego zapoznania się ze źródłami, przynajmniej drukowanemi. A zresztą, jak powiada Voltaire, *c'est un terrible avantage de ne rien savoir, mais on ne doit pas en abuser.*

II.

Literaturze polskiej poświęcone są dwie rozprawki: profesora Uniwersytetu berlińskiego Maxa Vasmera o „Wpływie niemieckim na literaturę polską" i profesora Uniwersytetu wiedeńskiego Józefa Nadlera „Adam Mickiewicz, niemiecki klasycyzm, niemiecki romantyzm". Prof. Vasmer informuje czytelnika o znajomości literatury niemieckiej w Polsce i o zależności poszczególnych pisarzy polskich od

twórczości niemieckiej. Podkreślić należy, że autor nie popadł w przesadę, nie mówi nigdzie o wyłączności wpływu niemieckiego, przeciwnie widzi doniosłość stosunków kulturalnych polsko-francuskich czy polsko-włoskich (zaznacza np. wpływ włoski przy założeniu Uniwersytetu krakowskiego, str. 42).

Profesor Nadler w rozprawce swojej omawia wogóle wpływ niemiecki na umysłowość polską. Teza jego wszakże jest zupełnie chybiona. Autor bowiem nie zdaje sobie sprawy z ogromnej różnicy w rozwoju narodowym i kulturalnym Polski i Czech i mówiąc o sprawach polskich, operuje pojęciami, zaczerpniętemi ze swej znajomości historji czeskiej. Chodzi tu przedewszystkiem o wpływ Herdera i zainicjonowanego przezeń zwrotu do ludowości. Miało to istotnie duże znaczenie w Czechach, gdzie całe bodaj odrodzenie narodowe dokonało się pod tem hasłem, ale w Polsce zarówno poczucie narodowe jak i literatura, opierały się na własnej nieprzerwanej tradycji. Stąd trudno przyznać tu większe wpływy Herderowi.

Autor przeprowadza następnie porównanie między „Dziadami a Faustem" poczem przechodzi do „Pana Tadeusza", o którym pisze z prawdziwym entuzjazmem. Poematu tego „naród niemiecki musi Polakom zazdrościć" (str. 61). Twórca jego „Mickiewicz zajmuje w historji narodu polskiego miejsce, na jakiem naród niemiecki nie może osadzić żadnego równorzędnego poety. Nikt bowiem z wielkich niemieckich poetów nie dopomagał dźwigać krzyża narodowi niemieckiemu tak, jak Mickiewicz swojemu". A ponieważ, zdaniem Autora, genjusz Mickiewicza dosięgnął takich szczytów dzięki wpływowi kultury niemieckiej „udział ducha niemieckiego w umocnieniu samopoczucia narodu polskiego jest nie mniejszy niż udział oręża niemieckiego i austrjackiego w losach nowego państwa polskiego" (str. 63).

Ostateczny wniosek, jaki niemiecki uczony wyciągnął ze swego artykułu o „Adamie Mickiewiczu, niemieckim klasycyzmie, niemieckim romantyzmie" jest wprawdzie dość dziwny, ale uprzytamnia nam niezbyt naukową tendencję, z jaką pisana jest większość artykułów książki *Deutschland und Polen*.

Na bardzo wysokim poziomie naukowym utrzymana jest rozprawa profesora Brandi'ego „Reformacja niemiecka a Polska".

Autor, jeden z najwybitniejszych dziś znawców historji Reformacji, nie ograniczył się do omówienia wpływów niemieckich w Polsce w tej dziedzinie, ale zwrócił uwagę i na, znacznie oczywiście słabsze, wpływy polskie w Niemczech, wymieniając tu dwóch działaczy wielkiego Hozjusza i tajemniczą a tragiczną postać reformatora, Jana Łaskiego.

Tem przykrzejszą zato niespodziankę stanowi następny zaraz artykuł ks. Feliksa Haasego, profesora Uniwersytetu we Wrocławiu „Katolicyzm niemiecki i jego związki z Polską".

Zapowiedź prof. Brackmann'a i Brandi'ego, iż autorowie książki *Deutschland und Polen* pragną „zużytkować historję w celu zrozumienia wyrosłej styczności, zamiast nadużywać jej do rozbudzenia przeciwieństw i namiętności", najłatwiej przecież było zrealizować pisząc o stosunkach polsko-niemieckich w płaszczyźnie katolicyzmu. Tymczasem ks. prof. Haase wydobył ze swego tematu wszystko, co działać może jątrząco; omówił historję stosunku Niemiec i katolicyzmu niemieckiego do Polski od początku aż do naszych czasów, przyczem okazało się, że wszystko wogóle zawdzięczamy Niemcom, a odpłacamy się im za to czarną niewdzięcznością.

„Polacy widzą w całkowitem wytępieniu katolicyzmu niemieckiego w Polsce swój cel ostateczny" (str. 109). Inaczej dzieje się w Niemczech. „Chociaż liczba po polsku mówiących katolików w Niemczech maleje z roku na rok, nie doznali oni dotąd żadnych ograniczeń w swoich nabożeństwach".

Niechaj nam wolno będzie przytoczyć przykład, charakteryzujący metodę, jaką w swym wykładzie stosuje autor. „Gdy niemiecki dominikanin — czytamy na str. 99 — Jan Falkenberg w ostrem piśmie domagał się, aby całe chrześcijaństwo powołane było do ukarania Polaków za ich bezczeszczenie Najświętszego Sakramentu, nie mogli Polacy uzyskać na soborze w Konstancji wyroku potępiającego". Prawdą jest że sobór nie potępił paszkwilu Falkenberga, ale uczynił to Papież Marcin V w r. 1418 r., uznając pismo

jego za „błędne i skandaliczne", sam Falkenberg wtrącony został do więzienia, gdzie przesiedział sześć lat, poczem wypuszczony na wolność uzyskał przebaczenie Jagiełły. Nie sądzimy, aby dopuszczalną była podobna metoda przemilczania prawdy.

Ks. prof. Haase nie wierzy w możliwość złagodzenia przeciwieństw polsko-niemieckich, nawet na gruncie katolickim. „Nadzieje wielu niemieckich katolików, że pierwiastek katolicki przerzuci pomost ponad przeciwieństwami narodowemi i pojedna (Niemców z Polakami) okazały się zwodnicze. Szczere sympatje, z jakiemi katolickie Niemcy powitały wskrzeszenia przez Państwa Środkowe w 1916 r. Królestwa Polskiego, nie wywołały oddźwięku u polskich współwyznawców" (str. 108). To też „w ostatnich czasach już tylko w rozwiązanym niedawno *Friedensbund deutscher Katholiken* znajdowali się utopiści, którzy wierzyli w pojednanie Niemców i Polaków na gruncie wspólnej katolickiej religji..." (str. 109).

Wydawcy nie ograniczyli się do stwierdzenia wielkich a dobroczynnych wpływów niemieckich w literaturze polskiej i „udziału ducha niemieckiego w umocnieniu samopoczucia narodu polskiego", lecz postanowili również wykazać wpływ niemieckiej sztuki na polską. 17 reprodukcyj ma unaocznić pracę niemieckich artystów w Polsce. Dobór dzieł sztuki jest bardzo znamienny. Na tablicy III np. widzimy drzwi katedry gnieźnieńskiej, przedstawiające sceny z życia św. Wojciecha. Wydawcy dodali następujące wyjaśnienie: „Brak wszelkich wiadomości o ich pochodzeniu. Panujący dotychczas pogląd, że powstały one w Saksonji w II połowie XII w. został ostatnio podany w wątpliwość. Wszakże i nowsze przypuszczenia są również niepewne" (str. 272). Ustęp ten charakteryzuje dosadnie niedopuszczalną w poważnem wydawnictwie, tendencyjną metodę przemilczania prawdy. Owe „nowsze przypuszczenia" opowiadają się bądź za francuskiem bądź za czeskiem pochodzeniem drzwi katedry gnieźnieńskiej. Dlatego też umieszczenie ich fotografji dla zilustrowania pracy niemieckich artystów w Polsce jest co najmniej ryzykowne. Wśród dalszych ilustracyj ze zdumieniem widzimy pałac wilanowski dlatego, że w wieku XVIII był przebudo-

wany pod kierunkiem Krzysztofa Naumana oraz... Łazienki. Wydawcy dodają następujące objaśnienie: „Kierownictwo artystyczne (budowy Łazienek) leżało w rękach Włochów Bacciarellego i Merliniego, wykonanie — Jana Kamsetzera (urodzonego w Dreźnie w 1753 r., zmarłego w Warszawie w 1795 r.)". Pretensje niemieckie do Łazienek oparte na takiej zasadzie są wręcz śmieszne. Niechaj nam wolno będzie zauważyć, że niemieccy wydawcy liczyli chyba na bardzo niekrytycznych czytelników.

Przechodząc do wniosków ostatecznych uznać należy wydawnictwo *„Deutschland und Polen"* za książkę szkodliwą — przedewszystkiem z uwagi na tendencję przebijającą z większości zamieszczonych tam artykułów, tendencję wykazania za wszelką cenę choćby wbrew oczywistej prawdzie, iż Niemcy były stale stroną dającą, oczywiście wyłącznie wartości dodatnie, Polska zaś stale stroną biorącą. Rzecz jasna, że tego rodzaju poglądy szerzone pod pseudonaukową banderą utrudniają już nie porozumienie polsko-niemieckie, ale poprostu zrozumienie przez społeczeństwo niemieckie Polski i spraw polskich.

Na polskim świecie naukowym ciąży nietrudny, sądzimy, obowiązek udzielenia uczonym niemieckim naukowej odpowiedzi i przedstawienia dziejowych stosunków polsko-niemieckich w sposób wolny od wszelkiej tendencji, a jeśli pewną tendencją zabarwiony, to tą, jedynie dopuszczalną w badaniach naukowych — tendencją wykrycia prawdy za wszelką cenę.

Janusz Pajewski.

Czy istnieje filozofja specyficznie chrześcijańska?

Jeden z czołowych przedstawicieli filozofji neoscholastycznej powiada: „Niema katolickiej filozofji, podobnie jak niema katolickiej nauki. Są tylko filozofowie wierzący w pewne dogmaty tak samo jak chemicy lub lekarze, którzy są katolikami, protestantami, żydami. Neoscholastyka rozwija się poza wyznaniowemi przekonaniami; przekazywać neoscholastyce cele apologetyczne znaczyłoby tyle, co wszystko razem pomieszać". [1])

„Filozofja, mówi D. Mercier, posiada własne istnienie, formalnie niezależne od wszelkiego autorytetu". [2]) „Filozofja oznacza niezależne i bezinteresowne poszukiwanie prawdy, bez oglądania się na konsekwencje i bez celów bezpośrednio apologetycznych. [3])

Niektórzy więc neo-tomiści, idąc za św. Tomaszem z Akwinu, zwłaszcza za jego tezą o zasadniczej różnicy między wiarą i wiedzą, odnoszą się z niechęcią do nazwy „filozofja chrześcijańska", opowiadając się raczej za filozofją bez

[1]) M. De Wulf, *Introduction à la philosophie néo-scolastique.* Louvain 1904 s. 254.

[2]) D. Mercier, Logique éd. 7-e. Louvain 1922. *Introduction à la philosophie* s. 34, 35.

[3]) D. Mercier, *La philosophie néo-scolastique.* Rev. Néo-scolastique 1894, s. 13. Discours du 8 decembre 1807. „Dès lors considérer une science sous un autre angle que celui que présente son objet formel, apporter à la considération de celui-ci une attention partagée entre cet objet et autre chose, entre cet objet et un problème ressortissant à une autre discipline, entre cet objet et une tâche apologétique, c'est méconnaître l'essence même de la spéculation scientifique, c'est marcher à rebours du progrès que le chercheur est censé poursuivre".

żadnego epitetu. Filozofja ma być poprostu sobą, t. j. filozofją i tylko nią.

Na poparcie takiej tezy można znaleźć odpowiednie teksty w sumach św. Tomasza z Akwinu, przedewszystkiem w tych rozdziałach, gdzie są wyłożone różnice między filozofją jako nauką czysto rozumową a teologją, i gdzie spotykamy się z wielokrotnie zaznaczoną potrzebą niemieszania jednej dziedziny z drugą.

W ostatnich dziesiątkach lat ukazało się dużo prac poświęconych badaniom filozofji średniowiecza. Zwrócono pilniejszą uwagę na filozofję św. Tomasza z Akwinu, św. Bonawentury, Dunsa Scota tak pod względem historycznym jak i spekulatywnym.[1]) Prawie równolegle do studjów nad tomizmem, uznającym niezawisłość epistemologiczną filozofji, rozwinęły się studja nad augustynizmem.[2]) W wyniku badań porównawczych nad tomizmem opierającym się o Arystotelesa i augustynizmem, nawiązującym do Platona, nie tylko zauważono różnice między temi kierunkami „filozofji chrześcijańskiej", ale też poza różnicami starano się wykazać radykalną rozbieżność między tomizmem a augustynizmem i to właśnie na punkcie stosunku wiedzy i wiary, filozofji i chrystjanizmu. Augustynizm wychodził z tego porównania u niektórych myślicieli jako więcej odpowiadający chrystja-

---

[1]) Należy wymienić w pierwszym rzędzie badania jak: Mandonnet, *Des écrits authentiques de S. Thomas d'Aquin.* éd. 10-e. Fribourg 1910, M. Grabmann, *Thomas von Aquin.* München 1920. P. Rousselot. *L'intellectualisme de S. Thomas,* éd. 2-e. Paris 1924, D. Sertillanges *S. Thomas d'Aquin,* éd. 3-e. Paris 1922. E. Gilson, *Études de Philosophie Médiévale.* Strassbourg 1921; *Le Thomisme. Introduction au système de S. Thomas d'Aquin,* éd. 3-e. Paris 1927; *Introduction a l'étude de S. Augustin.* Paris 1924. B. Landry, *Duns Scot.* Paris 1922. Ephrem Longpré, *La philosophie du B. Duns Scot, Études franciscaines* 1922, 1923, 1924. P. Chojnacki, *Postulaty i logika budowy i rozbudowy filozofji tomistycznej.* Warszawa 1932; *U źródeł reformy i podstaw krytycyzmu filozofji Ś. Tomasza z Akwinu.* Warszawa 1932.

[2]) J. Hessen, *Augustinus und seine Bedeutung für die Gegenwart.* Stuttgart 1924; *Mélanges Augustiniens* (praca zbiorowa) Paris 1931. E. Gilson, *Pourquoi saint Thomas a critiqué saint Augustin.* Archives d'Histoire doctrinale et littéraire du Moyen âge 1926—1927. J. Pastuszka, *Niematerjalność duszy u Ś. Augustyna.* Lublin 1930. M. Straszewski, *Ś. Augustyn największy z filozofów chrześcijańskich.* Kraków 1910.

nizmowi, niż tomizm, który, za Arystotelesem idąc, przyznaje rozumowi ludzkiemu daleko idącą autonomję w zakresie czysto rozumowego poznania świata.

W filozofji augustyńskiego kierunku zaznacza się przeświadczenie, że poznanie czysto rozumowe może po linji ciągłej doprowadzić do jakiegoś, chociażby mętnego, zrozumienia prawd objawionych chrystjanizmu. Rozum ludzki zasadniczo mógłby poznać prawdy objawione, chrześcijańskie; jeżeli faktycznie nie poznaje ich to, z powodu przeszkód ułomnej natury ludzkiej, które należy zmniejszać lub usuwać. Typowy przedstawiciel augustyńskiego kierunku, św. Bonawentura twierdzi, że w świecie niby w księdze można odczytać, poznawać tajemniczą prawdę trójosobowości Boga.[1]) Skoro poznanie rozumowe może się tak dalece rozwijać, że sięga aż do prawd objawionych chrystjanizmu i skoro powinno doprowadzać do wiary, jeżeli rozwój jego postępuje właściwą drogą i w prawidłowym kierunku, to filozofja przez to samo jest chrześcijańską ze swej natury.

Między poznaniem filozoficznem i wiarą byłaby różnica stopnia a nie jakościowa i z tego względu, że w obu wypadkach działa światło Boże *illuminatio divina*.

Św. Tomasz z Akwinu widzi natomiast różnicę istotną, jakościową, a więc nietylko stopnia, między poznaniem rozumowem filozofji i między wiarą chrześcijańską w prawdy objawione. Stąd uznaje za niemożliwe ścisłe udowodnienie tajemnic wiary, t. j. wykazanie racyj koniecznych, przemawiających za tem, że są prawdami, które należy uznać, aczkolwiek racje niekonieczne dadzą się przytoczyć.[2]) Między filozofją budującą się na zasadach czysto rozumowych i teologją rozwijającą się na zasadach wiary chrześcijańskiej zachodzi różnica rodzajowa, czyli że obie te dziedziny znajdują się jedna poza drugą, nie posiadają wspólnego pnia,

[1]) Creatura mundi est quasi quidam liber, in quo relucet, repraesentatur et legitur Trinitas fabricatrix". Breviloquium II, 11, 2; II, 12, 1 wyd. 3-e. Quarachi 1911.

[2]) Św. Tomasz mówi wyraźnie, że prawda objawiona, będąca przedmiotem wiary chrześcijańskiej „nullo modo potest demonstrative probari, quamvis ad hoc aliquales rationes non necessariae nec multum probabiles, nisi credenti, haberi possint". In Boethium de Trinitate I, 4 ad Resp., Sum. c. Gent. I, c. 8, c. 9.

nie dają się podciągnąć pod żadne pojęcie nadrzędne, łączące je pod jakimś względem. [1])

Przy takiej koncepcji filozofja znajdowałaby się poza nawiasami chrystjanizmu i odwrotnie chrystjanizm poza nawiasami filozofji.

Na tle więc rozważań nad koncepcjami filozofji augustyńskiej i tomistycznej występuje zagadnienie, czy istnieje filozofja specyficznie chrześcijańska?

Zagadnienie ma tło historyczne i doktrynalne zarazem; stąd i dyskusja nad niem przybiera charakter historyczny i doktrynalny. [2])

Otóż E. Bréhier próbuje uzasadnić tezę, iż niema filozofji chrześcijańskiej i czyni to przy pomocy rozważań historycznych i doktrynalnych. Jego zdaniem historja wykazuje daremne próby tworzenia „filozofji chrześcijańskiej". Próby zrealizowania filozofji chrześcijańskiej skazane były zgóry na nieudanie, gdyż filozofja, znajdująca doskonały wyraz w racjonalizmie helleńskim nie godzi się w wielu punktach z chrystjanizmem. Filozofja ta poszukuje racjonalnego porządku w rzeczach, a więc trwałego, niewzruszonego, panującego odwiecznie, gdy chrystjanizm głosi przygodność i stworzenie świata, dokonane przez Boga w dowolnej chwili.

Chrystjanizm mówi o Bogu stającym się człowiekiem dla zbawienia ludzkości, czego rozum przyrodzony pojąć nie potrafi, a co nawet wydaje mu się czemś niemożliwem. E. Bréhier twierdzi, że filozofja i chrystjanizm wyłączają się nawzajem, gdyż co jedno twierdzi, to drugie zaprzecza. Nie można mówić o „filozofji chrześcijańskiej" podobnie jak niema racji mówić o matematyce chrześcijańskiej lub fizyce chrześcijańskiej. [3])

---

[1]) Theologia quae ad sacram doctrinam pertinet differt secundum genus ab illa theologia quae pars philosophiae ponitur". Sum. theolog. I q. 1, a 1.

[2]) Na posiedzeniu Towarzystwa Filozoficznego Francuskiego d. 21-go marca 1931 r. poddano dyskusji zagadnienie filozofji chrześcijańskiej. Zabierali głos wybitniejsi filozofowie jak Bréhier, Brunschvig, Gilson, Maritain, Leroy i in. Sprawozdanie podaje Bulletin de la Société Française de Philosophie 1931 n. 2—3. La notion de Philosophie Chrétienne".

[3]) E. Bréhier, Ya-t-il une Philosophie chrétienne. Revue de Mét. et de Morale 1931 s. 162.

Na poparcie swej tezy, że nie należy łączyć pod etykietą „filozofji chrześcijańskiej" pojęć niepojednalnych pod groźbą ukrytych nonsensów, E. Bréhier przytacza argumenty historyczne, że niema filozofji w sensie właściwym, któraby była zarazem chrześcijańską.

A więc odmawia filozofji augustyńskiej tytułu „chrześcijańskiej". Św. Augustyn nie zna innej filozofji zdaniem Bréhiera, jak filozofję Platona i Plotyna i nie przejmuje nic z wiary chrześcijańskiej. Pojęcie Słowa odwiecznego zajmuje naczelną pozycję w filozofji św. Augustyna, bo świat zostaje stworzony za pośrednictwem Słowa, które oznacza zarazem intelektualny porządek w świecie panujący, i które stało się człowiekiem dla zbawienia ludzkości.[1]) Ale właśnie to pojęcie Słowa zapożyczone pozornie z prologu ewangelji św. Jana, zdaniem Bréhiera, pochodzić ma właściwie od stoików, bo przypomina ich Logos lub Nous platończyków, który niby cień przejawia się w świecie zmysłowym. Co więcej Logos filozofji greckiej zostało wprowadzone z potrzeby odszukania porządku racjonalnego i odwiecznego świata, a więc implikuje odwieczność świata i dusz doń należących, co wyraźnie koliduje z wiarą chrześcijańską w stworzeniu świata. Św. Augustyn przyjmował zasadnicze pojęcie Logosu z greckiej filozofji, ale odrzucał płynące zeń konsekwencje, jako przeciwne wierze, która podaje, że świat stworzony jest w czasie i dusze również.[2])

Filozofja u św. Tomasza z Akwinu występuje jako autonomiczna, badająca wszechświat według zasad i metod czysto rozumowych, nie zapożyczając nic z wiary chrześcijańskiej, ale znajduje się jednak pod jej kontrolą. Chrystjanizm stanowi więc normę negatywną dla filozofji, ale pozytywnie nie wpływa na jej budowę i rozwój. Z tego Bréhier wysnuwa wniosek, iż tomizm jest filozofją chrześcijańską nie dlatego, że chrystjanizm wnosi coś pozytywnego do filozofji Arystotelesa, przyjętej przez św. Tomasza, lecz dlatego, że rozwija się pod protektoratem i kontrolą wiary chrześcijańskiej. O chrześcijańskości filozofji tomistycznej decyduje dopiero

[1]) Confessionum libri XIII, l. VII, 9.

[2]) E. Bréhier, Ya-t-il une Philosophie chrétienne. Rev. de Mét. et de Mor. 1931, s. 139, 140.

skonfrontowanie jej z wiarą, co znowu wywołuje wątpliwości, że odchyla się przez to od typu filozofji właściwej. [1])

U Kartezjusza spotyka się metafizykę, otwierającą drogi do religji naturalnej, bo wykazuje on możliwość udowodnienia prawd o Bogu i o duszy. Jednak religja naturalna różni się od pozytywnej, objawionej chrześcijańskiej, co potwierdzają wycieczki antychrześcijańskie racjonalistów XVIII w. w imię religji naturalnej, przeciw potrzebie Objawienia i Zbawiciela. A więc i filozofja Kartezjusza nie zasługuje na tytuł chrześcijańskiej. [2])

Poza tomizmem uważanym za filozofję czystą i chrześcijańską zarazem i poza kartezjanizmem, który przez pewien okres usiłowano przedstawić jako filozofję chrześcijańską, w późniejszych czasach Bréhier widzi w filozofji wynikające z jej natury tendencje antychrześcijańskie, lub przeciwstawiającą się jej chrześcijańską apologetykę wiary. Jego twierdzenia i argumentacje potrafią zasugerować i wywołać wrażenie słuszności, jeśli się zapomni, że wychodzi on z takiej koncepcji filozofji i z takiej idei chrystjanizmu, że zgóry siłą samego założenia, nie mogą się one organicznie połączyć w jedną syntezę „filozofji chrześcijańskiej". Słowem, w rezultacie analizy krytycznej Bréhier, musiał otrzymać to, co założył sobie definicyjnie w pojęciach. Dodajmy, że przy analizie różnych typów historycznych filozofji chrześcijańskiej został pominięty czynnik najważniejszy, mianowicie idea, jaka natchnęła i ożywiała „filozofów chrześcijańskich", idea niezawsze wyrażona poprawnie w konkretnych wytworach ich umysłu, które jednak same przez się bez tej idei są martwą literą i tracą swój właściwy charakter. [3])

---

[1]) Ibd. 144, 150.

[2]) Ibd. 152.

[3]) M. Blondel, *Le problème de la philosophie catholique*. Paris 1932, s. 137. „L'histoire, qu'il (Bréhier) esquisse des avatars de la philosophie chrétienne n'est pas seulement incomplète ou cavalière, elle laisse échapper... l'âme de la tradition dont elle vit. Et cette omission résulte elle-même, non pas tant de méconnaissance de l'histoire, que d'un doctrinarisme irrationnellement rationaliste... en cherchant la philosophie chrétienne où elle n'est pas, où elle ne peut pas être il se ferme la vue de ce qu'elle a été et ne la reconnaît pas quand on la lui présente sous des formes qui échappent entièrement à ses coups", por. s. 147.

Z tym błędem łączy się inny, mianowicie pewnego rodzaju ultrarealizm konceptualny, t. j. przeświadczenie, że pojęcia rozróżnione i formalnie rozłączone przez umysł znajdują się w taki sam sposób rozłączone w rzeczywistości. Ponieważ w pojęciu filozofji nie mieści się pojęcie chrystjanizmu, jako wiary objawionej, przeto twierdzi się, iż połączenie obu tych pojęć jest nieuzasadnione, a nawet niedopuszczalne.

Rozumuje się przytem tak: żeby sobie odpowiedzieć, co należy rozumieć pod nazwą „filozofja chrześcijańska", jaka treść pojęciowa odpowiada tej nazwie, trzeba przedtem zadać sobie pytania, co rozumiemy przez „filozofję", a co przez „chrystjanizm". Gdy wnikniemy w treść obu tych pojęć i uczynimy inwentarz ich elementów składowych okaże się, czy i w jaki sposób oba te pojęcia „filozofji" i „chrześcijańskiej" dadzą się połączyć, lub też nie. Gdyby w skład definicji pojęcia filozofji wchodziły jakieś cechy, któreby były zaprzeczeniem jakiejkolwiek z cech stanowiących definicję tego, co rozumiemy przez chrystjanizm, to połączenie obu pojęć pod etykietą „filozofja chrześcijańska" stawałoby się sprzeczne. Dodając do rzeczownika „filozofja" przymiotnik „chrześcijańska" przekreśliłoby się w przymiotniku to, co się pomyślało i wypowiedziało w rzeczowniku. Symbolicznie wyrażając się, przypuśćmy, że F = (a, b, c) i Ch = (α, β, γ) i że b = nie-β i że c = nie-γ, to nie możnaby łączyć F z Ch., bo nietylko brakuje podstaw do połączenia, ale przeciwnie istnieją racje do niekojarzenia obu pojęć.

Wręcz przeciwnym do tu opisanego byłby wypadek fuzji obu rozważanych pojęć, który eliminujemy jednak zakładając, że chrystjanizm przedstawia zespół tez wierzonych a filozofja zespół tez wiedzianych, i że wiara i wiedza są sprawami każda „sui iuris", czyli że są niesprowadzalne jedno do drugiego.

Możliwą byłaby jeszcze inna sytuacja, mianowicie, że pojęcia filozofji i chrystjanizmu nie zawierają cech wyłączających się ani też wspólnych, lecz filozofja nie stanowi jakiegoś zamkniętego kręgu, bo w własnych metodach i zasadach, stawiając pewne zagadnienia, uświadamia sobie swą niewystarczalność, swe granice i zostawia miejsce dla uzu-

pełnień przez inne rozwiązania, przekraczające granice czystego rozumu t. j. supraracjonalne, objawione w chrystjanizmie. Otóż tak zrozumiana filozofja nie zależałaby od chrystjanizmu, byłaby autonomiczną, ale zarazem otwartą dla chrystjanizmu, zespalałaby się z nim, uznając jego charakter nadprzyrodzony.[1]) Przyjmując takie stanowisko, uznaje się, że spekulacja czysto filozoficzna może współistnieć i współpracować z danemi supraracjonalnemi chrystjanizmu. Rozchodziłoby się jednak o to, w jaki sposób to jest możliwe bez pomieszania dwóch porządków zasadniczo różnorodnych, mianowicie naturalnego i racjonalnego z nadnaturalnym i supraracjonalnym. Podstawy do rozwiązania tego pytania znajdują się na płaszczyznie psychologicznej i historycznej bo zachodzi potrzeba uwzględnienia warunków konkretnych, w jakich się zjawia i rozwija filozofowanie i filozofja.

Kiedy mówimy o filozofji chrześcijańskiej, należy zwrócić uwagę na to, że łatwo tu o wieloznaczność. Każdy światopogląd religijny, o ile przedstawia uporządkowany system tez wierzonych odnośnie do świata i Boga, posiada jakąś filozofję. Światopogląd religijny chrześcijański posiada również pewną sobie właściwą filozofję. Nazwijmy ją filozofją chrześcijaństwa. Nie o nią jednak chodzi, gdy się dyskutuje sprawę filozofji chrześcijańskiej, aczkolwiek zachodzi niebezpieczeństwo posługiwania się bezwiednie obok innego i tem znaczeniem. Filozofja chrześcijaństwa obejmuje pewien zespół zdań więcej, lub mniej dokładnie usystematyzowanych, mających na celu wyjaśnienie, względnie udostępnienie dla umysłu ludzkiego tez, pochodzących z Objawienia Bożego i stąd przerastających zdolności poznawcze ludzkie. Częściami tak pojętej filozofji chrześcijaństwa są apologetyka i teologja spekulatywna. Nie potrzeba wykazywać, że dla obu tych dziedzin tezy Objawienia są pierwszemi zasadami o charakterze pewników czyli aksjomatów, z których

[1]) M. Blondel, *Le problème de la philosophie catholique*. Paris 1932, „il s'agit de savoir, si une philosophie techniquement développée en toute sa spontanéité peut sans subir d'ingérence et sans commettre d'empiétement cohabiter avec le Catholicisme envisagé sous son aspect proprement surnaturel et selon les requêtes qui semblent opposer son totaliter au totaliter de la raison".

się wychodzi przy rozumowaniu jak w teologji spekulatywnej, lub do których się usiłuje dojść, wykazać ich niesprzeczność i odpowiedniość, jak w apologetyce. Uwikłana w jednej i drugiej filozofja nie jest ani czystą, ani powszechną, lecz tylko stosowaną i to ograniczoną do pewnej specjalnej cząstki zagadnień niepokojących umysł ludzki.

Filozofja chrześcijaństwa przedstawia zatem pewien rodzaj spekulacji filozoficznej mającej na celu systematykę tez danych w Objawieniu i tez wiążących się z niemi w sposób konieczny. Oczywiście, iż nie każdy sposób filozofowania nadaje się do takiej systematyki. Przypuśćmy, iż bylibyśmy, obok wielu innych, w posiadaniu jakiejś filozofji, która w swej całości nadaje się do usystematyzowania tez wiary chrześcijańskiej, czy ten wzgląd natury utylitarnej, a więc zewnętrzny wystarcza do przypisania owej filozofji charakteru chrześcijańskiego? Trudno się zgodzić, aby względy zewnętrzne rozstrzygały o charakterze wewnętrznym jakiejkolwiek filozofji, a w każdym razie, by one jedynie rozstrzygały. Zastosowanie filozofji do tych lub innych celów nie dotyczy jej wewnętrznej budowy, nie stanowi o jej charakterze, podobnie jak wyzyskanie wiadomości chemicznych dla jakichś celów technicznych nie wyciska piętna charakterystycznego na samej chemji.

Fakt, że z pośród, dajmy na to, pięciu znanych systemów filozoficznych jeden tylko nie przeciwstawiałby się danym Objawienia, a nawet użyty być by mógł do ich rozumowego uporządkowania, charakteryzowałby ten system filozofji zewnętrznie, bo tylko w porównaniu z innemi filozofjami istniejącemi.

Przejdźmy teraz do pytania, czy filozofja przez swą strukturę wewnętrzną, abstrakcyjnie wziętą, daje powody do przypisywania jej charakteru chrześcijańskiego. W tym celu bierzemy pod uwagę elementy zasadnicze, definjujące filozofję i definjujące chrześcijańskość.

Filozofję definjujemy jako naukę tłumaczącą wszelkie przedmioty przez przyczyny najpierwsze i zarazem najpowszechniejsze. Każda nauka legitymuje swe prawo do istnienia i swą samodzielność tem, że się potrafi wykazać sobie

tylko właściwem zadaniem, t. j. przedmiotem formalnym. W naukach dedukcyjnie zbudowanych przedmiot formalny znajduje się określony w aksjomatach, czyli naczelnych zasadniczych tezach, z których wywodzą się pozostałe. Gdyby zasadnicze tezy, na których opierają się wywody filozoficzne, pochodziły z innej dziedziny, filozofja wtedy straciłaby autonomję epistemologiczną, dostając się w zależność od tej dziedziny, skąd dobierałaby swe tezy z a s a d n i c z e, choćby niektóre tylko.

Mamy na uwadze tezy zasadnicze, w pewnym systemie filozoficznym. Również gdy mówimy o dobieraniu tez zasadniczych z innej dziedziny, w tym wypadku z nauki chrześcijańskiej objawionej, chodziłoby o jakąś tezę dla tej nauki charakterystyczną, czyli jej tylko właściwą. Tez więc wchodzących w skład nauki chrześcijańskiej objawionej, dostępnych jednak dla rozumu ludzkiego i niezależnych od niej, nie bierzemy w rachubę, bo nie są wyłączną właściwością Objawienia chrześcijańskiego. Nie będąc zaś dlań charakterystycznemi, nie mogą one nadawać piętna chrześcijańskiego jakiemuś systemowi filozoficznemu przez to, że są dołączone do jego układu tez zasadniczych, pierwszych.

Aby jakiemuś systemowi filozoficznemu nadać charakter chrześcijański, trzebaby do jego układu zasadniczego tez wpleść jakieś tezy właściwe wyłącznie nauce chrześcijańskiej. Takiemi byłyby tezy znane wyłącznie przez Objawienie chrześcijańskie i przez rozum ludzki przyrodzony niepoznawalne, zwane dlatego tajemnicami wiary. Otóż jeżeli struktura naukowa filozofji ma być prawidłową i odpowiadać wymogom wiedzy, nie można do układu tez zasadniczych wplatać tez jedynie wierzonych, bo to pociągnęłoby za sobą pomieszanie wiedzy z wiarą i porządku przyrodzonego z nadprzyrodzonym.

Dochodzimy więc do zdania, że filozofja *in abstracto*, z racji swej wewnętrznej budowy i ze względu na swój przedmiot formalny, nie daje podstaw do nazywania jej chrześcijańską. Bez trudu znajdą się teksty u św. Tomasza z Akwinu wypowiadające podobne zdanie. [1]) Neoscholastycy nie omiesz-

[1]) Sum. c. Gent. I c. 3, 7; Sum. theol. I q. 1, a 1, 2, 3.

kają powoływać się na nie i wypowiadać tezy, iż niema filozofji chrześcijańskiej. [1])

Tak jednak przedstawia się sprawa, gdy rozważamy filozofję abstrakcyjnie, t. zn. w oderwaniu od okoliczności, w jakich ona powstaje i rozwija się. W ujęciu abstrakcyjnem, wytworzonem dzięki zabiegom myślowym pomija się wszystko, co do utworzenia pojęcia filozofji nie należy. Filozofja tak pojęta nie daje punktów zaczepienia dla żadnych epitetów; musi być tylko sobą i przysługiwać jej winien epitet prawdziwej.

Powiedzenie „niema filozofji chrześcijańskiej" znaczy w tym wypadku to tylko że, przy abstrakcyjnie rozważanej filozofji pomija się wszelkie cechy do jej istoty *(species abstracta)* nienależące. Słówko „niema" dotyczy tu nie faktu konkretnego, lecz pojęcia filozofji; rozchodzi się nie o istnienie filozofji, lecz o jej definicję, koncepcję, do której pozaistotne elementy nie wchodzą, bo się ich umyślnie nie uwzględnia. Choćby istniały, traktuje się je tak, jakgdyby ich nie było.

Przejście od abstrakcyjnego pojęcia filozofji t. j. od porządku konceptualnego do porządku konkretnego t. j. do faktu istnienia, niezależnego od naszego sposobu myślenia, dokonuje się dosyć łatwo i niepostrzeżenie. Stąd płyną nieporozumienia i błędne twierdzenia. W braku kontroli ulega się złudzeniu, jakoby wytwory abstrakcyjne treść pojęciową stanowiące, istniały samodzielnie i nieoględnie przenosi się właściwości pozytywne czy negatywne abstraktu na konkretne przedmioty i sytuacje. Zapomina się często, że abstrakcja przecież nie jest negacją i co najważniejsze, że sposoby naszego myślenia, czy pojmowania nie są sposobami istnienia.

Uwzględniwszy to, zrozumiemy, że co innego jest twierdzić, iż filozofji z racji jej istoty abstrakcyjnie pojmowanej

---

[1]) Oprócz przytoczonych na wstępie zdań, pochodzących przeważnie od przedstawicieli Szkoły Lowańskiej znajdziemy też zwolenników tego poglądu i wśród scholastyków innych. Np. C. Sierp w przedmowie do książki I. Kleutgena, *La Philosophie scolastique exposée et défendue* s. VII. „Au fond, il n'y a pas de philosophie chrétienne, mais seulement une philosophie vraie, qui s'accorde pleinement avec la religion chrétienne, dont elle est parfaitement distincte".

nie przysługuje przymiotnik „chrześcijańskiej", a co innego znowu twierdzić, że „filozofja chrześcijańska" jako fakt historycznie stwierdzalny nie istnieje.

Historycznie zaś uda się stwierdzić istnienie filozofji specyficznie chrześcijańskiej, gdy się okaże, że istnieją systemy filozoficzne czysto rozumowe w swych zasadach i metodach, których istnienie i piętno charakterystyczne nie dałoby się wytłumaczyć bez istnienia religji chrześcijańskiej.

Konkretnie istniejąca filozofja chrześcijańska, stwierdzalna historycznie ma się przedstawiać jako jedna całość o swoistym charakterze. Wykluczamy przez to pojmowanie filozofji chrześcijańskiej jako luźnego zestawienia filozofji i chrystjanizmu, jako jakiegoś rodzaju systemu eklektycznego. Rozchodzi się o wewnętrzne organiczne ustosunkowanie filozofji i chrystjanizmu. Takiego wewnętrznego zespolenia, bez pomieszania jednak, filozofji i chrystjanizmu w całość nie mechaniczną, lecz organiczną filozofji chrześcijańskiej nie da się osiągnąć przez sprzęgnięcie dwu pojęć abstrakcyjnych, bo taka całość byłaby wytworem sztucznym, nienaturalnym. Należy zatem wykazać, że chrystjanizm jako fakt dany w dziejach wpłynął pozytywnie na ukształtowanie się systemu filozoficznego, nie naruszając jego zasad i metod czysto racjonalnych. Otóż nie da się zaprzeczyć fakt, że chrystjanizm stał się pozytywnym przyczynkiem, odbijając się na sposobie filozofowania, bo pewne zagadnienia rozwinęły się jedynie dzięki wpływom chrystjanizmu, który obok danych przyrodzonych stawia pewne zagadnienia, domagające się racjonalnego opracowania. Można sporządzić nawet katalog tych zagadnień i pojęć, które filozoficznie zostały ujęte, a których genezy nie da się wytłumaczyć bez danych objawienia chrześcijańskiego.

Dzięki chrystjanizmowi powstaje filozoficzne pojęcie Boga jednego, pojęcie stworzenia, pojęcie osoby.

Gdy u Arystotelesa spotyka się dowodzenie, że istnieć musi jakiś pierwszy motor tylko, to u św. Tomasza z Akwinu mówi się inaczej i więcej, gdyż dowód stawia sobie za zadanie wykazać, że pierwszy motor jest nietylko tym od którego wszelki ruch pochodzi, lecz i p r z y c z y n ą s t w ó r c z ą ruchu. Św. Tomasz bierze dużo od Arystotelesa, ale nadaje

pojęciom arystotelesowskim nowy sens, płynący właśnie z Objawienia judeo-chrześcijańskiego, w przytoczonym wypadku nowy sens przyczyny „stwórczej" *(causa creatrix)*. Pojęcie stworzenia nie znajduje się ani u Arystotelesa ani u Platona, który mówi raczej o demiurgu, ani u Plotyna.[1])

U Arystotelesa mówi się o „bogach"; św. Augustyn, św. Tomasz z Akwinu operują pojęciem filozoficznem jedynego Boga i Stwórcy. Augustyńska i tomistyczna problematyka w dziedzinie filozofji zaistniała dzięki chrystjanizmowi.

Można wykazać, że u Platona i u Arystotelesa znajdzie się wiele pojęć zgodnych z chrystjanizmem, ale czyż można mówić u nich dlatego o śladach „filozofji chrześcijańskiej"? Bez chrystjanizmu nie da się wytłumaczyć tego co dodali do platońskiej lub arystotelesowskiej filozofji św. Augustyn i św. Tomasz, a dodatki przez nich wprowadzone i przekształcenie konceptualne nie byłyby zrozumiałe bez czynnej roli odegranej przez chrystjanizm przy ukonstytuowaniu się augustynizmu, czy tomizmu.[2])

Inny zachodzi stosunek danych Objawienia przy budowie teologji a inny przy genezie filozofji chrześcijańskiej. Gdy Objawienie podaje teologji przesłanki dowodzenia, to dla filozofji stwarza zagadnienia, otwiera pole nowych pytań i warsztat nowych pojęć.

Filozofja jest wytworem umysłu ludzkiego, znajdującego się pod wpływem uczucia i woli. Gdy jakiś system filozoficzny opisujemy i charakteryzujemy, zostawiamy na uboczu czynniki uczuciowe i wolitywne, aczkolwiek one współdziałały jakoś przy tworzeniu się tego systemu. Uważamy je za istotnie różne od filozofji jako wytworu rozumu.

Podobnież gdy umysł wierzącego chrześcijanina wytwarza pewną filozofję, wiara jego wywiera faktycznie wpływ na jego sposób myślenia, rozumowania, jednak wiara różni się zasadniczo od samej filozofji.

---

[1]) Jacques Chevalier w liście nadesłanym z powodu dyskusji „La Notion de la Philosophie Chrétienne" Bulletin de la Société française de Philosophie. Séance du 21 mars 1931, s. 92, 93.

[2]) E. Gilson, *La notion de la Philosophie Chrétienne.* Bulletin de la Société française de Philosophie 1931 mars. str. 48.

By ujawnić ten wpływ wiary chrześcijańskiej na filozofję należy porównać filozofję bez Objawienia i filozofję z Objawieniem. Tego zadania przypadającego historykowi filozofji podjął się wybitny znawca średniowiecznej filozofji E. Gilson. Według niego filozofja chrześcijańska jest faktem objektywnie spostrzegalnym dla historyka jako takiego. Historja umożliwia zrozumienie tego co nazywamy filozofją chrześcijańską. [1]) Innemi słowy o istnieniu i o sensie filozofji chrześcijańskiej nie można rozstrzygać, wychodząc z analizy konceptualnej, trzeba więc odwołać się do historji i trzymać się faktów.

Operując abstrakcyjnem pojęciem filozofji, odrywamy się od jej tła naturalnego i od jej warunków historycznego istnienia, otrzymujemy wówczas filozofję religijnie neutralną. Ale taka sytuacja nie jest sytuacją filozofji faktycznie istniejącej. Do tej neutralnej sytuacji doprowadzamy filozofję przez abstrakcję, która nie znosi węzłów, nie niweczy ogniw łączących filozofję z chrystjanizmem przez sam fakt, że się te dwie dziedziny w pewnym okresie kultury ze sobą zetknęły w umysłowości człowieka filozofującego. [2]) I nietylko zetknęły się nawzajem. Chociaż współczesna refleksja filozoficzna stara się odosobnić to, co jest pochodzenia racjonalnego od tego, co wiara chrześcijańska wprowadziła, nie zmienia to jednak faktycznego stanu, że racjonalny świat filozofji w cywilizacji europejskiej uległ przepojeniu pojęciami supraracjonalnemi.

Nie da się zaprzeczyć, iż w średniowieczu i w okresie nowożytnym powstały systemy filozoficzne i kierunki na-

---

[1]) E. Gilson, *L'Esprit de la Philosophie Médiévale*. Paris 1929, II, s. 290, „la philosophie chrétienne n'est une réalité objectivement observable que pour l'histoire et son existence n'est positivement démontrable que par l'histoire, mais son existence étant ainsi établie, sa notion peut être analysée en elle-même".

[2]) J. Maritain „La philosophie chrétienne c'est la philosophie elle-même en tant qu'elle est placée dans les conditions d'existence et d'exercise absolument caractéristiques où le christianisme a introduit le sujet pensant, à raison de quoi certains objets sont vus, certaines assertions établies valablemet par elle, qui dans d'autres conditions lui échappent plus ou moins". Bulletin de la Société Française de Philosophie, mai—juin 1931. La notion de la Philosophie Chrétienne, s. 67.

ukowe czysto racjonalne pod względem swych zasad i swych metod, ale których istnienia nie możnaby wytłumaczyć bez istnienia religji chrześcijańskiej. [1]) Wzajemne przeniknięcie się filozofji i chrystjanizmu stało się koniecznością z dwu względów. Najprzód dlatego, że filozofja ma dać racjonalne tłumaczenie świata, gdy chrystjanizm daje supraracjonalne, nadprzyrodzone tłumaczenie; dla tej samej całości mamy więc dwa odmienne sposoby tłumączenia. A zatem czyż mogą się wzajemnie ignorować?

Inny powód tkwi w zadaniu samej filozofji, która stawia przed sobą zagadnienia świata rzeczywistego w całej rozciągłości, pytając o pierwszą przyczynę i cel. Skoro tak jest, czy może nie liczyć się z chrystjanizmem i nie brać pod uwagę jego pojęć i jego tłumaczeń? Gdyby tworząc filozofję, nie brać pod uwagę chrystjanizmu w imię jakiejś neutralności, nie dałoby się to pogodzić z uniwersalnym charakterem tej wiedzy. Filozofja ma traktować nie o jakimś wycinku rzeczywistości, lecz o całości, stąd pominięcie chrystjanizmu uchybiałoby jej integralności. Koncepcja filozofji religijnie neutralnej możliwą jest w abstrakcji. Faktycznie, *in concreto* w dziejach nie spotykamy filozofji religijnie neutralnej; i filozofja grecka była pod wpływem religji pogańskiej. [2])

Spekulacja filozoficzna doznała ze strony Objawienia chrześcijańskiego podniety do rozważania zagadnień nowych. Chrystjanizm nadał filozofji pewne piętno i kierunek *de facto*, nie naruszając jej autonomji *de iure*, filozofja bowiem przystępuje z własnemi zasadami i metodą do roztrząsania

[1]) M. Blondel, *Le problème de la philosophie catholique*. Paris 1932, s. 8. „Boutroux et Duhem notaient qu'en inspirant à l'homme un sentiment nouveau de sa supériorité sur la nature le christianisme a indirectement transformé la conception de la science antique et suscité le développement autonome de nos sciences positives et opératoires selon un ésprit qui est en effet conforme à la verité réelle. De même en présence du christianisme, la philosophie avertie peut et doit par son effort propre et son implacable critique prendre une conscience plus nette de son extension, de sa limite de sa fonction".

[2]) Michel Souriau, Qu'est-ce qu'une philosophie chrétienne? Revue de Métaphysique et de Morale 1932, s. 357 i nast.

i rozwiązywania zagadnień sugerowanych przez chrystjanizm. [1])

Nie ulega wątpliwości, że św. Tomasz z Akwinu odróżniał świat racjonalny odtworzony według niego najtrafniej przez Arystotelesa i świat supraracjonalny wyłożony w nauce Chrystusa i że uznawał wartość rozumu i autonomję filozofji. Odróżnienie atoli przezeń przeprowadzone nie zamyka filozofji w sobie samej tak, iżby się stać miała dziedziną zupełnie odgrodzoną nie dopuszczającą wpływów chrześcijańskich. Odróżnienia tomistyczne nie znoszą mechanicznego traktowania pod groźbą zniekształcenia ich intencji. Odróżniać w myśli nie znaczy oddzielać fizycznie, przestrzennie. Należy pamiętać o zasadniczem przeświadczeniu, z którego Akwinata czerpał podnietę do swych spekulacyj, mianowicie, że prawda osiągnięta przez poznanie czysto rozumowe nie może się sprzeciwiać prawdzie objawionej, uznawanej przez akt wiary i że natura ludzka rozumna dąży do uzupełnienia i udoskonalenia danych rozumowych przez dane nadprzyrodzone, uświadamiając sobie ich potrzebę, a nie mogąc sama przez się potrzeby tej zaspokoić drogą naturalnego rozwoju. [2])

Bóg jest twórcą natury ludzkiej rozumnej i dawcą prawd objawionych, nie może więc być sprzeczności między tem co daje poznanie naturalnie prawdziwe i tem co podaje wiara, gdyż w przeciwnym razie doszłoby się do niedopuszczalnego zdania, że Bóg samemu sobie przeczy, lub utrzymuje ludzi w błędzie. [3]) Prawdzie sprzeciwia się tylko fałsz, stąd z racji samej definicji prawdy muszą się zgadzać prawdy poznania czysto rozumowego z prawdami wiary objawionej.

---

[1]) R. Jolivet, Essai sur les rapports de la pensée grecque et de la pensée chrétienne: Aristote et S. Thomas ou l'idée de Création; Plotin et S. Augustin. Paris 1931.

[2]) Sum. theolog. II-a II-ae q 85, a 1 ad Resp. „naturalis ratio dictat homini quod alicui superiori subdatur propter defectus quos in seipso sentit, in quibus ab aliquo superiori eget adjuvari et dirigi et quidquid illud sit hoc est quod apud omnes dicitur Deus".

E. O' Mahony, *The desire of God in the philosophy of S. Thomas Aquin.* Cork 1929. Durantel, *Le retour à Dieu par l'intelligence et la volonté dans la philosophie de S. Thomas.* Paris 1918.

[3]) Sum. contra Gentes I a 7.

Gdy św. Tomasz z Akwinu wykłada teorję o specyfikacji filozofji jedynie przez jej przedmiot formalny porządku przyrodzonego, gdy wskazuje, że filozofja kieruje się własnemi kryterjami czysto rozumowemi, chodzi mu o podkreślenie jej autonomji, i o uwydatnienie, że filozofji jako nauce zależy przedewszystkiem na prawdzie, czyli na poznaniu rzeczywistości takiej, jaką jest. Według św. Tomasza filozofja będzie chrześcijańską, gdy będzie prawdziwą, a nie odwrotnie. Innemi słowy kryterjum filozofji szukać należy nie w tem, czy jest chrześcijańską, lecz w tem, czy jest prawdziwą, skoro zaś jest prawdziwą, to musi też być chrześcijańską. Prawda filozoficznego poznania nie może wyłączać prawdy chrześcijańskiej, otrzymywanej przez wiarę, podobnie jak dziedzina nadprzyrodzona, supraracjonalna nie znosi dziedziny przyrodzonej, racjonalnej, lecz ją uzupełnia i udoskonala.[1]) Wiara nadprzyrodzona wywiera dobroczynny wpływ na zdolności rozumu, nie wkraczając jednakże i nie zmniejszając w niczem jego uprawnień w porządku naturalnym. Tezy wiary nie mogą zastępować dowodów rozumowych w filozofji. W dziedzinie czysto-filozoficznej nie dowodzą one niczego; dla wierzącego jednak są one przestrogą, że tezy filozoficzne sprzeczne z tezami wiary muszą być błędne. Tezy wiary skłaniają go do szukania dowodów czysto rozumowych, filozoficznych, wykazujących błędy tez sprzecznych z tezami objawienia.[2])

Stąd i uznanie jakiejś filozofji przez magisterjum Kościoła, aczkolwiek przedstawia ważną ocenę jakiejś filozofji pod względem jej zgodności z wiarą, to jednak nie wystarcza, ani nie jest konieczne do określenia pojęcia filozofji chrześcijańskiej. Przecież dużo tez niezgodnych z wiarą nie zostało potępionych, ani nie wszystkie zgodne z wiarą zostały potwierdzone. Urząd nauczycielski Kościoła stwierdza bowiem jedynie f a k t zgodności lub niezgodności z wiarą, nie wchodząc w wartość filozoficzną danego systemu, lub tezy i nie podając racyj f i l o z o f i c z n y c h, lecz teologiczne, t. zn. odwołując się ostatecznie do zasad wiary.[2]) Racje filozoficzne

[1]) De Veritate, q XIV a 9 ad 8-um, a 10 ad 9-um.

[2]) E. Gilson, Bulletin de la Société française de Philosophie Mars 1931, s. 52, 53.

muszą być wskazane przy pomocy zasad i metod czysto rozumowych.[1])

Podobnie jak tezy wiary nie mogą zastępować rozumowania czysto racjonalnego, ani wchodzić w jego skład, tak również i rozumowanie nie może zastępować wiary.

W rozumowaniu św. Tomasza z Akwinu filozofja, będąca funkcją naturalnego rozumu i wiara będąca funkcją nadnaturalnej łaski różnią się istotnie,[2]) stąd nie należy ich mieszać *(confundere)*. Istotna, specyficzna ich różnica nie wyklucza jednak tego, że się z sobą zgadzają i uzupełniają nietylko faktycznie, przygodnie, lecz z konieczności, na podstawie definicji prawdy, która musi być jedną.

W tem przeświadczeniu, że filozofja prawdziwa nie może się sprzeciwiać wierze chrześcijańskiej i musi się z nią zgadzać i uzupełniać, zarysowuje się idea filozofji specyficznie chrześcijańskiej. Ściśle biorąc, należałoby raczej mówić dla uniknięcia nieporozumień i uwydatnienia rysu charakterystycznego o sposobie filozofowania specyficznie chrześcijańskim. Chrześcijańskość nie dotyczy więc filozofji *in abstracto*, ale oznacza sposób jej zorjentowania. Pod nazwą filozofji chrześcijańskiej rozumie się bowiem interpretację racjonalną danych, która się różni od innych interpretacyj również racjonalnych, tylko sposobem zapatrywania na Objawienie, zaliczając je do danych, gdy inne systemy filozoficzne tego nie czynią.

Dlatego właśnie, iż chodzi o postawę umysłu wobec danych Objawienia i o sposób filozofowania, a nie o jakiś zamknięty system, filozofja chrześcijańska nie przedstawia doktryny skończonej raz na zawsze. Przeciwnie podlega ona ciągłemu rozwojowi. Jej dzieje pokazują, że nie jednakową

[1]) Denzinger Enchiridion Symbolorum et Definitionum n. 1795. „Hoc quoque perpetuus Ecclesiae catholicae consensus tenuit et tenet, duplicem esse ordinem cognitionis non solum principio, sed obiecto etiam distinctum: principio quidem, quia in altero naturali ratione, in altero fide divina cognoscimus; objecto autem, quia praeterea, ad quae naturalis ratio pertingere potest, credenda nobis proponuntur mysteria in Deo abscondita n. 1799. „Nec sane ipsa (Ecclesia) vetat, ne huiusmodi disciplinae in suo quaeque ambitu propriis utantur principiis et propria methodo".

[2]) Sum. theol., I, q 32, a 1, q 46 a q.

rolę i doniosłość przypisywali umysłowi św. Augustyn, św. Bonawentura, Pascal, którzy odnosili się doń z nieufnością, gdy natomiast Albert Wielki i św. Tomasz z ufnością. Mimo te różnice zaznacza się jednak wspólna postawa umysłowa, że nie można filozofować ignorując dane Objawienia, aczkolwiek nie dadzą się one zracjonalizować.[1])

Filozofja tomistyczna zyskała przewagę i stanowi wyraz filozofowania chrześcijańskiego, w danych warunkach dziejowych najlepszy.[2])

Dla jakich powodów tomizm stał się wyrazem filozofji chrześcijańskiej najlepszym w danych warunkach? Powód pierwszy leży w tem, że uznaje samodzielność poznania czyli autonomję rozumu, a przez to pojmuje filozofję jako wiedzę rozwijającą się o własnych siłach, na własnych zasadach i o swoistych metodach. Kiedy u św. Augustyna brak rozgraniczenia wyraźnego między poznaniem przyrodzonem i wiarą nadprzyrodzenie wlaną, bo w poznaniu ludzkiem działa *illuminatio, participatio luminis divini,*[3]) św. Tomasz z Akwinu znaturalizował, upowszednił interwencję światła Bożego. *Illuminatio* straciła augustyńsko-plotyński charakter jakiegoś specjalnego działania Bożego, stając się współdziałaniem naturalnem *concursus naturalis* Boga przy aktach poznawczych ludzkich.[4]) Teorja augustyńska illuminacji zachowa swój charakter w dziedzinie nadprzyrodzonej wiary.

Autonomja poznania według koncepcji tomistycznej przebiega równolegle do autonomji świata, który dla Arystotelesa i Tomasza ma własny byt, i własne istoty, i własne działanie, gdy według poglądu augustyńsko-plotyńskiego świat jest

---

[1]) E. Gilson, *Thomisme.* Paris 1927, s. 40, „tous demeurent néamoins d'accord sur un point essentiel, c'est qu'il existe une philosophie chrétienne, c'est-à-dire ordonnée vers un objet qu'elle ne saurait saisir et dont cependant, puisqu'elle sait qu'il existe, elle ne saurait se detourner".

[2]) J. Maritain, *De la philosophie chrétienne.* Paris 1933, s. 55. „La philosophie chrétienne n'est pas une doctrine déterminée encore qu'à notre avis la doctrine de saint Thomas en soit l'expression la plus achevée et la plus pure.

[3]) Św. Augustyn, De Trinitate XII, 15 „in quadam luce sui generis omnia quae cognoscit intueatur".

[4]) Sum. Theolog. I q 55 a 3, a 5.

cieniem, partycypacją idei Bożych, i rzeczy niby okazjonalnie przejawiają działanie Boże.[1]) Stąd tłumaczenie rozumowe świata według filozofji tomistycznej ma się odbywać o naturalnych zdolnościach rozumu i przez naturalne przyczyny, gdy w tłumaczeniu augustyńskiem miesza się tłumaczenie przyrodzone z nadprzyrodzonem. Takie pomieszanie wprowadza do filozofji coś z mistycyzmu, a do wiary znowu coś z racjonalizmu, jeżeli powstaje mniemanie, że można dojść do poznania tajemnic wiary w sposób mglisty, niewyraźny, jak to utrzymywało wielu myślicieli kierunku augustyńskiego.[2]) Odróżnienie tomistyczne pomaga do uniknięcia obu niewłaściwości. Drugi powód, dzięki któremu tomizm wyraża względnie najlepiej filozofję chrześcijańską, tkwi w jego umiarkowanym realizmie metafizycznym. Umiarkowany realizm metafizyczny daje podstawy do udowodnienia istnienia Boga i duchowości duszy ludzkiej, które to tezy stanowią przedsionek *praeambula fidei* dalszych spekulacyj teologicznych.[3]) Nadto stwarza możliwość rozumowej interpretacji danych objawionych przy pomocy pojęć metafizycznych, której to pracy podejmuje się teologja spekulatywna.

Gdyby tomizm nie uznawał autonomji poznania czysto rozumowego, zaprzeczałby sam siebie jako filozofję. Gdyby zaś nie przyjmował stanowiska realizmu metafizycznego umiarkowanego nie byłby w stanie zabezpieczyć przejścia z dziedziny wiedzy do wiary przez *praeambula fidei* i oddać zapomocą pojęć o wartości przedmiotowej, aczkolwiek analogicznej, danych objawionych chrystjanizmu, t. j. wiary nadprzyrodzonej. Dane wiary zostałyby wówczas poza możliwością ich intelektualnego przedstawienia, nie mówimy

[1]) E. Gilson, *Pourquoi saint Thomas a critiqué saint Augustin.* Archives d'Histoire doctrinale et littéraire du Moyen âge 1926—1927, s. 5, 119 i nast.

[2]) Św. Augustyn mniemał, że platonicy dochodzili go jakiegoś bardzo niedoskonałego poznania Trójcy Świętej, por. De Civitate Dei X, 29. Podobnież w traktacie „De vera religione" c. 5 utrzymuje jedność filozofji i prawdziwej religji i uznaje wnikliwość rozumu ludzkiego w odniesieniu do tajemnic wiary.

[3]) Erich Przywara S. J. *Die Problematik der Neuscholastik.* Kantstudien B. 32. Heft 1—2 (1928) s. 88 i nast.

uzasadnienia. Wtedy mimowolnie spadłyby one z poziomu intelektualno-objektywnego do poziomu subjektywnego czynników affektywno-wolitywnych. Umiarkowany realizm metafizyczny tomizmu jest ostoją przeciw psychologizmowi w sprawach wiary.

Dzięki temu że tomizm przyznaje rozumowi ludzkiemu jego przyrodzone prawa, że formalnie i pozytywnie nie krępuje autonomji filozofji, a jednak otwiera możliwość rozumowego przedstawienia danych wiary przez teologję spekulatywną, stanowi on konkretną, historyczną realizację idei o niesprzeczności, o zgodności i dopełnianiu się prawd rozumowych z prawdami objawionemi chrystjanizmu. Idea ta nie wyraża jakiegoś specjalnego systemu filozoficznego wykończonego i istniejącego w dziejach myśli ludzkiej. Zawiera ona raczej wskazanie praktyczne, określając ogólnie sposób filozofowania specyficznie chrześcijański. W tomizmie znalazł ten sposób filozofowania wyraz konkretny, uwydatnił się pozytywnie.

Odróżniamy zatem filozofję chrześcijaństwa która przedstawia tezy wiary wyłożone i uporządkowane lub bronione przy pomocy filozoficznych pojęć i metod i filozofję czystą, która żadnego epitetu nie dopuszcza. Pod nazwą zaś filozofji chrześcijańskiej odróżniamy dwie rzeczy, mianowicie ideę zgodności i uzupełniania się filozofji i chrystjanizmu i systemy filozoficzne kierowane tą ideą niby postulatem. Idea ta nie podaje filozofji, lecz tylko wskazania praktyczne co do sposobu filozofowania specyficznie chrześcijańskiego, który się zaznaczył w pewnych konkretnych systemach. Jeżeli więc niema filozofji specyficznie chrześcijańskiej z racji jej budowy i definicji, to jednak jest specyficznie chrześcijański sposób filozofowania.

Ks. Piotr Chojnacki.

Kryzys współczesnej kultury.

(Dokończenie.)

III.

Wszystkie powyższe poglądy pisarzy francuskich są raczej wynurzeniami publicystycznemi. Szczególnie książka Massis'a stoi bardzo daleko od opracowania naukowego, posiada wiele ciekawych spostrzeżeń, ale jej charakter publicystyczny odrazu rzuca się w oczy. To samo, choć w mniejszym stopniu powiedzieć można o rozważaniach Ropsa. Zresztą cała literatura na temat współczesnego kryzysu kulturalnego obraca się przeważnie w obrębie publicystyki.

Dopiero na podstawach ściśle filozoficznych, a lepiej mówiąc historjozoficznych rozważań naukowych postawił zagadnienie kulturalnego kryzysu głośny rosyjski filozof Mikołaj Berdjajew. Śmiałością swoich wynurzeń, a szczególnie atakiem na św. Synod jeszcze za carskich rządów naraził się Berdjajew i dopiero wybuch rewolucji uchronił go przed surową karą. Już za czasów bolszewickich obejmuje katedrę filozofji na uniwersytecie w Moskwie. Za otwartość swoich przekonań dostaje się dwa razy do więzienia, aż w r. 1922 pozbawiony katedry opuszcza Rosję. Osiada najpierw w Berlinie, potem jednak przenosi się do Paryża. W r. 1923 wydaje w Berlinie swoje dzieło pt. *Smysł istorii*, a w następnym *Nowoje sredniewiekowje*; zkolei wychodzi szereg innych dzieł, które stawiają go w szeregu najwybitniejszych współczesnych filozofów. Największy rozgłos przyniosła mu wspomniana już mała książeczka *Nowoje sredniewiekowje*, która razem ze *Smysłem istorii* stanowi cały jego system histojozo-

ficzny. Oba dzieła są oparte na twierdzeniu, że obecna kultura kończy się, że dzisiejsza epoka historyczna przemija, a po niej nastąpi nowe średniowiecze.

Równocześnie z dziełem Berdjajewa pt. *Smysł istorii* ukazała się książka wybitnego rosyjskiego badacza historji starożytnej Romana Wippera pt. *Krugoworot istorii* (Berlin 1923), w której autor, podobnie jak Spengler, drogą analogji, dochodzi do przekonania, że zbliżamy się do nowego średniowiecza. Wipper wyraźnie zaznacza, że wszystkie nasze przeżycia stanowią powtórzenie tego, co wielokrotnie już było, a obserwacje nad światem, podobne do naszych, stanowiły treść życia odległych pokoleń w różnych szerokościach i różnych epokach.[1]) Ten sam pogląd na dzieje, jako na rytmiczne następowanie po sobie przypływów i odpływów, wypowiada Berdjajew.[2]) Al. Herz[3]) przypuszcza, że tak na Wippera jak i na Berdjajewa wpłynął Vico, który w dziele p. t. *Principi una scienza nuova* stawia swoją słynną teorję ricorso.

Mówiąc jednak o rytmiczności przypływów i odpływów dziejowych i budując swoją teorję nowego średniowiecza Berdjajew wyzyskuje fakt analogji głównie do tego celu, aby oprzeć to przyszłe nowe średniowiecze na zasadach chrześcijańskich. Analogja między dawnem średniowieczem a nowem ma wypływać i jedynie wypływać może z głębokich przesłanek religijnych, które stanowią osnowę całej filozofji Berdjajewa, dla którego fakt życia religijnego, ściślej mówiąc chrześcijańskiego, nie podlega najmniejszym wątpliwościom. Berdjajew myśli wyłącznie kategorjami religijnemi, z nich wychodzi i na nich kończy, jest człowiekiem głęboko religijnym. Dla niego niema filozofji bez chrześcijańskiej wiary, nie jest to jednak wiara autorytetu, ale wiara poza tym autorytetem, przez zewnętrzne doświadczenie życiowe osiągnięta, nie zrodzona w mgle uczuciowości, ale wynikła raczej z przesłanek rozumowych, głęboko przemyślana i bezapelacyjnie przyjęta.

[1]) Wipper, *Krugoworot istorii*, Berlin, 1923, str. 104—105.

[2]) Berdjajew, *Smysł istorii*, Berlin 1923, str. 11—12, *Nowoje srednie-wiekowje*, Berlin, 1924, str. 7.

[3]) Herz Al., *W oczekiwaniu nowego średniowiecza, Droga*, Warszawa 1923.

Karol Pfleger powiedział, że Berdjajew „myśli jak Chrystus... I myśli jako wschodni Chrystus“ [1]) i ma najzupełniejszą słuszność. Berdjajew podkreśla nawet swój związek z filozofją, a właściwie z mistyką rosyjską, niemniej jednak przekonania jego wykraczają daleko poza mistycyzm, a nawet często się z nim rozmijają.

Jeżeli jednak mowa o wpływach rosyjskich na Berdjajewa to przedewszystkiem wspomnieć należy o W. Sołowjewie, o którym często mówi z prawdziwym pietyzmem. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Sołowjew dał pierwsze silne podstawy religijnej filozofji Berdjajewa i głęboką wiarę w niezniszczalność idei chrześcijańskiej.

Sołowjew razem z Dostojewskim przyjmował, jako centralną zasadę swoich przekonań, ideę chrześcijańskiej, ludzkiej wspólnoty, wierzył w braterstwo całego świata w imię Chrystusa, przyczem obaj byli przekonani, że idea ta jest posłannictwem Rosji, nowem słowem, które ona światu objawi. Zasada „Bożoczłowieczeństwa“ (Bogoczełowjeczestwo) jest dla niego pierwszą i najelementarniejszą podstawą życia. Posiada ona nietylko charakter chrystologiczny, ale stara się człowiekowi wskazać jego prawdziwą rolę we wszechświecie, jego kulturę rzeczywistą i wieczną podstawę, którą jest boska prawda chrześcijańska. Niejednokrotnie jak później Berdjajew stwierdzał, że nowoczesnej kulturze brak pozytywnych podstaw i absolutnego ducha jako punktu środkowego. Na miejscu tegoż punktu środkowego mamy tak wiele względnych i przemijających ognisk życia i światowości, jak różne są nasze interesy i pragnienia, skłonności, mniemania i poglądy. Dlatego ginie w wewnętrznem i zewnętrznem życiu człowieka resztka jedności, a równocześnie z tem wszelkie nowoczesne wysiłki, aby znaleźć jakąś jednoczącą i organizującą zasadę. Sołowjew nie wierzył, aby socjalizm, czy modny wówczas pozytywizm mógł spełnić tę misję zjednoczenia, ponieważ oba zmierzają jedynie ku praktycznym celom, nie posiadają zaś absolutnej, wszechogarniającej zasady religijnej, która jedynie jest zdolna złączyć całą ludzkość.

[1]) Pfleger K. *N. Berdjajews orthodoxe Gnosis, Hochland*, München, 193 1/2, H. 3 Dezember, S. 211

Według Sołowjewa prawdę o „Bożoczłowieczeństwie", którą posiadał Zachód, ale ją utracił, nanowo przyniesie ludzkości Wschód. Zachód uczynił człowieka absolutnym poza Bogiem i przeciw Bogu. Wschód razem z Zachodem musi uczynić człowieka absolutnym z Bogiem i w Bogu. To jest najdoskonalsza prawda o „Bożoczłowieczeństwie", która ma być zasadą zjednoczenia nietylko Wschodu z Zachodem ale całej ludzkości. - Sołowjew sądził, że doskonałe i wszystko obejmujące chrześcijaństwo objawi się dopiero w „Bożoczłowieczeństwie" i widział w całym religijnym rozwoju uciążliwy, ale pełen chwały pochód ludzkości ku Chrystusowi. Chrześcijaństwo posiada swoją własną treść, którą jest Chrystus, będący osobową żyjącą syntezą wszystkich w ciągu wieków objawionych prawd religijnych. [1])

Ten zasadniczy punkt filozofji Sołowjewa: zjednoczenie w Chrystusie całej ludzkości, która jedynie w ten sposób może osiągnąć swój utracony byt duchowy, przyjął również Berdjajew. W swojem bardzo ciekawem dziele p. t. *Filozofja wolnego ducha* stwierdza, że w dzisiejszych czasach duchowego kryzysu wielu pielgrzymów wraca do chrześcijaństwa; są to ludzie, którzy doświadczenie nowożytnej historji przeżyli do najdalszych granic, dusze, z których następstwa doznanych wrażeń nie dadzą się wymazać. Dusza ludzka stała się inną, aniżeli ta, która przyjmowała po raz pierwszy chrześcijaństwo, gdy jeszcze wielcy nauczyciele Kościoła nauczali, a ekumeniczne koncylja tworzyły dogmaty, gdy panowało teokratyczne państwo średniowiecza. Ta przemiana i udoskonalenie psychiki dokonało się przed wszystkiemi rzeczami pod wpływem tajemniczej i często niewidzialnej działalności chrześcijaństwa, które przezwyciężyło barbarzyństwo i usunęło duchową rubaszność. Chrześcijaństwo stworzyło człowieka. [2])

Berdjajew ma psychikę wybitnie kościelną, ale Kościół dla niego jest czemś o wiele większem, niżeli to, co jest

[1]) Szerzej poglądy Sołowjewa omawia K. Pfleger w art. p. t. *Wl. Solovjeff als Philosoph des Gottmeschentums und Unionsidee. Hochland*, München, 1927. Dezember - 1928 Januar.

[2]) Berdjajew, *Die Philosophie des freien Geistes. Problematik und Apologie des Christentums*, Deutsch. v. R. v. Walter, Tübingen, 1930, S. 5.

widoczne, więcej niżeli gminą religijną, hierarchicznie utworzoną. Ze swoją integralną, mistyczną, ontologiczną naturą Kościół zanurza się w głębinie duchowego świata. „W religijno-kościelnem doświadczeniu, w ruchu z Chrystusem nie jest człowiek osamotniony", ale „złączony z wszystkimi, którzy kiedykolwiek tego doświadczenia doznawali, jest on złączony z całym światem, ze wszystkimi apostołami, świętymi, z braćmi w Chrystusie, ze zmarłymi i żyjącymi... W Kościele w duchu zgromadzenia bije jedno wspólne serce. W Kościele spełnia się wspólne poznanie Chrystusa, ruch wszystkich z jednym i tym samym Chrystusem i osiągnięcie jednoczącej siły przez samego Chrystusa. My tworzymy rodzaj Chrystusowy, nowy duchowy ród ludzki, pokolenie nowego Adama... Kościół jest porządkiem miłości, wolności, jedności miłości i wolności". [1]) Należeć do Kościoła jest tem samem, co być członkiem ciała Chrystusowego, komórką tego mistycznego ciała, organem tego mistycznego organizmu. Jeżeli należymy do mistycznego ciała Chrystusa, otrzymujemy jego mądrość, miłość, wolność, której my w naturalnym świecie, w naszej duchowej ograniczoności ani znamy ani posiadamy. „Kościół — znowu słowa Berdjajewa — jest wszystkiem: całą pełnością bytu, pełnością życia świata i ludzkości, ale w stanie uchrystusowienia... Kościół jest uchrześcijanionym kosmosem". [2]) I wreszcie w innem miejscu Berdjajew dodaje: „Chrystus przed wszystkiemi sprawami jest objawieniem nowego duchowego życia, państwa Bożego". [3])

Historjozofja Berdjajewa staje się zrozumiałą dopiero w świetle jego poglądów religijnych i dlatego przedewszystkiem o nich należało wspomnieć. Oczywiście jest to zagadnienie bardzo rozległe, wymagające szerokiego i gruntownego omówienia, nie szło tu jednak o teozoficzny system Berdjajewa, ale o podkreślenie jego stosunku do chrześcijaństwa i Kościoła. To pewne, że między jego poglądami a filozofją Sołowjewa zachodzi zupełnie wyraźny stosunek, jak i to również, że gdyby jego poglądy religijne były inne, cała teorja nowego średniowiecza nie mogłaby istnieć.

[1]) Tamże, S. 377.
[2]) Tamże, S. 379.
[3]) Tamże, S. 401.

O kryzysie współczesnej kultury mówił Berdjajew jeszcze przed Spenglerem. W swojem dziele p. t. *Zmysł tworzenia,* już w r. 1914 stwierdzał, że współczesna „kultura stoi w zawrotnym punkcie bardzo głęboko sięgającego kryzysu. Wszystkie linje kultury prowadzą do zewnętrznego kryzysu i poza linję dyfferencjalnych wartości".[1]) Wkrótce potem przemianom, które ludzkość przeżywa poświęcił obszerną prace p. t. *Smysł istorii,* w której odrazu zaznaczył, że ośrodek kryzysu leży w historycznych podstawach. Zwraca uwagę przedewszystkiem na chrześcijaństwo, które, w czem zgadza się z Schellingiem, posiada charakter historyczny, jest objawieniem Boga w historji. Odpowiednio do swojej natury jest ono wyłącznie dynamiczne, a nie statyczne, objawia się w historji jako siła działająca, i tem różni się od sposobu patrzenia na świat starożytnych, który miał znamiona statyczne. Chrześcijaństwo wyzwoliło człowieka z więzów natury, skierowało do wewnętrznego, duchowego świata. Tego wielkiego czynu wyzwolenia człowieka z pod władzy demonów starożytnego świata, centralnego w historji ludzkości, dokonali chrześcijańscy święci. Człowiek musiał odłączyć się od natury i stworzyć nową ludzką osobowość. Ten nowy okres stworzyło chrześcijaństwo; rozpoczynając wczesną epokę pustelnictwa i wprowadzając średniowiecznych mnichów, ukazało nieskończoną wartość ludzkiej duszy. Stworzyło dualizm między duszą a naturą, objawiający się w najwyższym stopniu jako dynamiczna zasada. Bez tego dualizmu, bez przeciwieństwa między czynnym subjektem a zewnątrz znajdującym się objektem i naturalnem otoczeniem, z którem człowiek walczy, dualizm historyczny jest wprost nie do pomyślenia. Okresy pogrążania się subjektu w objekcie nie sprzyjają historycznemu dynamizmowi.[2])

Średniowiecze wzmocniło się i wyrobiło w sobie dyscyplinę dwoma drogami: przez życie klasztorów i rycerstwa. To zakuwało człowieka w pancerz tak fizyczny jak i duchowy i dawało mu niezależność od elementarnych, zewnę-

[1]) Berdjajew, *Der Sinn des Schaffens.* Deutsch v. R. v. Walter, Tübingen, 1927, S. 344.

[2]) Tenże, *Der Sinn der Geschichte,* Übers. v. Otto v. Taube, Darmstadt, 1925, S. 168.

trznych sił. Cała asceza chrześcijańska miała znaczenie koncentracji sił człowieka i ochroniła przed ich zmarnotrawieniem. Duchowe siły człowieka zogniskowały się wewnątrz, i na tem właśnie polega wielkie znaczenie średniowiecza, które potem w epoce renesansu umożliwiło twórczy rozkwit. I tutaj również leży zasadnicza różnica między średniowieczem a nową historją. Dzisiejszy człowiek schodzi z pola nowożytnej historji z wyczerpanemi siłami, podczas gdy średniowiecze dało ludzi pełnych młodzieńczych sił, wydyscyplinowanych w szkole ascezy.

Renesans jednak wypaczył średniowieczną ideę, stał pod znakiem wyzwolenia twórczych sił człowieka, duchowej decentralizacji, zróżnicowania wszystkich sfer społecznego i kulturalnego życia. Wszystkie odgałęzienia cywilizacji stały się autonomicznemi, wiedza, sztuka, życie państwowe i gospodarcze. Sekularyzacji poddano nawet religję. Przejście z historji średniowiecznej do nowożytnej oznacza pewien zwrot od Boga do człowieka, z wnętrza duchowego nazewnątrz, wyzwolenie nietylko ludzkich sił, ale również wydobycie życia człowieka na powierzchnię, ze średniowiecznej, religijnej kultury w sferę kultury świeckiej. Cała nowoczesna kultura przedstawia obraz krążenia po linji, która coraz bardziej oddala się od duchowego centrum. Renesans znowu ujawnił człowieka natury. Ten powrót do naturalnych podstaw życia, to rozwinięcie twórczych sił wewnątrz naturalnej sfery oznacza humanizm,[1]) który zerwał związek człowieka z duchowem centrum. To wywołało młodzieńcze zaufanie człowieka we własne siły, w siebie samego, i w swoje możliwości duchowe: ludzkie siły twórcze w sztuce, wiedzy, w życiu państwowem nie posiadają żadnych granic.

Mówi się, że humanizm odkrył ludzką indywidualność, uwolnił ją od ciężaru, którym przytłaczało średniowiecze, ale nie zwraca się uwagi, że w tym samym humanizmie podnoszącym twórcze siły człowieka na szczyty jego samodzielności istnieją również potężne czynniki rozsadzające tę siłę, ponieważ pozbawił on człowieka duchowej świadomości, oderwał go od boskiego centrum i najgłębszej podstawy

[1]) Tamże, S. 185.

jego natury. Humanizm zaparł się boskiej istoty człowieka, stawiając równocześnie twierdzenie, że jest on obrazem natury zewnętrznego świata, stworzonym przez konieczność natury. W ten sposób humanizm poniżył człowieka, ponieważ odmówił mu boskiego pochodzenia.

Berdjajew stwierdza, że epoka renesansu kończy się w czasach, które obecnie przeżywamy. W podstawach historycznego procesu leży stosunek ludzkiego ducha do natury i jego przeznaczenie pod wpływem tej wzajemnej relacji do natury. Berdjajew ustala trzy okresy stosunku człowieka do natury. Pierwszy przedhistoryczny, pogański oznacza pogrążenie się ludzkiego ducha w najelementarniejszej naturze. Następne stadjum ciągnie się przez całe średniowiecze, stoi pod znakiem bohaterskiej walki ludzkiego ducha z naturą i oznacza wzrot do wnętrza, w głąb. Trzecią epokę renesansu charakteryzuje powrót do natury. Niema tu już duchowej walki z naturą, ale walka w imię podboju sił natury, które wreszcie zostały dla człowieka zdobyte. Jeżeli poprzednie stadja odznaczały się organicznym stosunkiem człowieka do natury, a rytm ludzkiego życia odpowiadał rytmowi życia natury, to obecnie nastąpiła radykalna zmiana, człowiek przeszedł do mechanicznego i maszynowego porządku życia.

W XVI, XVII i XVIII wieku człowiek czuje się jeszcze organicznie wolny i niepodległy mechanizacji. Dopiero XIX w. ogłaszając triumf maszyny, spowodował nagłą zmianę we wszystkich sferach życia. Dawniej był człowiek organicznie z naturą związany, maszyna zmieniła ten stosunek, stanęła między nim a naturą i wreszcie podbiła samego człowieka. Pojawił się więc trzeci element, który nie będąc ani organicznym ani ludzkim osiągnął ogromną władzę, tak nad naturą jak i nad człowiekiem. Człowiek poświęcił swoje siły na tworzenie mechanicznego królestwa maszyny.

Współczesny kryzys kultury, stwierdza Berdjajew, jest zaprzeczeniem ideałów humanistycznych, ujawnieniem ich bankructwa, które uwidocznia się na wszystkich polach.

Zbankrutowała dawna teorja poznania. Do poznania zwrócił się człowiek renesansu pełen pewności, że stoją przed nim otworem tajemnice natury. Katolicka dogmatyka

chciała to poznanie ograniczyć, a człowiek renesansu usiłował wyłamać się z tego ograniczenia. W filozofji natury, w wiedzy przyrodniczej, nawet w magji, kwitnącej wówczas pod rozmaitemi formami, człowiek renesansu pragnął udowodnić nieograniczone możliwości swojego poznania, co wreszcie oderwało go od poznania wyższych, religijnych i duchowych podstaw, z któremi łączył się w epoce średniowiecza i w starym przedchrześcijańskim świecie. Potem zwycięża refleksja, która znalazła swój genjalny wyraz w filozofji Kanta. Już w kantyzmie widoczne są duchowe oznaki końca renesansu. Patos Kanta nie jest już patosem renesansu, radością poznania, świadomością nieograniczonych perspektyw, ale leży w refleksyjnem poznaniu ograniczoności wiedzy.

Zkolei mówi Berdjajew o kryzysie moralności, życia politycznego, socjalnego i sztuki, wskazującym na coraz głębszą świadomość bezsilności i ograniczoności naszego poznania. Filozofję opanowała niemoc refleksyj i wiecznego zwątpienia w ludzkie siły poznawcze. To też najnowsze kierunki teorjopoznawcze nie dążą już do poznania bytu, ale do znalezienia religijnych podstaw.[1]) Rozpoczyna się gorączkowe poszukiwanie duchowego centrum. Człowiek czuje, że wolność, którą dla niego wywalczył renesans, grozi coraz większem wyczerpaniem. Potwierdza się paradoksalna prawda, że człowiek tembardziej ugruntowuje się w samym sobie im silniej poddaje się ponadludzkiej zasadzie i ponadludzkiej świętości, a przeciwnie zatraca się, jeżeli zapomina o wyższej ponadludzkiej istocie, i nic nie widzi poza zamkniętym ludzkim światkiem. Utwierdzenie ludzkiej osobowości prowadzi do uniwersalizmu. Udowodniono, że humanistyczny brak Boga prowadzi do samozaprzeczenia humanizmu.

W ten sposób zaczyna się nowe średniowiecze, w którem człowiek musi na nowo złączyć się i poddać wyższej istocie. To co średniowiecze przeżywało transcendentalnie musi się teraz przeżyć immanentalnie. Praca wolnego samoograniczenia się człowieka, wolnej dyscypliny, wolnego poddania się ponadludzkiej świętości jest konieczną, aby zapo-

[1]) Tamże, str. 246.

biec stałemu marnowaniu się sił ludzkich. Średniowiecze opierało się, i w tem leży jego duchowa istota, jego najwyższy patos, na wewnętrznem odwróceniu się od świata, i na tem polegała również jego wielka idea Państwa Bożego. Ale wolność ducha w średniowiecznej świadomości nie była w istocie ograniczona. Dramat zaś dzisiejszego człowieka polega na tem, że postawiwszy sobie zasadę panowania nad światem, stał się niewolnikiem tego świata i w tem niewolnictwie zatracił swoją ludzką postać. Dzisiejszy człowiek musi więc przez odwrócenie się od świata dojść nad niem do zwycięstwa sam w sobie. [1])

Tak przedstawia się historjozofja Berdjajewa. Oczywiście trudno w krótkiem omówieniu streścić bodaj w przybliżeniu wszystkie subtelności jego dowodzeń i dedukcyj filozoficznych, opartych na faktach historycznych. Berdjajew w swojem dziele p. t. *Smysł istorii* starał się dowieść, że dzisiejsza kultura jako schyłek renesansu skłania się ku upadkowi we wszystkich jej dziedzinach, nie wysuwał jednak żadnych wniosków na przyszłość. Stwierdzał tylko, że zbliżamy się do nowego średniowiecza, ale nie stawiał szczegółowego programu, nie czynił żadnych przypuszczeń, jak to średniowiecze ma wyglądać. Dopiero w małej książeczce p. t. *Nowoje sredniewiekowje* stara się wskazać na pewne perspektywy, uwidoczniające to nowe średniowiecze, w które dzisiejsza ludzkość wchodzi.

Podobnie jak w poprzedniej rozprawie tak i tutaj podkreśla, że upadek jakiejś epoki kulturalnej nie oznacza całkowitego jej zniknięcia z powierzchni życia. Każda nowa epoka nie jest wynikiem przypadku, ale zawsze posiada z poprzednią pewne styczne granice. Dlatego też nie można mówić o powrocie do średniowiecza, ale o powstaniu nowego średniowiecza, które w spadku po poprzedniej epoce otrzyma doświadczenie wolności, wszystkie duchowe podniety i udoskonalenia. Po doświadczeniach czasów nowożytnych powrót do dawnego średniowiecza jest niemożliwy. Nowe średniowiecze będzie przedewszystkiem duchową rewolucją, nową świadomością wynikającą z przeżycia się hu-

[1]) Tamże, S. 250.

manizmu, pozbawionego Boga. Bo doświadczenie naszych czasów wykazało, że jeżeli niema Boga, niema również człowieka. Nie oznacza to jednak, że w nowem średniowieczu religja prawdziwego Boga, religja Chrystusa bezwzględnie dalej będzie się rozszerzała, ale że w tym czasie życie będzie stało pod znakiem polaryzacji religijnej. Charakterystyczną cechą obecnych czasów jest gwałtowna walka między religją Boga a religją szatana i dlatego komunizm ze wszystkiemi swojemi oznakami, z całym swoim rozkładowym religijnym dramatem należy do nowego średniowiecza.

Następnie Berdjajew stwierdza, że przejściu do nowego, jak niegdyś do starego średniowiecza, towarzyszy rozkład starych a powstawanie nowych form społecznych. Stary silnie umocowany świat socjalny zniszczą chaotyczne i barbarzyńskie siły. Wiek XIX był dumny ze swego poczucia prawa i ustawodawstwa, jedności swoich naukowych metod i ze swojej kultury. Mimo wszystko jednak brak nowożytnym czasom wewnętrznej jedności, ponieważ opierają się na podstawach z gruntu indywidualistycznych, atomistycznych. Z rozwojem nowożytnej historji uwidocznia się coraz silniej rozkład społeczny, walka człowieka przeciwko człowiekowi, jednej klasy społecznej przeciwko drugiej. Walka sprzecznych interesów, konkurencje, głębokie osamotnienie i opuszczenie jednostki — oto charakterystyczne cechy nowożytnego społeczeństwa. W ideowem i duchowem życiu tego społeczeństwa widać stale wzrastającą anarchję, utratę centralizacji i brak wyższego celu. Proces nowożytnej historji określono jako „uwolnienie", ale od czego? Uwolnienie od starej, na gwałcie opierającej się teokracji, od starej heteronomicznej świadomości. Ale człowiek nowoczesny nie wie w czyjem imieniu ma się to uwolnienie dokonać. Wpadamy w ten sposób w doskonałą próżnię, człowiek traci wszelką treść, nie widzi żadnego celu w swojem istnieniu, jego wolność staje się czysto formalną, a indywidualizm dla jego istoty czemś całkowicie negatywnem. Indywidualistyczna cywilizacja XIX w., demokracja, materjalizm, technika, prasa, giełda, parlament, wszystko to doprowadziło do osłabienia i upadku osobowości, zniszczyło ją i wypaliło. Indywidualizm, który stworzył socjalną atomizację doprowadził do socjalizmu, bę-

dącego wynikiem atomistycznego rozkładu, mechanicznego zestawienia atomów. Uniwersalistyczne idee tak bardzo charakterystyczne dla średniowiecza straciły w tych czasach swoje znaczenie. Tymczasem osobowość tylko w kosmicznym świecie znajduje swoją istotną podstawę, dającą wyższą treść, indywidualizm zaś odrywa człowieka od prapodstawy bytu i rzuca na szalę najrozmaitszych sprzeczności. W czasach nowożytnych indywidualizm wyczerpał wszystkie swoje możliwości, a jego upadek jest równocześnie końcem nowożytnej historji. Liberalizm, demokratyzm, parlamentaryzm, konstytucjonalizm, prawniczy formalizm, humanistyczna moralność, racjonalistyczna i empiryczna filozofja są duchowemi dziećmi indywidualizmu, humanistycznego samoutwierdzenia; to wszystko dzisiaj ściera się wzajemnie i zatraca swoje pierwotne znaczenie, stwierdzając schyłek współczesności.

Równocześnie rozpoczyna się epoka uniwersalistyczna, kolektywistyczna. Człowiek zaczyna wierzyć, że wszystkie formy nowoczesnego indywidualizmu, sprowadzają głęboki rozdźwięk w ludzkości, powodują utratę wewnętrznej jedności i podstawowej prawdy. Bo prawda jest czemś, co łączy a nie odgranicza. Człowiek nie może żyć tylko dla siebie, bez Boga.

Upadają również wszystkie dotychczasowe formy polityczne, państwa monarchiczne i komunistyczne, które powstały na gruncie humanizmu. Ani stary legitymizm państw monarchistycznych ani legitymizm państw demokratycznych ze swoją formalistyczną ideą władztwa ludu nie posiadają władzy nad ludzkiemi duszami. Nikt nie wierzy w jakiekolwiek prawne czy polityczne formy, realna siła o wszystkiem rozstrzyga. Wojna obaliła bez reszty formalistyczne idee prawa. W politycznem życiu uważa Berdjajew jedynie faszyzm za twórcze zjawisko, należące, podobnie jak komunizm, już do nowego średniowiecza. Faszyzm jest przeciwstawnością zasady formalnego legitymizmu, bezpośrednim wyrazem woli do życia i do siły, objawem nietyle prawa, co biologicznej siły. Obalenie legitymistycznej zasady władzy, zasady prawa monarchji i demokracji i zastąpienie jej przez zasadę siły, energję życiową spontanicznej socjalnej grupy i prze-

budowę — uważa Berdjajew za symptomatyczne znamiona nowego średniowiecza.

Następnie stwierdza, że powstanie przemysłowo-kapitalistycznego systemu zmieniło życie człowieka od podstaw. Maszyna, technika, siły, któremi one rozporządzają, wytworzone przez nich tempo ruchu ujawniło chimerę, złudę, sprowadziło życie człowieka do granic fikcji, budzącej wrażenie wyższej realności. Wszędzie rozpościera się złowroga nieskończoność. Cały system kapitalistycznej gospodarki, będący dzieckiem niszczącej żądzy i chciwości, mógł powstać jedynie w społeczeństwach, które zaparły się chrześcijańskiej ascezy i zwróciły wyłącznie do ziemskich celów. W tym systemie hegemonja ducha została obalona, duchowość podporządkowano materjalizmowi. Ekonomiczny materjalizm zniszczył w człowieku życie duchowe, uważając je za iluzję i fałsz. Socjalizm jest tylko dalszym ciągiem systemu przemysłowo-kapitalistycznego, z którego zaczerpnął swój materjalizm, odwrócenie się od wszelkiej duchowości, walkę o egoistyczne interesy, niezdolność do wewnętrznej koncentracji. Upadek i wygaśnięcie duchowych sił twórczych w ludzkiem społeczeństwie jest nieodłącznem znamieniem zarówno kapitalizmu jak i socjalizmu, w których cała energja kieruje się nazewnątrz. We współczesności nie kościół ale giełda jest dominującą siłą życiową. Niema już żadnych świętych symbolów, za które walczyłyby i umierały szerokie masy. Wojna przyspieszyła bankructwo zarówno systemu kapitalistycznego, jak i socjalistycznego i objawiła coraz silniejszą konieczność zwrócenia się do gospodarstwa rolnego, do natury, zamknięcie się w ramach nowych form organizacji gospodarczej, usunięcie zasady konkurencji przez ustrój kooperatywny.[1]) W nowej epoce zasada prywatnej własności będzie wprawdzie w swoich odwiecznych podstawach utrzymana, zostanie jednak ograniczona i uduchowiona.

Następnie mówi Berdjajew o nacjonaliźmie, który pozostając na gruncie indywidualizmu doprowadził człowieka do izolacji i zniszczył średniowieczny uniwersalizm. Formy

[1]) O oparciu ustroju społecznego w nowej epoce na zasadach korporacyj i cechach podobnych średniowiecznym mówi również Wipper: *Krugoworot istorii*, Moskwa—Berlin, 1923, str. 113—114.

nacjonalizmu, do których doszła ludzkość w XIX i XX w. i które doprowadziły do wojny światowej, oznaczają rozkład duchowej jedności, zwrot od chrześcijańskiego monoteizmu do pogańskiego politeizmu. Dopiero nowe czasy wskazują na wyraźne dążenie do uniwersalnej jedności. Berdjajew sądzi, że ta idea najsilniej przejawia się w narodzie rosyjskim, który posiada najgłębsze poczucie ogólnoludzkości, najwięcej ducha uniwersalizmu, będącego istotną cechą jego narodowej struktury. Naród rosyjski jest więc powołany do tego, aby urzeczywistnić jedność świata.

Proces, który zmierza do przezwyciężenia nacjonalistycznej wyłączności i do stworzenia uniwersalnej jedności określa Berdjajew jako zakończenie czasów nowożytnych i ich indywidualistycznego ducha, oraz za początek nowego średniowiecza. W tem znaczeniu również jest już komunistyczny internacjonalizm zjawiskiem nowego średniowiecza, jak też dążenie do połączenia rozproszonych odłamów chrześcijaństwa oraz pragnienie uniwersalnej kultury duchowej.

Nie oznacza to jednak powrotu do średniowiecza i starych jego form. Sama forma: nowe średniowiecze, jest tylko zwrotem retorycznym. Ciemne strony średniowiecza są doskonale znane: barbarzyństwo, rubaszność, okrucieństwo, przemoc, ignoracja na polu wiedzy pozytywnej o naturze i historji, wreszcie teroryzm religijny. Ale wiemy równocześnie, że były to czasy w najwyższym stopniu religijne, pełne tęsknoty za niebem, przenikającej nawskróś ludzi; wiemy, że cała kultura średniowieczna opierała się na transcendentalizmie, nadprzyrodzoności, że skierowywała swoją energję nie nazewnątrz, ale ku wnętrzu, że w tych barbarzyńskich czasach dojrzał kult dla kobiety, że wtedy trubadurzy śpiewali swoje pieśni. W rzeczywistości była kultura średniowieczna już renesansem, walką przeciwko barbarzyństwu i ciemnocie, spadku po kulturze starożytnej. Największą siłą, która te ciemności rozprószyła było chrześcijaństwo. Średniowiecze nie było próżnią w duchowej kulturze ludzkości, to co nam się dzisiaj wydaje niepotrzebnym zbytkiem było tam koniecznością życiową. Powrót do średniowiecza oznacza powrót do wysokiego poziomu religijności. Jeszcze

nam daleko — mówi Berdjajew — do szczytów duchowej kultury średniowiecza.

Jakie więc będą charakterystyczne cechy nowego średniowiecza? Na to pytanie odpowiada Berdjajew w formie negatywnej, wyjaśnia to czego w niem nie będzie. Nowe średniowiecze ujawni się przedewszystkiem upadkiem humanizmu, indywidualizmu, formalnego liberalizmu nowoczesnej kultury, będzie początkiem nowej kolektywno-religijnej epoki, w której sprzeczne siły i zasady zmieszają się, i w której powołane zostanie do życia to wszystko, co dotychczas spoczywało w podświadomości i pod powierzchnią nowożytności. Humanistyczne państwo rozpadnie się i rozszczepi z jednej strony na antyhumanistyczny, ateistyczny komunizm, a z drugiej na kościół Chrystusowy. Będzie to przejście od nowożytnego formalizmu, który nie może dać żadnych ostatecznych rozwiązań do wyboru między Bogiem a szatanem. Dzisiaj cały autonomiczny zakres kultury stał się pusty. W przyszłości wewnątrz całej twórczej sfery obudzi się wola do religijnych rozstrzygnięć. Filozofja jednak nie będzie poddaną teologji, a socjalne życie nie podporządkuje się hierarchji kościelnej. Stanie się to dzięki temu, że w życiu socjalnem obudzi się religijna wola. Niema powrotu do starej teokracji, do starego heteronomicznego stosunku między Kościołem a innemi zjawiskami życia. W dawnej teokracji Królestwo Boże nie osiągnęło swojej realności, było ono tylko symboliczne, przedstawione przez zewnętrzne formy i znaki. Dzisiaj nastąpi urzeczywistnienie Królestwa Bożego albo królestwa szatana we wszystkich gałęziach życia, objawi się wola do wolnej teonomji w przeciwieństwie do autonomji i heteronomji. Poznanie, moralność, sztuka, państwo, gospodarka muszą być religijne, człowiek nowego średniowiecza nie będzie już szukał niezależności od religji, ale wolności w religji. Żadna hierarchja kościelna nie będzie regulowała i normowała życia państwowego i społecznego. Berdjajew nie szuka autonomji państwowej i społecznej, ale ich ugruntowania w religji, nie chce być również pod żadnym względem niezależny od Boga, ale wolnym w Bogu i dla Boga. Bóg musi być punktem środkowym ca-

łego naszego życia, myślenia i uczucia, naszem marzeniem, jedyną nadzieją i ufnością.

Dzisiejsze czasy chorują na brak duchowego centrum, brak ogniskowego punktu życia duchowego. Berdjajew wierzy, że, podobnie jak w średniowieczu, tak i w przyszłości Kościół będzie jedynem centrum dla świata. Kościół już ze względu na swoją naturę jest kosmiczny, zawiera w sobie całą pełność bytu, jest uchrześcijanionym kosmosem. Ta prawda w świecie musi zapanować teoretycznie i abstrakcyjnie, musi stać się praktyczną życiową zasadą. Kościół musi przejść ze swego wybitnie świątynnego okresu w epokę kosmiczną. Jako wolna, duchowa potęga musi oczyścić życie. Dla chrześcijaństwa — mówi Berdjajew — zbliża się czas, w którym religijna inteligencja będzie odgrywała wielką rolę, jak w dawnych czasach wielcy nauczyciele Kościoła, począwszy od św. Klemensa z Aleksandrji.

Nowe średniowiecze przezwycięży również atomizm czasów współczesnych. Będzie ono, podobnie jak stare średniowiecze, oparte na zasadzie hierarchicznej, tępionej przez nowożytną historję. Człowiek nie jest atomem w jakościowym mechanizmie świata, ale żyjącym członkiem organicznej hierarchji, jest organicznie podporządkowany realnej wspólności. Żyjemy w czasach, w których wolny zwrot do hierarchicznej zasady nie wydaje się przejściowy, bo jedynie ona może sprowadzić kosmiczny porządek we wszechświecie. Podobnie antyindywidualistyczny, antyliberalny, antydemokratyczny, antyhumanistyczny komunizm jest na swój sposób hierarchiczny. Zaprzeczając całą formalną wolność i równość nowoczesnej historji rozwinął on swoją „satanokratyczną" hierarchję. Pragnie być pseudokościołem i wszystko obejmującem pseudospołeczeństwem. Można mu jedynie przeciwstawić prawdziwą, ontologicznie ugruntowaną hierarchję, prawdziwie, organicznie pojętą „ogólnojedność".

Polityka w dzisiejszych czasach jest kłamstwem, oszustwem, fikcją, dlatego musi zniknąć. Naturalny hierarchizm życiowy musi otrzymać swoje prawa, a ludzie o wielkiem, ontologicznem znaczeniu muszą zająć odpowiednie miejsce. Bezpośrednie, pierwotne życie będzie przeciwwagą bezdusznej polityki. Partje polityczne i ich przywódcy stracą swoje

znaczenie, znikną parlamenty niezdolne do wszelkiej organicznej funkcji, giełdy i czasopisma nie będą już panowały nad życiem. Również w życiu socjalnem nastąpi zwrot do elementarnych form walki o byt. Ludzie nie będą zamykali się w nieistotnych i fikcyjnych cechach, ale zwrócą się do gospodarczych, bezpośrednio życiowych, zawodowych korporacyj; każdy w zakresie swojej twórczości i pracy. Stare klasy znikną, a powstaną grupy uporządkowane według zawodów. Polityczne parlamenty będą zastąpione przez parlamenty rozmaitych grup zawodowych, nie walczących o władzę, ale rozstrzygających ważne zagadnienia życiowe z rzeczowego nie zaś politycznego punktu widzenia. Przyszłość, zdaniem Berdjajewa, należy do syndykalistycznych grup społecznych. Musi się przypuszczać, że chłopi i robotnicy, których siła socjalna będzie w nowem średniowieczu stale wzrastała, przychylą się do zawodowo zorganizowanych korporacyj. Socjalne, w najwyższym stopniu zdolne do życia korporatywno-zawodowe związki, częściowo o charakterze duchowym będą ratowały społeczeństwo i państwo od rozkładu. Materjalne i duchowe potrzeby mas muszą być zaspokojone, nigdy jednak w znaczeniu pożądania władzy, która nie będzie należała do większości, ponieważ sprzeciwia się to jej naturze. Władza ze swojej natury i struktury jest hierarchiczna i taką będzie w przyszłości. Berdjajew nie wie jaki będzie ustrój państwowy w nowem średniowieczu, nie przeczy jednak, że może się on oprzeć na zasadach monarchicznych, przedstawiających jednak typ pokrewny średniowiecznemu t. zn. z przeważnemi cechami cezaryzmu. Monarchje nowego średniowiecza nie będą monarchjami formalistyczno-legitymistycznemi, w nich zasada socjalnego realizmu pokona zasadę prawnego formalizmu. Na monarchję nie będą składały się stany, ale socjalne i kulturalne hierarchicznie utworzone związki zawodowe. Tak zorganizowany lud stworzy władzę silną, dyktatorską, i wybranym jednostkom odda święte atrybuty władzy.

Rzecz zrozumiała, że socjalne związki przyszłości będą związkami pracy, zgodnie z prastarą ideą chrześcijaństwa. Nadchodzą czasy, które wymagają wielkiego napięcia ludz-

kiego ducha i wielkiej pracy, będącej już pewnego rodzaju aktem twórczym. Ograniczenie potrzeb i wielka intensywność pracy wszystkich klas społecznych charakteryzować będzie nowe średniowiecze. Od idei postępu ludzie będą się odwracali, ponieważ zakrywa ona prawdziwe cele życia.

Charakterystyczną cechą nowego średniowiecza będzie rozszerzenie się nauk teozoficznych, zwrócenie ku wiedzy okultystycznej, powstanie zpowrotem magji. Wiedza zwróci się ku swoim magicznym praźródłom, a wkrótce pojawi się również magiczna natura techniki. Wkraczamy znowu w atmosferę cudów, obcych czasom nowoczesnym.

Berdjajew jednak nie twierdzi, że w nowem średniowieczu człowiek osiągnie jasną i upragnioną szczęśliwość. Uczucie zła będzie w niem silniejsze i ostrzejsze, przybierze ono nowe formy i sprowadzi nowe cierpienia. Stoi jednak przed człowiekiem wolna droga. Chrześcijanie muszą swoją wolę kierować do ugruntowania chrześcijańskiej społeczności i kultury, a przedewszystkiem szukać Królestwa Bożego i jego prawdy.

W zakończeniu Berdjajew jeszcze raz podkreśla, że przyszłość zależy od człowieka. Obawia się jednak szczególnie wzrostu sił złego. Zresztą w całej swojej rozprawie nieraz podkreśla, że w nowych średnich wiekach człowiek będzie miał dwie drogi: zwycięstwo Boga albo zwycięstwo szatana. Lecz nie jest to pesymizm, który ujawnia się w przedmowie do 9 wydania z r. 1926 jego książki p. t. *Zmysł tworzenia*, napisanej jeszcze w r. 1914, w której zaznacza, że dotychczas był zbyt wielkim optymistą, dzisiaj jednak myśląc o przyszłości człowieka chyli się raczej ku pesymizmowi. „Jak dawniej — mówi tutaj — tak i dzisiaj sądzę, że Bóg powołał człowieka do twórczej pobudki i twórczej odpowiedzi na miłość Boga. Nasze działanie powinno być wyrazem naszej miłości do Boga. Ale kryzys, który ludzkość przeżywa, i który przedewszystkiem ujawnia się bankructwem humanizmu, wydaje mi się bardziej tragiczny i nie daje żadnej wiary w możliwość bezpośredniego przejścia do religijnego tworzenia. Jeszcze przed tem stoi droga ciemności, zanim nowe światło zajaśnieje. Świat czeka jeszcze barba-

rzyństwo. Człowiek jest twórcą nietylko w imię Boga, ale również w imię szatana". [1])

IV.

W historjozofji Berdjajewa znajdujemy najdoskonalszą analizę współczesności i skończony systemat przyszłości. W literaturze zagranicznej i polskiej inne publikacje na ten temat obracają się w ramach tych samych dociekań teoretycznych i dochodzą do tych samych wyników. Nigdzie jednak spojrzenie w przyszłość nie jest tak subtelne i tak głęboko przemyślane, jak u Berdjajewa. Wszędzie mówi się, że przyczyną współczesnego kryzysu kultury jest zrelatywizowanie wszelkich wartości. Ten proces rozpoczęty od czasów odrodzenia, głoszący kult nauki i zastąpienie przez nią metafizyki i religji, objął stopniowo wszystkie dziedziny życia i przeprowadził wreszcie całkowite zniwelizowanie wartości. Religja, dusza ludzka, kultura otrzymały naturalistyczno-historyczne naświetlenie. Dokonało się „wprzęgnięcie życia we wszystkich jego przejawach i formach w doczesność historycznych i psychicznych związków i jego tłumaczenie przez skończone, empiryczne okoliczności i prawa" [2]). Następstwem tego stanu rzeczy jest szereg tragicznych powikłań, ponieważ życie ludzkie posiada nastawienie transcendentalne i podlega bezwzględnym normom. Jedynym sposobem wyjścia z dzisiejszego kryzysu jest nawrót do absolutnych norm życia. Pod tym względem najważniejszą rolę we współczesności posiada religja; dzisiejsza problematyka kultury obraca się koło pytania czy człowiek zdobędzie się na życie religijne i uzna wiążące go bezwzględne podstawy, poparte najwyższym autorytetem. To stanowisko uznają obecnie prawie wszyscy pisarze, którzy zastanawiają się nad dzisiejszym kryzysem kultury, i tylko nieliczni, jak Unamuno, odmawiają życiu religijnemu bezwzględnej wartości. Nawoływanie do religijności odzywa się u pisarzy najrozmaitszych kierunków. Wszędzie mówi się o konieczności zwrotu do wewnętrznych przeżyć, co z pewnością jest wynikiem reakcji przeciwko materjalistycz-

[1]) Berdjajew. *Sinn des Schaffens*, Versuch einer Rechtfertigung des Menschen. Deutsch v. R. Walter, Tübingen, 1927.

[2]) Liebert A. *Die geistige Krisis der Gegenwart*. Berlin, 1924. S. 291.

nemu nastawieniu współczesnej kultury. „Myśl zasklepiona w ciasnych ramkach rzeczywistości nie może dojrzeć metafizycznych związków całości, nie wyczuje jego najgłębszego rytmu, pulsującego we wszechświecie, rytmu sięgającego głębi prabytu i wskazującego na Boga“ [1]). Wszystko obraca się po linji nieodpartej świadomości, która ujawnia się coraz silniej we współczesności przekonaniem, że rozum staje w opozycji do życia. Będąc wrogiem życia jest tem samem wrogiem człowieka, który uosabia najdoskonalszą formę życiową. Człowiek wyczuwa ten wrogi stosunek, lęka się rozumu.

Rozum ostatecznie doprowadził do zerwania człowieka z jego metafizycznemi podstawami, wyemancypował się z pod wpływów nadprzyrodzoności i zwrócił wyłącznie do życia doczesnego. Ale wkrótce człowiek przekonał się, że rozum prowadzi w ślepą uliczkę tragicznej samotności i pogłębia tylko pustkę ludzkiej psychiki. Kult materji skierował człowieka na bezdroża. „Człowiek nastawiony w swych funkcjach duchowych na nieskończoność, zespolony całem swem jestestwem z dziedziną nadzmysłową, jeżeli swą myśl i wolę zacieśnia do świata empirycznego, wówczas odczuwa głód duszy i kryzys wewnętrzny. Materja rządzona jest prawem bezwładu, bierności i zdąża ku rozkładowi. Jest to jakby ciążenie ku nicości“ [2]). Zresztą w ostatnich czasach również biologja doszła do wniosku, że życie nie da się sprowadzić do sił materjalnych, obok atomów istnieje również to, co Arystoteles nazwał entelecheją, a co stanowi właściwą duszę jestestw żyjących. Stworzyło to głębsze zrozumienie rzeczywistości transcendentalnej.

Ten proces sięgający w najdalsze nasze przeżycia pociąga za sobą kryzys filozofji, sprowadzającej całą rzeczywistość do granic empirycznych, etyki, moralności i poznania. „Filozofja nowoczesna zrelatywizowała rzeczywistość, usuwając z niej wszystko, co ma charakter wieczny, nieznany. Świat nadzmysłowy, wyższe pierwiastki duchowe, cele nadziemskie ku jakim człowiek zdąża, wszystko to zostało uznane

[1]) Pastuszka J. *Kryzys kultury a religja*, Warszawa, 1932, str. 15.
[2]) Tamże, str. 27—28.

za nierealne. Dokonało się odarcie religji z jej charakteru metafizycznego, a tem samem podkopanie podstaw religijnych" [1]). Filozofja stanęła na bezdrożach, utraciła swoją siłę, którą dawał jej jednolity światopogląd. Ona bowiem, mimo swej abstrakcyjności stanowi zawsze podłoże wszystkich myśli i czynów ludzkich, daje uzasadnienia, stwarza kierunki i wartości. „Światopogląd stanowi niewidzialną duszę wszystkich naszych świadomych funkcyj życiowych. Pod kątem filozoficznym układa się stosunek człowieka do całej rzeczywistości i dlatego od jednolitości i harmonji poglądów zależy życie umysłowe jednostek czy większych grup społecznych" [2]). Jest to zasadnicza podstawa filozofji, która sama w swej istocie posiada charakter wybitnie uniwersalny, i dlatego dzisiejsze jej zróżniczkowanie musiało spowodować całkowitą anarchję ideową. Każdy z dzisiejszych systemów filozoficznych posiada potencjalny zasięg uniwersalny, a jego wpływ nie ogranicza się tylko do pewnego koła zainteresowanych jednostek. Filozofja dzisiejsza nie może zdobyć się na jednolity system, którego zakres obejmowałby całą ludzkość. To też kryzys filozofji ujawnia się w jaskrawej nieufności do wszystkich systemów i metafizyki, brakiem tolerancji i przekonania o wyłącznem monopolu posiadania prawdy, całkowitą rozbieżnością i wrogiem nastawieniem poszczególnych systemów. I to jest właśnie tragedją dzisiejszej umysłowości, nie znajdującej nigdzie kierowniczej idei. Taką ideę posiadało średniowiecze w swojem bujnem i wspaniałem życiu metafizycznem, w swojej religijności, która tworzyła jednolity światopogląd i zwartą całość ideową, ujawniającą logiczną konsekwencję w tłumaczeniu rzeczywistości. To też dzisiejszy człowiek szuka utraconej świadomości metafizycznej, mogącej stworzyć silne podstawy, na których dałoby się oprzeć całe życie. Tą świadomością jest Bóg. „Światem rządzą idee, one leżą u podstaw wszelkich poczynań ludzkich i nadają życiu kierunek, ponieważ rozporządzają jakby pewną sumą energji, która człowieka pobudza do czynu, i przeprowadza

---

[1]) Tamże, str. 35.

[2]) Pastuszka J. *Kryzys w życiu umysłowem*, *Prąd*, Lublin 1932, t. XXIII str. 61.

realizację zawartych w nich wskazań praktycznych"[1]). Dzisiejszy człowiek w religji szuka idei, któraby go ocaliła z bezdrożnej otchłani kryzysu.

Zwrot ku pierwiastkom nadprzyrodzonym i najszczytniejszym zasadom religijnym, kierowanie życia ku wnętrzu ludzkiej istoty ma również stworzyć jedność, łączącą świat „we wspólnej czci dla owego najwyższego dobra, od którego wszystkie inne dobra otrzymują dopiero swoją hierarchję" [2]). Na tym tle powstały wszystkie teorje o nowem średniowieczu, wynikające z analogji między dzisiejszą epoką a upadkiem starożytnego Rzymu. Ta analogja, na której Spengler zbudował całą swoją historjozofję, w dalszych swoich konsekwencjach prowadziła do teorji o nowem średniowieczu, w myśl zasad cykliczności okresów dziejowych.[3])

Jedność, która opiera się na wierze w Boga dozwala również dzisiejszemu człowiekowi oparcie się na autorytecie, który od czasu odrodzenia zajął subjektywizm i autonomizm jednostki; bo gdzie w duszach zatraca swój autorytet pewna i niedwuznaczna prawda, tam ze wszystkich ciemnych zakamarków wypełza natychmiast na światło dzienne dwuznaczność, gdzie człowiek zatraca swoją styczność z wszechświatem tam dochodzi do władzy półświat w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu [4]). Człowiek w średniowieczu nie czuł się twórczą prawdą, ani nie uważał się za jednostkę, od rozwoju której zależy cały świat, indywidualizm natomiast głosząc, że człowiek jest panem prawdy odwrócił dawny porządek rzeczy stwarzając chorobliwy kult jednostki, ideologję wypaczonego poczucia wolności, która wychodząc daleko poza normalne granice prowadzi ostatecznie do samoubóstwienia człowieka. Ten chorobliwy indywidualizm pociągnął ostatecznie załamanie się ludzkości i silną reakcję przeciwko humanizmowi we wszystkich dziedzinach jego rozwoju.

---

[1]) Pastuszka J. *Kryzys kultury a religja,* Warszawa, 1932, str. 15.

[2]) Foerster Fr. W. *Chrystus a życie ludzkie,* tł. J. Mirski, Warszawa, 1926, str. 105.

[3]) U nas szczególnie uwydatnia tę analogję A. Śliwiński w pracy *Na przełomie dwóch epok,* Warszawa, 1931,

[4]) Foerster Fr. W. op. cit. str. 115.

Analogje ze średniowieczem nasunęły całą teorję, tak silnie rozwiniętą szczególnie u Berdjajewa, pozwalającą na pewną proroczość w odniesieniu do przyszłości, w której podniesiono również konieczność zasadniczej zmiany w ustroju społeczno-politycznym. Według Berdjajewa i Wippera nowe średniowiecze będzie opierało się na podstawach korporacyj. „Gdyby obok ogólnej Ligi Narodów — mówi u nas St. Szpotański — powstały jako jej uzupełnienia poszczególne Ligi klas, składające się tak z przedstawicieli rolników jak przemysłowców, tak ziemian i włościan jak z pracowników i robotników rolnych, z wszystkich słowem przedstawicieli zawodów, rozstrzygające w drodze arbitrażu publicznego powstające konflikty, to oczywiście życie społeczne zyskałoby na przejrzystości i zaczęło powoli wchodzić na drogę normalną“ [1])

Berdjajew stwierdza, że jedną z głównych przyczyn dzisiejszego kryzysu jest mechanizacja życia, widoczna we wszystkich jego rozgałęzieniach. Maszyna opanowała człowieka, uczyniła go swoim niewolnikiem. Materjalizm doprowadził ludzkość do skrajnej nędzy. Człowiek staje się automatem, którego bieg, rozwój a nawet myślenie reguluje maszyna, która wprawdzie pozwoliła mu pokonać czas i przestrzeń, ale za cenę ciężkich ofiar. „W dzisiejszej cywilizacji zachodniej jest tylko jeden tyran i ten nie zna litości. Jest nim wielkie mnóstwo żelaznych i stalowych olbrzymów, ogniem poruszanych“ [2]).

Zagadnienie mechanizacji łączy się z całym kompleksem problemów gospodarczo-społecznych, w których kryzys ujawnia się jeszcze dotkliwiej, niżeli na polu umysłowym. Człowiek współczesny we wszystkich kierunkach swojego życia oparł się na rzeczywistości, widział w niej możliwość zaspokojenia swoich potrzeb, tymczasem rzeczywistość załamała się, ukazując bankructwo nawet na pozycjach najbardziej pewnych. Załamanie się rzeczywistości spowodowało kryzys humanizmu, który nie sprostał swojemu zadaniu. To skierowało człowieka ku innej dziedzinie jego życia, do

---

[1]) Szpotański St. *Świat szuka nowej drogi.* Warszawa, 1932.

[2]) Ferrero G. *Przemowy do głuchych.* tł. J. Kuryłowicz, Poznań 1929, str. 31.

pierwiastków nadprzyrodzonych. Świat stał się iluzją wobec rzeczywistości Boga. Empiryczna prawda pchnęła człowieka ku przepaści, ale niezmienną pozostała prawda Boska. Szukając prawd wyższych niżeli materjalistyczna rzeczywistość człowiek dzisiejszy znalazł się w obliczu Boga.

Adam Bar.

Nowe drogi rosyjskiej powieści historycznej.

I.

Z pośród wszystkich rodzajów powieściowych najżałośniejszy chyba dziś żywot wiedzie powieść historyczna. Nijakość jej i degenerację w dobie obecnej warunkuje z jednej strony tak charakterystyczny dla epoki powojennej ahistorycyzm, zniechęcający i pisarzy do zajmowania się tematami historycznemi, jako nieciekawemi dla człowieka dzisiejszego, nieaktualnemi, jednem słowem — niepopłatnemi; z drugiej zaś strony literatura dzisiejsza, którą cechują mozolne poszukiwania nowych... dzisiejszych... współczesnych, nie mających nic wspólnego z dawnemi — form artystycznego wypowiadania się, — literatura ta niechętnie, a nawet wrogo odnosi się do wszelkiej tradycji, do wszelkiego kontaktu z przeszłością bez względu na to, jakiby charakter miał ten kontakt, — nic więc dziwnego, że jak może i gdzie może, odżegnywa się od problemów i tematów historycznych.

W ostatnich czasach — można powiedzieć, w ostatnich miesiącach — widzimy już pewne zmiany na tym terenie: pewne procesy polityczne, społeczne czy kulturalne, świadomie szukające kontaktu z tradycją epok minionych, siłą rzeczy pociągają za sobą i pewne nawroty sztuki, w szczególności literatury, do zagadnień i tematów, związanych z temi minionemi epokami: w ostatnich też miesiącach — nie na terenie literatury wprawdzie, ale w dziedzinie sztuki bądź co bądź bardzo silnie z literaturą związanej, mianowicie w dziedzinie kina widzimy gwałtowny nawrót do historyzmu. Naogół jednak stanowisko powieści historycznej, jak i wo-

góle sztuki, z tematami historycznemi związanej, należy do najsłabszych... do jak najmniej wartościowych pozycyj w dorobku artystycznym epoki powojennej.

A przecież w ciągu minionych lat z górą stu... w ciągu niedługiego stosunkowo, jak na rodzaj literacki żywota, stworzona przez Walter Scotta, zainicjowana jego *Waverley'em,* wydanym w r. 1814, powieść historyczna (w utartem, przyjętem powszechnie znaczeniu tej nazwy) nieraz święci triumfy, opromieniające wspaniałym blaskiem każdą prawie epokę i wszystkie niemal prądy i kierunki literackie aż do wielkiej wojny. Romantyzm, którego jedną z najcharakterystyczniejszych cech i głównych zasług jest właśnie nawrót do przeszłości i stworzenia powieści historycznej, szczyci się Walter Scott'em, Wiktorem Hugo i *Cinq Mars'em* Alfreda de Vigny. U schyłku epoki romantycznej Aleksander Dumas - ojciec porywa świat czytelniczy Francji, a potem i Europy całej swoimi *Trzema muszkieterami,* stanowiącymi nowy rozdział w księdze historji powieści historycznej i powieści wogóle: pierwszy bowiem wprowadza do beletrystyki napięcia i efekty dramatyczne, dynamizuje akcję i ożywia... prawdziwymi, z krwi i ciała ludźmi czyni postacie historyczne, u Walter Scotta mające jeszcze charakter jakichś papierowych sylwetek, wyciętych z zakurzonego, spleśniałego, z antykwarni na światło dzienne wydobytego podręcznika historji.

Najwyższe szczyty artyzmu, a zarazem najdoskonalsze spełnienie postulatów estetyki i historjozofji materjalistycznej, pozytywistycznej — osiąga realizm właśnie w powieściach historycznych: *Salâmmbo* Flaubert'a i *Wojna i pokój* Tołstoja. Ta ostatnia powieść jest zarazem najpełniejszym, najwyższym wyrazem rosyjskiej sztuki narodowej, tak samo, jak polskiej sztuki narodowej wyrazem tym najdoskonalszym jest *Trylogja* i *Krzyżacy* Sienkiewicza. Największem arcydziełem sztuki, unieśmiertelniającem genezę i istotę naszej europejskiej, chrześcijańskiej, a o podstawy antyczne opartej cywilizacji — jest również powieść historyczna, bezprzecznie najznakomitsza powieść historyczna w dziejach literatury europejskiej *Quo vadis.*

Jeszcze w epoce modernistycznej historyzm święci triumfy — jeżeli już mniej na polu powieści — to w zna-

cznym stopniu w dramacie i liryce (w powieści — Paul Adam, Mereżkowskij, Żeromski; poza powieścią — Leconte de l' Isle, Jose Maria d'Heredia, Maeterlinck, Rostand, Wyspiański, Gumilow). Dziś wegetuje powieść historyczna pod dwiema tylko postaciami, a i to w przeważnej części o tyle tylko, o ile historyczne jej zainteresowania znajdują swój odpowiednik w aktualnych zainteresowaniach doby dzisiejszej. Jedna z tych form — to bardzo modny do niedawna jeszcze, jakiś czas szalonem powodzeniem się cieszący żywot romansowy *(la vie romanceé)*, powieść biograficzna, reprezentowana głównie przez Andrzeja Maurois *Shelley, d'Israeli Beaconsfield* i Emila Ludwiga *Napoleon*, czy Jakóba Wassermana *Don Kichot oceanu* — Krzysztof Kolumb, *Bula Matari* — Stanley.

Poza rzadkiemi wyjątkami, najgłośniejsze nawet żywoty romansowe prawie nigdy nie wyszły poza granice tandety, autorzy ich w swej twórczości idą po linji najmniejszego oporu... po linji łatwizny pisarskiej, forma bowiem romansu biograficznego uwalnia prawie zupełnie od wszelkich wysiłków w zakresie kompozycji, przyjmując — jako szkielet konstrukcji — zwykłą kronikarską, chronologicznie traktowaną narrację, tem tylko rożniącą się od czysto naukowej pracy biograficznej, że mniej dba o prawdę historyczną i ścisłe opieranie się o źródło, okraszając zato styl rzekomo „poetycką" obrazowością, a samo opowiadanie, wątpliwej wartości — psychologją pogłębioną i uartystycznioną... Również i charakterystyka postaci nie nastręcza autorom żywiołów romansowych żadnej trudności: całą powieść wypełnia jedna, główna, tytułowa postać: reszta zepchnięta w cień, szkicowana zaledwie... Żywoty romansowe, jako łatwo strawna i nie wymagająca żadnego niemal przygotowania historycznego czy estetycznego, a przytem szeroko reklamowana lektura — czas jakiś cieszyły się wśród najszerszych mas czytelniczych dużem powodzeniem i popularnością; niemniejszem jednak prawie powodzeniem cieszyła się druga odmiana współczesnej „powieści historycznej" — tani, tandetny romans awanturniczy, sensacyjny, ubogi w efekty nie artystyczne już nawet, ale czysto emocjonalne, nadrabiający więc rzekomo historyczną scenerją: zamkami, zwodzonemi mostami, szpa-

dami, sztyletami, trucizną, markizami, błaznami, królewskiemi kochankami i t. d... — scenerją biorącą początek z pseudo-historycznego filmu amerykańskiego z przed lat dziesięciu, a czyniącą tę odmianę romansu okazem jaknajmarniejszego, jaknajbardziej nieudolnego naśladowania powieści dumasowskiej *(Zevaco)*.

Mamy wprawdzie nieliczne przykłady i innych typów powieści historycznej, a więc powieści o tendencji społecznej czy społeczno-politycznej (u nas *Kordjan i Cham* Leona Kruczkowskiego), jak również powieści historyczne starego, przedwojennego typu o przeciętnej, zupełnie nieoryginalnej jednak wartości artystycznej (Gąsiorowski) lub powieści historyczne o epoce, a nie o ludziach, — w powieściach tych bowiem wspaniale odtworzone jest — z wiernością najściślejszą — całe tło epoki, — ludzie jednak nietylko nie odpowiadają wymaganiom dzisiejszej psychologji literackiej, ale stanowią żałosny obraz cofania się charakterystyki osób i sposobu odtwarzania czy wskrzeszania wielkich postaci historycznych daleko poza Sienkiewicza, a nawet Dumas'a... cofania się do Walter Scott'a niemal; postacie bowiem ludzkie w powieściach historycznych Kossak-Szczuckiej i *Moskiewskich godach* Wyrzykowskiego; — to nie żywi ludzie... to szablonowe typy... obrazki, wycięte z podręcznika (i to popularnego!) historji ojczystej czy powszechnej, niezdolne porwać nas lub wzruszyć, jak porywają czy wzruszają bohaterowie *Trylogji, Quo vadis, Faraona, Wojny i pokoju,* a nawet *Trzech muszkieterów* czy *Karola Szalonego.* Ale nawet i to (Gąsiorowski, Kruczkowski, Kossak-Szczucka, Wyrzykowski) — to jeno ziarnka piasku w Saharze... krople w oceanie tandety pseudo-historyczno-sensacyjnej i romansowo-biograficznej, przez długie lata zalewającej zarówno nasz,[1]) jak i wszechświatowy rynek literacki. Toteż tem jaskrawiej i jaknajkorzystniej odbijają się na tem tle żałosnego stanu zachodnio-europejskiej powieści historycznej — osią-

[1]) *Słowacki* Wołoszynowskiego ratuje honor polskiego „romansu biograficznego", znika on jednak w zalewie takich „arcydzieł" jak *Pani du Barry, Messalina* czy *Królowa Nikotris* (kochanka bogów i ludzi) Leo Belmonta lub *Barbara Radziwiłłówna* Czekalskiego, gdzie (XVI w. w Krakowie!) królowa woła do dworzan: Stop!

gnięcia artystyczne... i to osiągnięcia wysokiej klasy właśnie w dziedzinie tego podupadłego rodzaju literackiego na terenie literatury rosyjskiej i to zarówno literatury sowieckiej, jak i emigracyjnej.

II.

Rosyjska powieść historyczna — jak i wszystkie europejskie — początek swój wiedzie od Walter Scotta. Najznakomitszy poeta rosyjski, jakim był Puszkin, okazał się też dobrym prozaikiem: między innemi utwory jego na tematy historyczne, jako to *Córka Kapitana* i zaczęty zaledwie romans *Murzyn Piotra Wielkiego* posiadają znaczne walory artystyczne z zakresu beletrystyki historycznej. Wyżej jeszcze od historycznych utworów powieściowych Puszkina stoi barwna i życiem kipiąca opowieść Gogola *Taras Bulba* z epoki walk kozacko-polskich z końca w. XVI. czy początku XVII-go, — ziejąca nienawiścią do wszystkiego, co polskie i katolickie. Wogóle rosyjska powieść historyczna pierwszej i początku drugiej połowy XIX-go stulecia z gorliwością, przesadną częstokroć, pełni służbę patrjotyczną,... stoi na straży kultu historycznych tradycyj narodowych, harcując z frazesem szowinistycznym i konserwatywnym po wszystkich epokach dziejów Rosji, — cechuje ją jednak ogromny brak zmysłu historycznego i niezdolność do wczuwania się w ducha odległych epok i w psychikę ludzi wieków minionych, to też walter-scottyzm rosyjski przez kilkadziesiąt lat stanowił widok dosyć żałosny naskutek braku talentu i zmysłu historycznego u twórców z jednej strony, — a bezdusznego i bezmyślnego kopjowania form i środków artystycznych angielskiego pisarza i nieudolnego przeszczepiania ich na grunt rodzimy — z drugiej. Nazwiska Kukolnika, Danilewskiego, Mordowcewa, Kostomarowa, Saliasa de Turnemir — mają więc wartość jedynie, jako pozycje bibljograficzne; na wyższy nieco poziom artystyczny wzbiły się powieści historyczne Zagoskina, przedewszystkiem *Juriij Miłosławskij czyli Rosjanie w r. 1612.*

Najdoskonalszym okazem walter-scotyzmu rosyjskiego, jedynym utworem powieściowym tego typu, które może się równać z zachodnio-europejską powieścią historyczną po-

łowy XIX stulecia, jest *Książę Srebrny* hr. Tołstoja — romans z epoki Iwana Groźnego, barwne i żywe, silnie dramatyzmem pulsujące odtworzenie życia i ludzi owych czasów, — szkoda tylko, że bohaterów powieści z punktu widzenia psychologji, w szczególności psychologji miłości — potraktował autor zbyt już konwencjonalnie: bojarzy z czasów Groźnego zanadto nam przypominają renesansowych Włochów — i w miłości i w nienawiści, i w roztaczaniu sieci intrygi czy zemsty.

Najznakomitszą rosyjską powieścią historyczną XIX w., a zarazem jednym z najznakomitszych okazów rosyjskiej powieści wogóle na przestrzeni wszystkich epok — jest bezsprzecznie *Wojna i pokój* Lwa Tołstoja, szturmem zdobywająca uznanie i podziw zdumionego Zachodu. Jest to doskonały okaz realistycznej powieści psychologicznej i obyczajowej, arcydzieło sztuki powieściopisarskiej naprawdę najwyższej klasy, zdumiewające i porywające bogactwem postaci i sytuacyj, napięciem intrygi, rozlewnością epicką i umiejętnie miarkowaną siłą dramatyzmu. Wspaniale odtworzone są główne postacie: Nataszy, księcia Andrzeja Bołkońskiego, Piotra Bezuchowa, — jak również i te, które stanowią typy epoki: starego Bołkońskiego, Dienisowa, Dołochowa, Bilibina; słabiej natomiast przedstawiają się osoby, mające reprezentować ideały autora: księżniczka Marja, Kutuzow i przysłowiowy chłop, Płaton Karatajew, wcielenie dostępnej maluczkim jedynie mądrości ludu rosyjskiego. Świetne są sceny batalistyczne (Austerlitz, Borodino) i dramatyczne, wstrząsające momenty w czasie oddawania Moskwy Francuzom (śmierć Wiereszczagina). Głębokim znawcą najskrytszych tajników biologji człowieka i psychiki ludzkiej okazał się Tołstoj, odtwarzając przebieg powolnego konania księcia Andrzeja — studjum to godne Dostojewskiego i Prousta.

Stanowi też *Wojna i pokój* etap w rozwoju powieści historycznej, nietylko rosyjskiej, ale i światowej, jakoże po raz pierwszy i to na dziele sztuki najwyższej klasy zademonstrowany został na przykładzie powieści historycznej materjalistyczny pogląd o tworzeniu dziejów nie przez wielkie, wybitne jednostki, ale przez nieświadomie dokonywujące procesów dziejowych w myśl odwiecznych praw natury i rozwoju — masy. Jednym ze środków artystycznych demonstrowania

tego światopoglądu jest świadomę pomniejszanie i ściąganie z piedestału przez Tołstoja postaci Napoleona; wielki wódz i cesarz robi w *Wojnie i pokoju* wrażenie karykaturalne niemal.

W epoce modernizmu rosyjska powieść historyczna znowu święci triumfy nietyle dzięki *Płomiennemu aniołowi* Briusowa, powieści nawpół fantastycznej z XV w., ani dzięki niezliczonej ilości poprawnych pod względem artystycznym, ale mało oryginalnych romansów z epoki Katarzyny II i Pawła I — romansów „massońskich", — ale przedewszystkiem, a może i wyłącznie, dzięki twórczości powieściowej znakomitego poety ze szkoły dekadentów i symbolistów — Dymitra Mereżkowskiego. W najgłośniejszym swem dziele — trylogji *Chrystus i Antychryst* z wysokim artyzmem połączył Mereżkowskij modernistyczne hasło „Sztuka dla sztuki" z subtelnym zmysłem historycznym i zbliżonym do antycznego — pogańskim niemal kultem piękna i ciała, — a zarazem stworzył największy pomnik artystyczny rosyjskiego „bogoiskatielstwa", t. zn. poszukiwania Boga, które w tak silnym stopniu charakteryzuje całą inteligencką literaturę rosyjską od Dostojewskiego, a którego Mereżkowskij okazuje się najbardziej klasycznym przykładem.

Pierwsza część trylogji *Juljan Apostata* czyli *Śmierć bogów* najwyżej stoi pod względem artystycznym: tak plastycznie, tak sugestywnie, a zarazem subtelnie i zgodnie z prawdą historyczną nie odtworzył świata antycznego i jego kultury w epoce upadku i daremnych prób odrodzenia się — nikt w literaturze rosyjskiej ani przedtem, ani potem. Już w tej powieści występuje silnie element historjozoficzny, metafizyczny i mistyczny, nie psuje on jednak harmonji artystycznej całości, — zato już w *Leonardo da Vinci* czyli *Bogach zmartwychwstałych* równowaga ta została naruszona: powieść aczkolwiek zajmuje fabułą i odtworzeniem — chwilami porywającem nawet — barwnego tła i ducha epoki renesansu... aczkolwiek zachwyca kreacjami postaci historycznych jako to Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Rafaela, Mony Lizy, Machiavelli'ego i obu Borgiów: Aleksandra VI i Cezara (których Mereżkowskij w myśl nowszych badań, historyków rosyjskich i angielskich w stopniu znacznym re-

habilituje) — mimo to, nuży ciągłemi roztrząsaniami na temat poszukiwania przez autora — a w powieści przez Leonarda i jego ucznia ulubionego — Boga i Prawdy.

Jeszcze silniej występuje to „bogoiskatielstwo" i w stopniu jeszcze większym spycha na plan dalszy artystyczne możliwości autora i jego dzieła w trzeciej części trylogji *Piotr i Aleksy* czyli *Antychryst*, w której — odtwarzając epokę Piotra Wielkiego i jego „reformy" i walki ducha konserwatywnej Rusi z tą reformą — najboleśniejsze poszukiwania swego Boga przedsiębierze Mereżkowskij, szukając go — w osobie skromnego mnicha Tichona — i w skostniałym konserwatyźmie i bizantyniźmie Cerkwi Prawosławnej, i w nieubłaganie dogmatycznym, niezłomnie wierzącym w bezwzględność i wyłączność swej Prawdy — katolicyźmie, i w chwiejnym, racjonalizującym protestantyźmie, i w sektach najrozmaitszych, najokropniejszych, najbardziej wynaturzonych i perwersyjnych... Zdaje mu się wreszcie, że znajduje swego Boga w zespoleniu z przyrodą, w wierze w nadchodzące królestwo św. Ducha i trzecią epokę chrześcijaństwa — epokę Kościoła św. Jana, — uspokaja się więc i triumfuje, że ukończył już poszukiwania, że wszystko znalazł i wszystko już wie... Ale wnet opadają go znowu niepokoje i wątpliwości: to, w co uwierzył, nie wystarcza Mereżkowskiemu, i idzie na dalsze poszukiwania, — a im dalej, tem bardziej zacięży jego metafizyka na artystycznej wartości jego utworów: Mereżkowskij — historjozof i „bogoiskatiel" zabija zupełnie Mereżkowskiego — wielkiego artystę.

Bezpośrednio przed wojną wydaje powieść *Aleksander I i dekabryści*: tu już każda osoba główna z pośród mnóstwa, zapełniających karty powieści — jest wcieleniem jakiegoś metafizycznego, mistycznego czy dogmatyczno-religijnego światopoglądu, a nie żywym człowiekiem. Najciekawszą postacią jest Łunin, tak rzadki w literaturze rosyjskiej typ Rosjanina — namiętnego entuzjasty katolicyzmu, jego nieodpartej w swej logice dogmatyki, jego poczucia ładu, harmonji i hierarchji i wynikającej stąd potęgi, wreszcie jego olbrzymiej roli w dziele zachowania i uduchowienia kultury starożytnej.

Ciąg dalszy *Aleksandra I i dekabrystów — 14 grudnia* wydaje Mereżkowskij już na emigracji. W słabej tej powieści odtwarza przebieg rewolucji grudniowej r. 1825, pozatem głosi — środkami artystycznemi jednak mało przekonywującemi — że rewolucja odniesie triumf i pociągnie za sobą dodatnie, błogie następstwa jedynie w ścisłym związku z religją (to samo w poezji, w głośnym poemacie *Dwunastu* głosił Aleksander Błok) — religję tę jednak i swego Boga definjuje zbyt mgliście i chwilami dziwacznie; dziwaczność ta uderzy jeszcze silniej w studjach jego nad religjami egipską i babilońską, które Mereżkowskij (właśnie je, a nie judaizm) uważa za źródło i punkt wyjścia chrześcijaństwa. Wyraz artystyczny tym swoim spekulacjom metafizycznym na temat przeczuwania przyjścia Zbawiciela w tych starożytnych religjach, przyczem wyrazem tego przeczuwania miały być misterja Ozyrysa i Tammuza — daje w powieściach *Narodziny bogów* i *Mesjasz* — ta ostatnia na tle wprowadzenia przez jednego z Faraonów jedynobóstwa w Egipcie.

Powieści te — to żałosny przykład zupełnego zaniku świetnych niegdyś możliwości artystycznych; mimo tego upadku artyzmu — emigracyjne powieści historyczne Mereżkowskiego świadczą o szerokim oddechu, o głębszych, niż gdzieindziej, zainteresowaniach powieści historycznej rosyjskiego wychodztwa. Kontrastem Mereżkowskiego jest Iwan Nażywin, ongiś wyznawca ideologji tołstojowskiej — dziś wielki wróg spirytualizmu i chrześcijaństwa, hałaśliwie obwieszczający o swym zamiarze zdruzgotania boskości Chrystusa i chrześcijaństwa w powieściach *Ewangelja św. Tomasza* i *Lilje Antinoosa*. Chrześcijaństwo jednak bynajmniej nie potrzebuje obawiać się jakiejkolwiek szkody ze strony Nażywina: mające charakter poprawnych wypracowań na temat powieści historycznej — wymienione wyżej powieści Nażywina pozbawione są jakichkolwiek walorów artystycznych, i cała antychrystusowa i antychrześcijańska kampanja autora przedstawia żałosny zaiste widok i budzi raczej politowanie swą nieudolnością, tem jaskrawiej uderzającą, im huczniejsza była reklama.

Dosyć znaczne walory artystyczne posiada powieść historyczna najpopularniejszego wśród rosyjskiej emigracji po-

wieściopisarza - generała Krasnowa p. t. *Bóg z nami* na tle wojny r. 1812 z Napoleonem, uderzająca w ton triumfalny i opiewająca moc Rosji i chwałę oręża rosyjskiego, mająca więc za zadanie budzić ducha patrjotycznego wśród rozproszonych po świecie Rosjan — wychodźców i wygnańców. Pisana dobrze, chwilami porywająco — nie może jednak równać się z tę samą epokę odtwarzającem arcydziełem, jakiem jest *Wojna i pokój*. Nie Mereżkowskij jednak, ani Nażywin, ani nie Krasnow wprowadzają rosyjską powieść historyczną na emigracji na nowe drogi, wiodące do renesansu już nietylko rosyjskiej, ale światowej beletrystyki historycznej. Na drogi te wprowadza ją Marek Ałdanow w swoim cyklu *Myśliciel* składającym się z 4 części: *Dziewiąty thermidora, Djabelski most, Spisek* i *Św. Helena — mała wyspa.*

III.

M. A. Ałdanow — to przedewszystkiem świetny, subtelny i niesłychanie inteligentny publicysta, to też całe nastawienie jego wobec życia i wszystkich jego przejawów, wobec świata i ludzi, wobec historji wreszcie — jest typowo publicystyczne, dziennikarskie (w najlepszem znaczeniu tego słowa), czujne na to wszystko, co ma jakikolwiek, chociażby najbardziej oddalony, dla kogo innego niedostrzegalny i nieuchwytny — związek z chwilą obecną... z tem, co w danym momencie najbardziej jest interesujące, emocjonujące... najbardziej aktualne. Rewolucja bolszewicka w Rosji była właśnie tem czemś, co miało dla Europy powojennej, dla świata całego — że nie będziemy już wspominali samych Rosjan — wybitny posmak najbardziej frapującej aktualności, — z drugiej strony jak najbardziej aktualnym, najważniejszym tematem była dla samego Ałdanowa, uchodźcy z Rosji, nieprzejednanego wroga bolszewizmu — nic więc dziwnego, że narówni z przygniatającą większością reszty rosyjskich pisarzy emigracyjnych — najbardziej, najgłębiej i najżywiej zajmował się Ałdanow rewolucją, związanemi z nią problemami, jej genezą i przyczynami, jej związkami z innemi wielkiemi przewrotami dziejowemi. Obdarzony wybitnym zmysłem historycznym i posiadając skłonność do przeprowadzania analogij historycznych — rozpoczął studja

porównawcze nad historją rewolucji francuskiej i rosyjskiej, [1]) i materjał, z tych studjów zebrany, zużytkował jako podstawę filozoficzną i historyczną do swego wielkiego dzieła beletrystycznego *Myśliciel*.

Cztery powieści, wchodzące w cykl pod powyższym tytułem, obejmują dzieje Rosji i Francji, jak również związanych w ten czy inny sposób z rewolucją francuską innych państw europejskich — w latach 1793—1821. Epokę tę, jej ducha i tło odtwarza Ałdanow z niezwykłą sumiennością i ścisłością, stwarzając niekłamany obraz życia i plastyczne przedstawienie wielkich monarchów dziejowych owych czasów — rasowy jednak publicysta, tkwiący w Ałdanowie, najsilniejszy nacisk kładzie na te objawy życia ówczesnego i na te momenty polityczne, w których uwydatnia się silny, chwilami wprost oszałamiający związek z chwilą obecną i z zagadnieniami aktualnemi. Aktualizacja przeszłości to najbardziej charakterystyczna cecha ałdanowowskiej powieści historycznej; posunał ją autor do tego stopnia, że po ukazaniu się *9 thermidora* (1923) krytyka dosłownie tonęła w morzu domysłów, kogo ze współczesnych działaczy miał Ałdanow na myśli, kreując świetną artystycznie postać Pitta; kto ukrywa się pod nazwiskiem i maską Robespierre'a; komu odpowiada wszechstronnie i sugestywnie odtworzona postać Talleyranda i t. d. i t. d. Niektórzy krytycy wogóle twierdzili, że Ałdanow, odmalowując dzieje rewolucji francuskiej, traktował je, jako dekorację jedynie, a w rzeczy samej stale miał na myśli i pod maską XVIII-wiecza malował obrazy z dziejów przewrotu rosyjskiego, — doszło do tego, że autor w przedmowie do trzeciego wydania *9 thermidora* musiał wyraźnie zdementować wszelkie tego rodzaju pogłoski i autorytatywnie oświadczyć, że jakkolwiek istotnie intencją jego było podkreślenie uderzających analogij między obu wielkiemi przewrotami — odtworzona jednak na kartach jego powieści rewolucja francuska to naprawdę francuska rewolucja, taka, jaką w istocie była, — pod maską zaś wielkich

[1]) Nietylko Ałdanow zwracał uwagę i gruntownie badał wzajemny stosunek obu tych wielkich przewrotów — robiło to wielu innych pisarzy. Jakiś czas popularnością wielką cieszyło się studjum porównawcze Jakóba Goldenweisera *Jakobini a bolszewicy*.

postaci dziejowych końca XVIII w., przez niego odtworzonych, nie kryje się nikt ze współczesnych: Pitt jest tylko Pittem, Talleyrand — Talleyrandem, Barere — Barerem...

Aktualizacja przeszłości, jako podstawowy element twórczości powieściopisarskiej Ałdanowa, ma zarówno swe wady, jak i zalety: staje się bowiem z jednej strony źródłem zbytniego upraszczania i tendencyjnego nieraz, z nakazów chwili wypływającego naświetlania skomplikowanych zagadnień historycznych czy (gdy chodzi o sylwetki wielkich mężów epoki) zjawisk psychicznych — z drugiej jednak strony niewątpliwą zaletą jest umiejętność wypełniania przeżytych, skostniałyyh czy obumarłych form i tradycyj historycznych żywą, kipiącą, nowoczesną, bliską i zrozumiałą, a przez to pociągającą masy czytelnicze — treścią. Ałdanowa najbardziej interesują w historji momenty sensacyjne, przez nikogo dotąd niedostrzeżone lub przez wszystkich pominięte lub wypaczone... momenty, nasuwające analogje i same proszące się o uogólniania, tezy, wywody i wreszcie syntezy, wnioski, pozwalające każde zagadnienia, każdy problem, każdy szczegół, fraszkę, drobnostkę — zaktualizować, naświetlić pod kątem widzenia dla czytelnika nieobojętnym, zmusić go do zainteresowania się, a nawet żywego, osobistego udziału psychicznego w przebiegu spraw i w losach ludzi, zdawałoby się niezmiernie odległych, zdecydowanie obcych, niezmiernie obojętnych. W dzisiejszej epoce rozwielmożnienia się wszelkiej publicystyki i reportażu — intelektualistyczno-reportarskie podejście Ałdanowa do przeszłości jest jak najbardziej zgodne z duchem czasu i stwarza nową odmianę powieści historycznej, jaknajlepiej odpowiadającą duchowi epoki, przez co spełnia wielką rolę w dziejach historji literatury, ratując — jeśli nie od zagłady zupełnej — to w każdym razie od zupełnej obojętności dzisiejszego świata czytelniczego — ten tak żałosny dziś żywot wiodący, tak pogardzany i lekceważony, a niegdyś tak wielkie triumfy odnoszący — gatunek literacki: powieść historyczną.

A przytem, prócz Ałdanowa-publicysty, odnawiającego powieść historyczną przez zaktualizowanie jej — jest jeszcze Ałdanow-artysta wielkiej miary, niezrównany twórca wspaniałych kreacyj wielkich postaci historycznych, a zarazem

nie mający sobie równych na całej przestrzeni dziejów powieści historycznej pod względem olbrzymiego talentu dramatycznego: wszystkie cztery powieści pełne są czy to poszczególnych dialogów, czy całych wielkich scen o niesłychanie silnem, wstrząsającem nieraz napięciu dramatycznem. Pod tym względem do panteonu historji literatury, jako nie mające sobie równych w żadnej innej powieści historycznej, przejdą wspaniałe epizody przełomowego w dziejach rewolucji francuskiej posiedzenia Konwentu d. 9 termidora, zamordowania cesarza Pawła I przez spiskowców, zgromadzenia jakobinów i mowy Robespierre'a, forsowania przez wojska rosyjskie Djabelskiego Mostu i niezapomniana, wstrząsająca — charakter krótkiej relacji mająca — scena przejazdu wiezionego pod gilotynę Dantona przez ulicę, gdzie mieszkał Robespierre...

Już te same pełne dramatyzmu sceny, odtwarzające znane i zdawałoby się zbanalizowane przez podręczniki historji — przełomowe, wielkie wypadki dziejowe... — stanowiłyby epokę w dziejach powieści historycznej i to nietylko rosyjskiej. Ałdanow jednak w swej pracy nad wprowadzeniem tego rodzaju powieściowego na nowe tory nie poprzestaje na tym dramatyźmie wyłącznie: cechuje go oryginalna historjozofja, wcielająca się bez zastrzeżeń i bez reszty w wysokiej klasy kształt artystyczny, — co się bardzo rzadko zdarza powieściopisarzom historycznym: ci bowiem z pośród nich, którzy rozwijają własną, oryginalną historjozofję — tracą na tem bardzo, jako artyści (Mereżkowskij), — najświetniejsi zaś, najgenjalniejsi między nimi artyści zawodzą nieraz, jako historjozofowie (Sienkiewicz)[1]); inni znów, jak np. Tołstoj — będąc wysokiej miary historjozofami, a jednocześnie wielkimi artystami — często nie umieją harmonijnie zjednoczyć tych dwu elementów, wprowadzając raz po raz dysonanse do wielkiej kompozycji artystycznej.

Historjozofja Ałdanowa nie jest bynajmniej oryginalna: polega ona na przeciwstawieniu pozytywistycznemu, materjalistycznemu, tołstojowskiemu poglądowi o tworzeniu dziejów przez masy — wywodzącej się z idealistycznej filozofji historji

[1]) Por. Stanisław Lam: *Henryk Sienkiewicz*, cechy i elementy twórczości.

wiary w tworzenie ich przez wybitne, świadome swych celów i panujące nad swą wolą — poszczególne, wielkie jednostki. Nigdy jednak dotąd ten pogląd na tworzenie historji przez indywidua nie znalazł form artystycznego wcielenia tak sugestywnych, jak to widzimy u Ałdanowa. I w tem tkwi dalsza jego oryginalność i zasługa w dziejach powieści historycznej: przerzucenie punktu ciężkości w procesie kształtowania historji z mas na jednostki. Ałdanow wyszedł, rozumie się, z żywota romansowego, z biografizmu [1]) — rychło jednak odwrócił się od łatwej i płytkiej pseudo-historjozofji Ludwiga i innych autorów „la vie romancée". U nich jedna wykrojona — częstokroć zbyt dowolnie i z bardzo słabem uzasadnieniem historycznem — wybitna postać dziejowa przesłania sobą całą epokę i wszystkich innych ludzi epoki; u Ałdanowa nie jedna postać zajmuje naczelne miejsce, ale wiele tych postaci, odmiennych zazwyczaj jedna od drugiej, biegunowo przeciwnych, ale zawsze wybijających się wysoko ponad bierne masy: każda z tych postaci to cały potężny świat psychiczny... świat, zamknięty w sobie, — i dopiero z walki tych światów... z ich zmagań się — powstają dzieje...

Tę swą historjozofję poparł Ałdanow artystycznie, stwarzając wielką galerję wspaniałych, przepysznych postaci wielkich twórców historji w końcu XVIII i początku XIX wieku. Do najznakomitszych pod względem artystycznego odtworzenia, pod względem sugestywności psychologicznej i bijącej od nich wielkiej, wstrząsającej nieraz prawdy historycznej i życiowej należą Talleyrand, Robespierre, Kant, Paweł I, Suworow, Pitt, Nelson, wice-kanclerz Rosji Bezborodko, głowa spisku przeciw Pawłowi hrabia von den Pahlen, Tałyzin, Fouché, jak również szkicowo tylko obrysowani kardynał Ruffo, generał Joubert, Katarzyna II, Saint-Just, dyrektorjat, Tallien; najbardziej zaś wstrząsają i wbijają się w pamięć jednym obrazem tylko, ale jakże sugestywnym! namalowani — Danton, żyrondyści...

Zdawaćby się mogło, że wielkie historyczne postacie Ałdanowa, wyznającego wiarę w twórczą rolę wybitnej je-

[1]) Świadczą o tem jego liczne świetne studja biograficzne, zebrane w książkach *Portrety*, *Współcześni*, *Kraje*, *ludzie*, (biografje Clemançau, Lloyd George'a, Brianda, Stalina, Piłsudskiego, de Valery, Alfonsa XIII i innych).

dnostki — przedstawieni przezeń będą na koturnach, z klasycznym niemal gestem i heroicznym patosem. W rzeczywistości jest wręcz przeciwnie. Ałdanowa, całe jego podejście do życia i ludzi cechuje obok przerafinowanego intelektualizmu — niczego nie oszczędzająca, ściągająca z piedestałów wszystkie niemal bóstwa i nielitościwie je smagająca ironja... ironja rzadko wyrozumiała i dobrotliwa i śmiejąca się, ale zato często zgryźliwa, uśmiechnięta smętnie, melancholijnie lub wręcz zgryźliwa, beznadziejna, pesymistyczna... Wszak symbolem całego dzieła Ałdanowa i postawy duchowej autora samego jest *Myśliciel*, kamienna rzeźba chimery na szczycie kościoła Notre- Dame... chimery boleśnie i beznadziejnie, a złośliwie zarazem uśmiechniętej... Wszak prawie wszystkie swe myśli i poglądy, pełne niewiary w człowieka i rozpacz nawiewającego, choć w wykwintnej, chwilami rozśmieszajacej formie — podawanego, bezbrzeżnego pesymizmu wypowiada autor ustami tajemniczego, fantastycznie niemal długowiecznego starca Pierre Lamort'a, który całą epokę, wszystkie jej porywy ośmieszy, wyszydzi i niemal oplwa, zdolny jedynie do satyry, do druzgoczącej, rozkładającej, burzycielskiej, destrukcyjnej analizy — istny duch negacji, nie mogący się zdobyć na żaden przebłysk optymizmu, na żaden akt afirmacji, chyba tylko — i to z zastrzeżeniami — afirmacji sztuki w jej najbardziej odcieleśnionej postaci — w muzyce. Muzyka jest tem jednem jedynem, co przeciwstawia się u Ałdanowa wszechpotężniej, destrukcyjnej mocy śmierci, — pozatem śmierć jest tem jednem, co nie poddaje się żadnej analizie... żadnej destrukcji... jest tem jedynem, o czem wiemy, że jest naprawdę... Przygniatający smutek bezbrzeżny i rozpacz beznadziejna biją z tego pesymizmu Ałdanowa: chwilami jednak każe zapomnieć o nim, porywając nas dramatem walki ludzkiej o prawo przewodzenia w tworzeniu życia lub bawiąc i zdumiewając potęgą swego dowcipu i wszystko chłoszczącej ironji...

Twórca tego typu nie mógł, rozumie się, przedstawiać wielkich postaci dziejowych zapomocą gestu heroicznego i patosu: nie, przedstawił ich, jako zwykłych, takich jak wszyscy, słabych i ułomnych ludzi, pełnych śmieszności czy odpychających, niskich cech charakteru... A przecież — mimo

tego, a może właśnie dzięki temu — ludzie ci, którzy są tacy, jak my..., którzy zeszli z piedestałów i stali się nam bliscy — tem większym i tem bardziej zdumiewającym i podziw budzącym świecą blaskiem... blaskiem swojej prawdziwej wielkości, prawdziwego genjuszu czy potęgi, których wartości istotnej nie zmniejszy i którym nie zaszkodzi żadne zbliżanie, ściąganie z piedestału czy ośmieszenie... Przeciwnie tem silniej uderza ich nieprzeciętność i wyjątkowość... Chwyt to artystyczny jeden z najtrudniejszych i najwyższej klasy — chlubnie więc świadczy o wielkim talencie Ałdanowa i jego możliwościach, jako powieściopisarza — twórcy wielkich, wybitnych postaci dziejowych. Wspaniały np. jest Kant, — ten dobrotliwy, naiwny, życiowo niezaradny, śmieszny staruszek, odtworzony został przez autora w taki sposób, że od niego naprawdę bije tajemnicza siła genjuszu. Tam zaś, gdzie Ałdanow sprzeniewierzył się swej metodzie, stwarzając — jedyną w całym cyklu — postać, potraktowaną z adoracją i odczłowieczoną niemal — talent jego zawiódł, i zamiast półboga, wyszła chybiona, papierowa postać nieprzekonywującego nikogo swą wielkością nadczłowieka: Napoleona!

Na uwagę zasługują i najwybitniejsze braki powieściopisarskiego talentu Ałdanowa: przesadne przeintelektualizowanie stylu pozbawiające powieść, nawet w momentach najbardziej o to się proszących (gra Bortnińskiego nad trupem Baratajewa — apoteoza muzyki) — jakiegokolwiek czaru i uroku poezji. Pozatem czytelnika i krytyka raz po raz irytuje nie znająca granic, nie uznająca nic świętego, w cynizm wpadająca — ironja autora, — przygniębiającą przytem atmosferę stwarza jego przerażający, mrożący niemal krew w żyłach pełen pesymizmu uśmiech, a raczej udający uśmiech — grymas beznadziejności i negacji.

Jako artysta, grzeszy Ałdanow brakami w zakresie konstrukcji — kompozycja jego powieści historycznych pozostawia wiele do życzenia. Uderza też jego niechęć do operowania epickiemi środkami artystycznemi: pisząc dużo o wojnie i szczegółowo odtwarzając stany różnych psychik w czasie działań wojennych w przeddzień decydujących bitew — nie daje nigdy obrazów batalistycznych tak, jakby

nie czuł się na siłach do stworzenia rzeczy artystycznie wartościowych w tym zakresie, co go zasadniczo różni od Tołstoja i Sienkiewicza. Mistrz dialogu — nie odważył się jednak na odczytanie nam w całości mowy Robespierre'a, która miała wstrząsać tłumami — a przecież chcielibyśmy naprawdę odczuć na sobie potęgę krasomówstwa robespierrowego, a nie przyjmować prawdy o tej potędze na wiarę *in verba magistri.* Również historycznego posiedzenia Konwentu 9 thermidora nie odtworzył Ałdanow w całości, co wywołuje wrażenie, jakby świadomie się cofał przed epickiem odtworzeniem wielkiej, przełomowej chwili dziejowej, dając wzamian kilka urywków ze sceny posiedzenia, nieporównanych pod względem siły napięcia dramatycznego — używając między innemi jako środka artystycznego wysoce oryginalnego a świetnie wyzyskanego — snu jednego z bohaterów, który przez ten sen właśnie słyszy i odczuwa to, co się dzieje na sali posiedzeń.

W związku z odtworzeniem posiedzenia 9 thermidora łączy się jeszcze jeden charakterystyczny moment w twórczości Ałdanowa: oto naogół miłość i tematy erotyczne nie odgrywają w jego powieściach historycznych nietylko przodującej — jak np. u Sienkiewicza — ale średnio nawet ważnej roli. Zbyt błahe to rzeczy w porównaniu z wielkiemi dramatami, jakie się rozgrywają na scenie tworzenia historji. A przecież raz podkreśla Ałdanow rolę miłości, jako czynnika decydującego niemal w dziejach ludzkości; spiskowcy, dążący do obalenia Robespierre'a bezskutecznie pragną wciągnąć do spisku Lamberta Talliena. Ale oto ukochana Talliena, Teresa Cabarrus zostaje uwięziona i z rozkazu Robespierre'a ma być stracona pod gilotyną. Oszalały z miłości i rozpaczy Tallien przyłącza się do spisku i dotąd chwiejny, obecnie gotuje się do rozpaczliwej ostatecznej walki, pełen energji i żądzy czynu, bo albo Robespierre zginie, albo zginie Teresa!... W czasie posiedzenia 9 thermidora przemocą zdobywa sobie prawo głosu i opętany jedną myślą walki o Teresę wygłasza bezładne, chaotyczne, nielogiczne, ale płomienne, oszalałe, porywające przemówienie przeciw Robespierre'owi. ...„Barere (jeden z przywódców spisku) s z ó s t y m z m y s ł e m czuł, że Tallien gubi Robespierre'a"... i porywa

Konwent i obala Robespierre'a!... Gdyby więc nie miłość Talliena i nie uwięzienie Teresy — jakby daje do zrozumienia Ałdanow — losy Francji wraz z nami i całej Europy mogłyby potoczyć się w zupełnie innym kierunku...

Brak talentu epickiego [1]) wyrównuje Ałdanow subtelną znajomością i doskonałą umiejętnością odtworzenia psychologji narodów. Lekko, niby odniechcenia, często w paru słowach tylko świetnie i przekonywująco scharakteryzuje i podkreśli różnice zasadnicze... przepaście niemal, dzielące psychikę angielską od rosyjskiej, rosyjską od francuskiej, włoskiej, niemieckiej (pruskiej), austrjackiej czy polskiej...

Wymienione powyżej, charakteryzujące Ałdanowa braki i ujemne cechy jego talentu i konstrukcji artystycznej nie zmniejszają bynajmniej jego wielkiej roli w dziejach powieści historycznej, nietylko rosyjskiej, ale i wszechświatowej.

IV.

Literatura sowiecka w poszukiwaniu nowych dróg artystycznego wypowiedzenia się i nowych form, mających zająć miejsce „zbutwiałej tradycji sztuki burżuazyjnej... sztuki feudalizmu i kapitalizmu" — między innemi wyklęła pierwotnie i powieść historyczną, jako gatunek powieściowy, zdecydowanie przebrzmiały, nie mający nic do roboty w kulturze proletarjacko-socjalistycznej i ustroju marks'owsko-komunistycznym, które nie mają przeszłości i dumne są, że jej nie mają — niepotrzebny to bowiem balast, obciążający te cywilizacje i te ustroje, którym żadna nie przyświeca nadzieja na jutro..., które nie mają przyszłości, a których przeciwieństwem właśnie jest nowa, zdobywająca sobie przyszłość a gardząca wszystkiem, co tą przyszłością nie jest, a więc i przeszłością — cywilizacja, tworzona w Z. S. S. R...

Takie hasła rzucano lat dziesięć temu w Rosji Sowieckiej i rzuca się je jeszcze w wielu... w coraz to więcej — można powiedzieć — dziedzinach i dziś; na terenie jednak literatury pięknej wiele się zmieniło. Do przodującej roli

[1]) Raz jeden tylko udaje się Ałdanowowi w formie krótkiej relacji o sposobach zyskiwania przez Fouche'go zwolenników spisku przeciw Robespierre'owi — stworzyć małe arcydzieło stylu narracyjnego, *par excellence* epickiego. Ale jest to narracja satyryczna.

i głosu decydującego w literaturze i wogóle w dziedzinie sztuki doszło pokolenie, obfite w wybitne talenty twórcze... pokolenie, które będąc szczerze i bezkompromisowo komunistycznem i z radością oddając swe pióro i swój talent na usługi budującej się kultury marks'owskiej — wierzy zarazem w istnienie bezwzględnego piękna artystycznego i w myśl swych pragnień służenia temu pięknu nieodłącznie od służenia ideologji sowieckiej — świadomie nawraca do tak niedawno jeszcze wyklinanych tradycyjnych, klasycznych „burżuazyjnych" form literatury pięknej. Między innemi da się spostrzec i powrót do powieści historycznej: żaden z pisarzy obecnie do głosu przychodzącego pokolenia nie wyznaje już wiary w to, że historja zaczyna się w październiku 1917 lub w ostatecznym razie — w roku 1905 czy w dniu rozłamu rosyjskiej partji socjal-demokratycznej na bolszewików i mieńszewików, ani nawet nie w dniu narodzin Karola Marxa.

Jak we wszystkich innych odmianach beletrystyki sowieckiej dnia dzisiejszego — dążą kierujący swe myśli i wyobraźnię ku przeszłości, pisarze do połączenia w powieści historycznej nienagannie prawomyślnej, ortodoksyjnej treści proletarjackiej, klasowej, rewolucyjnej, opartej o doktrynę komunistyczną i dogmaty materjalizmu dialektycznego... treści bojowej i propagandowej, z formą, jak najbardziej zbliżającą się do wzorów klasycznych, do tych wielkich pomników artyzmu na polu powieści historycznej, od których roi się literatura „burżuazyjna" XIX i początku XX wieku. Obok tych bojowych pisarzy prawomyślnie i demonstracyjnie klasowych i partyjnych wychodzą na światło dzienne różni realiści i ekspresjoniści z zakresu powieści historycznej, którym omal że zupełnie obojętną wydaje się sprawa odtwarzania przeszłości pod marks'istycznym, klasowym kątem widzenia (jeżeli zaś to robią, to tylko dla zabezpieczenia się przed posądzeniami o kontr-rewolucyjność lub „szkolnictwo"), chodzi im natomiast o możność swobodnego wskrzeszania epok minionych i ludzi dawno umarłych w jaknajbardziej sugestywnej formie artystycznej... formie, któraby naprawdę zmuszała czytelnika do kompletnego roztopienia się w odtwarzanej epoce, w jej sposobach myślenia i odczuwania, w jej ideałach, troskach, kłopotach, osobliwościach i dzi-

wactwach... Zarówno powieściopisarze historyczni jednej, jak i drugiej kategorji stworzyli w ciągu ostatnich kilku lat cały szereg nieprzeciętnych, częstokroć oryginalnych i wybitnych a nieraz i wysoce wartościowych pod względem artystycznym, mogących śmiało pretendować do nazwy wielkich dzieł (jeśli jeszcze nie arcydzieł) utworów z zakresu beletrystyki historycznej, co bardzo korzystnie wyróżnia dzisiejszą rosyjską powieść historyczną od takiejże powieści na terenie innych literatur.

Z powieściopisarzy bojowo-programowych, propagandowych, zdecydowanie klasowych wymienić należy Jerzego Sztorma, autora *Opowieści o Bołotnikowie* i N. N. Szapowalenkę, który napisał *Rok 1801,* powieść historyczną z epoki Pawła I, a więc — powieść na ten sam temat, który opracował Ałdanow w swoim *Spisku.* Nietylko epoka ta sama, ale i znaczna część osób działających występuje zarówno w jednej, jak i w drugiej powieści: najwdzięczniejszy to materjał dla porównywania dwu artystów i ich dzieł. W świetle tego porównania występuje Szapowalenko, jako powieściopisarz o tendencji klasowej bez zastrzeżeń, a przytem jako artysta nieprzeciętny. Tendencja klasowa najjaskrawiej występuje w tem, że gdy dla Ałdanowa — w myśl jego historjozofji — najważniejsze są losy i psychika ludzi, stojących na czele państwa i jakby przodujących epoce (Paweł I, Aleksander, Pahlen, Panten, Tałyzin), — i przemiany, zachodzące w Rosji, obserwuje autor emigracyjny właśnie pod ich kątem widzenia — te same przemiany i wogóle wszystko, cokolwiek w Rosji się dzieje, zasługuje na uwagę Szapowalenki z tego punktu widzenia i o tyle, o ile odbija się na losach ludu i na zmianę tych losów wpływa.

Opowieść o Bołotnikowie wyraźnie i świadomie szukająca dróg do jaknajprostszej, jaknajzwięźlejszej, a zarazem treściwej formy wypowiadania się... formy takiej, któraby najlepiej odpowiadała potrzebom proletarjackiej powieści historycznej — opowieść ta z czasów Borysa Godunowa i Samozwańca odtwarza dzieje dziecka z ludu, które po długich cierpieniach i wędrówkach po świecie szerokim wzrasta w czasie wojen domowych w znaczenie, a nawet potęgę... staje się groźnym przywódcą mas ludowych i na ich czele

mści się na bojarach za krzywdy ludu. Artystyczne eksperymenty Sztorma dają raczej wynik negatywny: powieść robi wrażenie utworu w całości słabego, miejscami jednak bardzo oryginalnego i świadczącego o olbrzymich możliwościach, jakie stoją w naszych czasach przed metodą ujmowania przeszłości i interpretowania wypadków historycznych pod kątem widzenia tej czy innej doktryny politycznej, społecznej, gospodarczej czy kulturalnej... W *Opowieści o Bołotnikowie* zwraca na siebie uwagę świadcząca o mniej lub więcej świadomym nawrocie autora sowieckiego do pewnych drobiazgowych szczegółów powieści czasów dawnych (pierwszej połowy XIX w.) — chętne i częste używanie motta; w sposób zaś bardzo charakterystyczny uderza pewien ważny szczegół treściowy: oto autor, z zamiłowaniem i dużym naciskiem na ten właśnie moment fabularny — opowiada o wędrówkach Iwaszki Bołotnikowa po Turcji, Włoszech, Niemczech, Polsce... Z pomiędzy wierszy uderza czytelnika maskowana powoływaniem się na ambicję odtworzenia prawdy historycznej jedynie (prawdy o wędrówkach bohatera) — nostalgja autora za temi obcemi światami, niedostępnemi mu, a — wbrew woli — nęcącemi swą obcością właśnie, swą odmiennością...

Do pisarzy, uprawiających powieść historyczną drugiego z wyżej wspomnianych typów, w pierwszym rzędzie zaliczyć należy Jerzego Tynianowa i P. K. Grubera. Tynianow zwraca na siebie uwagę *Kiuchlą*, powieścią z epoki Puszkina i rewolucji dekabrystów, a przedewszystkiem *Śmiercią Wazyr-Muchtara*, w swoim rodzaju arcydziełem w zakresie posługiwania się w dziedzinie powieści historycznej charakterystyką psychologiczną, opisowością i narracją typowo ekspresjonistyczną.[1]) Wspaniała ta powieść odtwarza psychikę, dzieje i tragiczny zgon znakomitego poety rosyjskiego, Gribojedowa, autora głośnej komedji *Gorie ot uma* (*Nieszczęście z rozumu*), który był posłem rosyjskim w Teheranie (w ostatnich latach panowania Aleksandra I i pierw-

[1]) Z pisarzy zachodnio-europejskich z tym samym artystycznym wynikiem, co Tynianow, posługiwał się środkami ekspresjonistycznemi wyłącznie Niemiec, Kazimierz Edschmidt — a i to nie w powieściach, tylko w drobnych opowiadaniach historycznych (zbiór *Tymur*).

szych — Mikołaja I) i zamordowany został w bestjalski sposób przez fanatyczny tłum Persów-muzułmanów, w których ręce nie chciał wydać szukających pod jego opieką schronienia — miejscowych chrześcijan. *Kiuchla* — to dzieje średniej miary poety i „dekabrysty" — Wilhelma Küchelbekera, zawdzięczającego swą popularność naogół nietyle własnej osobie i swej twórczości czy choćby działalności rewolucyjnej, ile temu, że był kolegą szkolnym (w liceum w Carskiem Siole) a potem przyjacielem Puszkina. Zresztą i całą powieść Tynianowa przesyca atmosfera raczej kultu Puszkina, niż Küchelbekera, który stanowi dla autora ciekawy objekt jedynie ze względu na swą czynną rolę w rewolucji grudniowej (w której wielki Puszkin udziału nie wziął), jak również i dlatego, że życie raz po raz zbiżało Küchelbekera w stopniu silniejszym, niż kogo bądź innego, z mogącemi autora interesować środowiskami, jak również znakomitymi ludźmi epoki (generałem Jermołowem, Gribojedowem, Bułgarinem, niemieckim romantykiem Tieck'iem, Goethem i t. p.). Powieść posiada kilka świetnych, sugestywnych momentów, jak np. scena pierwszego publicznego wystąpienia poetyckiego Puszkina przed ówczesnym królem poetów rosyjskich — pseudoklasykiem Durżawinem, który natychmiast wyczuł w młodym chłopcu wielkiego poetę, lub scena, gdy Tieck czyta Küchelbekerowi swój przekład Szekspira. Zarówno te sceny, jak i wiele innych i to w *Kiuchli,* jak i w *Śmierci Wezyra-Muchtara* pod wielu względami przypominają manierę i styl historjopisarski Ałdanowa — trudno jednak (i to zarówno w odniesieniu do Tynianowa, jak i Gubera) ustalić, czy wpłynął wielki pisarz emigracyjny na rozwój powieści historycznej w Z. S. S. R., gdzie utwory jego są „na indeksie", a szerszemu, kulturalnemu nawet i wykształconemu ogółowi i nazwisko Ałdanowa nic nie mówi. W *Kiuchli* mamy też sceny, odtwarzające przebieg rewolucji dekabrystów, zrobione znacznie lepiej, bardziej plastyczne, niż w *14 grudnia* Mereżkowskiego. Zarówno powieści Tynianowa, jak i Grubera (w szczególności *Miesiąc mgieł*) — gdyby nie miały na okładkach daty i wymienionej sowieckiej instytucji wydawniczej — mogłyby dezorjentować czytelnika — tak mało jest w nich z tego wszystkiego, co charakteryzuje najwyższej nawet klasy be-

letrystykę sowiecką. Robią wrażenie typowo inteligenckich, „liberalnych" powieści historycznych, i tylko osiągnięcia formalne pouczają nas o tem, że autorzy mają daleko poza sobą Flauberta, Tołstoja, Sienkiewicza i modernizm.

Najznakomitszym sowieckim powieściopisarzem historycznym, jakby dziedziczącym zdolności twórcze i tradycje artystyczne Aleksego, twórcy *Księcia Srebrnego*, i wielkiego Lwa — jest krewny obu tych przedrewolucyjnych pisarzy — Aleksy Tołstoj, autor wspaniałego arcydzieła powieściowego, jakim jest *Piotr Pierwszy*. W porównaniu z tą powieścią *Piotr i Aleksy* Mereżkowskiego — to nieudała próba artystycznego wcielenia „bogoiskatietskiej" historjozofji, nie mająca nawet pojęcia o dynamice zarówno dramatycznej, jak epickiej. *Piotr* Tołstoja czyni zadość kanonom artystycznym sowieckiej powieści historycznej: podchodzi do epoki Piotra i wielkiej reformy Piotrowej „od dołu"... Autor stara się być jaknajbardziej objektywnym: obszernie i plastycznie odmalowuje potworne sceny okrucieństw Piotra i jego bezwzględności, ma jednak dużo sympatji i podziwu dla człowieka, który do góry nogami wywrócił całą Ruś i wszystko, co w niej było. Tołstoj zresztą już nieraz przeprowadzał w teoretycznych rozprawkach czy wywiadach analogję między Piotrem, a Leninem: wielki cesarz — według niego — to poprzednik i prototyp wodza bolszewizmu rosyjskiego i pierwszej głowy proletarjackiego ustroju. Odnosi się wrażenie, jakby autor obszernem malowaniem okrucieństw Piotra — okrucieństw, dokonywanych dla „dobra Rosji"... dla zrobienia z niej Europy — usprawiedliwić chciał *per analogiam* teror bolszewicki... Zresztą, i pod innym jeszcze względem występuje u Tołstoja silne podobieństwo między reformą — „rewolucją Piotrową", a leninowską: oto w *Piotrze Pierwszym* jakby w myśl słów międzynarodówki „Kto niczem był — ten będzie wszystkiem..." — obserwujemy zachodzące w czasie przewrotu zmiany: biedny chłop pańszczyźniany staje się jednym z najbogatszych ludzi w kraju i teściem swego pana, wiejska dziewczyna wytworną damą, syn koniucha — ulicznik Mieńszychow — najwyższą po carze osobistością w państwie... Powieść *Piotr Pierwszy* uderza ogromną, olbrzymią wprost erudycją autora i przenikliwym zmysłem historycznym,

olśniewa wspaniałem odtworzeniem ducha epoki, nie uznającem (poza wspomnianą już i świetnie przeprowadzoną myślą przewodnią) żadnych kompromisów ze współczesnością i jej interpretacją charakterów i faktów historycznych; zachwyca stylem, językiem, charakterystyką, plastyką obrazów i jaknajwierniejszem odtworzeniem ducha epoki, tła, gwar ludowych i obyczajów, — nadewszystko jednak czaruje w *Piotrze Pierwszym* tak obcy literaturze współczesnej — jego charakter powieści rasowo epickiej... charakter, nie występujący w powieści historycznej od czasów Sienkiewicza.

Teodor Parnicki.

Pokłosie po pracy o „Mieczysławskiej".

W roku 1923 wydałem pracę p. t. „Makryna Mieczysławska w świetle prawdy" (nakł. *Przeglądu Powszechnego*). Wyzyskałem w niej wszystkie do owego czasu dostępne mi dokumenty i wiadomości, dotyczące rzekomej męczennicy za wiarę. W „Słowie wstępnem" wyraziłem przekonanie, „że poszukiwania innych i odkryte w przyszłości nowe źródła i dokumenty, chociaż zapewne wyjaśnią lepiej niejeden szczegół, samej atoli głównej tezy mojej pracy nie zmienią, lecz ją w zupełności potwierdzą".

Praca moja spotkała się z krytyką pochlebną. Ukazały się wprawdzie w niektórych dziennikach głosy zdziwienia i oburzenia nawet na moje zuchwalstwo, żem targnął się na tak czcigodną świętość, jaką była dla narodu postać Makryny. Znowu jakiś komunista zachodził w głowę, co mogło spowodować jezuitę do zdemaskowania oszustki, której uwierzyli papieże i domyślał się, że jest to objaw walki między dwoma zakonami: Jezuitów i Zmartwychwstańców. Poważna krytyka pracę moją przyjęła z uznaniem, np. prof. Ignacy Chrzanowski pisał w *Rzeczpospolitej*, że po tej pracy sprawa Mieczysławskiej została już rozstrzygnięta na zawsze. Tuszę też sobie, że chyba już żaden historyk nie będzie podtrzymywał nadal wiary w autentyczność męczeńską Makryny Mieczysławskiej.

Zaszły atoli w latach następnych dwa fakty. Ktoś pod pseudonimem Ks. Jędrzeja z Kowala wydał w Częstochowie dwukrotnie popularną broszurkę o Makrynie, szerząc nadal jej kult jako „bohaterki Polski i Kościoła". O mojej pracy zawyrokował, że opiera się na „poszlakach i domysłach". Nie zadał sobie też żadnego trudu, by historyczne dokumenty przeze mnie przytoczone obalić. Poprzestał na przytoczeniu zeznań samej Mieczysławskiej, jako też świadectw postronnych na jej korzyść, które

w pracy mojej były roztrząśnięte i których niedostateczność została wykazana. Ważniejszym był fakt drugi. Już nie w popularnej broszurze, ale w publikacji poważnej OO. Bazyljanów w Żółkwi, Ks. E. Majkowski z Poznania opublikował znaleziony w archiwum poznańskiem pierwotny protokuł zeznań Mieczysławskiej, spisany zaraz po zjawieniu się jej w Poznaniu. [1]) Ks. Majkowski o autentyczności i nieautentyczności Mieczysławskiej, jako ksieni-męczenicy, nie wypowiedział kategorycznego sądu. Nazwawszy moje „dociekania" „przekonującemi" i znalazłszy na ich poparcie wskazówki nawet w samym akcie, który publikował, mimo wszystko uważa sprawę Makryny za „wciąż jeszcze problematyczną i niejasną". W parę lat później tenże kapłan umieścił w tej samej publikacji bazyljańskiej znalezione w Bibljotece Kórnickiej świadectwo lekarskie o oględzinach ran Makryny, [2]) co mogło komuś wydawać się jakby przechyleniem szali na rzecz prawdziwości Makryny. Te protokuły skwapliwie ogłosił także Jędrzej z Kowala w drugiem wydaniu swej popularnej częstochowskiej broszurki.

Te okoliczności mogły spowodować, że ten i ów, słysząc o tych nowych publikacjach w sprawie Makryny, a o książce mojej, wiedząc tylko ze słyszenia, mógł formułować sobie przypuszczenie, że wynikom moich badań w sprawie Mieczysławskiej zaprzeczyły jakieś nowe odkrycia, a przynajmniej nadwątliły ich przekonywującą siłę. To skłoniło mnie do zebrania jakby pokłosia z tego, co o Mieczysławskiej zostało znalezione już po wydaniu mojej książki. Skorzystam z tej spobności, by wykorzystać także szczegóły, jakie po wydaniu mego studjum były mi dostarczone przez różne życzliwe osoby.

1. Pierwsze zeznania Mieczysławskiej w Poznaniu.

Pisząc swoją książkę, nie miałem żadnego dokumentu z dni pobytu Makryny w Poznaniu. Opowiadanie moje zaczynało się dopiero od zeznań jej poczynionych w Paryżu, a następnie w Rzymie. Zaraz jednak po wydaniu swej książki otrzymałem z Rzymu odpis łacińskiego dokumentu, przechowywanego w Archiwum Watykańskiem, a zatytułowanego: *Relatio Juliae Macrinae Mieczysławska Superiorissae Conventus Minscensis Ordinis S. Ba-*

[1]) *Zapyski* r. 1928 zesz. 1 i 2.

[2]) Tamże r. 1930, tom III, zesz. 3—4, str. 466—496.

silii montis S. Trinitatis in Minsk. [1]) Podpisana jest Julia Macrina Mieczysławska i Albinus Thinel. Identyczny co do treści, chociaż nieco różniący się od łacińskiego tekstu co do formy, jest polski protokuł, ogłoszony w r. 1928 w *Zapyskach* bazyljańskich. Ma on mianowicie wstęp, którego brak w łacińskim tekście, brzmiący jak następuje: „Działo się w Poznaniu 14 Sierpnia 1845. Podpisany przybył do mieszkania bawiącej obecnie u Sióstr Miłosierdzia Julii z zakonu Makreny Mieczysławskiej Przełożonej klasztoru Mińskiego Góry Trójcy (Trojeckiej) Zakonu S. Bazylego i zapytał się jej o cierpienia, które ją spowodowały do przybycia w te strony. Rzeczona Zakonnica odpowiedziała tedy w przytomności kapelana Instytutu tutejszego ks. Albina Thinel to co następuje". — Ks. Dr E. Majkowski informuje we wstępnych uwagach, że Makryna przybyła do Poznania pod koniec lipca albo na początku sierpnia 1845 i zamieszkała w klasztorze SS. Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo przy kościele Przemienienia Pańskiego przy placu Bernardyńskim. Przez kilka tygodni o jej przebywaniu nie rozgłaszano. Arcybiskup Leon Przyłuski polecił proboszczowi kościoła św. Wojciecha, Ks. Ludwikowi Urbanowiczowi, odebrać od przybyłej męczenicy zeznania. Urbanowicz w towarzystwie ks. Albina Thinela, Bernardyna, kapelana Szarytek, spisał właśnie te zeznania. Na końcu też ich znajdujemy trzy podpisy: Mieczysławskiej, ks. Thinela i ks. Urbanowicza.

Co przynoszą te poznańskie, najdawniejsze ze wszystkich, zeznania Mieczysławskiej? Są one znacznie zwięźlejsze od późniejszych, składanych np. w Rzymie. Schemat ich jednak jest ten sam, chociaż w szczegółach różnią się jedne od drugich. Według relacji poznańskiej Siemaszko w r. 1837 wezwał mińskie bazyljanki do apostazji. Było ich tam 35. Kiedy odmówiły, zjawił się Siemaszko w celi przełożonej, o godzinie 5 rano, i po raz ostatni

[1]) Odpisu tego dostarczył mi O. Adrjan Boudou T. J., czyniący wówczas w Rzymie archiwalne poszukiwania do swojego dzieła: *Le Saint Siège et la Russie.* Natknąwszy się na papiery dotyczące Makryny Mieczysławskiej, doszedł do przekonania, że ma do czynienia z oszustką i chciał się zająć tą historją, z czem zwierzył się listownie przede mną. Odstąpił od tego studjum, kiedym mu odpowiedział, że o Makrynie mam już pracę gotową. Po zapoznaniu się z moją książką nadesłał mi omawiany tutaj dokument, jako przeze mnie niewyzyskany. Oryginał znajduje się w Watykańskiem Archiwum, Affaire Eccles. Extraord. Russia, Vol. IX, fol. 103—104.

objawił zebranym tam mniszkom swoją wolę, poczem wobec ich niezłomności rozkazał im opuścić klasztor. Nie pozwolił im nawet dobrze ubrać się. Zezwolił na wstąpienie do kościoła, gdzie nagle umarła jedna z zakonnic. Okuto je po dwie w łańcuszki i poprowadzono pod konwojem wojskowym do Witebska. W Witebsku oddano je do posług w klasztorze „czernic"; tam jedna z nich zabiła się niosąc drzewo, drugiej czernica głownią oko wyłupiła (sic!), dwie inne z przeziębienia umarły. Po dwu latach przetransportowano je do Połocka „do miejsca Spasia" (tak w protokule; miało to oznaczać klasztor Spasa, t. j. Zbawiciela). Tam plantowały górę, pomagały mularzom w budowaniu pałacu dla biskupa Łużyńskiego, przyczem ośm zakonnic zginęło przy murowaniu, a pięć glina zasypała. Musiały też tłuc kamienie dla wybrukowania dziedzińca. „Dziacy" (zapewne „djaki") czynili zamachy na czystość dziewiczą mniszek. Ćwiczono je rózgami dwa razy na tydzień; pod chłostą skonała jedna, 70 lat mająca. Karmiono je śledziami. Siemaszko nawiedzał je dalej, wzywając do odstępstwa. W „Spasiu" przebyły dwa lata i trzy miesiące. Stamtąd przeprowadzone zostały do miasteczka Miadziołł „wśród jezior na wyspie leżącego". Tam były skazane na pławienie. Przytem trzy zakonnice utonęły, i niewiadomo gdzie je pogrzebano. W tej miejscowości splantowały gruzy po klasztorze karmelickim i zbudowały oficyny dla apostaty Michajłowicza. „Trwały te męczarnie przeszło dwa lata, z których nareszcie ucieczką się ratowała Opowiadająca to, a przez Żmudź tu przybyła". Nakońcu Mieczysławska powiedziała, że ma przeszło 60 lat życia, a 15 września skończy 36 lat życia zakonnego.

O tym akcie mówi ks. E. Majkowski,[1]) że „ma on wielkie znaczenie dla oceny prawdomówności m. Mieczysławskiej", ale że sąd o tej prawdomówności wypadnie „ujemny". Bo ten akt a zeznania w Rzymie wykazują dużo warjantów. „Fakt — pisze ks. Majkowski — że przy sporządzaniu protokułu rzymskiego m. Makryna nie pamięta tego, co powiedziała i podpisała 14 sierpnia, że jej druga urzędowa relacja w wielu szczegółach odbiega od pierwszej, musi nas co najmniej wysoce zadziwić, a samą wiarogodność zeznań podać w podejrzenie". Ks. Majkowski zadał nawet sobie trud zestawienia tych warjantów i znalazł ich ponad 20. Niektóre z nich są bardzo ważne, np. kapelan Michalewicz (w po-

[1]) *Zapyski*, jak wyżej, tom III zesz. 1—2, str. 79.

znańskiem zeznaniu Michajłowicz) według tych pierwszych zeznań utonął w kałuży w Miadziołach, potem w Rzymie na miejsce jego śmierci wyznaczy Mieczysławska Witebsk i datę o kilka lat wcześniejszą, a w Miadziołach już będą inni kapelani. W mojej książce (str. 114—116) zrobiłem zestawienie wszystkich nazwisk Bazyljanek z relacyj Mieczysławskiej, z nazwiskami znanemi ze źródeł historycznych i okazało się, że ani jedno nazwisko prawdziwych Bazyljanek Mieczysławskiej nie było znane, wszystkie zatem zostały przez nią zmyślone. Zeznania poznańskie podają zaledwie kilka nazwisk, ale znowu tylko jedno Laudańskiej, i to z innem imieniem, znajdziemy w zeznaniach późniejszych (Onufrja — Klaudja). Ta Laudańska, 60-letnia, skonała w kościele w Mińsku; według zeznań rzymskich miało to przytrafić się z 37-letnią Rozalją Lauszecką. Z innych przytoczonych imiennie zakonnic Rozalja Zabłocka miała umrzeć pod chłostą, Gertruda Rząśnicka zabita jakoby polanem drzewa, i Klara Żółkiewska, której „oko głownią wyłupiono", — są to nazwiska, które w późniejszych zeznaniach już nigdy nie się powtórzą. Według rzymskich zeznań pod chłostą zginęły aż trzy siostry, ale o innych nazwiskach.

Nie będę zestawiał za ks. Majkowskim wszystkich warjantów między zeznaniami Mieczysławskiej poznańskiemi a późniejszemi. Powiększają one liczbę rozbieżności, jakie zanotowałem między zeznaniami składanemi w Paryżu, a w Rzymie. Te warjanty są jednym z dowodów, że wogóle jej zeznania na wiarę nie zasługiwały. I jeśli współcześni na tem się nie spostrzegli, to tylko dlatego, że nie zadawano sobie trudu czynienia drobiazgowych zestawień. Uwierzywszy w rzekome cierpienia za wiarę, współcześni pozbawiali się tego krytycyzmu, któryby zeznania męczenicy wziął w krzyżowy ogień i wykazał ich sprzeczności. Poprostu nie obchodziły ich te detale nazwisk takich czy innych, dat, następstwa faktów, — ich wyobraźnię napełniał tylko ogólny schemat przebytych rzekomo męczarni w rodzaju przymusowych robót, chłosty, głodzenia, pławienia w jeziorze i t. d.

A propos mojego zestawienia prawdziwych i zmyślonych przez Mieczysławską nazwisk Bazyljanek ks. E. Majkowski wyraża pewną wątpliwość. Domyśla się, że Rosjanie sporządzali fałszywe spisy Bazyljanek, że obok zakonnic jawnych były także ukryte, i t. d. — Otóż mogę upewnić Czcigodnego sceptyka, że w owych czasach żadnych ukrytych zakonnic nie znano na Białejrusi;

zresztą Mieczysławska komponowała „historję" nie ukrytych zakonnic, ale jawnych, zamieszkujących znane i będące na etacie rządowym klasztory. Nie wiem jak sobie wyobraża ks. M. „fałszywe spisy" Bazyljanek, kiedy i w jakim celu mogłyby one być sporządzone i przez jakich „Rosjan". Przytoczone u mnie nazwiska nie są wzięte z jednego jakiegoś „spisu", ale pozbierane z różnych historycznych źródeł i opracowań, niezależnych jedne od drugich, a jednak zgadzających się, podczas gdy nazwiska podawane przez Mieczysławską nietylko nie zgadzają się z tamtemi, ale są coraz inne w jej własnych kolejnych zeznaniach.

Z papierów, ogłoszonych przez ks. E. Majkowskiego, dowiadujemy się jeszcze, że zeznania poznańskie arcybiskup Przyłuski przesłał do nuncjatury monachijskiej dopiero 8 listopada 1845, tłumacząc się przytem, że ich nie przesłał dotąd do Stolicy św. z powodu braku dogodnej okazji. Może to był ten łaciński egzemplarz, sporządzony przez ks. Thinela, który spoczywa w archiwum Watykańskiem. W każdym razie te zeznania poznańskie mogły przyjść do Rzymu dopiero po audjencji, jaką Makryna miała u Grzegorza XVI (5 listopada), a nawet po spisaniu jej nowych zeznań przez ks. Ryłłę i Jełowickiego. To opóźnienie w przesłaniu do Rzymu zeznań poznańskich może było opatrznościowe; gdyby bowiem ich tekst był znany w Rzymie wcześniej, możeby uznano nowe badania za zbyteczne, lecz w takim razie pozbawieni bylibyśmy cennych „warjantów", które jednak są tak ważne do oceny prawdomówności Mieczysławskiej. W sprawie Mieczysławskiej toczyła się także korespondencja między arcybiskupem Przyłuskim a nuncjaturą papieską w Wiedniu. Nuncjatura dopytywała się o towarzyszki, które rzekomo uratowały się z Makryną z Miadzioł i miały za nią przybyć. Arcybiskup Przyłuski pisał w tej sprawie do biskupów chełmińskiego Sedlaga w Pelplinie i warmińskiego Geritza w Frauenburgu, zapytując ich czy coś o tych towarzyszkach nie wiedzą. Oczywiście nic nie wiedzieli. Z tej korespondencji dowiadujemy się, że po drodze do Poznania Mieczysławska bawiła u tych dwóch biskupów, przynajmniej ona sama w Poznaniu tak twierdziła, w czem można jej wierzyć. Tu byłaby nić, po której możeby się doszło do kłębka tajemnicy kto Mieczysławską przewoził przez Prusy, wątpliwem bowiem jest czy sama ona przy absolutnej nieznajomości języka mogła tę podróż odbyć.

2. Korespondencja Matki Makryny.

W *Zapyskach* bazyljańskich na rok 1930 ks. E. Majkowski umieścił kilka listów Makryny do ks. Miecz. Ledóchowskiego, późniejszego arcybiskupa i prymasa. Listy te przechowują się w Bibljotece Kórnickiej. Nie przynoszą one nic takiego, co świadczyłoby na korzyść Mieczysławskiej, przeciwnie swojem prostactwem i pustką co do treści świadczą, że autorka ich nie mogła być tem, za co się podawała: polską arystokratką z pochodzenia, a przełożoną klasztoru, wychowującego w pensjonatach polskie panny, z urzędu. Już wprawdzie przed napisaniem mojej książki jeden taki list Makryny opublikował prof. St. Pigoń,[1]) uszedł on jednak mojej uwagi i nie mógł mi służyć do moich dowodzeń. Potem jednak dostałem do rąk całą paczkę takich listów, pisanych do jednej arystokratki polskiej, a w r. 1928 miałem w rękach listy pisane do ks. Miecz. Ledóchowskiego, po śmierci jego jako Kardynała Prefekta Propagandy przesłane do Polski dla doręczenia jego rodzinie. Listy te stanowiły niezmiernie ważny przyczynek do oceny inteligencji, wykształcenia i zainteresowań piszącej. Dość powiedzieć, że nietylko ta rzekoma dama wysokiego pochodzenia (od króla Jagiełły!) nie umiała ani słowa po francusku, ale i po polsku umiała tylko tyle, co każda najobskurniejsza kucharka wileńska. Nie wie ona gdzie używać wielkich liter, co zrobić kiedy się jakieś słowo w wierszu nie zmieści, nie zna żadnych pisarskich znaków, — o gramatyce i stylu lepiej nie mówić. Dla ilustracji podamy parę wyjątków zachowując oryginalną pisownię Makryny. Kreski pochyłe oznaczają podział wierszy w autografie

1. LIST DO KSIĘŻNEJ S.

Rzym 1 Listopada 1859

Niech będzie Pochwalony Jezus Chrystus
i Maryia Matka Boska i Wszy Swię

Jaśnje Oświecona Xiężna Pani Nasza
Najłaskawsa Dobrodziko

Smutno mnje i bardzo Przykro że Łaskawa / Xiężna Tak Ciężko chorowała Ze Jescze / i do Dziś dnia Tak osłabiona Ale mam / Ufność w Miłosierdziu Boskim i w Przyczynie / Wszystkich Swiętych Ze Łaskawa Xiężna / w krutce Przydzie do zupełnego Zdrowia / widocznie Pan Jezus

[1]) List do Wielogłowskiego w *Pamiętniku Literackim* z r. 1920.

Ukochał Xięzne / i Dał Cierpiec dla Chwały Swoiej Swiętej / i Dla kościoła Swiętego Łaskaw Xięzna Dobrodzko / Niech To wszystko chwali Boga bo Tyko / Bug Wybranych Swoich doswadcza Cierpię / Aby Ich Zrobił Uczestnikami chwały swej / Łaskawa Xięzna Dobrodziko Dzis Nasi / Swięci Patronowie i Patronki w Niebie / Tryumfuią i Przyczyniaią sie za nami dzi / mamy Imieniny Nas Wszystkich Adlomni / Rocznica bardzo Pamiętna 15 Lat Skonczyłem / Jak jestem w Rzymie Bosmy z Xiędzem Alexandrem / Jełowicki Wiechali Osamej drugiej Popuł / no cy do Rzymu Bogu Dzięki Czas Przeszedł / Szypkim krokiem Bug wie jak dalej / będzie Boze daj mnje więcej Cnot Potrzebnych jak Lat Długich

Łaskowa Xięzna Pani kozała mnie / Rachuneczek za Mliko Przysłac / Mnjesię zdaie Ze od 12 Oktobaro zaczęto / Posyłac Mliko i Smjetankowięc Za / Dni 19 bo Tego Miesiąca dni 31 wypada nadzjen Po 24 Bajoki więc misię zdaie / Ze Wypada Skudy 4 i bajokow 56

Zyczę Najłaskawszej Xięznie jak Najprędzej / Zdrowja Dobrego i dlamnje konsolacij / i Szczęscja Widziec w Naszym UBogim domku / Zdrowo i wesoło Łaskowe Xsięzne Razem / z Wnuczkami Matki Boskiej Co DajBoze / Jak Najprędzej

Całuię Stopy z Nawększym Uszanowan
Pokorna Sługa Łaskawej Xięzny
Makryna Bazyljanka

2. LIST DO KSIĘDZA L.

Dnia 8 Februar 1856

J Mar. J S Bazyli
Jasnje Wjelmozny i Najwjelebniejszy
Muj Dobrodzieju

Osmjelam się jescze Nudzic mym Nudnym / i przykrzącymsje pismem bojusz krutki / Pobyt w Rzymje Mego Tak wjelkiego i tak / Drogiego Dobrodzieja Ato wszystko wtym / Samym moim bidnym i nudnym i Trudnym / Interesje względem Wyprawjenja Tej / Maryi Luizy bardzo się boie jak muj tak / wjelki dobrodziej Wyiedzje To moia bida / Gura weznje nademno i naniczymsię tak / Skączy bo nibędzje komu Otym Muwic / znaszym Przełozonym Monsenjor komety / Xięzna Nasza bardzo zawsze zatrudnjona / Proszę mego Dobrodzieja Przyblizyc Ten / Interes Anadewszystko Proszę Pokornie / zeby muj Dobrodziej był Łoskaw byc / z mon senjorem kometym Razem jak ta / sprawa Odbywacsię będzje muj Łoskawy / Dobrodzjeju njeodmawiaj mnje Tego dobrego / Uczynku do mam wnim Wjelko Ufnosc / ze jestes w rzędzje Błogosławionych Pokoj / czyniących iwtedy Tylko Pujdzje dobrze Interes / Atakosz Czy njemoznaby było Abo dzis Abo / w Njedzjela bo jusz muj dobrodziej niebędzie mjał Czasu Puzniej / Łaskawy Dobrodzieju Njeodmawjaj / Tego

Dobrego Uczynku dla mnje / Sjeroty i Starej Njedołęgi ktura Sobie / nic njemogę zaradzic i wszystkich się / Lękam i boję jestem wielkje Nicestwo / Najpokorniej Przepraszam Mego dobrodz / za Tak wjelkje Naduzycje jego dobroci / Ale Dobroc jego Nadzwyczajna dlamnie / Njegodnej Osmjeliła dotego Abym wmej / bidzje Garnełasje dotego ktury Złenaprawja / Zbagny błotnistej widzwiga Njech mu / Bug zato kroki jego kjerujei Błogosławi / zawsze Wszędzje i Wewszystk zamjarach / Akiedy Tobyc moze Aby muj dobrodziej / wprzud zemno niegodnosię widział nim / Sprawa następi i nauczyłmnje jakie / mam znaleść w tym Czasje Przy odbywajcej Tej Sprawy Aja To wszystko Spełnie

znajwiększym Uszanowanjem
Całuje Ręcy Jego Swięte i Proszę
O Błogosławięstwo i Modlitwy
Pokorna i bardzo Załośna
i sczera Sługa

Makryna Bazylijanka

Takim językiem i pisownią korespondowała owa „męczenica" z wysokimi nawet dostojnikami. Dziś dziw bierze jak można było z samych tych listów nie poznać z kim się ma do czynienia. Ciekawy przyczynek do studjum nad łatwowiernością ludzką!

3. Oględziny lekarskie Makryny.

W książce swojej (str. 137) wyraziłem powątpiewanie czy Makryna pokazywała wogóle komuś ślady owych ran, jakie jej rzekomo były zadane, i że żadnego śladu jakichś badań lekarskich nie spotykamy. — Otóż ks. E. Majkowski natrafił w Bibljotece Kórnickiej na ślad takich oględzin i odnośny dokument opublikował w *Zapyskach* OO. Bazyljanów.[1])

Jest to świadectwo lekarskie, w języku niemieckim sporządzone przez Dr. Kramarkiewicza i Jagielskiego, noszące datę 19 stycznia 1849 r. Lekarze owi stwierdzają pokrótce (w kilku wierszach), że Mieczysławska, kiedy przybyła w sierpniu 1845 r. do Poznania, nosiła na swojej głowie i na całem ciele „znaki dzikiego obchodzenia się z nią". W dolnej części czaszki, „am Hinterkopfe", miała ślady dużej rany zadanej dawniej przez jakieś silne uderzenie, tak iż kość czaszki była gwałtownie wgnieciona. Podobnież na nogach były bardzo widzialne ślady gwałtownych uszkodzeń spowodowanych uderzeniami.

[1]) *Zapyski*, jak wyżej, tom III, zesz. 3—4, str. 466.

Trzeba tu zaznaczyć dwie okoliczności. Po pierwsze, że ten dokument znajduje się w Bibljotece Kórnickiej nie w oryginale, podpisanym przez lekarzy, ale w odpisie przez nikogo nie potwierdzonym. Gdzie się znajduje oryginał nie wiadomo. Powtóre że to świadectwo lekarskie nosi datę 19 stycznia 1849 r., t. j. zostało sporządzone w trzy i pół roku po bytności Makryny w Poznaniu. Jeśli takie oględziny rzeczywiście były dokonane w sierpniu 1845 r. i to przez dwóch naraz lekarzy, więc dosyć urzędowo i uroczyście, to dlaczego nie sporządzono zaraz odpowiedniego protokułu? A jeśli go sporządzono to dlaczego po kilku latach okazało się potrzebnem wystawienie nowego świadectwa? Wszystko to uprzedza jakoś do wartości dowodowej ogłoszonego „dokumentu". Jeśli on był potrzebny komuś w r. 1849, dlaczego nie poddano Makryny lekarskim oględzinom tam, gdzie wtedy ona się znajdowała, t. j. w Rzymie, lecz odszukiwano lekarzy poznańskich, którzy ją mieli badać w r. 1845?

Zresztą jest rzecz oczywista, iż sama obecność jakichś blizn na ciele po dawnych zranieniach nie mogła być dowodem, że ich posiadaczka odniosła owe rany cierpiąc jakieś katusze za wiarę, tem mniej, że była tem, za co się podawała, ksienią Bazyljanek mińskich.

4. Zmienione zdanie ks. Smolikowskiego.

W książce swojej przytoczyłem (str. 84) zdanie ks. Pawła Smolikowskiego, historyka Zgromadzenia Ks. Zmartwychwstańców. Pomimo, że ks. Smolikowski przytoczył w swej Historji dużo szczegółów, kompromitujących Makrynę, ostatecznie jednak zakonkludował: „Sądzę, że nie może być żadnej wątpliwości co do prawdy jej zeznań".

Już w trakcie pisania swej książki zwróciłem się do czcigodnego ex-generała Ks. Zmartwychwstańców, znajdującego się podówczas w Rzymie, za pośrednictwem ks. Dr Antoniego Około-Kułaka, przebywającego także nad Tybrem. Wtedy Ks. Smolikowski miał już poważne wątpliwości co do autentyczności Makryny i przesłał mi szereg szczegółów, nie uwzględnionych w jego historji, o jakich później się dowiedział. Wyzyskałem też je w swojej pracy w odnośnych miejscach. Zachętą też były dla mnie słowa, jakie mi zakomunikował ks. A. Około-Kułak: „O. Smolik. jest

zdania, że lepiej, by sprawę oświetlić z naszej strony, nim tego nie zrobiły wrogie nam sfery".

Po ogłoszeniu swej pracy przesłałem zaraz jej egzemplarz ks. Smolikowskiemu, który wtedy mieszkał już w Krakowie. W krótkim czasie ks. Smolikowski zaszczycił mnie swemi odwiedzinami i wyraził mi uznanie za wyświetlenie sprawy Mieczysławskiej. Użyczył mi także do przejrzenia rękopisu drugiego wydania swojej Historji Księży Zmartwychwstańców, czekającego na druk. W skrypcie tym znalazłem rozdział poświęcony Mieczysławskiej (cz. II, rozdz. XI). Znalazłem w nim takie ustępy:

...osoby bardzo poważne w Polsce (były niemi sam ks. Borowski, późniejszy biskup Łucki i ks. Kossowski), zaraz po tem jak się rozgłosiło imię M. Makryny, starały się na miejscu sprawdzić prawdziwość tego, co opowiadała i wynieśli to przekonanie, że wszystko było zmyślone. Ks. Biskup Borowski na mocy tych poszukiwań mówił ks. Borzeskiemu, kanonikowi w Warszawie, że był jak najmocniej przekonany, że M. Makryna była oszustką. Książę Wilhelm Radziwiłł, który miał swe dobra w Mińsku, był właśnie tam gdy sława M. Makryny z Francji doszła aż do Rosji. Starał się sprawdzić szczegóły prześladowania jej i wyniósł to samo przekonanie, że nic w całem jej opowiadaniu prawdy nie było. R. 1907 przybył do Rzymu ks. Grekowicz, rodem z Mińska, (a był w wieku w krórym mógł rozumieć co mówiono w Mińsku w czasie kiedy dochodziły wieści z Europy o M. Makrynie) i powiadał jako rzecz najpewniejszą, że był klasztor bazyljanek w Mińsku i przełożoną była Makryna Mieczysławska, ale dobrze przed prześladowaniem Siemaszki została w klasztorze ona jedna i druga zakonnica. Rząd tedy zniósł klasztor, a one mieszkały przy familji w Mińsku. Przed 1845 jeszcze Mieczysławska umarła była, a ta co się w Europie za nią podawała, była w dawnym klasztorze nie zakonnicą ale kucharką. Powiadał także, że wyświęcony na kapłana posłany został jako wikarjusz właśnie do tej wsi, w której, według opowieści M. Makryny, topiono jej towarzyszki. Rozpytywał o tem starszych ze wsi i nikt nic o tem nie wiedział...

Z tego urywka ważnem jest przekonanie biskupów Borowskiego i Kossowskiego, jak również księcia W. Radziwiłła o samozwaństwie Makryny. Natomiast z opowiadań ks. Grekowicza ważnem jest tylko stwierdzenie braku tradycji o pławieniu Bazyljanek w jeziorze w odnośnej miejscowości, zaś jego twierdzenie, że w Mińsku istniała ksieni Makryna Mieczysławska, ale umarła jeszcze przed 1845 rokiem rzekomo u krewnych, nie może się ostać wobec ustalonych danych, że ksienią Bazyljanek mińskich w owym okresie była Prakseda Lewszecka.

Ks. Smolikowski zwrócił moją uwagę, że podane przeze mnie ze słów ks. Podolskiego szczegóły z ostatnich chwil życia naszej Makryny niezupełnie odpowiadają rzeczywistości. W szczególności nie jest prawdą jakoby przedśmiertną spowiedź od ogarniętej rozpaczą Makryny przyjmował ks. Kajsiewicz, bo wtedy nie było go w Rzymie. W rękopisie łaskawie mi użyczonym czytamy: „Podobno miała śmierć bardzo ciężką i nie chciała się spowiadać. Zmartwychwstańcy zupełnie się byli oddawna od niej odsunęli i przy jej śmierci nie byli. Ks. Kajsiewicz nie był wtedy w Rzymie; był w Galicji. O. Dmowski ją opatrzył, t. j. dał Oleje św., jak stoi w kronice kolegjalnej. Spowiednikiem jej był zdaje się jeden z Ojców Jezuitów. Mszę św. O. Semeneńko uroczystą za nią, w jej kościele, w asystencji kolegjum polskiego odśpiewał. Myśmy też, Zmartwychwstańcy, byli w kośćiele“. Chętnie prostuję podane w książce mojej twierdzenie o roli O. Kajsiewicza w ostatnich dniach życia Makryny; z nowej jednak relacji ks. Smolikowskiego wynika coś gorszego dla Makryny, mianowicie jakoby zaopatrzona była Olejami św. bez spowiedzi (może po utracie przytomności), jednak przez jednego z Księży Zmartwychwstańców, którzy też odprawili nabożeństwa egzekwjalne. O ks. Kajsiewiczu te jeszcze słowa zapisał ks. Smolikowski w swojem nowem wydaniu Historji: „Ks. Kajsiewicz ostro ją (t. j. Makrynę) sądzi. Kiedy po jej śmierci ks. Koźmian zażądał od niego jakiego nekrologu — o Makrynie nic ani mówić ani pisać nie myślę — odpowiada mu. Nie mógłbym *cum conscientia* więcej jak *dubia* chwalić jej. Była już za życia na kredyt kanonizowana, teraz milczenie się jej należy“. Przypominamy jednak, że w trzy lata później (w r. 1872) w Pamiętniku swojem O. Kajsiewicz, chociaż nie oszczędzał osoby Makryny, jednak nie miał wątpliwości co do jej autentyczności.

Co do owych spowiedników Makryny, w szczególności „jednego z Jezuitów“, jak pisze O. Smolikowski, zacytujemy tutaj szczegół znaleziony wśród listów ks. A. Jełowickiego do ks. Marjana Kamockiego, znajdujących się obecnie w posiadaniu ks. kanonika Gustawa Jełowickiego w Łucku. Znajduje się tam skrypt z napisem: „Przypisek o Matce Makrynie Xieni Bazylianek Minskich“. Autor tego skryptu, sporządzonego po śmierci Makryny, O. Aleksander Jełowicki, jeszcze wierzy w autentyczność dawnej swej protegowanej, sympatycznie przedstawia jej zewnętrzny wy-

gląd, jej mowę i głos. Co do spowiedników Makryny, to zaznacza że po jego wyjeździe do Paryża był jej spowiednikiem, „opatrznie jej danym na czas niebezpieczny" (napady na Rzym Garibaldczyków), Jezuita Ojciec Ostaszkiewicz, który później został posłany do Monaco, gdzie przebywał pod imieniem O. Paulini. Relację tę tak kończy: „Ta częsta zmiana spowiedników stąd pochodziła, że od chwili założenia swego klasztoru w Rzymie Matka Makryna stała się samowolna. Ta samowolność boleśnie raziła władzę duchowną rzymską, bardzo dla niej względną. I samże papież Pius IX, chociaż śmierć Matki Makryny szczerze obżałował, rzekł mi o niej: *aveva pero la testa un poco strana*". Ta niepublikowana dotąd relacja ks. A. Jełowickiego potwierdza charakterystykę Makryny, jako „zakonnicy" i przeoryszy w Rzymie, daną przeze mnie w książce.

5. Wyjątek z listu M. Czartoryskiej.

Przed paru laty w Karmelu na Łobzowie, w Krakowie, zakończyła swój długi i świątobliwy żywot Matka Marja Xawera od Jezusa (księżna Czartoryska). Wśród licznych listów, jakie otrzymałem z okazji wydania książki o Makrynie, znajduje się także list świątobliwej Karmelitanki, datowany 17 czerwca 1926 r., z którego przytaczam parę wyjątków:

„Oddawna zachowuję list, który znalazłam w naszym klasztorze tej zwodzicielki Makryny... którą z moją matką, Xawerą Grocholską, widziałam w Rzymie w 1848 r., kiedy była tymczasowo przyjęta w Sacré-Coeur i tam ją widzieliśmy, opowiadającą jak się krzyż z różańca jej oderwał i usłyszała głos przed Matką Boską malowaną na ścianie przez panią Perdreau: tu złóż krzyż twój... A wszystkich witała M. Makryna: Będzie Polska z wiankiem albo z jajkiem, na Zielone święta albo na Wielkanoc. Nie chciała nam miejsca swoich dawnych ran na rękach pokazywać, bo mnie odbierzecie zasługę z cierpienia..." Znaczącym jest tu szczegół, przytoczony na końcu, o niechęci pokazywania śladów rzekomo odbytych męczarni nawet tak wysoko postawionym osobom, jak hr. Grocholska i jej córka.

* * *

Czytelnik, który przerzucił przytoczone powyżej „pokłosie" a przedtem przeczytał moją książkę o Makrynie, łatwo chyba spo-

strzegł, że nic nie zaszło i nic nie znaleziono, co mogłoby zachwiać pewność o samozwaństwie Makryny. Raczej przybyło parę nowych szczegółów kompromitujących jej charakter i stosunek do prawdy. W szczególności nie zdobyto ani jednego świadectwa, któreby podkopywało przedstawienie moje prawdziwej historji prześladowania Bazyljanek na Litwie, historji, w której dla Makryny absolutnie niema miejsca. Można jeszcze dociekać kim właściwie była owa rzymska Makryna, czy służącą Bernardynek wileńskich, Wińczową nazwiskiem, czy może kim innym. Można dochodzić kto ją do odgrywania roli męczennicy przygotował, czy też pierwszy dał się uwieść i samozwaństwu jej zgotował kredyt. Ale że ta niewiasta, która w Europie podawała się za Bazyljankę mińską i męczennicę za wiarę, była oszustką, to jest pewnikiem, którego nikt nie osłabił i nie osłabi.

Antoni Waśkowski napisał w r. 1929 pięcioaktowy dramat p. t. „Makryna". Mamy w nim jakby przeciwwagę Słowackiemu i St. Wyspiańskiemu, którzy Makrynę mieli za świętą męczennicę za wiarę i polskość. Waśkowski postawił ją już w innej roli: narzędzia szatana w celu skompromitowania katolicyzmu i Polski kłamliwemi opowiadaniami. W swoim czasie wypowiedziałem się [1]) co sądzę o takiem „nadnaturalnem" ujmowaniu postaci Makryny. Sądzę, że nie zasługuje ona na tę machiawelską rolę. Może do niej jakiś badacz podejdzie jeszcze z metodą psychoanalizy, usiłując rozwikłać psychologiczną zagadkę tak długiego zwodzenia ludzi. Kłamstwo świadome? Histerja? Rozdwojenie świadomości? Autosugestja? Mniejsza o to. Dla historyka cierpień polskich Makryna Mieczysławska nie istnieje. Trzeba o niej zapomnieć. A już trzeba stanowczo zaprzestać opowiadać ludziom o jej „męczeństwie" dla ich religijnego zbudowania. Bo Bóg do swoich celów nie potrzebuje kłamstw ludzkich.

[1]) *Przegląd Powsz.* — styczeń 1930, str. 94—96.

Ks. Jan Urban T. J.

Przegląd piśmiennictwa.

Tadeusz Sinko, Hellada i Roma w Polsce. Przegląd utworów na tematy klasyczne w literaturze polskiej ostatniego stulecia. Lwów 1933. Państwowe wydawnictwo książek szkolnych.

„Od początku w literaturze polskiej interesowały mię przedewszystkiem rysy i barwy antyczne, tak że przebiegając łany polskie szukałem na nich kwiatów greckich i rzymskich i miałem to przeświadczenie, że moje prace polonistyczne są tylko stwierdzeniem żywotności i urodzajności antyku.... Głównem mojem zajęciem była i jest (i będzie) filologja klasyczna; polonistykę uprawiałem tylko jako zajęcie uboczne, jako *parergon,* spodziewając się, że kiedyś pozwoli mi ono zdobyć się na *ergon* w rodzaju Choleviusa *Geschichte der deutschen Poesie nach ihren antiken Elementen* (2 tomy, Lipsk 1854-6). Z tego zamiaru bynajmniej nie rezygnuję...."

Tak pisał prof. Sinko dwanaście lat temu w przedmowie do zbioru studjów zatytułowanych *Echa klasyczne w literaturze polskiej.* Miał wtedy już za sobą, prócz owego zbiorku, szereg prac, częstokroć nawet dzieł obszernych, na temat związków między kulturą i literaturą polską a klasyczną; wśród nich były rzeczy tak ważne, jak *Hellenizm Słowackiego, Antyk Wyspiańskiego, O tradycjach klasycznych A. Mickiewicza rozpraw pięcioro.* jak tomy „Bibljoteki Narodowej" poświęcone Kochanowskiemu i Krasińskiemu, jak omówienie pisarzy polsko-łacińskich w encyklopedji Akademji Umiejętności, jak wreszcie cenne wstępy do opracowań dzieł Homera, Owidjusza, Wergiljusza, Horacego. Przez lata następne przybyło tych prac więcej: w tym czasie opracował prof. Sinko Szarzyńskiego, pogłębił wiedzę o nim i o Kochanowskim, dał wiele ciekawych uwag o Sarbiewskim, opatrzył wstępami pięć tomów Wyspiańskiego, a wreszcie — co już za szczyt odwagi i wytrwałości uznać należy — zadał sobie trud zbadania od deski do deski najtrudniejszego z pisarzy polskich, Cyprjana Norwida, i odrazu zgłębił go gruntowniej niż niektórzy poprzednicy, całemi latami odsiadujący swoją robotę. A wspomnieć i o tem trzeba, że od lat wielu sypał ponadto krociami re-

cenzyj i recenzyjek o różnych nowościach literackich, nader często mających tematy, czy motywy antyczne — więc miał możność wielkiego zasięgu w swym temacie: od Kadłubka i średniowiecznych żywotarzy aż po najnowsze, dziś jeszcze brzmiące hasła i „dreszcze" mód literackich. W ten sposób autor olbrzymiej *Literatury greckiej* (dzieła również uwzględniającego oddźwięki helleńskie w literaturze polskiej) stanął niejako u kresu wspomnianego swego zamierzenia: objął zainteresowaniem swojem wszystkie epoki naszego piśmiennictwa i wszystkich jej pisarzy, nietylko czołowych, ale nawet pomniejszych, drugorzędnych, nawet tych, co literatami w ścisłem słowa znaczeniu nazwani być nie mogą.

Mimo to nie otrzymaliśmy dotąd jeszcze zapowiedzianego „Choleviusa". Może sprawił to brak czasu, na który prof. Sinko (on — najskrzętniej chyba w całej Polsce umiejący wyzyskiwać każdą chwilkę czasu!) uskarża się zlekka we wspomnianej przedmowie; może istotnie w literaturze polskiej zostało jeszcze wiele zakamarków, o których się jeszcze nie śniło najzawziętszym poszukiwaczom; może wreszcie i jemu samemu sprzykrzyło się to jednostronne nieco przetrząsanie, a może chciał zostawić trochę pracy młodszym uczniom i naśladowcom. Dość, że zamiast *Literatury polskiej według elementów antycznych* (czy też jakby się zwało podobne dzieło) dał nam tylko wycinek spory tak ujętego zagadnienia, a mianowicie *Przegląd utworów na tematy klasyczne w literaturze polskiej ostatniego stulecia.*

Czy takie zacieśnienie jest słuszne? I na jakiej oparte jest podstawie? Czemu pominięto epoki dawniejsze? Odpowiedź na to daje sam Sinko we wstępie swej książki, gdzie na dwóch stronicach zwięźle zestawia dorobek natchnień antycznych w literaturze polskiej aż po wiek XVIII włącznie, by zakończyć taką konkluzją: „Wszystkie te „antyki" staropolskie należą już do zabytków muzealnych, które się ogląda czasem z pewnem wzruszeniem, ale nie bierze się ich do użytku codziennego. Znaczenie „aktualne" mają dopiero utwory wielkiej poezji romantycznej, zaczynającej się z Mickiewiczem".

Tym słowom należy się małe wyjaśnienie. Książka prof. Sinki pisana jest nie dla naukowców-specjalistów, ale dla potrzeb szkoły średniej, gdzie aktualizacja dziś większe niż kiedykolwiek ma zastosowanie. Nie jest to jednakże w znaczeniu powszechnie używanem „podręcznik" — raczej należałaby się tej książce modna dziś nazwa „pomocy szkolnej"; dlatego to prof. Sinko nie krępował się wcale doborem autorów wchodzących w zakres lektury uczniowskiej, owszem, bywało, że autorom „pozaprogramowym", mało znanym udzielił więcej miejsca niż autorom „oficjalnym", — tym, którym zresztą, jak mówiliśmy, poświęcił dawniej obszerne prace specjalne. W każdym razie jednak nie mógł tej książki obarczać balastem nazwisk, które nie przemawiają do dzisiejszego pokolenia, jako zbyt dawne i zbyt jednostajne w swym

wyrazie. Dla Kochanowskiego należało uczynić wyjątek: niesłusznie w ryczałtowej wzmiance dostał się w rubrykę „zabytków muzealnych" — wszak niedawny jubileusz wykazał nietylko nieosłabłą, ale nawet wzmożoną jego żywotność.

I z drugiego jeszcze względu jest on wyjątkiem. Ogół pisarzy staropolskich zna tylko *Romę* — t. j. antyk ich jest wtórny, oparty jedynie na bezpośredniej czy pośredniej znajomości literatury łacińskiej. Kochanowski znał i drugie, główne i pierwotne źródło antyku: literaturę grecką. Na podobną znajomość trzeba było u nas czekać aż do czasów Mickiewicza. Od niego dopiero Hellada wraz z Romą siedlisko swe obrały w Polsce. I choć to może brzmi paradoksalnie, jednakże prawdziwy klasycyzm zaczyna się u nas od — zwycięstw romantyków nad klasykami.

Przyczyn tej zmiany można wskazać wiele, ale za najważniejsze uważałbym dwie: 1) odnowienie filologji klasycznej u nas przez Groddecka, 2) aktualność powstania wskrzeszonej Grecji. Pierwszy czynnik kształtował w znacznej mierze twórczość Mickiewicza, drugi zaś Słowackiego i poniekąd Krasińskiego. „Antyk trójcy romantycznej" zwięźle ale przejrzyście ujął prof. Sinko, streszczając przeważnie dawniejsze swe prace; jedynie na temat *Irydjona* do rzucił kilka nowych, nader trafnych uwag. W związku z tem dziełem pozwolę sobie zwrócić uwagę Sz. autora na moją rozprawkę *Masynissa i Scypjon (Ruch literacki* 1916), objaśniającą pochodzenie obu tych imion w *Irydjonie (Somnium Scipionis* Cycerona, tłumaczone w młodości przez Krasińskiego).

Rozdział drugi, „Pobudki tyrtejskie", to pokłosie z dzieł t. zw. młodszych romantyków, z pokolenia, które widziało i przeżywało „wiosnę ludów" i rok 1863. Na pierwszem miejscu słusznie *Marafon* Ujejskiego; potem przez Pajgerta i Anczyca dochodzimy — *a maiore ad minus* — do coraz to bardziej papierowego i konwencjonalnego traktowania motywów tyrtejskich, odzywających się nawet ostatniemi czasy, podczas wojny światowej. Do zapomnianych „tyrtejczyków" (w szerokiem tego słowa znaczeniu, jako piewców bojów greckich o niepodległość) zaliczyłbym i B. Czerwieńskiego, którego wiersz o Termopilach figurował niegdyś, wraz z wierszem Pajgerta, w wypisach szkolnych.

Klasyczny laur Norwida, znany czytelnikom *Przeglądu*, to najobszerniejszy i zapewne najwięcej nowości przynoszący rozdział omawianej książki. Na tak obszerne ujęcie Norwid zasługiwał nietylko przez swoje, wciąż rosnące znaczenie w nowszej literaturze polskiej, ale i ze względu na rozległość swych zainteresowań klasycznych, niekiedy idących drogą nieuczęszczaną przez innych poetów. Dlatego to przed Sinką nikt nie odważył się tykać tego tematu (jedynie Z. Schmydtowa zajęła się Norwidem jako tłumaczem Horacego i Homera, a przystąpiła i do zgłębiania motywów platońskich). Co więcej, dawniejszym komentatorom Norwida zdarzały się omyłki, nie pozwalające odkryć właściwego

sensu aluzyj klasycznych *(Ä Dorio ad Phrygium)*. Teraz, po przeczytaniu bystrych komentarzy prof. Sinki, aż ma się ochotę westchnąć, byśmy w jego opracowaniu otrzymali uprzystępnione „szerszej publiczności" wydania *Quidam,* a nadewszystko *Kleopatry,* która — uwięziona w najkosztowniejszym z tomów *Chimery* — wprost stała się mitem dla zwykłego śmiertelnika. Co do jednego z komentarzy odważę się na sprzeczkę z prof. Sinką. Gdy Cezar słysząc słowa: „Główny z posłów z w i e s i ę Achillesem", z uśmiechem przeinacza szyk wyrazów „s i ę z w i e", to napewno nie chodzi Norwidowi o zaakcentowanie gramatycznych upodobań rzymskiego wodza, lecz o ironję wynikłą ze spospolitowania tak sławnego i bohaterskiego nazwiska. Co do Daima, którego imię intryguje prof. Sinkę (str. 46), możeby należało wywieść go z przym. *daemon* „biegły, kuty, doświadczony"; możnaby przecie wskazać dowody na to, że Norwid wymawiał greckie wyrazy na sposób nowogrecki.

Rozdział „Czciciele piękna" rozpoczyna się krótką charakterystyką parnasistów francuskich, od których nasi poeci doby popowstaniowej przejmowali nowy, idyliczny pogląd na Grecję, barwiąc go jednakże swoistym pesymizmem, wynikłym z położenia narodu. Do tych parnasistów polskich należą: w pokoleniu starszem Faleński i Asnyk, w młodszem K. M. Górski i J. Weyssenhoff. Kontynuacją Asnyka będzie wcześniejsza twórczość Tetmajera, którą jednakże Sinko omawia już w innym rozdziale ze względu na przynależność tego poety do Młodej Polski. Twórczość przypomnianych przez prof. Sinkę poetów: K. Brzozowskiego i W. Kulczyckiego, podobnie jak twórczość Sowińskiego, idzie na danem polu właściwie już inną drogą. Za jej początek uważałbym przeoczone przez Sinkę wiersze Bohdana Zaleskiego, a to nietylko jego sonety o Homerze itd., ale i słynną *Przechadzkę za Rzymem.* Nie samo czcicielstwo piękna w wierszach tych przemawia — ale i nostalgja tułaczy, każąca dopatrywać się w pamiątkach antycznych różnych analogij z Polską.

Kraszewskiego powieściom rzymskim poświęcono cały dział, gdzie gruntownie, choć krótko, omówione zostały źródła, jakiemi posługiwał się niezmordowany, a w swej „wielopiśmienności" tak bliski prof. Since autor. Zato rozdział „Grecja pozytywistów" wypadł nierówno. Za obszernie zajął się prof. Sinko Świętochowskim, mówiąc dokładniej: nieścisłościami z zakresu historji i realjów starożytnych, napotkanemi w alegorycznych powiastkach i dramatach wodza pozytywizmu. Egzotycznie (czasem istotnie niby z grecka) brzmiące imiona były przecie zazwyczaj dla Świętochowskiego tylko pretekstem czy maską dla przemycania spraw aktualnych, polskich. Świętochowski nie odbył fachowych studjów filologicznych (choć kilku wykładów z tego zakresu słuchał w Szkole Głównej, czego dowodem przejęta stamtąd — od Mierzwińskiego czy Węclewskiego — wymowa Dejteros zam. Deuteros),

a z filologów sobie świadomie pokpiwał. Urabianie niby-to starożytnych nazwisk dla satyrycznego celu było u nas starą modą jeszcze od czasów komedji rybałtowskiej, oraz satyryków w. XVIII; znakomity efekt dała ta sztuczka w Sienkiewiczowskim *Sądzie Ozyrysa* (Psunabudes). Sienkiewicza niesłusznie zaliczył prof. Sinko do pozytywistów. Ponieważ jest to temat, którym zajmowałem się wydatniej, przeto jestem w prawie poczynić kilka drobnych sprostowań. Przedewszystkiem rozproszyć należy wszelkie wątpliwości („kto wie") co do wpływu Siemiradzkiego na Sienkiewicza, zwłaszcza na pomysł *Quo vadis;* pisałem o tem obszernie w 46 n-rze „Tygodnika Illustrowanego" z r. z., ogłaszając listy Sienkiewicza do Siemiradzkiego, a sam Sienkiewicz w wielu wspomnieniach i wywiadach (np. list do Boyer d'Agen w r. 1912) wyraźnie stwierdzał, że pierwszem źródłem natchnień był mu Siemiradzki. Podobnież słowami samego Sienkiewicza (list do K. Morawskiego) stwierdziłem parę lat temu (w *Ruchu Literackim* i w *Tęczy*), że Ligowie r z e c z y w i ś c i e w zamierzeniu autora *Quo vadis* są protoplastami Polaków. Wreszcie — na podstawie rękopisów i listów, jakie miałem w rękach — zaprzeczyć muszę powszechnemu mniemaniu (jakiemu sam uległem, ogłaszając w r. 1927 szkic *Klasycyzm w dziełach Sienkiewicza*), jakoby powiastka *Z dawnych dziejów* — o Messeńczykach żyjących tradycją walki o wyzwolenie ziemi ojczystej — miała powstać w pierwszym roku wojny światowej; w rzeczywistości powstała ona już przed wojną, zapewne w pewnym związku z wieścią o trzęsieniu ziemi w Messynie.

W rozdziale „Helleńskie wizje Młodej Polski" akcenty najsilniejsze zostały umieszczone symetrycznie w trzech punktach: Tetmajer, Kasprowicz, Wyspiański. Tetmajer dał wizję najrozleglejszą może, ale najbardziej zmienną, przyczem charakterystyczną rzeczą jest, że ton własny (po szeregu reminiscencyj parnasistycznych) znalazł dopiero przez Homera, podobnie, jak Kasprowicz znalazł go dzięki Ajschylosowi, poczęści dzięki Eurypidesowi (*Marchołt* miał być podobno czemś w rodzaju dramatu satyrowego). Twórczość Wyspiańskiego nazywa Sinko słusznie „szczytem oddziaływań antyku na literaturę polską". Określenie to należy brać zarówno ilościowo jak i jakościowo; niedość bowiem, że podniety dane Wyspiańskiemu przez antyk były najbardziej różnorodne i wszechstronne (sztuka plastyczna, Homer, tragicy), ale były też najbardziej płodne, do najpiękniejszych i najbardziej oryginalnych prowadziły plonów. Dwaj inni wybitni poeci owego okresu — Rydel i Staff — idą już raczej torem utartym; zdobycze przez nich uczynione są raczej formalnej natury. Żuławskiego „Erosa i Psychę" omówił Sinko b. bystro na podstawie własnych studjów z przed lat dziesięciu.

„Neoklasyczny" miesięcznik *Muzejon* zapoczątkował nową falę upodobań antycznych. Przyszły one w obliczu chwili, gdy

zamilknąć musiały Muzy, to też nie mogły oddziałać szerzej. Napisany z początkiem wojny wiersz Staffa, gdzie tułają się reminiscencje VI ks. Homera, wygląda w owym momencie nader blado i nienaturalnie. Niewłaściwość podobnego estetyzowania na temat grozy wypadków odczuł Wł. Orkan i dał temu wyraz we wspaniałym wierszu, szkoda, że nie zacytowanym przez prof. Sinkę.

Wbrew mniemaniu przez prof. Sinkę wyrażonemu „ostać się może długo w świadomości inteligencji" (oczywiście przez teatr) *Kaligula* K. H. Rostworowskiego, dzieło niewątpliwie dalekie od kwietystycznej nieco atmosfery *Muzejonu*, a może też nienazbyt dalekie refleksjom, jakie nasuwać mogła przeżywana w on czas groza wojenna.

Odprężenie powojenne przywiodło znów pewną modę na klasycyzm w literaturze, co było może reakcją i na usuwanie antyku z programów szkolnych. Odprężenie to znalazło wyraz bądź w patetycznych elegjach, sławiących pamięć boju, bądź w rozhukanych, radosnych anakreotynkach. Uwielbienie sportu, wskrzeszenie olimpjad też zrobiło swoje. Tomiki cyzelowanych utworów parnasistycznych należą do rzadkości, są to przeważnie rzeczy zapóźnione z powodu wojny (*Imagines* Zegadłowicza). Dramat, niewyzwolony jeszcze z wpływu Wyspiańskiego, rzadko nawraca do tematów antycznych; po *Kaliguli* wyróżnia się tu *Alcesta* Zegadłowicza, której początek stawia prof. Sinko wyżej od analogicznego miejsca w dramacie Eurypidesa — dodałbym tu i *Lampkę oliwną*, która w fakturze ma pewne cechy wspólne z tragedją grecką (oczywiście bez motywów antycznych). Pokrewny dramatowi dytyramb staje się zato formą (niekiedy tylko nazwą) modną. Dionizos patronuje mu często, jak za czasów greckich, a imię jego staje się też modne u poetów (Iwaszkiewicz, Karski, był nawet w Krakowie klub literacki „Dionizy" z Przybosiami, o ile pamiętam, na czele). Upojenie życiem najpiękniejszy wyraz znalazło w *Laurze olimpijskim* Wierzyńskiego, gdzie jest tematyczna rywalizacja z odami Pindara. Drugiego piewcę znalazł sport w osobie Parandowskiego.

Osmoza antyku w literaturze nie skończyła się jeszcze i odbywa się nadal dzięki szkole. Charakterystyczne są właśnie dla dzisiejszej epoki te liczne wiersze i wspomnienia dotyczące szkoły, a w niej właśnie i tego przedmiotu, który tam tak poważną rolę pełnił: nauczania łaciny i greki. Prof. Sinko przytoczył jeden z takich wierszy (Jazgota-Essmanowskiego), natomiast pominął cały szereg innych, bardzo znamiennych i niekiedy bardzo wartościowych. Mam na myśli nietylko słynny wiersz Tuwima o Cezarze, ale i sporą część twórczości jednego z najwybitniejszych wielbicieli antyku w naszej literaturze, Juljana Ejsmonda. O poecie tym nie spotykamy w omawianej książce ani słowa, choć zasługiwałby na uwagę nietylko kapitalny wiersz o szkole („*cumy* i *ufy* wykuwane w mozole"), nietylko liczne bajki i fraszki, nietylko prze-

kłady doskonałe Anakreonta, Meleagra, Safony &c, ale i *Sztuka wymyślania*, gdzie znajduje się „pochwała kultury łacińskiej".

Józef Birkenmajer.

Stanisław Pigoń: Pan Tadeusz. Wzrost. — Wielkość — Sława. Studjum literackie. Instytut literacki, Warszawa, 1934.

Do najmłodszych przedstawicieli filologizmu we współczesnej polonistyce możnaby zaliczyć, obok kilku innych, Stanisława Pigonia. Wyspecjalizowawszy się w badaniach nad życiem i twórczością Mickiewicza, stanął on na wyżynie nie tylko naukowej ale i ideologicznej, której nie osiągnął jego mistrz i propagator mesjanizmu Lutosławski. Wydobył bowiem ze źródła prawd wieszcza idee, które służyły i mogą służyć całym pokoleniom. Rozświecił też mesjanizm w sposób tak przedmiotowy, wielostronny i pełen pietyzmu, że troszcząc się o wychowanie narodowe, jednocześnie spełnił zadanie nauczyciela i naukowca.

Gorące serce znać we wszystkiem, co daje. Geneza Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego, badanie źródeł pojęć Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, dążenie rekonstrukcyjne pierwotnych Dziadów wileńsko-kowieńskich, pozwoliło Pigoniowi rozprószyć wiele nieporozumień i sprostować mnóstwo pomyłek nawet najlepszych znawców poety. Jako organizator sejmowego wydania dzieł Mickiewicza, nie odstrasza Pigoń aparatem krytycznym a imponuje ścisłością w oddaniu najdrobniejszych okruchów myśli poety.

Studjum o wielkiej epopei mickiewiczowskiej, której stulecie obchodzimy w roku bieżącym, urządzeniem zjazdu filologów słowiańskich w Warszawie, przynosi najcenniejszą zapewne pozycję naukową na tem uprawianem już od kilku krytycznych pokoleń polu. Czytając je, zapomina się o Zatheyu i Biegeleisenie, Tarnowskim i Gostomskim, choć każdy z nich dał rzeczy cenne w swej epoce. Pigoń wnika najgłębiej ze wszystkich w tło, na którem powstaje epopeja, rozjaśnia najwnikliwiej genezę dzieł, nad któremi trudził się niegdyś mistrz genezy filolog Pilat, ujawnia najlepiej warstwy, co złożyły się na pieśń o genjuszu narodu ujętego tu u fundamentu istnienia.

Poczynamy rozumieć dziś w pełni ideową strukturę całości, rozumiemy też głębiej twórcę w pewnej indywidualnej odrębności plemiennej, ujmujemy dokładniej jego rdzenny, odśrodkowy, żywiołowy patrjotyzm. Pojmujemy też, że korona poematu, który badacz porównywa do dębu, wzbija się wysoko od ziemi i zanosi się aż w błękit dzięki nucie o niezwykłej moralno-religijnej wzniosłości. A zatem nie tylko tło, geneza, warstwowość, ale i ideologja arcytworu rozbłysła w studjum krakowskiego badacza w sposób pierwszorzędny. Jest to ważniejszem w chwili, gdy rozpoczęła się walka z wartościami, o które walczył niegdyś Górski, gdy atakuje

się tę ostoję polszczyzny w imię jakiegoś uniwersalizmu, gdy usiłuje się obniżyć kult samej osoby wieszcza, co również w osobnem studjum odparł przed kilku laty zwycięsko Pigoń.

Pamiętamy, jak to kiedyś Feldman określał filologów jako profesorów przystępujących do swych funkcyj z całym aparatem historyczno-krytycznym, jako naukowców traktowanych zresztą w cudzysłowie, co wszystko świadczyło, że za krytyków uważano zwolenników modernizmu w tej lub owej postaci. A przecież postawa filologów była jedynie kontynuacją wskazań nauki, co nie robiła nastrojów ale szła torem coraz więcej ulepszonym i pogłębionym, jak wskazują dzieje przed i powojenne polskiego filologizmu. Coprawda, bywają różni filologowie. Jedni z nich uważają genezę za punkt wyjścia, który oświetla tem wyraziściej oryginalność twórcy. Do takich należy dziś w pierwszym rzędzie Kleiner. Drudzy umieją szukać jedynie źródeł ale brak im do opisania tego, co dany twórca dał z siebie, poprostu zdolności estetyka.

Obok Kleinera wysuwa się dziś w pierwszej grupie Pigoń. Umie on nie pomijać żadnego drobiazgu, analizować i dociekać w sposób nie zostawiający niczego w zawieszeniu. A jednocześnie czuje się w nim wszędzie człowieka uczucia, gorącego wyznawcę, świetnego stylizatora tego, co pomyśli głowa i wyczuje serce. Jakże wyraziście rysuje się przed nami materjał z którego powstała epopeja! Jakże naocznie pokazane są warstwy narastające zwolna od pierwszego pomysłu, który ukazał kiedyś pierwszy badacz autografu Pilat, a dziś uzupełnia badacz współczesny!

Wydaje się wprost, że studjum Pigonia stanowi jakby drugi poemat, jak nazwano kiedyś roboty Pawlikowskiego i Kleinera o Słowackim. Wybitni naprawdę krytycy mieli zawsze swój styl, by przypomnieć Mochnackiego, Grabowskiego, Klaczkę, Tarnowskiego, Chlebowskiego, Matuszewskiego, Brzozowskiego. Pigoń ma też swój, choć rozumuje nieodparcie, rozporządza zupełnem znawstwem przedmiotu, nie rzuca niczego na domysł, nie liryzuje ani nie docinkuje, jakby zrobił to człowiek niższego typu. Nie ma nawet patosu czy namaszczenia a pisze jasno, sugestywnie, pobudzająco. Zapamiętuje się w swym temacie a jednocześnie panuje nad nim bez zastrzeżeń.

I książkę jego czyta się, jakgdybyśmy czytali studjum nie tylko o poemacie, ale i o epoce. Ilustrują tę epokę rozdziały ustępu o tradycjach obyczajowych. Czyta się ją też jakgdybyśmy czytali studjum o literaturze epoki. Ilustruje ją ustęp o tradycjach literackich. Sprawa pierwszego pomysłu przedstawiona jest, w sposób najbardziej rzeczowy. Z ustępów o fali heroizmu i żywiołu epickiego pada światło i na sposób tworzenia poety. „Fakty bowiem mówią wyraźnie — objaśnia badacz — że źródła rozrostu poematu wybuchają nagle, wywodzą się zaś z racjonalnego natchnienia, z niespodziewanego wyjawienie się

nowych horyzontów stworzonego światła, z rozbłysku intuicji twórczej. Jest to właśnie najściślej w zgodzie z inspiracyjnym charakterem twórczości Mickiewicza wogóle, z samym typem jego struktury duchowej". Zatem studjum Pigonia rozrasta się jakby w rzecz o poecie wogóle.

Z pewnem wzruszeniem czyta się to, co mówi on o regjonaliźmie, o zapatrywaniach na unję polsko-litewską, o wzniosłości człowieczeństwa, bo tego nie czytało się dotąd prawie u mickiewiczologów. Nazywa to Pigoń obrazowo, kopułą wzniosłości. A historja stu lat sławy, nie pomijająca żadnej opinji, licząca się z każdą zasługą, uwzględniająca też słynną opinję wielkiego estetyka Volkelta, nawet zapalczywą inwektywą Millera zamyka godnie książkę niewielką, ale pełną bogatej treści. Dawno nie miało się takiej satysfakcji, recenzując dzieło polskiej krytyki. Upadają wszelkie legendy o przesileniu w tej dziedzinie, która może legitymować się takiemi nazwiskami, jak Brückner, Kleiner, Bruchnalski, Łempicki, Borowy, Suchodolski, Adamczewski i inni. Jednego dziś trzeba życzyć polonistyce. Oto, by idąc śladem germanistyki zdobyła się na monografję syntetyczną o Mickiewiczu i poszła torami Simmla i Gundolfa. Takiej monografji oczekujemy od Kleinera lub Pigonia.

Tadeusz Grabowski.

Stasiewski Bernhard Lic. et Dr.: Untersuchungen über drei Quellen zur ältesten Geschichte und Kirchengeschichte Polens (Breslauer Studien zur historischen Theologie, Bd. XXIV 1933), 8°. XX + 178.

Rozprawa ta, według zapowiedzi autora, umieszczonej w zakończeniu, ma stanowić wstęp do zamierzonego opracowania książki p. t. „Zur ältesten Kirchengeschichte Polens". Jest to obszerne omówienie najważniejszych źródeł, na których autor swe dalsze wnioski oprzeć zamierza, mianowicie: 1) opowiadania o Polsce Ibrahima Ibn Jakuba, 2) regestu nieznanego dokumentu *Dagone iudex*, i 3) przywileju cesarza Henryka IV z r. 1086, zatwierdzającego przynależność Moraw i Małopolski do diecezji praskiej. Ponieważ wszystkie te trzy źródła budziły wiele wątpliwości i skutkiem tego posiadają już ogromną literaturę, autor referuje poglądy różnych uczonych i wybiera wśród nich te, które mu się wydają być najlepiej uzasadnione i najbardziej zbliżone do prawdy.

W ten sposób dr. St. ustala, że Ibrahim Ibn Jakub bawił na wiosnę 973 w Merseburgu u cesarza Ottona I, pozatem odwiedził prawdopodobnie Czechy i Morawy, Polskę zaś znał tylko z cudzych opowiadań. Według niego państwo Mieszka jest największe w całej Słowiańszczyźnie i graniczy od wschodu z państwem rusko-słowiańskiem (Rusami nazywa Normanów), od północy z Prusami. Gdzie się znajdowała stolica ludu Ubaba, woju-

jącego z Mieszkiem, dr. St. nie rozstrzyga ostatecznie, ale wypowiada się za Wolinem. Określenia Ibrahima, odnoszone zazwyczaj do Krakowa, uważa za zbyt niejasne i niepewne, aby można się było na nich opierać. Autor oświadcza się jednak za hipotezą Zakrzewskiego i sądzi, że chodzi tu o osadę handlową nad Wagiem, nie o przyszłą stolicę Polski.

Najobszerniej i najstaranniej opracował autor t. zw. dokument *Dagone iudex*. Regest, przekazany w dziele kardynała Deusdedita uważa autor za Zakrzewskim, za streszczenie papieskiego dokumentu lokacyjnego (*nie bulli*, gdyż nazwa ta dla X w. jest anachronizmem). Polski akt oblacji, był zapewne napisany w kurji rzymskiej, według wskazówek posłów Mieszka i stąd rzymskie tytuły ofiarodawców: *iudex i senatrix*. Są nimi Mieszko-Dagone i jego żona Oda wraz z synami tego małżeństwa, najstarszym i najmłodszym. Średni syn, Światopełk zapewne już nie żył, pasierba Ody, Bolesława, ojciec wraz z macochą chcieli zapewne usunąć od dziedzictwa. Przedmiotem darowizny jest Gniezno, z przynależnym krajem, nie Szczecin, co autor szczegółowo i rozwlekle uzasadnia. Granice nadanego papieżowi obszaru rekonstruuje dr. St. zanadto dokładnie i drobiazgowo, podczas, gdy regest zawiera tylko najogólniejsze wskazówki. Sądzi przytem, że Kraków jest objęty darowizną i że granice państwa Mieszkowego sięgają na południ. - zachodzie po rzeczkę Mohrę, wpadającą do Oppy, lewego dopływu Odry, którą za Voigtem utożsamia z nazwą Alemure. Morawy, które autor uważa za wspomniane przez Thietmara „regnum ablatum" Czechom przez Mieszka w r. 990, nie były objęte temi granicami, wobec czego datę darowizny ustala między r. 985 i 990, raczej bliżej ostatniego terminu. Na zachodzie należał do Mieszka cały Śląsk po Bóbr i Kwissę i bieg Odry, aż po jej ujście. Autor kładzie nacisk na prawne znaczenie aktu, jako pierwszej lokacji papieskiej całego państwa, oraz jako podstawy kościelnej niepodległości Polski i jej bezpośredniej zależności od Stolicy Apostolskiej.

Omawiając trzecie zkolei źródło, przywilej cesarza Henryka dla biskupa praskiego Jaromira-Gebharda z r. 1086, autor idzie przeważnie za A. Naglem, oświadczając się przeciw hipotezom Holtzmanna, a poczęści i Zakrzewskiego. Opowiada o założeniu biskupstwa praskiego w r. 973 i o stosunkach kościelnych i politycznych, które poprzedziły akt moguncko-ratyzboński. Przywilej z r. 1086, zgodnie z ogromną większością badaczy, uważa za autentyk, niesłusznie przypisując Loserthowi, Abrahamowi i Potkańskiemu przeciwną opinję. Cytaty, przytoczone przezeń w przypiskach na str. 140, odnoszą się do dokumentu, przedłożonego przez Jaromira w Moguncji, nie zaś do dyplomu z r. 1086. O tym pergaminie, rozwiniętym przez Gebharda na synodzie, powtarza autor zdanie Naglego, że nie był to żaden dyplom podrobiony na imię św. Wojciecha, czy Ottona I, lub papieża, ale

prosty opis granic, o którym biskup ustnie oświadczył, że pochodzi z czasów założenia biskupstwa i że uzyskał zatwierdzenie autorytetów, wspomnianych w narracji dokumentu z r. 1086. A jednak zdanie Potkańskiego, Pekarza i innych badaczy, posądzających Jaromira o sfałszowanie formalnego dokumentu, wydaje się zgodniejsze, tak z odnośnym tekstem Kozmy, jak z charakterem samego Jaromira i z całym przebiegiem sprawy. Przecież synod moguncki, choćby dla pozoru, musiał żądać jakichś dyplomów na poparcie roszczeń ambitnego biskupa. Jakkolwiek jednak wyglądał pergamin okazany w Moguncji, należy się zgodzić z dr. St., że treść jego, choćby nawet poczęści oparta o wiarogodne źródła, w całości odpowiada jedynie ambitnym planom Gebharda, nie zaś rzeczywistym stosunkom, kiedykolwiek istniejącym. Na podstawie tego przywileju, to tylko można stwierdzić, że Władysław, świeżo na króla polskiego ukoronowany, nosił się z zamiarami zagarnięcia przy sposobności, przynajmniej południowej części Polski, a wówczas Jaromir byłby chętnie wcielił całe biskupstwo krakowskie w obręb swojej diecezji. Autor wypowiada się przytem przeciw hipotezie Zakrzewskiego, że wzmianka o Krakowie dotyczy nie grodu nad Wisłą, ale małej miejscowości nad Wagiem.

Rezultatem analizy, przeprowadzonej przez dra St. jest wniosek zgodny w zasadzie z tezą, bronioną gorąco i wielokrotnie przez prof. Zakrzewskiego, że Kraków w drugiej połowie X. w. tylko do Mieszka, nie do Czech, należał. Słabym punktem jest tu relacja Ibrahima, gdyż, o ile był w Czechach, mógł być dobrze poinformowany o przynależności do nich Krakowa, a interpretacja Trkua - Karakua - Krakwa — polski Kraków jest ciągle jeszcze najbardziej przekonywujące. Regest *Dagone iudex* istotnie zdaje się zaliczać Kraków do przynależności Gniezna, gdyż nie wyraża się „a fine Craccoa", jak „a fine Milze", „fine Russe" i „fine Pruzze", ale te dwa świadectwa nie są współczesne, a silnych dowodów, że „regnum ablatum" w r. 990 to były Morawy, autor dostarczyć nie mógł. Jeżeli bałamutną i wątpliwą jest opowieść Ibrahima, to i na regeście Deusdedita nie można budować dalej sięgających wniosków, np. niewiadomo, czy nie opuszczono w nim imienia Bolesława lub średniego syna Ody. Obracamy się ciągle wśród hipotez i daleko posunięta nieufność, najlepiej zabezpiecza badacza przed błędami.

Rozprawa dra St., jak z powyższego wynika, jest mało samodzielną i często zbyt rozwlekle referuje cudze poglądy. Dla Niemców wartość jej polega przedewszystkiem na zebraniu i przedstawieniu wniosków polskich badaczy, trudno dostępnych dla uczonych niemieckich z powodu trudności językowych. Najlepiej, jak wyżej zaznaczono, autor opracował literaturę, odnoszącą się do aktu *Dagone iudex*, najsłabiej, wręcz niewystarczająco — dotyczącą przywileju praskiego. Przeszkodziła mu tu, jak się zdaje

nieznajomość języka czeskiego, ale także niektóre polskie i niemieckie rozprawy przejrzał widocznie b. niedokładnie, skoro, jak wspomniałam, przedstawił błędnie zapatrywania Losertha, Abrahama i Potkańskiego.

W przypisach dr. St. przytacza liczne dosłowne cytaty z polskich rozpraw wraz z niemieckim przekładem, naogół dokładnym i bez tych rozpaczliwych błędów korekty, jakie się zazwyczaj w podobnych wypadkach w niemieckich książkach spotyka. Takie omyłki, jak na str. 11, przyp. 63, przekręcenie tytułu pracy dra Pohoreckiego. Rytmika kroniki Galla-anonima na „Rytmice kronika" z odpowiedniem tłumaczeniem niemieckiem: „Die rhytmische Chronik des Gallus Anonymus" należą do wyjątków. Należy też podnieść z uznaniem, że autor przystąpił do swej pracy bez powziętego zgóry uprzedzenia i bezstronnie starał się rozpatrzyć argumenty pro i contra, wysuwane przez różnych autorów. Że sugestywne i pełne zapału wywody prof. Zakrzewskiego przekonały go (tak jak i wielu innych) silniej, niż niżej podpisaną, z tego oczywiście nie można mu czynić zarzutu, natomiast razi fakt, że czeska literatura, przedstawiająca odmienny pogląd, nie jest w jego książce dostatecznie uwzględniona i omówiona.

Zofja Kozłowska - Budkowa.

Marcel Barrière: Les Princes D'Orleans. Huitième édition — 284 stron. Librairie Gellimard, Paris—43 rue de Beanne.

Pod powyższym tytułem p. Marcel Barrière opisuje swoje przeżycia i wrażenia w charakterze sekretarza księcia Filipa Orleańskiego, wnuka i spadkobiercy ówczesnego pretendenta do tronu francuskiego, księcia Ludwika Filipa, syna króla-obywatela, noszącego oficjalnie tytuł „hrabiego Paryża". Pretendent ten stał się uosobieniem zgody pomiędzy Bourbonami linji królewskiej a Orleanami, ponieważ po śmierci bezdzietnej, wnuka i spadkobiercy króla Karola X, hrabiego de Chambord, stał się szefem dynastji francuskiej, uznanym tak przez legitymistów, jak i przez orleanistów. Hrabia Paryża, przedtem jeszcze „zdradził" sprawę orleańską, sprawę monarchji demokratycznej, uznając legitymistyczne prawo do korony hr. de Chambord, jako Henryka V. Był to piękny gest, uczyniony w interesie pojednania rojalistów, sprzeciwiał się jednak znanemu testamentowi ks. Orleańskiego, własnego ojca, syna Ludwika Filipa: „czy mój syn zostanie królem, czy pozostanie nieznanym i ukrytym obrońcą sprawy, do której należymy, powinien on, przedewszystkiem być człowiekiem swojego czasu i swojego narodu, sługą wyłącznym i namiętnym Francji i Rewolucji". Pamiętajmy, że król-obywatel Ludwik Filip zdobył tron drogą rewolucji i obalenia prawowitego króla Karola X, że był synem słynnego Philippe-Egalité, księcia rewolucjonisty i królobójcy, ściętego przez niewdzięcznych Jako-

binów w okresie „wielkiego teroru". Hrabia Paryża wyrzekł się praw do korony obywatelskiej na rzecz korony legitymistycznej. Nie pomogło to jednak sprawie monarchji, pogrzebanej ostatecznie w 1877 r. przez stanowczą odmowę hr. de Chambord, przyjęcia trójbarwnego sztandaru „rewolucji" (la tricolore), zamiast białego sztandaru Bourbonów, jako godła Francji. Zdarzył się wówczas ten niesłychany wypadek, że mimo ogromnej większości monarchistycznej parlamentu francuskiego, monarchja nie mogła być przywrócona, z powodu doktrynerskiego oporu pretendenta oficjalnego z jednej i lojalności jego współzawodnika z drugiej strony. Zresztą, mimo wszelkich usiłowań premjera ks. de Broglie, którego autor niesłusznie posądza o podwójną grę, nie udało się pozyskać legitymistów do wysunięcia w interesie ocalenia idei monarchistycznej, kandydatury orleańskiej w obliczu szaleńczego oporu hr. de Chambord.

Niestety, ks. Filip Orleański, główny bohater książki p. Barrière, całkowicie poszedł w ślady niefortunnej tradycji, starszej linji Bourbonów. Prędko porzucił on służbę w wojsku angielskiem. Łatwowierny i przesądny, próżny i leniwy, rozrzutny i łakomy, pozbawiony ambicji i wiedzy, niezdecydowany w obliczu przeszkód, skłonny do rozpusty, nieprawdopodobnie zarozumiały na punkcie swojego rodu, swoich rzekomych przywilejów wyższości i — swojej urody i siły męskiej, nie miał on nic w sobie prawdziwej godności wielkopańskiej swoich stryjów ks. ks. de Chartres i d'Aumale, którzy zasłynęli jako dowódcy w czasie wojny francusko-niemieckiej po detronizacji Napoleona III., i z których ostatni trzykrotnie był kandydatem na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej. Autor zresztą, bynajmniej nie odmawia zalet swojemu byłemu chlebodawcy, którego zasłużonem zaufaniem się cieszył. Opisuje on go, jako czarującego w towarzystwie, dowcipnego i zabawnego, choć często rubasznego, doskonałego myśliwego i sportowca wogóle, odważnego i prawdziwie oddanego tym, których uważał za przyjaciół. Nie odziedziczył on po rodzicach wielu zalet, natomiast złe skłonności ojca do „gaf" i uprzedzeń, do niewdzięczności i stronniczości. Był on, — wbrew wpływom oficjalnych doradców politycznych pretendenta (kandydatów na ministrów) z mądrym p. Bocher na na czele, — zdecydowanym zwolennikiem ancien regime'u, bez żadnego zrozumienia dla wymagań współczesnych, do tego stopnia przeświadczonym o Boskiem posłannictwie dynastji, że nie mógł darować „rewolucyjnemu" Papieżowi Leonowi XIII, „zerwania uświęconych tradycji" przez zapoczątkowane za pośrednictwem kardynała Lavigerie, zbliżenie z republiką Francuską. Autor doskonale charakteryzuje istotnie „przedpotopowe" poglądy, panujące na dworze pretendenta.

Szczytem „gaf" Filipa Orleańskiego było brutalne zerwanie zaręczyn z uroczą kuzynką, księżniczką de Chartres, o którego

usprawiedliwienie wobec ojca, miał aż czelność prosić listownie Leona XIII, wskazując na — zbyt bliskie pokrewieństwo. Leon XIII nie odpowiedział mu wogóle, a wytknął ten brak taktu, później jego ojcu. Kompromitującą go bardziej jeszcze „gafą", była podróż jego do Rosji i Austrji w pogoni za kochanką, artystką dramatyczną, występującą na tournée operowej. Ciekawe są, nader krytyczne uwagi autora z tego czasu o Rosji; coprawda podobał się carowi Aleksandrowi III, który tylko na prośbę skrępowanego gościnnością, dla rodziny pretendenta, dworu angielskiego, zrezygnował z uroczystego przyjęcia „następcy tronu francuskiego". Jakkolwiek bądź, podróż ta wypadła lepiej, niż podróż hrabiego Paryża po Stanach Zjednoczonych, których Prezydent nie chciał go przyjąć z powodu wygłaszania przezeń w gronie b. uczestników wojny domowej (w której pretendent brał udział po stronie przeciwników niewolnictwa) przemówień antyrepublikańskich.

Najgorzej już się przedstawia zależność Filipa Orleańskiego od dwóch żydów, Artura Meyera i br. Maurycego Hirscha, z których pierwszy, jako redaktor monarchistycznego „Gaulois" był jego tubą reklamową, drugi zaś, jako bogaty finansista — jego wierzycielem. Autor charakteryzuje, zwłaszcza oryginalną rolę Meyera, który faktycznie kierował propagandą monarchistyczną we Francji i m. i. zorganizował słynną eskapadę ks. Orleańskiego do Paryża — wbrew ustawie o banicji dynastji — z żądaniem odbycia służby wojskowej! Rząd p. Tirard, zamykając go za to w więzieniu na 6 miesięcy, oddał ogromną przysługę propagandzie monarchistycznej.

Autor słusznie piętnuje brutalność okrutnej ustawy banicyjnej z 1886 r., która m. i. pozbawiła ks. ks. de Chartres i d'Aumale ich krwią zdobytych stopni generalskich, przyznaje jednak, że spowodował je hr. Paryża, urządzając w Paryżu oficjalne przyjęcie z okazji ślubu swojej córki z ks. następcą tronu portugalskiego, na które zaprosił ambasadorów i posłów państw obcych w swoim charakterze pretendenta do korony!

Bezdzietność Filipa Orleańskiego spowodowała przejście beznadziejnych jego praw do obecnego hrabiego Paryża, syna księcia de Guise i wnuka wspomnianego wyżej ks. de Chartres przez małżeństwo ks. de Guise z Izabellą Orleańską, trzecią córką ś. p. hrabiego Paryża (ks. Ludwika-Filipa) i siostrą tegoż Filipa Orleańskiego. Jedyną po nim pamiątką, pozostały pamiętniki myśliwskie jego z Indyj, Afryki i okolic podbiegunowych.

Książka p. Barrière, napisana objektywnie i bez żalu za cokolwiek bezceremonjalne i niezasłużone wydalenie go ze służby pretendenta, jest bardzo pouczającym przyczynkiem do krytycznego ustosunkowania się współczesnych konserwatystów do monarchizmu, reprezentowanego przez ideę dynastyczną.

Adam Romer.

W. H. Edwards: Paul der Dritte oder die geistliche Gegenreformation, Leipzig 1933, bei Jakob Hegner, str. 282.

W dotychczasowej literaturze historycznej, dotyczącej dziejów reformacji i przeciwreformacji nie znajdzie się, zdaniem Autora, ani jednej pracy wolnej od apriorycznych założeń i tendencyj, przedstawiającej tę sprawę objektywnie i rzeczowo. Wszyscy historycy tego okresu, tak katolicy jak protestanci zabarwili swe dzieła odpowiednio do swej przynależności wyznaniowej. Błąd ten chce naprawić Edwards, oddający swą książkę społeczeństwu „w zaraniu nowego państwa niemieckiego", (pisał ją w kwietniu 1933 r.), książkę wolną od błędu i tendencji, bo pisaną *sine confessione*, chociaż *non sine fide* (str. 10).

Czy Autor wypełnił swą obietnicę i obdarzył nas dziełem naprawdę przełomowem i epokowem?

Przyznać należy, że w sposobie ujęcia przedmiotu i jego wykładu Edwards jest tak oryginalny, że w literaturze naukowej trudno znaleźć pisarzy, którzyby mu za wzór służyć mogli, co więcej spodziewać się wypada, że w świecie naukowym nie prędko doczeka się on naśladowców. Reformację i walkę z nią pojmuje jako dramat. Europa ówczesna to scena, przez którą przesuwają się aktorzy — władcy państw, przedstawiciele hierarchji kościelnej i wodzowie reformacji. Tej teatralnej koncepcji odpowiadają tytuły poszczególnych ksiąg: *Die Dramatische Dreieinhalf, Schauspieler und Regisseure, Endlich auf der Bühne, Die Dramaturgen der römischen Reformation.* Na tę niezwykłą formę wykładu historycznego możnaby się ostatecznie zgodzić, gdyby naprawdę odzwierciedlała prawdę dziejową. Niestety rzecz się ma wręcz przeciwnie. Aktorzy, których Edwards w swych reżyserskich zapędach stroi w odpowiednie kostjumy, mające uwydatnić ich charakter i sposób działania, to do niemożliwości zniekształcone karykatury. Cechą istotną wszystkich papieży od głębokiego średniowiecza aż do Pawła III włącznie, to dążność do podboju całego świata pod ich świeckie panowanie. Religję i szerzenie wiary wśród ludów pogańskich traktują oni jako środek do swych dalekosiężnych zaborczych zamysłów. Juljusz II to, „kondotjer w sukni kapłańskiej oraz bardzo dzielny towarzysz swoich żołnierzy", Leon X to esteta oddany całą duszą szerzeniu „pozawyznaniowego królestwa ducha" (str. 11). W przeddzień wybuchu reformacji „najlepsze głowy Watykanu... poczęły wątpić w jedynie uszczęśliwiającą zbawczą moc dogmatycznego skarbu i praktyki kościoła" (str. 12—13). Na kilku miejscach powtarza Autor bajkę o „handlu odpustami" (np. str. 28, 48), zarzuca Papieżom, że „denar św. Piotra" obracali wyłącznie na rozbudowę i upiększanie Rzymu oraz na utrzymanie swych najemnych armij (str. 12).

Szkoda jednak drogiego czasu i miejsca na wyliczanie całego szeregu „nowych zdobyczy" Edwardsa, zdobyczy od których roi się już oddawna w protestanckich tendencyjnych publikacjach.

Z jakich źródeł zaczerpnął Edwards swe „nowe wiadomości"? Na to odpowiedzieć trudno, gdyż w książce zupełnie brak wykazu bibljograficznego, nie znajdzie się tam odsyłaczy i materjału dowodowego. Tu i ówdzie w tekście widnieją wstydliwe i jakby z bojaźnią przemycone nazwiska prawdziwych informatorów Edwardsa. Któż oni są? Pastor, Grisar, Denifle, czy wielotomowe *Acta Concilii Tridentini*?... Niestety, nic podobnego. Zamiast nich figuruje Renan, Creighton, Brandi, Buckle, Ranke!

Tak wygląda naukowość, wszechstronność i przedmiotowość książki Edwardsa. Nie spowoduje ona przełomu w badaniach nad reformacją ale pozostanie nowym objawem chorobliwej, pretensjonalnej grafomanji.

Ks. Jan Popiatek T. J.

Geisler Walter: Die Sprachen-Nationalitätenverhältnisse an den deutschen Ostgrenzen und ihre Darstellung. Kritik und Richtigstellung der Spettschen Karte. (Ergänzungsheft Nr. 217 zu *Petermanns Mitteilungen*). Gotha 1933. 8°. str. 76, map 5.

Wymieniona w tytule praca profesora wrocławskiego wyszła jako ostatnio wydany zeszyt dodatkowy do znanego wydawnictwa naukowego *Petermanns Mitteilungen aus J. Perthes Geographischer Anstalt,* a więc pod firmą, zdawałoby się poważną. Czytając ją, trudno wprost uwierzyć, jak pod pokrywką rozprawy naukowej można było przemycić tyle złej wiary, naciągania i bezczelności. Pozornie, jest to tylko rewizja mapy językowej, wydanej w Wiedniu w r. 1918, przez J. Spetta. Ponieważ mapa ta służyła jako jeden z argumentów (w oświetleniu autora wygląda, jakgdyby była jedynym argumentem) propolskich w czasie rokowań pokojowych, przeto autor stara się dowieść, że mapa ta jest podstępnem fałszerstwem, a zarazem sugeruje czytelnikowi, że została wydana przez któregoś z polityków polskich, a Spett był tylko podstawionym figurantem. W rezultacie okazuje się, że zarzuty metodologiczne Geislera są nieistotne, a mapa, „poprawiona" przez niego, nie różni się w zasadniczych zarysach od mapy Spetta i przemawia w dalszym ciągu za słusznością dokonanych rozstrzygnięć politycznych. Dwie są główne różnice między mapą Spetta a Geislera: Geisler pozostawia w kolorze białym na obszarach spornych tereny, rzekomo niezamieszkałe, (ale nie czyni tego na obszarach rdzennie niemieckich), by wywołać wrażenie, że obszar polski nie jest jednolity, a następnie, gdzie tylko się da, wprowadza w miejsce języka polskiego sztuczne, rzekomo odrębne języki: „mazurski", „kaszubski" i „górnośląski" i oznacza je kolorem, zbliżonym do tego, jakim oznacza tereny niemieckie. Obliczone to jest na działanie sugestywne, które autor zachwala mocno w tekście. Ponieważ zmiany te, właściwie nic nie mówią, więc ta sama metoda sugestji ma wzmocnić działanie

mapy, gdy autor w tekście towarzyszącym interpretuje fałszywie, a z zuchwałą tendencyjnością, zarówno mapę Spetta, jak swoje poprawki. Ważniejsza bowiem, niż sama mapa, jest dołączona do niej rozprawa. Zmierza ona jedynie i wyłącznie do tego, by udowodnić na zasadach geopolityki, odpowiednio przyprawionej, a raczej narzucić wrażenie, że wszystkie terytorja „odstąpione" Polsce, (nie mówiąc już o pozostałych przy Rzeszy), są ni mniej, ni więcej, tylko odwiecznie, niewątpliwie, historycznie, językowo, etnograficznie, kulturalnie i jako „Naturlandschaft" i jako „Kulturlandschaft" i jako „deutscher Kulturboden" itd., itd., — terenem niemieckim i nigdy polskiemi nie były. W tem świetle rozbiór Polski jest aktem sprawiedliwości dziejowej (w interpretacji autora: zakończeniem naturalnego procesu dziejowego), a Traktat Wersalski dokonał pogwałcenia prawa narodów i rabunku ziemi niemieckiej (dosłownie: „einen glatten Völkerrechtsbruch, einen Raub deutschen Landes", str. 70). „Argumentacja" autora kulminuje w twierdzeniu, że niema żadnego „korytarza" polskiego, że „wyspa" polska nad Bałtykiem nie łączy się „n a w e t n a j w ę ż s z y m p a s e m" [1]) z rdzenną Polską, natomiast istnieje „most" niemiecki między Rzeszą a Prusami Wchodniemi, (str. 69). Więc wniosek oczywisty: „Nach der Berichtigung (scil. mapy Spetta) durfte kein Teil des deutschen Ostens weiter abgetreten werden" (str. 70). A więc to o to szło! *Hier liegt der Hund begraben!*, jak można wytwornie powiedzieć w języku p. Geislera. Na to był przeznaczony tak duży wkład pracy p. Geislera i jego asystentów i na to nagromadzono taki stek fałszów. By osiągnąć tak piękne rezultaty badawcze musiał autor stosować równie piękne metody naukowe. A więc naturalnie język ludności nie dowodzi przynależności narodowej, jeśli świadczy z a Polską. Nawet „języki": „mazurski", „kaszubski", „górnośląski" nie dowodzą, że ludzie, władający niemi, są narodowości „mazurskiej", „kaszubskiej", „górnośląskiej". Mówią oni j e s z c z e temi językami słowiańskiemi, ale kryterjum kulturalnej przynależności każe zaliczać ich do Niemców. Ale całkiem przeciwnie jest, gdy język może świadczyć p r z e c i w Polsce. Niema znaczenia w oczach autora fakt, że Kaszubi przy spisie ludności podawali się za Polaków. By dowieść, że nie są Polakami, stosuje gwałtem nie co innego, jak tylko... właśnie kryterjum językowe, oczywiście „język" „kaszubski". A więc raz tak, raz tak. Nie jak prawda, ale jak wygodniej! Ale i własne wypowiedzenia się ludności, czy słowem, czy czynem, nie znaczą dla autora nic i są przezeń naciągane, jak mu się podoba. Nie znaczą nic własne zapodania ludności, że mówi po polsku: to fałsz, złudzenie, lub rezultat „demagogji" emisarjuszy polskich (nazywa ich autor „gewissenslose Hetzer" str. 19). Nie znaczą nic powstania: wielkopolskie i ślą-

[1]) Podkreślenie autora.

skie. Ale tam, gdzie plebiscyt wypadł na korzyść Niemiec, to całkiem co innego, tam wypowiedzenie się ludności jest dla autora nietykalne. Wynik plebiscytu jest jedynym niemal argumentem p. Geislera, gdy idzie o obszary Śląska, pozostałe przy Niemczech, których skład narodowościowy występuje jasno, nawet na jego mapie i nie mógł dlań stanowić argumentu za Niemcami.

O tem, w jakich warunkach odbył się ten plebiscyt, o terorze, fałszerstwach i gwałtach, o masowym najeździe emigrantów niemieckich w dniu plebiscytu na teren plebiscytowy, niema naturalnie ani wzmianki, jak niema wzmianki o tem, w jakich warunkach i jakiemi metodami odbywała się i odbywa „pokojowa" germanizacja od czasów krzyżackich do dziś. Bo i w wieku XIX obrona kardynalnych praw narodowych, to w oczach p. Geislera, polska „demagogja", przeciw której rząd pruski — niewinny, skrzywdzony baranek — „musiał" bronić się — ustawami wyjątkowemi.

Najzabawniej, a raczej najbardziej oburzająco, wyglądają wywody Geislera tam, gdzie chce dowieść, a raczej wmówić w czytelnika, że na najbardziej rdzennych obszarach Polski, jak Poznańskie, co więcej Kujawy, Polacy są elementem napływowym, a gospodarzami — Niemcy. Bo na wysokości argumentów językowych autora, stoją jego informacje historyczne. Przecież musi dowieść, że i w przeszłości Polska zachodnia wraz z całą Europą środkową należała do niemieckiego „terenu kulturalnego" („deutscher Kulturboden"). A że przy tej okazji głosi fałsze historyczne, że przeskakuje szereg momentów rozwoju dziejowego, a sięga aż w pradzieje — to drobnostka. Bo przecież „die slavische Welt... ist als Ganzes betrachtet e i n e E p i s o d e i n O s t d e u t s c h l a n d" [1]) (str. 20).

Niepodobna wchodzić tu w szczegóły i krok za krokiem śledzić perfidne wywody Geislera. Sygnalizuję je tylko, bardziej powołanym ode mnie. W o ł a m g ł o ś n o n a a l a r m!

Piętnując metody autora, nie możemy jednak jego książki lekceważyć. Ma ona dla nas wielką wartość (tak!) Będąc fałszowaniem przeszłości, zawiera wiele prawdy na przyszłość. I prawdy gorzkiej. Uważne wczytanie się w nią, wyświetli niejedno przyszłe niebezpieczeństwo dla polskiego stanu posiadania narodowego Wskaże, zwłaszcza dwie rzeczy: 1) jakiemi drogami i w jakiem tempie postępuje germanizacja ziem, pozostawionych przy Rzeszy; 2) jakie zasady mogą wysunąć Niemcy przy rewizji traktatów. Niedarmo p. Geisler powtarza uparcie, że dzisiejsze stosunki narodowościowe na obszarach przyznanych Polsce, są bez znaczenia. Niedarmo rzuca oszczercze oskarżenia rządu polskiego o gwałt i teror. Niedarmo z takim nakładem pracy chce ustalić

[1]) Podkreślenie autora.

stan narodowościowy z r. 1910. Niedarmo wreszcie forsuje zasadę bezwzględnego, a nie procentowego oznaczania stosunków narodowych na mapach ludnościowych. Z tych względów, książka p. Geislera jest jednem jeszcze *memento*. Woła głośno: *„caveant consules!"*

Demagogiczne wywody Geislera i ich ton, godny brukowca, nie zasługiwałyby nawet na wzmiankę, a tembardziej na jakąś reakcję ze strony polskiej. A jednak uczeni polscy nie pozostawią jej chyba bez rzeczowej odpowiedzi. Unicestwienie perfidnych dowodów jest koniecznem, bo rzecz została ogłoszona w wydawnictwie naukowem, znanem i poza granicami Niemiec, bo jaskrawa jej tendencyjność okrywa się kusą szmatką metod naukowych, łatanych p o z o r a m i naukowości i najwidoczniej była pisana *pro foro externo*. Fałsze Geislera są dość łatwo dostrzegalne dla każdego, kto obeznany jest jako tako z dziejami Europy wschodniej, a nawet zwykłemu czytelnikowi rzucają się w oczy przy głębszej rozwadze. Jego tezy geopolityczne, zwrócone ostrzem przeciw Polsce i mocarstwom ententy, można bez trudności obrócić przeciw niemieckim metodom politycznym. Mimo to, zachodzi obawa, że bezkrytyczny czytelnik obcy, mógłby pójść na lep tytułu profesorskiego i rzekomej bezstronności autora. Nam w Polsce to nie grozi. Wiemy, że książka Geislera jest tylko jednem ogniwem więcej w długim szeregu dzieł tego samego typu. Nas one nie dziwią. Poprostu stanowią wymowny komentarz do świeżej przyjaźni polsko-niemieckiej. Komentarz jest wprawdzie trochę dawniejszy, niż ta przyjaźń. Ale my mamy dobrą pamięć... Pana Geislera nie zapomnimy napewno.

Dr. Zofja Ciechanowska.

Giuseppe Messina: D e r U r s p r u n g d e r M a g i e r u n d d i e Z a r a t h u s t r i s c h e R e l i g i o n. Roma, Pont. Ist. Bibl. 1930, 8 vo, str. 102.

Ważny ten przyczynek do zoroastryzmu, dokonany pod auspicjami znakomitego iranisty, zgasłego przedwcześnie prof. Markwarta, wyświetla zawiły problem początku magów i stosunku ich do nauki Zarathustry. Ponieważ i w starożytności i po dziś dzień sprzeczne tu panowały mniemania, autor śledzi mozolnie, na podstawie relacji Plinjusza (nat. hist. 30) za jego źródłami, które odkrywa w Apionie, zależnym znów od Bolosa Demokryta i (pośrednio) od Hermippa. Ujemny sąd Plinjusza o magach, których uważa za czarodziejów i wróżbiarzy tem się tłumaczy, że w jego źródłach zatarła się już poniekąd różnica między „magją" egipsko-żydowską oraz chaldejską, a magami mędrcami, wyznawcami Zarathustry. Różnica ta uwydatnia się wyraźnie w źródłach Hermippa, u historyków i filozofów greckich, zbliżonych do Platona. Autor konstatuje, że już w IV w. nazwa „maga" utarła się między ludem w znaczeniu szarlatana i kuglarza, zapewne skutkiem ze-

tknięcia się magów perskich z astrologją i mantyką chaldejską, ale uczeni greccy odróżniali ją dobrze w sensie powyższym. — Do tego samego wniosku autor dochodzi na podstawie młodszej literatury awestyjskiej i średnioperskiej (pehlevi), wskazując na przejawiający się tam wstręt do czarów, podczas gdy mantyka nie ma wcale charakteru planetarnego, ale raczej mistyczny. — Najstarsze wkońcu teksty gatyjskie zawierają nazwę „maga", w sensie prawdopodobnie „daru" (niebieskiego, t. j. nauki Zarathustry), skąd wniosek, że magowie nie byli jakimś odrębnym szczepem medyjskim (Herodot), lecz raczej stanem (klanem) wyznawców zoroastryzmu. Zwartość i separatyzm magów tem się tłumaczy, że system filozoficzno teologiczny Zarathustry nie był dostępnym dla ogółu, który przyjął jedynie jego naukę społeczno etyczną i połączył ją z dawnemi wierzeniami i kultem, czemu i magowie przeszkodzić nie mogli. Że religja Zar. nigdy popularną nie była, o tem świadczy choćby łatwa propaganda islamizmu wśród Persów. — Wewnętrzna ewolucja mazdeizmu doprowadziła z powodu niewyrównanych różnic w nauce gatyjskiej oraz pod wpływem filozofji greckiej do Zarwanizmu, ale przytem pozostał i pierwotny dualizm w kołach prawowiernych. Zewnętrzna akomodacja zato szła po linji popularnych wierzeń mitrajskich i kultu ofiarnego, obcego dawnej nauce. — Rozprawa, przeznaczona raczej dla fachowców, doczekała się aplikacji do historji ewangelicznej w dalszej rozprawie autora, *I Magi a Betlemme e una predizione di Zoroastro,* Rzym 1933 oraz w popularnem przedstawieniu *Ecce Magi ab Oriente venerunt,* w Verbum Domini, Rzym 1934, t. 14, z. 1, str. 7—19, gdzie O. Messina dochodzi do wniosku, że magowie ewangeliczni, to właśnie mędrcy mazdejscy, którzy na podstawie własnych tradycyj religijnych spodziewali się Zbawcy świata (tekst „proroctwa" łatwo dostępny w *Religionsgesch. Lesebuch* A. Bertholet'a wyd. II, z I, K. F. Geldner, *Die Zoroastrische Religion,* r. 1926, str. 45 n).

Ks. M. Morawski T. J.

Roman Kołoniecki: Społeczne zadania literatury. Szkic publicystyczno-krytyczny. Z przedmową Adama Skwarczyńskiego. Warszawa 1934. Wydawnictwo „Droga". 8°. str. 58, nl. 1.

Niewielki tomik, stanowiący nr. 7 Bibljoteki „Drogi", zasługuje bardzo na uwagę i nie powinien przejść niedostrzeżony. Świadczy bardzo dodatnio o osobistem wyznaniu wiary autora, który dał się już poznać jako subtelny poeta. Jest też jednak jednym z wyrazów coraz szerzej brzmiącego odezwu wśród młodej literatury, nawołującego do cofnięcia się z drogi egotyzmu i rozbudzania w sobie poczucia odpowiedzialności społecznej za dzieło sztuki. Kołoniecki ujmuje te hasła w sposób oryginalny i przemyślany głębiej, chociaż stylem trochę zawiłym. Podstawą jego definicji zadań literatury jest pojęcie mitotwórstwa, zapoży-

czone od Bergsona i przeniesione z dziedziny religji i moralności na dziedzinę pracy artystycznej. W skład pojęcia sztuki wchodzą, zdaniem autora, trzy integralne pierwiastki: pierwiastek mitologiczny, pierwiastek aktualizmu i osobowość artysty. Pisarz, jako twórca mitów społeczno-wychowawczych to ten pożądany czynnik, którego rację istnienia i charakter stara się Kołoniecki zobrazować w swych rozważaniach. Literatura bowiem jest funkcją społeczną, czy pisarz o tem wie, czy nie wie. Rzecz w tem, aby stawała się tą funkcją w sposób świadomy i odpowiedzialny.

Z tym naczelnym postulatem autor wiąże szereg myśli uderzających trafnością w dostrzeganiu zjawisk dzisiejszej rzeczywistości kulturalnej. Jedną z nich jest rozróżnienie ideologji, jako zjawiska wtórnego, logicznie wyrozumowanego, gotowego do realizacji, którego narzędziem jest publicystyka, od mitu, który jest irracjonalny, niezmienny, pełen wartości wychowawczo-emocjonalnych. Przeciwstawia się tu autor rozwielmożnionej modzie reportaży, które nie są narzędziem ani mitu, ani ideologji, lecz tylko mechaniczną rejestracją o charakterze naturalistycznym, fotografią, a nie sztychem, są wyrazem aktualności, nie aktualizmu. Z pośród mitów, które wydała obecna doba, zajmują autora te, co odznaczają się wyjątkowo szerokim zasięgiem oddziaływania: mit proletarjatu, wyjątkowo modny, a utożsamiony przez niektórych pisarzy ze sprawą społeczną wogóle i mit pacyfizmu. Słusznie dostrzega autor sprzeczność między jednym a drugim z nich, między marksowską walką klas, a ideą burżuazyjnego pokoju. Świadczy to o bystrem jego spojrzeniu na zjawiska społeczne. Za mit oczekujący narodzin, szczególnie potrzebny w dzisiejszej Polsce, uważa Kołoniecki mit państwowości w ujęciu Wyspiańskiego: naród jako państwo. Ale nie zaślepia go to hasło. Jak Norwid wznosi się do religijnej niemal koncepcji narodu: jest to wspólnota, utworzona przez Boga i wykonywująca powierzoną sobie misję w dziele realizacji Królestwa Bożego na ziemi. „Ten potężny mit Norwidowy, pisze, jest koroną wszystkich mitów wychowawczych, i jeśli nie dziś, to jutro musi go podjąć sztuka i literatura polska, by uczynić zeń mapę przyszłej drogi duchowej. W nim bowiem, poprzez mit państwa, załamują się obecne siły destrukcyjne i groźne: krańcowy nacjonalizm i krańcowy kosmopolityzm, tworząc szczęśliwą i mądrą syntezę".

Autor zajmuje się dalej zagadnieniem postawy pisarza. Żąda odeń postawy wychowawcy, który z wyższością „klerka" potrafi połączyć żywe współczucie z twórczą działalnością społeczną. Ale i postawa życiowa pisarza musi być postawą wychowawcy. Polega to przedewszystkiem na zgodności życia osobistego pisarza z moralną bazą jego własnego dzieła, bez czego społeczno-dydaktyczne cele literatury nie dadzą się osiągnąć. „Prawdziwy poeta musi się zatroszczyć o to, by chwile duchowego jednoczenia się z czytelnikiem były chwilami czystego uniesienia.... „Au-

tor uważa nawet, że „jako szermierz sprawy moralnej, pisarz ma obowiązek poddania swego prywatnego życia rygorom pewnej askezy obyczajowej", przyczem ma tu na myśli przedewszystkiem niezależność od przyziemnego patrzenia na sprawy materjalne i osobiste burze życiowe. Część druga rozważań poświęcona jest przeciwstawieniu psychologizmu i socjologizmu w postawie twórczej, przyczem i tu poczucie harmonji każe Kołonieckiemu unikać skrajności i szukać ideału w syntezie.

Pomimo pewnej jednostronności w ujęciu, zwłaszcza dawniejszych epok literatury, mimo nieliczenia się z niektóremi prawami psychologji twórczości, piękna i mądra książeczka p. Kołonieckiego zasługuje na rozważenie. Rzuca ostre błyski światła na współczesną rzeczywistość i niektóre zjawiska dzisiejszej literatury. A choć ideały przez nią głoszone nieprędko zapewne doczekają się realizacji, są niemniej tem, czem jest ideał zawsze: światłem przewodniem w zamglonym chaosie zdarzeń.

Z. K. Ciechanowska.

L. Bertrand, człon. Akad. Franc. Posiew krwi. *(Sanguis Martyrum)* tłum. Anna Kicińska Kraków. Wyd. Ks. Jezuitów 1934 str. 315.

Wśród powodzi lichych przekładów równie lichych powieści obcych ukazuje się piękny przekład prawdziwie pięknego dzieła literatury francuskiej: Autor, jeden z wybitnych pisarzy francuskich doby obecnej, znakomity znawca Afryki północnej (co się wyczuwa w prześlicznych opisach jej przyrody), sięgnął tym razem po temat do dziejów rzymskich z trzeciego wieku po Chrystusie, do dziejów jednej prowincji olbrzymiego imperjum i dał nam z jednej strony obraz systemu tych silnych rządów (bezwzględny teror, religja państwa, pogarda dla „barbarzyństwa" t. j. dla wszystkiego co nierzymskie), z drugiej — obraz świata chrześcijańskiego. Za tem, że ten drugi obraz oddany jest wiernie, bezstronnie, przemawia okoliczność, iż Bertrand maluje nam wśród chrześcijan nie samych bohaterów, nie samych świętych; są między nimi i renegaci, i ludzie bojaźliwego serca, i chrześcijanie tylko z nazwiska (jak w czasach obecnych: katolicy „tylko z metryki"). Chwilowa przerwa w prześladowaniach uśpiła niejednych, ostygli w wierze; spokój, wygody, zbytek, wchłonęły w siebie lepsze strony ich jestestwa. Sam bohater powieści Cecylius Natalis, chrześcijanin, pięćdziesięcioletni senator rzymski, właściciel obszernych włości, przywiązany jest do otaczającego go świata bardzo wielu nićmi, tkwi w nim duszą i ciałem, musi przejść przez całą gehennę udręczeń moralnych i fizycznych, zanim rozgorze w jego sercu iskra boża i buchnie wielkim płomieniem. Autor prowadzi nas poprzez wszystkie etapy wewnętrznych przeobrażeń dumnego senatora, rozleniwionego a namiętnego Afrykanina: od obojętności czy bierności, od gorącego przywiązania do

rzeczy ziemskich — do obudzenia się sumienia, a potem męstwa wyznawcy (na widok męczeństwa przyjaciela), a potem przez ból i mękę — do samych szczytów, do mistycznego spokoju i radości w oczekiwaniu śmierci męczeńskiej. Te przeobrażenia, to wahanie się temperatury duchowej bohatera stanowi główną osnowę powieści. A poza tym czynnikiem psychologicznym porywa nas piękno jej artystyczne, jej wspaniałe ramy: cudne opisy przyrody afrykańskiej, pełne grozy opisy kopalń w Sigus, gdzie wśród najstraszliwszych męczarni pracowali dla imperjum rzymskiego skazańcy — zbrodniarze, ze wszystkich jego krańców i .....chrześcijanie. Widok tego piekła, tego nieludzkiego znęcania się ludzi nad ludźmi nasuwa po raz pierwszy obojętnemu dotąd na takie rzeczy senatorowi filozoficzną uwagę, że jednak „człowiek jest dziwnem zwierzęciem"... Świetne sceny obyczajowe, jak np. opis wyjazdu na łowy świty prokonsula Afryki, opis święta winobrania w Kartaginie itp. świadczą o poważnych studjach historycznych autora. Nieporównanie piękną w swej prostocie jest scena Komunji św. w kopalni, oraz scena końcowa: męczeństwo i ofiara.

Myślącemu czytelnikowi, który w powieści nie samej tylko szuka fabuły, bezwiednie nasuwają się porównania z chwilą obecną i konstatuje on, że jednak mimo odległości czasu i miejsca, mimo postępu kultury i cywilizacji w gruncie rzeczy mało zmieniło się na świecie w duchowych dziejach ludzkości; zwłaszcza nas, żyjących w okresie powojennym, uderza ten sam, wciąż się wzmagający — antagonizm ras, przerost idei państwa, no — i całe to nowoczesne pogaństwo jakże w swej istocie do starożytnego podobne! Ta sama dziś bezczelność złych (bo jeszcze „zło nie zostało zwyciężone"), ta sama często nieśmiałość czy słabość dobrych, to samo przecenianie walorów fizycznych i materjalnych, a obniżanie duchowych itd., itd. Sam autor przyznaje w prologu, że miał „na myśli to, co wciąż żyje, co zawsze jest nam współczesnem"; chciał też podnieść „znaczenie mistyczne ofiary", jej płodność, chciał przypomnieć chrześcijanom doby dzisiejszej konieczność dawania „świadectwa sprawiedliwości i prawdzie".

Piękna książka. Powinna się znaleźć w każdym kulturalnym domu katolickim.

Anna Popielowa.

Helena Niewiadomska; Broń się prawdo! O Buncie Młodzieży Lindseya. Kielce 1933 (Dom Książki Polskiej. Warszawa). Str. 152.

We wartości pomysłów Lindseya zorjentowano się w sferach poważniej myślących dość szybko, a rozgłos, jaki wywołał w Ameryce swemi książkami, już minął. Jeśli na starym kontynencie nazwisko jego jest głośne, przypisać to należy raczej okoliczności, że poruszone przez niego zagadnienia zawsze są aktualne, a po-

dany sposób rozwiązania idzie po linji dzisiejszego obniżenia poziomu obyczajowego. Z tych względów książka p. Niewiadomskiej, rozprawiająca się z obecnym stanem rzeczy, jest rzeczywiście publikacją na czasie.

Autorka ogranicza się do jednej tylko, tłumaczonej także na język polski, książki Lindseya p. t. *Bunt Młodzieży*. Z wielkim nakładem pracy stara się uporządkować rozrzucony w niej materjał i zestawia systematycznie, z przytoczeniem licznych tekstów, pobudki, cele i poglądy Lindseya, a następnie poddaje je rzeczowej krytyce, wykazując brak ścisłości pojęć, błędne i szkodliwe dla porządku moralnego i społecznego zapatrywania, liczne niekonsekwencje i sprzeczności, nierealność proponowanych sposobów rozwiązania.

Rozprawa ujęta jest ściśle rzeczowo, nie ogranicza się do samej polemiki, lecz uzupełniona jest pozytywnemi wyjaśnieniami. Co do tych ostatnich uważny czytelnik musi jednak pamiętać, by nie utożsamiać ich z jakimś wyczerpującym wykładem lub z systemem etycznym czy religijnym, inaczej bądźco do objęcia całokształtu materji, bądźco do pewnych wyrażeń można podnieść niejedno zastrzeżenie. Autorce, sądzimy, chodziło tu raczej o wypuklenie pewnych punktów widzenia, z jakich chciała poddać krytyce poglądy amerykańskiego pisarza — i to powiodło się jej szczęśliwie. Nie zajmując się bynajmniej kwestją „winy" Lindseya, przyznaje mu słuszność, kiedy przeciwstawia się złu obecnemu, ale zarzuca i udowadnia, że robi to „przez zło", że „chwycił za broń fałszywą, dzięki czemu nietylko nie wygrał, ale na całej linji przegrał, wzmacniając zło przez rzucenie światu fałszywej recepty". Wartość książki powiększają nadto liczne uwagi, dotyczące zagadnień seksualnych, w których autorka — jak wynika z przedmowy, lekarka — mogła zabrać głos z dostateczną kompetencją.

Ks. St. Podoleński T. J.

Robert Chabrié, Docteur ès-Lettres de Genève, Michel Boym, Jesuite Polonais et la Fin des Ming en Chine (1646—1662). Contribution a l'Histoire des Missions d'Extrême-Orient. — Éditions et Publications Contemporaines, Pierre Bossuet, 8, rue Notre-Dame des Champs Paris — VI-e. 1933, 8⁰, Str. A — Q+II+283.

Chyba o żadnym polskim misjonarzu nie było tak głośno w zagranicznem piśmiennictwie jak o ks. Michale Boimie T. J. Nie dziw, dwakroć opłynął Afrykę, trzykroć Indje, przeszedł niemal całe Indochiny i Chin właściwych spory szmat zwiedził, a nadto przejechał konno całą Persję i Azję Mniejszą. Nietylko podróżował, ale wszędzie baczną zwracał uwagę na zwyczaje i obyczaje miejscowe, szkicował orjentacyjne mapki, odmalowywał niespotykane w Europie zwierzęta i kwiaty, w wolniejszych zaś chwilach od pracy misyjnej tłumaczył na łacinę rozprawy chiń-

skich uczonych. I tak to poczęści z własnych spostrzeżeń polskiego misjonarza a poczęści z dorobku drugich powstało parę prac kartograficznych i kilka z dziedziny synologji, z których bodaj czy nie najważniejsze studja o florze chińskiej i dwie prace o diagnostyce chińskich lekarzy. Niecały przez siebie zebrany materjał zdołał O. B. obrobić i ogłosić drukiem, nie wszystko także co poszło pod prasę, wiedzie samoistny żywot książki czy choćby broszurki. Zarówno głośny podówczas jezuicki geograf Riccioli, jak polihistor O. Kircher chętnie korzystali z współpracy O. Boyma podczas jego paroletniego pobytu w Rzymie, w charakterze nadzwyczajnego posła od katolickiej cesarzowej chińskiej do papieża Innocentego X, w latach 1650—1656 r.

O poselstwie tem różnie sobie szeptano nietylko po klasztorach rzymskich, ale nawet na dworze papieskim. Poprostu nie chciano wierzyć w autentyczność tak poselstwa jak samego posła, sprawa zalatywała niesłychanym skandalem. Jest to więc niemała zasługa Autora Boimowskiej monografji, że właśnie ten moment z życia naszego misjonarza wyświetlił w sposób nie pozostawiający najmniejszych wątpliwości. Oparł się na dokumentach Archiwum Propagandy, dotychczas nigdzie nie ogłaszanych. Pozatem przewertował przebogate archiwum portugalskie Ajuda, które posiada przeszło sześćdziesiąt foljałów różnych dokumentów odnoszących się do historji Jezuitów na Dalekim Wschodzie. Sporo materjału dostarczyły mu również archiwa francuskie i weneckie. Wobec tak silnej podbudowy archiwalnej nasuwa się pytanie, czy praca p. Ch. jest już na całej linji pełną biografją O. Boima?

Sądzę, że nie. Sporo jeszcze spuścizny Boimowskiej i to bardzo poważnej, bo autobiograficznej, uszło niestety uwagi Autora. Niejedną także relację o ks. Boimie udało się nam odszukać w listach jego współbraci zakonnych.

Ale z drugiej strony, mimo uczynionych zastrzeżeń, trzeba lojalnie stwierdzić, że dzieło p. Ch. jest bezwątpienia najgruntowniejszą pracą, z pomiędzy wszystkich, jakie kiedykolwiek ukazały się o polskich misjonarzach w krajach pozaeuropejskich. Oby także następna praca p. Ch. o innym wielkim polskim misjonarzu, o ks. biskupie Szostaku, Karmelicie Bos., założycielu seminarjum w Verapoly, stanęła na tej samej wyżynie.

Ks. Józef Krzyszkowski T. J.

Bernhard Jansen S. J.: Aufstiege zur Metaphysik heute und ehedem. Freiburg im Breisgau 1933. Herder & Co. 8°. Str. VIII i 536.

Głęboki a przytem historycznie wyrobiony umysł O. Jansena T. J. dał się poznać w Niemczech z licznych artykułów, rozrzuconych po czasopismach, głównie filozoficznych. Na prośby skierowane z różnych stron, O. Jansen zebrał w tym poważnym

tomie, uwagi swe, poczynione na temat dzisiejszego odrodzenia metafizyki. Zajmowało go zawsze to zagadnienie. Przecież się dziś tyle mówi i pisze o „zmartwychwstaniu" metafizyki. „Znajdujemy się dziś w wieku metafizyki, podczas gdy 30 lat temu należało jeszcze do dobrego tonu naukowego podawać się za zwolennika czystej teorji poznania, za pozytywistę w całem tego słowa znaczeniu, albo też za zdecydowanego idealistę" (str. 3).

Metafizyki nie zaniedbała filozofja właściwie nigdy. Odsuwano się wprawdzie czasem od niej, ale znów do niej wracano, gdyż bez niej nie można sobie wytworzyć należytego ogólnego światopoglądu. Metafizyka przeważała w filozofji sokratyczno-platońsko-arystotelesowskiej, przejętej z neoplatonizmem przez Augustyna, a potem przez scholastykę z św. Tomaszem z Akwinu na czele. Filozofja nowoczesna zwróciła się więcej do nauk doświadczalnych, do badania poszczególnych zjawisk psychicznych i na tym terenie szczegółowej wiedzy dokonała wielkich rzeczy; rozprószywszy się jednak na szczegóły, straciła objęcie całości, albo też oderwawszy się od przedmiotowej rzeczywistości, zagubiła się w aprioryzmach. Dopiero neoscholastyka, przywracając poszanowanie metafizyce, a zarazem przyjmując wszelkie udowodnione wyniki nauk doświadczalnych, pragnie podać światopogląd, godny nowoczesnego człowieka. „Ani pogarda, z którą spogląda jeszcze na nią publiczność, ani małoduszność, spotykana nawet we własnym obozie, ani względnie mała liczba bojowników neoscholastycznych nie jest powodem zniechęcenia dla tego, który pracuje nie dla osobistych życiowych względów, tylko dla prawdy i przyszłych pokoleń. Św. Hieronim powiedział kiedyś lapidarnie: „Cały świat jęknął, zobaczywszy się arjańskim". A czem jest dziś arjanizm? Co znaczy parę wieków subjektywizmu, kancjanizmu, idealizmu, naturalizmu, mechanicyzmu wobec wieczności prawdy? O ile nie mylą wszystkie znaki czasów, idziemy dziś nietylko w sztuce i literaturze, lecz także i w filozofji coraz więcej ku objektywizmowi" (str. 273). Wszystkie usiłowania fenomenologicznej szkoły Husserla, rozprawy Schelera, N. Hartmanna, Heideggera, dyskusje Lacheliera, Boutroux, Bergsona, Blondela, Meyersona, Le Roy, neorealistów angielskich i amerykańskich skierowują się w tę stronę, a niedostateczność ich wyników przemawia za perennitas filozofji arystotelesowsko-scholastycznej.

Te oto myśli wracają we wszystkich prawie rozprawach O. Jansena, zebranych w tej cennej książce. Podzielił ją na dwie części: Griechisch-scholastische Wege der Metaphysik (str. 1—240) i Neuzeitliche Wege der Metaphysik (str. 241—504). Resztę stron zajmuje szczegółowy spis imienny i rzeczowy. Zawinili scholastycy z okresu upadku, że zamało wciągnęli w swe rozważania wyniki nowoczesnych doświadczeń, zawiniła filozofja nowoczesna, że na korzyść doświadczenia porzuciła dociekania metafizyczne.

Zgodna współpraca wszystkich filozofów ze wszystkich obozów da właściwą filozofję nowoczesną.

Książka O. Jansena, nawskróś aktualna, przyda się profesorowi metafizyki i historji filozofji, przyda się także każdemu inteligentowi, którego zajmują dzisiejsze dyskusje filozoficzne. Owszem O. Jansen pisał raczej dla szerszych kół inteligencji, niż dla samych filozofów, którzy z natury rzeczy zajmują się więcej szczegółowo temi zagadnieniami.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Stefan Kołaczkowski: Dwa studja: Fredro i Norwid. Warszawa, 1934.

Trudno wątpić, że współczesny zwrot do estetyzmu wyobraża najlepiej Kołaczkowski. Obeznany doskonale ze współczesnemi prądami, ma on kult dla myśli i teoryj zgasłego już Schelera. Swe studjum o Wyspiańskim poprzedził wykładem metody, której nie można oderwać od pewnej postawy filozoficznej i etycznej. Zwrócił się przeciw genetykom, który nie znaczy, by nie uznawał zależności i wpływów. Świetnie określił istotę tragizmu, poczytując za tragika tego, co odczuwa głęboko wartości życia a szczególnie wartości etyczne. Jego analiza dzieł Kasprowicza wskazuje znów na głębszy zmysł dla przeżyć poety, co odbył olbrzymią drogę, zawsze jednolity w tężyźnie etycznej struktury i uważający erotyzm nie za miarę i cel ale za środek. Rozprawiając o Górskim, słusznie podniósł jego troskę o wartości, co nadają jedność wewnętrznym jednostkom i narodom i pozwalają do nich nowe życie nawiązać.

Trafnie zauważa też, że nerwem dzisiejszości jest interesowanie się pisarzem od strony jego człowieczeństwa. Rozprawia tedy sam pięknie o postawie Fredry wobec świata i o jego dziele pod kątem osobowości, by pokazać, jak styl epoki przez nią się wywodził. Wnika też Kołaczkowski bystro w oryginalność duchowej organizacji Norwida, na którą się składa wiele elementów. Jakżeśmy dziś daleko od czasów, gdy schemat tainowski pozwalał upraszczać skomplikowaną duszę twórcy w sposób wydający się czemś prymitywnem. Kołaczkowski wskazuje nadto, że droga od romantyzmu do realizmu wiodła przez ironję, stoicyzm, intelektualizm Norwida. Możnaby tu zapytać, czy nie wskazał jej już Słowacki w dygresjach epopei barskiej lub w tragikomedji o Fantazym? W ogólności profesor krakowski reprezentuje nowy typ badacza w sposób wyrazisty i każący wróżyć najlepiej o jego przyszłych naukowych drogach.

T. Grabowski.

Ks. Bronisław Gładysz: Hymny brewjarza rzymskiego oraz patronału polskiego. Przekład i objaśnienia. Nakładem księgarni św. Wojciecha. Poznań 1933. Str. 319.

Zaszczytnie znany z wielu rozpraw hymnologicznych ks. dr. Gładysz w obecnem większem dziele daje nam doskonały w treści historyczny pogląd na rozwój hymnodji kościelnej, wyjaśnia budowę strof hymnicznych, poczem na tle dosłownie spolszczonych w prozie hymnów z brewjarza rzymskiego i z proprium Poloniae rozsnuwa wyjaśnienia ich treści, załączając na końcu słowniczek rzadszych wyrazów łacińskich, zachodzących w pieśniach kościelnych. Celem dzieła było, jak wyjaśnia nam autor w przedmowie, uprzystępnienie zrozumienia hymnów brewjarzowych kapłanom, którzy dla braku większego obycia się z łaciną średniowiecza, odmawiają je nieraz bez należytego zrozumienia.

Opierając się na sumiennem studjum obszernej literatury hymnologicznej przynosi nam ks. Gładysz wiele cennych wiadomości, a rzeczowe jego objaśnienia uprzystępniają czytelnikom częstokroć niedosyć zrozumiałe teksty zwłaszcza starszych utworów hymnicznych. Szczegółowe cytaty dzieł hymnologicznych ułatwić mogą głębsze nawet wniknięcie w tę, tak ciekawą dziedzinę poezji religijnej. A jednak książka autora wykazuje niemałe przeoczenie, które w imię sumienności krytyki zmuszeni jesteśmy wytknąć.

Ks. Gładysz, zapatrzony w treściową stronę pieśni kościelnych, nie daje czytelnikowi dokładnego ich obrazu, pomijając zupełnie to, co stanowi główny tytuł wartości utworów poetyckich, t. j. ich stronę estetyczną. W przedmowie mówi autor: „W przekładzie staraliśmy się o największą wierność..." Wierność materjalna zasadzająca się na powtórzeniu w języku polskim słów łacińskich nie może dać pojęcia o pięknie oryginalnej pieśni, której istota zasadza się nie tylko na treści, ale i to w lwiej części na rytmie i ożywiającym go duchu, który jest odblaskiem wewnętrznych uczuć twórcy i musi być odpowiednio przepracowany, jeśli i w innym języku ma odczucie to wywołać w piersi czytelnika.

Wyobraźmy sobie, że ktoś pozmieniałby słowa *Pana Tadeusza*: „Litwo, Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie" w taki np. tok wyrazów: „Ojczysty kraju mój, Litwo, ty podobny jesteś do zdrowia!" Chociaż treść zostaje ta sama — piękno, poezja oryginału znika zupełnie. W jeszcze większej mierze zachodzi to zjawisko gdy przenosimy treść pieśni z oryginału języka obcego, mającego odmienne swoiste właściwości. Przy takim „przekładzie" walor poetycki pieśni zostaje pogrzebany bez śladu!

Podobnie gdyby ktoś rozebrał kościół jakiś na poszczególne części i pokazując stos kamieni, cegieł i marmurów chciał dać wyobrażenie o budowie, z pewnością minąłby się z celem. Ale przejdźmy do samych hymnów. Sławną pieśń św. Tomasza *Tantum Ergo* tłumaczy ks. Gładysz, jak następuje: Tak wielkiemu

przeto Sakramentowi oddajmy kornie cześć i stary zakon niechaj ustąpi nowemu obrzędowi, wiara niechaj służy uzupełnieniem niedostatkowi zmysłów. Rodzicowi i Zrodzonemu sława i uwielbienie, błogosławieństwo, cześć, moc także niechaj będzie oraz dziękczynienie; Pochodzącemu od obu również niechaj będzie chwała. Amen". Mimo, że wszystkie słowa łacińskiego oryginału są zupełnie wiernie przełożone na język polski, całość tekstu polskiego nie daje najmniejszego pojęcia o pięknie poetyckiem oryginału, nie oddaje jego tonu, melodyjności i barwy, a nawet jako szereg polskich zdań brzmi dziwnie nieswojsko, obco i niezgrabnie. Pomijam już tutaj tę okoliczność że do użytku liturgicznego zupełnie się nie nadaje. Inaczej rzecz się ma, gdy weźmiemy do rąk przekład właściwy. Dla ilustracji podaję ostateczny przekład mój tej pieśni, jaki zamieściło świeżo czasopismo *Mysterium Christi* w numerze gwiazdkowym:

Kornie tedy chylmy czoła,
Taki czcząc Sakrament wraz:
Niech obrzędom nowym zgoła
Starych praw ustąpi czas:
Czego pojąć zmysł nie zdoła
Niech dopełni wiara w nas.

Rodzicowi, jak głos sięga,
Chwały pieśń niech brzmi bez zmian:
Zrodzonemu hołd, potęga,
Śpiew zachwytu w dzięce słan:
Tchnienie Obu z ziemic kręga
Równej czci niech bierze wian. Amen.

Przekład ten nie oddaje tekstu łacińskiego słowo za słowem, ale, jak tuszymy sobie, czytelnik sam spostrzeże, że oddaje treść i nastrój poetycki oryginału, czyli przyswaja pieśń łacińską językowi polskiemu, nie wprowadzając weń nienaturalnych rozdźwięków.

Rytm i rym tak jest ściśle związany z pojęciem pieśni polskiej, że po usunięciu tych istotnych jej elementów zostają z niej jedynie jakieś bezkształtne gruzy.

Ks. Tadeusz Karyłowski T. J.

F. Kieffer T. M.: Autorytet w wychowaniu domowem i szkolnem. — Poznań, św. Wojciech 1934, str. XV i 295 in 80.

Dla osób zajmujących się wychowaniem zawodowo, oraz dla rodziców pojmujących, że ich obowiązkiem — to nietylko dostarczać dziecku pożywienia i odzieży, pielęgnować go fizycznie i kształcić umysłowo, słowem dla wychowawców, którzy godzą się na to, że wychowanie, to „sięganie duszy po duszę", że to „najwznioślejsza i najbardziej porywająca misja" — książka ta jest nieprzebraną skarbnicą. Z powodu tego właśnie bogactwa jej treści uważam, że nie wystarcza przeczytać ją, trzeba ją mieć pod ręką i raz po raz do niej zaglądać.

Autor, głęboki psycholog, wszystkie swoje spostrzeżenia i wskazówki czerpie z własnej praktyki, bo życie całe pracy nad młodzieżą poświęcił i na tem je strawił. To sprawia, że jego dzieło czyta się łatwo, lekko; jest ono dla każdego przystępne, interesujące. W duszy dziecka i młodzieńca Kieffer zdaje się czytać jak w otwartej ksiedzę, wnika w najgłębsze jej tajniki, ukochał ją miłością iście ojcowską. Czy to bada przyczyny wad, lub pobudki przestępstw dzieci i młodzieży (np. czemu dziecko tak chętnie wszystko niszczy, czemu mija się z prawdą itp.), czy udziela rad i mówi o sposobach odnoszenia się starszych do młodych, czujemy, że on zawsze trafia w sedno, że środki przez niego podawane są niezawodne, wypróbowane, że to słyszał na tamto patrzał, z tem miał do czynienia; jego słowa przemawiają nam do przekonania, bo jest w nich prawda życiowa; rady są praktyczne, proste, łatwe do wykonania. Takie rozdziały, jak np. o zaufaniu, o kłamstwie, o ugruntowaniu pierwiastka dobra, o rozumieniu dziecka, o szanowaniu dziecka itd., itd., — nie mają chyba sobie równych w piśmiennictwie pedagogicznem: rzecz jest ujęta niesłychanie głęboko, wszechstronnie, i przedewszystkiem subtelnie. Chcąc dać w przybliżeniu miarę wartości dzieła, trzebaby — jak z rogu obfitości — wysypać cały potok cytat, jak np.: „bądźcie dobrzy, aby was dzieci kochały, bądźcie wielcy, aby was szanowały", „zasadniczą cechą osoby, chcącej poświęcić się wychowaniu młodego pokolenia jest młodość duszy" (i śliczne rozwinięcie na czem ta młodość polega), „wszystko, co łączy rodziców, wzmacnia ich władzę; wszystko, co ich rozdziela, osłabia ją", „zaufanie winno być wzajemne", „szacunek — to zmysł wartości...., pomóc dziecku w odszukaniu wielkości wszędzie, gdzie się ona kryje — jest to wyrabiać w niem poczucie szacunku", „brać życie w całej jego rzeczywistości, z jego obowiązkami i zależnością, ale równocześnie wznieść się ponad nie, mieć cel wyższy, w życiu niż samo życie — to próba określenia ideału", „ideał — to Absolut, to Bóg to wszystko, co może być umiłowane i pożądane w Bogu", „ideał nadaje życiu jedność i ciągłość... on udziela życiu znaczenia".

Autor wyraźnie zaznacza, że w swej pracy bierze pod uwagę jeden tylko odcinek pracy wychowawczej: sprawowanie władzy, t. j. wzajemny stosunek wychowawcy i wychowańca. Rezultat zależy od s p o s o b u sprawowania władzy. Około tego momentu — jak około osi głównej — obraca się treść tej ogromnie zajmującej i znakomitej książki. Chciałoby się nie polecać — ale prosić, ale błagać, żeby ją czytali, żeby się w niej rozczytywali wszyscy, którzy mają do czynienia z młodem pokoleniem (ba! nawet wszyscy ci, którzy jakąkolwiek nad kim sprawują władzę). Jednym otworzy ona oczy na błędy dotychczas popełniane, drugim na piękno i wielkość zadania, a każdemu pracę ułatwi i na wyższy szczebel ją podniesie. *Anna Popielowa.*

Ks. Józef Pastuszka, Dr. fil. Dr. teol. Docent Filozofji Uniwersytetu Warszawskiego: Filozofja współczesna, tom I. Warszawa 1934. Skład główny: Gebethner i Wolff. Str. 167 in 8°.

Praca niniejsza powstała z wykładów, jakie prowadził Ks. Pastuszka w Uniwersytecie Warszawskim w ostatnich latach. Filozofja współczesna — zmienia jak kameleon swoje oblicze i dlatego tak jest nieuchwytna dla systematyki, że niejedni wolą wcale o niej nie pisać. A jednak każdy inteligent, a tem więcej student filozofji, pragnie coś o niej wiedzieć. Tem bardziej, że wśród „anarchji" dzisiejszych systemów filozoficznych trudno się zorjentować w tej rozbieżności. Zdaje sobie sprawę z tych trudności Ks. Pastuszka, a mimo to pragnie służyć swą pomocą w zorjentowaniu się w tym labiryncie, gdyż jest przekonany, że poznanie współczesnej filozofji jest nieodzownym warunkiem zrozumienia obecnej sytuacji duchowej. Filozofja bowiem bądź co bądź kształtuje życie. „Chaos w dzisiejszych stosunkach społecznych, zaostrzenie przeciwieństw politycznych i narodowych, głębokie przeobrażenia w dziedzinie gospodarczej, poszukiwanie nowych dróg w nauce, burzenie dawnych form życia i cały ten splot przeciwieństw, jakie kryją się w dzisiejszej rzeczywistości, to wszystko jest zewnętrznym wyrazem prądów nurtujących współczesną myśl filozoficzną" (Przedmowa).

Jakież są te prądy? Sprowadza je Autor w I. tomie do następujących: Psychoanaliza (Siegmund Freud) — Filozofja Nietzschego, — Prądy materjalistyczne w Niemczech, w Ameryce: behawioryzm Watsona, we Francji: naturalizm psychologiczny Ribota, Bineta, Le Danteca, Piérona, w Polsce: reizm Kotarbińskiego, w Rosji materjalizm Lenina, Plechanowa, Bucharina, — Filozofja Bergsona, — Irracjonalizm: I. Ontologiczny i to metafizyczny Volkelta i Vierkandta, witalistyczny Simmela, antropologiczny Teodora Lessinga i Ludwika Klagesa. Irracjonalizm II. noetyczny, do którego sprowadza: fikcjonalizm Vaihingera z psychologicznem uzasadnieniem irracjonalizmu, podanem przez Müllera-Feienfelsa, dalej filozofję Meyersona, Nicolai Hartmanna oraz irracjonalizm „umiarkowany" ks. Sawickiego z Pelplina. Wreszcie omawia Autor filozofję czynu z jej kierunkami: pragmatycznym amerykańsko-angielskim (James Schiller), aktywizmem niemieckim a mianowicie naturalistycznym Spenglera, spiritualistycznym Euckena i filozofją czynu we Francji (M. Blondel, E. Le Roy).

Już sam wykaz poruszonych tematów wskazuje, jak wiele można się dowiedzieć z tej książki o filozofji prawdziwie „współczesnej". Godne jednak uwagi sumienne opracowanie tych tematów, przejrzyste, przystępne, jak we wszystkich innych pracach Ks. Pastuszki, także pokrewnych tej pracy, mianowicie: Współczesne kierunki w filozofji religji (Warszawa 1932) i Kryzys kultury a religja (Warszawa 1932). Każdy sy-

stem stara się przedstawić Autor w kilku zasadniczych twierdzeniach danych filozofów, a kończy ich omówienie bardzo trzeźwemi uwagami krytycznemi. Oto co pisze np. o Nietzschem: „Nietzsche wniknął w ducha dzisiejszej kultury, przeżył jej dramat i z całą wyrazistością odtworzył go w swych pismach. Z nich przemawia wątpliwościami miotana, niespokojna, rozdarta dusza nowoczesnego człowieka. Drogę jaką przebył Nietzsche, przebywają inni, a hasła, jakie on rzuca, znajdują życzliwe echo w wielu umysłach. Ta wspólnota duchowa tłumaczy zagadkę wpływu nietzscheanizmu. W nim ogląda współczesny człowiek samego siebie, przeżywa własny niepokój metafizyczny, tęsknotę za Absolutem i całą gamę złudzeń, jaką mu życie przyniosło" (str. 38). Albo też ocena Bergsona: „Jedną z przyczyn popularności Bergsona są nieprzeciętne walory literackie jego dzieł. Poetycki, obrazowy, obfitujący w subtelne odcienia myślowe, styl dźwięczny, wyszukany język, essaistyczny, lekki sposób ujmowania trudnych problemów, mistrzowskie stosowanie symboliki językowej, polot poetycki, — to wszystko wywierało urok na czytelników i torowało drogę nowej ideologji. Pod efektowną, błyskotliwą formą kryły się idee, które żywem echem odezwały się w dzisiejszej umysłowości, bo odpowiadały jej potrzebom i nastawieniu" metafizycznemu i spiritualistycznemu (str. 97). Wobec tych przymiotów pracy Ks. Pastuszki, oczekujemy z upragnieniem drugiego jej tomu.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Le désarmement moral et la pensée chrétienne. Paris, Éditions Spes 1933.

Niewielki ten tomik zawiera tekst odczytów i przemówień, wygłoszonych w październiku 1932 r. podczas 4-go tygodnia katolickiego, jak i poprzednie, odbytego w Genewie, a zorganizowanego przez *Union Catholique d'études internationales.* Nie tutaj miejsce podkreślać zasługi, które w ciągu kilkunastoletniej swej działalności zdobyła sobie Unja, zmierzając w cichym a konsekwentnym i skutecznym wysiłku do tego, aby nie zabrakło głosu katolickiego wśród wszelkich przejawów współpracy międzynarodowej, ześrodkowanej w różnych instytucjach Ligi Narodów. Potrzebny i powszechnie ceniony jest udział katolików, zwłaszcza we współpracy intelektualnej, społecznej, humanitarnej — jednem słowem takich dziedzinach, gdzie akcja Ligi Narodów, choć opinję publiczną mniej interesuje, okazała się bardziej owocna niż te jej wysiłki, które bezpośrednio zmierzają do politycznego czy gospodarczego zbliżenia między narodami.

Do tych mniej efektownych zadań należy również t. zw. rozbrojenie moralne. Wprawdzie przewidywana już dziś z pewnością bezskuteczność usiłowań o zmniejszenie i ograniczenie zbrojeń wojskowych, rozbrojenia moralnego nie ułatwi — ale katolikom

nie wolno twierdzić, że je raz na zawsze przekreśli, gdyż jest ono najściślej związane z zasadniczemi nakazami ich wiary i moralności. Dlatego też omawiana praca, choć powstała w pełnem nadziei zaraniu konferencji rozbrojeniowej i pod świeżem jeszcze wrażeniem znanego polskiego projektu, nie straciła dla nas nic ze swojej wymowy; jej głos bije bowiem z czystego zawsze i świeżego źródła nauki katolickiej.

Obok wstępu, przedstawiającego działalność Unji, znajdujemy tam kazanie, wygłoszone podczas inauguracyjnego nabożeństwa przez O. Delos O. P., dalej cztery zasadnicze referaty: O de Munnynck O. P.: Obowiązek moralnego zbrojenia; Ks. Biskup Besson: Rozbrojenie moralne i nauka Papieży; O. de la Brière T. J.: Prawnicza strona rozbrojenia moralnego; Prof. Halecki: Uniwersytety i rozbrojenie moralne. Zamykają ten zbiór końcowe przemówienia i dodatki.

Z niezmiernie bogatego zasobu myśli i wskazówek, na których najbardziej nawet ogólnikowe przytoczenie nie możemy sobie w tych szczupłych ramach pozwolić, wynika synteza logicznie nienaganna, doktrynalnie niedwuznaczna, w zastosowaniu praktyczna.

Zgodnie jednak z niektórymi mówcami musimy się zgóry zastrzec, przeciwko niezbyt szczęśliwie dobranemu, choć dziś powszechnie przyjętemu terminowi, który nie symbolizuje bynajmniej doktryny niesprzeciwiania się złu, ale „indywidualne i zbiorowe usposobienie, które gwoli przywrócenia sprawiedliwości stara się zamiast przemocy stosować środki, podyktowane przez rozum". Stworzyć takie usposobienie w duszy zbiorowej jest zadaniem trudnem dlatego, że odpowiedzialność jest w niej rozproszona; możliwem jednak, gdyż i dusza zbiorowa, choć w mniejszym stopniu od indywidualnej jest dostępna dla argumentów, które wykazują, jak dalece wojna, zwłaszcza w dzisiejszych warunkach, jest sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem.

Aby pożądane wyniki osiągnąć, muszą najpierw państwa zrozumieć, że dobro powszechne, któremu służą, nie jest oderwane ani od interesów społeczności międzynarodowej, której solidarność jest dziś podstawą istnienia poszczególnych państw; ani tem mniej od interesów człowieka, który jako osoba, powołana do nadprzyrodzonych przeznaczeń, jest ostatecznym celem wszystkich instytucyj społecznych. Państwo nie rozporządza więc absolutną wolnością, gdyż jego cel jest określony niezależnie od jego woli, a swobodny wybór dotyczy tylko zdatnych środków, któremi doń podąży. Nie można jednak z ich rzędu wykluczać w każdym wypadku siły, gdyż w ostateczności i ona może i powinna prawu służyć, byle niem nie dysponowała.

Skuteczne przygotowanie jednostek i społeczeństw do rozbrojenia moralnego może tylko opierać się na chrześcijańskiem przykazaniu miłości, która dążąc do Boga jako jej celu ostatecz-

nego, oddaje rodzinie, ojczyźnie, ludzkości to, czego w jej imię mogą od człowieka żądać. Ten stały porządek w umiłowaniach jest według św. Augustyna istotą pokoju, który od miłości w wyższej jeszcze mierze zależy jak od sprawiedliwości. Wynika stąd jednak, że wszelkie dążenie do trwałego pokoju, które pominie wrodzone przywiązania człowieka i zapozna jego konieczne i najbliższe obowiązki wobec ojczyzny, nigdy nie zdoła wpoić weń poczucia obowiązków wobec ludzkości, koniecznych także, ale trudniejszych, gdyż mniej uchwytnych. Tylko zastosowanie należytego porządku w umiłowaniach pozwoli odnaleźć właściwy punkt równowagi pomiędzy skrajnym nacjonalizmem a kosmopolityzmem i wzbudzić w jednostkach i społeczeństwach ducha prawdziwego pokoju.

Doktryna ta jest czyto w encyklikach papieskich, czyto w katechiźmie, czyto w naukach i kazaniach dostępna codzień i na całej kuli ziemskiej najszerszemu ogółowi. Poza tem jednak wypadało zwrócić uwagę na szczególne metody, któremi należy umysły przygotować do moralnego rozbrojenia. Zadaniu temu służą prawdziwie wzniosłe poglądy prof. Haleckiego na odpowiedzialność tych, którzy młode pokolenie w wyższych uczelniach kształcą i wychowują, oraz podane przez Mgr. Beaupin (w jednem z końcowych przemówień) zasady wychowania młodzieży w duchu pokojowym. Wśród nich wyróżnia się naszem zdaniem przestroga, aby pacyfizmu nie sprowadzać na manowce sprzecznej z jego duchem bojowości, skierowanej przeciwko armji i heroicznym cnotom, które służba wojskowa winna kształcić. Odnośne swe zadanie spełni wychowawca wtedy najlepiej, gdy w młode umysły wpoi zasady i ideały, którym Kościół zawsze służył, a których zastosowania w skali międzynarodowej trzeba dziś żądać ze szczególnym naciskiem.

Lublin. *H. Dembiński*

Łakomy Ludwik. Piśmiennictwo śląskie przed założeniem Akademji Krakowskiej. Katowice 1934. 8°. str. 204, ilustr. 1 (portret autora).

Autor zamierza opracować całokształt piśmiennictwa śląskiego od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej. Wydany zarys ma stanowić tom pierwszy całości. Zamiar niewątpliwie piękny i zasługujący na to, by poświęcić mu najwyższy wysiłek umysłowy. Jednakże w wykonaniu zamiaru zaszło jakieś nieporozumienie. Autor niebardzo zdaje sobie sprawę z tego, czem miała być jego książka. W zakończeniu podkreśla, że „śląskość tej pracy ma za zadanie przypomnienie tradycji lokalnej żywej, dającej zrozumienie życia narodowego na Śląsku i jego odrębności". „Przez tę naszą niedoskonałą pracę — mówi — pragniemy stworzyć mit Polski Zachodniej, Staropolski, jej tradycję... Potrzeba nam takiej tradycji, aby nie powiedziano, iż rzekomo posiadamy braki naro-

dowe". Cel pracy jest więc wybitnie propagandowy: dać poznać całej Polsce śląski wkład w jej kulturę, a Ślązaków umocnić w poczuciu kulturalnej przynależności do Polski.

Z drugiej strony autor stara się nadać swej pracy pozory naukowości, nazywając ją często „monografją", cytując całe obszerne teksty po łacinie, podkreślając własne badania naukowe itp. Po bliższem wejrzeniu widać jednak, że mamy do czynienia z samoukiem, albo niedouczonym studentem, który nie opanował podstawowych zasad metody naukowej. Nie miejsce tu na szczegółowe wyliczanie licznych błędów i niedokładności i to natury zasadniczej. Rezerwuję to sobie dla recenzji w czasopiśmie ściśle fachowem. Większość tych błędów pochodzi stąd, że p. Łakomy nie opanował literatury przedmiotu i opierał się na wydawnictwach przestarzałych, a nie zna najbardziej podstawowych opracowań średniowiecza polskiego nawet ogólnych, nie mówiąc o przyczynkach szczegółowych. Ale i z dostępnych sobie źródeł korzystał w sposób niedbały. O samodzielnych badaniach autora niema mowy. Jeśli nawet drukuje czasem jakieś twierdzenia, odbiegające od przyjętych w dzisiejszej nauce, nie usiłuje poprzeć ich najsłabszym argumentem. Na prostą blagę zaś zakrawa to wszystko, co mówi o samodzielnem korzystaniu ze źródeł w objaśnieniach do „Dodatku". Nietrudno dowieść, że wspominanych przez siebie rękopisów wcale nie miał w ręku, a to, co pisze o nich, przepisał sobie bez skrupułu i nawet z błędami ze wstępów do odpowiednich wydań w „Monumenta Poloniae Historica". O ile fantazjowanie i bałamuctwa są już same przez się rzeczą naganną, o tyle bardzo źle świadczy o rzetelności autora tego rodzaju podszywanie się pod cudzą pracę. Tem przykrzej było to stwierdzić, że autor akcentuje często rolę czynników religijnych [1]) i podkreśla wartości narodowe, a zapomina, że pierwszem przykazaniem chrześcijańskiem — jest prawdomówność. Sądzę, że jedynie brak doświadczenia i świadomości tego, co w pracy naukowej wolno, a czego nie wolno, może młodego autora w części usprawiedliwić. Widocznie pracował zdala od ośrodków rzetelnej nauki polskiej, nie miał do dyspozycji odpowiednich zasobów bibljotecznych, a brak zetknięcia się z prawdziwymi pracownikami naukowymi wyhodował megalomanję i przecenianie znaczenia własnej pracy. Słowem zawiniła tu zapewne raczej nieświadomość, niż zła wola.

Mimo błędów naukowych, książka nie jest pozbawiona wartości. Posiada ją dzięki przejrzystemu układowi, dobremu przemyśleniu planu ogólnego, interesującemu sposobowi użycia. To, co autor pisze ogólnie o roli kulturalnej Śląska w Polsce jest słuszne i przemyślane głębiej. Autor ma niewątpliwy talent literacki, szersze spojrzenie na świat i jest pełen zapału. Z temi za-

[1]) Czy nie dla pozyskania sobie wydawcy?

letami mógłby być znakomitym popularyzatorem wiedzy. Radzimy mu pracować w tym kierunku, tembardziej, że ożywia go entuzjazm dla ideału i gorący patrjotyzm.

Jeśli jednak p. Łakomy zamierza doprowadzić do końca swój piękny zamiar opracowania całokształtu piśmiennictwa śląskiego naukowo, musi zmienić gruntownie swój system pracy, by nie zasłużyć na miano kompilatora o pozorach naukowca. Sądzę, że wrodzona inteligencja i ten podkreślany już wyżej patrjotyzm pomogą mu dociągnąć się do nowoczesnych wymagań wiedzy. W przeciwnym razie, zamiast istotnie przyczynić się do uświetnienia kultury polskiej na Śląsku, odda tej sprawie niedźwiedzią przysługę. O ile przeciwnie zamierza p. Łakomy poprzestać na pracy popularno-propagandowej, powinien usunąć cały balast pseudonaukowości, na czem książka jego może tylko zyskać.

Dr. Z. Ciechanowska.

Ps. Spostrzegam po zakończeniu recenzji, że p. Łakomy podpisał się na innej swej pracy jako dr. chemji. To tłumaczy wiele, ale nie tłumaczy faktu pisania z pewnością siebie o rzeczy, na której autor się nie zna, jak również bezceremonjalnej blagi.

Heinrich Schumacher, Kraft der Urkirche. Das „Neue Leben" nach den Dokumenten der ersten zwei Jahrhunderte. 8⁰. X u. 172 S. Freiburg im Breisgau 1934, Herder. 3.60 Mk; opr. 4.80 Mk.

Teologja w każdym okresie czasu ma swoiste i wielkie zadanie apologetyczne do spełnienia. Dziś walka wre już nie o poszczególne prawdy wiary, ale o byt lub niebyt samej religji wogóle, a zwłaszcza nadprzyrodzonej. Człowiekowi współczesnemu trzeba pokazać, że religja to przedewszystkiem nie zewnętrzne praktyki, że chrystjanizm to nietylko system religijno-filozoficzny, przedstawiający nowe zasady społeczne i etyczne, lecz że jest to przedewszystkiem nowe życie — pełnia życia, z której dopiero wynikną czyny. Chrystus nietylko rzucił w świat nowe, wzniosłe myśli o naszym stosunku do Boga, ale przedewszystkiem stworzył plemię ludzi nowych. Chrystjanizm wnosi ontologiczną zmianę w człowieka, daje mu nowy byt nadprzyrodzony. Ojcowie Kościoła nazywali to nowe życie ubóstwieniem człowieka.

Autor omawianej pracy, opierając się na dokumentach dwu pierwszych wieków chrześcijaństwa, tchnących całą wiosenną świeżością, pokazuje człowiekowi dzisiejszemu, w czem właśnie tkwi istota owego życia.

W roz. I. przeszedłszy bardzo krótko poglądy współczesnych na istotę chrystjanizmu (str. 8—27), wraca do świadectw N. T., zwłaszcza do św. Jana i św. Pawła. Chrystjanizm dla nich to nowe ukształtowanie człowieka, dar Boży, wypływający z odku-

pienia. Chrześcijanin przez odrodzenie z Boga osiąga życie nowe, którego treścią jest usprawiedliwienie. Owocem zaś usprawiedliwienia, obumarcie grzechowi i światu, synostwo Boże i uczestnictwo w boskiej naturze, a konsekwentnie dziedzictwo synów Bożych. Do dóbr nowego życia, których sprawcą jest Duch Św., człowiek dochodzi przez wiarę i chrzest. Tak przekształcone wewnętrznie życie musi się również przejawić w intensywnym czynie. Nie wolno wreszcie zapominać, że okres doczesny jest tylko zaczątkiem prawdziwego życia; jego pełnia będzie w przyszłości (str. 28—60).

W roz. 2. Autor wykazuje, że absolutnie to samo pojęcie istoty chrystjanizmu, jako życia nowego, przejawia się w pismach apologetów i pisarzy drugiego wieku, z tą tylko różnicą, że silniejszy akcent położony jest na pokutę, a równocześnie liczne apologje malują nam wspaniałe obrazy praktycznego życia chrześcijan, którzy według dobitnego wyrażenia autora listu do Djogneta są duszą świata (str. 61—164).

Ponieważ kwestja traktowana wykracza poza zakres wyłącznych zainteresowań zawodowego teologa, nie można czynić Autorowi zarzutu, że pominął wszelkie kontrowersje spekulatywne, mogące się nasuwać. Zresztą teza jest czysto pozytywna. Autor bardzo często oddaje głos apologetom i pisarzom kościelnym; tak często, że na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, iż zbytnie przeładowanie tekstami czyni myśl nieco zawiłą; w rzeczywistości jednak praca zyskuje na wyrazistości; silne bowiem i pełne treści wyrażenia Ojców niezawsze dałyby się łatwo i krótko opisać. Książka Ks. Schumachera nie przynosi teoretycznie nowych prawd. Życie, którego obraz nam przedstawia, pulsuje i dziś w Kościele w całej swej świeżości. Ale dobrze jest zdać sobie sprawę — i to tak namacalnie — że chrystjanizm, równie jak Chrystus „wczoraj i dziś, ten i na wieki". A wspaniały obraz praktycznego życia, chrześcijan II-go wieku zachowa zawsze dla nas siłę atrakcyjną wzniosłego przykładu, a może zmusi do poważnej refleksji nad objawami naszego życia zarówno indywidualnego, jak i społecznego. Z tych względów praca omawiana zasługuje na to, by się z nią bliżej zapoznano.

Ks. St. Felczak

Abbé Felix Klein, La vie humaine et divine de Jésus Christ Notre-Seigneur. 4°.. pg. 474, Paris, Bloud et Gay, 1933.

Idealna postać Boga-Człowieka zawsze pociągała swym nieprzepartym urokiem pisarzy katolickich, którzy nigdy nie zdołali wyczerpać całkowitej jej treści. Stąd tyle różnych żywotów Chrystusa. W jednym tylko roku 1933 ukazały się aż trzy znaczniejsze opisy życia Zbawiciela (K. Adam, F. Prat, F. Klein). Każdy objektywny, rzeczowy, a jednak każdy inny. Jeżeli Adam jest ra-

czej psychologiem, Prat egzegetą, to Kleina nazwalibyśmy historykiem, a przedewszystkiem artystą. Artystyczna strona jego dzieła, utrzymana bezsprzecznie na poziomie bardzo wysokim, wybija się na pierwszy plan i czyni wielce dodatnie wrażenie. Liczne (471) i pierwszorzędne ilustracje, reprodukcje największych mistrzów sztuki chrześcijańskiej, bardzo dobrze oddane, na ślicznym papierze, dają wysokie zadowolenie estetyczne, a wyobraźni podsuwają miły punkt oparcia.

Treść przedstawiona jest raczej popularnie — w dodatniem tego słowa znaczeniu. W czterdziestu rozdziałach podaje Autor cały przebieg ziemskiego życia Zbawiciela. Zadawala się raczej zewnętrznemi jego objawami, mniej wnikając w głębię duszy. Zasadą jego, jak to sam zaznacza (str. 378, 421), nie jest wykazywać i uzasadniać prawdę ewangeliczną, ale pokazać Chrystusa możliwie najwierniej. A pokazuje raczej stronę zewnętrzną. Czytelnik nie będzie więc zbytnio szukał analizy specyficznych właściwości duszy Zbawiciela, oraz ich syntetycznego ugrupowania. — Egzegezy jednak, pomimo swego założenia, Autor zupełnie nie pominął i pominąć nie mógł; — wszelako niezawsze jest ona zupełnie szczęśliwa. Zwróćmy tylko uwagę na znany tekst z listu św. Pawła do Filipjan 2, 9 n. Niema wątpliwości, że imię, o które tu chodzi, jest Kyrios, a nie Jezus, jak sądzi Autor (str. 32). Drobny ten szczegół nie obniża bynajmniej rzetelnej wartości pracy. — Jeżeli w książce Adama szczera, prosta wiara i miłość Chrystusa przebija z pod ścisłej i zimnej formy naukowej, to praca ks. Kleina cała tchnie szczerą pobożnością, głębokiem namaszczeniem, gorącem ukochaniem Boskiego Mistrza. Możnaby sądzić, że niektóre rozdziały są raczej rozmyślaniem lub kontemplacją gorącej duszy kapłańskiej o życiu Chrystusa. Prześliczny jest zwłaszcza roz. 15 o wyborze i powołaniu Apostołów i roz. 27 o modlitwie. Język jest ładny, potoczysty, obrazowy, rytmiczny.

Ks. St. Felczak.

Ks. Władysław Budzik: Wybór z Pisma św. (t. I. Stare Przymierze, t. II. Nowe przymierze 258+254 in 8⁰) Miejsce Piastowe 1934 r.

Ks. B., znany już z kilku prac z dziedziny katechetyki, daje obecnie społeczeństwu polskiemu wybór odpowiednich ustępów z całego Pisma św. w ten sposób przystosowanych do życia religijnego wiernych, „aby szerokim ich rzeszom uprzystępnić i ułatwić przyjmowanie pokarmu słowa Bożego na żywot wieczny". (I. str. 5). „Wybór" ten równie dobrze może służyć jako tekst przy nauczaniu religji w szkołach powszechnych, średnich i zawodowych.

By osiągnąć ten cel, Autor posługuje się pedagogicznie i głęboko psychologicznie pomyślaną przez św. Augustyna metodą,

według której wykład nauki religji ma być zupełny. Nie jest jednak koniecznem wyjaśniać wszystkie księgi Pisma św. Wystarczy podać istotną ich treść, wybierając to, co jest podziwu godniejsze, do słuchania milsze, w artykułach wiary zawarte (De catechizandis rudibus c. III).

Zwięzłe przedstawienie istotnej treści całego prawie Pisma św., ujęte w ramy rozumnej metody, nadaje temu podręcznikowi znamię praktycznej celowości, a to, że jest zdobne w liczne ilustracje, podnosi jego wartość pedagogiczną. Szkoda tylko, że Autor nie podaje ogólnych wiadomości o Piśmie św. Byłyby one bardzo na miejscu i na czasie. W szkole oczywiście temu brakowi może odpowiednio zaradzić katecheta lub nauczyciel religji. Pozatem pracę Ks. B. cechuje gruntowne i syntetyczne ujęcie dobranej treści z Pisma św., jako boskiej pedagogji człowieka.

Ks. Franciszek Domański T. J.

Nauczajcie wszystkie narody. Zbiór nauk o misjach. Poznań 1933. Nakładem Rad Krajowych Papieskiego Dzieła Rozkrzewienia Wiary i Papieskiego Dzieła św. Piotra Apostoła. Poznań, Al. Marcinkowskiego 22. Str. 307.

Podczas gdy inne państwa procentowo mniej katolickie oddawna już posiadają, jeśli nie bogatą, to przynajmniej zasadniczą, fundamentalną literaturę misjoznawczą, Polska, kraj w większości katolicki od paru dopiero lat stał się twórczym na tem polu.

Obok wielu czasopism misjologicznych, zaczyna powoli powstawać u nas w tej dziedzinie literatura książkowa. Do niej zaliczyć można p. Kapitańczyka: *Udział Polski w dziele misyjnem, Krzyż na równiku* p. Szotowej, wreszcie *Nauczajcie wszystkie narody,* objętością przewyższające poprzednie tomy. Wymienione Książki wyszły nakładem ruchliwego Pap. Dzieła Rozkrzew. Wiary i Pap. Dzieła św. Piotra Ap.

Książka dzieli się na dwie części: samodzielną i tłumaczoną. Pierwszą wypełniają kazania, bądź referaty (materjały odczytowe), drugą przekłady nauk O. Pawła Berghausa p. t.: *Przyjdź i ratuj nas.*

Treścią kazań, czy raczej nauk są rozmaite sprawy i problemy misyjne. Jedne przedstawiają życie i czyny wybitnych Świętych misjonarzy, inne malują nędzę pogan, uniwersalny charakter Kościoła Chrystusowego i t. p. Znalazło się też kilka wcale udatnych nauk misyjnych dla dzieci. Podkreślić należy, że jest również osobne kazanie o modlitwie za misje.

Książka niniejsza zawiera wogóle dużo cennego materjału misyjnego do kazań na odpowiednie niedziele i święta roku kościelnego, oraz do przemówień czy referatów na zebraniach i akademjach misyjnych.

Bez drugiej części, zawierającej przekłady, byłoby się obeszło. Na równie dobre nauki byliby się zdobyli i polscy misjonarze

byleby ich pilniej poszukać. Zaznaczyć też musimy że kazanie p. t. *Modlitwa za misje*, umieszczone w części pierwszej zbioru (str. 68—74), a więc samodzielnej, z nielicznemi wyjątkami, niewolniczo pokrywa się z kazaniem tego samego tytułu niemieckiego jezuity Ks. A. Huondera (Por. Anton Huonder S. J.: *Die Mission auf der Kanzel und im Verein*. Freiburg im Breisgau — Herder, 1914. Erstes. Bändchen Zweite und dritte, verbesserte Auflage. l. 62—72).

M. R.

Raoul Plus, S. J.: La direction d'après les maîtres spirituels, Editions Spes—Paris 1933. 16° str. 165.

Autor, znany z wielu cennych dziełek ascetycznych przez które — niby nić złota — snuje się centralna idea chrystocentryczna pierwszych chrześcijan, pragnie w obecnej książce, niewielkiej wprawdzie rozmiarami lecz bogatej treścią, przedstawić doniosłą rolę kierownictwa w życiu wewnętrznem. Wytyczną autora w pisaniu tego dziełka było podać w syntetycznem ujęciu całokształt postępowania kierownika odnośnie do powierzonych sobie dusz. Całość osnuta jest na nauce i doświadczeniu wybitnych mistrzów życia duchownego, a zawarł ją autor w ośmiu rozdziałach.

Wychodząc z definicji kierownictwa, podkreśla autor ważność tego czynnika, jako jednego z podstawowych w rozwoju każdej jednostki, szczególnie w dziedzinie życia wewnętrznego; następnie odpowiada na pytanie, komu to tak ważne zadanie prowadzenia dusz przypada na pierwszem miejscu na mocy urzędu i posłannictwa, czyniąc przytem wzmiankę o różnicy pomiędzy spowiednikiem a kierownikiem duchownym. Przy narzuceniu ogólnych uwag przechodzi autor do sprecyzowania istoty kierownictwa, jego wpływu na rozum i wolę. Ponieważ jednak właściwem źródłem i arcymistrzem życia duchownego i jego rozwoju jest Duch Św., przeto autor, podkreśla stosunek kierownika do natchnień Ducha Św., uwzględniając przytem różne możliwe błędne zapatrywania. — Kreśląc sylwetkę samego kierownika, domaga się autor od niego, jako podstawowych cech: zjednoczenia z Bogiem, gruntownej wiedzy teologicznej i znajomości psychologji doświadczalnej, oraz wielkiej dozy roztropności, koniecznej w dostosowaniu środków odpowiednich do danego podmiotu.

Wkońcu omawia autor zagadnienie wyboru kierownika; stosunek duszy do niego, dalej konieczne dane do prowadzenia niewiast, oraz ślub posłuszeństwa kierownikowi.

Założeniu swemu autor w zupełności odpowiedział. W całem przeprowadzeniu uwydatnia się szeroka erudycja, oparta na doświadczeniu, połączona z jasnością wykładu. Autor nie wchodzi wprawdzie w pewne kwestje, tak różnorodne w tej dziedzinie, jak np. postępowanie wobec różnych temperamentów czy charakterów czy też stanów duszy, gdyż nie było to celem tej książki;

wszelako przytacza bardzo obfitą literaturę, traktującą o tych zagadnieniach. Rzecz nadaje się przedewszystkiem dla kapłanów, a następnie i dla wiernych, by umieli doceniać wielkość życia bożego w sobie i coraz więcej je pogłębiali.

A.

Dr. Emmanuel Kern: Das Tugendsystem, des hl. Bernhard von Clairvaux. 8⁰ (XVI + 98). Herder, Freiburg im Breisgau 1934.

Podłoże psychologiczne (1—12) umożliwia autorowi jasne określenie cnoty wogóle (15—19) a następnie zszeregowanie cnót według dwu wielkich grup, mianowicie: cnót wlanych wraz z cnotami głównemi i darami Ducha Św. (19—26), oraz cnót wyrosłych z podłoża-rozumu, woli i sfery uczuciowej (29—90). Całość dopełniają trzy cnoty, bez których wszystkie poprzednie nie mają znaczenia: roztropność, wytrwanie w dobrem, wreszcie mądrość, która jest upodobaniem w dobrem, w cnocie.

Autor opracowuje rzecz naukowo. Źródła i obfita literatura, sumiennie są wyzyskane. Widzimy jak św. Bernard w Piśmie św. szuka uzasadnienia dla każdej cnoty, jak je oryginalnie ujmuje. Z Ojców Kościoła zależy zwłaszcza od św. Grzegorza W. i Ambrożego. System jego moralności, ascezy i mistyki jest nawskróś woluntarystyczny.

Przy bliskiem pokrewieństwie nauki wiary i nauki obyczajów nie obeszło się bez poruszenia niektórych kwestyj dogmatycznych czy zapatrywań filozoficznych (pogląd na wolność woli, siedziba cnoty w woli w przeciwieństwie do Sokratesa, Platona i t. p.,) Dziełko, pogłębiając znajomość Bernarda, najwybitniejszego męża owej epoki, jest zarazem przyczynkiem dla historji kościelnej i hagjografji.

S.

Krasiński Edward: O Radziejowicach i ich gościach niektórych. (Ze wspomnień o Sienkiewiczu). Warszawa 1934. 8, Str. 55, ilustr. 4.

Jest to garść wspomnień ordynata i zasłużonego opiekuna Bibljoteki ordynacji Krasińskich o życiu towarzyskiem, skupiającem się dookoła matki autora, Heleny ze Stadnickich Józefowej Krasińskiej, której postać występuje w książce opromieniona blaskiem przywiązania synowskiego, jako osoby o wysokiej kulturze ducha. Przesuwają się przed czytelnikiem sylwetki: Edwarda Leo, Aleksandra Rembowskiego, ks. Zygmunta Chełmickiego, Józefa Chełmońskiego, K. M. Górskiego, Marji Warnkówny (siostry zasłużonej pisarki dla młodzieży Jadwigi), Lucjanowstwa Wrotnowskich i innych. Na pierwsze tło występuje jednak postać Sienkiewicza, zaprzyjaźnionego z Krasińskimi i przebywającego chętnie w Radziejowicach. Autor opiera swoje opowiadanie częściowo na

wspomnieniach, częściowo na listach Sienkiewicza do Józefowej Krasińskiej, przechowanych w liczbie około 160 w bibljotece ordynacji Krasińskich w Warszawie, z których ciekawe urywki ogłasza w dodatku. Szczegółów rewelacyjnych opowiadanie nie przynosi (z wyjątkiem wiadomości o zamierzonej powieści p. t. *Rosa Mystica*), ale oddaje atmosferę w jakiej wielki pisarz znajdował się w Radziejowicach i może przez to wyjaśnić jedno ze źródeł przepysznych scen rodzajowych w jego powieściach współczesnych. Dodaje też kilka rysów do charakterystyki twórcy *Trylogji*. Wspomnienia nie są ujęte w jakiś porządek chronologiczny. Autor przytacza w swobodnej gawędzie nasuwające mu się szczegóły, przeplatając je refleksjami na temat życia towarzyskiego naszych czasów i stosunków wzajemnych różnych warstw społecznych. W każdym razie książka jego jest wartościowym przyczynkiem do obrazu życia kulturalnego u schyłku minionej epoki, dając żywe postaci szeregu ludzi, odgrywających wybitniejszą rolę.

Ze szczegółów należy sprostować: str 19: Brat Albert nie nazywał się Chmielewski, lecz Chmielowski i nie był nigdy „Ojcem" Albertem; str, 44: ślub Sienkiewicza z drugą żoną odbył się nie w listopadzie 1893, lecz 11 lutego tegoż roku.

Dr. Z. Ciechanowska.

Z literatury niemieckiej.

Historja nowszej literatury niemieckiej Józefa Nadlera.[1])

Równałoby się to noszeniu sów do Aten, gdybyśmy chcieli rozwodzić się szeroko nad znaczeniem historji literatury, opracowanej przez Nadlera. Że jednak posłanki bogini mądrości miałyby może nie jedno zadanie do spełnienia w naszej dobie wcale nie attyckiej, chcemy pokrótce zwrócić uwagę czytelników na to, co znakomity ten uczony, zgasłego Augusta Gauera najlepszy, genjalny uczeń, zamierzał i urzeczywistnił w swem dziele przełomowem, głęboko pomyślanem i wytwornem pod względem formy. Inne historje literatury trzymały się prawideł estetycznych, sprawdzianów zapożyczonych z historji języka, uwydatniały związki społeczne. Żadna nie zdawała sobie sprawy z dominującej roli spuścizny i środowiska dla poety, a stąd i dla poezji. Wprawdzie Adolf Bartels poddał oba te momenty namiętnej dyskusji, ale znowu przeoczył wszystko, co poza niemi, i nie zdołał objąć rozwoju literatury niemieckiej w całokształcie. Nadler natomiast posiada wszystkie przymioty wybitnego historyka i wskazującego drogę krytyka. Wyczuwa on prawie instynktowo zjawiska istotne z po-

[1]) *Literaturgeschichte der deutschen Stämme und Landschaften von* Josef Nadler. IV Band. Der deutsche Staat (1814—1914). Regensburg, Josef Habbel 1932. 8°. Str. XV+1013.

śród nawału spraw drugorzędnych, a z drugiej strony umie po mistrzowsku opanować obfitość mniej ważnych ludzi i rzeczy, z których całości dopiero wyłania się prawdziwy obraz epoki i rozwoju dziejowego. Przenika artystów i ich dzieła, umie odróżniać złoto od szychu, nie cofa się przed żadnym sądem ani przed żadnem uprzedzeniem, a zajmując stanowisko jasne i niezachwiane, jest jednak wyrozumiały dla poglądów cudzych. Myśli jak naród, którego jest synem, a jednak rozgląda się szeroko po widnokręgach europejskich. Jest wierzącym katolikiem, a mimo to nie pozwala się skusić do pobłażliwości dla pobożnej miernoty, ani uprzedzić do świetnych przeciwników Kościoła. Nigdy nie wykracza poza granice powagi naukowej, a przecież przestrzega nakazów kunsztu pisarskiego. Jest to wyjątkowe, przewyższające ingenium, które nauka niemiecka, ba nawet kultura niemiecka zyskała w Nadlerze. Należy fakt ten podnieść z całym naciskiem, albowiem „historja literatury", której zamierzamy poświęcić następne uwagi, nie powinna być uważana za sprawę, mogącą obchodzić jedynie zawodowców. Jest ona trwałym nabytkiem narodu, którego przywódcom duchowym wznosi wspaniały pomnik, będąc sama świetnym pomnikiem badania naukowego i językowego artyzmu.

Po tej ogólnej charakterystyce autora i jego metody naukowo-literackiej uważam za rzecz słuszną rozprawić się szczegółowiej z ukończonym ostatecznie czwartym tomem tego dzieła jako z najbogatszem, najsamodzielniejszem zobrazowaniem piśmiennictwa niemieckiego, z okresu sięgającego od wojen Napoleońskich do Wielkiej Wojny światowej.

Nadler stosuje swą tezę naczelną również do czasów najnowszych. Dzieli literaturę niemiecką według obu głównych obszarów jej zasięgu. Jeden to obszar objętych wpływem państwa rzymskiego, starych plemion o klasycznej strukturze ducha, drugi zaś to obszar skłaniających się ku romantyzmowi, plemion nowych, zamieszkałych na Północy i na Wschodzie, na dawnych ziemiach słowiańskich lub germańskich. Prócz tego ma za najważniejsze wydarzenie w historji piśmiennictwa niemieckiego po r. 1915 wciskanie się elementu czwartego między trzy czynne dotychczas żywioły: niemiecki, klasyczny i keltoromański — wciskanie się Żydów. Chodzi tutaj nie o miotanie nienawistnych inwektyw, lecz o trzeźwe rzeczowe zbadanie faktu wielce doniosłego, którego nieuprzedzony badacz nie może pominąć. Nadler ocenia rolę Żydów w literaturze niemieckiej bardzo ujemnie. Stwierdza fakt, że tak różnorodne psychiki, jak niemiecka i żydowska, nie mogą się uzupełniać wzajemnie ani nie dają się stopić harmonijnie. Przytem nie umniejsza bynajmniej wybitnych zdolności tego lub owego pisarza żydowskiego... Zresztą Nadler nie jest wcale przeciwny mieszaniu się typów psychicznych w istocie swej do siebie podobnych. W szczególności goście francuscy w niemieckiej litera-

turze umieli się w sposób nader szczęśliwy dostosować do ram swej działalności: Chamisso, Fouqué, przedewszystkiem Fontane i dodajmy, w nowszych czasach Salomon i pani Le Fort. U Żydów asymilacja do ducha niemieckiego jest rzadkim wyjątkiem. Właściwie dwa tylko istnieją przykłady doskonałego zlania się, a oba te przykłady Nadler — któremu tutaj nie możemy zaoszczędzić delikatnego zarzutu, że nie zwrócił wyraźnie uwagi na te wyjątki — bez wszystkiego zrównał z rodowitymi Niemcami, owszem jednego traktuje jako Niemca z północno-wschodu, drugiego jako Niemca z bawarskiej marchji wschodniej.

Samej postawie zajętej przez Nadlera w kwestji żydowskiej nie mamy nic do zarzucenia, jednakże należałoby uwydatnić dwie rzeczy. Najpierw, że specjalnie w *niemieckiej* literaturze chodzi o niezgodliwość dwóch charakterów, której nie spotykamy koniecznie także gdzieindziej, gdzie Żydzi rozpłynęli się w ludach mówiących językami indoaryjskiemi. W literaturze francuskiej nie czuć zgoła tych przeciwieństw. Ludzie jak Montaigne, w 19 wieku Halévy, Courteline, w dobie najnowszej Benda, Suarés, Porto-Riche, Maurois są najczystszą Francją, właśnie w swych dziełach literackich. Z drugiej strony niemożliwość asymilacji żydostwa ujawnia się równie wyraźnie w krajach słowiańskich, jak w Niemczech — dość wspomnieć pisarzy takich jak Zeyer i Langer u Czechów, a u Polaków Tuwim, Słonimski, Rittner — wszyscy zresztą wybitni poeci. Są tam nieliczne tylko wyjątki, te zaś tłumaczą się drugim elementem, niedocenianym przez Nadlera. Oto odrębność duchowa Żydów polega nie tyle na różnicy krwi, ile na odmiennem, danem coprawda wraz z krwią, wychowaniu, na osobliwszem środowisku, w którem wzrastają i odbierają wrażenia od samego dziecięctwa. Z obu znakomitych pisarzy, których Nadler odczuwa jako Niemców i którzy istotnie nie zostawili w dziełach swych ani śladu żydowskiego pochodzenia, jeden jest prawnukiem naczelnika wiedeńskiej gminy wyznaniowej i bratem stryjecznym przywódcy syjonistów, drugi zaś potomkiem rodziny wschodnio-pruskiej, która walczyła o pierwszeństwo z Simonami i Jacobymi. A jednak — skąd u nich ta psychika niemiecka (czy austrjacka)? Bo wzrośli w środowisku nawskróś niemieckiem i nigdy nie uczyli się myśleć i czuć inaczej jak po niemiecku. To zaś jest momentem decydującym (jakkolwiek przyznaję, że w 999 wypadkach na 1000 rozstrzyga krew, wraz z którą bywa dane środowisko). Tem bardziej to rozstrzyga, że np. wśród wymienionych przez Nadlera autorów, których uważa się bez zastrzeżeń i uważać też należy za Niemców, znajduje się spora liczba półżydów, o których pochodzeniu żydowskiem po kądzieli autor prawdopodobnie nie jest poinformowany. U Heysego uwydatnia on bardzo trafnie rysy żydowskie odziedziczone po matce. Jest to przypadek podobny do tego, który zachodzi u Marcela Prousta. Są znowu inne przykłady, w których zaznaczyła się tylko

spuścizna ojcowska, jak u Konrada Burdacha. Albo, żeby przytoczyć przykład z poza obrębu Niemczyzny — Sven Hedin.

Następny zarzut, który z całym winnym szacunkiem, zmuszony jestem uczynić Nadlerowi, zwraca się przeciw stanowczemu zaprzeczeniu wszelkiego wpływu francuskiego na literaturę niemiecką. Wprawdzie i tutaj zderzają się z sobą dwie różnorodne psychiki, atoli nie są one tak niezgodliwe, jak niemiecka i żydowska. Twierdzenie wyrażone na str. 66: — wbrew Paryżowi a w związku z Rzymem (t. j. z Włochami) Niemcy stali się narodem i państwem — twierdzenie to wraz z swemi konkluzjami kulturalnemi wielce jest sporne. Pomijam, że Napoleon III (zapewne niezgodnie z francuskim punktem widzenia) był jednym z tych, co najwięcej popierali zjednoczenie Niemiec, że wielu Francuzów pragnęło tej jedności i dziś jeszcze jej broni, że dla większości Włochów jedność Niemiec była Hekubą i że niewiele brakowało, by Włosi nie stanęli do wspólnej z Francją walki w 1870 przeciw zjednoczeniu Niemiec, tak jak w roku 1915-tym wystąpili przeciw Niemcom z pobudek realno-politycznych. Lecz jakże się przedstawia bilans w literaturze? Niemiecka powieść psychologiczna bierze początek od Stendhala, Flauberta, Balzaca, grubo-realistyczna od Zoli i Goncourtów, poezja niemiecka neoklasyczna i neoromantyczna od symbolistów zgrupowanych dokoła Mallarmégo, Verlainea, Rimbauda tudzież od Baudelaire'a. Ryszard Wagner zaczerpnął treść swego najpiękniejszego utworu z „Percevala", Gotfryd Keller i C. F. Meyer nie są do pomyślenia bez wzorów francuskich. Czem byłby Stefan George bez Mallarmégo, czem Schaukal bez Pascala, całego Grand Siècle i symbolistów? Czy podobna dowieść, że „Niemców jako narodu" nigdy „nie doskonalił ani bogacił duchowo Paryż?" Nie sięgam wstecz do rozkwitu literatury niemieckiej w wiekach średnich, kiedy to naprawdę jedynie wpływowi Francji zawdzięczali Niemcy postęp i wzrost umysłowy. Może to brzmi niepopularnie, jednakże mąż, pracujący naukowo, jak Nadler, powinienby poddać rewizji swój sąd o wpływie ducha francuskiego.

W tych dwóch punktach, nad któremi rozszerzyłem się, jak mniemam, nie ponad słuszną miarę, wyczerpałem skromne zastrzeżenia, które mógłbym wysunąć wobec przepięknego zresztą całokształtu pracy. Obecnie wypada mi podnieść z uznaniem jasne i przekonywające uczłonkowanie materjału na części, przezorny rozdział przestrzeni, wytropienie setek pisarzy całkowicie lub napoły zapomnianych, sprawiedliwe odsunięcie na dalszy plan sztucznie rozdętych nicości i naprawienie krzywdy, wyrządzonej niedocenianej cichej zasłudze. Charakterystyki czarują świetnością pióra. Wyszczególniam jako najpiękniejsze portrety Ryszarda Wagnera, Nietzschego, Fontane'a i pani Droste-Hülshoff. Tak subtelnych uwag, jak te, które dotyczą Karola Maya (t. j. wszystkiego, co po potrąceniu Wagnera i Nietzschego pozostaje z ówczesnej niemieckości) — jest całe mnóstwo.

Zaznaczyć należy w dalszym ciągu górujące, z samej pełni materjału dokonane opracowanie tematów, które prawie zawsze bywają pomijane. I tak poddano ocenie literaturę niemiecką wyrosłą na gruncie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej tudzież krajów karpackich, a o Szwajcarji i Austrji dowiadujemy się więcej i bardziej wartościowych szczegółów, niż skądinąd. Opowiadanie nie ogranicza się do właściwych poetów, lecz obejmuje również essayistów, krytyków, dziejopisarzy i filozofów. Nawet malarze, architekci i muzycy znaleźli pomieszczenie w tym wielkim całokształcie, a namalowane jest wszędzie tło ogólnodziejowe, zarówno polityczne jak i społeczne. Kiedy niekiedy, choć niezbyt często, umila autor lekturę rozbiorem języka któregoś z poetów, np. Brentana lub Dehmela. A jest to za każdym razem nielada rozkosz, rzadki okaz twórczego sądu artystycznego. Są to oceny umysłu równorodnego, mistrza stylu.

Niech mi wolno będzie — a wystarczy to do pokazania, do jakiego rzędu pisarzy należy Nadler — przedrukować tutaj jako próbkę ostatnie zdania z rozdziału o Nietzschem: „W stylu Nietzschego krzyżuje się wyhodowany osobno język kapłański z filologiczną sztuką szkolarską. Język Lutra i forma poetycka biblji jako podstawa nowej poezji niemieckiej — oto mój wynalazek! Stamtąd pochodzi maniera artystyczna kazania chrześcijańsko-mitologicznego, stamtąd zasoby stylu mistyków. Za pośrednictwem Goethego Nietzsche przyswoił sobie wiersz staroniemiecki, wzór swych wierszy satyrycznych. Z ducha Schopenhauera wziął muzykę, rytm i melodję, któremi odcieleśnia swe tworzywa. Od Wagnera pochodzi jego sztuka operowania wpływami przewodniemi, Powstał styl dwuznaczności, zadumania, farsy, ciętego paradoksu, styl kołowrotka garncarskiego, który wirując między ugniatającemi palcami, przeobraża sens i formę. Uroczyście starozakonny, jaskrawo parodystyczny, złośliwie drwiący, rozmyślnie bluźnierczy, styl ten przeskakuje wszystkie przepaści, najwspanialej w Zarathustrze, najczyściej w poematach, przypowieściach i dytyrambach. Co się tutaj rozgrywało, było nie procesem myśli, lecz wydarzeniem językowem.

„Nietzsche szedł nie po tropach myśli, lecz po śladach słów. Był myślicielem nie logicznym, lecz etymologicznym. Poprzez synonimy i homonimy, poprzez analogje i antytezy przeskakuje sens od jednego wyrazu pierwiastkowego do drugiego, albo kołysze się na mostach zbudowanych z nowych kombinacyj słów. Styl, a więc i człowiek — to ucieczka przed pracą myśli (Gedankenflucht) i uroczysty kalambur."

Żaden Andler, żaden Bertram nie powiedział nic lepszego, nic bardziej ważkiego o mocarzu słowa Nietzschem. Żaden inny historyk literatury, żaden z niemieckich pisarzy prozaicznych, uprawiających umiejętności specjalne, nie rozporządza taką sugestywną mocą słowa, takim artyzmem językowym w jasnem od-

zwierciadlaniu poglądów i nadawaniu im siły magicznej. Mimo kilku wracających raz po raz zwrotów ulubionych, mimo hojnego szafowania terminem „stany psychiczne" (Seelenlagen), podziwiać należy niezwykle bogate słownictwo Nadlera, giętkość jego prozy i podatność jej do osiągnięcia zamierzonych celów, jej treść istotną, powagę i humor. Dowcipu wyrzekł się autor, prawdziwy Sudetczyk, jak Schaukal lub Kolbenheyer, ba, nawet gardzi i brzydzi się dowcipem jako czemś obcem swej naturze i niestosownem dla Niemca (na co ledwo potrafiłby się zdobyć Wiedeńczyk lub Niemiec z Nadrenji).

W takiem oszacowaniu dowcipu widzę źródło nielicznych sądów chybionych mojem zdaniem (in plus lub in minus). Zdaje mi się, że Langbeina, Anzengrubera, Niebergaka, Roseggera, Vischera oceniono zbyt korzystnie. Karol Kraus pomimo krótkiej charakterystyki jako „genjalny stylista" nie zajmuje należnego sobie miejsca. Nawet Nestroyowi nie oddano całkowitej sprawiedliwości. Nie wspomniano wybitnych Wiedeńczyków, jak półfrancuza Villens'a, a z nowszych Stoessl'a, gdyż charyzmatem ich jest dowcip.

Skoro już mowa o lukach, chciałbym zwrócić uwagę na kilka opuszczeń, nieuzasadnionych mojem zdaniem. I tak pominięci są: Ph. A. Boeckh, Schröer (wódz niemieckiej literatury Węgier zachodnich), z pośród nowszych zaś tacy myśliciele czołowi, jak Driesch, Holzapfel, Fr. W. Foerster, Kassner, dalej Leon Frobenius, odkrywca duszy afrykańskiej, Andrzej Heuster ojciec i syn, Karol von Amira, Willamowitz — wszystko to uczeni należący również do literatury, następnie mimo wszystko Rudolf Steiner, Edward Engel, Ludwik Klages, z poetów Lena Christ, hrabina Reventlow, Benno Rüttenauer, Rudolf Ilg (luka najpoważniejsza!), Knoop, Fryderyk von Gagern i Huch. Zbyt mało uwagi poświęcono Edwardowi Keyserlingowi, Emilowi Straussowi, Bachofenowi i Hessemu. Dla Altenberga Nadler jest niesłusznie surowy. Jego niewątpliwie kompetentnemu sądowi przeciwstawiają się głosy Schaukala, Haeckera i Karola Krausa.

Po tych niewielu punktach, co do których jestem zdania odmiennego, nadmiernie długa wypadłaby lista omówień, na które godzę się z wdzięcznością. Mam tu mniej na myśli trafną wszędzie ocenę pisarzy czołowych, jak von Ranke, E. T. A. Hoffmann, Eichendorff, Schopenhauer, Tieck, Wagner, prowadzących przez Uhlanda, Mörikego, Platena, Büchnera, Immermanna, Gotthelfa, Hebela do Schellinga, Brentana, Raimunda, Nestroya, Grillparzera, do Heysego, Sealsfielda, Stiftera, pani Droste, do Grabbego, Hebbela, Storma, Ludwiga, Fontane'a, Kellera, C. F. Meyera, lecz raczej trafne odróżnianie genjuszu od talentu, oraz dobrze uzasadnione wysunięcie na czoło Brentana, Sealsfielda i Stiftera, którym gdzieindziej niezawsze oddaje się cześć należną. Wypada mi przedewszystkiem podnieść z uznaniem nieomylne usytuowanie autorów nowszych i najnowszych. Wildenbruch i Sudermann zbie-

rają wawrzyny, których odmawiali im zarozumiali niedołędzy. Miarę Gerharta Hauptmanna określa autor trafnie, bez przesady ani na lewo ani na prawo. Arno Holz ukazuje się w całej swej wielkości sympatycznej, nakazującej szacunek. Wobec Stefana George'a jakoteż Tomasza Manna Nadler daleki jest zarówno od nierozsądnego obniżania, jak od ślepego wynoszenia pod niebiosa. Otto zur Linde odsłania się nam jako wzniosły poeta, jakim jest naprawdę. Schaukal, Borchardt, Paweł Ernest Stehr, Kolbenheyer znaleźli się na właściwem miejscu, a względem dwu pierwszych zwłaszcza tego wspaniałego szeregu, naprawia autor krzywdę, wyrządzaną im przez innych historyków literatury. Z pośród nieżyjących Karol Hauptmann, Liliencron, Piotr Hille, Lienhard, Spitteler, Dehmel, Rilke, Hofmannsthal zaszczytne zajmują stanowisko. Jak widać, żadne względy uboczne nie zdolne nakłonić Nadlera do porzucenia swej bezstronności. Ani światopogląd poganina Spittelera, ani pochodzenie semickie Hofmannsthala, ani niedocenianie Karola Hauptmanna i Hillego nie powstrzymują go od stawiania tych pisarzy narówni z Liliencronem, Rilkem i Dehmelem.

Zaznaczamy z zadowoleniem, że także pewna liczba gwiazd drugorzędnych, których nie głaska pieszczotliwie ogół historyków piśmiennictwa, zajaśniała łagodnym blaskiem w omawianej książce. Wymieniam bez porządku Hoffmanna von Fakersleben, księcia Pücklera, L. Schefera, Daumera, księcia Schwarzenberga „lanc-knechta", Schuselkę, Fallmerayera, Prokescha, Kürnbergera, Lipinera, Komperta, J. J. Davida, Bacmaislera, Nannyego Lambrechta, Dallagę — wszystko to autorzy, których Nadler, że tak powiem, na nowo musiał poodkrywać. Z niemniejszą satysfakcją widzimy zbyt sławnych zdemaskowanych i rozpoznanych jako nicości w mniejszym lub większym stopniu. Z takimi, jak Heine, Börne (— nie talent, zato charakter), Hauff, Herwegh, Ischokke, Beck (Tyrtajos wiedeński), Spielhagen, Bauernfeld, załatwia się Nadler w sposób sprawiający nieomal rozkosz fizyczną. Bardzo szorstko obchodzi się on także z Heysem i Lenau'em. Sąd wydaje mi się w zasadzie słuszny, mógłby jednak wypaść nieco łagodniej.

A teraz kilka pomyłek bez znaczenia — jedyne, które przy starannem sprawdzaniu faktów zdołałem wyśledzić. Że Lessing nie pochodził od Żydów, można wykazać na podstawie dokumentów. Genealogja jego znana jest aż do 32-go przodka, a jest nawskróś niemiecka względnie zachodnio-słowiańska (str. 7). Żeby Szwabja około r. 1870 miała wyczerpać swą płodność literacką, nie sprawdza się w takiem sformułowaniu. Właśnie w najświeższej dobie uczestniczy ta kraina w istotnej mierze w odrodzeniu piśmiennictwa niemieckiego (Strauss, Hesse, Burte, Ehrler, Finckh, Hefele) ... (str. 246). „Lampacivagabundus" Nestroya nie mógł być wymierzony przeciw „Marnotrawcy" Raimunda, albowiem trójka hultajska wybrała się w podróż, nim jeszcze Flottwell rozpoczął swe

światowej sławy występy na scenie teatralnej (str. 424). Maks Reinhard (Goldmann) pochodzi z okolic Preszburga, nie z Badenji (str. 674), gdzie, jak mówią, miał się urodzić.

Wkońcu kilka uzupełnień do znakomitej, bogatej i cennej bibljografji, zamykającej tom przez nas omawiany wraz z wybornym skorowidzem. Naogół brak wielu dzieł z ostatnich czterech lat, prócz tego opuszczono większość opracowań francuskich, wśród których znajduje się niejedno znakomite dzieło. Wymieniam Tronchona studja porównawcze, Baldenspergera „Keller", d'Harcourta „C. F. Meyer", Fitrou'a „Storm" (te dwie książki są najlepsze, jakie ukazały się o poetach w nich omawianych), Andlera „Nietzsche" (praca podstawowa), Loiseau'a „Goethe en France". Nie znajdujemy niezbędnej monografji Woltérsa o George'u (obok pism Spenlégo i Hobohma), Lieglera o Karolu Krausie, prac Hülsena, Sulgera i Spiera o Gerharcie Hauptmannie wraz z bibljografją Requardta, wreszcie monografij Zecha, Buchheita i Jaloux'a o Rilkem. Przy Heinem i Nestroyu należałoby przytoczyć broszury Krausa, o Nestroyu zwłaszcza monografje Rommella i Neckera, o Hessem pisma H. R. Schmida, Bühnera i Mauerhofera, o Schaukalu prace Kislera, Katanna, Arnima, Forsta-Battaglji, o Rikardzie Huch pisma G. Guthego i C. Walzela, o Tomaszu Mannie monografje M. Kappa, Kandorffa i Maurycego Mureta.

Wstydzę się nieomal swych drobnych uwag, dorzuconych do dzieła wielkiej miary. Niech to jednak będzie dowodem doskonałości tego niezrównanego poglądu na niemieckie życie duchowe ostatniego stulecia, że nawet najgorliwsze wysiłki krytyka nie potrafią wytoczyć zarzutów poważniejszych nad te mniejszej wagi zastrzeżenia i uzupełnienia. Mam afekt do tej książki i podziw dla niej. Jest dla mnie cenną krynicą wciąż nowych pouczeń i rozkoszy estetycznych. Jeśli polecam ją jako dar pożądany, czynię to więcej dla czytelnika niż dla autora, który mało troszczy się o rozgłos dnia, któremu wszakże nikt nie zaprzeczy stanowiska pierwszego historyka literatury Niemiec. Nikt bez korzyści nie wypuści z rąk tego dzieła, wyszłego z pod pióra znakomitego artysty i torującego nowe drogi badaczom, nikt też nie zechce rychło rozstać się z niem, kto raz zabrał się do jego wertowania. Jeśli wobec niewielu tylko książek naszej doby wolno się bawić w proroka, to historji literatury Nadlera przepowiadam bez wahania, że po stu jeszcze latach składać będzie świadectwo o naszej epoce na jej korzyść. Kreacja Nadlera — to dzieło zrodzone z łona swego czasu i dla swego czasu przeznaczone, mające wszelako wyciśniętą na sobie jako dar bogów pieczęć trwałości, prawdziwy pomnik literatury *aere perennius.*

Dr. Otto Forst de Battaglia.

Notatki bibljograficzne.

J. I. Kraszewski: Chata za wsią. Opracował Stanisław Turowski. „Biblioteka Narodowa", serja I, nr. 122. Lwów, Zakład Narodowy Im. Ossolińskich. Str. L+383 i mapa.

Po dłuższej przerwie otrzymujemy nowy tomik tak dobrze znanej i zasłużonej „Bibljoteki Narodowej", której wydawanie przejął obecnie Zakład Nar. Im. Ossolińskich. *Chata za wsią*, pierwsza powieść ludowa i mająca stałą wartość, została tu podana w wydaniu krytycznem i zaopatrzona obszernym wstępem, który omawia genezę powieści, czas, miejsce i okoliczności akcji, styl i język, wpływy, jakie działały na autora, wrażenie wywołane w społeczeństwie i bibljografję; liczne objaśnienia w tekście ułatwiają zrozumienie wyrazów gwarowych i obcych.

Postacie Świętych. Poznań. Księgarnia św. Wojciecha.

Nowe, oryginalne wydawnictwo podjęła świeżo Księgarnia św. Wojciecha. Wychodząc z założenia, że istniejące dziś życiorysy Świętych albo są gruntowne i krytyczne, ale zbyt obszerne, albo zupełnie nieraz bezkrytyczne, pragnie dostarczyć szerokim sferom osób inteligentnych (przedewszystkiem!) taniej a dobrej lektury tego rodzaju. Każdy tomik, formatu 16-tki, a objętości 32 stron druku, zawiera życiorys jednego Świętego, przedstawiony krytycznie, z położeniem nacisku na wewnętrzne przeżycia i walki duchowe, dający wierny obraz Świętego i zachęcajacy do naśladowania. Broszurki te nie są więc przeznaczone dla dzieci, ani dla osób zupełnie prostych. Projektowanem jest wydanie 150-ciu takich życiorysów, obecnie ukazała się pierwsza serja 27-u broszurek, między niemi także życiorysy polskich Świętych: każda posiada barwną, kartonową okładkę i kosztuje 30 gr.

Pierre Saint-Quay. Vivre, ou se laisser vivre. Conseils aux jeunes gens. 3-ème édition. Paris Téqui. 1933. Str. 328.

Rzecz wydana 20 lat temu, słusznie wówczas uwieńczona przez Akademję Francuską, ukazała się świeżo w nieco odmienej formie. Treścią jej są rady zarówno przyrodzone, jak zwłaszcza nadprzyrodzone, jak pokierować życiem, by spędzić je pożytecznie, a nie pozwolić unosić się zgubnym prądom. Rzecz ma na oku głównie młodzież sfer niższych lub średnich. Oczywiście w pierwszym rzędzie uwzględnione są stosunki francuskie, ale nie tak wyłącznie, żeby to dziełko nie było pożyteczne i gdzieindziej. Dużo dobrych myśli mogą zeń zaczerpnąć kierownicy kółek młodzieży lub redaktorzy odnośnych pism.

L'ascension d'une Ame. Souvenirs d'une Maman. Paris. Téqui 1933 str. 170. 5 ilustr. w rotograw.

Skreślone przez Matkę piękne życie młodej panienki, która w piętnastym roku życia padła ofiarą wypadku na wycieczce al-

pejskiej. Jedna z tych wybranych dusz młodych, które dziś Bóg rozmnaża w Kościele, jak śliczne kwiaty nadprzyrodzonego życia. Miła lektura dla dzieci rodzin chrześcijańskich.

Edward Montier Le Dimanche du Soldat. Paris. Tequi, str. 136 z ilustr.

Pobożne uwagi o świętach roku kościelnego pojęte jako zapiski młodego żołnierza, robione dla żołnierzy. Dla kapelanów wojskowych pożądane.

Pax. Pismo Młodych Katolików. Redaktor naczelny Władysław Arcimowicz. Wilno, Uniwersytecka 9—9. Konto P. K. O. 144·229. Pren. roczna 2·40 zł. Pismo wychodzi co miesiąc.

Miesięcznik ten zwraca baczną uwagę na zagadnienia społeczne, naświetlając je ze stanowiska katolickiego. Szczególnie instruktywny był numer lutowy, poświęcony omówieniu warunków bytu warstw najbiedniejszych Wilna i wileńszczyzny. Spośród artykułów wartoby wymienić M. Zdziechowskiego: Fryderyk Ozanam a czasy obecne, oraz szereg innych współpracowników i współpracowniczek czasopisma, którzy tworzą zespół, zdradzający znaczną samodzielność myślenia i płodność w poszukiwaniu dróg rozwiązania zagadnień społecznych na podstawach katolickich.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Wyd. Institut International de Coopération Intellectuelle (Société des Nations).

L'Avenir de la Culture. Entretiens (Wyd. zbiorowe autorów różnych krajów). Str. 330.

L'Avenir de l'Esprit Européen. Entretiens. (Wyd. zbiorowe). Str. 306.

Le Rôle intellectuel de la Presse. Cahiers. (Wyd. zbiorowe). Str. 232.

Wydawnictwo OO. Dominikanów, Lwów.

O. D. Joret Z. K.: Dziecięctwo duchowe. Przekład i przedmowa O. A. Gmurowskiego Z. K. Str. 163.

Ks. Dr. Kazimierz Kowalski: Dwa kazania eucharystyczne na tle hymnów św. Tomasza z Akw. (1932). Str. 43.

Tenże: Nauka św. Tomasza o Miłosierdziu chrześcijańskiem. Wyd. 2. Str. 36.

Tenże: Duch Święty. Kazanie (str. 21). — Najśw. Marja Panna Matką Miłosierdzia (str. 40). — Miłosierdzia chrześć. wrogowie: sekciarstwo i bolszewizm (str. 39). — Chrystus Pan Mistrzem duchowym jednostki (str. 32). Odbitka.

O. Jacek Woroniecki Z. K.: Pokora i jej rola w stosunkach międzynarodowych. Str. 18. (Odb.).

Ks. Dr. Adolf Tymczak: Kościół jako ciało mistyczne Chrystusa. (1932). Str. 34.

O. Teofil Patynek Z. K.: Paulina-Marja Jarico. Założycielka Żyw. Różańca i Stow. Rozkrzew. Wiary. Str. 12. (Odb.).

Nakładem Wyd. „Droga". Warszawa 1934.

Henryka Łazowertówna: Imiona świata. (Poezje). Str. 64.
Cyprjan Norwid: Miłość czysta u kąpieli morskich. Komedja. Wydał z autografu Z. Przesmycki. Str. 35.
Jerzy Mieczysław Rytard: Dalekie spojrzenie. Str. 125.

Nakładem Pierre Téqui, (Paris VI, 82 rue Bonaparte) r. 1934.

J. Raimond, l'abbé: Je suis la Voie. (Méditations Théologiques). Lettre-Preface de S. E. Mgr. Roland-Gosselin. Str. VI+309.
Mgr. Millot: Plans de Sermons de Circonstances. Str. 294.
Adolphe Retté: Au Pays des Lys Noirs. Souvenirs de jeunesse et d'âge mûr. Ed. nouvelle avec introed. de R. Duverne. Str. XXX+317 z ilustr.
Rémy, de la Societé Astron de France: Voyage dans les merveilles de l'espace. Str. VI+77 z licznemi ilustr.

Nakładem różnych.

Franciszek Körmendi: Przygoda w Budapeszcie. Warszawa, Gebethner i Wolff. Str. 379.
Dr. Emil Szramek: Śląsk jako problem socjologiczny. Próba analizy. Katowice 1934. Str. 79.
Verbum. Kwartalnik poświęcony zagadnieniom kultury współczesnej. Nr. 2. Warszawa 1934.
Wincenty Jan Ostrowski: Wyobraźnia ejdetyczna Stanisława Wyspiańskiego. Poznań 1934. Poznańskie T-wo Filozoficzne. Str. 96.
S. Robertus Bellarminus Dr. Eccl.: Explanatio in Psalmos. Editio critica, cur. Romualdus Galdos S. J. („Societatis Jesu selecti Scriptores"). P. I et II, r. 1931 i 1932; in 6°. Str. XLVIII+840+62.
Ks. Dr. Stanisław Czajka: Przedawnienie w prawie karnem kanonicznem. Lublin 1934. Bibljoteka Kat. Uniwersytetu Lubelskiego. Str. 193.
Leopold Lewin: Sen zimowy. (Poezje). Warszawa 1934. F. Hoesick. Str. 25.
Franz Michel Willam: Das Leben Jesu in Lande und Volke Israel. 3 Anfl. Freiburg in Breisgau 1934. Herder & Co. Str. XII+529, 33 ilustr. i mapa.
O. Forst de Battaglia: Le Mystère du Sang. Les Editions du Cerf. Str. 62.
Dr. Czesław Strzeszewski: Znaczenie prawa zmniejszającej się wydajności w produkcji rolnej. Warszawa 1934. Wyd. Kasy im Mianowskiego. Str. XII+155.
Zbigniew Krasnowski: Światowa polityka żydowska. Warszawa 1934. Tow. Wyd. „Patria". Str. VIII+183.
Władysław Malinowski: Teorja ilościowa pieniądza w polskiej literaturze ekonomicznej (1918—1932). Próba analizy. Kraków 1934. T-stwo Ekonomiczne w Krakowie. Str. 40.
Tu es Petrus. Encyclopédie populaire sur la Papauté. Publiée sous la direction de M. l'Abbé G. Jacquemet. Paris 1934, Librairie Bloud et Gay. Str. XVI+1168, z ilustr.
P. Tiberghien: La science mène-t-elle à Dieu? Introduction scientifique à la question religieuse. Paris, Librairie Bloud et Gay. Str. 216.
Jan Szelejewski: Dziecko wiejskie. Poznań, Wyd. „Przyjaciela Szkoły". Str. 101.
Jan Szelejewski: Wielkomiejskie dziecko proletarjackie. Tamże, str. 69.

Ku lepszej przyszłości. Przemówienie Dr. Jana Zdzitowieckiego. Poznań 1934, nakł. Młodzieży Wszechpolskiej. Str. 14.

Zygmunt Nowakowski: Dzwonek niedzielny. Warszawa, Gebethner i Wolff. Str. 185.

Spór polsko-czechosłowacki w zwierciadle trzech deklaracyj prasowych i rzeczywistości. Praga 1934, Komitet polsko-czechosłowackiego porozumienia prasowego. Str. 27.

Ryszard Piestrzyński: Naród w państwie. Nakł. wydawnictwa „Awangardy", skład: „Dom Książki Polskiej", 1934, str. 187.

Fanny Wibmer — Pedit: Emerenzia. Roman. Salzburg — Leipzig, Anton Pustet, str. 330.

Fanny Wibmer — Pedit: Vier Läuterbuben. (Jugendbücherei). Tamże, str. 119, z ilustr.

Ks. Dr. Jan Bochenek: Chrystus w parafji. Czytania o życiu parafjalnem. Część II. Kraków 1934. Str. 314.

Kpt. Antoni Stan. Tomaszewski i ppłk. dypl. Constantin Constantin; Słownik wojskowy polsko-rumuński i rumuńsko-polski. Cz. I. i II. Warszawa 1934, Wojskowy Instytut Nauk.-Wydawniczy. Str. XVI+294, XVI+275.

Dr. S. Wyszyński: Kultura bolszewizmu a inteligencja polska. Włocławek 1934, Księgarnia Powszechna. Str. 35.

Jerzy Braun: Epitaphium na odsłonięcie pomnika Hoene-Wrońskiego na cmentarzu Neunilly w Paryżu. Warszawa 1934, Bibljoteka Zet. Str. 20.

Ks. Dr. Stanisław Trzeciak: Mesjanizm a kwestja żydowska. Warszawa 1934, Księgarnia „Przeglądu Katolickiego". Str. VIII+377.

Ks. Zygmunt Choromański: W obronie chrześcijańskiego małżeństwa. Warszawa 1934. Str. 161.

A. Auffray; Św. Jan Bosko. 1815—1888. Poznań 1934, nakł. Ks. Salezjanów. Str. XVI+428 z ilustr.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ruina Kościoła w Rosji bolszewickiej. — Postępy akcji unijnej na Kresach. — Trudności z Łemkowszczyzną.

Dłuższy czas nie informowaliśmy z tego miejsca o sprawach Kościelno-wschodnich. Od przeszłego roku bowiem wychodzi specjalny dwumiesięcznik *Oriens*, całkowicie poświęcony tym sprawom. Chcemy jednak dać przynajmniej zwięzłe streszczenie tego, co w tej dziedzinie zaszło ostatniemi czasy, Czytelnikom *Przeglądu*, nie mającym sposobności stałego czytania *Oriensu*.

Zaczynamy od Rosji. Ze skąpych wiadomości, jakie stamtąd się przedostają o stanie Kościoła katolickiego, można utworzyć sobie obraz, który musi się nazwać wprost rozpaczliwym. Likwidacja katolicyzmu, jako organizacji kościelnej, zbliża się ku końcowi. Raz po raz donoszą dzienniki o aresztowaniach kapłanów i zaludnianiu nimi więzień GPU, izolatorów i obozów karnych na tak osławionych Wyspach Sołowieckich. Od czasu do czasu dokonywa się wymiana tych skazańców na agitatorów bolszewickich z którymś z krajów ościennych, Polską, Łotwą, Litwą. Obecnie pozostaje w więzieniach i na robotach przymusowych jeszcze blisko stu kapłanów, a na „wolności" pozostaje ich na całym obszarze Związku republik socjalistycznych nie więcej jak 40, w najlepszym razie 50-u. Dla orjentacji Czytelników dodajemy, że poprzednio na tem terytorjum pracowało ponad 500 katolickich kapłanów, a i wtedy obsługa duchowna katolików, z powodu niezmiernych przestrzeni, była gorzej niż niedostateczna. Co więc mówić o dzisiejszym stanie tej obsługi przez te niedobitki księży, przeważnie złamanych wiekiem i prześladowaniem? Wyraz wolność wzięliśmy powyżej w cudzysłów, bo jest to wolność *sui generis*, którą można

tak nazywać tylko w kraju, w którym wyrazy dawno utraciły swoje znaczenie. Polega ona na tem, że cieszący się nią ksiądz nie znajduje się w murach więzienia, trudno mu zato znaleźć przyzwoity kąt pod dachem, po trochę strawy musi wyciągać rękę do pozostałych wiernych. Na każdym kroku jest znieważany z racji swej sutanny przez wojujących bezbożników, kontrolowany i szykanowany przez władze policyjne. Poza tem w najwyższem napięciu nerwowem oczekuje na swoją kolejkę, kiedy znowu (nie po raz pierwszy) znajdzie się za kratą lub u taczek. Jeżeli wogóle obywatele sowieccy dzielą się na trzy kategorje: tych co siedzieli w więzieniu, tych, co siedzą i tych co siedzieć będą — to w pierwszym rzędzie sprawdza się to na duchowieństwie, a zatem i na księżach katolickich. Zresztą nie jeden „wolny" jeszcze ksiądz niecierpliwie wyczekuje na aresztowanie go, bo wtedy nerwy jego na czas pewien odprężają się, ma poczucie, że wreszcie znalazł się u celu, którego w żadnym razie ominąć nie mógł, a przytem czuje ulgę zdjętej z niego odpowiedzialności za dusze, które były mu powierzone, a nad któremi praca jego była tak utrudniona przez niegodziwy system. Dopiero nowe indagacje, metody „udoskonalonej" inkwizycji, dopiero poniewierka w ciężkich robotach, albo ścisłe odosobnienie w izolatorze zabierają mu resztę zdrowia. Wielu tych kapłanów-wyznawców doszło do rozstroju nerwowego, nawet dostało pomieszania zmysłów; ci, którzy wydostali się z tego piekła, długi czas nie mogą przyjść do siebie, niektórzy z nich okazują się fizycznie niezdolnymi do dalszej pasterskiej pracy.

W dniach najbliższych ma przybyć do Polski J. E. Ks. Biskup Antoni Malecki, Administrator apostolski Petersburga i północnej części Rosji. Jest on jednym z biskupów wyświęconych w r. 1926 przez wysłanego ze specjalną misją papieską Mgr. M. d'Herbigny'ego, by utrzymać w sowieckiej Rosji ciągłość hierarchji kościelnej. Niedługo zdołał on rządzić powierzoną sobie częścią owczarni Chrystusowej. Więziony kilkakrotnie, został skazany na deportację do odludnego kraju Jakutów w wschodniej Syberji. Obecnie po odbyciu tam pięcioletniej kary chciał powrócić na swoje dawne stanowisko do Petersburga, zatrzymano go jednak po drodze i dowiadujemy się, że został on przeznaczony na wymianę do Polski! Jak wiadomo, wcześniej zostali z Rosji wysłani w ten sam sposób dwaj inni biskupi katoliccy: Bolesław Słoskan i Teofil Matulonis, umarł zaś pod Władywostokiem w ostatniej nędzy Ks. Biskup Karol Śliwowski, a na Krymie b. Biskup tyraspolski Antoni Zerc. Obecnie w całej Rosji sowieckiej pozostało zaledwie dwóch biskupów katolickich, którzy zresztą prawie nie mogą wyko-

nywać swej jurysdykcji, a jeśli osobiście nie podzielili losu innych współ-pasterzy, to jedynie dzięki opiece ambasad obcych potencyj (nie Polski!). Jeden z nich jest jedynym pozostałym katolickim duchownym w olbrzymiej stolicy państwa, mającej około 30 tysięcy ludności katolickiej; w drugiej stolicy, dawnej siedzibie metropolity, akademji duchownej i seminarjum, gdzie było do dwunastu kościołów katolickich, pozostał jeden ksiądz Francuz, który odprawia po kilka mszy św. dziennie, by choć w małej części zaspokoić głód duchowny wielu dziesiątków tysięcy katolików. Czy długo będzie trwała ta minimalna obsługa duchowna?

Stany Zjednoczone Ameryki Półn., nawiązując stosunki polityczne z Sowietami, wymogły na rządzie bolszewickim rękojmię tolerancji religijnej dla obywateli amerykańskich, przebywających w Rosji. Mają z tej koncesji korzystać także amerykańscy katolicy. Do Moskwy przybył już nawet ks. Brown, mający być ich pasterzem. Ma być zbudowany w stolicy Związku Sowietów dla nich osobny kościół. To ustępstwo notowane jest przez prasę jako wyłom, a może i zawrócenie z drogi w dotychczasowym stosunku bolszewików do religji. Trzeba jednak strzec się przeceniania tego ustępstwa, dopóki ono dotyczy jedynie obywateli amerykańskich. Katolików ze Stanów Zjednoczonych może być na całem terytorjum Rosji jakiś tysiąc i rządowi komunistycznemu nie ciężko było udzielić takiej garstce żądanej gwarancji, która przytem nazewnątrz może być wyzyskana jako dowód istnienia tolerancji religijnej w Rosji. Sytuacja poprawiłaby się nieco, gdyby chwalebny przykład Stanów Zjednoczonych zechciały naśladować inne państwa i wymogły na rządzie bolszewickim podobne rękojmie choćby każde państwo dla swoich obywateli. Polska miałaby pod tym względem piękne zadanie do spełnienia, i rezultat byłby bardziej donośny. A najlepiej stałoby się, gdyby rządy państw, utrzymujących z Sowietami stosunki, wystąpiły z kategorycznem żądaniem zapewnienia wolności sumienia wszystkim mieszkańcom Rosji bez mydlenia oczu rzekomo istniejącą już wolnością, której istotne znaczenie świat miał już chyba czas i sposobność poznać i należycie ocenić. Jak dotąd, słyszeliśmy zaledwie o jednem takiem wystąpieniu, mianowicie o przedstawieniu ze strony ambasady niemieckiej w Moskwie z powodu uwięzienia wielu kapłanów i pastorów narodowości niemieckiej. Inne rządy skrupulatnie przestrzegają zasady „niewtrącania się do spraw wewnętrznych obcego państwa". Czy tę skrupulatność historja poczyta im za zasługę, godzi się powątpiewać.

Tymczasem religja w Rosji skazana jest na katakumby i męczeństwo. Jakie są widoki przetrwania i może odrodze-

nia — jest to temat, który nie nadaje się do kronikarskiego, jak obecny, artykułu.

Z bliższego terytorjum wschodniego, z naszych Kresów, możemy zakomunikować bardziej pocieszające wiadomości. Wiadomo jakie zadania stanęły tam przed katolicyzmem po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Trzeba było leczyć rany, zadane Kościołowi przez reżym prawosławnego caratu, odzyskać dziesiątki zabranych przemocą świątyń (mówimy tutaj tylko o kościołach łacińskich), pomnożyć liczbę parafij i duchowieństwa, zorganizować bardziej nowożytnie pracę duszpasterską. Te zadania w znacznej części zostały już urzeczywistnione. Seminarja duchowne w Wilnie, Pińsku i Łucku są pełne i w latach najbliższych można się spodziewać zapełnienia księżmi ostatnich luk. Obecnie na Wileńszczyźnie trafiają się jeszcze parafje, liczące po 5—8 tysięcy wiernych, a obsługiwane przez jednego tylko kapłana. Na Polesiu znowu często jeden proboszcz obsługuje kilka nielicznych wprawdzie, ale daleko od siebie odległych placówek. Ważnem zadaniem Kościoła w tych stronach jest gruntowne religijne przeszkolenie ludu katolickiego i zabezpieczenie go przed posiewem zarazy bolszewickiej, idącej od Wschodu, która niestety dotknęła już niemałą część ludności prawosławnej na Kresach, zwłaszcza dorastającej młodzieży. Kościół robi tu wiele przez misje ludowe, literaturę popularną i szkołę, praca jego jednak jest ciężka z powodu rozrzucenia ludności katolickiej wśród innowierców, z powodu rzadkości jeszcze kościołów, wreszcie z powodu ubóstwa ludu i jego analfabetyzmu, dość jeszcze znacznego.

Nazewnątrz katolicyzm powołany jest do pracy nad sprowadzeniem liczniejszej kilkakrotnie na tych obszarach ludności dysydenckiej do jedności z Kościołem katolickim. Jest to jego wiekowe posłannictwo, zapoczątkowane przez dzieło Unji Brzeskiej, lecz brutalnie przerwane i zdławione przez rozbiory Rzeczypospolitej i unifikacyjną politykę prawosławia i caratu. Częściowo jest ono urzeczywistnione przez indywidualne nawrócenia prawosławnych na obrządek łaciński, niema jednak widoków, by ten sposób katolicyzacji mógł ogarnąć szersze masy. — To też, zgodnie ze swą odwieczną tradycją, Kościół usiłuje pozyskać te masy dla katolickiej prawdy, pozostawiając im nietkniętym obrządek rodzimy. Z tą myślą dziesięć lat temu została zapoczątkowana tak zw. akcja misyjna pod kierunkiem polskiego Episkopatu. Wiemy, ile ma ona do pokonania przeszkód, stawianych nietylko ze strony Cerkwi prawosławnej, co jest zrozumiałe, lecz i ze strony czynników, od których mogła się spodziewać pomocy, co jest wprost smutne. Nie chcemy

przypominać tutaj kampanji, jaką przed paru laty rozpętano w prasie przeciwko akcji unijnej: w swoim czasie rozpatrywaliśmy i odpieraliśmy podnoszone przeciwko niej zarzuty, wyjaśnialiśmy nieporozumienia. Obecnie z zadowoleniem możemy stwierdzić, że kampanja ta znacznie osłabła, a akcja unijna znajduje coraz więcej zrozumienia wśród naszego kleru i społeczeństwa.

Powoli też, ale stale akcja ta rozwija się i postępuje naprzód, zwłaszcza na Wołyniu i Polesiu. Dzienniki, które z nią walczyły, jako z robotą, rzekomo szkodliwą dla interesów narodowych Polski, od pewnego czasu zmieniły taktykę. Poczynają ją raczej bagatelizować, jako rzecz bez znaczenia, lub zapowiadają rychłą jej likwidację. Dymisja Mgra d'Herbigny'ego ze stanowiska prezesa Komisji *pro Russia*, od której akcja unijna u nas zależy, spowodowana ciężką, a przewlekającą się chorobą, dała okazję do pogłosek, jakoby Watykan zmienił swój stosunek do akcji unijnej i zamierzał ją powstrzymać — rozpuszczono też wieści o zamierzonem, jakoby przeniesieniu papieskiego seminarjum wschodniego z Dubna do Jugosławji, a nowicjatu wschodniego Jezuitów z Albertyna do Estonji. Bogu dzięki rzecz się ma inaczej. Akcja misyjna nadal cieszy się opieką Ojca św. Piusa XI, nowicjat albertyński i seminarjum dubieńskie pozostają na swojem miejscu i funkcjonują normalnie.

Co więcej, obok zakonów, które od początku istnienia akcji unijnej, pracy tej się poświęciły, t. j. Jezuitów i Redemptorystów, stanęło już kilka innych zgromadzeń zakonnych męskich, oraz powstało parę zgromadzeń żeńskich. OO. Kapucyni promieniują ze swego odnowionego klasztoru w Lubieszowie na Polesiu, Oblatom powierzono jeden z kościołów w Kodniu, Studyci (zakon założony przez J. E. ks. Metropolitę Szeptyckiego) zostali powołani do pracy nad Unją na Polesiu i Podlasiu, OO. Bazyljanie rozwijają działalność apostolską w Lubelszczyźnie.

Seminarjum papieskie w Dubnie, odnowione przed trzema laty, w roku bieżącym wypuściło już pięciu pierwszych kapłanów, dla których praca natychmiast się znalazła. Seminarjum liczy obecnie na trzech kursach ponad 30 alumnów, i można się spodziewać, że odtąd corocznie będzie dostarczało zainteresowanym diecezjom po kilku nowych pracowników na niwie nowo-unickiej.

Parafij neo-unickich w diecezjach kresowych jest już około 40. W ostatnich czasach przybyły na Wołyniu i Polesiu parafje takie w Łucku, Lubieszowie, Tutowiczach. Zgłoszenia całych grup prawosławnych na unję wpływają wciąż do władz diecezjalnych i do Wizytatora Apostolskiego, ks. Biskupa Czarneckiego. Jedynie brak przygotowanych kapła-

nów i środków materjalnych na budowę cerkwi i kaplic stoją na przeszkodzie rozwinięciu akcji unijnej na szerszą skalę. Wszelkie zatem pogłoski o bankrutowaniu, jakoby całej akcji należy uważać za pozbawione podstawy.

Należy zanotować z tej pracy jeszcze jeden pouczający objaw. Jeżeli w początkach akcji unijnej można było zarzucić — przynajmniej w niektórych miejscowościach — powierzchowność nawróceń, to obecnie przekonania religijne nowych unitów konsolidują się i życie duchowne ich pogłębia się. Element niepewny i chwiejny powrócił już do „prawosławia". Pozostali przy unji rozumieją czem są i czego szukają. Z wielu parafij nadchodzą wiadomości o odbytych w Wielkim Poście rekolekcjach dla dorosłych i osobnych dla dzieci. Wzrasta uczęszczanie do sakramentów, młodzież garnie się do śpiewu cerkiewnego, zawiązywane są bractwa. Pobudowano już szereg nowych cerkwi i kaplic, których Cerkiew prawosławna nie będzie już mogła ani rewindykować (jak to w paru wypadkach uczyniła) ani kwestjonować. Z tego wszystkiego widać, że akcja unijna przełamała pierwsze lody, przetrwała próbę ataków, nabyła niejednego doświadczenia i obecnie rokuje jaknajlepsze nadzieje. Wszystko to osiągnęła bez opierania się o państwo, które nic na nią nie łoży i raczej zdaje się sprzyjać Cerkwi prawosławnej. Nic dziwnego, że prawosławie z niepokojem śledzi postępy Unji, że na wszystkich swoich Zjazdach pasterskich i misyjnych (a było ich dość wiele w ostatnich czasach) nawołuje się i zachęca do przeciwdziałania katolickiej misji.

Tracąc na kresach część swoich wiernych, Cerkiew prawosławna odgrywa się na Unji w Łemkowszczyźnie. Łemkowszczyzna istotnie sprawia wiele kłopotów Kościołowi. Łemkowie, najdalej na Zachód wysunięty szczep ruski, wyróżniający się od innych narzeczem, dotąd najmniej uległ uświadomieniu ukraińskiemu i uważa się raczej za odłam wielkiego narodu rosyjskiego. Przynajmniej taką ideologję wszczepiali w jego duszę jego niedawni duchowi przewodnicy, kapłani i pochodzący z niego inteligenci. Podczas wojny światowej sympatje filorosyjskie tego ludu ściągnęły nań surowe represje ze strony władz austrjackich.

Sympatje rosyjskie przeważnej części księży unickich na Łemkowszczyźnie a nienawiść do „ukraińskiego separatyzmu" wywołały oddźwięk i w sprawach religijnych. Sprzyjały mianowicie skrajnemu konserwatyzmowi obrządkowemu, do którego zresztą Łemkowie z natury byli skłonni. Kiedy dalej na Wschodzie kler unicki, coraz bardziej ukrainizujący się, wprowadzał — niekiedy przez emulację z polskimi księżmi — pewne nowe praktyki do liturgji czy życia reli-

gijnego, zapożyczane od kościoła łacińskiego, i tem ożywiał dawny formalizm, kler rusofilski na Łemkach zwalczał te nowości, jako oddalające lud od wspólnoty rosyjskiej a przez upodobnienie większe do Polaków grożące nawet wynarodowieniem. Trzeba dodać, że niektórzy konserwatyzm ten usprawiedliwiali motywami religijnemi — np. obowiązkiem zachowania czystości obrządku, zagwarantowanej przez papieży. Wynik tego stanowiska był nieoczekiwany dla samychże owych duchowych stróżów czystości obrządku. Bo kiedy w ostatnich latach przed wojną wzmógł się u góry cerkiewnej (w Przemyślu) kurs ukraiński, a przysłani na Łemkowszczyznę, nieliczni zresztą, księża Ukraińcy poczęli pracować nad uświadomieniem ludu w duchu ukraińskim, odstępując także nieco od rytualnego konserwatyzmu, to z drugiej strony rzucono hasło obrony „ruskości" zarazem i dawnych form obrządkowych przed niebezpieczeństwem latynizacji, a może i polonizacji. A z Rosji przyszła pokusa ratowania starych form zapomocą ucieczki z Kościoła unickiego na rosyjskie prawosławie. Odszczepieństwo wybuchło istotnie w kilku miejscowościach, w innych się przygotowywało, i tylko stanowisko władz, widzących w propagandzie prawosławia zarazem działalność polityczną na korzyść Rosji, przeszkodziło dalszemu rozszerzaniu się schizmy.

Po wojnie, w tolerancyjnej Polsce, akcja na korzyść prawosławia zatoczyła szersze kręgi. Szeregi księży unickich rusofilskiego pokroju znacznie się przerzedziły, miejsca ich zajęli księża młodzi, o wyraźnem ukraińskiem obliczu, w wielu wypadkach nie żonaci. Ukrainizm zarówno przy pomocy tych nowych duszpasterzy, jak i innemi drogami, począł mnożyć wysiłki w celu ostatecznego zdobycia tej najbardziej opornej reduty dawnego rusofilizmu. Zakładał czytelnie „Proświty", nasyłał broszury i gazetki ukraińskie, zakładał ukraińskie spółdzielnie, spółki mleczarskie i t. d. Natomiast topniejące resztki dawnych rusofilów, tracąc coraz bardziej oparcie w ludzie w innych zakątkach kraju, postanowiły oprzeć się na konserwatywnych Łemkach, by stąd odegrać się na Ukraińcach.

Rozgorzała walka o duszę Łemka między dwoma politycznemi obozami. Lecz do tej walki wmięszał się ktoś trzeci: prawosławie, kierowane z metropolji warszawskiej i poczajowskiej ławry. Wyzyskano, jako pretekst, zarówno fakty zwalczania przez kler ukraiński kultury „ruskiej" (rozumiejąc rosyjską), jak i najmniejsze zmiany liturgiczne i celibat księży — by głosić ludowi, że jedynem zabezpieczeniem jego ruskości i wiary ojców jest porzucenie unji. W latach 1926—1930 agitacja ta oderwała od Kościoła unickiego coś ponad 20 tysięcy Łemków. Dopiero w ostatnich latach

straciła znacznie na rozmachu, kiedy zbałamucony lud zrozumiał, że przyjmując prawosławie, nie będzie mógł zagarnąć cerkwi, w której modlili się jego ojcowie, lecz będzie zmuszony budować sobie nowe i kiedy doznał niejednego rozczarowania w zetknięciu się z nowymi swymi pasterzami.

Odstępstwo części Łemków od unji zaniepokoiło mniej zaangażowanych w rusofilstwie „starorusinów" i z ich to kół wyłoniła się myśl utworzenia z Łemkowszczyzny odrębnej diecezji. Według ich myśli nowy zarząd kościelny miałby zaniechać dotychczasowego „ukraińskiego" kursu, zwracając się raczej do koncepcyj staroruskich. To zaś miało zatamować postęp propagandy prawosławnej, a nawet odzyskać dla unji odstępców. W takim sensie zostały wniesione już dwa lata temu do Stolicy św. petycje o utworzenie diecezji łemkowskiej.

Rzym, wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności i po porozumieniu się z rządem polskim, znalazł inne rozwiązanie, tworząc dekretem z dnia 10 lutego b. r. administrację apostolską dla Łemkowszczyzny. Jak wyjaśnia list J. E. Nuncjusza Apostolskiego Marmaggi'ego z dnia 12 lutego b. r. do J. E. Ks. Metropolity Szeptyckiego, tworząc tę administrację Ojciec św. nie odrywa jej wcale od diecezji przemyskiej, ani nie wyodrębnia z metropolji lwowskiej, lecz tylko na ściśle określonem terytorjum zawiesza czasowo jurysdykcję biskupa przemyskiego, oddając ją w ręce Administratora Apostolskiego, zależnego wprost od Rzymu. Dziwna rzecz, że na ten list, ogłoszony w *Mecie* 25 marca, nie zwróciła uwagi prasa polska i jeszcze później (naprz. *Kurjer Warszawski* z dnia 4 kwietnia) rzecz przedstawiała inaczej. Co ważniejsze, jakby przewidując przeróżne sprzeczne komentarze zarządzenia Stolicy świętej, Nuncjusz Apostolski w rzeczonym liście z naciskiem podkreśla, że zarządzenie to pozbawione jest jakichkolwiek politycznych tendencyj i wywołane zostało jedynie troską o dobro dusz, zagrożonych odstępstwem od wiary ojców. *Salus animarum suprema lex esto.*

Takie wyjaśnienie, (które w prasie ukazało się może ze zbytniem opóźnieniem) wytrąciło broń z ręki nacjonalistów ukraińskich, którzy w kroku Rzymu dopatrzyli się aktu szkodliwego dla interesów narodu ukraińskiego (protest „Unda", artykuł *Diła*). Umiarkowało także nieco radość kół staroruskich, które w nowej administracji chciały widzieć narzędzie do zwalczania może nietyle schizmy kościelnej ile „separatyzmu mazepińskiego", jak ukrainizm nazywają. Stosunki jednak na Łemkowszczyźnie są zbyt zawikłane, żeby nowy zarząd kościelny mógł zająć jakąś zdecydowaną polityczną platformę i rzucić cały ciężar swego duchownego autorytetu na szalę jednej jakiejś partji. Trzeba

sobie uprzytomnić, że ukraińskie uświadomienie, mimo konserwatyzmu Łemków, zrobiło już wśród nich znaczne postępy. Dziwną zatem wyznaczałoby się Administratorowi Apostolskiemu rolę, żądając, aby te postępy ukrainizacji powstrzymał, a to, co w tym kierunku zrobili już inni, odrobił. Znamiennem jest, że ukrainizacja objęła nawet już pewną ilość Łemków prawosławnych i że nawet propagatorzy prawosławia posługują się w mowie i piśmie językiem ukraińskim, nie nazywając go tylko tak i posługując się nieco inną pisownią (zob. warszawskie prawosławne *Słowo*). Szczep Łemków, liczy zaledwie 150 tysięcy głów, jest za mały na to, by tworzyć z niego odrębny naród, i dlatego prędzej czy później stanie się on uświadomioną częścią jakiejś większej całości. Jest to proces nieunikniony. Jaki zaś sens szerzyć i utrwalać w nim poczucie rosyjskości, kiedy terytorjalnie, obyczajowo i językowo jest on najdalszy od rosyjskiego pnia? Usiłowanie znowu spolszczenia tego szczepu dostarczyłoby nowego atutu propagandzie prawosławnej. Zapewne więc siłą rzeczy stanie się on powoli jednym z odłamów narodowości ukraińskiej. Nie jest rzeczą Kościoła forsować tę ukrainizację, ale czy można żądać od niego walki z nią?

Skomplikowane stosunki na Łemkowszczyźnie, tudzież sprzeczne żądania, jakie Administracji apostolskiej stawiają różne polityczne czynniki, odstraszają też Nominata-Administratora, ks. prałata Mikołaja Nagórzańskiego, od objęcia powierzonego mu stanowiska. Podobno robi on stanowcze kroki, by uwolnić się od ciężaru, zbyt wielkiego, jego zdaniem, na jego podeszły wiek i słabe siły fizyczne. Przynajmniej dotąd, nie objął on jeszcze rządów Administracji. Gazety lwowskie wymieniają już nawet nazwiska kandydatów na następstwo po nim.

Administrator Apostolski Łemkowszczyzny, ktokolwiek faktycznie tę godność obejmie, będzie miał wiele do przezwyciężenia. Będzie musiał „stać się wszystkiem dla wszystkich, by wszystkich pozyskać Chrystusowi", a to szczególnie trudne w naszych czasach, kiedy od każdego działacza kościelnego żądają z różnych stron wyraźnego politycznego *credo*.

Obok tych trudności natury ideowej, niemałe trudności napotka on natury praktycznej. Na rezydencję wyznaczono mu Rymanów, mieścinę, w której niema wcale cerkwi grecko-katolickiej, a podobno nawet niema wcale greko-katolików. Jakąś kurję, rezydencję, trzeba tworzyć z niczego. Inna kłopotliwa sprawa z podziałem kleru między Administrację a resztę diecezji przemyskiej. A rekrutacja księży na przyszłość? Pogłoski o gotowości rządu utworzenia odrębnego

łemkowskiego seminarjum, a nawet gimnazjum biskupiego, zdają się być przedwczesne i zbyt optymistyczne.

Oczywista, że te i inne przeszkody muszą być usunięte i nie ulega wątpliwości, że Stolica święta ułatwi swemu zaufanemu wysłannikowi pokonanie ich. Oby tylko sprzeczne polityczne wymagania to z tej, to z innej strony, nie mnożyły trudności Administratorowi Apostolskiemu na jego ciernistej drodze.

Ks. Jan Urban T. J.

Kronika gospodarcza.

Inwestycje. — Kapitał zagraniczny w Polsce. — Węgiel. — Międzynarodowy ruch towarów, kapitałów i osób. — Inflacja — dewaluacja — deflacja.

Z początkiem kwietnia b. r. rozpoczął się w Polsce ożywiony sezon inwestycyjny. W pierwszym rzędzie są to oczywiście inwestycje publiczne, gdyż prywatni przedsiębiorcy naogół ich nie wykonują. Wpływa na to stan głębokiej depresji ekonomicznej powodujący nierentowność inwestycyj, chyba poza wyjątkiem budowy średnich mieszkań.

Natomiast rząd wystąpił z dużym programem inwestycyjnym i co ze szczególnem uznaniem należy podkreślić, wystąpił z tym programem wcześnie tak, iż natychmiast z nastaniem ciepłej pory przystąpiono do całego szeregu robót publicznych.

Na roboty inwestycyjne przeznacza rząd jużto bezpośrednio jużto poprzez najrozmaitsze Fundusze kwotę około 320 miljonów złotych. Za kwotę tę spodziewa się zatrudnić około 200.000 ludzi, przeważnie dotychczas bezrobotnych.

Inwestycje najsilniej przewidziane zostały w dziedzinie kolejnictwa, następnie w budownictwie państwowem, trzecie miejsce zajmuje budowa dróg, potem idzie budownictwo mieszkaniowe a następnie inwestycje samorządowe (głównie miejskie) i t. d.

Inwestycje kolejowe postawione są na stosunkowo wysoką miarę, choć i tak oczywiście jest to zaledwie część wielkich potrzeb komunikacji kolejowej w Polsce, jakie muszą być zaspokojone. W robotach kolejowych na pierwszem miejscu wysuwa się budowa linji kolejowej Warszawa—Radom, która w połączeniu z budującą się linją Kraków—Miechów oraz ze zamierzoną linją Kielce—Mędrzechów spowoduje łatwiejsze połączenie stolicy z Krakowem, z Tarnowem i Mościcami oraz z całą Polską południową, co między innemi posiadać będzie duże znaczenie uzdrowiskowo-turystyczne.

Natomiast stosunkowo słabo uwzględniono w programie inwestycyjnym zagadnienie dróg. Stan dróg w Polsce, poza Polską zachodnią a szczególnie Śląskiem, przedstawia się fatalnie, wprost

katastrofalnie. Z tego względu o ile niemożliwem będzie zwiększenie dotacji na budowę dróg w programie tegorocznym, to już obecnie należy bardzo poważnie myśleć o należytem przygotowaniu programów i środków budowy dróg w roku budżetowym 1935/36.

Inwestycje przedsiębrane są z budżetów poszczególnych ministerstw, a to głównie z M. S. Wojsk., Min. Przemysłu i Handlu oraz Min. Opieki Społecznej. Ponadto inwestować będą przedsiębiorstwa państwowe. Wreszcie bardzo poważny udział w inwestycjach wezmą specjalne fundusze a więc Państwowy Fundusz Budowlany, Fundusz Pracy łącznie z Funduszem Inwestycyjnym, Państwowy Fundusz Drogowy, Fundusz Obrotowy Reformy Rolnej, Fundusz kwaterunku wojskowego i t. d.

To zróżniczkowanie inwestycyj między różne fundusze utrudnia niewątpliwie społeczeństwu zorjentowanie się w dokonywanych pracach, zwłaszcza, iż w Polsce stanowczo zbyt mało mówi się o przedsiębranych staraniach celem zwalczenia bezrobocia i o wysiłkach podejmowanych dla przeprowadzenia niezbędnych inwestycyj.

Stosunkowo najsilniej potrzebę informowania społeczeństwa o swoich poczynaniach odczuwa Fundusz pracy. Niewątpliwie pozostaje to w związku z jego społecznym charakterem. Mimo wszystko jesteśmy jednak zdania, iż za mało u nas mówi się i pisze o podejmowanych pracach, zwłaszcza jeżeli porównamy co na tem polu robi Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, albo Niemcy hitlerowskie czy Włochy faszystowskie.

W pracach inwestycyjnych Polski stale na czołowem miejscu znajduje się port gdyński. Uroczyście potwierdziła to specjalna konferencja gospodarcza odbyta w połowie marca br. w Gdyni z udziałem Min. Przem. i Handlu dr. Zarzyckiego, Min. Komunikacji inż. Budkiewicza, Min. Rolnictwa i Reform Rolnych dr. Nakoniecznikoff-Klukowskiego, wicemin. Lechnickiego i Kozłowskiego oraz licznych przedstawicieli życia gospodarczego i organizacyj związanych szczególnie z Gdynią i morzem.

Rząd w najbliższym okresie wytęży główne wysiłki na umieszczenie w Gdyni jaknajwięcej placówek przemysłowych celem stworzenia tamże silnego ośrodka przemysłowego i handlowego. Starania rządu oraz poparcie społeczeństwa dla rozwoju portu gdyńskiego znalazły już swój wyraz w wielkiem ożywieniu, jakie nastąpiło w Gdyni w ciągu kwietnia br. Kiedy cały szereg portów zagranicznych kurczy swoje obroty i coraz więcej okrętów handlowych stoi bezczynnych, to w Polsce uruchomiono zpowrotem trzy statki handlowe a to „Wilno", „Poznań" i „Wisła".

W ostatnich dniach kwietnia br. upłynęły dwa lata od strzału na ulicach Żyrardowa. Dwa lata mija odkąd zrozpaczony najmita polski zastrzelił okrutnego przedsiębiorcę francuskiego. Sprawa

ta wywołała duży oddźwięk w opinji Polski. Dopiero jednak obecnie nastąpił pewien zwrot na drodze ku uzdrowieniu stosunków w zakładach żyrardowskich.

Wyrokiem Sądu Okręgowego w Warszawie potępiona została gospodarka francuska w Żyrardowie. Sąd uznał, że gospodarka ta naraża na szkody i straty grupę mniejszości polskiej i celem zabezpieczenia pretensyj poszkodowanych postanowiono oddać zakłady żyrardowskie w sekwestr. Równocześnie sąd na podstawie opinji biegłych uznał, że umowy zawarte przez zakłady żyrardowskie z francuskiemi przedsiębiorstwami niewspółmiernie obciążały zakłady żyrardowskie na rzecz kapitalistów zagranicznych. Obciążenie to wynosiło ponad 20% sum przeprowadzanych transakcyj. Sąd uznał umowy zawarte przez francuski zarząd Żyrardowa z kapitalistami francuskimi za wybitnie szkodliwe dla przedsiębiorstwa, za sprzeczne z dobremi obyczajami a skutkiem tego za nielegalne. Sąd orzekł następnie, że niebywałe metody grupy francuskiej wkraczają już w dziedzinę prawa karnego.

Ukrócenie przez niezawisły sąd polski rabunkowej gospodarki Francuzów wywołało żywe niezadowolenie po stronie francuskiej, pragnącej ciągle na tle frazesów o rzekomej przyjaźni traktować Polskę jako kolonję.

Należy podkreślić, iż cała uczciwa opinja polska z uznaniem przyjęła wyrok sądowy w sprawie żyrardowskiej. Dosadny wyraz poglądowy, iż Polska nie pozwoli na nieuczciwą gospodarkę jakichkolwiek kapitałów zagranicznych u siebie, dała wyraz półurzędowa „Gazeta Polska“ we wstępnym artykule swego wybitnego publicysty pisząc w artykule „Fair Play“, iż tego rodzaju kapitalistom zagranicznym „zostaną połamane kości“ bez względu na „pakty przyjaźni“ czy „pakty o nieagresję“ zawierane z rządami krajów pochodzenia kapitałów.

Drugim wielkim procesem o odczyszczenie stosunków gospodarczych w Polsce, był proces w Sądzie Grodzkim w Katowicach o odroczenie wypłat śląskiego koncernu „wspólnoty interesów“. Sąd wydał wyrok odraczający wypłaty na trzy miesiące t. j. do 29 czerwca br. a zarazem powierzający nadzór sądowy czterem wybitnym przedsiębiorcom polskim.

Podobno „wspólnota interesów“ posiada około 100 miljonów zł. fikcyjnych długów zagranicznych. Wogóle stan zadłużenia zagranicznego przedsiębiorstw w Polsce, a zwłaszcza na Górnym Śląsku jest jedną wielką niewiadomą. Przed rokiem przemysł górnośląski podał urzędowi wojewódzkiemu w Katowicach, iż 15 największych przedsiębiorstw na Górnym Śląsku obdłużonych jest na 800 miljonów zł. Tymczasem na podstawie przedłożonych bilansów tychże przedsiębiorstw komisja skarbowo-budżetowa Sejmu śląskiego stwierdziła zadłużenie na kwotę 487 miljonów zł.

Podobne nadużycia na szkodę mniejszości polskiej względnie skarbu państwa stwierdzono w innych przedsiębiorstwach za-

granicznych. I tak np. skutkiem nadużyć na kilka miljonów zł. w Belgijskiem towarzystwie do impregnowania drzewa przy dostawach podkładów dla kolei, aresztowano kilku dyrektorów tego towarzystwa. Sprawa otoczona jest narazie tajemnicą ze względu na prowadzone śledztwo.

Podporządkowanie przemysłu w Polsce polskiej myśli gospodarczej stało się szczególnie aktualne w przemyśle węglowym. Dnia bowiem 31 marca br. wygasła dotychczasowa umowa konwencyjna między kopalniami węgla w Zagłębiu śląskiem, dąbrowskiem i krakowskiem.

Zawarcie nowej konwencji dało asumpt wszystkim poważniejszym kopalniom w Polsce do długotrwałych i żmudnych rokowań. Zarazem rząd wystąpił pod adresem konwencji węglowej z zasadniczemi żądaniami, pod warunkiem spełnienia których zgadza się na stworzenie dobrowolnej organizacji w tej dziedzinie wytwórczości. Przedewszystkiem rząd domagał się podniesienia produkcji węgla, która w 1933 r. wynosiła 27 miljonów tonn dając pracę 77 tys. robotników, podczas gdy jeszcze w 1929 r. produkcja obejmowała 46 miljonów tonn i 125 tys. robotników. Następnie rząd żądał rozszerzenia zbytu węgla zarówno wewnątrz kraju jak i na rynkach eksportowych.

Wobec ogromnych rozbieżności interesów i poglądów trzech zagłębi węglowych, narady bezpośrednie przedsiębiorców nie doprowadziły do zupełnego załatwienia szeregu spornych kwestyj. Dlatego ostateczne rozstrzygnięcie poddano arbitrażowi rządowemu, który przeprowadził p. Czesław Peche dyrektor departamentu górniczo-hutniczego w Ministerstwie Przemysłu i Handlu.

Unormowanie eksportu węgla polskiego nie leży oczywiście w wyłącznej możności Polski, lecz ponadto poważną rolę gra tu konkurencja zagraniczna, głównie angielska oraz polityka krajów importujących. Pierwszym i niezbędnym warunkiem jest zawarcie porozumienia węglowego pomiędzy Polską a Anglją, jako najpoważniejszymi eksporterami węgla w Europie. Ze strony Polski dobra wola zawarcia porozumienia istniała stale i niejednokrotnie dawano jej wyraz. Jednak Anglicy byli dość oporni. Ostatnio stosunki się zmieniły. Dzięki nawiązaniu coraz ściślejszego kontaktu m. i. gospodarczego z Anglją, jest nadzieja, że porozumienie węglowe polsko-angielskie mimo nastręczających się dużych trudności, dojdzie do skutku. W drugiej połowie kwietnia rozpoczęły się pertraktacje zainteresowanych przemysłów w Londynie.

Utrzymanie dobrych stosunków handlowych z Anglją jest dla Polski zagadnieniem pierwszorzędnej wagi. Anglja bowiem stanowi dla nas największego odbiorcę naszych towarów. W 1933 r. wśród krajów naszego eksportu na pierwszym miejscu znajdowała się Anglja, która odbierała od nas 20% wartości ogółu wywiezionych z Polski towarów. Na drugiem miejscu znajdowały się

Niemcy stosunkiem 17,5% a na trzeciem miejscu Związek S.R.R. który odbierał 6,2% naszego eksportu. Na dalszych dopiero miejscach znajdowały się kolejno Austrja, Holandja i Szwecja.

Zarazem, jeżeli chodzi o przywóz, to najwięcej importowaliśmy z Niemiec bo 17,6% wartości naszego przywozu, następnie zaś ze Stanów Zjedn. Am. Pł. gdyż 13,3% importu. Natomiast dopiero trzecie miejsce zajmowała Anglja z stosunkiem 10%. Widzimy zatem, że nasz bilans handlowy z Anglją jest dla Polski wybitnie korzystny. Z Anglją bowiem mamy najbardziej dodatnie saldo wynoszące aż 90 miljonów zł. Po Anglji najkorzystniejszy stosunek wymiany towarowej posiadała Polska ze Związkiem S.R.R. o dodatniem saldzie 41 miljonów zł.

W ciągle potęgującem się ograniczaniu międzynarodowego ruchu osób, towarów i kapitałów utrzymanie się na rynkach państw o dodatnim dla nas bilansie jest dla polskiej polityki handlowej, zadaniem szczególnie ważnem. Fala bowiem protekcjonizmu obejmuje cały świat. Nie ogranicza się ona, jak dotychczas do podwyżek celnych, lecz ponadto operuje nowemi instrumentami polityki gospodarczej, a mianowicie reglamentacją, kontyngentami przywozowemi, zakazami przywozu, monopolami importu, ograniczeniami dewizowemi i td. Tak np. rok 1934 rozpoczęły od ograniczeń importowych następujące kraje europejskie: Belgja, Czechosłowacja, Francja, Holandja, Niemcy, Szwajcarja i Włochy. Lista zatem wcale pokaźna. Niezależnie zaś od tego różne ograniczenia importowe stosowane są nieomal codziennie i zwiększają się prawie z dnia na dzień we wielu państwach całego świata.

W tych warunkach utrzymanie czynnego bilansu handlowego, niezbędnego dla równowagi bilansu płatniczego jest rzeczą, szczególnie trudną. Tem też trudniejsze są rokowania o traktaty handlowe z poszczególnemi państwami. A Polska, właśnie w ubiegłym kwartale prowadziła narady handlowe z trzema ważnemi dla nas krajami, a mianowicie z Anglją, z Niemcami i z Czechosłowacją.

Rokowania handlowe polsko-angielskie poprzedzone zostały licznemi konferencjami obu stron. W Polsce bawiła nawet specjalna delegacja angielskich przemysłowców pod przewodnictwem posła do Izby Gmin sir Eugenjusza Ramsdena, celem zapoznania się z możliwościami i warunkami wymiany towarowej z Polską.

Równocześnie trwają narady handlowe z Niemcami. Rzesza niemiecka w styczniu br. wykazała po raz pierwszy od czterech lat saldo ujemne i to aż na kwotę ponad 60 miljonów złotych, podczas, gdy jeszcze w grudniu 1933 r. wynosiło ono nadwyżkę dla Niemiec przeszło 100 miljonów zł. Ten nagły spadek spowodowany został olbrzymiem skurczeniem się eksportu o kwotę ponad 150 miljonów zł. w ciągu jednego miesiąca. Pod wpływem

kurczenia się eksportu przemysłowego i na tle ogólnego zbliżenia polsko-niemieckiego doszło do porozumienia gospodarczego z Niemcami. Jako pierwsze, zawarto polsko-niemiecką konwencję żelazną, regulującą wymianę wyrobów żelaznych między oboma państwami, zgodnie z interesami odnośnych przemysłów żelaznych.

Nową konwencję handlową podpisała Polska z Czechosłowacją w połowie lutego br. Konwencja uregulowała całokształt stosunków gospodarczych między obydwoma państwami, przyznając obu stronom szereg zniżek celnych. Ponadto zawarto konwencję sanitarno-weterynaryjną, nawigacyjną, oraz kilka porozumień administracyjnych.

Praktyczne jednak znaczenie zawartego świeżo porozumienia z Czechami jest daleko mniejsze, a to skutkiem szeregu utrudnień, stosowanych przez Czechosłowację w stosunku do importu polskiego. Przedewszystkiem dotyczy to ograniczeń dewizowych. Dalszą przeszkodą jest dewaluacja korony czeskiej.

Czechosłowacja w porozumieniu z Francją, jako swoją protektorką, przeprowadziła ustawowo dewaluację swojej korony o $^1/_6$, czyli o 16,6%. Dewaluacja ta powoduje w odpowiednim stopniu stratę polskich importerów, a zarazem stwarza dla eksporterów czeskich premję wywozową tejże samej wielkości.

Po zdewaluowaniu korony czeskiej, blok złoty, t. j. zespół państw, trwający przy walucie złotej, względnie pozłacanej, uległ zmniejszeniu. Obecnie przy walucie złotej pozostały jedynie Belgja, Francja, Holandja, Polska i Szwajcarja. Faktycznie poza blokiem znajdują się Włochy i Niemcy, a obecnie oficjalnie odstąpiła Czechosłowacja.

Sytuacja złotego polskiego prestiżowo niewątpliwie zyskała na tem. Dowodem tego wzrostu zaufania do waluty polskiej jest np. chociażby oficjalne wprowadzenie notowań złotego polskiego na giełdzie kopenhaskiej w drugiej połowie marca br. Niewątpliwie jednak dalsza deflacja połączona jest z dotkliwemi ofiarami ze strony polskiej.

Mimo to Polska trwa zdecydowanie przy stabilizacji waluty. Dał temu wyraz prezes Banku Polskiego dr Władysław Wróblewski, wygłaszając z początkiem marca br. na dorocznem walnem zebraniu akcjonarjuszy Banku Polskiego programowe przemówienie, w którem stanowczo wystąpił przeciw wszelkim pomysłom dewaluacji złotego.

Na fali dewaluacyjnej znajduje się w dalszym ciągu dolar Stanów Z. A. P., na drogę tę, mimo uroczystych zapewnień Hitlera zdaje się wejdą dobrowolnie, lub wbrew swej woli Niemcy. Raz po raz rozchodzą się coraz uporczywsze pogłoski, jużto o inflacji, jużto o dewaluacji franka francuskiego. Wprawdzie rząd francuski odżegnuje się od porzucenia stałej waluty, jednak wątpliwem jest, aby znalazł dostateczną siłę do przeprowadzenia

koniecznych pociągnięć deflacyjnych. Polityka deflacyjna, stosowana być może tylko przez rząd silny, oparty o zwarte i skonsolidowane społeczeństwo. A takiem społeczeństwem w najmniejszym stopniu jest Francja, przeżarta skandalicznemi aferami, o chwiejnych, bezustannie zmieniających się rządach.

M. J. Ziomek.

W drugi dzień Zielonych Świątek t. j. dn. 21 maja odbędzie się po wszystkich kościołach, a 10 czerwca w całem Państwie, zbiórka na Katolicki Uniwersytet w Lublinie. Nie potrzebujemy dodawać, że to wielkie i niezmiernie pożyteczne dzieło, walczące jeszcze ciągle z wielkim niedostatkiem, zasługuje na hojne wsparcie ze strony wszystkich, którym sprawa Boża w naszej Ojczyźnie leży na sercu. Ojciec święty, który rozwojem Lubelskiego Uniwersytetu specjalnie się interesuje, zaleca gorąco tę składkę dobremu sercu wiernych wszelkiego stanu. Najlepiej posłać swoją ofiarę czekiem P. K. O. Nr. 39712.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 28 kwietnia 1934.

Ze wspomnień o Bracie Albercie.

Braciom Albertynom.

Dzieląc całem sercem cześć, jaką otaczacie pamięć założyciela Waszej Kongregacji, Brata Alberta, bardzo chętnie spełniam Wasze pragnienie. Prosiliście mnie, bym spisał wszystko, co tylko o nim pamiętam, „wszystko do najdrobniejszych szczegółów" powtarzaliście. Wszystko, co pamiętam napiszę. Choć i ja i Wy pragnęlibyśmy jeszcze więcej szczegółów o życiu Tego, któregośmy wszyscy tak bardzo kochali i tak bardzo czcimy.

Brata Alberta poznałem w 1887 roku. Już wtedy nosił, dopiero od kilku tygodni, szary habit Tercjarzy franciszkańskich; jeszcze nie taki gruby i prosty, jak w późniejszych latach — z delikatniejszego szarego sukna, dosyć elegancko skrojony na wzór kapłańskiej sutanny z białym sznurem zamiast pasa. Już ten habit wszystkim powiadał, że Pan Adam Chmielowski stanowczo chce porzucić świat i poświęcić się na wyłączną służbę Bogu. W świecie jednak bywał i gorąco uczestniczył w dyskusjach artystycznych. Pamiętam na wieczorach u Pana Konstantego Przeździeckiego, którego gościnny i zawsze otwarty dom na ul. Wolskiej zbierał artystów, literatów, krytyków Krakowa, Brat Albert dysputował o zasadach malarstwa. Krytykował bez miłosierdzia starą malarską szkołę, wykazując nielogiczność malowania np. rycerzy na polu bitwy w oświetleniu malarskiej pracowni. Jakżeż na szyszaku czy zbroi może odbijać sie cień krat w oknach pracowni. Pojęcia to były dla starego Krakowa nowe; stawały się przedmiotem gorących bardzo dyskusyj;

jedni uważali taką krytykę za straszne zuchwalstwo, a inni przekonani, stawali po stronie Chmielowskiego.

Ale nie tylko o malarstwie dysputował Brat Albert. Zaczynał i religijne dyskusje. W tym świecie malarzy i literatów, którzy go wszyscy bardzo kochali, śmiało poruszał żywotne pytania religji.

„Wy wszyscy — mówił np. — nie macie pojęcia o katechiźmie; nie wiecie tego, co powinno wiedzieć każde dziecko w 10 roku życia".

„No, no, może tak źle nie jest".

„Zadam wam pytanie — jak jeden z was dobrze odpowie, to ja przegrałem".

„Pytaj".

„Powiedzcie mi, co to jest Kościół"?

„Nie kpij z nas — ja bym nie wiedział co to jest kościół? Kościół Panny Marji, św. Krzyża, św. Anny, św. Florjana..."

„Ależ nie o takie kościoły pytam — pytam o Kościół, co go Chrystus Pan zbudował".

„Co do mnie to muszę przyznać, nie wiedziałem, że Chrystus budował kościoły".

„Ależ nie kościół z kamienia czy z cegły — duchowy Kościół".

„Ja powiem — Kościół to Ojciec święty i kardynałowie".

„Nie dobra odpowiedź".

„Ja dodam jeszcze — biskupów".

„Nie dobra odpowiedź".

„Ja dodam jeszcze księży".

„Nie dobra odpowiedź".

„No, to chyba dodać jeszcze tercjarzy"?

„Otóż widzicie — żaden z was nie umie katechizmu. Kościół — to zebranie wiernych pod widomą głową Papieżem rzymskim..."

Brat Albert mieszkał wtedy na ulicy Basztowej w małem kawalerskiem mieszkaniu na II piętrze. Tam odwiedzał go mój brat Kazimierz, w zakonie Ojciec Klemens, dziś przełożony Klasztoru Studytów w Uniowie. Brat Albert prosił go o wprowadzenie go do Towarzystwa św. Wincentego

à Paulo, względnie do Akademickiej Konferencji św. Jana, która co tydzień zbierała się pod przewodnictwem p. Ludwika Dębickiego w pałacu biskupim na parterze. Członkowie konferencji odwiedzali wtedy, jak zawsze, ubogich w mieście; a na zebraniach swoich omawiali ich potrzeby. Tu powstała myśl schroniska dla ubogich, którą Brat Albert w życie wprowadził. Widywałem Brata Alberta na zebraniach konferencji.

Około 3 lat później spotkałem go znowu w Krakowie w domu OO. Jezuitów na Wesołej; gromadzili się już około niego Bracia Tercjarze, którzy razem z Nim prowadzili pierwsze schronisko Braci w Krakowie na Kazimierzu; kierownikiem duchownym tego zgromadzenia był wtenczas ks. Henryk Pydynkowski S. J., człowiek bardzo szerokiego serca. Obaj unosili się nad dziełami św. Jana od Krzyża. Entuzjazm Brata Alberta dla tego przewodnika w mistycznem życiu był bardzo wielki. Dziwny ten św. Jan. O rzeczach wychodzących daleko poza granice ludzkiej natury i ludzkiej wiedzy pisze tak, jakby żył nie na ziemi, a gdzieś w niebie. W latach 1890 i 1891 często widywałem Brata Alberta i bardzo się do Niego zbliżyłem. Uderzał mnie w jego postaci charakter artysty — jaki mimowoli i wiedzy zachowywał pod grubem już, szarem suknem tercjarskiego habitu. Był zawsze artystą i miał ten rzadki u artystów nawet przymiot; miał bardzo wybitny i bardzo charakterystyczny swój styl. Styl w mówieniu, w przedstawianiu rzeczy, w krytykowaniu tego co mu się nie podobało, w chwaleniu tego, co lubił. Jego każdy ruch, jego śmiech miały zawsze tyle charakteru, były zawsze czemś tak odrębnem, niezwykłem, że wprost uderzały. Nic nie było w Nim tego, co nazywają oryginalnością: nigdy nie był oryginałem; ale tak był zawsze Sobą. Wszystkiemu, czego się tylko dotykał, nadawał Swój charakter, był taką niepospolitą, tak niezwykłą, tak wyjątkową indywidualnością, że nie mógł nie zwracać na Siebie uwagi, każdego człowieka myślącego i interesującego się tem, co ludzkie. Nie uderzał świętością — a jednak wszyscy ci, którzy się do niego zbliżali odczuwali to, co tak doskonale określił, taki niepospolity człowiek — jakim był Ks. Henryk Jackowski S. J. Mawiał o Bracie Albercie: „Nie lubię ludzi za życia kanonizować,

ale to pewne, że Brat Albert robi takie dzieła jakie tylko święci umieją robić".

Brat Albert szedł drogami tak niezwykłemi, że każdy musiał powiedzieć sobie — patrząc na Jego robotę: temi drogami tylko Duch Boży może człowieka prowadzić.

Brat Albert zaprosił mnie na rekolekcje w schronisku Braci na Kazimierzu. Był z rekolekcyj moich zadowolony, co mnie oczywiście bardzo ucieszyło i jeszcze bardziej do kochanego Brata Alberta zbliżyło. Opowiadał mi o szczegółach Swojej młodości; jak Go rodzice 14 czy 15-letniego chłopca, oddali do korpusu kadetów w Petersburgu; młody chłopiec tak przejął się atmosferą, w którą wpadł, że wróciwszy do domu na święta, czy wakacje, ojca i matkę nazywał z rosyjska „papasza i mamasza" i biednych rodziców tak tem przestraszył, że już go zpowrotem nie puścili do Petersburga. W otoczeniu, w którem wzrastał uchodziło wszystko co ukraińskie, ruskie za coś idealnego, ciekawego, pięknego i chwalebnego; stąd może zachował Brat Albert bardzo szczerą życzliwość dla bratniego ukraińskiego narodu, choć nigdy nie interesowały Go żadne sprawy polityczne i nawet zdaje się najmniejszego zmysłu do polityki nie miał.

W następnym roku w zimie z 1891 na 1892 przeżyłem z Bratem Albertem znowu kilka ale bardzo serdecznych chwil, które nas znowu bardzo zbliżyły, w Zakopanem. Odwiedzał On wtedy kilku chorych na piersi Braci, którzy w Zakopanem przebywali zimę — między innymi młody Brat Witalis. Żył wtedy w Zakopanem bardzo serdeczny przyjaciel Brata Alberta, malarz Stanisław Witkiewicz, który i mnie zaszczycał swoją przyjaźnią. Obaj przypominali sobie czasy razem przeżyte w akademji monachijskiej; Witkiewicz, człowiek rzadkiego serca i rzadkiego umysłu kochał serdecznie Brata Alberta. Widzę go jeszcze, jak ręcznikiem ociera ze śniegu twarz, głowę i płaszcz Brata Alberta, który ze mną ze spaceru wstąpił do Państwa Witkiewiczów; ze śmiechem zwraca się do mnie: „On tak o siebie nic nie dba, że tego śniegu nawet ze siebie nie strzepałby, — ot tak, i szczotką jeszcze trzeba ten płaszcz wyczyścić". A Brat Albert spokojnie te usługi przyjmuje, rad z tego, że dawna artystyczna atmosfera znowu Go otacza. „Za dawnych czasów mona-

chijskich, opowiadał mi Witkiewicz, Chmielowski u wszystkich miał reputację znakomitego krytyka tak, że nieraz koledzy przynosili mu czy szkice czy obrazy, a On robił im swoje uwagi; na te uwagi byli tak wrażliwi, że wystarczało, by się Chmielowski skrzywił, a obraz był czy przemalowany czy w ogień rzucony. Teraz, to On i swobodny i wesoły tak jak za dawnych czasów, ale kiedy od Jezuitów wystąpił — to cztery miesiące słowa do nikogo nie powiedział — a tak jadał jakby przez lata nie miał nic w ustach".

Drugi raz w Zakopanem spotkaliśmy się kilka lat później; wtedy zawiózł mnie Brat Albert do tej pustelni, zbudowanej daleko w lasach nad Kuźnicami. Istna pustelnia. Na saneczkach o jednym koniu, tak niskich, że ręką można było każdej chwili dotknąć ziemi, drogą czy prędzej ścieżką wśród wysokiego lasu, spinającą się bardzo stromo w górę, jedzie się w tę krainę, której zdaje się noga ludzka może jeszcze nie deptała. Zanim się dostaniemy do właściwego eremu, podobnego do tych franciszkańskich eremów włoskich, tak poetycznie opisanych przez Joergensena — trzeba przejechać około tego klasztorku, który dla zwykłych śmiertelników byłby czemś więcej jak pustelnią, a który dla właściwego eremu albertyńskiego, jest jakby bramą — czy przednią strażnicą.

Brat Albert miał takie o życiu zakonnem pojęcie, że gdyby nie wstrzymywała Go służba miłości bliźniego, służba ubogich — którą Opatrzność Boska postawiła na Jego drodze — On, zdaje się, ani dnia nie zostałby na świecie między ludźmi — a skryłby się gdzieś na pustyni wśród dzikich, nieprzystępnych lasów, żeby tam oddać się modlitwie i wpatrywać się w Boże piękno, prawd Bożego Objawienia, i w oblicze Pańskie w miłosierdziu, zwrócone do nędznego ludzkiego rodzaju. Gdyby był poszedł za swojem upodobaniem, byłby budował samotne Alwernje i braci swoich byłby wiódł drogami mistycznych kontemplacyj. Ale któż zajmie się tymi opuszczonymi od wszystkich? Któż pobuduje domy, któreby na nocleg przyjmowały bez wyjątku wszystkich, którzy się tylko zgłoszą — bez żadnego względu — na ich ilość, na ich ubranie, albo brak tegoż ubrania, na nędzę, na brud, na wszy? Któż obejmie uściskiem miłości

tych najbiedniejszych i najwstrętniejszych? Któż to zrobi, jak nie ten, kto z miłości do Pana Boga opuścił świat dla pustyni, a rozkosze pustyni dla ciężkiej służby ubogich? Gdy znajdzie się taki człowiek, to nawet wtedy, kiedy będzie najniezdolniejszy do technicznej strony organizacji, Bóg przez niego zorganizuje i zbuduje dzieło, któregoby ręka ludzka nie zbudowała.

Brat Albert nie jest organizatorem; mimo wszystko jest On jeszcze zawsze artystą. Kiedy rozgada się o artyzmie, o malarstwie, o obrazach, o szkołach, o *„plain — aire'ach"*, to zapomni się, że biedny brat Witalis będzie musiał dziesięć razy przypominać: „proszę Brata, już 6-ta godzina" — Brat Albert nie słyszy i dalej rozmawia — i znowu półgłosem „proszę Brata" i już dyskretnie za rękaw ciągnie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ale Brat Albert, bardzo daleki myślą, kąpie się w przestworzach niebieskich na skrzydłach twórczej fantazji, wznosi się ponad poziomy ludzkiego życia, dziwi się tworom nowożytnej szkoły, „stylowi parkanowemu". Początkującemu artyście, przedstawiającemu swoje arcydzieło, oznacza je jednem słowem: „bohomaz", i dalej zatapia się w rozmowie i na brata Witalisa zupełnie nie uważa. „Proszę Brata, na noc do domu nie wrócimy" — gdzietam, ani słyszy, dalej rozprawia.

Może być, że ciężko Mu z tą niedobrze dopasowaną i od lat nie naprawianą protezą — zamiast nogi — za wielkim trudem dla Niego wracać do domu, do schroniska ubogich, żeby tam na twardej pryczy przebywać ciężką noc.

Nieraz nocowałem w schronisku z Bratem Albertem w jednym pokoju i byłem świadkiem, jak ciężki był Jego odpoczynek; godzinami całemi nie sypiał; czy ból nogi, czy twarda deska — dosyć, że o jakiejkolwiek godzinie w nocy budziłem się — prawie zawsze spostrzegałem, że Brat Albert nie śpi.

Jednym z problemów — jaki Go najwięcej męczył, było: jak urządzić życie zakonników, żeby mogli do słowa spełniać przepis pierwszej reguły św. Franciszka, żeby nigdy pieniędzy żaden brat nie dotknął. Bądź, co bądź, franciszkański ideał ubóstwa, był w życiu Brata Alberta i braci tak urzeczywistniony, że nie wiem, czy w kilku ostatnich wie-

kach można stwierdzić równie szczere i usilne starania do wprowadzenia w życie św. Ewangelji. Brat Albert, rzeczywiście nic nie posiadał. Ta gruba niebieska chustka, którą wyciągał z rękawa, była tak oczywiście wspólną dla całego domu, że sama sobą świadczyła o wykluczeniu wszelkiego przywileju dla przełożonego. A kto bywał w pokoju gdzie Brat Starszy sypiał, ten wie, że tam nie było nawet żadnej szuflady, zastrzeżonej dla Niego. Gdzież książka duchowna — którą czyta? — oczywiście teraz w ręku drugiego, czy trzeciego brata, oprawiona w proste żaglowe, ścierkowe, czy workowe płótno — to samo stwierdza, że jest wspólną własnością całego domu. A ta książka znowu, choć tylko Bratu Albertowi służy — bo to francuskie wydanie św. Jana od Krzyża — jakiem jest rozczulającem świadectwem Jego ubóstwa. Popatrzcie na oprawę — nawet na kartki — jak polepione, a spostrzeżecie, że ta książka po kilkunastu latach będzie zachowana, jako bardzo cenna relikwja. Chrystusowy świadek — ubóstwem całego życia — dał Chrystusowi świadectwo, używał tej książki, nie posiadając jej i nie uważając jej za swoją i dlatego królowie przyszłych pokoleń będą ją ze strachem i drżeniem uszanowania całować.

W rok, czy dwa lata potem miałem szczęście znowu przeżyć tydzień z Bratem Albertem w Werhracie. Po misji danej w miejscowej parafji zamieszkałem w Klasztorku Braci. Ubrać się w ich habit, ściągnąć biodra paskiem św. Franciszka, przysłuchiwać się rozmowie Braci — i z Bratem Albertem godzinami rozmawiać — to rekolekcje lepsze może od jakichkolwiek innych. Bo o cóż idzie w rekolekcjach — jak nie o to, ażeby sobie przypomnieć, jak marne są wszystkie dobra świata, jak krótkie życie, jak trzeba się spieszyć, by zbierać nagrodę na wieczne życie — jak Pan Bóg tajemnice Swojej mądrości zakrył przed mędrcami, a objawił je maluczkim.

Zanadto mi drogą, chociażby najmniejsza pamiątka po Bracie Albercie, żeby tu nie wspomnieć i o tem zdarzeniu: Kiedyś — zdaje mi się, że to było około 1901 roku — Brat Albert przychodzi do mnie i opowiada mi swój kłopot, że w budżet krajowy, jaki ma być uchwalony w sejmie, włożono tylko nieznaczną sumę i że dla schronisk swoich musi

koniecznie dostać znacznie większą subwencję; w komisji budżetowej pozycje już wszystkie uchwalone — jedyny ratunek, żeby w sejmie *in pleno* ktoś postawił poprawkę i zażądał zmiany tej pozycji. To była okazja mego przemówienia w sejmie — uwieńczonego skutkiem, już niebardzo pamiętam, jak wielkim, osiągniętym przez życzliwość, którą miał dla dzieła Brata Alberta, przewodniczący budżetowej komisji sejmowej Kazimierz Badeni.

Więcej szczegółów, zdaje się nie pamiętam. W ostatnich latach przed wojną nie wiem, czy Brata Alberta widziałem. Szczegóły wypadły z pamięci. Tem jaśniejszą i promienniejszą w moich oczach postać Tego wielkiego sługi Chrystusowego, który tak ukochał ubogich, że sam dla nich stał się ubogim. Służba ubogich była dla Niego szkołą ewangelicznego ubóstwa; w tę cnotę wciągała Go — że tak powiem — służba ubogich, której się całem sercem oddał. Dlatego też zakonne ubóstwo było u Niego tak prostym wypływem Jego życia i Jego duszy, że było w Nim zupełnie naturalne; nikt się nie dziwił Jego ubóstwu, choć nikt z ludzi, co go spotkał, nigdzie napewno nie spotkał nikogo, któryby w równym stopniu praktykował tę cnotę ewangeliczną.

A ubóstwo Jego nie było tylko zewnętrzną formą, ubogim sposobem życia, ono było w Jego duszy, rzeczywistem oderwaniem się od wszystkiego, co tylko jest na świecie; poza służbą swoich ubogich nie miał nic na świecie i miało się wrażenie, że gdyby te węzły służby ubogich były naraz odpadły, byłby wzleciał w niebo, albo ukrył się na pustyni.

Jego ubóstwo było czemś tak fenomenalnem, że nie sądzę, iżby można wynaleźć równy przykład; a przytem było tak proste i naturalne, że np. nikt się temu nie dziwił, że Brat Albert nie miał swego pokoju, swego kącika i nigdzie i nigdy nie mógł się nawet na chwilę usunąć od towarzystwa ubogich i Braci. Z tem ewangelicznem ubóstwem łączyły się wszystkie cnoty, które zwykle ewangelicznemi nazywa się — przedewszystkiem ewangeliczna prostota. Zdaje się, że zawsze i z natury lubiał to, co jasne, proste i szczere. Takie też i pojęcie o doktrynie św. Ewangelji wyrobił sobie pracą całego życia. Jego ascetyczne czy raczej

mistyczne pojęcie Ewangelji było o całe niebo wyższe od tej samej koncepcji w przeciętnych naszych umysłach — dlatego też i Brat Albert był takim olbrzymem w porównaniu z nami. Tak jak Jego mowa, tak i Jego nauka duchowna była wedle tak charakterystycznego wyrazu Pisma św. „tak-tak, nie-nie". Naukę Ewangelji św. przyjmował tak, jak ona jest, z tą — możnaby powiedzieć — bezwzględnością, z jaką by dzieci ją przyjmowały. Żadnych uprzedzeń, żadnej dwumyślności, żadnej teorji odmiennej od praktyki i żadnej praktyki nie odpowiadającej teorji. Musiało Jego życie być bardzo czystem, kiedy Jego dusza, Jego umysł mógł być tak wiernem odbiciem Chrystusowej nauki. Jak w dobrem zwierciedle odbijała się w Jego duszy każda nauka Chrystusa, a Jego cieszyło skonstatowanie, że tak jest, a nie inaczej. Ta dusza dziwnie była daleką od wszystkiego tego, co można nazwać wykrętem, udawaniem, hipokryzją, fałszem czy nieprawdą, była dziwnie szczerą — jak szczere złoto. Prawie bym powiedział przeźroczystą. Można było w Nim wszystko zobaczyć. On nic nie krył, nic nie zasłaniał chyba cnoty swoje.

Był takim artystą w Swych pojęciach, że był i wielkim artystą w Swem życiu. Jego cnota tak stała się Jego naturą, że w niej nie spostrzegało się długoletniej pracy — tak jak w bardzo wielkich arcydziełach sztuki artyzm ukryty pod prostotą i naturalnością, w której nikt nie domyśla się olbrzymiej pracy i olbrzymiego talentu. Takiem samem dziełem artystycznem jest Jego Kongregacja. Wyżej powiedziałem, że nie był organizatorem w znaczeniu stanowczej, prędkiej, natychmiastowej decyzji, nie był nim, ale w znaczeniu oddzielenia tego, co małoznacznym szczegółem a co zasadniczem i ważnem; ale był więcej jak organizatorem, bo był twórcą. Nad ważnemi zasadniczemi linjami budowy zastanawiał się długo wśród rozmyślań, modlitwy, nie zaniedbując zasięgać choćby u wszystkich porady.

Niesłychanie ważnem było w Jego oczach pytanie każde, które miało znaczenie dla rozwoju duchownego Kongregacji i dusz jej powierzonych.

Jeżeli Bracia Albertyni będą wierni duchowi Brata Alberta — Kongregacja zrodzona ofiarą Jego życia przetrwa

wszystkie burze wśród których zapadną się inne, będzie róść i rozwijać się, bo będzie miała zawsze Jego błogosławieństwo i przez Niego będzie nierozerwalnemi węzłami złączona ze św. Franciszkiem.

Ks. Andrzej Szeptycki
Arcyb. Metropolita lwowski Ob. gr. kat.

We Lwowie, dnia 1 kwietnia 1934 r.

Lekarz katolik.

Na marginesie „kryzysu medycyny".

Zagadnienie „kryzysu medycyny" nie schodzi w okresie powojennym ze szpalt czasopism lekarskich i w ostatnich kilku latach stanowi coraz częstszy temat rozważań. Dyskusja ta jednak rzadziej obraca się koło kwestji zasadniczej i najczęściej schodzi do omawiania kryzysu zawodu lekarskiego, w związku ze znacznem pogorszeniem jego położenia materjalnego i społecznego.

Lecz kwestja zasadnicza bywa również niekiedy poruszana. I było to niemałą sensacją, kiedy w r. 1929 znany psychjatra i podówczas rektor uniwersytetu w Monachjum, dr. Bumke, za przedmiot swego przemówienia inauguracyjnego obrał sobie „kryzys medycyny", a jako istotną tegoż przyczynę wskazał — zapoznanie przez medycynę duszy ludzkiej. Niewłaściwe często ustosunkowanie się lekarza do chorego, upadek etyki lekarskiej, a w konsekwencji obniżenie poszanowania i zaufania społeczeństwa do stanu lekarskiego tu miały swe pierwotne źródło.

Niepodobna jednak zdać sobie jasno sprawy z tego zagadnienia i z procesu, jaki dokonał się w ostatnich kilkudziesięciu latach, a którego dalszy ciąg rozgrywa się jeszcze przed naszemi oczyma, bez pobieżnego przynajmniej wglądnięcia w całokształt historycznego rozwoju medycyny na punkcie stosunku lekarza i pacjenta, stanu lekarskiego i ogółu społeczeństwa. Dopiero w tem oświetleniu można dojrzeć, jakie czynniki odgrywały tu decydującą rolę i gdzie należy szukać wyjścia z dzisiejszego kryzysu?

Przedewszystkiem należy uprzytomnić sobie prastarą, a dziś znowu przez lekarzy silnie podkreślaną prawdę, że medycyna była i jest na pierwszem miejscu „sztuką", sztuką leczenia, a dopiero na drugiem miejscu „nauką". Chory szuka u lekarza sztuki, spodziewa się od niego szybkiego i pewnego wyleczenia, lub przynajmniej ulżenia cierpieniom; nie udaje się do niego, by posłuchać jego uczonego wykładu, cała wiedza i technika lekarska mają w jego oczach o tyle znaczenie, o ile zapewniają skuteczność leczenia. Nie interesuje się on dyplomami lekarza ani jego laboratorjami czy dziełami naukowemi, tylko pyta, jakie są wyniki jego leczenia, czy może na nim polegać? Dlatego przekłada lekarza — praktyka nad profesora medycyny, dlatego idzie i dziś chętniej — nietylko ludzie prości, ale i inteligencja — do znachora, skoro posłyszy o pomyślnych rezultatach jego zabiegów.

Tak było od najbardziej zamierzchłych czasów, w których hieratyczny charakter medycyny stwarzał te wszystkie warunki, jakich chory żądał. Świątynie były pierwszemi przybytkami medycyny, kapłani pierwszymi lekarzami, a przysięga była wymaganą do dopuszczenia do tego zawodu. Do kapłana zwracano się z zaufaniem jako do tego, który bądź przez osobiste wstawiennictwo u bóstwa, bądź przez zaklinanie złych duchów mógł łatwiej przywrócić zdrowie, lub przynajmniej ulżyć choremu. Czysto fizyczne działanie użytego zabiegu czy lekarstwa łączyło się tu więc z dobroczynnym wpływem natury duchowej, co razem wzięte potęgowało skuteczność leczenia, pomagało nieraz tam nawet, gdzie samo lekarstwo było niedostatecznem. Tak było w starożytności w krajach cywilizowanych, w Egipcie, Babilonji, Indjach, Grecji, tak było i pozostało u ludów pierwotnych (kapłani, czarodzieje.[1])

Z biegiem czasu powstaje obok kapłanów osobny stan lekarski, który z różnem zresztą przygotowaniem fachowem i z różnem powodzeniem uprawia sztukę leczenia jako zawód.

[1]) W polskiej literaturze lekarskiej bliższe szczegóły co do historji medycyny starożytnej i średniowiecznej podaje: Dr. med. i fil. Władysław Szumowski: *Historja medycyny, filozoficznie ujęta.* Cz. I: medycyna starożytna. Cz. II: medycyna średniowieczna. Kraków r. 1930 i 1932.

W dawnych bardzo czasach zastajemy go w Egipcie i w Chinach, w VI mniej więcej wieku przed Chr. w Indjach i Grecji. W starożytnym Rzymie właściwa medycyna rozwijała się słabo, choć pewne urządzenia higjeniczno-sanitarne zastajemy tu już na kilka wieków przed Chr. Dopiero w I i II wieku po Chr. zjawiają się w Rzymie liczni lekarze, choć przeważnie obcego pochodzenia (Grecy) i o niskim stosunkowo poziomie wykształcenia; najwybitniejszą postacią był Galen w II wieku po Chr.

Zdarzeniem epokowem dla rozwoju medycyny jako sztuki i wiedzy, było pojawienie się w Grecji pod koniec V wieku przed Chr. „ojca medycyny", genjalnego Hippokrates'a (ok. 460—377 r. przed Chr.). Liczne jego pisma (choć nie wszystkich autentyczność jest pewna) wydano w ogólnym zbiorze *Corpus Hippocraticum* i przetłumaczono w nowszych czasach na różne języki. [1]) Tem jednak, co obok wiedzy zjednało mu nieśmiertelne znaczenie i wywołało coraz częściej powtarzane dziś hasło „Zpowrotem do Hippokratesa!", jest niezwykle wysoki poziom etyki, jaką głosił w swych dziełach i jakiej domagał się od lekarza. Żądał od niego wielu cnót, wyrozumiałości, skromności, pełnego, godności zachowania się, sumienności, bezinteresowności, a w osobistym stosunku do chorego rzeczywistego oddania się na jego usługi, wczucia się w jego duszę i miłości. Takie ujęcie obowiązków lekarza, streszczone w słynnej i obowiązującej wówczas *Przysiędze Hippokratesa*, „stwarzało nieograniczone zaufanie do lekarza" i równocześnie podnosiło go wysoko w oczach całego społeczeństwa. [2])

Średnie wieki znamionuje pewien zastój w medycynie. Poziom jej jest naogół niższy, niż w okresach rozkwitu w starożytności. Zawód lekarski posiada stosunkowo mało przedstawicieli i nie cieszy się większem wzięciem wśród społeczeństwa. Funkcje lecznictwa i opieki nad chorymi przechodzą znowu w dużej mierze w ręce duchowieństwa katolickiego, świeckiego i zakonnego, które w imię opartej na

[1]) Po polsku przetłumaczył niektóre z nich dr. H. Łuczkiewicz (Warszawa).

[2]) Por. artykuł dra Witolda Ziembickiego: „Lekarz w pojęciu Hippokratesa". *Nowiny Lekarskie*, Poznań 1934 nr. 6 str. 161.

Bogu miłości bliźniego oddaje się chętnie posłudze nieszczęśliwych, stwarza osobne do tego celu Zgromadzenia, buduje szpitale i zakłady. Ono też wraz z innemi skarbami wiedzy starożytnych przechowuje troskliwie i stara się wykorzystać także ich księgi lekarskie.

Zwrot ku naukom doświadczalnym i przyrodniczym, jaki zaznacza się od w. XVI, zapoczątkował nową erę w rozwoju medycyny. Szczyt jej stanowił wiek XIX, a zwłaszcza druga jego połowa, z wiekopomnemi odkryciami na polu biologji i techniki. Zdobycze w dziedzinie budowy materji organicznej oraz bakterjologji, wynalazki w zakresie chemji, farmakologji, mikroskopji, fotografji i wielorakiego zastosowania elektryczności, otworzyły nowe drogi dla diagnozy i terapji zachorzeń, a przez aseptykę i znieczulenie umożliwiły dokonywanie najśmielszych operacyj. Świeże rozległe możliwości otworzyły się przed medycyną, z zapałem rzucono się do badań.

W zapale tym przesadzono jednak; zanadto zajęto się nauką, a za mało człowiekiem. Co gorsze, nad całą ówczesną wiedzą zaciążył bezduszny, ciasny materjalizm. W Niemczech panował wówczas wszechwładnie Vogt, Moleschott, Büchner, Haeckel, a wpływy ich sięgały daleko zagranicę. Na wydziałach medycznych i przyrodniczych nietylko nie wspominano o „duszy", ale unikano nawet wyrazów takich jak: pierwiastek życiowy, teleologja, uczucie, wola, żeby się nie narazić na uśmiech politowania. Wszystko tłumaczono mechanicznie: fizjologję traktowano jako gałąź stosowanej fizyki i chemji, człowiek i zwierzę różnili się jedynie stopniem rozwoju, a jedno i drugie było tylko doskonalszą maszyną. Ponieważ zaś to tłumaczenie wydawało się tak prostem i jasnem, więc obiecywano sobie, że w najkrótszym czasie wyświetlone zostaną wszystkie zagadki świata i życia. Świat lekarski czuł się olśniony, przejęła go bałwochwalcza niemal cześć dla nauki. Cały wysiłek skierowano teraz w stronę „medycyny naukowej" — chory poszedł na bok.[1])

[1]) Ten stan rzeczy przetrwał długo. Na (niektórych przynajmniej) uniwersytetach niemieckich, pisze jeden z tamtejszych lekarzy, jeszcze krótko przed wojną światową nie wspominano wogóle o duszy.

W medycynie nastąpił więc pewnego rodzaju przewrót. Nie „sztuka" leczenia lecz „wiedza" zajęła obecnie piewsze miejsce. Nie medycyna dla służenia choremu, tylko chory dla służenia postępom wiedzy medycznej. A choć w praktyce nie przeprowadzono tej niemożliwej tezy bezwzględnie, niemniej przy takiem ustosunkowaniu się lekarza do chorego musiał również stosunek społeczeństwa do lekarzy ulec gruntownej zmianie.

I w ten sposób zapoczątkował się, trwający do dziś dnia „kryzys medycyny".

Dotychczas bowiem, niezależnie od naukowego poziomu medycyny i materjalnego swego położenia, lekarz był zawsze „przyjacielem" chorego, tem cenniejszym, że ratował go w chwilach ciężkich. Czy cofniemy się na kilka wieków przed Chr. do starożytnych Indyj, usłyszymy tam: gdy jesteś chory, lekarz jest twoim ojcem; gdyś wyzdrowiał, jest przyjacielem; gdy jesteś całkiem zdrów, jest stróżem.[1]) Czy przeskoczymy przestrzeń paru tysięcy lat i znajdziemy się z początkiem XIX wieku we Francji, zobaczymy, że lekarz tamtejszy nie posiadał ani wielkiej wiedzy, ani nadzwyczajnych środków leczniczych, ale robił, co mógł i poświęcał się rzeczywiście dla chorych. Toteż znali go i cenili wszyscy, zapraszali często i udawali się po radę z zaufaniem jako do przyjaciela, nietylko w rzeczach zdrowia, ale we wszystkich ważniejszych sprawach domowych i rodzinnych.[2])

Ten piękny stosunek wzajemny, dzięki któremu społeczeństwo otaczało stan lekarski z a u f a n i e m i p o s z a n o w a n i e m, istniał dlatego — wyjaśnia nam dr. med. Władysław Biegański — że etyka lekarska stała na wyższym poziomie. „Od czasu — pisze on[3]) — jak tylko wytworzył się pewien zastęp ludzi, uprawiających specjalnie sztukę leczenia, musiały powstać pewne prawa, obowiązujące lekarzy w stosunkach między sobą i w stosunkach z ludźmi, którzy zasięgają u nich pomocy". I dlatego e t y k a z w i ą z a n a

[1]) Dr. Wład. Szumowski: „Medycyna starożytna", str. 34.

[2]) Dr. Louis Sauvé: „Vertus médicales d'hier et d'aujordhui". *Etudes* (Paris) 20. VI. 1932. str. 719 n.

[3]) W ł a d y s ł a w B i e g a ń s k i: *Myśli i aforyzmy o etyce lekarskiej.* Warszawa 1899; str. 1—5.

jest nieodłącznie z sztuką lekarską, dlatego pierwsze jej początki sięgają głębokiej starożytności i „wszyscy wybitniejsi przedstawiciele naszej nauki nigdy nie zapominali o etyce".

Dopiero, ciągnie dalej tenże autor, wiek XIX, zwłaszcza druga jego połowa, wyłamał się z pod tej zasady. Kiedy dawniej sławni lekarze byli „zawsze wielkimi filantropami", oddanymi usłudze chorych, to obecnie sytuacja zmieniła się do niepoznania. Medycyna przybrała teraz nazwę „naukowej", odsunęła na bok wszelkie „sentymenty", troszczyła się przedewszystkiem o cele naukowe, a wobec tych celów „los jednostki jest niczem". Wolno zaszczepić zdrowemu syfilis, by rozstrzygnąć sprawę jego zaraźliwości, nie szkodzi w innych podobnych wypadkach, że mnóstwo chorych wyginie, jeśli przez to nauka postąpi naprzód. Takie poglądy przyjęły się wśród lekarzy na tle ówczesnego „fanatyzmu nauki". *Pereat mundus fiat scientia medicinae!*

Dziś skrajny ten fanatyzm i bezwzględnie materjalistyczne pojmowanie człowieka należą już do przeszłości. Były one niemożliwe do utrzymania, wyrugowało je samo życie „Całe pokolenie lekarzy — mówił we wspomnianym na początku odczycie dr. Bumke — zostało zapędzone w zaułek bez wyjścia; bo nie można być lekarzem, jeśli się nie wierzy w duchowy pierwiastek, niepodobna upatrywać w człowieku tylko maszyny do refleksów, a mimo to ze zrozumieniem współczuć z jego skargami; nie można uważać świadomości za jakąś w gruncie rzeczy zbyteczną i przypadkową uboczną czynność procesów mózgowych, a jednak chcieć oddziaływać na chorą duszę". [1])

Do wyjścia z ciasnego kręgu materjalizmu filozoficznego zmuszał nadto sam postęp nauki. Nowe odkrycia na polu nauk przyrodniczych wykazywały coraz jaśniej, zasadniczą różnicę pomiędzy materją organiczną a nieorganiczną, oraz działającemi w nich siłami. Równocześnie zaś sama praktyka lekarska i dalsze badania stwierdziły doniosłe znaczenie pierwiastka psychicznego, jego wpływ na powstanie, przebieg

[1]) Przytoczone w art.: Dr. med. Hans Püller (Austrja G.) „Die Wiederentdeckung der Seele in der Medizin". *Schönere Zukunft* (Wien), 4. X. 1931. str. 9.

i leczenie choroby. Dzięki temu higjena i terapja duchowa dochodziły stopniowo do głosu, rozpoczęto poruszać coraz częściej zagadnienie stosunku ciała do duszy, o czem jeszcze niedawno temu lekarz nie mógł wspomnieć bez narażenia się na pośmiewisko.[1])

Nowa era zabłysła teraz w medycynie. Poczęto, pisał dr. Wład. Biegański, przyznawać się do pomyłki. Wiara w niewzruszoną dotychczas zasadę, że „nauka jest wszystkiem w medycynie", zachwiała się pod naporem rzeczywistości, wykazującej niezbicie, że powodzenie w leczeniu zawisło „w olbrzymiej większości od wpływu psychicznego, jaki lekarz wywiera na chorego". Nie zarzucając więc bynajmniej badań naukowych uznano jednak, że w praktyce co najmniej równie ważną rolę odgrywa stosunek „pomiędzy duszą lekarza a duszą chorego".

Ten zwrot ku duszy był jednak zaledwie wstępnym krokiem do wyjścia z „kryzysu medycyny". Do całkowitego rozwiązania tegoż była jeszcze droga daleka.

Przedewszystkiem samo pojęcie duszy, które bardzo często czerpano z błędnych systemów filozoficznych, nie sprzyjało bynajmniej porozumieniu między chorym a lekarzem. Pojęcie to odbiegało niekiedy tak dalece od rzeczywistości, że w pewnych wypadkach stawało się wprost niepożądanem i niebezpiecznem dla pacjenta; mamy tu na myśli psychoanalizę Freud'a, którego system, mimo łudzących pozorów, jest tylko zamaskowanym, subtelnym materjalizmem, przesiąkniętym nadto niezdrowym panseksualizmem.

Drugi, ważniejszy moment, stojący na przeszkodzie porozumieniu chorego z lekarzem lub, powiedzmy ściślej, społeczeństwa ze stanem lekarskim, jest natury moralnej. Dotknięty w tem, co stanowi jedno z najcenniejszych dóbr na ziemi, zwraca się chory do lekarza o pomoc, ale chce mieć rękojmię, że ten lekarz jest człowiekiem nieposzlakowanym, na którego można się z całym spokojem spuścić, że zajmie się nim troskliwie i uczyni wszystko możliwe dla jego wyleczenia. Owszem chory oczekuje od lekarza więcej jeszcze;

[1]) Przypominamy tu piękną rozprawę na ten temat dra med. Bychowskiego p. t. „Psyche i soma", przytoczoną w *Przeglądzie Powszechnym* z kwietnia b. r., str. 32–33.

szuka u niego serca, otuchy i pociechy, a jeśli jest katolikiem, także pamięci o jego duszy. — Tymczasem widocznie powyższych zalet u wielu lekarzy niedostawało, skoro pomiędzy nimi a resztą społeczeństwa wytworzył się rozdźwięk, trwający do dziś dnia; skoro poszanowanie i zaufanie do stanu lekarskiego podupadło dziś ogólnie, jak to stwierdzają sami lekarze, u nas i zagranicą.

Na XIV Zjeździe Lekarzy i Przyrodników, odbytym w październiku 1933 r. w Poznaniu, dr. med. Stefan Świątecki (Bydgoszcz) miał referat „Położenie społeczne lekarzy w Polsce współczesnej“ [1]) i rozpoczął go od stwierdzenia, że „istotnie popularność stanu lekarskiego u powojennego społeczeństwa polskiego zmalała, aureola zawodu zbladła, szacunek i poważanie dla lekarzy zmniejszył się“. Przeszedłszy następnie kilka powodów tego stanu rzeczy, natury raczej społecznej i gospodarczej, przyznaje znowu, że niektóre z nich przyczyniły się do „pewnego załamania się poziomu etycznego wśród stanu lekarskiego dzisiejszej doby, a co za tem idzie, upadku jego autorytetu“.

Mamy zatem z ust kompetentnych stwierdzenie tego samego i dziś związku przyczynowego, jaki istniał od czasów najdawniejszych, jaki przed 40-u blisko laty tak jasno przedstawił dr. Wład. Biegański — nie brak wiedzy, lecz niedomagania związane z etyką, przyczyniają się do obniżenia poszanowania i zaufania do stanu lekarskiego.

Nie potrzebujemy naturalnie udawadniać nikomu, że zarzut powyższy dotyczy pewnej tylko liczby lekarzy i że znaczna większość, sądzimy, przedstawicieli tego zawodu odpowiada godnie swemu wielkiemu powołaniu. Jest to jednak przywilejem zawodów szczególnie odpowiedzialnych, między niemi lekarskiego, że niewielka nawet ilość sprzeniewierzających się swemu zadaniu uderza tak w oczy, że podcina opinję ogółu. Że tymczasem ogół ten jest zdrowy, świadczy choćby fakt, że sami lekarze najsilniej piętnują ujemne postępowanie swych kolegów i czynią to nietylko na poufnych zebraniach i w swoich czasopismach, ale także w innych

[1]) Drukowany w czasop. *Nowiny Społeczno-Lekarskie* (Warszawa), r. 1934 nr. 4 str. 59 n.

pismach i książkach, jakie dostają się do rąk szerokiej publiczności.

Na wysuwane dziś ze stanowiska etyki braki lekarzy składają się zbiorowe przyczyny, lecz główne ich źródło tkwi w owej „naukowej medycynie", a zwłaszcza w przenikającym ją materjaliźmie filozoficznym, który podciął najważniejsze arterje życia duchowego, a z niem i moralnego. Spuścizna ta odbiła się zaś boleśniej w dobie dzisiejszej, w której z powodu ogólnej pauperyzacji i wciągnięcia w „służbę społeczną" w nieszczęśliwie zorganizowanych ubezpieczeniach społecznych, stan lekarski znalazł się w szczególnie trudnem położeniu i dlatego potrzebowałby właśnie wyjątkowo głębokiego wyrobienia duchowego.

Z końcem ubiegłego wieku dr. Wład Biegański wołał, by profesorowie medycyny i kierownicy szpitali i klinik „wychowywali" przyszłych lekarzy, by wpajali w nich nietylko wiedzę lecz i „ludzki, oparty na współczuciu i miłości bliźniego, sposób postępowania z chorymi". Skarżył się, że za jego czasów lekarz nie miał skąd czerpać zasad etycznych, bo jako słuchacz medycyny widział „tylko bałwochwalczą cześć dla wiedzy", a „jako lekarz spotyka bezwzględną gonitwę za groszem, zawiść i walkę o byt".[1]) — W r. 1933 w odezwie, podpisanej przez Zarząd Zjednoczenia Lekarzy, czytamy podobnie, że w „samem społeczeństwie lekarskiem potworzyły się grupy, koterje, związki i zrzeszenia walczące o pseudo-ideały, a starannie zabiegające o dobro materjalne własne i swych przyjaciół. Nieuczciwa walka konkurencyjna i krzykliwa reklama, pokrywająca nieczyste handlowe kalkulacje jednostek, jest zjawiskiem codziennem, obniżającem autorytet lekarza".

Jakie mogą być owe nadużycia i nieczyste kalkulacje, wiemy dobrze, a lekarze zagraniczni wymieniają je nieraz publicznie. Należą tu przedewszystkiem sprawy, związane z wystawianiem fałszywych świadectw, oraz różnego rodzaju nadużycia zaufania chorych. Nadużycia te przybierają niekiedy takie rozmiary, że — jak pisał dr. med. prof. Eugène Hubert (Louvain) — nad drzwiami niektórych gabinetów le-

[1]) *Myśli i aforyzmy o etyce lekarskiej*, str. 50—51.

karskich należałoby wywiesić napis z ostrzeżeniem *mauvais lieux.* [1])

Obok powyższych nadużyć, które z oburzeniem potępia nietylko społeczeństwo, ale i sami lekarze, istnieje jednak inna jeszcze kategorja czynów, noszących na sobie specjalną cechę podwójnej etyki — są zbrodnią podług zasad etyki przyrodzonej i chrześcijańskiej, a uchodzą za dozwolone, niemal za obowiązujące w pewnych wypadkach, podług przyjętej „etyki lekarskiej". Mamy tu na myśli przerywanie ciąży, będące w istocie swej rozmyślnem zabiciem przez lekarza niewinnej istoty ludzkiej, w celu ocalenia życia, a najczęściej tylko zdrowia matki. Pomijamy już, że konieczność użycia tego środka jest prawie w 99% problematyczna; ale przypominamy, że lekarz nie ma prawa rozporządzać życiem ludzkiem! Przypominamy dalej, że ani jedna z racyj, przytaczanych przez lekarzy w obronie dozwoloności przerywania ciąży nie wytrzymuje krytyki; że ani co do jednego z zasadniczych dowodów natury moralnej, wysuniętych przeciw temu zabiegowi, lekarze nie wykazali, aby był błędnym; że zabieg ten potępia surowo nietylko Kościół katolicki, ale także różni lekarze. [2])

I czy wobec takiego łamania podstawowych zasad moralnych można mowić o przezwyciężeniu „kryzysu medycyny"? Przyznajemy, że wobec oficjalnego uznania przez medycynę dzisiejszą przerywania ciąży, niejeden lekarz daje do niego „wskazania", lub wykonuje je w dobrej wierze. Lecz to nie zmienia objektywnego stanu rzeczy, owszem odpowiedzialność tem większa spada na cały stan lekarski i musi obniżyć poszanowanie dla zawodu, który legalizuje zabójstwo. [3])

Lecz ten przeżytek epoki materjalizmu, który w człowieku widział tylko ciało, który zapoznawał całkowicie du-

---

[1]) Eugène Hubert dr. med.: *Le Devoir du Médecin.* Bruges (Belgique); str. 27.

[2]) Por. broszurę: Ks St. Podoleński T. J.: *O życie nienarodzonych.* (Kraków 1933), oraz artykuł p. t. „Jeszcze w sprawie życia nienarodzonych" w *Przeglądzie Powszechnym* z kwietnia 1934 r., str. 25.

[3]) Wyrażenia tego używają sami lekarze, co znajdzie Czytelnik w przytoczonych w powyższej nocie źródłach.

szę, Boga i Jego prawa, mści się też dziś na lekarzach i potęguje „kryzys medycyny". Gdy raz się złamie tak ważną zasadę, jak nienaruszalności i „świętości" życia, wówczas już żadne hamulce nie pomogą. Liczba oficjalnych wskazań do przerywania ciąży wzrosła do kilkudziesięciu, co pewien czas znosi się wprawdzie niektóre, ale na ich miejsce wprowadza nowe. Nadto wszędzie, u nas i zagranicą, mniej sumienni lekarze pozwalają sobie na bardzo szeroką interpretację wskazań i szafują niemi w rażący niekiedy sposób, a przeciw temu zdobywaniu chleba i klienteli na drodze, znaczonej krwią niewinnych ofiar, bezsilne są wszelkie ustawy ograniczające samowolę lekarzy. Lecz ci notoryczni *avorteurs*, jak ich nazywa dr. med. G. Clement (Francja), którzy za pieniądze wszystko zrobią i wobec których, zdaniem profesora medycyny Ernesto Pestalozza (Rzym), należałoby zastosować rygor prawa, mogą istnieć jedynie dlatego, że dozwoloność zabijania niewinnych uznaje sama oficjalna medycyna — i dlatego ona, czyli jej przedstawiciele ponoszą w pierwszym rzędzie odpowiedzialność.

Albo czy nie muszą podciąć u wielkiej przynajmniej części lepiej myślącego, nietylko katolickiego, społeczeństwa takie fakty, jak popieranie przez wielu lekarzy ustawy sterylizacyjnej w Niemczech, akcji *birth control* w Ameryce i Anglji? Czy nie przyczyniły się do tego samego gratulacyjne adresy kilkudziesięciu naszych lekarzy — na szczęście tylko z dwóch ośrodków — popierające bez zastrzeżeń akcję T. Boy'a-Żeleńskiego, potępioną przez ogromną część społeczeństwa? Czy może wzrastać w katolickiem naszem społeczeństwie poszanowanie dla stanu lekarskiego, kiedy jedyny dla ogółu widoczny jego udział w polityce populacyjnej Polski zaznacza się szerzeniem środków zapobiegających, zwalczanych przez etykę katolicką?

Jakikolwiek więc punkt właściwego „kryzysu medycyny", t. j. obniżenia zaufania i poszanowania stanu lekarskiego, poruszymy, każdy sprowadza się do niedomagań na polu etyki. I dlatego w etycznem odrodzeniu znajduje się klucz do wyjścia z tego kryzysu.

„Nie jest dobrym lekarzem, kto nie jest dobrym człowiekiem"; ale żeby mógł być nim, musi oprzeć się na „idea-

łach etycznych". Tak z całą siłą przekonania pisał dr. Wład. Biegański. Zdawał on sobie doskonale sprawę i wypowiadał to głośno, że upadającej etyki nie uratuje instytucja Izb lekarskich i sądów honorowych, że wszelkie formułki i paragrafy „etyki lekarskiej" pozostaną „zawsze martwą literą, jeżeli nie będą wypływały z własnego poczucia lekarzy, z ideałów, jakie powinny przyświecać" ich działalności. [1])

W jednem wszakże wywody dra Biegańskiego potrzebują uzupełnienia. Przy całej wzniosłości głoszonych przez niego zasad moralnych i podkreśleniu, że „najwyższym jednak ideałem etycznym... jest niewątpliwie zasada chrześcijańskiej miłości bliźniego", [2]) nie rozwinął on jednak dostatecznie systemu etyki, nie nadał jej prawom bezwzględnej siły wiążącej przez oparcie ich na niewzruszonej podstawie. Nie przeprowadził tego również prof. med. Henryk Nusbaum w „Zarysie etyki lekarskiej", choć zbliżył się do rozwiązania w pięknem zakończeniu swej pracy. Przedstawiając trzy ideały: piękna, prawdy i dobra, na których lekarz powinien się oprzeć, zwraca się do „Stwórcy świata" z prośbą, by zechciał natchnąć ludzi miłością i kończy: „dziś nam potrzeba apostołów miłości... apostołów Chrystusowych..." [3])

To czego brakło w zwięzłych zarysach naszych autorów, rozprowadzili obszernie inni. Lekarz — pisze jeden z doktorów francuskich [4]) — który chce się podjąć wykonywania swego zawodu, potrzebuje nietylko wiedzy i praktyki, ale musi być człowiekiem pod względem moralnym bez zarzutu. Podczas bowiem gdy inne gałęzie wiedzy mają ściśle ujęte formuły i prawa, medycyna pozostaje w ciągłym procesie „stawania się" i dlatego rozstrzygnięcie w poszczególnych wypadkach zawisło nieraz w całości od osoby lekarza. Ten powinien więc z jednej strony posiadać dostateczną wolność działania, z drugiej wszakże musi się okazać godnym tego

---

[1]) *Myśli i aforyzmy o etyce lekarskiej,* str. 41, 43, 61.

[2]) Tamże, str. 17.

[3]) Prof. Dr. Henryk Nusbaum: *Zarys etyki lekarskiej.* Poznań 1932; str. 83—87.

[4]) Dr. Joseph Okinczyc, professeur agrégé à la Faculté; Chirurgien de l'Hopital Beaujon: „La profession médicale". *Etudes* (Paris) 5. X. 1933 str. 5. n.

przywileju, nietylko przez panowanie nad sobą i zimną krew, ale przedewszystkiem przez jasne zrozumienie swego obowiązku i głębokie poczucie odpowiedzialności przed Bogiem za wszystkie swe czyny wolne i świadome. To poczucie odpowiedzialności przed Bogiem, Najwyższym Sędzią, jest — powiada dr. Okinczyc — najsilniejszą i najskuteczniejszą, można powiedzieć jedynie skuteczną podstawą dla całej bez wyjątku działalności lekarza. Pod kontrolą sumienia będzie ona zawsze przepojona sprawiedliwością, miłością i roztropnością — i wtedy dopiero chory odda się lekarzowi z całem zaufaniem.

W powyższych słowach, skreślonych ręką lekarza, mamy właściwe rozwiązanie. Nie wystarcza samo uczucie, bo na niem można oprzeć i zbrodnię, na niem opierają się lekarze, broniący (w dobrej wierze) przerywania ciąży. Nie wystarcza stwierdzenie, najsłuszniejsze zresztą, że etyka lekarska nie może iść swojemi drogami, gdyż jest tylko „szczegółowym wyrazem etyki ogólnej" (dr. W. Biegański, str. 41) i nie może się wyłamać „z pod zasadniczych i ogólnie obowiązujących zasad moralności" (dr. H. Nusbaum, str. 27). Ale trzeba zasady te jasno sformułować i wykazać, że mają bezwzględną moc obowiązującą. A mają jedynie wtedy, gdy opierają się na Bogu, Stwórcy wszechrzeczy i Twórcy porządku moralnego!

Rozumie to zwłaszcza lekarz katolicki. „Dla nas, chrześcijan — pisze dr. med. prof. Eugéne Hubert — obowiązek przychodzi od Tego, który stworzył i urządził światy. Przez to jest on podniesiony ponad zmienność przemijającej chwili, jest uchroniony od fluktuacyj, jakim podlega wola ludzka za podmuchem kaprysu, interesu czy namiętności. Usuńcie Boga, a obowiązek staje się słowem nieokreślonem, elastycznem i pustem, które już nie ma siły zobowiązującej; bo jeśli nie pochodzi od Boga, któremu pokłon oddaję, to pochodzi od ludzi, których za moich panów nie uznaję i poddaję się im tylko o tyle, o ile mi to jest dogodne".[1])

Oczywiście przyznajemy najchętniej, że i lekarz niewierzący lub obojętny może być rzeczywiście oddany chorym i sumienny w spełnianiu swych obowiązków. Lecz będzie

[1]) Le Devoir du Médecin, str. 2.

to czysto osobista zaleta, oparta na jego podmiotowych danych, zawisła tylko od jego własnej woli i stąd nie dająca zupełnej rękojmi. Taki lekarz może zdobyć u ludzi zaufanie do siebie, ale nie zdobędzie go dla stanu lekarskiego.

Zupełnie inaczej przedstawia się sytuacja u lekarza katolickiego, który w swym światopoglądzie znajduje uzasadnienie wszystkich cnót, potrzebnych w tym zawodzie, który wie, że do postępowania podług zasad moralnych jest bezwzględnie obowiązany wolą Stwórcy, przed którym zda rachunek z wszystkich swych czynów. O tem myślał dr. med. O. Pasteau (Francja), kiedy mówił, że „lekarz katolicki jest lepiej, niż jakikolwiek inny, przygotowany do spełnienia swej dobroczynnej misji w rodzinie i społeczeństwie", owszem jest „z pośród wszystkich innych w najpełniejszem tego słowa znaczeniu lekarzem".[1])

Naturalnie słowa powyższe odnoszą się tylko do lekarza, będącego prawdziwym katolikiem, uświadomionym i praktykującym. Katolicy „z metryki", jakich tylu mamy wśród naszej inteligencji, nie mogą sobie rościć tego prawa, a kapelan szpitalny nieraz musi ze smutkiem przyznać, że lekarz innego wyznania więcej mu pomaga w trosce o dusze chorych, niż ci, od którychby tego należało się spodziewać. Dlatego tak niezmiernie ważną jest rzeczą, byśmy mieli lekarzy dobrych katolików, znających gruntownie swą wiarę i spełniających jej obowiązki, odważnych w głoszeniu zasad i konsekwentnych w czynie!

Taki wie: co i dlaczego ma czynić? — Bo — jak pięknie w imieniu lekarzy katolickich pisze dr. med. Louis Sauvé — „przyjście boskiego Lekarza, który powiedział: *Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy cierpicie, a ja was ulecze,* wskazało nam drogę, jaką mamy iść". Miłość, jaką powinien odznaczać się lekarz, „może mieć jedną tylko podstawę — religję, jeden tylko wzór — Jezusa Chrystusa, jedną tylko podporę — Boga samego". Gdy lekarze złączą swą wiedzę i technikę z duchem miłości, z duchem Chrystusa, wówczas osiągną to, co było „cnót lekarskich ideałem wieczystym".[2])

[1]) W referacie p. t. „Problem urodzeń a lekarze", wygłoszonym na Kongresie w sprawie urodzeń, odbytym w listopadzie 1931 r. w Brukseli.

[2]) Vertus médicales d'hier et d'aujordhui, j. w., str. 718, 729.

Na tle powyższych uwag i faktów zrozumiałem staje się, dlaczego lekarze katolicy coraz to nowych krajów zrzeszają się dziś w Związki lekarzy katolickich.

Jest to przedewszystkiem potrzebą ich duszy. Stanowisko lekarza jest trudne i pełne odpowiedzialności. Ma rozstrzygać w wypadkach, nasuwających nieraz poważne wątpliwości, a wymagających szybkiej decyzji. Znajduje się nieraz pod presją z dwóch przeciwnych stron, inaczej dyktuje sumienie, co innego głoszą panujące w medycynie poglądy. Nadzieja zysku, względnie trudne położenie finansowe lekarza również niemałą odgrywają rolę. Trzeba więc zarówno jasnej orjentacji, jak zwłaszcza wielkiego hartu woli, by nie zboczyć z drogi zasad.

Światło i siłę potrzebną do tego — powiada dr. med. De Wernejoul (Francja) — znajdzie lekarz „w nauce katolickiej, gdyż ta nie zadawala się samem przedłożeniem człowiekowi kodeksu postępowania, lecz znając słabość natury ludzkiej, daje mu także środki do zwycięstwa". Jednakże organizacja katolicka ułatwia mu ogromnie zdobycie tych środków i zachęca do ich użycia. Każe bowiem lekarzowi dążyć do własnego uświęcenia i wyrobienia sobie jasnego, zgodnego z Ewangelją światopoglądu, by mógł całą swą działalność, zawodową i charytatywną przepoić duchem chrześcijańskim.

W tym celu kładą Związki lekarzy katolickich silny nacisk na intelektualne i religijno-moralne wyrobienie swych członków. Nie zajmują się wprawdzie normowaniem i czuwaniem nad ich praktykami religijnemi, ale starają się przez wyrabianie ducha katolickiego nakłonić ich skutecznie do wiernego wypełniania obowiązków względem Boga.

W celu teoretycznego pogłębienia moralnych i religijnych poglądów, oraz uzgodnienia ich z teorją i praktyką lekarską, urządza się (miesięczne zazwyczaj) zebrania dyskusyjne, z których wyklucza się problemy polityczne i gospodarcze, a porusza głównie tematy z pogranicza medycyny i etyki. Te organizacje, które posiadają własny organ, korzystają wydatnie z jego pomocy; zwłaszcza angielskie i francuskie czasopisma lekarzy katolickich zawierają sporo cennego materjału.

Wynikiem powyższych dyskusyj nie ma być jednak teoretyczne tylko załatwienie sprawy, lecz przedewszystkiem czyn — zgodne z zasadami katolickiemi postępowanie w życiu prywatnem i publicznem, zajmowanie się chorymi w duchu chrześcijańskiej miłości i poświęcenia, obrona katolickich zasad i zabieranie głosu, słowem i piórem, gdziekolwiek zajdzie tego potrzeba. Kiedy naprz. w r. 1906 wrogowie Kościoła we Francji chcieli, pod pozorem troski o higjenę publiczną, zamknąć dostęp do groty i bazyliki w Lourdes, Związek francuskich lekarzy katolickich wszczął akcję protestacyjną, zebrał ponad 2.000 podpisów lekarzy katolików i niekatolików, poruszył przez prasę opinję publiczną i obalił masoński projekt. Podobną kampanję prowadził, zwłaszcza po wojnie światowej, przeciw neomaltuzjanizmowi i sztucznym poronieniom, w obronie małżeństwa chrześcijańskiego i w sprawie urodzeń.

Innem polem pracy, prowadzonej przez katolickie organizacje lekarzy, jest akcja charytatywna w tych dziedzinach, które wymagają pomocy lekarskiej, oraz praca dla misyj wśród pogan. Francuski Związek lekarzy urządza co roku w katolickim uniwersytecie w Lille 6-miesięczne, teoretyczne i praktyczne kursy lekarskie dla misjonarzy i zakonnic misjonarek. Podobne 2-tygodniowe kursy prowadzą corocznie w paryskim Instytucie Katolickim, a poza tem założyli osobne koła w celu pomagania misjom i zbierania dla nich lekarstw. Takie samo dzieło dla wspierania misyj w Kongo stworzył katolicki Związek lekarzy w Belgji; stara się on o lekarzy i personel pomocniczy dla misyj, oraz zaopatruje ich w potrzebne środki.

Sprawie Bożej i dobra bliźnich oddają zrzeszenia katolickich lekarzy wielką przysługę przez swą działalność propagandową, odczytową i pisarską. Podczas, kiedy u nas do wyjątków należy, żeby na zjeździe katolickim, dotyczącym zagadnień moralnych, czy społecznych, przemawiał lekarz, zagranicą należy to do rzeczy zwyczajnych. Podczas, gdy u nas literatura lekarska budzi najczęściej zastrzeżenia pod względem etycznych jej założeń, to zagranica posiada rozliczne publikacje lekarzy katolików, świadczące nadzwy-

czaj dodatnio, zarówno o naukowym, jak religijnym poziomie autorów.

Czytelnika polskiego, wprost zdumienie ogarnia, kiedy przerzuca zagraniczną katolicką literaturę lekarską i widzi, z jaką znajomością rzeczy, siłą przekonania i zdecydowanem wyznaniem wiary piszą ci ludzie. Kiedy my nie możemy doczekać się ze strony naszych lekarzy popularno-naukowej pracy przeciw przerywaniu ciąży lub szerzeniu sztucznych środków zapobiegawczych, zagranica daje nam do ręki szereg rozpraw, artykułów, odczytów, wykazujących na tych punktach zgodność medycyny z nauką Kościoła.

Wspomniany przedtem dr. med. O. Pasteau oświadcza publicznie wobec zebranych na kongresie kilkuset lekarzy, że lekarz katolik nie będzie prowadził „wojny przeciw dziecku", inaczej nie jest lekarzem katolickim. Dr. med. Pierre Vallette, przemawiając w roku 1930 w Marsylji, na katolickim zjeździe eugenicznym, o praktykach zapobiegania poczęciu, podniósł z uznaniem *veto* Kościoła i dodał: „czuję się szczęśliwym, że jako lekarz mogę stwierdzić, że ten formalny zakaz jest najzupełniej usprawiedliwiony ze stanowiska nauki". Dr. med. Pierre Barbet, pisząc o przygotowaniu młodego człowieka do małżeństwa, nie wstydzi się pomiędzy innemi środkami, polecać mu czytania Pisma św. i Tomasza à Kempis, a przedewszystkiem modlitwy i Sakramentów św. A już zbyteczną jest rzeczą przytaczać cytaty, że lekarze ci każą pamiętać, by dziecko, zagrożone śmiercią, zostało ochrzczone, a chory, będący w niebezpieczeństwie, został przez księdza przygotowany na śmierć.

Z nakreślonego powyżej programu wynika dużej wagi moment, że Związki lekarzy katolickich — pomimo, że niektóre z nich przyjęły formę Bractw — nie są organizacją dewocyjną, do której wystarczy być pobożnym i uczciwym, ale wymagają równocześnie wysokiego poziomu intelektualnego i ciągłego kształcenia się. Jest to koniecznem ze względu na dyskusje, które są możliwe tylko przy gruntownem opanowaniu przedmiotu, zarówno ze strony ściśle lekarskiej, jak filozoficzno-religijnej, a nieraz poza tem społecznej i wychowawczej. Wymaga tego akcja odczytowa i pisarska. Wymaga wreszcie sama praktyka lekarska, gdyż od lekarza-

katolika oczekuje organizacja, że nietylko zajmie się chorym szczerze w duchu miłości chrześcijańskiej, ale też odda do jego dyspozycji całą swą wiedzę i wykorzysta wszelkie zdobycze medycyny.

Stawiając swym członkom tak wysokie wymagania, oddaje katolicka organizacja lekarzy tem samem cenną przysługę całemu stanowi lekarskiemu. Podnosi w oczach społeczeństwa zaufanie i poszanowanie lekarza, a przez to przyczynia się do częściowej przynajmniej likwidacji „kryzysu medycyny"; o zupełnej nie może oczywiście być mowy, jak długo ogół lekarzy nie dostosuje swego postępowania do zasad moralnych.

I jeden jeszcze moment zasługuje na podniesienie — współpraca katolickiej organizacji lekarzy z duchowieństwem. Te dwa tak podobne sobie zawody, z których jeden zajmuje się przedewszystkiem leczeniem duszy, a drugi ciała, spotykają się przy wspólnej pracy dla dobra chorego i pomagają sobie wzajemnie. Że zaś ta pomoc księdza nie jest bynajmniej obojętną, nawet dla czysto leczniczych celów, świadczy choćby prof. dr. Bumke, który we wspomnianem przemówieniu rektorskiem przyznał się, że sam nauczył się wiele z dzieł teologiczno-moralnych i już niejednego chorego odesłał wkońcu do duszpasterza.

Wszystkie powyższe okoliczności, oraz budzący się dziś duch odrodzenia w świecie katolickim, sprawiają, że coraz większa sympatja otacza wszędzie organizacje lekarzy katolickich, i tłumaczą bujny ich rozwój w latach powojennych. Czasy, kiedy jeszcze z końcem ubiegłego wieku powtarzano sobie *medicus pius res miranda*, należą już do przeszłości.

Najstarsza komórka organizacyj katolickich lekarzy znajduje się we Francji. Po mniej szczęśliwych próbach w latach 1801 i 1841, zawiązała się w r. 1884 w Mans, za sprawą dra Le Bèle, naczelnego chirurga tamtejszego szpitala, korporacja lekarzy katolickich p. n. „La Société Médicale de Saint-Luc, Saint-Côme et Saint-Damien". Z drobnej grupy trzech lekarzy rozrosła się po kilkudziesięciu latach do pokaźnej i obejmującej cały kraj organizacji, liczącej około 2.000 członków, między nimi wybitnych uczonych i profesorów. Celem jej, poza osobistem uświęceniem,

jest prowadzona w duchu chrześcijańskim praca zawodowa, studja nad zagadnieniami lekarsko-etycznemi, propaganda zdrowych zasad przez branie czynnego udziału w katolickich kongresach, odczyty i rozszerzanie odpowiedniej literatury. Poza tem rozwija Związek owocną pracę dla pomocy lekarskiej misjom w krajach zamorskich, oraz prowadzi sanatorjum dla duchowieństwa. Organem jego jest *Bulletin*, początkowo kwartalnik, a od r. 1922 miesięcznik, dający rocznie 300—400 stron druku. Nadto wydano pewną ilość książek i broszur, a co parę lat publikuje się *Annuaire*, ze spisem członków.

Z Francji ruch ten rozszerzył się na kraje anglosaskie. W r. 1910, z okazji zjazdu katolickiego w Leeds, zawiązuje się organizacja lekarzy katolickich w Anglji i rozszerza się potem na Irlandję i kolonje, a przez swój znakomicie redagowany organ *Catholic Medical Guardian* zdobywa sobie znaczny wpływ. Niedługo później, w r. 1911, powstaje w Stanach Zjednoczonych Am. Pn. „Federated Catholic Physician Guild". Od r. 1933 wydaje ona kwartalnik *Linacre Quarterly* (New York), tak nazwany od imienia słynnego katolickiego lekarza angielskiego z 16-go wieku, który w 60-tym roku życia został księdzem.

Główny rozwój organizacyjny przypada na okres po wojnie światowej. W r. 1922 założono w Belgji „La Société Médicale Belge de Saint-Luc", która rozwija się bardzo pomyślnie w całym kraju (około kilkuset członków) i wydaje swój *Bulletin*, jako kwartalnik. Celem związku jest: 1) Uświęcenie członków i praktyka cnót chrześcijańskich, zwłaszcza miłości, w pracy zawodowej. 2) Obrona i szerzenie ideałów chrześcijańskich w zawodzie lekarskim; w tym celu od samego początku utworzono przy uniwersytecie brukselskim grupę medyków „Jeunesse Médicale de Saint-Luc". 3) Studja nad zagadnieniami lekarskiemi w związku z nauką i moralnością chrześcijańską. 4) Czynna współpraca z temi dziełami apostolskiemi, w których pomoc lekarzy może być potrzebna; Związek pracuje w komisji lekarskiej w Lourdes, pomaga misjom przez staranie się o lekarzy i środki lecznicze dla misyj; w r. 1931 zorganizował w Brukseli kongres w sprawie urodzeń.

Dalsze Związki lekarzy katolickich założono w Hiszpanji, Portugalji, Holandji, Szwajcarji, Niemczech, na Węgrzech, a w innych częściach świata w Kanadzie, Brazylji, Argentynie, Japonji, Tunisie i Marokko. W r. 1932 zawiązano w Austrji „St. Lukas-Gilde", która najlepiej rozwija się w samym Wiedniu, gdzie utworzyła już osobną „Junioren Gruppe" wśród medyków i prowadzi pracę odczytową i charytatywną.

Łącznikiem, który spaja wszystkie te Związki krajowe, jest założony w r. 1924 w Paryżu, na życzenie Ojca św. Piusa XI, centralny Sekretarjat „Secrétariat Central des Sociétés Nationales de Médecins Catholiques" (Paris VII, 74 rue de l'Université). Nie jest to żaden związek, ani federacja międzynarodowa, lecz tylko centrum informacyjne i propagandowe, stojące na usługi organizacyj poszczególnych krajów. Nie posiadając własnego organu korzysta ono narazie z gościnności *Bulletin'u* francuskiego Związku kat. lekarzy.

Jako najmłodsza placówka tego ruchu, obejmującego już całą prawie Europę, wystąpiła Polska. Plany założenia polskiej organizacji snuły się już od kilku lat i przybrały konkretną formę w ubiegłym roku. Grono, złożone z kilkunastu lekarzy warszawskich, opracowało po dłuższych naradach statut, który w grudniu 1933 r. otrzymał zatwierdzenie Rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Na pierwszem posiedzeniu, dn. 9 lutego b. r., wybrano Zarząd nowej organizacji w osobach: dr. Stanisław Wąsowicz — prezes, dr. Zofja Wojno — wiceprezes, dr. Stefan Pokrzywiński — skarbnik, dr. Bolesław Stypułkowski — sekretarz i dr. Franciszek Ksaw. Cieszyński — członek Zarządu. „Zjednoczenie Polskich Lekarzy Katolików" (Z. P. L. K.) z tą chwilą rozpoczęło swoją działalność [1]).

Wzorem innych organizacyj pragnie i Z. P. L. K. przygotować i ułatwić lekarzom pracę nad uzdrawianiem ciał dusz, zgodnie z nauką Kościoła katolickiego. Toteż „celem Z. P. L. K. — mówi §6 statutu — jest uświadamianie so-

[1]) Wszelkich informacyj udziela i zgłoszenia kandydatów, poparte przez dwóch członków, przyjmuje prezes Dr. Stanisław Wąsowicz, Warszawa, ul. Chłodna 33 m. 3.

bie światopoglądu katolickiego i zasad katolickich oraz ich szerzenie, obrona i wprowadzanie w życie, szczególniej w zakresie zawodu lekarskiego". Środkami do osiągnięcia tego celu są: zebrania, odczyty zamknięte i publiczne, oddziaływanie zapomocą pism i wydawnictw, urządzanie ankiet i konkursów, współpraca z organizacjami katolickiemi w kraju i zagranicą, rozwijanie działalności społecznej i lekarskiej.

Przyszłość pokaże, ile z tego programu uda się zrealizować, jaki będzie rozwój i działalność Zjednoczenia. Nie musi to być przyszłość najbliższa. Każdy początek jest trudny, a organizacja katolickich lekarzy spotkać się może z trudnościami z różnych stron. Lecz to nie szkodzi; trudności hartują, przeszły je również organizacje, najbardziej nawet kwitnące, innych krajów. Miejmy nadzieję, że przy starannym doborze członków i konsekwentnem wykonywaniu postawionych sobie zadań, Zjednoczenie P. L. K. zdobędzie należne uznanie wśród lekarzy i społeczeństwa, i rozwinie się stopniowo w całym kraju.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Krytyka neofilologiczna w Polsce i dążenie nowej krytyki.

Modernizm w krytyce charakteryzował filologów jako dalekich od życia, operujących niemiłym mu aparatem naukowym, profesorów reprezentujących tą lub ową specjalność. A przecież filologizm powinien mu był imponować nie tylko erudycją ale i tendencją do zajmowania się wybitnemi jednostkami, skłonnością do wyczuwania przeszłości polskiej szczególnie epoki humanistycznej, darem syntezy. Orjentując się wspaniale w sprawach antyku i humanizmu, filologizm szedł w pomoc polonistyce, nie gardząc, jak wskazują zwłaszcza prace Sinki, i nowszemi epokami, które usiłował on związać z myślą antyku.

Wyszedłszy z filologji zwłaszcza łacińskiej, usiłowali tacy poloniści, jak Kallenbach, stosować jej metody w badaniu polskich tekstów, w czem szli zresztą śladem głośnego polskiego lwowskiego filologa Pilata. Posiadając dużo instynktu psychologicznego, również niemały smak estetyczny, zdołali oni wynieść krytyczny esseizm Siemieńskiego a nawet Tarnowskiego, na wyżyny przedmiotowego, wyczerpującego, gruntownego monografizmu. Nie pomniejszali olbrzymów literatury, choć może za mało liczyli się z postępami psychologizmu u Ribota i innych. Szukali wszędzie i zawsze źródeł, mniej zwracając uwagi na technikę, odrębność, swoistość. Traktowali niekiedy pracę twórczą jako robotę, nie licząc się z postępem wiedzy o człowieku, ze strukturą ludzi i ich dzieł. Do istoty twórczej oryginalności nie docierali, narażając się, jak Windakiewicz, na ataki nie tylko publicystyki ale

i krytyki wyższego typu, co, pod piórem Borowego, zarzuciła filologizmowi przerost erudycji, pogrążanie się w szczegółach, brak konsekwencji.

A przecież filologizm zdobywał się, szczególnie dzięki Brücknerowi, na wysiłki przewyższające poprzedników. W każdej dziedzinie duchowej kultury czuł się on swojo, patrząc i na język ze stanowiska historji kultury. Nie gardząc syntezą, dokonywując cudów na polu monografji, patrzył na zjawiska rzeczowo i historycznie, przeorywał nieznane dotąd obszary, mniej oceniał a więcej charakteryzował i opisywał. Starał się zrozumieć indywidualności, rewidując nieustannie osiągnięte wyniki i interesując się stale prądami umysłowemi, religijnemi, literackiemi. Pragnął zachować przedmiotowość, o którą walczył realizm lwowskich filologów i warszawskich pozytywistów. I odtworzył wyraziście odrębność kultury polskiej, którą więcej wyczuwali niż znali krytycy romantyczni. Odtworzył i przeszłość literatury w sposób głębszy, niż to było za realizmu, umiejąc pisać naukowo i popularnie i budząc energję u młodszych, co również zechcieli rozluźnić skostniałe formy rozwoju, związać literaturę z życiem, nadać obrazowi przeszłości więcej prawdopodobieństwa i organiczności.

Dźwigała się, dzięki filologizmowi, zaniedbana u nas slawistyka, wzmacniał moment porównawczy w badaniu, ujawniało współdziałanie mas i małych pisarzów z wielkimi. Uwydatniła się, także pod wpływem Brücknera, nieprzerwana ciągłość rozwoju, wreszcie i wartość zjawisk, których znaczenia dawniej nie doceniano. Prehistorja, folklor, kultura, literatura związały się z sobą ściślej, do czego pomagał i torujący sobie na Zachodzie i u nas komparatyzm. Estetyzmu w tem wiele nie było. Ale istotne cechy piękne dzieł i epok filologizm wyczuwał doskonale. Uniwersalność zainteresowań, umiłowanie folkloru i natury cechowały jego ludzi, w których przeważały skłonności intelektualistyczne. Egzegeza tekstu rozwinęła się też, pod piórem takiego Pawlikowskiego, który filologiem właściwie nie był i nie jest, w sposób przedziwny. Humanizm, naturalizm, estetyzm wyraziły się w tym badaczu w sposób wykazujący wprawdzie jego związek z filologizmem, historyzmem, genetyzmem ale i wskazujący na jego przegłę-

boki zmysł estetyczny. Szukając podstaw, gruntu, atmosfery dla zrozumienia dzieła, chciał on najpierw zrozumienia, za którem musi dopiero pójść odczucie.

Wogóle szkoła lwowska współzawodniczyła z krakowską niepospolicie. Jej erudycja i gruntowność imponowały nawet modernistom tem więcej, że rozumiała ona zawsze potrzebę bogatszego ustosunkowania się do swoistości dzieł literackich. Wiążąc dzieło z epoką, celowała ona, pod piórem Bruchnalskiego, wszechstronnym komparatyzmem i znajomością zasad krytyki tekstu nowożytnego, którą odziedziczyła po Pilacie a przekazała Kleinerowi. Historyk, komparatysta, bibljograf umiał Bruchnalski każde podjęte zagadnienie omówić na tle tak rozległem, że jego metoda była źródłem wskazań dla całych pokoleń. Znać to w pracach całego szeregu uczonych, dla których punktem wyjścia był wprawdzie Pilat, ale którzy w Bruchnalskim widzieli dziedzica jego erudycji, gruntowności, rozległości horyzontu. Ze starszych Biegeleisen i Gubrynowicz, dalej Hahn i Pini, z młodszych interesujący się szczególnie za przykładem Dibeliusa, techniką romansu Wojciechowski, uzupełniali środowisko, które dotąd góruje w polskiej polonistyce.

Ale i krakowska nie dawała za wygraną, szczególnie od chwili pojawienia się na katedrze Chrzanowskiego. Niemały erudyt, oczytany w filozofji, był on z rasy krytyków realistów o wielkim darze rozsądku i smaku. Zwracając większą uwagę na myśl a mniej na formę, badając ze szczególnem zamiłowaniem źródła, użytkując i wskazania estetyków typu Lippsa, nie racjonalizował Chrzanowski nikogo i nie lekceważył rdzenia indywidualnego. Umiał budzić, jak kiedyś Tarnowski, sumienia a jego seminarjum było nie tylko szkołą ścisłości i metody ale i ostoją obrony wartości, co utrzymują polską kulturę. Również Dobrzycki, jako profesor fryburski i poznański, szukał prawdy intelektem a ożywiał ją uczuciem. Badacz źródeł, bystry analityk, niezły syntetyk, stanowi on, wraz z Pigoniem i Pollakiem, walną pozycję w postępie wiedzy o pewnych momentach literatury, które domagały się rozświetlenia.

Jeżeli dla Dobrzyckiego przedmiotem zainteresowania był szczególnie renesans, Pollak bada metodycznie i z uwzględnieniem teoryj estetyków typu Wölflina barok, gdy Pi-

goń troszczy się nie tylko o wychowanie narodowe ale i zagłębia się coraz bardziej w studjum źródeł i ideologji Mickiewicza. Zdolność rekonstrukcyjną posiada nadzwyczajną, argumentuje nieodparcie, wartości ideowe swego poety pokazuje w sposób wnikliwszy od poprzedników. W ten sposób rozprasza wiele nieporozumień i pomyłek a jako organizator sejmowego wydania dzieł poety spełnia to, o czem marzyły całe pokolenia filologów.

Przesila się też filologizm o tyle, że nowe prądy w krytyce ulegają oddziaływaniu fenomenologizmu i skłaniają się raczej do opisywania a nie do wyjaśniania struktur twórców i dzieł. Nauka o literaturze szuka sposobów, wedle których świat twórcy się kształtuje, opierając się o inaczej pojętą poetykę i stylistykę. Dokonał się zatem jakby rozłam między genetyzującą i historyzującą filologją a estetyzującą nauką o literaturze, co przyjęła od tamtej głównie teorję ustalania tekstu a mniej sposób jego wykładania. Analityzm i genetyzm, co opierały się o przyrodniczą postawę wobec zjawisk, ustąpiły estetyzmowi badającemu związek zawartości i kształtu w dziele, które, jak każde dzieło sztuki, charakteryzuje swoista logika uczuć, obrazów i pojęć. Rozumienie dzieła uznano za wykład rozwiniętego przez twórcę porządku, co odkrywa tajny świat znaczeń.

Metoda opisowa zbliżyła przedmiot w adekwatnym oglądzie jego stron i ugruntowała na tem opis jego istoty. Chodziło jej o to, co dzieło w sferze ducha oznacza, skoro estetyki nie wyczerpuje ani psychologja twórczości ani estetycznych doznań. Poznanie sztuki stanowi poznanie urzeczywistniających ją istotności. Sprzeciwiono się nawet psychologizmowi, poczytując przedmiot artystyczny za idealny w swej intencjonalnej jedności pewnej struktury, dalej intencjonalnej gęstości i dali. Sztukę uznano za walkę z wiedzą, co jest pod władzą rzeczywistości, ujmując odpowiednio poetykę, co ustala jedynie kategorje przedstawienia, kategorje formalne, wreszcie prawa mające podstawę w apriorycznych formach przedstawienia.

Niemniej i psychologizm, mający za sobą autorytet Müllera - Freienfelsa, nie traci na wadze, opierając się o personalizm wnikający w różnice typowe i indywidualne, wstę-

pując w estetyczną sferę życia, badając w twórcy wolę artystycznego kształtu. Uznawszy poezję za sztukę słowa, śledzi on środki uczuciowej ekspresji i bada jednorazowe ich ugrupowania na podłożu jakiejś indywidualności. Jego stylistyka uwzględnia prace filologów, o tyle, o ile dają one materjał do oceny, jak twórca idąc za swemi artystycznemi intencjami swe wzory przetwarzał. Szczegółowo zajęto się teraz metryką, co znać szczególnie u rosyjskich formalistów, gdyż poezja nie mówi językiem pojęć ale dźwiękami o samodzielnem znaczeniu. Estetyka krzyżuje się zaś coraz więcej z filozofją, wchodząc jakby w dziedzinę metafizyki skoro i psychologizm nie lekceważy momentów irracjonalistycznych.

Zatem Ingarden szuka w nas istoty dzieła literackiego i jego momentu strukturalnego. Poczytując dzieło za polifoniczną harmonję, gdzie zaznaczają się wartości metafizyczne, toruje on drogę do wniknięcia w specjalną konstelację wartości duchowego związku. I współczesna wiedza o człowieku uznaje w twórczej osobowości skomplikowany system stosunków, jedyności, oryginalności. Ciężar badania przesuwa się ku charakterystyce ekspresywnego kształtu i typu twórczego. Poszukuje się rozumienia sensu istoty jednostki. Odrywając dzieło od podłoża psychologicznego, ujmuje się je jako samoistny fenomen, by ściśle przedstawić jego granice i przeciwstawić konkretyzacjom.

Na tem polu zaznaczył się Łempicki, gdy poddając krytyce metodę psychologiczno-genetyczną w poetyce, zaliczył tę ostatnią do nauk ejdologicznych, każąc jej badać wewnętrzną strukturę tworów jako takich niezależnie od przypadkowych aktów tworzenia. W ten sposób poetyka analogicznie do czystej logiki, miałaby się stać nauką o istocie czystych tworów. Zajmowałaby się zatem badaniem rodzajów i sposobów wyrazu w poezji. Że zaś środkiem wyrazu jest język, więc na plan pierwszy wysunęłaby się funkcja mowy w poezji, gdzie słowo staje się ujawnieniem indywidualności. Krytykę poczytuje Łempicki za organ czynnego oddziaływania na życie literackie a granice między krytyką a historją literatury uważa za płynne. Niemniej zaznacza też potrzebę ogólnej umiejętności literatury jako podstawy zajmowania się wogóle literaturą.

I słusznie podnosi wartość współczesnej biografistyki co poczęła się w latach odzyskania autonomji przez sztukę, zwrotu do psychologji strukturalnej, charakterologji, psychoanalizy. Odtąd biografistyka pokusiła się o ujęcie istoty osobowości, sensu jej istnienia, zasad całego jej rozwoju. W chwili, gdy diltheizm podkreślił wagę kompleksu, indywidualności, struktury psychicznej, co opiera się o stały stosunek poszczególnych elementów, gdy ustaliło się pojęcie struktury na gruzach dotychczasowej atomistycznej koncepcji psychologicznej, wyłoniła się personalistyka dająca podstawę humanistyce. Za nią poszła zaś estetyka o charakterze personalistycznym. Co się tyczy psychoanalizy, szukała ona uwznioślenia instynktów w różnych formach kompleksowych.

W ten sposób osiągnięto jakby ideał biografji, w której nie biografja, nie analiza estetyczna, ale poszukiwania postaci twórcy zajęło pierwsze miejsce. Usiłowano odgadnąć istotny sens zjawiska, które objawiło się w innej sferze i formie od reszty ludzi. Ujęto postać w kategorje, o której nie marzyli jeszcze filologowie. Dążąc do syntezy, uchwycono symbolicznie postać, sytuacje, walkę ścierających się sił w danym układzie kultury. Nie mogło to nie pozostać bez wpływu i na polską literaturologję, gdzie modernizm zwrócił już dawno uwagę na indywidualizm twórczy, jego sposoby i prawidłowość.

Echem jego dążeń byli Lorentowicz i Irzykowski. Szczególnie drugi dostrzegał braki impresjonizmu i bronił wewnętrznych wartości, skoro wierzył, że nowe kształty towarzyszą zawsze nowym wartościom. Zwracał też uwagę na kompozycję dzieła, mniemając słusznie, że sam dźwięk nie znaczy nic, jeżeli nie zawiera jakiegoś pojęcia. I teraz wybija się na plan pierwszy genetyk, analityk, komentator Kleiner, który wyróżnił, zgodnie z dążeniami Zachodu, rzeczywistość przyrodniczą i humanistyczną oraz sposoby ich poznawania, wysunął naukę o literaturze jako samoistną i własnemi idącą drogami, określił literaturę jako odrębną sferę wartości. Badaczowi literatury kazał mniej wyjaśniać a więcej oceniać. Rozszerzył tem pojęcie dotychczasowej krytyki, pojmując dzieło jako całość psychiczną, której nie wyczerpuje ani geneza ani porównanie.

Stanął Kleiner na stanowisku psychologji indywidualnej, ujmując schemat procesu twórczego w duchu bergsonowym. I twórczość poszczególnych poetów ujmował jako całość, szukając indywidualności twórczej w jej jedności i logice. Nie zaniedbał, w przeciwieństwie do filologów, pokazać, co dany twórca z obcych motywów zrobił, jak je do własnych celów zastosował i jakim pięknościom dał początek. Pragnął zawsze wnikać w twórcze intencje, czy, gdy ustalał trudny tekst Słowackiego czy kreślił historję jego dzieł. Nie odrzucając tła poznawczego, dopracowywał się sensu egzystencji Mickiewicza, chwytając jego postać w nigdy niepowtarzalnej strukturze. Bystrą dociekliwością myśli zdobywał się na konstrukcje nieznane wogóle poprzednikom.

Borowy zaczął wprost badania od stosowania wskazań zachodnich na temat kompozycji, metod charakterystyki, struktury całości, dykcji, dialogu, mimiki, podmiotowych elementów twórczości danego romansopisarza. Szukając źródeł, starał się wykazać, jak pisarz obce pomysły modyfikował, jakim był jego kunszt i zasoby stylu. Nie gardził nawet wykresami. Dając monografję, pominął życiorys i rozwój myśli, a wstawił na to miejsce obraz poglądów pisarza w układzie systematycznym. Taki portret mówiący stanowi coś niespotykanego dotąd w polskiej biografistyce. Wszczęła się też dyskusja o metodzie estetycznego rozbioru dzieł literackich, gdzie miejsce wszechwładnej dotąd konstrukcji historycznej zajęła oglądająca się za wypracowaniem własnej metody analiza estetyczna.

Zaważył w tej dyskusji Kucharski jako wybitny komparatysta i teoretyk. I on, badając twórczość pisarza, dąży, jak Kleiner, do określenia oryginalności twórcy. Zaznacza się u niego dystans między artystą a jego źródłami, dystans postawy, poglądu, artystycznej struktury. Wyjaśnia się, jak to obce wątki ulegają przetworzeniu i stają się punktem wyjścia do nowych tworów artystycznych. Taka postawa da się odnaleźć i u Kridla, również wybornego komparatysty, arcysumiennego recenzenta, znawcy istoty i dziejów krytyki. I on, jak Łempicki, zna tylko jedną krytykę literacką, odmawia prawa do krytyki poetom, celuje w syntezie przystępnością, ścisłością, wyrazistością.

Taka postawa da się odnaleźć i u Szweykowskiego, Górskiego, Krzyżanowskiego, Życzyńskiego. Szweykowski posługiwał się również, jak Wojciechowski i Borowy, metodami badania techniki romansu Dibeliusa. Przedmiotowo i wielostronnie ujmował indywidualność twórcy, co czyni i Górski, gdy odwojowuje naprzykład, wbrew staremu filologowi Nehringowi, oryginalność sądów Mickiewicza jako profesora w Collège de France. Krzyżanowski orjentuje się przepysznie w literaturze staropolskiej, nie tracąc z oka i zjawisk współczesności. Życzyński uderza erudycją w zakresie estetyki, co znać i w jego pięknem studjum o drezdeńskim dramacie Mickiewicza.

Tacy badacze, jak Pollak lub Krzyżanowski, utrwalają też sławę polonistyki na Zachodzie, starając się zbliżyć wartości polskie do umysłów włoskich i angielskich. Rzucają je tedy na tło europejskie w wykładach w Rzymie i Londynie, gdy w Paryżu usiłuje tego dokonać z różnem szczęściem Zaleski. Psuje mu tam sprawę, wszechwładna jeszcze w Collège de France i w Sorbonie rusycystyka, choć wykładali już w Paryżu przejściowo Morawski, Zdziechowski, Grabowski i inni. Brak katedry polonistyki nad Sekwaną jest ogromną krzywdą i zaprzeczeniem wzniosłej tradycji mickiewiczowskiej, której nie wynagrodzi chyba Bruksela.

I znów Adamczewski kontynuuje to, co zaczęli poniekąd inni. Gdy dawniej filologowie rozwijali szeroko wątek biograficzny i zagadnienie wpływów, on, szukając oryginalności pisarza, prawi o jego tworzywie czyli o materjale przeżyć poetyckich, o dynamice czyli o kształtowaniu twórczem jako formie wewnętrznej, o technice czyli o formie zewnętrznej. Odtwarza też wnikliwie jego duchowe oblicze jako poety wyrazu a nie kształtu, zwracając całą uwagę nie na c o ale na j a k wyrazu. Wogóle zastanawia się, jak to twórczy, materjał przeobraża się na artystyczne walory i w jaki sposób się on przeobraża. Opisuje a nie krytykuje, inwentaryzuje i charakteryzuje. Tu już nie tylko Wölflin, ale i Müller-Freienfels wskazuje drogi nie mówiąc o takich, jak Cysarz lub Strich.

Odsłania się proces twórczego mozołu, uwydatniają się nawroty motywów, skale opisów, etapy techniki, fazy ideo-

logji. Środki artystyczne pokazują badacze znacznie lepiej niż to było za czasów Porębowicza lub Matuszewskiego. Analizuje się nietylko technikę ale i rytmikę, słownik, wogóle język, czego dowodzą prace Fika, Jurgielewiczowej, Weintrauba o dużej wartości metodycznej dla współczesnych i późniejszych. Od antyhistoryzmu przechodzi się do estetyzmu, mając na oku intencję artystyczną, twórczą konstrukcję w dziele, związek przedstawień a nie objawy pewnych prądów lub nastrojów społecznych. Socjologiczne traktowanie literatury w duchu zwłaszcza marksowskim przeważa u pisarzy pozostających w związku z rosyjskim maksymalizmem.

Doskonale obeznany z dążeniami metodycznemi Zachodu jest Suchodolski. Nie unikając całkiem biografji, rozprawia on bystro o tworzywie, rozwija doskonale analizę estetyczną i porównawczo-literacką, zastanawia się wreszcie nad stylem czyli językiem, wyrazami, zdaniami, wyborem przedmiotów opisu i stosunku do nich pisarza, elementami i sposobami opisu, nastrojem i wierszem, oryginalnością stylu i wpływem na innych. Wszystko to wiedzie go do charakterystyki wyobraźni twórczej danego artysty. Pociągają go mocno i ideologja, ewolucja tej ideologji, systemy kultury, o których rozprawia głęboko i sugestywnie.

Współczesny estetyzm wyobraża i Kołaczkowski. Orjentując się nadzwyczajnie w teorjach zachodnich, ma on kult szczególnie dla myśli i estetyki Schelera. Wykłada jasno metodę, której nie można oderwać od postawy filozoficznej epoki. Tak było niegdyś z tainizmem, potem z eksperymentalizmem psychologicznym, dziś ze struktualizmem irracjonalistów typu Sprangera, Müllera-Freienfelsa, Ermatingera i innych. Szuka się związku między strukturą indywidualną a zrodzonemi z niej wartościami, gdyż wartości estetyczne nie wyczerpują wartości sztuki. Kołaczkowski uznaje zależności i wpływy, ale nie lubi zbytnio genetyków. Przedstawia estetyzm nie tylko formalny, gdy określa istotę tragizmu. Patrzy ze stanowiska schelerjanina na dzieła, kreśli ewolucję pisarza, co mu imponuje tężyzną etycznej struktury, gdzie artyzm nie jest miarą i celem ale środkiem. Sławi troskę o wartości, co nadaje jedność wewnętrzną jednostkom i na-

rodom. Dlatego ceni wewnętrzną harmonję realistów, choć zna i rozterkę modernistów. Człowieczeństwo go obchodzi, styl jako cecha osobowości i epoki, zgodność sztuki z osobistem życiem artysty.

Jesteśmy, dzięki takiej postawie badaczy, niezmiernie daleko od realizmu, co schematyzował indywidualności, gdy szukał w nich stale jakiejś zdolności naczelnej. Wynikały z tego czysto tainowskiego stanowiska różne pocieszne wnioski, których wyrazem są zamknięcia monografij Spasowicza, Chmielowskiego i innych. Realizm przezwyciężył jednak ostatecznie Brzozowski, by torować drogę takim, jak współcześni struktualiści i estetycy. Koncepcje intelektualistyczne przeżyły się już dawno w krytyce, jak wogóle w filozofji.

Esseizm Czachowskiego i Zawodzińskiego przynosi też niemałe korzyści. Pierwszy jest urodzonym estetykiem, jak w poprzednim pokoleniu Lorentowicz. Ogarniając szeroki zakres w swoich roztrząsaniach przygodnych i w próbie syntezy, gdzie zamierza współzawodniczyć z przestarzałym Feldmanem lub Potockim, przeprowadza on swe zadanie konsekwentnie i inteligentnie. Nie naśladuje metod wschodnich, co przenoszą ideę dzieła sztuki z języka sztuki na język socjologji, skoro nie dbają o indywidualności. Momentem rozstrzygającym jest dla niego indywidualność twórcza. Zawodziński potępia zaś typ krytyka nastrojowca czasów modernizmu. Niepospolity znawca formy wierszowej, pisze rzeczy o trwałej naukowej wartości.

Nie przechodzi zatem krytyka fazy przesilenia. Nowoczesny zmysł filologiczny nie gardzi nawet dowcipem i nosi się mniej ze swą godnością od dawnego, Aparatu objaśnień oszczędza tylko dla mas, szerząc kult ścisłości, nawet w szerszych kołach, jak wskazuje powodzenie imprez wydawniczych typu wznowionej po bolesnej przerwie Bibljoteki Narodowej. Słusznie mniema, że trzeba krytykom się uczyć, bo wiele błędów wynika z nieznajomości tego, co głosi współczesna nauka o literaturze. Wszakże nawet metoda ustalania tekstu, która stanowi, obok bibljografji, jedną z najważniejszych gałęzi literaturologji, rozwinęła się dopiero w epoce powojennej, jak wskazuje, po inicjatywach Czubka, Pilata, Bruchnal-

nalskiego, pamiętna rozprawa Kleinera na wstępie pełnego wydania dzieł Słowackiego.

Oczyszcza się i klaruje atmosfera. Ignorancja literacka uczonych w piśmie nie jest znów tak straszną, jak mniema Skiwski, gdy ironizuje maruderów wieczności. Interesują nas drogi rosyjskich formalistów, odgrywamy pewną rolę w rozwoju współczesnej nauki o literaturze niemieckiej. Krzepi się krytyka polska, mając tak niezmiernie żywotnego nestora, jak Brückner. Odpiera zwycięsko ataki rewizjonistów Pigoń czy Kukiel, skłonność do impresjonizmu maleje, mimo wystąpień Millera i innych. Kompromituje ona jedynie jej przedstawicieli, którym brak wszechstronnego ogarnięcia przedmiotu.

Jeżeli prawdą jest to, co wyrzekł Irzykowski, że krytyka jest negatywnem uświadamianiem się tęsknoty poezjo-twórczej, co z cudzych pomysłów i scen wysuwa samą siebie, nie można przyjąć, by rewizjoniści kierowali się objektywnemi względami formalnemi. Ich stanowisko publicystyczne, subjektywne, dogmatyczne wskazuje tylko na tupet, brutalizm, przyziemność, złośliwość a brak podstawy ideowej, co cechowała jeszcze bliskiego niekiedy pamflecistom pewnego typu Brzozowskiego. Ale Brzozowski posiadał nietylko postawę ale i dążenie, które można było podzielać lub nie, ale nie można było nie uznać jego oryginalności. Tego brak rewizjonistom pozbawionym umiaru, harmonji, ukochania wartości nadindywidualnych a wcielonych w indywiduach twórczych.

Gdybyśmy chcieli teraz scharakteryzować ewolucję polskiej krytyki literackiej na drodze do stanu dzisiejszego, możnaby powiedzieć, że zrazu, mimo istnienia faz renesansu i baroku, nie dało się u nas rozwinąć głębszej kultury teoretycznej i co, za tem idzie, krytyki. To, co dziś prawi się o zoilach w literaturze staropolskiej, nie należy do niej wcale. Zrodził ją dopiero filozofizm oświecenia, przychodzący w pomoc w walce o nowożytność polskim jej szermierzom.

Romantyzm wyłonił znów historyczne studjum literatur, wzmagając świadomość korzyści krytyki i tępiąc przeżytki dawnego smaku i przepisów formalnych. Ulegając przecież heglizmowi, wtłoczył w jego formuły żywy materjał przeszło-

ści. Musiała dokonać się zatem reakcja, której waga będzie tkwiła w psychologiźmie czyli w opowiadaniach o twórcy i o jego przeżyciach. Powstały portrety, a nawet monografje, wiążące twórcę z gruntem, z którego on wyrósł. Rozwinęła się i synteza wolna od momentów spekulacyjnych, oparta o znajomość zjawisk a nie o bibljografję lub podkład czysto dowolny i nie liczący się z rzeczywistością.

Zasługa realistów w krytyce była ogromną, choć nie mieli oni nic wspólnego z tezą dzisiejszą, że w badaniu literackiem chodzi o rozumienie ujmowania pewnej zawartości w kształt artystyczny. I znów dokonała się odmiana głosząca, że krytyka jest raczej sztuką ujmującą piękno uczuciem i intencją. Powstają wtedy i próby metody zwalczającej wszechwładny dotąd tainizm realistów i uzasadniającej tezę, że przedmiot artystyczny wypada chwytać w jego swoistości, że intuicja spełnia poznanie, że artysta jest bliższym rzeczywistości od uczonego.

Bada się sposoby twórcze, entuzjazmuje dla kształtu i pierwiastka wiekuistości w sztuce. Analizuje się szczegółowo to, co modernizm nazywa naturą twórczą lub typem twórczym, uwzględnia się sztukę odsuniętą od rzeczywistości, teoretyzując na temat tragizmu i komizmu, wreszcie wnikając w technikę szczególnie rodzaju najbardziej teraz cenionego czyli romansu. Poczyna się rozumieć, że w sztuce nie o plastyczne odtworzenie faktu, ale o subjektywną grę uczuć i wrażeń chodzić musi, bo sugestja jest potężniejszą od impresji a pierwiastki logiczne grają małą rolę w estetycznem wzruszeniu.

Krytyka modernistyczna jest afirmacją granic krytyki estetycznej i szuka głównie sensu tego, co dawał twórca. A nawet skłonni do socjologizowania krytycy uznawali, że zadaniem ich jest rozumienie i odczucie twórcy w jemu tylko właściwej odrębności. Że jednak uświadamiali sobie oni, że życie jednostki wplecione jest w życie zbiorowości, uznali i estetykę za cząstkę nauki o człowieku a zagadnienie stylu za zagadnienie społeczne. Krytykę uważali za najgłębszą moralną świadomość swej epoki, czem przypominali krytyków romantycznych.

Miała tedy ta krytyka jakby dwa oblicza, które nie zatraciły się w i dobie współczesnej poszukiwania elity czyli ludzi nieobciążonych żadnem dziedzictwem klasowem. Rządzi wogóle w dziejach krytyki jakieś immanentne prawo rozwoju, bo ślady każdego kierunku, czy było nim oświecenie, czy romantyzm, realizm lub modernizm dadzą się odnaleźć i dzisiaj. Różnice są często pozorne a rozwój krytyki jako nauki poznawczej, zwróconej do zdawania sobie sprawy z wartości formalnych, kierującej się normami etycznemi jest właściwie jednolitym i wyłania tylko coraz nowsze możliwości.

Odkrywania prawa formy poszczególnych jednostek, które dokonywa się dziś, pozwala nazwać współczesną krytykę neofilologiczną, skoro z filologizmu wyszła ona niegdyś i filologizm ma za punkt wyjścia i dzisiaj. Schemat badania wydoskonalił się dziś tak, że impresjonizm doznał pełnego pogromu i ustąpił chyba bezpowrotnie. Postawa badawcza krytyki zyskała grunt, który każe wróżyć o jej przyszłości w sposób optymistyczny.

Tadeusz Grabowski.

Rola poety we współczesnych Niemczech.

Zbiorowa wola narodu w podwójnej objawia się formie: praktycznie usiłuje ona stworzyć jaknajkorzystniejsze biologiczne warunki bytu, teoretycznie zaś dąży do wyrażenia swej istoty w możliwie czystej i doskonałej formie. Sztuka, mniej lub więcej idealistyczna, dopełnia w każdym narodzie politykę, zazwyczaj zgoła utylitarystyczną. Zbyt dobrze wiemy, jak dalece ostatnia, nawet w państwach demokratycznie rządzonych, zależy od sugestjonujących i indywidualnych zdolności przywódców, a bodaj czy nie w większej jeszcze mierze od międzynarodowej sytuacji, do której naród musi się dostosować, jeśli nie chce narazić się na dotkliwe szkody. Jak dalece dziedzina sztuki może stać się dla narodu jedynym rezerwatem zupełnej swobody, najmniej chyba nam trzeba tłumaczyć. Toteż słusznie, choć niecałkiem świadomie, zwykliśmy czynić autokratyczną sztukę łącznikiem między nami a resztą narodów. Szkoła nauczyła nas dziejów dynastyj i wojen, gdy tymczasem Cheopsowi dała nieśmiertelność piramida, wzniesiona z jego rozkazu; Atrydzi żyją dzięki Homerowi i tragikom greckim, Medyceusze dzięki Michałowi Aniołowi, a Ludwik XIV zawdzięcza więcej Wersalowi i „komedjantowi" Molierowi, niż wszystkim politycznym i dyplomatycznym sukcesom. Szlachetne mecenasostwo dla sztuki wyjednało krwawym tyranom lub mienie swego narodu bezlitośnie rujnującym despotom, nietylko przebaczenie u potomności, lecz otoczyło ich aureolą blasku, którego żaden czyn okrutny nie potrafił zaćmić.

Im bliżej teraźniejszości, tem słabiej sztuka brata narody, co gorsza, polityka, częstokroć nie obowiązująca na

dłużej niż na przeciąg skromnych paru lat, przywłaszcza sobie rolę artystycznego arbitra. Niedawno przecież, podczas światowej wojny, Nietzsche uchodził u przeciętnego inteligenta wśród przeciwników Niemiec za rzekomego twórcę brutalnej Herrenmoral, podczas gdy zaledwie kilka lat po uciszeniu się wzburzenia, ten sam filozof nie gdzieindziej jak we Francji doczekał się bardzo wnikliwej oceny, a z naszej strony powstały próby przywłaszczenia sobie myśliciela, który naodwrót obecnie patronuje najnowszym kierownikom niemieckiego państwa. Cicha jakaś wiara w sugestjonującą potęgę sztuki każe politykom chronić się pod jej opiekuńcze skrzydła — niemieckiej konstytuancie miał dodać splendoru klasyczny Weimar, w nowoczesnych republikach w miarę śeprecjonowania się głów koronowanych zyskują na wartodci czoła, laurem wieńczone, co banalnie objawia się na monetach lub pocztowych znaczkach. Sztuka, lepiej od najprzebieglejszego dyplomaty, umie w warunkach niekorzystnych werbować narodowi zwolenników, nawet wśród jego politycznych przeciwników. Hegel oddziaływał na nas mimo naszego żalu do jego ojczyzny, Hauptmanna grywano w Polsce niezliczone razy mimo równocześnie urzędującej Komisji kolonizacyjnej, kilkanaście przekładów Fausta na nasz język najlepiej ujawnia czarodziejski fluid poezji. To też z pewną ciekawością stawiamy sobie pytanie, w jakim kierunku rozwija się współczesna poezja niemiecka, do czego zmierza, wkońcu, czy potrafi ona promieniować w naszą stronę.

Europa zmienia oblicze, nasza część świata, której jeszcze niedawno prorokowano zmierzch i upadek, mający wyniknąć z logicznej dziejowej konieczności, ta Europa niespodziewanie się budzi, z chaotycznego fermentu wyłaniają się formy, nikt nie odważy się powiedzieć, czy trwałe; bądź co bądź krystalizują się one wyraźnie. Byłoby złym znakiem, gdyby nad stwarzaniem nowego porządku rzeczy mieli pracować wyłącznie politycy, entuzjaści rzeczywistości, a duchowi przywódcy spoczywali w letargu; w żywym organiźmie narodowym współdziałają wszystkie warstwy, grupy i jednostki, niezależny zaś artysta lepiej od kogokolwiek innego potrafi być głosem sumienia swego narodu. W każdym z kra-

jów europejskich widzimy tem większą artystyczną ruchliwość, im żywsza w nim tendencja odrodzenia się. Temperament narodu odgrywa w sposobie wyrażania formy jego duchowego życia niepoślednią rolę. Włochy faszystowskie z artyzmem, wrodzonym południowcom i rasie romańskiej, posługiwały się od samego początku sztuką do wypowiadania nowego światopoglądu, Niemcy, „naród filozofów", zastanawiają się nad tym samym problemem więcej teoretycznie i bodaj czy wogóle wyrażą go kiedykolwiek w czystej formie artystycznej. Bo nawet dorobek literacki klasyczno-romantycznej epoki składa się, jak słusznie zauważyła krytyka niemiecka, reprezentowana przez Herberta Cysarza, po większej części z torsów, planów, szkiców i bloków. Program romantyzmu niemieckiego występuje daleko pełniej i wyraziściej w logicznem ujęciu Fryderyka Schlegla, niż w poetycznej realizacji romantyków, to samo powtarza się przy tak zwanym „konsekwentnym naturalizmie" i ekspresjonizmie. I dziś poeci niemieccy, odbiegając od nakazu swego największego wieszcza: *Bilde Künstler, rede nicht,* ogłaszają od dłuższego czasu programowe wytyczne, które w dużej jeszcze mierze czekają spełnienia. Rozrzuconym po czasopismach artykułom tej treści groziło szybkie pójście w niepamięć, pozatem trudno było orzec, o ile przygodnie odzywające się głosy mogły być uważane za miarodajne, choćby dla pewnej grupy artystów słowa. Nader szczęśliwym był więc pomysł historyka literatury Heinza Kindermanna, profesora gdańskiej politechniki, aby dać większej ilości poetów możność wypowiadania się co do zadań i celów ich sztuki. Zebrane enuncjacje wyszły w formie książkowej p. t. *Des deutschen Dichters Sendung in der Gegenwart,* 1933.

Książka powstała o tyle w szczęśliwej chwili, że autorowie poszczególnych artykułów mieli jeszcze pełną swobodę wypowiadania się i rzetelnie też skorzystali z tego prawa, bo w Niemczech walczono dopiero o ostateczną formę polityczną, która później także i umysłowemu życiu narodu podyktowała ściśle określone zasady. Inna sprawa, że wydawca książki nie dopuścił już do słowa poetów, nieodpowiadających ideologicznie politycznym prądom, które w chwili ukazania się książki już odniosły zwycięstwo. Wobec tego ska-

zano na milczenie wszystkich nieuznawanych dziś w Niemczech poetów, co do wielu zaś niewiadomo, czy pominięto ich rozmyślnie, czy też dobrowolnie zrzekli się słowa. Tak np. milczy senjor niemieckiego Parnasu Gerhart Hauptmann. Selekcja głosów, której dokonał Kindermann, sprawia, że o roli poety w dzisiejszych Niemczech otrzymujemy informacje jednostronne, ciekawe o tyle, że pochodzą albo od wyraźnych rzeczników nowego porządku, albo od jego sympatyków. W tych ramach ogólnych panuje zresztą wcale duża rozpiętość: przemawiają poeci różnych wyznań chrześcijańskich, różnych prowincyj, także z obszarów, nienależących politycznie do Niemiec. Głosy weteranów piśmiennictwa mieszają się z głosami najmłodszych, ściślej mówiąc, nie zupełnie się mieszają, bo Kindermann grupuje poetów według wieku.

Probierzem, pozwalającym łatwo stwierdzić, o ile tendencje, występujące w danym momencie dziejowym, mają rację bytu, jest logika ich ewolucji. Wprawdzie każda epoka miała swoich Heglów, mniejszych lub większych, umiejących z pomocą zręcznej dialektyki dorobić uzasadnienie do ideologji, dyktowanej z dyktatorskich wyżyn — owe dowodzenia jednak, nienaganne formalnie, niekoniecznie zbiegają się ze swoistą logiką rozwoju ludzkości, który jest racjonalny o tyle, że konsekwentnie dąży do stwarzania pewnych ściśle określonych form, irracjonalnym zaś jest w ich doborze. Co logiczne w sensie ewolucji, przebiega zawsze fazy procesu biologicznego: zawiązuje się zwolna, rozwija się i potężnieje, nigdy zaś nie wyłania się nagle i niespodziewanie. Najgłębiej odczuł to i wyraził w drugiej części swego Fausta Goethe: *Nie war Natur und ihr lebendig Fliessen, / Auf Tag und Nacht und Stunden angewiesen. / Sie bildet regelnd jegliche Gestalt, / Und selbst im Grossen ist est nicht Gewalt.*

Jakąkolwiek dziedzinę życia współczesnego obserwować, wszędzie występuje tendencja do organicznego skupienia się, a równocześnie odwrót od luźności. Oznacza to zerwanie z materjalizmem, który celował w analizie, rozkładał świat na atomy i pojmował go jako sumę, mało zwracając na to uwagi, że z łączenia się pierwotnych cząstek rodzi się coś zupełnie nowego i odmiennego. Materjalistyczny światoo-

pogląd zatomizował także poetę: wyodrębniając jego poszczególne dzieła, pojmował je jako pewnego rodzaju rezerwoar przeróżnych kunsztownie ze sobą powiązanych myśli i uczuć, które nadają się do oddzielnego traktowania. Podobnie też dusza poety uchodziła za skarbnicę, wzbogacaną dorywczo samorzutnie, daleko jednak częściej dzięki przeżyciom, z zewnątrz płynącym.

Przeciw temu pojmowaniu rzeczy występuje już od szeregu lat nowoczesna wiedza o literaturze, która szczególnie potężnie rozwija się w Niemczech. Wychodząc z założeń o organiźmie, uważa duszę poety za centrum nieznanej siły, która promieniuje wprawdzie w różne strony, tworząc, aby się obrazowo wyrazić, tęczową gamę harmonijnych barw, nie rzucając natomiast luźnych promieni. Innemi słowy, wszystkie dzieła wielkich artystów powstają z rozszczepienia się jednolitej jaźni twórczej, a prądy duchowe danych epok są wypływem jednolitej, ponadosobowej woli, która ujawnia się równomiernie w każdej dziedzinie życia. Jaźń poety i wolę epoki, ostatecznie nieuchwytne w swej istocie, można jedynie intuicyjnie odczuć i hipotetycznie określić. Tem samem ludzkość i artysta stali się zagadką, nad czem chyba tylko ci biadają, których niepokoi, że świat nie chce dorównać w prostocie tabliczce mnożenia. Tajemniczość bytu łączy się nierozerwalnie z jego organicznością.

W jakim więc sensie nowoczesną poezja niemiecka chce być organiczną? Wszak każdy artysta jest organizmem w sensie fizjologicznym i psychicznym, spełnia zatem z samej racji swego istnienia postulat, dziś stawiany. A jednak to nie wystarczy, słyszymy ogólnie. Organiczne nastawienie naszych czasów uważa nawet najbardziej harmonijnie zbudowaną jednostkę za samotnie błądzący atom, który dopiero wtedy nabiera wartości, gdy wchodzi w skład jakiejś większej całości, ściśle mówiąc, możliwie największej całości. Nie jest nią ludzkość, jakby można przypuścić. Nie zaprzeczając konieczności internacjonalnego współdziałania, odmawia się jednostce zdolności b e z p o ś r e d n i e g o odczuwania zagadnień międzynarodowych, raczej międzyludzkich: „Inaczej większa część zagadnień, trapiących dziś ludzkość, zostałaby oddawna rozwiązana, to znaczy nie powstałaby wogóle, gdyż

ludzie samorzutnie nastawiliby się na ponadnarodowe człowieczeństwo". Trafniejszy i stanowczo bardziej przekonywujący jest inny argument, wysunięty przeciw internacjonalizmowi: dopiero zróżniczkowanie ludzkości na narody dostarcza jej pełni i możliwości obrania wielorakich dróg rozwojowych: „zróżniczkowanie i indywidualizacja, nie zaś zamalgamowanie warunkuje i popiera współpracę w sensie zachowania gatunku". Porzućmy wnikliwe rozumowania, w które zresztą z pośród poetów jedyny Kolbenheyer się wdaje, i ograniczmy się do przytoczenia jego ostatniej uwagi, zaczerpniętej już tylko z obserwacji, a potwierdzającej nam specjalnie wiekowe doświadczenie: świadectwem bezpośredniego odczuwania przynależności do narodu jest fakt nader żywej wrażliwości na jego losy, zwłaszcza smutne; jednostka w momencie zagrożenia bytu narodowego gotowa jest rezygnować ze swego bytu indywidualnego i złożyć go w ofierze; heroizm i jego przeciwieństwo, zwątpienie w możność spełnienia funkcji w obrębie narodu, wiodące nawet do aktu samobójczego, oba te zjawiska tłumaczy i uzasadnia uczuciowy kompleks świadomości narodowej. Możnaby tu dodać, co u Kolbenheyera stoi między wierszami, że żadna katastrofa, która spada na poszczególny naród, nie potrafi poważniej wstrząsnąć ogółem ludzkości. Naród więc byłby najobszerniejszym organizmem, którego żywotność jednostka odczuwa jeszcze w całej pełni. Drugi obok narodu organizm społeczny, państwo, nie wchodzi w rachubę u niemieckich poetów; nietrudno zgadnąć, dlaczego. Jeśli wogóle mało narodów żyje w całej swej liczebności w obrębie własnych granic, to zwłaszcza niemiecki, wyróżniający się silnemi zapędami kolonizatorskiemi, potrafił oddawna stworzyć na obcych i odległych terytorjach znaczniejsze osiedla, które tylko idea narodowa, nie zaś państwowa potrafi zespolić ze swą macierzą.

Zasadniczym postulatem, stawianym poezji, jest, aby była narodową. Bardzo nieliczni, którzy tego wyraźnie nie akcentują, nie wysuwają przynajmniej innej koncepcji. Że narodową chce być współczesna poezja niemiecka, oznacza to przedewszystkiem zerwanie ze subjektywizmem i kosmopolityzmem. Oba te prądy, które od końca XVIII wieku i przez

następny rozwijają się i potężnieją, mają zamrzeć. „Nieszczęsne" wydają się zasady wielkiej rewolucji, które dziwnie „splotły się z ideałami niemieckiego humanizmu" i za pośrednictwem renesansowego indywidualizmu Burckhardta dotarły do całej inteligencji mieszczańskiej. Z biegiem czasu subjektywna jaźń i jej niezmierne spotęgowanie stały się celem życia. Kiedy jednakże Goethe, sławiący osobowość, jako największe szczęście dzieci ziemi, nawiązywał jeszcze silnie do przeszłości, to wiek XIX, owo *saeculum historicum,* znało wprawdzie ideę ewolucji, utraciło jednak zdolność odczuwania jej. W ostatecznym wyniku tytuł, jaki nadał Piotr Altenberg swym szkicom: *Wie ich es sehe,* staje się dewizą impresjonistycznej sztuki, przyczem jednak należałoby zauważyć, że sam Altenberg zastrzegał się jeszcze wyraźnie przeciw położeniu nacisku na słówku ich, jak to się z biegiem czasu stało i utarło.

Nie wdając się w dyskusję, czy wiek miniony był rzeczywiście opanowany jednostronnym indywidualizmem, stwierdzić jedynie wypada, że współcześni domagają się przejścia od Ja do My, co Paul Fechter zaznaczył w tytule swego artykułu: *Vom Ich zum Wir.* Tem samem wyłącza się z programu nowej poezji wszystko wyłącznie osobiste. Symbolicznym stał się rozwój liryka Stefana George, który izolował się na początku swej twórczości, jak nikt inny z niemieckich poetów, nawet nie udostępniał swych dzieł ogółowi, a z biegiem lat i łączność z narodem nawiązał i posłannictwo mu niósł.

Kosmopolitycznej poezji brak środka do bezpośredniego porozumienia się z ludzkością, która nie wytworzyła sobie wspólnego języka. Kto tedy szuka drogi do całej ludzkości, ten skazany jest na operowanie pojęciami logicznemi, zrozumiałemi powszechnie, tego mowa musi wyrzec się swoistego „dźwięku i czaru", swoistej „siły melodji i głębi ekspresji", bo wszystko to niesposób przenieść w całości z jednego języka do drugiego. Skutkiem tego żaden tłumacz nie zdołał przeszczepić największych genjuszów, Dantego, Szekspira, Goethego, na inny grunt językowy, wielkość zaś wspomnianych poetów polega na ich ścisłem zespoleniu z własnym narodem. „Nikt nie potrafi pisać dla świata esperantem du-

cha, lecz musi światu obwieścić swe posłannictwo za pośrednictwem własnej narodowości" — to ostateczna konkluzja. A z niej i dalsza ma wyniknąć: jeśli język odgrywa tak poważną rolę w sztuce narodowej, to jej gatunki, dostępne ogółowi ludzkości, dzięki ich międzynarodowo zrozumiałym środkom artystycznym, muzyka, malarstwo i plastyka, spadają do drugorzędnej roli, a w żadnym wypadku nie dorównywują poezji. Prawda, że tylko dorywczo słyszymy to równie znamienne, jak i ryzykowne twierdzenie. Bo czyżby rzeczywiście z tonów Bacha, Mozarta, Schuberta lub Beethovena nie można wyczuć poza indywidualną odrębnością, także i wyższej, narodowej, słowami dającej się zresztą niezmiernie trudno wyrazić? Kult dla Wagnera, wzmagający się w międzyczasie, zmodyfikował skrajne zapatrywania niektórych poetów na sztukę, nie posługującą się językiem, jako środkiem ekspresji.

Propagatorzy poezji narodowej z konieczności muszą sobie stawiać pytanie, czem jest naród? Zbytecznem chyba nadmieniać, że nikt za przykładem francuskiego *Roi-Soleil* nie jest skłonny ani jednostki uczynić reprezentantem narodu, jak to Ludwik XIV zrobił w odniesieniu do państwa, ani jednego stanu, ani jednej społecznej warstwy. Narodem, nie może się jednakże i masa mienić, jej głos nie jest bynajmniej *„vox populi"*. Jak organizm nie powstaje ze zwyczajnego sumowania cząstek, składających się nań, lecz jest czemś zupełnie od nich odrębnem, tak też i naród uchodzi za twór swoisty, ponadindywidualny i jakościowo odmienny od każdej jednostki, wchodzącej w jego obręb i losem swym od całości zależnej. Naród zmierza samodzielnie do pewnych celów, realizuje pewne idee — jakie, to dopiero rozum *ex post* poznaje; dla teraźniejszości są one tajemnicą i zagadką. I tu właśnie zaczyna się rola poety.. Jeśli ją różni różnie w szczegółach pojmują, to jednak zasadniczo są zgodni ze sobą: jedynie poeta potrafi obwieścić narodowi, czem jest i do czego ma zmierzać, język poetycki wyjawia swym dźwiękiem bezpośrednio tajemnice, uchwytne uczuciem, niedostępne zaś ogółowi umysłów. Tym sposobem pośredniczy między duchową istotą narodu a człowiekiem i sprzęga ze sobą dwa światy. Nie chciałbym powtarzać tu niewyczerpa-

nej mnogości mniemań, rozwijających kwintesencję tych myśli. Wszystkie, pojęciowo wyrażone, straciłyby polot, trąciłyby frazesem, podczas gdy w oryginalnej stylizacji tchną rzetelną wiarą. Mniejsza też o to, że jedni z poetów uważają się za skromne sługi ponadosobowej idei narodu, za narzędzie w jej ręku, inni natomiast — a do tych zaliczają się młodsi — występują bardziej samodzielnie, przypisując poecie zdolności opanowania chaosu, który obecnie ogarnia świat. Bezprzeczną zdobyczą wszystkich jest wskrzeszenie wiary w istnienie ducha ponadosobowego, rządzącego narodem, i uniezależnienie go od materjalnych czynników, w które dotąd wierzono. Kwestje społeczne, gospodarcze, wszystkie zewnętrzne warunki, wśród jakich naród istnieje, odsuwa się albo zupełnie na bok, albo się je traktuje jako coś podrzędnego, mało istotnego.

Wernyhora i Tyrteusz, wieszczbiarz i płomienny przywódca — to są role, jakie sobie przypisują współcześni poeci niemieccy. Wiara napełnia wszystkich, wiara płynąca nie z dumy, lecz z pokory, co występuje silniej u starszych, niż u młodszych. Owi bowiem głęboko są o tem przekonani, że siły, stwarzające w nich artystyczne obrazy nowego porządku, płyną z zaświatów; uważają, że sztuka powinna mieć charakter religijny i „zawieść naród do przedsionka świątyni Boga". Wiara pojmowana coprawda nie w duchu kościelnym, lecz jako zwyczajna ufność, krzepi też poetów młodszych: „Tylko wiara pozwala pojmować świat jako całość, wszystkie inne metody duchowego poznania potrafią go jedynie rozbić".

Stwarzać świat, nie zaś rozbijać go, jest hasłem ogólnem. O ile na Parnasie niemieckim rozlegały się dotąd smętne zawodzenia, oskarżenia i żale, to odtąd ma tu zapanować poważna praca twórcza w optymistycznej wierze, że niema istotnej potrzeby dobijania tego, co negatywne i ujemne. Poeci, zabierający głos, o tyle dają temu przekonaniu wyraz, że nie toczą polemik ze swymi przeciwnikami ideowymi, mimochodem ich tylko wspominają. Z odżegnania się od zjadliwych karykatur Henryka Manna wnosić można, że nowa poezja niemiecka uważa krytykę i satyrę za nieproduktywne i ma zamiar od nich stronić.

Daremnie szuka się odpowiedzi na zagadnienie, dziś w Niemczech tak bardzo aktualne i w praktyce już rozstrzygnięte, komu przysługuje prawo do zabierania słowa w poezji. Nad kwestją rasowości jedyny Blunck ogólnie się zastanawia; zaznacza, że Germanie już w czasach przedhistorycznych nie byli jednolitą rasą, na co wskazują zewnętrzne znamiona; należałoby więc włączyć do narodowości niemieckiej także wszystkie jej grupy, posiadające nawet wyraźną domieszkę krwi romańskiej, względnie słowiańskiej. Kwestji aryjskiej nikt nie tyka, tyle jednak stwierdzić łatwo, że Kindermann nie dopuścił do słowa poetów niemieckich niearyjczyków. Równocześnie jednak wykluczył też — chyba nie przypadkiem? — wszystkie kobiety, a mężczyźni nie poświęcają uwagi sprawie, czy Parnas ma się stać wyłączną własnością jednej tylko płci. W międzyczasie rządzące czynniki zadecydowały podział, powołując także kobiety do „Niemieckiej Akademji Poezji".

Cokolwiek słyszymy o zadaniach poezji i poetów, wszystko to są bardzo ogólne wytyczne, nie zaś szczegółowe programy. Słuszne to i konsekwentne, bo jeśli poeta tylko w momentach natchnienia jest wieszczem, wypowiadającym objawienia, nie może tego rozumowo wyłuszczyć w formie prozaicznej. Rozumowo prawi się tylko o akcydensach, do jakich należy np. sprawa tematu poetyckiego. Mylnem byłoby przypuszczenie, jakoby żądano jego ograniczenia w sensie narodowym. Tylko niektórzy z poetów stawiają nieco skrajne postulaty, aby stworzyć „kronikę bohaterskiego życia narodu", lub żalą się, że dotąd uczono pojęcia bohaterstwa na postaciach obcej narodowości. Mimo to nie zanosi się na to, by chciano naruszyć ciszę spokojnej Walhalli, lub, by orężna rozprawa Hermanna z Rzymem miała ukazać się na deskach teatru, trudno orzec po raz który. Ogół broni się przed ograniczeniami tematowemi (jeśli wogóle się w te sprawy wdaje), powołując się chętnie na Goethego. Jeśli niema obawy, by niemiecka literatura zamieniła się w „germańsko-niemieckie ghetto", to z drugiej strony brak także uznania jednomyślnego i dla niemieckiego klasycyzmu. Nikt nie wygłasza zdań tak zdecydowanych, jak kilkanaście lat temu Hefele, który, nawiasem mówiąc, zasłużył się przez wpro-

wadzenie katolickiego punktu widzenia do nowoczesnej wiedzy o literaturze: „Goethego Ifigenja wydaje mi się bardziej niemiecką od Goetza; Hölderlina, Archipelagus bardziej niemiecki od Klopstocka Hermannsschlacht; Mozarta Figaro bardziej niemiecki od Wagnera Śpiewaków norymberskich". Nowi poeci sądzą raczej przeciwnie: Goetz, a zwłaszcza Faust (ostatni zresztą słusznie) cieszą się większą przychylnością od Ifigenji i Tassa.

Niemiecki klasycyzm w części, a humanizm w dużej mierze nie przypada do smaku nowym poetom, wyjątkowo nawet któryś z nich ostro oświadcza, że chlubny rozwój poezji niemieckiej, zapoczątkowany w średniowieczu, przerywa się z przebudzeniem humanizmu, który jakby zasłona spada na życie narodowe i dusi samorodną poezję przez kilka setek lat. Tak więc przynajmniej niektórzy poeci dzielą zdanie, krótko i zwięźle wyrażone już w r. 1915 przez Ryszarda Benza w broszurze o programatycznym tytule: *Die Renaissance, das Verhängnis der deutschen Kultur.* Bardziej dziwne, że nikt nie płonie większym afektem do narodowo nastawionych romantyków, zasłużonych przecież i w odnowieniu niemieckiej pieśni ludowej i ludowych podań, baśni i języka. Między narodowymi poetami wcale głucho o romantyźmie, który do niedawna cieszył się jeszcze nadmiernemi względami u badaczów literatury.

Mimo nieco rozbieżnych zdań w tej kwestji, pragną poeci zasadniczo uwydatnić swą narodowość zapomocą ducha tchniętego w utwór, a mało albo i nic nie chcą zawdzięczać tematowi: „Co zewnętrzne, czysto materjalne, nie odnosi się do naszych rozważań. Dzieło, które oceniamy jako narodowe, nie ma ociekać narodowym olejem, lecz musi być namaszczone kroplą tego oleju, którego woń je przenika trwale i bez naprzykrzania się (tu się przytacza za przykład *Dziewicę Orleańską* Schillera) musi dać poznać po sobie, że niemiecki duch je uformował..."

Narodowa poezja, mająca ściśle spajać jednostki i grupy, nie może oczywiście zajmować się zbytnio ich odrębnemi właściwościami; nie położy tedy silniejszego nacisku na regjonalizm, nie będzie forytowała poszczególnego szczepu lub społecznej warstwy, lecz biorąc to wszystko za osnowę, za-

znaczy zawsze węzły, łączące cząstkę z całością: „wszystkie szczepy mają współbrzmieć w ogólnym chórze wspólnej niemieckiej kultury". Pozatem ta nowa poezja z równą miłością odniesie się do rodzimych łąk i niw, do nizinnego piasku, jako też do dymu kominów, dachów wielkomiejskich, osnutych mgłą lub chłostanych deszczem.

Zasada „sztuka dla sztuki" upada, choć nikt nie ma zamiaru postponowania artystycznej formy. Zdobycze cywilizacji i techniki, któremi entuzjazmowała się poezja na początku wieku, a po wielkiej wojnie je przeklęła, uchodzą za rzeczy obojętne, łatwo zgadnąć dlaczego: ich charakter jest zanadto internacjonalny.

Kto poezję pojmuje jako mysterjum, a artystę uważa za wybrańca z pośród ludzi, obcującego bezpośrednio z duchem świata, nie będzie chciał zadawać się z masą. Nowy poeta niemiecki, przynajmniej teoretycznie, nie okazuje ochoty do rzucania tłumowi doczesnych haseł, ani nie ma zamiaru zajmowania się polityką w ścisłem słowa znaczeniu, która zanadto jest uzależniona od doraźnych potrzeb. Polityka i kwestje gospodarcze, to „wierzchnie warstwy" życia narodowego, poeta ma sięgać do głębszych. Ta wiara uzasadnia odrazę do literata, służącego chwili i przemijającego wraz z nią, tudzież wstręt do reportażu.

Rozejrzymy się na zakończenie w przypuszczalnym bilansie zysków i strat, jakie mogą powstać ze zrealizowania przytoczonych wytycznych. Poeta zyskuje w nowoczesnych Niemczech dostojeństwo, jakiego oddawna już nie posiadał. Sto lat zgórą minęło, kiedy po raz ostatni pokolenie romantyczne poczytywało artystę (nie poetę wyłącznie) za wybrańca, wywyższonego z łaski nieba, obcującego jako jedyny ze śmiertelnych bezpośrednio z transcendentnem. Prawda, że już na wiele lat przed obecnie słyszanemi enuncjacjami przywrócił godność tę poecie, zmarły niedawno Stefan George. Poeta, rzetelnie przekonany o dostojeństwie swego posłannictwa, bezspornie wzniesie sztukę swą na wyżyny, a co najmniej niebardzo będzie dbał o konjunkturę i rynek. Zyska na tem i sztuka i publiczność, która w artystycznym idealiźmie znajdzie pokrzepienie po materjaliźmie życia, pozbawiającym człowieka perspektyw. Poezja, zmierzająca

do tego, by dać narodowi wieczne wartości, potrafiłaby go odciągnąć od życia politycznego i uspokoić jego partyjne roznamiętnienie, które, widziane *sub specie aeterni,* musi się wydawać błahem i nikłem. Wątpliwości nie ulega, że nowa sztuka, zacieśniająca swe ramy, potrafi nietylko zwrócić silniej uwagę na pewne nowe wartości, ale powiększyć także sumę znanych dotąd. Z drugiej natomiast strony, sztuce tej, kierującej się miłością, tem samem zgóry skazanej na jednostronność, grozi łatwo zaślepienie. Czy pod jej wpływem dusze Niemców, dotąd może zanadto dostępne postronnym wpływom, nie zamkną się zbyt szczelnie przed resztą świata? Słuszną chyba jest obawa, że każdy naród, wyodrębniający się zbytnio od reszty świata, utraci z nim kontakt i przestanie go rozumieć. Wprawdzie poeci, przemawiający w książce, wydanej przez Kindermanna, nie są, przynajmniej głośno, rzecznikami odebrania głosu braciom po lirze, nastawionym bardziej międzynarodowo. Skądinąd wiemy, że np. Kolbenheyer, ongiś, jako członek „Sekcji dla poezji przy pruskiej Akademji Sztuk", domagał się jeszcze tylko równouprawnienia w niej dla poetów narodowo czujących. Politycy w międzyczasie inaczej rozstrzygnęli. Praktyka dopiero wykaże, czy poeci wyłącznie, zaaprobowani przez dzisiejszych rządców, potrafią sprostać swemu zadaniu. Między tymi „uznanymi" poetami znajduje się wiele młodzieży, autorów zaledwie jednej znaczniejszej książki, którym się więc udziela dużego kredytu. Pozatem niejeden nawet ze starszych niezupełnie dowiódł, żeby teoretycznie przez niego wyłuszczone zasady miały go także w praktyce w całej pełni obowiązywać. Żądana ponadczasowość, ponadpartyjność i sakralne pojmowanie sztuki niebardzo się zgadzają ze zbyt pochopnem gloryfikowaniem bohaterów dnia dzisiejszego, których aureola nie ma jeszcze bynajmniej zapewnionej wieczności. Wreszcie i wstrzymywanie się nowych poetów od życia politycznego nie jest tak konsekwentne, jak tego do niedawna teoretycznie żądali.

A co innym ludom da nowa poezja niemiecka? Jako wybitnie narodowo nastawiona, ujawni z pewnością charakter niemieckości bardziej szczegółowo, niż dotąd to sztuka czyniła. Artystycznie słabiej będzie oddziaływała nazewnątrz

Niemiec, tematy jej i zagadnienia przez nią traktowane muszą siłą rzeczy wydawać się postronnym obce. Poezja ta, narodów nie poróżni, ale też nie będzie tworzyła łącznika między niemi. Praktycznie objawia się to już dziś: dzieła Tomasza Manna, Hauptmanna i innych, wcale nie reportażowych pisarzy niemieckich, wychodziły w przekładach czasem nawet równocześnie z ukazaniem się oryginału, z tłumaczeniem natomiast narodowych poetów niemieckich, mało kto dotąd się kwapi.

Jan Berger.

Początki i rozrost kultu Bł. Andrzeja Boboli

w pierwszych dziesiątkach lat XVIII w.

Dnia 16 maja 1657 roku poniósł w Janowie Poleskim śmierć męczeńską Andrzej Bobola T. J., jeszcze za życia swego zwany „apostołem Pińszczyzny". Jezuici pińscy, uwiadomieni o jego okrutnej śmierci, przewieźli zwłoki Męczennika do Pińska, gdzie przybrano je w szaty kapłańskie, włożono do skromnej trumny, opatrzonej napisem: „Pater Andreas Bobola Societatis Iesu" i bez pompy zewnętrznej pochowano w podziemiach kolegjackiego kościoła św. Stanisława, w krypcie, w której składano na wieczny spoczynek śmiertelne szczątki członków kolegjum.[1]) W tym samym czasie na karcie, zawierającej nazwiska pochowanych pod kościołem, zapisano i nazwisko Męczennika.[2]) Według zwyczaju zakonu, polecono wszystkim członkom prowincji litewskiej Towarzystwa Jezusowego odprawić za duszę okrutnie umęczonego przepisane modlitwy.[3]) W kronice kolegjum pińskiego umieszczono pod 1657 rokiem krótką notatkę o jego

---

[1]) *Sacra Rituum Congreg.* E-mo et R-mo D. Cardinali Corradino. Polona, seu Luceoriensis *Beatificationis*, seu Declarationis Martyrii *Ven. Servi Dei Andreae Bobola* Sacerdotis Professi Societatis Jesu, Romae 1739, *Summarium*, n. 5, str. 14 § 32, str. 78—79, § 61—62.

[2]) „P. Andreas Bobola anno 1657, 16 Maii Janoviae occisus, crudelissime ab impiis Cosacis varie necatus, deinde decoriatus, positus ante Altare Maius". *Ibidem* n. 5, str. 83, § 81—83.

[3]) *Krótkie zebranie różnych rzeczy w Rzymie* (Dziennik polskiego Jezuity Ignacego Moszyńskiego). Ossolineum Rps n. 2147.

śmierci.[1]) Wiceprowincjał litewski Andrzej Guzewski doniósł generałowi zakonu Goswinowi Nikel'owi o nowych stratach, jakie prowincja poniosła i szerzej omówił śmierć Szymona Maffona (zamordowanego 15 maja 1657 r. w Horodku pod Pińskiem) i Andrzeja Boboli. W odpowiedzi na to generał Nikel w liście z 17 listopada 1657 r.[2]) zażądał dokładnych wiadomości o życiu i ostatnich chwilach Maffona i Boboli. „Ufam bowiem", pisał, „że obydwaj otrzymali wieniec męczeństwa, gdyż, jak się zdaje, nie można wątpić, że zadano im śmierć z nienawiści do wiary św. Dlatego też sądzę, że raczej radować się, niż boleć nad ich okrutną śmiercią wypada". Stosownie do zarządzenia generała i zwyczaju zakonu powstała wtedy pierwsza biografja Męczennika w formie schematycznego, oficjalnego nekrologu, opracowana według przyjętego szablonu, nie oddająca jednak należycie postaci Boboli.[3])

Badającego pożółkłe od starości karty, z których pochodzą podane wyżej wiadomości ogarnia zwolna zdumienie, owszem pewne uczucie przykrości. Nie zawierają one bowiem ani jednego objawu entuzjazmu, co ważniejsze, wieje z nich pewien chłód i obojętność, będąca jakby wyrazem uczuć, jakie względem osoby Męczennika i jego bolesnej śmierci żywili, pozostali jeszcze przy życiu współbracia zakonni. Dziwić się temu jednak nie można a tembardziej czynić im z tego powodu zarzutów. Stosunki, panujące wszechwładnie w tych czasach „Potopu", wydarzenia bolesne a prawie codzienne nie usposabiały do unoszeń i entuzjazmu lecz przeciwnie, pobudzały do głębokiej, poważnej zadumy. Wiadomości o tragicznych zgonach Jezuitów polskich, czy litewskich

[1]) „Hoc anno Cosaci mixti Valachis et Hungaris vicina loca vastantes binos Patres Societatis, primum Simonem Maffon Horodeci, secundum Andream Bobola Mohilnae, quatuor votorum professos, crudeliter necaverunt". *Annuae Litterae Collegii Pinscensis S. J. 1657*, A. S. I. (Archivum generale S. I.) Lith. 40, f. 44 v.

[2]) Brzozowski Ignatius, Compendium Vitae, Martyrii et Miraculorum V. P. Andreae Bobola S. I. Cz. II, n. 1. Rps Archiwum Postulatoris Gen. S. I. T. VIII, n. 41. Kopja w Archiwum Prowincji Małopolskiej T. J. (A. P. M. S.). T. 750, str. 196—241.

[3]) *Ex Summariolis vitarum Patrum Collegii Pinscensis S. I.* pod r. 1656 (sic!) A. S. I. Lith. 61, f. 201.

zbyt często obijały się o ich uszy, oczy ich oswoiły się niejako z widokiem okrutnie sforturowanych i pohańbionych ciał kapłanów i braci zakonu. Andrzej Bobola był już zrzędu czterdziestą dziewiątą ofiarą, jaką zakon musiał złożyć w pierwszych latach „Potopu". Ten sam los w najbliższych trzech latach miał przypaść w udziale kilkunastu jeszcze Jezuitom.[1])

Tymczasem stosunki polityczne w Polsce, oraz dola i niedola, jakiej kolegjum pińskie w tym okresie zamieszania, najazdów i walk wewnętrznych ulegało, ustawiczna zmiana składu personalnego kolegjum, wszystko to przyczyniło się do tego, że pamięć o Męczenniku coraz bardziej poczęła słabnąć. W 1660 r. czerń kozacka zdobyła Pińsk, zrabowała kościół i kolegjum jezuickie i zamordowała Ks. Eustachego Pilińskiego.[2]) Gdy burza przycichła powrócili Jezuici w 1662 r. do Pińska i przyprowadzili kolegjum do porządku. Już jednak w połowie następnego 1663 r. jakaś zbrodnicza ręka podpaliła kolegjum w kilku miejscach, tak iż odrazu stanęło ono w płomieniach a mieszkańcy ledwie uszli z życiem.[3]) Ośm lat później, gdy odbudowa gmachu była już na ukończeniu (1671), obsunęła się i rozpadła w gruzy znaczna część kolegjum.[4])

Wobec tych kłopotów natury materjalnej poczęto zapominać o Męczenniku. Z Jezuitów najdłużej przechowywał go w swej pamięci Ks. Jan Łukaszewicz, który jako uczeń ko-

[1]) Żachowicz Joannes S. I., Relatio de caedibus Patrum ac Fratrum Societatis occisorum crudeliter a Cosacis Schismaticis, sive Haereticis Hungaris, vel Suecis ab anno 1648 ad 1665, A. P. M. S. Rps n. 281; Rostowski-Martinov, Lituanicarum Societatis Iesu Historiarum libri decem, Parisiis-Bruxellis 1877, str. 440—442.

[2]) Rostowski, Lituanicarum, str. 389.

[3]) *Historia Collegii Pinscensis S. I. 1663*, Sacra Rituum Congr. 1745, Summarium additionale. n. 1, str. 194—195.

[4]) „dumque coronidem dextera Artificis muro imponere satagit, sinistra sors eam fornicibus, cubiculisque, una cum Refectorio et tertia contignatione, intra muros mediam ad terram prosternit". *Historia Coll. Pinsc. S. I. 1671*, Tamże, u. 2, str. 195—196.

Czermiński Marcin Ks. T. J., Bł. Andrzej Bobola, Kraków 1922, str. 113, a za nim *Rocci* Lorenzo, Vita del B. Andrea Bobola, Roma 1924, str. 110, błędnie tłumaczą tę notatkę historyka kolegjum, pisząc: „spalił się od gromu dom miejski (!), gdzie przechowywano wszystkie papiery i dowody tyczące się sprawy Bł. Boboli".

legjum pińskiego znał dobrze Bobolę i był jedynym z pośród młodzieży świadkiem jego pogrzebu.[1]) Znani są również dwaj przedstawiciele szlachty powiatu pińskiego, którzy ustawicznie i otwarcie wyrażali uczucia głębokiej czci, jaką dla osoby Męczennika żywili. Sędziwy podczaszy piński Arnulf Giedroyć, który w 1644 r. był prefektem Sodalicji Marjańskiej Ziemian, pozostającej w latach 1643—1646 pod kierunkiem Boboli, często go wspominał i głosił publicznie, że niezadługo Litwa oglądać go będzie w aureoli Świętych.[2]) Kasztelan trocki Jan Karol Kopeć utrzymywał bliskie stosunki z Andrzejem; był w 1646 r. prefektem Sodalicji pińskiej[3]) i często gościł męczennika w swym dworze, w czasie jego wędrówek misyjnych. Po jego zgonie Kopeć zbierał skrzętnie bliższe szczegóły męczeństwa,[4]) a chcąc uwiecznić jego pamięć, zapisał w 1678 r. kolegjum pińskiemu sumę 20.000 złp. z obowiązkiem utrzymywania stałej stacji misyjnej w Janowie. Generał zakonu Jan Paweł Oliva przyjął tę fundację, o czem zawiadomił prowincjała Jana Błaszkowskiego listem z 27 sierpnia 1678 r.[5]) Giedroyć wnet zakończył swą pielgrzymkę ziemską, w ślady jego poszedł w 1680 r. Kopeć.[6]) Żywą była przez jakiś czas pamięć „duszochwata" u ludu Pińszczyzny ale i ta zwolna znikała, w miarę jak wymierali bezpośredni, naoczni świadkowie jego prac apostolskich i bohaterskiego zgonu. Zdawało się, że imię męczennika skazane już było na kompletną niepamięć, świetlaną jego postać coraz bardziej przesłaniały mroki tak niedalekiej przeszłości, mroki, w których zatonęły, może bezpowrotnie, nazwiska tylu współczesnych mu bohaterów Kościoła, Zakonu i Ojczyzny.

Lecz Bóg w wyrokach Swej Opatrzności niezbadany, przypomniał światu swego wiernego Sługę i to w okoli-

[1]) *Sacra Rituum Congr. 1739*, Summarium, n. 4, str. 36—40, § 20—44.

[2]) Tamże, n. 3, str. 25, § 36.

[3]) *Monita officialium congregationis Pinscensis B. V. Mariae*, (Instrumentum Vincentii Suchocki anni 1738), Rps w Arch. Post. S. I.

[4]) *Sacra Rituum Congr. 1739*, Summarium, n. 4, str. 36, § 25—29.

[5]) Brzozowski, Compendium Vitae, Cz. II, n. 13; Załęski Stanisław Ks. T. J., Jezuici w Polsce, T. IV, cz. III, str. 1371, Kraków 1905.

[6]) Wolff Józef, Senatorowie i dygnitarze Wielkiego Księstwa Litewskiego 1386—1795, Kraków 1885, str. 47, 67, 210, 303.

cznościach, w jakich się tego najmniej można było spodziewać!

Z końcem XVII i w pierwszych dwu dziesiątkach XVIII wieku wstrząsnęły całą Koroną i Litwą wypadki, zwane okresem Wielkiej Wojny Północnej. Zatargi domowe głównych rodów magnackich na Litwie Sapiehów i Wiśniowieckich rozbiły szlachtę litewską na dwa wrogie, zawzięcie zwalczające się obozy. Wrogie te stosunki, zaognione podczas bezkrólewia w 1696—7 r., po dokonaniu obioru Augusta II, przemieniły się w formalną wojnę domową, w której doszły do głosu najbardziej dzikie instynkty ludzkie a zbrodnia święciła triumfy. Miary zamętu i nieszczęść dopełniło wmieszanie się w sprawy polskie państw obcych: zwalczającej Augusta II, popierającej Sapiehów i ich kandydata do tronu Stanisława Leszczyńskiego, Szwecji; oraz Moskwy, stojącej pozornie w obronie Augusta i obozu wrogiego Sapiehom. Przemarsze, postoje, rekwizycje wojsk saskich, szwedzkich, moskiewskich i konfederackich pustoszyły kraj i wszystkim dawały się we znaki!

Terenem, na którym działania wojenne doszły do wysokiego napięcia, były okolice Wilna i Pińska. Losy obywateli tych ziem dzielili również Jezuici. Rządy kolegjum pińskiego spoczywały podówczas w rękach Marcina Godebskiego,[1]) energicznego administratora i męża głębokiej nauki. Gdy w 1702 r. niebezpieczeństwa zagrażające kolegjum z dniem każdym wzrastały i stawały się bliższe, Godebski popadł w pewnego rodzaju rozterkę duchową i przemyśliwał nad sposobami, jak uchronić kolegjum od zguby a przynajmniej zmniejszyć rozmiary nieszczęść, kogo uprosić na protektora, któryby swem potężnem ramieniem osłonił kolegjum, lub przynajmniej wpływem swym osłabił nadciągającą burzę. Decyzja nie była łatwa wobec dezorjentacji, panującej w narodzie, rozbitym na obozy i stronnictwa. Wobec tego stroskany Godebski, nie widząc wyjścia z groźnej sytuacji, często szukał natchnienia w modlitwie.

Dnia 16 kwietnia 1702 r. nastąpił znany powszechnie fakt, ukazania się Męczennika Godebskiemu.[2]) Uczynił On

[1]) *Catalogus brevis Provinciae Lithuanie S. I. 1702*, A. S. I. Lith, 57, f. 109 v.

[2]) *Sacra Rituum Congr. 1739*, Summarium, n. 5, str. 70—84.

rektorowi wyrzut, że szuka protektorów tam, gdzie ich znaleźć niepodobna, zapowiedział, iż sam otoczy opieką kolegjum, pod warunkiem, że Godebski poleci odszukać jego ciało, pochowane we wspólnej krypcie pod kościołem i umieści je oddzielnie od innych. Wieść o objawieniu lotem błyskawicy obiegła kolegjum, owszem przedarła się poza jego mury, gdyż nauczyciele zachęcili młodzież, kształcącą się w kolegjum, do modlitw w celu odnalezienia ciała Boboli. W poszukiwaniach jednak za ciałem natknięto się na ogromne trudności, które znowu walnie przyczyniły się do obudzenia pamięci o Męczenniku i rozsławienia jego imienia. Okazało się bowiem, że wskutek burzliwych dziejów kolegjum i ustawicznych przesunięć personalnych, nie było na miejscu nikogo z uczestników pogrzebu Boboli z 1657 r., nikt nie pamiętał daty jego śmierci, miejsca, na którem złożono jego trumnę, nikt nie mógł służyć najmniejszą choćby o nim wiadomością. Poszukiwania w archiwum rektora nie dały żadnego pozytywnego rezultatu, gdyż stara księga urzędowa, gdzie wpisano jego nekrolog, katalog osób, oraz historja kolegjum z tych czasów znajdowały się już w archiwum prowincji w domu profesów przy kościele św. Kazimierza w Wilnie. Nawet wspomniany wyżej spis zmarłych pogrzebanych pod kościołem, wyrzucony prawdopodobnie ze śmieciami gdzieś około 1690 r., znaleziony obok zakrystji i szczęśliwie zachowany przez mieszczanina pińskiego Józefa Antoniego Szczerbickiego nie istniał w kolegjum. Krypta pod kościołem była zawalona stosami trumien. Wskutek tego poszukiwania, robione bez żadnego planu trwały całe trzy dni. Akcja została uwieńczona pomyślnym skutkiem dopiero w trzecim dniu, gdy Szczerbicki dowiedziawszy się o ukazaniu Męczennika i o bezowocnych pracach nad odnalezieniem jego ciała, stawił się u rektora i oddał mu spis zmarłych, który dotąd u siebie przechowywał.[1]) W spisie tym widniało nazwisko Boboli, oraz było wskazane miejsce, na którem złożono jego trumnę: *Positus ante Altare Maius.* Dzięki temu znaleziono trumnę Męczennika. Po zdjęciu wieka ukazało się oczom obecnych ciało Andrzeja całkowi-

[1]) *Sepultura Nostrorum in Collegio Pinscensi Societatis Iesu defunctorum 1634—1666,* Sacra Rituum Congr. 1739, Summ. n. 5, str. 83, § 82—83.

cie zachowane od zepsucia, okaleczone i pokryte ranami, na których widniała skrzepła krew. Wszystkich opanowało nieopisane zdumienie. Doskonałe zachowanie ciała od rozkładu do tego stopnia, że mięśnie i wszystkie członki zachowały swą elastyczność, i że żadnej woni właściwej trupom nie odczuwano, pomimo, iż przez 45 lat spoczywało ono wśród ciał gnijących, w wilgotnej, wskutek bliskości rzeki Piny, piwnicy, pomimo głębokich i otwartych ran — wszystko to nakazywało uznać w tem zjawisku dowód interwencji Boga.

Z tą chwilą rozpoczął się kult Męczennika, który zataczając coraz szersze kręgi, trwa nieprzerwanie aż do dni naszych. Mieszczanie Pińska i Janowa oraz okoliczna ludność wiejska przypomniała sobie szybko swego uwielbianego Apostoła, o którym tak wiele opowieści przechowywali starsi wiekiem i poczęła tłumnie gromadzić się przy okienku krypty, gdzie ciało w nowej trumnie spoczywało na podwyższeniu. Oddając hołd Męczennikowi w kornej a gorącej modlitwie, przedstawiała mu swą niedolę i błagała o wstawiennictwo u Tronu Najwyższego.

Nie pozostał On głuchym na wołania swych czcicieli ale wiernie począł wypełniać obietnicę daną rektorowi Godebskiemu. Armje nieprzyjacielskie, grabiące województwa litewskie, srogo uciskając obywateli, oraz Jezuitów w innych kolegjach, Jezuitom pińskim nie wyrządziły żadnej krzywdy.[1]) Podobnej opieki materjalnej doznawali ludzie w całej Pińszczyźnie, jak o tem donosili listownie, albo nawiedzając grób Boboli, opowiadali ustnie, albo wreszcie później w czasie procesów apostolskich świadczyli pod przysięgą. Kiedy w 1709 i 1710 r. straszna zaraza pochłaniała na Litwie liczne ofiary, (samych Jezuitów zmarło wówczas 118,[2]) w czem 94 zaraziwszy się w posłudze chorym i umierającym), śmiercionośne jej tchnienie ominęło całkowicie Pińszczyznę, tak że

[1]) *Informatio ratione inventi Corporis V. P. Andreae Bobolae S. I. et gratiarum ope eius receptarum.* Rps z 1711 r. Arch. Post. Gen. S. I. T. VIII, n. 33. Kopja w A. P. M. S. T. 750, str. 172—181.

[2]) *Catalogus Prov. Lit. S. I. 1664—1720*, pod 1713 r. Rps n. 100 w Zbiorach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie.

widniała ona jak wysepka życia wśród powszechnego cmentarzyska. [1])

Dzięki licznym łaskom, kult Męczennika zapanował w masach prostego ludu. Wnet rozpowszechnił się on i wśród stanu szlacheckiego a zwłaszcza wśród magnatów. Przyczynił się do tego znowu niewiele napozór znaczący wypadek.

W toczącej się na ziemiach Polski wojnie północnej wybitną rolę grał hetman Michał Serwacy ks. Wiśniowiecki, który jako obrońca praw Augusta II, wspólnie z Rosjanami zwalczał Szwedów i wspierających ich Sapiehów. Kiedy jednak August II w pokoju zawartym w 1706 r. w Alt-Ranstadt, zrzekł się korony na rzecz Stanisława Leszczyńskiego, wtedy książę Wiśniowiecki poddał się pod rozkazy zwalczanego dotąd przez siebie Leszczyńskiego i siłą rzeczy musiał zwrócić swój oręż przeciw swym dawnym towarzyszom broni, Rosjanom. Wyszło to jednak na jego niekorzyć, gdy car Piotr W. zadawszy w 1709 r. pod Połtawą decydującą klęskę Szwedom, siły swe przerzucił do Polski przeciw Leszczyńskiemu. Dnia 8 września 1709 r. dostał się książę w Skoromochach pod Sokalem do niewoli rosyjskiej i został wywieziony do Głuchowa nad Dnieprem i osadzony w doskonale obwarowanej i pilnie strzeżonej twierdzy. [2]) Małżonka jego Katarzyna z Dolskich, zatrwożona o życie swego męża, postanowiła dołożyć wszelkich możliwych starań, by go wyswobodzić z niewoli. Wszelkie jednak dyplomatyczne zabiegi, popierane usilnie nawet przez samego króla Augusta, (który zdążył już powrócić na tron polski), okazały się bezskuteczne. Piotr W. godził się w zasadzie na uwolnienie księcia, ale dopiero po zawarciu pokoju powszechnego. Wtedy zrozpaczona księżna postanowiła uciec się do pośrednictwa Boboli, o którym już wiele słyszała. Przez wiele dni spędzała całe godziny u trumny Męczennika, zatopiona w gorącej modlitwie, pozatem własną ręką szyła i haftowała przeznaczony dla jego grobu ornat i biret zdobny gęsto osadzonemi perłami. Dnia 13 grudnia ukończyła pracę nad ornatem i na-

[1]) *Sacra Rituum Congr. 1739*, Summ. n. 6, str. 94, § 71.

[2]) *Dla pamięci, co się którego roku działo*, Dziennik Ks. Michała Wiśniowieckiego, wydał Przeździecki, Podole, Wołyń, Ukraina, T. I, str. 96—112.

tychmiast około godziny ósmej wieczorem złożyła go jako wotum na trumnie. W dziesięć dni później przybył do księżnej, jako poseł Wiśniowieckiego, szlachcic Kulczycki i uwiadomił ją, że tegoż samego dnia 13 grudnia około godziny ósmej wieczorem, książę, mimo czujności straży, zbiegł z twierdzy głuchowskiej, szczęśliwie po krach przebył Dniepr, uniknął pogoni, wyminął oddziały wojsk rosyjskich, a nie czując się jeszcze dość bezpiecznym w kraju, zdąża obecnie do Wrocławia.[1]) Zbieżność chronologiczna złożenia wotum i ucieczki księcia wykazywała dowodnie interwencję Męczennika.

W tym czasie odbywał w Pińsku swą sesję trybunał skarbowy, na który zjechało się mnóstwo szlachty i magnatów litewskich. Księżna przepełniona radością i wdzięcznością dla Sługi Bożego opowiedziała znajomym o doznanej łasce, ci rozgłosili ją szerzej, tak że wieść o tem doszła do wiadomości wszystkich obecnych w Pińsku. Deputaci trybunalscy poczęli na wyścigi zabiegać o potężną protekcję Męczennika i u stóp jego trumny przedstawiać mu swe pragnienia i troski. Bóg, by uwielbić swego wiernego Sługę, nie szczędził łask jego czcicielom. Podczas tej samej kadencji trybunału pisarz grodzki z Nowogródka, Kazimierz Kondratowicz został momentalnie uwolniony od bolesnego kamienia w pęcherzu; Kanonik Pancerzyński nadspodziewanie szybko wyszedł z śmiertelnej choroby; starościna żmudzka ks. Ogińska wygrała w trybunale sprawę, powszechnie uważaną za straconą. Rosnąca wskutek tego sława Męczennika ściągała do jego trumny kwiat magnatów i szlachty. Wśród jego czcicieli wyróżniali się kanclerz Karol Stanisław ks. Radziwiłł, hetman wielki Ludwik Pociej, biskup żmudzki Ancuta, kasztelan brzeski Sadowski, starosta miński Zawisza i wielu innych.[2])

W ten sposób uwolnienie Wiśniowieckiego z niewoli przeniosło kult Męczennika do szerokich mas szlacheckich i domów magnackich, a tem samem rozszerzyło go na całą Polskę. Deputaci, wracający po skończonej kadencji trybu-

[1]) *Informatio ratione inventi Corporis*; *Sacra Rituum Congr. 1739*, Sum, n. 7, str. 145—157.

[2]) *Informatio ratione inventi corporis.*

nału do swych siedzib, rozsławiali jego imię, opowiadając o nadzwyczajnych zdarzeniach i łaskach, dziejących się w Pińsku. Liczne są na to dowody. Z końcem 1710 r. śmiertelna choroba powaliła na łoże starostę wołkowyskiego Piotra Dunin - Głuszyńskiego. Wracający z trybunału z początkiem 1711 r. rotmistrz Kulesza odwiedził go i gorąco zachęcał do oddania się w opiekę Męczennikowi. Głuszyński, zastosowawszy się chętnie do rady życzliwego sąsiada, odzyskał szybko zdrowie, a niedługo potem za sprawą Sługi Bożego uprosił powrót do życia swej dziewięcioletniej córeczki Anny, nad którą, uważaną za zmarłą i umieszczoną na katafalku, odprawiano już modły żałobne.[1]) Dnia 8 kwietnia 1713 r. pisał z Wilna do rektora pińskiego ks. Jan Łukaszewicz T. J.: „Wielu w Wilnie doprasza się o obrazki Wielebnego Księdza Boboli; niech Wasza Wielebność zechce mi ich dostarczyć, przyłożywszy je wprzód do ciała Męczennika".[2]) Ks. Sebastjan Rybałtowski T. J., który po 1720 r. pracował na Wołyniu jako misjonarz i przebywał w Ostrogu, Zasławiu, Cudnowie, Korcu, Ołyce, Klewaniu, Czartorysku i t. d. oświadczył, iż niemile jest tam widziany Jezuita piński, któryby nie posiadał obrazków Sługi Bożego, albo jego relikwij do rozdawania ich ludowi, natarczywie o nie proszącemu".[3]) O relikwje i obrazki Męczennika proszono z Łomży, Krakowa, Jarosławia, Orszy, Połocka, Wilna, Nieświeża i Nowogródka.[4]) Rozgłośna sława Imienia Męczennika przekroczyła granice Rzeczpospolitej. Dnia 26 lipca 1732 r. rektor kolegjum jezuickiego w Wiedniu, Józef Haider w liście swym do rektora pińskiego powołując się na to, że „chwalebne zasługi i sława cudów Wiel. Sługi Bożego Andrzeja Boboli także w naszej Austrji rozbrzmiewa", prosił o obrazki Męczennika.[5]) Zna-

[1]) *Sacra Rituum Congr. 1739*, Sum. n. 7, str. 166—172; *Informatio ratione inventi Corp.*

[2]) Joannes Łukaszewicz S. I. rectori Pinscensi, Vilnae 8 aprilis 1713. Autograf w Arch. Post. Gen. S. I., T. VIII, n. 32 b. Kopja w A. S. M. S. T. 750, str. 170—172.

[3]) *Sacra Rit. Congr. 1739*, Sum. n. 7, str. 138 § 33; n. 6, str. 98 § 94.

[4]) *Diarium concernentium Ven. P. Andream Bobola S. I.* comparatum anno 1731, k. 10. Rps w A. S. I.

[5]) List wciągnięty w całości w *Diarium concernentium V. P. Andream Bobola*, k. 9.

miennem jest również, że pierwszy, niewielki zresztą, ale samodzielny życiorys Boboli ogłoszono drukiem nie w Polsce ale w Würzburgu. [1]) Cieszył się on takiem powodzeniem, że w dziesięć lat później wydano go ponownie ale w przekładzie z łacińskiego na język niemiecki!

W ten sposób około 1730 r. grób Męczennika stał się celem pielgrzymek, podejmowanych z odległych nawet okolic. W zimie zwłaszcza, gdy zamarznięte bagna ułatwiały dostęp, natłok ludzi bywał tak ogromny, że krypta nie mogła ich pomieścić. Jedni stawiali się w Pińsku, by dziękować za otrzymane łaski i składać wota, inni, by uprosić pomoc i opiekę. Wśród pielgrzymów przeważali przedstawiciele szlachty W. Ks. Litewskiego. Obrazem frekwencji u grobu Sługi Bożego jest zachowana w archiwum zakonu księga *Diarium concernentium Venerabilem P. Andream Bobola S. I. comparatum anno 1731.* Lista odwiedzających grób i łask za jego wstawiennictwem doznanych wypełnia 202 strony in 4^0 drobnego pisma i to za przeciąg lat dziewięciu (do 1741 r.) [2]) Szczupłe ramy artykułu nie pozwalają wchodzić w szczegóły i opisywać poszczególnych odwiedzin, łask i i cudów, warto jednak zapoznać się przynajmniej z pierwszą stroną wspomnianego dziennika, by w ten sposób wyrobić sobie pojęcie o całości. [3])

1731.

Augustus	Sierpień
4 die — Celsissima Princeps de Radiviles Wiśniowiecka invisit Sepulchrum Ven. Martyris, eiusque Patricinio dedidit suum infantem, oblato aureo annulo.	4 dnia — Najdostojniejsza Księżna z Radziwiłłów Wiśniowiecka nawiedziła grób Wiel. Męczennika i oddawszy mu w opiekę swe dziecko, ofiarowała złoty pierścień.
20 — Perillustris M. D. Żaba Capitaneus Staroduboviensis non	20 — J. W. P. Żaba starosta Staroduba z niemałym orszakiem;

[1]) Vita et mors V. Andreae Bobola Poloni S. J. Martyris Apostoli Pinscensis, Herbipoli 1725.

[2]) Nie jest to cały dziennik, dotyczący sprawy Męczennika. Część stara z przed 1731 r. zaginęła, a łaski i pielgrzymki po 1741 r. aż do 1773 są wpisane do księgi *Diarium Sepulchri V. P. Andreae Bobola*, Rps w archiwum zakonu w Rzymie.

[3]) Przytaczamy w tekście oryginalnym łacińskim i w przekładzie polskim.

paucis comitatus; visitato Ven. Martyris Sepulchro obtulit una cum sua consorte aureos 5, florenos 5.

30 — Illustrissimus Zamoyscius successor ordinationis visitavit sepulchrum V. Mart.

September

6 — Perill. M. D. Tyszkievicia Capitanea Strzałkowiensis cum sua sorore M. D. Galińska Thesauraria Orsensi, studio venit ad sepulchrum V. M. ex districtu orsensi, quod tribus diebus continuis invisit, octava demum die Sept. votivas tabellas obtulit.

7 — IM-ma Palatina Vilnensis misit tres aureos ad Sep. V. Patris Bobola.

12 — IM-mus Załuski archimagister M. D. L. cum sua consorte invisit Corpus V. Mart.

14 — IM-mus M. D. Kuczewski Venator terrae Bielscensis obtulit tabellam argenteam in 4^0 seque aegerrime valentem commendavit V. M.

16 — Perill. M. D. Chłusowicz Vexillifer Wołkowiscensis ope V. M. pedibus sanus cum sua consorte caeteraque familia ad sepulchrum eiusdem V. M. actis gratiis obtulit tres aureos.

17 — Perill. M. D. Ślizień obtulit unum aureum, eiusque consors albam solemnem cum aureis circumferentiis, floribus acu pictis, quae hodie imponebatur Corpori V. M.

19 — Ex Palatinatu Vitebscensi M. D. Drozdowski cum sua consorte et M. D. Francisco Biruta obtulerunt votivas tabellas in gratiarum actionem pro sanitate ope V. M. recuperata. Prior enim in Quadragesima in extremis iam positus, odwiedziwszy grób Wiel. Męczennika, ofiarował wraz ze swą małżonką 5 Złp i 5 florenów.

30 — Jaśnie Wielmożny Zamoyski, dziedzic ordynacji odwiedził grób W. Męcz.

Wrzesień

6 — J. W. P. Tyszkiewiczowa, starościna Strzałkowska ze swą siostrą W. S. Galińską skarbnikową Orszańską umyślnie przybyła do grobu W. M. z powiatu orszańskiego, i nawiedziwszy go przez trzy dni zrzędu, wkońcu ósmego września ofiarowała tabliczkę wotywną.

7 — JWP Wojewodzina wileńska nadesłała trzy złote do grobu W. Księdza Boboli.

12 — J. Wielmożny Załuski kuchmistrz W. Ks. Lit. Ze swą żoną nawiedził Ciało W. Męcz.

14 — J. Wielmożny W. S. Kuczewski Łowczy ziemi bielskiej ofiarował tabliczkę srebrną in 4^0 i swoje podupadłe zdrowie polecił W. M.

16 — J. W. P. Chłusowicz Chorąży Wołkowyski za sprawą W. M. uzdrowiony z choroby nóg wraz ze swą małżonką i resztą rodziny podziękowawszy u grobu W. M. złożył w ofierze trzy złote.

17 — J. W. P. Ślizień ofiarował jednego złotego a jego żona odświętną albę ze złotemi ozdobami i kwiatami wyszywanemi igłą, którą dzisiaj włożono na ciało W. M.

19 — Z województwa witebskiego W. P. Drozdowski ze swą małżonką i W. P. Franciszkiem Birutą ofiarowali wotywne tabliczki na podziękowanie za zdrowie odzyskane za sprawą W. M. Pierwszy bowiem w poście już dogorywał,

ut se sua consors obtulit invocato V. M. convaluit, idque iuramento confirmaturum quando id exigeretur promisit. Alter enim singularem opem Servi Dei se expertum gloriatus. Idem D. Drozdowski obtulit duos argenteos pedes, quos in gratiarum actionem pro sanitate pedum misit Szyszkowska ex eodem Palatinatu. Et M. D. Łozicki tres imperiales, M. D. Bituńska unum imperialem eadem occasione miserunt ad sepulchrum V. Martyris M. D. Tomaszewicz misit tabellam argenteam in 16⁰ ad eumdem.

20 — Hesterni hospites sumpta SS. Eucharistia in honorem Divi Martyris inviserunt sepulchrum, idem praestiterunt vespere vias in vias suas abituri mane.

26 — Joseph filius Jeremiae subditus Perill. M. D. Protasewicz Vexilliferi Pinscensis ex pago Zapłocie hinc decem miliaribus distante, quindecim circiter septimanas lecto affixus et de vita desperatus, facto recursu ad V. M. ante tres septimanas convaluit hodieque cum summa gratiarum actione sisti se ad corpus Ven. Martyris.

kiedy jednak żona wezwała pomocy W. M. i obiecała pielgrzymkę, wyzdrowiał, co obiecał stwierdzić przysięgą, gdy to będzie wymaganem. Drugi też chlubił się, iż doświadczył na sobie szczególniejszej pomocy Sługi B. Tenże P. Drozdowski ofiarował dwie srebrne nogi, które z wdzięczności za uzdrowienie nóg nadesłała Szyszkowska z tego samego województwa. Przy tej sposobności do grobu W. M. przysłali W. P. Łozicki trzy imperjały, W. P. Bituńska jednego imperjała, a W. P. Tomaszewicz tabliczkę wotywną srebrną formatu in 16⁰.

20 — Wczorajsi goście, przyjąwszy Komunję św. na cześć Męczennika, odwiedzili grób, to samo uczynili wieczorem, gdyż jutro rano udadzą się zpowrotem w swoje strony

26 — Józef syn Jeremjasza poddany J. W. P. Protasewicza chorążego pińskiego ze wsi Zapłocie, odległej stąd o dziesięć kilometrów, przez około piętnaście tygodni przykuty do łoża boleści, zwątpiwszy już o życiu, wskutek odwołania się do W. M. przed trzema tygodniami wyzdrowiał i dzisiaj z najwyższą wdzięcznością przybył do Ciała Wielebnego Męczennika.

Wdzięczni czciciele Męczennika pragnęli jaknajprędzej doczekać się wyniesienia go na ołtarze, gdyż jak donosili do Rzymu biskupi Wyhowski (1712), Przebendowski (1719), Brzostowski (1710), Rupniewski (1729), „w opinji wszystkich, tak dygnitarzy i szlachty, jak ludności Korony i Litwy uchodzi on za świętego, tembardziej, że Bóg nie przestaje przez swego Sługę dokonywać dzieł nadzwyczajnych". O beatyfikację prosili ustawicznie, rzecz jasna, Jezuici, tę samą prośbę do Stolicy św. przesłało w 1720 r. czterdziestu najwyższych dostojników duchownych i świeckich z królem Augustem

na czele, a później w 1726 r. zanieśli ją powtórnie.[1]) Gorące życzenia narodu krótko ale treściwie wyraził podskarbi koronny Franciszek Ossoliński w słowach: „Kiedyż wreszcie Rzym z tej podziemnej krypty wyniesie na ołtarze jego ciało chwalebne"![2])

Supliki o beatyfikację Boboli nie pozostały bez owocu. Naskutek rozporządzeń Św. Kongregacji Obrzędów przeprowadzili biskupi: łucki i wileński procesy apostolskie w Janowie, Pińsku i Wilnie. Do komisarzy apostolskich zgłaszały się setki ludzi, by złożyć swe zeznania o męczeństwie Boboli, oraz o cudach i łaskach jego wstawiennictwu przypisywanych. Świadectwa ich zaprzysiężone wypełniły 1070 stron in folio. Cały ten stos aktów przesłano w 1731 r. do Rzymu.[3]) Na pokrycie kosztów procesu rzymskiego wysłano dość znaczne sumy, zebrane z ofiar składanych u grobu Męczennika.

Ale cierpliwość czcicieli Boboli wystawiona została na długą próbę. Badanie sprawy męczeństwa i cudów, prowadzone w Rzymie na podstawie starych zasad Kościoła, świeżo opracowanych i obostrzonych przez kardynała Prospera de Lambertinis,[4]) późniejszego papieża Benedykta XIV, trwało przeszło dwadzieścia lat. Dopiero dnia 9 lutego 1755 r. ukazało się brewe,[5]) w którem Benedykt XIV stwierdził, że „męczeństwo materjalne i formalne Wielebnego Sługi Bożego Andrzeja Boboli nie ulega żadnej wątpliwości, a zatem bezpiecznie można przystąpić do badania cudów". Tymczasem śmierć papieża (1758), kasata Towarzystwa Jezusowego, rozbiory Polski i przewroty polityczne, jakie z końcem XVIII i początkiem XIX wieku wstrząsnęły Europą, spowodowały,

---

[1]) *Sacra Rit. Congr. 1728*, Sum. n. 8, str. 35—64; ks. Święcicki Ambroży ks. (Kajsiewicz), Dzieje Bł. Ojca Andrzeja Boboli, Paryż 1854, dodatek str. 1—72.

[2]) *Sacra Rit. Congr. 1739*, Sum. n. 6, str. 89, § 36.

[3]) *Historia Collegii Pinscenses S. I. 1731*, A. S. I. Lith. 49, f. 75—76.

[4]) *Benedicti XIV* Pont. Opt. Max. olim Prosperis Card. de Lambertinis, De Servorum Dei Beatificatione et Beatorum Canonizatione, L. 7, wyd. III w Opera omnia, T. I—VII, Romae 1747—1751.

[5]) Azevedo Emmanuel S. I., Sanctissimi Domini Nostri Benedicti Papae XIV doctrina de Servorum Dei Beatificatione etc. in synopsim radacta, Venetiis 1792, str. 276—277.

że uroczysta beatyfikacja Męczennika nastąpiła dopiero w sto lat później, dnia 5 lipca 1853 r.

Bóg, naprawdę „dziwny w świętych swoich", dziwnych i nadzwyczajnych używał środków, by uwielbić sługę swego Bł. Andrzeja. Dlatego, wobec wysokiego stopnia kultu, jakim się obecnie cieszy Męczennik, należy z ufnością oczekiwać chwili, w której stawi go Bóg w aureoli Świętych — kanonizowanych ku chwale swojej, radości i pożytkowi jego wiernych czcicieli.

Ks. Jan Poplatek T. J.

O potrzebie ducha miłości w świecie dzisiejszym.[1])

I.

Gdy w pierwszym roku wojny światowej z dalekiej Moskwy korespondowałem okrężną drogą z londyńskim historykiem Alisonem Phillipsem, autorem świeżo wtedy wydanej angielskiej książki o sprawie polskiej, szlachetnemu naszemu przyjacielowi wymknęły się raz mimochodem z pod pióra żałosne słowa: „Niestety! wojna ta pozostawi straszliwe dziedzictwo nienawiści po sobie".

Przewidywanie to nie zgadzało się z nadziejami wielu ludzi, przynajmniej w krajach aljanckich. Przeciwnie, spodziewano się ogólnie, że wojna ta, jak wyraził się nawet w tytule jednego ze swych utworów powieściopisarz Wells, „położy koniec wszelkiej wojnie" *(The War to End War)*; że mianowicie usunie przyczyny nowych wojen, wyzwalając wszystkie uciśnione narody i naprawiając wszelakie stare krzywdy historyczne; i że zjednoczona na nowo ludzkość cywilizowana będzie mogła bez przeszkody poświęcić najlepsze swe energje zgodnej pracy nad wspólnemi, wielkiemi zadaniami.

Niestety dziś, gdy od pamiętnej chwili wybuchu wojny upłynęły dwa długie i ciężkie dziesięciolecia, stoimy wobec bardzo ułamkowego zaledwie i niedoskonałego spełnienia owych nadziei. Nietylko bowiem okazało się zupełnie niemożliwem zaspokoić wszystkie rozbudzone aspiracje narodowościowe w ramach nowego systemu europejskiego; ale, co ważniejsze, istniejące twory państwowe objawiają coraz groźniej tendencje do zamykania się w swych

[1]) Przemówienie, wygłoszone na Akademji Marjańskiej Sodalicyj Akademickich w Krakowie, 6 maja r. 1934.

granicach i chcą leczyć biedę powojenną przez niszczenie tych materjalnych podstaw dawnej wspólnoty, jakie tworzył handel międzynarodowy. Jest dziś w świecie więcej niż kiedykolwiek zjazdów i zrzeszeń międzynarodowych, i głośniej niż kiedykolwiek na różne tony rozlegają się hasła międzynarodowego zbratania; a jednak zarazem głębsza niż kiedykolwiek panuje wzajemna nieufność między narodami, jaskrawiej niż kiedykolwiek przejawia się zawiść plemienna, przyobleczona w uroczyste szaty doktryn rasowych, — zachłanniej niż kiedykolwiek snują swe dyplomatyczne nici pajęcze różne imperjalizmy państwowe i gospodarcze.

Gdy zaś zajrzymy nawewnątrz zamkniętych i odgrodzonych od siebie jednostek państwowych, trafiamy na widok zgoła nie bardziej pocieszający: przeciwieństwa partyjne rozgorzały do niebywałego dawniej roznamiętnienia, przeciwieństwa klasowe również wybuchają płomieniem, rozdmuchiwanym przez agitację, — morderstwa polityczne, rozruchy rewolucyjne, wojny domowe targają społeczeństwami mniej dojrzałemi i ustalonemi; a nawet w społeczeństwach o starej i określonej tradycji cywilizacyjnej, wśród upadku wszystkich dawnych pewników ustrojowych i niesłychanego rozpętania wszelkich antagonizmów, panuje atmosfera zamętu i trwogi o jutro.

Stałość, jedność i współpraca zarówno w stosunkach wewnętrzno-państwowych jak na szerszej arenie międzynarodowej raz w raz okazują się ideałami utraconemi i trudnemi do odzyskania; zaś aparat organizacyjny, który nową stałość, nową jedność i nową współpracę w świecie miał wytworzyć, — aparat Ligi Narodów — raz wraz okazuje się szczególnie bezsilnym właśnie wobec największych zagadnień i najgroźniejszych sporów.

Zdawaćby się mogło, że nie może być silniejszego argumentu za porozumieniem i pojednaniem niż względy gospodarcze: oczywistą przecież przy dzisiejszym stanie świata jest zależność dobrobytu każdego zosobna narodu od dobrobytu innych narodów, oczywistą także taka sama zależność klasy od klasy w obrębie jednego społeczeństwa. A jednak właśnie ta solidarność ekonomiczna, zarówno międzynarodowa jak społeczna, przez wybujały egoizm narodowy i klasowy na każdym kroku dziś jest negowaną i rwaną; węzły czy to handlu światowego, czy organizacji produkcyjnej społeczeństw okazują się za słabe, ulegają rozluźnieniu a nawet zanikowi.

II.

Na jakąż więźbę między ludźmi w takiej chwili liczyć można, skoro nie stanowi jej nawet wspólny interes materjalny?

Tym, co poważnie się zastanawiają nad tem położeniem pozornie beznadziejnem, z koniecznością nakazu nasuwa się wniosek, że właśnie gdy węzły materjalne zawodzą i okazują się bezsilnemi, nadzieja poprawy może leżeć tylko w wysiłku nad stworzeniem nowych a mocniejszych, aczkolwiek nieuchwytnych wiązań duchowych.

Nowych wiązań tego rodzaju, wystarczająco silnych dla pokonania tak wybujałych dziś niechęci wzajemnych, nie może niestety wytworzyć w chwili obecnej ta potęga, w której wiek XIX tak nieograniczoną pokładał ufność — potęga nauki i oświaty. Nauka w nieodległej jeszcze przeszłości dyskredytowała się niejednokrotnie, oddając się na usługi ambicyj partykularnych, nienawiści i niszczycielstwa; a ponadto praca badaczy jest dziś targana głębokim fermentem krytycznego rewizjonizmu w samych swoich podstawach i we wszystkich dziedzinach; owych upragnionych stałych punktów oparcia zatem skłóconemu światu w tej chwili dać nie może. Zaś oświata szerokich mas ludowych — to drugie obok pracy badaczy naukowych bożyszcze intelektualne wieku XIX — tak ściśle się dziś wszędzie kojarzy z propagandą ściśle określonych celów państwowych, że nie pozostaje jej sił ani czasu na objęcie widnokręgów szerszych i ogólniejszych.

Jeżeli mimo rzetelnych usiłowań w tym kierunku, niema w dobie obecnej widoków na rychłe nowe zjednoczenie świata pod znakiem nauki i oświaty, to tem mniej jeszcze cel ten osiągnąć może s z t u k a. Od czasów starożytnej Grecji nigdy miłość piękna sama dla siebie spójnią całej cywilizacji nie była, i ze słuszną melancholją w nowoczesnym okresie wielkiego i powszechnego entuzjazmu dla piękna — w dobie Odrodzenia — powiedział o pięknie Shakespeare w swoich S o n e t a c h, że „niemasz w niem siły, jak jej niemasz w kwiecie".[1])

Gdy więc dzisiaj ani najpracowitszy kult prawdy naukowej ani najgorętsze ukochanie piękna artystycznego nie mogą nam dać tej zbawczej siły, coby rozdarty świat zjednoczyła na nowo, gdzie indziej siły takiej szukać, jak nie w tej trzeciej dziedzinie

[1]) *Whose action is no stronger than a flower* (Sonet 65, w. 4).

idealizmu ludzkiego, we wspólnej miłości najwyższego dobra, której nas uczy i do której nas organizuje religja?

Gdy zewsząd nam prawią filozofowie i praktycy, że u podstaw dzisiejszego kryzysu światowego leży powszechny kryzys zaufania, gdzie na tę rozpanoszoną nieufność wzajemną znaleźć lekarstwo jak nie w pracy nad odrodzeniem moralnem, która streszcza się w jednem najogólniejszem haśle — w starem haśle świętego Jana: Miłujcie się wzajemnie? Wytężenie dobrej woli wewnątrz nas samych i dobrej wiary w stosunku do drugich cudu tego dokonać może, by w świecie na nowo powstała i szerzyć się zaczęła atmosfera prawdziwej miłości bliźniego. Ale dla dokonania tego cudu przemiany dusz potrzebny jest wysoki autorytet moralny, około którego wysiłki takie skupiaćby się mogły.

III.

Taki autorytet raz w historji cywilizacji europejskiej istniał przez długi szereg stuleci. Długo przed dzisiejszą Ligą Narodów istniała inna, co godziła i jednoczyła państwa europejskie pod egidą jednego najwyższego moralnego arbitra. Ową dawną Ligą była społeczność narodów katolickich wcześniejszego średniowiecza, a owym arbitrem — Stolica Apostolska. Nikt nie będzie dziś idealizował na romantyczny sposób wieków średnich, i nikt nie potrzebuje zaprzeczać tym wybuchom dzikości i okrucieństwa, w jakie obfitują ich dzieje. Ale kto zna historję owych najciemniejszych wieków przejściowych, gdy na widowni europejskiej zaroiło się od nowych, niespokojnych i nieucywilizowanych jeszcze plemion, ten snadnie sobie wyobrazić potrafi, jak stokroć gorsze jatki ludzkie byłaby przez długie jeszcze wieki przedstawiała Europa, gdyby Kościół nie był objął spadku cywilizacyjnego po Imperjum Rzymskiem i nie był pohamował i złagodził dzikich instynktów owych nowych członków społeczności śródziemnomorskiej. Umiał zaś nietylko poskromić to, co było niszczycielskiego, ale miał zespolić potężne nowe energje do takich wielkich poczynań jak wyprawy krzyżowe, jak olbrzymia działalność charytatywna i nauczycielska zakonów, jak wspaniałe budowle gotyckie, jak arcydzieła filozofji, dziejopisarstwa, poezji. Od św. Augustyna i Karola Wielkiego i Godfryda z Bouillon do św. Tomasza z Akwinu, św. Franciszka z Asyżu i Dantego i Giotta i do naszego krakow-

skiego Wita Stwosza prawdziwie heroiczne natchnienia twórcze we wszystkich dziedzinach życia płyną z wielkiego źródła religji katolickiej.

Wielkiego dzieła zjednoczenia nowej średniowiecznej Europy we wspólnym układzie cywilizacyjnym dokonał Kościół na tak długi czas i z tak wiekopomnemi wynikami tylko dlatego, że w osobie swego Twórcy postawił przed oczy plemion i pokoleń najdoskonalszy przykład ofiarnej miłości i bezgranicznego poświęcenia dla całej ludzkości, — i to przykład realny, fakt historyczny dokonany w rzeczywistych ziemskich warunkach, więc nie tylko dla naszych zachwyconych oczu wyraźny, ale dostępny dla tego „naśladowania", o którem tak pięknie mówi Tomasz a Kempis w swej nieśmiertelnej książce. I jakby chcąc bardziej jeszcze udostępnić naturze ludzkiej to najwspanialsze objawienie ducha miłości, ukazuje się nam obok postaci Zbawiciela przeczysta postać Matki Jego jako najpromienniejsze uosobienie miłości macierzyńskiej, jako wyraz najwyższego moralnego piękna, do jakiego kobiecy pierwiastek w systemie cywilizacji ludzkiej wznieść się może. Najpoetyczniejszy z kultów — kult marjański — stał się nietylko natchnieniem niezliczonych wielkich artystów, ale stał się niewyczerpanem źródłem wielkich czynów bohaterstwa i poświęcenia w dziejach kultury. Nieopisanie dobroczynnej i wszechstronnej siły moralnej pozbyły się wyznania protestanckie, gdy usuwając ze swoich ustrojów cześć Boga w jego świętych, usunęły tę przedziwną ozdobę i potęgę zarazem, jaką wciąż na nowo daje katolicyzmowi nabożeństwo do Najświętszej Marji Panny.

IV.

Ta najpiękniejsza tradycja kultu katolickiego teraz właśnie w maju, miesiącu Marji, rozśpiewała się koło nas całym urokiem wiosennej przyrody i całą wiośnianą radością i nadzieją serc ludzkich; w naszem starem katolickiem mieście w miesiącu tym chwałę Marji codzień głoszą trąby hejnałowe z wieży Jej Świątyni, a my tu dziś zebrani dajemy tej chwale wyraz w dorocznym świeckim akcie hołdu naszej młodzieży katolickiej dla Królowej Korony Polskiej. W takiej chwili pełniej niż kiedykolwiek uświadomić sobie możemy, że ta religja nasza, która w kulcie marjańskim posiada niezrównany środek apelu do serc ludzkich, jest zaiste zdolna do wyprowadzenia świata dzisiejszego ze straszliwej

jego rozterki przez wskrzeszenie prawdziwego ducha miłości wśród ludzi. Dziś, gdy fala odrodzenia katolickiego idzie przez życie duchowe starych narodów kulturalnych nawet tak bardzo już kiedyś wobec swej dawnej religji zobojętniałych, jak naród francuski, — dziś wolno myśleć o tem jako zupełnie realnej możliwości, żeby Kościół objął rolę przodowniczą w nowem pojednaniu i zharmonizowaniu świata cywilizowanego. Może mu Kościół dać początek, jeżeli potężnym swym głosem silniej niż kiedykolwiek wołać będzie nie o tem, co ludzkość dzieli, lecz o tem, co ją łączyć powinno, — jeżeli i silniej i wyłączniej i częściej niż kiedykolwiek powtarzać będzie owo wezwanie św. Jana: „Miłujmy się zobopólnie, bo miłość jest z Boga. Każdy co miłuje, z Boga jest urodzony i zna Boga. Kto nie miłuje, nie zna Boga, albowiem Bóg jest miłość".[1])

Aleć nie wystarczyłoby zgoła, gdyby Kościół ze wszystkich swoich ambon, katedr i trybun w te słowa dziś najgłośniej uderzył. Kościół, to zespół duszpasterzy i wiernych. Trzeba by hasło, które dziś jedynie świat od ruiny zbawić może, rozległo się jaknajdonioślej wśród społeczeństwa świeckiego; by to społeczeństwo przejęło się do głębi mądrem i szlachetnem wezwaniem obecnego władcy na stolicy Piotrowej do „apostolstwa ludzi świeckich". Pojęcie ducha miłości jako istoty katolicyzmu powinno znaleźć wyraz w stosunku obywatela-katolika nietylko do najbliższych mu rodem czy duchem; ale właśnie także do ludzi innych rodzin, innych dzielnic, innych plemion, innych przekonań politycznych i uwarstwień społecznych, innych narodów i wyznań, innych ras i kultur. Gdy tak duch miłości jako najistotniejsze dziejowe posłannictwo chrześcijaństwa, poczynając swe działanie w ugrupowaniach najciaśniejszych i najmniejszych, rozszerzy się stopniowo na coraz rozleglejsze i większe, wtedy zaiste ta miłość w chrześcijańskiem ujęciu stanie się owym *aër vitalis*, owem powszechnem tchnieniem Bożem, którem oddychając, zatruty i ciężko schorzały świat dzisiejszy jedynie uzdrowiony być może.

[1]) List Pierwszy św. Jana Apostoła, rozdz. IV. w. 7.

Roman Dyboski.

Przegląd piśmiennictwa.

Adam Heydel. Jacek Malczewski, człowiek i artysta. W tekście 114 ilustracyj, 47 tablic w rotograwiurze i 4 trójbarwne. Kraków 1933. Wydawnictwo Literacko-Naukowe (Wojciech Meisels).

„Wiesz, że nie ze względów familijnych to mówię, ale Jacek — to zawsze ktoś, którego się nie spotyka tak wszędzie"...

Umyślnie cytuję tu słowa ciotecznego brata Jacka Malczewskiego, przedwcześnie zmarłego historyka Karola Potkańskiego, (list do Konst. Górskiego z r.) 1891 by zacząć właśnie — od „względów" familijnych. Będzie to może à propos, gdy mam omawiać książkę napisaną przez najbliższego z żyjących krewniaków Malczewskiego, prof. Heydla. Familijną bowiem cechą wydaje mi się ta niezwykła wielostronność talentu i zamiłowań, pozwalająca temu wybitnemu socjologowi i ekonomiście napisać dzieło o wielkich zaletach literackich, a mając za treść życiorys wielkiego malarza i ocenę jego twórczości. Taka wielostronność była cechą umysłu Potkańskiego (łatwo przekonać się o tem, czytając dwa tomy jego pism pośmiertnych), a że była właściwą i Jackowi Malczewskiemu — o tem właśnie z książki Heydla przekonać się można. Zawiera ona bowiem w tym względzie szczegóły rewelacyjne.

Rewelacją przedewszystkiem będzie wielka ilość dzieł malarskich Malczewskiego, jakie tu zgromadzono w reprodukcjach. Ilość ta zdystansowała wszystkie dotychczasowe zbiory reprodukcyj z dzieł mistrza, więc zarówno ten zbiór, który z tekstami Rydla można było widzieć przed wojną, jak i piękne album wydane u Gebethnera i Wolfa z przedmową W. Mitarskiego i t. d. Co więcej, jeżeli w dotychczasowych wydawnictwach widywało się zazwyczaj dzieła Malczewskiego najbardziej znane, te, które nawet już nieraz i do podręczników szkolnych weszły, to w książce Heydla spotyka się bodaj, że w większości takie rzeczy, które dotąd były ukryte przed oczyma szerszego ogółu; najwięcej bowiem materjału ilustracyjnego dostarczyły zbiory prywatne w czem i rodzinne: p. Heleny Karczewskiej i samego autora książki. Ma się rozumieć, że możnaby ten materjał powiększyć w trójnasób

i czwórnasób, boć Malczewski i żył długo i tworzył wiele, przeto w niejednych zbiorach i w niejednych rękach ukrywa się wiele prac jego [1]). Kiedyś, w czasach większego dostatku, może Polska będzie mogła sobie pozwolić i na wydanie całkowitego albumu jego rysunków i obrazów. Teraz rzeczą historyka sztuki byłoby zrobić przynajmniej ich indeks. Prof. Heydel oblicza, że w sumie namalował Malczewski około 2000 obrazów, przyczem dodaje taką uwagę: „Myślę, że to obliczenie jest raczej za niskie aniżeli zbyt wysokie. Nie liczę stosów szkiców, rysunków, akwarelowych, olejnych, które idą w tysiące. Jest to jedna z największych ilościowo twórczości w dziejach sztuki".

Ale obfitość materjału ilustracyjnego to jeszcze nie wszystko. Ze względu na cel, jaki sobie wytknął autor książki, ważniejszą jeszcze rzeczą jest różnorodność tego materjału. Wiedza szerszego ogółu inteligenckiego o Malczewskim była nader uproszczona, szablonowa. Pamiętano najwięcej jego obrazy symboliczne, niektóre jego portrety oraz kilka obrazów syberyjskich — i to przeważnie w luźnym związku. Do tych kilku wspólnych mianowników sprowadzano jego twórczość. To też niejeden z zamieszczonych w tej książce obrazów, gdyby się ukazał bez podpisu, mógłby uchodzić nie za jego dzieło. Tyczy się to nietylko tematów, ale także rodzaju i techniki. W każdej z tych trzech dziedzin potrafił się nieraz Malczewski wyłamać ze swego „stylu", dać dla odmiany coś innego, czasem nawet sobie niemal obcego. Zaznacza p. Heydel, że Malczewski dla fantazji czy żartu umiał czasem „podchwytywać" swych kolegów po pendzlu; czynił to zwłaszcza w karykaturach. Niespodzianką dla oka, które napatrzyło się wielu obrazom Malczewskiego, są reprodukowane — celowo — barwnie portrety p. M. H. i Aleksandra Mroczkowskiego.

Powiedzieć o Malczewskim, że był to wielki malarz — to jeszcze za mało. Ten twórca-plastyk był i uzdolnionym poetą. Z wrażeń swoich, przeżyć i zamierzeń spowiada się samemu sobie w wierszach. Pisał je chyba przez całe życie i niewątpliwie zachowało się ich dużo. Biograf cytuje je dość obficie, jako pierwszorzędne, bo najbardziej bezpośrednie źródło życiorysu, z którem w zawody iść mogą tylko pyszne, pełne prostego wdzięku, żywej plastyki, a niekiedy i humoru listy, przeważnie okraszone różnemi szkicami ołówkowemi lub piórkowemi. Z nich można poznać najlepiej nietylko drogi, jakiemi szła twórczość artysty, ale też jego samego, jako człowieka — co było przecie drugim

[1]) Nie zreprodukował nam prof. Heydel ani jednego z obrazów Malczewskiego znajdującej się w słynnej galerji „Karaskowej" w Pradze. Parę nieznanych obrazów Malczewskiego posiada powiernik jego z lat powojennych, red. Piotr Grzegorczyk w Warszawie, który powinienby kiedy ogłosić swoje rozmowy z wielkim artystą. Materjałów podobnych dostarczyćby pewno mogła uczenica Malczewskiego, zdolna pisarka M. Janoszanka.

celem książki. A wart jest Malczewski poznania jako człowiek — zarówno ze względu na niepospolite zalety serca i duszy, jak i ze względu na pewne dziwactwa, które z niego czynią jedną z najciekawszych postaci polskich na przełomie w. XIX i XX i po dziś dzień stanowią temat różnych anegdot.

Życiorys zaczął p. Heydel od tego, co dla wielu wielkich twórców pozostaje na całe życie fundamentem i skarbnicą twórczości: od kraju lat dziecinnych. Potkański uwiecznił puszczę radomską w jednem z najlepszych i najgłębszych swych studjów, brat jego cioteczny miał pejzaż tych stron nazawsze w pamięci, uważał je za najpiękniejsze w Polsce i za najwłaściwsze tło swych obrazów. Co ważniejsza, niezatarte znamię wyryły na jego duszy przeżycia i wspomnienia wyniesione z rodzinnego domu w Wielgiem. Spójnia rodzinna była mu podnietą twórczą i regulatorem twórczości przez całe życie. Zwłaszcza wzruszający jest stosunek Jacka do ojca. Pan Juljan Malczewski pełni wobec syna rolę podobną, jaką miała wobec Słowackiego jego matka; porównanie to tem snadniej może się nasunąć, że właśnie Słowacki był najulubieńszym autorem, najczęstszą lekturą obu Malczewskich. Mam wrażenie, że i religijność, cechująca Jacka, a nieraz tak niepospolicie głęboki wyraz znajdująca w jego obrazach, a także w przemówieniu rektorskiem z r. 1912, wypłynęła ze środowiska rodzinnego: wszak krewną Jacka była świątobliwa Wanda Malczewska, zakonnica. Więc nietylko z malarskich pobudek, jakby sądzić można, kazał się Jacek Malczewski pochować w habicie tercjarza..

Ojciec — jak wnosić możemy — był jedynym człowiekiem, którego woli Jacek zawsze był uległy (ciekawa jest wymiana myśli w sprawie Ellenai). Dla ojca tylko Jacek podporządkował się na pewien czas Matejce — czas zresztą krótki, bo jego indywidualność nie mogła długo znosić rygoru ze strony starego mistrza. Wyłamał się z pod jego władzy, jak wyłamał się z pod niej Wyspiański — ale już się na nią nie oglądał raz po razu, jak to czynił tamten. Dopiero pod koniec życia Jacka — w dniach przedśmiertnej franciszkańskiej pokory — słyszymy z ust jego słowa uznania dla Matejki. Przez resztę dni szedł drogą własną, nie oglądając się na nikogo, był sobie „wielki pan"; może ta jego „wsobność", dumna *splendid isolation* twórcza była powodem, że tyle razy sam sobie pozował, że dał chyba największą ilość autoportretów, na jaką zdobyć się może — choćby w najdłuższem życiu — artysta.

Tę długą drogę samokształcenia, tworzenia własnych dróg, zrekapitulował prof. Heydel w jednym z końcowych rozdziałów bardzo treściwie, przedtem zaś uwydatniał etap za etapem, przez jakie twórczość ta przechodziła. Albowiem „Malczewski w okresie czterdziestu do pięćdziesięciu lat znalazł dopiero swoją własną drogę", szedł wgórę jeszcze dobiegając sześćdziesiątki... W każdym

z tych etapów była jakaś nowa zdobycz, coś czego dawniej nie uwzględniał lub nie osiągał. Te cechy charakterystyczne, jakie w danej fazie były odrębnością sztuki Malczewskiego, ujmuje autor jasno, poprostu, bez mętnych ogólników i ciężkich terminologicznych barbaryzmów; jest to zaletą nietylko literackiego stylu, ale i metody. Choć prof. Heydel nie uważa się za fachowego historyka sztuki, widać, że jest z jej historją dobrze obeznany — czego dowodem jest bystre zestawienie Malczewskiego z Boecklinem i potrosze ze sztuką francuską, albo rozważanie wpływu, jaki mógł na twórczość Malczewskiego wywrzeć Grottger. Wiedzę swą zawdzięcza nietylko — że się tak wyrażę — „obyciu" w salonach sztuki u nas i zagranicą, ale przedewszystkiem wrodzonej, subtelnej spostrzegawczości (ciekawe obserwacje na temat pejzażu przy portretach), a wreszcie osobistym częstym rozmowom ze znakomitym mistrzem. Dzięki nim miał klucz do zrozumienia nietylko genezy wielu obrazów, ale także ich „fabuły" — co się tyczy głównie obrazów symbolicznych, okrzyczanych tu owdzie, niezawsze zresztą słusznie, za niezrozumiałe. Zarzutu „niezrozumialstwa" już prof. Heydlowi napewno nikt nie postawi.

I to jest jeden z powodów, dla których ta prześlicznie wydana książka może mieć (nawet w dzisiejszych ciężkich czasach) czytelników i nabywców.

Józef Birkenmajer.

Jan Ptaśnik: Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce, Kraków 1934, str. IV+511. Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności.

Dzieje miast polskich nie posiadały dotąd syntetycznego opracowania, stojącego na wyżynie wymagań obecnej nauki, aczkolwiek istnieje już pokaźna literatura monograficzna, dotycząca poszczególnych miast. Powyższą lukę naszej historjografji podjął się wypełnić zmarły przed paru laty przedwcześnie profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, Dr. Jan Ptaśnik. Badacz ten, należący do najwybitniejszych pośród współczesnej generacji historyków polskich, posiadał z wielu względów odpowiednie warunki do podjęcia się powyższego zadania, przeważną bowiem część swego bogatego dorobku naukowego poświęcił studjom z dziejów miast polskich, szczególnie Krakowa i Lwowa. Dzieło powyższe przygotowywał autor od szeregu lat, jeszcze przed dwunastu laty ogłosił popularne streszczenie jego wyników w książce p. t. Miasta w Polsce (Lwów 1922 str. 176), przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu jednak wydać dzieła prawie zupełnie gotowego do druku. Wydania dokonała Polska Akademja Umiejętności, powierzając ostateczne wykończenie rękopisu do druku wybitnej znawczyni historji miast, p. Dr. Łucji Charewiczowej. Obszerne to dzieło, obejmuje 15 rozdziałów, wykazuje układ nieco zmieniony

aniżeli w wydaniu popularnem. Cztery pierwsze rozdziały tego ostatniego malujące zewnętrzny obraz miasta są tu złączone w jeden umieszczony na końcu książki. Natomiast na początku dodał autor rozdział, przedstawiający genezę i początkowe dzieje miast w krajach zachodniej i południowej Europy; ustęp to bardzo instruktywny, zapoznaje czytelnika pokrótce z głównemi wynikami przeobfitej literatury przedmiotu i orjentuje dobrze w splocie różnych spornych problemów naukowych. Trzy następne rozdziały (II—IV) odpowiadają analogicznym rozdziałom (V—VII) popularnego wydania, a dotyczą ustroju i organizacji władz miejskich, mianowicie sądu miejskiego, złożonego z wójta i ławników, najwyższej magistratury administracyjnej (później również sądowej) t. j. rady miejskiej, wreszcie reprezentacji ogółu obywateli, pospólstwa, która w różnych miastach odmienne przybierała formy i niejednakowe uzyskiwała uprawnienia. Reprezentację tę musiało sobie pospólstwo wywalczyć w ciężkich i długotrwałych zapasach z radą miejską, która strzegła interesów nielicznego, bogatego patrycjatu. Przedstawia to autor w dodanym rozdziale VII. Nowość stanowią również dwa następne rozdziały, traktujące o pomniejszych urzędach i służbie miejskiej oraz o udziale miast w sejmach dawnej Rzeczypospolitej. Natomiast cztery inne rozdziały, mianowicie „Cechy i życie cechowe“ (V), „Kupcy“ (VI), „Obywatelstwo miejskie (X) i „Problem narodowościowy“ (XI) są rozszerzonem powtórzeniem tak samo zatytułowanych rozdziałów (VIII—XI) popularnego wydania. Stosunek szlachty do mieszczaństwa, dawniej przedstawiony pokrótce w ustępie o kupcach, stanowi teraz treść osobnego rozdziału (XII), w osobnym też rozdziale (XIII) rozwodzi się autor nad upadkiem miast. Odrodzenie stanu mieszczańskiego w epoce Stanisławowskiej maluje w przedostatnim rozdziale, odpowiadającym ostatniemu z popularnego wydania. Jak widzimy z powyższego zestawienia, nowa książka wykazuje szereg nowych rozdziałów, wyższość jej nie ogranicza się jednak do tego, lecz polega na znacznem rozszerzeniu i pogłębieniu całej treści, z podaniem potrzebnego aparatu naukowego w przypiskach.

Oceniając wartość naukową dzieła, trzeba wziąć pod uwagę, że obejmuje ono przedmiot bardzo rozległy i wymaga od autora gruntownego przygotowania aż w trzech dziedzinach wiedzy historycznej, mianowicie historji ustrojowo-prawnej, historji gospodarczej i społecznej oraz historji kulturalno-obyczajowej. Trudno znaleźć znawcę do wszystkich trzech dziedzin, to też nie należy się dziwić, że na książce prof. Ptaśnika można rozpoznać bez trudności, iż był on specjalistą do historji kultury i zagadnień społecznych. Ta też cywilizacyjna rola miast wypadła w książce może najlepiej, aczkolwiek autor nie poświęcił jej osobnych rozdziałów, lecz tylko przy omawianiu innych zagadnień uwydatnił ich stronę kulturalno-obyczajową. Wskutek powyższej metody dostrzegamy nawet w tym dziale pewne luki, stosunkowo mało

dowiadujemy się o różnych zwyczajach mieszczańskich, ich kulturze umysłowej i artystycznej oraz życiu religijnem. Strona społeczna problemu wychodzi w książce bardzo dobrze i to zarówno stosunki socjalne, (np. antagonizm między patrycjatem i pospólstwem, szlachtą i mieszczaństwem) jak wyznaniowe i narodowościowe. Natomiast zagadnienia ściśle gospodarcze potraktowane są mniej wyczerpująco. Również mniej udatnie wypadły problemy ustrojowo prawne, gdyż autor znakomity historyk kultury nie był specjalistą w dziedzinie historji prawa i ustoju, to też w jego ujęciu przedmiotu widać pewne usterki i braki, niektóre zagadnienia (np. jurysdykcja sądowa rady miejskiej) zostały pominięte lub przedstawione za mało wyczerpująco i nie dość jasno, bez należytego uwzględnienia ich ewolucji dziejowej. Przy opracowaniu przedmiotu oparł się autor głównie na literaturze historycznej i wydawnictwach źródłowych; z materjałów archiwalnych czerpał niemal wyłącznie odnośnie do Krakowa i Lwowa, dlatego dzieje tych dwóch miast zajmują dużo miejsca w stosunku do innych.

Pomimo pewnych braków i nierówności dzieło prof. Ptaśnika jako całość robi stanowczo korzystne wrażenie, jest ono pierwszą na naukowym poziomie postawioną syntezą dotychczasowego naszego dorobku w zakresie historycznej urbanistyki i jako takie posuwa poważnie naukę naprzód. Będzie ono cenną pomocą dla dość bujnie rozwijającej się po wojnie literatury monograficznej poszczególnych osiedli miejskich i pomoże postawić ją na wyższym poziomie. Książka ta może też służyć jako pożyteczna lektura dla ogółu inteligencji polskiej, szczególnie pracownicy i działacze samorządowi powinni się z nią zapoznać. Napisana jest lekko i barwnie, a ożywiona szlachetną tendencją demokratyczną. Występujące w niektórych dawniejszych pracach prof. Ptaśnika antyklerykalne nastawienie nie daje się tu prawie odczuwać, owszem autor podkreśla dobitnie humanitarne zasługi chrześcijaństwa.

Mieczysław Niwiński.

Dr. Joseph Iwanicki: Leibniz et les démonstrations mathématiques de l'existence de Dieu. Strasbourg 1933. 8° str. 319.

Gruntowna praca nie zacieśnia się tylko do naświetlenia stanowiska, jakie L. zajął wobec dowodów matematycznych na istnienie Boga, lecz daje nam ogólny obraz i klucz do zrozumienia jego działalności na polu spekulatywnem i praktycznem. Postawienie problemu istnienia Boga w ośrodku filozoficznych zainteresowań L. tłumaczy nam lepiej jego próby unifikacyjne, niż uciekanie się do łagodności charakteru. Swoisty teocentryzm L. pozwala nam także w teorji poznania i w metafizycznej konstrukcji na wykrycie jedności większej od psychologicznej.

W I r. autor przedstawia nam, z jakiem usposobieniem i z jakiem zajęciem L. śledzi ruch ateistyczny. Nie chcąc być

biernym świadkiem w tem zmaganiu się dwu światopoglądów, szuka przyczyn ateizmu, by móc leczyć chorobę u jej właściwych źródeł. Jednem z tych źródeł to religijna rewolucja, pociągająca za sobą wojny i nienawiść, które dały powód do zarzucania religji różnych niedoskonałości. Najważniejszem jednak źródłem ateizmu jest rewolucja przeciw panowaniu metafizyki, która ufna w metodę scientyficzną, tłumaczy wszystko wielkością, ruchem i kształtem. L. nie chce potępiać tej metody, lecz usiłuje sprowadzić ją do właściwych granic.

Przeciw przedstawicielom wszelkiej formy ateizmu L. współpracuje z tymi, którzy wypowiedzieli walkę bezbożnictwu, i stara się zorganizować ich do planowego i skutecznego wystąpienia. Programem jego jest usunięcie źródeł ateizmu, przez wykazanie niewystarczalności zasad mechanizmu i przez pogodzenie Arystotelesa z mechanicyzmem. Arystotelizm scholastyczny nie dałby, zdaniem L., broni skutecznej, albowiem przyjmując, iż formy substancjalne mogą się poruszać ze swej natury zostawia tem samem otwartą drogę do ateizmu. Skoro więc obok przyczyn sprawczych przyjąć musimy również przyczyny celowe, to zasad mechanicyzmu nie można wyprowadzać ze samej matematyki, bo one mają swą rację w najwyższej inteligencji.

Oprócz zasad tej nowej, „zdrowej" filozofji konieczna jest „Societé de savants apologistes", zorganizowanych na wzór jezuitów, któraby się zajmowała przyrodoznawstwem i teologją mistyczną.

Ale to wszystko nie zapewniłoby jeszcze zwycięstwa nad ateizmem, gdyby owo zrzeszenie nie posiadało metody, któraby zapewniała jego dowodom jaknajwiększą ścisłość, równą matematycznej. Dotąd poza matematyką znano tylko metodę dysputowania, a nie dowodzenia. W metodzie matematycznej wyróżnia L. stronę zewnętrzną, t. j. formę, dyspozycję rozumowania, wraz z posługiwaniem się liczbami i linjami. Ale ta zewnętrzna ścisłość jest tylko wynikiem precyzji, jaką się cieszy wewnętrzna strona matematycznej metody, polegająca na „ars analytica", a dochodząca do prostych elementów poznania, definicyj.

Tę matematyczną metodę należy wprowadzić do metafizyki. Rozszerzona w ten sposób metoda matematyczna dałaby nam „calcul universel", a metafizyka stałaby się „modèle des sciences", „l'art d'inventer en général". Jasne, wyczerpujące przedstawienie istoty metody matematycznej u L., jej geneza i porównanie z wcześniejszemi koncepcjami, omówienie związanej z tą metodą symboliki powszechnego języka filozoficznego i encyklopedji, pozwoli każdemu zapoznać się z metodą L. i przygotuje do zrozumienia samej metafizyki.

Możność zastosowania tej metody do metafizyki opiera się na matematycznej koncepcji rzeczy (istoty, prawdy są „sicut numeri"), gdyż Stwórca rzeczy działa jak doskonały geometra.

Ostatecznie jednak program nowej metody zawiódł. Z jednej bowiem strony L. podnosi konieczność analizy prowadzącej do ostatecznych elementów, z drugiej zaś strony musi przyznać, że ten postulat nie da się zrealizować w obecnym stanie.

Na tak przygotowanym terenie naświetla autor stanowisko L. wobec dowodów na istnienie Boga, jakie pojawiły się w 17 w. L. zarzuca im, iż nie są przemyślane do końca, nie są zupełne. Dowody aprioryczne z pojęcia Bytu doskonałego i substancji opierają się na możliwości tych pojęć, a analizą nie wykazano uprzednio ich możliwości. To samo zarzuca L. dowodem aposterjorycznym.

Zadaniem L. będzie poprawienie i uzupełnienie tych dowodów. Autor wyróżnia pięć zasadniczych dowodów L., przedstawionych „in forma" t. j. w myśl wymagań nowej metody. W przedstawieniu tych dowodów nie dość jasny zdaje się nam stosunek dowodu drugiego do piątego. Historyczne momenty tych dowodów, jakkolwiek pozwalają na orjentację w rozwoju myśli L. wprowadzają jednak pewien zamęt w tok rozumowań. Połączenie systematyki i historji jest tu może wyjątkowo trudne, dlatego łatwo darować pewne niejasności, których drugiem źródłem jest może zbyt zwięzłe traktowanie tematu, odpowiadającego tytułowi.

Kto pragnie zapoznać się z duchem racjonalizmu i jego metodami, kto chce wniknąć w związek tych metod z metafizyką, ten w studjum dr. J. Iwanickiego znajdzie wielką pomoc, wskazującą także źródła do samodzielnych badań.

Ks. Józef Chechelski T. J.

Félix-Stanislas Jasiński, graveur — sa vie et son oeuvre par Léopold Wellisz avec une étude sur les procédés techniques de F. Jasiński par Thadée Cieślewski Fils, Paris, Les Éditions G. van Oest, 1934, duże quarto, stron 196, odbitek z oryginalnych płyt Jasińskiego 6, tablic 49.

Do dzieł, poświęconych naszej sztuce XIX wieku, przybyła ostatnio pozycja poważna — książka o Feliksie Jasińskim. Był to artysta zagranicą w swoim czasie bardzo ceniony, w Polsce natomiast, przynajmniej w szerszych kołach, zupełnie nieznany. Dobrze się stało, że wspaniale wydana publikacja p. Leopolda Wellisza wyszła w języku francuskim, albowiem będzie dostępna nietylko dla kulturalnej publiczności polskiej, ale i zagranicznej. Autor zestawił nader starannie wiadomości o życiu Jasińskiego; podjął w tym celu specjalne podróże do Francji, Belgji i Anglji, zebrał korespondencję, relacje osób, które artystę znały, i to zarówno Polaków, jak cudzoziemców, oraz zaznajomił się z całą jego artystyczną spuścizną. Opowiadając o życiu Jasińskiego, autor przedstawia równolegle jego działalność w sposób jasny, barwny i rzeczowy.

Jasiński, urodzony w Ząbkowie na Podlasiu dnia 6 maja 1862 roku, miał po matce, Zofji z Münchheimerów, tradycje ar-

tystyczne, była ona bowiem córką medaljera, a bratanicą znanego kompozytora. Ojciec artysty, Stanisław-Kostka Jastrzębiec Jasiński, wyemigrował po powstaniu 1863 roku do Belgji, a gdy dzieci doszły do lat szkolnych, przeniósł się do Krakowa. Tutaj Feliks uczęszczał do Gimnazjum św. Jacka. Chociaż ojciec w roku 1873 powrócił do Brukseli, to jednak rodzina pozostała w Krakowie aż do roku 1880, poczem wyjechała do Belgji. Piękno starego Krakowa, miasta w owych czasach niewiele poza Planty wykraczającego, jak również urok jego okolic, oddziaływały na młodego Feliksa. W gimnazjum zaczął się uczyć rysunków u Edwarda Lepszego.

W Brukseli Jasiński oddał się już wyłącznie studjom artystycznym, głównie pod kierunkiem M. van Alphena, który zajął się nim gorliwie, uważając go za jednego z najlepszych swoich uczniów. Nauka polegała na studjum natury i aktu. Nadto uczęszczał w latach 1880—1882 do Akademji Sztuk Pięknych, ale niezbyt gorliwie, bo zrażała go panująca tam rutyna, a nadto tamtejsi profesorowie mieli uprzedzenie do uczniów van Alphena.

Po dwuletnim pobycie w Brukseli Jasiński wyjechał do Paryża w zamiarze wykształcenia się na medaljera. Do Akademji Sztuk Pięknych nie dostał się, innemi więc drogami musiały iść jego studja. Za pośrednictwem Gauchez'a, artystycznego doradcy Rotszylda, nawiązał stosunki z rozmaitymi artystami, a zwłaszcza z Leonem Gaucherel'em. Są to czasy odradzania się akwaforty na większą skalę po niemal wszechwładnem panowaniu miedziorytu. Przyczynił się do tego w pierwszym rzędzie Gaucherel. Pod jego to wpływem Jasiński zarzucił medaljerstwo i poświęcił się akwaforcie. Techniki akwafortowej uczył się u Le Rat'a, ucznia Gaucherel'a. Robił szybkie postępy. Już w r. 1883 przyjęto do Salonu jego akwafortę podług obrazu Marinusa Roy. W czasie studjów u Le Rat'a zaprzyjaźnił się z wybitnymi grafikami, Ruetem i Valloton'em. Istnieje szereg portretów Jasińskiego, wykonanych przez Valloton'a. Przy współudziale tego grafika wykonał (1892) akwafortę „Konstytucja Trzeciego Maja" podług obrazu Matejki. Znana to szerszym kołom akwaforta, bo wydało ją jako premję Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, ale mało kto wie, że twórcą jej jest Jasiński.

Wspomniane wyżej pierwsze dzieło Jasińskiego, pokazane na publicznej wystawie, zwróciło nań uwagę. W czasopiśmie *L'Art* ukazał się artykuł Gauchez'a o Jasińskim; równocześnie w kraju zdobył sobie uznanie Matejki. Florjan Cynk, profesor krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, pokazał na prośbę matki artysty jego akwaforty Matejce, a ten polecił pani Jasińskiej złożyć gratulacje i oświadczyć, że Feliks dobrze zrobił, przerzucając się z medaljerstwa na pole grafiki, bo to jest pole szersze, na którem będzie mógł pracować nietylko dla obcych, ale i dla własnego kraju. Niebawem Towarzystwo św. Łukasza, które w Krakowie

przez jakiś czas istniało, powzięło myśl wydawania polskich obrazków do książeczek do nabożeństwa. Wykonanie obrazka bł. Jana z Dukli zamierzano powierzyć Jasińskiemu. Mimo, że artysta poszedł na rękę Towarzystwu i zażądał skromnego honorarjum, rzecz rozbiła się o znaczne podówczas koszta druku. Pomysł był z artystycznego punktu widzenia bardzo szczęśliwy i należałoby go wskrzesić, by w czasach, w których posiadamy tylu młodych i uzdolnionych grafików, nie wprowadzać do kraju obcej, zdawkowej produkcji.

Od chwili, w której krytyka francuska zwróciła na Jasińskiego uwagę i gdy uzyskał zaszczytną wzmiankę w Salonie 1885 roku, powodzenie jego wzrasta. Prace Jasińskiego pojawiają się coraz częściej w tak wybitnem piśmie, jak *L'Art*. Jeden z braci Goncourt'ów, świetnych pisarzy, zbieraczy i znawców sztuki, zamierzał powierzyć Jasińskiemu ilustrowanie jednego ze swoich dzieł. Wprawdzie rzecz nie doszła do skutku, ale samo zainteresowanie się Goncourt'a Jasińskim dużo mówi.

Od roku 1886 Jasiński wchodzi już ostatecznie na drogę, która najbardziej jego uzdolnieniu i zamiłowaniu odpowiadała, mianowicie odtwarzania dzieł dawnej sztuki. Przełomowym momentem jest opracowanie w akwaforcie słynnego Holbeinowskiego portretu Williama Warhama, arcybiskupa Canterbury. Pracę tę podjął nie na zamówienie, lecz z zamiłowania, pociągnięty wartością artystyczną oryginału. Za tę znakomitą akwafortę otrzymał w Salonie 1888 roku medal 1-szej klasy. Równocześnie zaczęła się współpraca Jasińskiego z *Gazette des Beaux-Arts*. Ta współpraca bardzo mu odpowiadała, albowiem to znakomite czasopismo paryskie ogłaszało artykuły w pierwszym rzędzie z zakresu dziejów sztuki renesansowej, w przeciwieństwie do *L'Art*, gdzie publikowano przedewszystkiem dzieła sztuki współczesnej. Jasiński wśród usilnej pracy, coraz bardziej zamykał się w sobie, stawał się odludkiem, trudnym w pożyciu. W związku z pracą dla wydawców paryskich, artysta wyjeżdżał kilkakrotnie do Włoch, gdzie w muzeach studjował obrazy, które miał reprodukować. Wielkie wrażenie wywarła na nim Florencja, w której przebywał cały rok, studjując Botticellego. Jego „Primaverę" wykonał techniką kombinowaną (akwaforta i miedzioryt) po dwuletniej, wytężającej pracy. Jest to arcydzieło w swoim zakresie. Nadkładca „Primavery", Hautecoeur, proponował mu nadto wyjazd do Medjolanu w celu zreprodukowania „Wieczerzy Pańskiej" Leonarda da Vinci. Mimo dobrych warunków finansowych (8000 franków za 18 miesięcy pracy), Jasiński odmówił, albowiem zainteresowania jego poszły w innym kierunku. Wszedł mianowicie w stosunki z Tooth'em, wydawcą angielskim, który miał filję w Paryżu. Szło o ryciny, podług obrazów Burne-Jones'a. Być może, że sam Burne-Jones zwrócił uwagę na polskiego grafika. Istnieje cały szereg rycin Jasińskiego, podług obrazów angielskiego mistrza. Jasiński zyskał

gorące uznanie głośnego artysty. Jak wysoko ceniono Jasińskiego zagranicą, tego dowodem wystawienie jednej z jego płyt wraz z odbiciem w Muzeum South-Kensington w Londynie, a to *as an extraordinary example for the admiration of amateurs and the edification of students.* W ostatnich latach życia Jasiński coraz bardziej usuwał się od ludzi, był rozgoryczony postępami mechanicznej reprodukcji i mimo uznania, które mu stale towarzyszyło (złoty medal na Wystawie Powszechnej w Paryżu 1900 r.), uważał się za zbytecznego. Umarł w młodym wieku, licząc zaledwie lat 39, dnia 8 sierpnia 1901 r. Jedyny jego syn, pogrobowiec, zginął jako lotnik w Strasburgu w 1921 r.

P. Wellisz słusznie podnosi, że Jasiński był przedewszystkiem odtwórcą dzieł innych malarzy, i że całe jego usposobienie nadawało się, zwłaszcza do odtwarzania obrazów Burne-Jones'a. Sentyment, nadzwyczajnie delikatne uczucie i melancholja łączyły go z tym koryfeuszem prerafaelitów. Podobnie, jak Burne-Jones, i Jasiński kolorystą nie był, i jak tamten czuł przedewszystkiem formę i linję, był więc, jakby stworzony do kongenjalnego przekładu obrazów angielskiego mistrza na język grafiki. Jasiński niepotrzebnie martwił się rozpowszechnieniem mechanicznych reprodukcyj i uważał się za zbytecznego, albowiem reprodukcja, zapomocą miedziorytu, czy akwaforty, to świat zupełnie inny, niż reprodukcja mechaniczna. Z natury techniki, nie będącej mechaniczną, wynika, że „kopja" tą drogą uzyskana, przy najdalej idącem objektywnem ustosunkowaniu się do dzieła odtwarzanego, jest przecież dziełem w swoim rodzaju oryginalnem i indywidualnem. Jedno i to samo dzieło, odtworzone przez różnych grafików, będzie jednak w „reprodukcji" wyglądało inaczej, bo każdy z nich mimowoli uwydatni te cechy oryginału, które schodzą się przedewszystkiem z jego indywidualnością. Matejko rysując berło, wydobyte z grobu Kazimierza Wielkiego, o wiele lepiej uchwycił stylistyczny wyraz tego zabytku, aniżeli wszystkie fotografje.

Jasiński ze swoją szczególniejszą predylekcją do t. zw. prymitywów, t. j. do malarstwa XV wieku, stał się bliskim duchowi malarstwa angielskiego. Malarze angielscy, którzy w 1849 r. związali się w „Bractwo prerafaelitów", przez nawrót do włoskiego quattrocenta, t. j. do malarstwa wczesnorenesansowego z XV w., pragnęli ożywić sztukę swojego kraju. Kierunek ten trzymał się w Anglji przez całą drugą połowę XIX wieku. Hołdowali mu, jak wiadomo, Madox Brown (1821—1893), Holman Hunt (1827—1910), Dante Gabriel Rossetti (1828—1882), George Watts (1817—1904), największą jednak sławę zyskał Edward Burne-Jones (1833—1898), którego sztuka jest najsilniej zabarwiona twórczością subtelnego i wyrafinowanego Sandra Botticellego (1446—1510). Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że Jasiński od „kopjowania" Botticellego przeszedł niebawem do odtwarzania tak duchowo temu artyście pokrewnego Burne-Jones'a. Ale oprócz „prymitywów" wło-

skich pociągało Jasińskiego malarstwo niderlandzkie XV wieku, czego dowód mamy w portrecie mężczyzny, podług van Eycka. Jasiński jest o tyle anachronizmem, że w czasie, w którym zarzucano już grafikę odtwórczą i przechodzono już do grafiki zupełnie oryginalnej, samoistnej, prawie wyłącznie odtwarzał dzieła innych artystów.

Pan Wellisz ma dużą zasługę, że swoją gruntowną i krytyczną pracą wyjaśnił nam życie i twórczość niepospolitego i zasłużonego artysty. Przyjemnie i z dużą korzyścią czyta się tę, prześlicznie wydaną książkę, będącą wyrazem pietyzmu dla artysty. W książce p. Wellisza znajdujemy nadto szczegółowe i bardzo fachowe omówienie technicznej strony graficznych prac Jasińskiego przez znanego grafika, p. Tadeusza Cieślewskiego Młodszego, ale ta część cennej publikacji jest dostępna jedynie dla specjalistów. Ostatnia część książki p. Wellisza to bardzo staranny katalog rzeczowy prac Jasińskiego. Książka p. Wellisza, także i z powodu swej zewnętrznej szaty — wydana tylko w 550 numerowanych egzemplarzach, z których jedynie 500 będzie dostępnych w handlu — zostanie niewątpliwie powitana z entuzjazmem, nietylko przez miłośników grafiki, ale i bibljofilów.

Juljan Pagaczewski.

Ryszard Piestrzyński: N a r ó d w p a ń s t w i e. Stron 186. Nakładem wydawnictwa Awangardy, skład główny w „Domu Książki Polskiej".

Książka p. Piestrzyńskiego jest w znacznym stopniu zbiorem ogłoszonych już dawniej artykułów i rozpraw; pozostała ona „w oderwaniu od bieżącej polityki". To też jest i główna jej zaleta. Autor, należący „do młodych" obozu „narodowego", odczuł „potrzebę poddania rewizji dotychczasowych pojęć politycznych, — metod postępowania...." Chodzi autorowi i skupionym dookoła Poznańskiej „Awangardy" jego młodym przyjaciołom politycznym o „naprawę i rozwiązanie... zagadnień polskich... zarówno w duchu czasu, jak i w myśl dążeń n o w o c z e s n e g o polskiego ruchu narodowego", jednak bez żadnego „naśladownictwa wzorów obcych....."

Autor wyprowadza „ruch narodowy" młodego pokolenia w Polsce z „instynktów", domagających się „reformy" życia wewnętrznego narodu i państwa, odsunięcia od wpływu na życie państwowe czynników obcych i międzynarodowych, a zapewnienia bezwzględnego panowania żywiołom rodzimym i dośrodkowym. Odrzuca on bezwzględnie „demoliberalizm" i „demokrację parlamentarną", domagając się przewagi władzy wykonawczej o jaknajwiększym autorytecie, wskazując m. i. na odstraszający przykład parlamentaryzmu francuskiego. Krytykuje on śmiało i bez ogródek politykę „stronnictwa narodowego" i jego „ludowo-narodowych" poprzedników, głównie z powodu opierania się ich

o „gasnący świat" parlamentarny i demagogji masowej. Odrzuca on „obronę egoistycznie pojętej wolności osobistej", grożąc „stronnictwu narodowemu" — podzieleniem losu, zamierającego.... centrolewu, o ile zechce ono nadal uprawiać „politykę... wymierzoną wytycznie przeciw komuś", zamiast wyłącznie „walki o coś". „Wyłączna negacja prowadzi prostą drogą do zwyrodnienia całego systemu politycznego".

P. Piestrzyński uważa uchwalenie nowego projektu konstytucji przez sejm za objaw dodatni, uważając, że „koncepcje" jego „są do pewnego stopnia w duchu czasu, co może gwarantować im trwałość". „Nowa koncepcja senatu... mogłaby się stać w razie odsunięcia od wpływu na skład izby wyższej żywiołów odśrodkowych, źródłem unarodowienia ustroju". Autor ubolewa jedynie nad tem, że za wiele ten projekt zawiera jeszcze kompromisów „z zasadami liberalnemi", że więc za mało zapewnia „rządy autorytatywne", że wreszcie nie zabezpiecza „krążenia elity", którą, hołdując bezwzględnie samej zasadzie „elity rządzącej", uważa za konieczną. Autor uznaje bowiem tylko jakość obywateli, a nie ilość za podstawowy element ustrojowy. Powołując się na przykłady historyczne i opinje historjozofów, uważa on „zastój" polityczny, spowodowany „zahamowaniem dopływu młodych sił" przez zbytni „konserwatyzm" grupy rządzącej za rzecz niedopuszczalną w interesie państwa. Nowa konstytucja jest, zdaniem autora, etapem na drodze „ku narodowemu państwu". Cechą zasadniczą tego państwa będzie „organizacja narodu", proponowana mniej więcej analogicznie do form realizacji tego zagadnienia we Włoszech i Niemczech; autor nie stawia jednak pod tym względem kropki nad i, nie wypowiadając się szczegółowo na temat proponowanej ogólnikowo korporacyjnej i hierarchicznej organizacji społeczeństwa „gospodarzy państwa". Gospodarzami takimi, w myśl ideologji nacjonalistycznej, mogą być oczywiście tylko Polacy, oraz asymilowani Słowianie, względnie inni obywatele rasy aryjskiej. Odrzuca autor natomiast kategorycznie asymilację żydów, uważając ich za żywioł obcy, pasorzytniczy i destrukcyjny. Autor odrzuca wszelkie „szowinistyczne" podejście do zagadnień mniejszościowych, nie daje nam jednak żadnej konkretnej recepty — poza wiarą w asymilację narodową Rusinów — na rozwiązanie tego problematu. Autor prześlizguje się również milcząco nad pytaniem, jak pogodzić jego rasowy pogląd na zagadnienie stosunku żydów do państwa z nauką katolicką, dla której chrzest jest ostatecznem źródłem zrównania chrześcijanina z żydem.

P. Piestrzyński — *sine ira et studio,* a nawet z pewną sympatją wyraża się o „Piłsudczykach", ich ideologji i zasługach dla państwa. Widzi on tylko w nich uprawnionych do współzawodnictwa z „narodowcami" o rządy w państwie ideowców „elitarnych". Zaznacza on im tylko „lekceważenie społeczeństwa" i policyjny raczej charakter rządów, bagatelizowanie niebezpieczeństwa

żydowskiego, niedocenianie czynnika „narodowego" i brak dostatecznego moralno - etycznego przeciwdziałania rozwiązłości obyczajowej. Wobec tego stawia on wyżej „elitę narodową". Omawiając zagadnienie ustrojowe, autor wypowiada się za monarchją dziedziczną, jako najlepszem rozwiązaniem zagadnienia ponadpartyjności, autorytetu i ciągłości władzy naczelnej. Pod tym względem konkluzje jego schodzą się zupełnie z wnioskami pracy znanego monarchisty p. Leszka Gembarzewskiego p. t. *Monarchja Narodowa, jako hasło XX-go wieku.* Odważne stwierdzenie dodatnich stron ustroju monarchistycznego, zwłaszcza dla państw narodowościowo - mieszanych, jest może najbardziej sensacyjną (i sympatyczną) cechą książki p. Piestrzyńskiego. Mniej wyraźnym jest on w części, poświęconej zagadnieniom gospodarczym, chociaż tezy o przesileniu kapitalizmu w okresie powszechnej pauperyzacji i o upadku wymiany międzynarodowej w dobie kryzysu górują znacznie nad odnośnemi wywodami frazeologicznemi p. Romana Dmowskiego.

Bardzo znamiennem jest zakończenie tej pracy: Autor podkreśla, że stosunek młodego pokolenia do życia musi być „krótszy i pozytywny", gdyż „biadaniem i utyskiwaniem.... biernem wyczekiwaniem... nieustannem gorszeniem się wypadkami, obrażaniem się na wszystkich dookoła, lub też dostojnem trwaniem na uboczu.... celów swoich osiągnąć nie można". Takie ujmowanie sprawy napawa otuchą i wiarą, że „jutro Polski" nie będzie już należeć do nieubłaganych uprzedzeń partyjnych, a przeciwnie do nieuniknionego zbliżenia się — mimo wszelkich różnic — młodych patrjotów. Książkę p. Piestrzyńskiego czyta się z całą przyjemnością, której nie zmniejszają nawet oczywiste błędy, jak np. upieranie się przy „orjentacji rosyjskiej" itd. Fakt skrytykowania tej książki przez publicystów starszego pokolenia „narodowego" dowodzi, jak śmiało autor wziął się do przełamania partyjnych przesądów. To też i książka jego zasługuje na powodzenie.

Adam Romer.

Ks. Paweł Kubicki, biskup-sufragan sandomierski: Bojownicy kapłani za sprawę Kościoła i Ojczyzny w latach 1861—1915. Sandomierz 1933. Nakładem autora. 3 tomy, Str. LVI+582+658+862.

Olbrzymia i mrówcza praca! Przeszło 2000 stron druku, a byłoby ich o kilkaset więcej, gdyby Autor nie uciekł się do częstych skrótów wyrazów. A te trzy tomy razem wzięte, stanowią dopiero pierwszą część zamierzonej przez Autora całości. Dostojny Autor bowiem powziął olbrzymi zamiar przedstawić obraz cierpień, prześladowań, dokuczliwości wycierpianych przez polski kler katolicki w zaborze rosyjskim, nawet nie za cały czas niewoli, ale tylko w ostatnim, jej 50-letnim okresie, od ruchów

1861 r. do wojny światowej. Trzy tomy, które już posiadamy, obejmują diecezje b. kongresówki; pozostały do opracowania diecezje „Cesarstwa", t. j. „Kraje zabrane" i sama Rosja.

Dla dopięcia zamierzonego celu trzeba było przewertować personalne akta księży we wszystkich konsystorzach, setki fascykułów w archiwach państwowych, różnorodny materjał pamiętnikarski, korespondencyjny, liczne dotychczasowe druki, — i tego ks. Biskup dokonał, tak iż w całej pracy niema żadnego twierdzenia, które nie byłoby poparte autentycznym dokumentem. Nakreśliwszy na przeszło 300 stronach ogólny obraz wrogiego stosunku rządu rosyjskiego do Kościoła, Autor następnie przechodzi diecezję za diecezją okazując jak ten wrogi stosunek odbijał się na poszczególnych jednostkach z pośród duchowieństwa. Znajdziemy tutaj około 1500 nazwisk kapłanów, biskupów, zakonników, ukaranych w ten lub inny sposób. Kary, począwszy od kilku rubli sztrafu, a kończąc katorżnemi robotami lub śmiercią. Przestępstwa Autor grupuje w cztery kategorje: a) „sprawy Kościoła", t. j. wypełnianie pewnych obowiązków kapłańskich wbrew krępującym ustawom państwowym; b) sprawa Ojczyzny, t. j. patrjotyczna polska działalność; c) wykroczenia z racji nabożeństw galowych; wreszcie d) przekroczenia przepisów paszportowych. Ostatnia kategorja ma tutaj także zupełne uzasadnienie, bo te przepisy były dla księży wyjątkowe, obliczone na utrudnienie im spełniania obowiązków ich powołania.

Czcigodny Autor oddał swą żmudną pracą olbrzymią usługę Kościołowi, społeczeństwu i historycznej nauce. Obecnie, kiedy kler katolicki w Polsce atakowany jest przez rozmaite „patrjotyzmy" za rzekomy brak uczuć i zasług patrjotycznych w teraźniejszości i przeszłości, książka ks. Biskupa Kubickiego będzie najlepszą na te oskarżenia odpowiedzią. Nauka także zyskuje w tem dziele obfity materjał do historji martyrologji naszego narodu w zaborze rosyjskim.

Ks. J. Urban T. J.

Franklin Delano Roosevelt: Spojrzenie w przyszłość. Warszawa 1934. Wydawnictwo Nowoczesne. Autoryzowany przekład M. F. Sieniawskiego. Str. 276.

W swojem orędziu do Kongresu wspomniał Roosevelt o wypędzeniu bankierów i wekslarzy z świątyni. Państwo, zdaniem jego, nie może patrzeć obojętnie na bogacenie się jednych kosztem drugich. W polityce celnej musi być uwzględniany nietylko przemysł, ale i rolnictwo; towarzystwa akcyjne nie mogą być wyzyskiwane przez bogatszych akcjonarjuszy z krzywdą drobnych udziałowców; państwo winno się o to zatroskać, by miejsce złotego cielca coraz to większych zysków zajął sprawiedliwy podział społecznego dochodu, który zarazem wydźwignie z nędzy miljony bezrobotnych oraz podupadłej ludności wiejskiej, a przytem roz-

szerzy i dla przemysłowca rynek zbytu przez powiększenie siły nabywczej ludności.

Szerokie rozwarcie „nożyc" cen produktów rolnych i przemysłowych, które od roku 1914 wzrosło o 50%, oraz malejący udział wsi w dochodzie społecznym (w r. 1922 było 15%, 1925 już 11%, 1928 tylko 9%, 1933 ledwie 7%) przypisuje w znacznej mierze prohibicyjnym cłom na wyroby przemysłowe, które zresztą samemu przemysłowi na dobre nie wyszły, skoro natychmiast po billu Grundy'ego z 1930 r. w przeciągu dwu lat eksport amerykański spadł z 394 na 115 miljonów dolarów, ponieważ dłużnik zagraniczny, nie mogąc spłacać się towarami, utracił podstawę dla swojej waluty i odstąpił od parytetu złota, zmniejszając swoją siłę nabywczą w stosunku do produktów amerykańskich, odwetowe zaś podwyższenie barjer celnych zmusiło kilkaset fabryk do przeniesienia się poza granice Stanów, a tem samem do wzmożenia bezrobocia w kraju.

Jednocześnie piętnuje Roosevelt fakt, że garstka bogaczów, nie więcej nad 5.000, skupiła w 600 koncernach $^2/_3$ całego przemysłu, a kilkadziesiąt domów bankowych i firm maklerskich ujęło w swe ręce ruch kapitałów wewnątrz kraju i zagranicą. W interesie tych potentatów kapitalistycznych jest jak największa tajność ich pociągnięć i jak największa swoboda, której sprzyja niesłychanie zacofany, wywodzący się jeszcze z 1670 r., system administracji oraz samorządu lokalnego. Roosevelt domaga się reorganizacji aparatu administracyjnego i kontroli Państwa nad działalnością poszczególnych przedsiębiorstw. Dokładne i rzetelne statystyki mają umożliwić każdemu zainteresowanemu wgląd w istotny stan rzeczy, zapobiegając tego rodzaju oszustwom, jak głośne bankructwo koncernu Insulla, które pozbawiło drobnych przeważnie udziałowców półtora miljarda dolarów, oraz dać podstawę do planowej gospodarki, skierowującej siły ekonomiczne na właściwe tory celem zapobieżenia nadprodukcji, lecz nie pozbawiającej osób prywatnych prawa inicjatywy.

Kreśląc ogólne wytyczne swego programu, lubi się Roosevelt powoływać na reformy, przeprowadzone w stanie New-York, gdzie przez dwie kadencje był gubernatorem i rzeczywiście dużo się przyczynił do uzdrowienia stosunków, zwłaszcza pośród farmerów, którym w znacznej mierze zawdzięcza swój wybór na prezydenta. Lecz nie uważa swego programu za ostatecznie skrystalizowany i dlatego wzywa także inne stany, by one utworzyły dalszych 48 laboratorjów, w którychby można było wypróbować poszczególne projekty, zanim się je rozciągnie na całe państwo związkowe. Z tego też względu trudno obecnie przesądzić zagadnienie, czy i o ile można „rooseveltyzm" zaliczyć obok mussolinizmu i hitleryzmu do kierunków faszystowskich, z któremi łączy go wrogie nastawienie do wielkiego kapitału.

Ks. Wacław Zajączkowski T. J.

Kuno Fischer: Schopenhauers Leben, Werke und Lehre Gedächtnis-Ausgabe Heidelberg 1934. in 8° str 577.

Zdaniem Kuno Fischera filozofja jest tylko samopoznaniem ducha ludzkiego. Aposterjorycznym dowodem na to twierdzenie ma być fakt historyczny, że samopoznanie jest zasadniczym tematem wszystkich systemów filozoficznych. Również z pojęcia filozofji, jako nauki o całokształcie rzeczy wynika to samo, bo całokształt rzeczy (der Inbegriff der Dinge) nie istnieje w sobie, lecz w poznającym podmiocie. „Die Welt sind wir selbst". (Gesch. d. neueren Phil. I B. 13), Ponieważ zaś istota ducha ludzkiego polega na ciągłym twórczym rozwoju, więc samopoznanie tego ducha czyli filozofja musi być ciągłym procesem; jej prawda musi się wiecznie stawać, filozofja musi się nakrywać z historją filozofji, gdyż każdemu systemowi przysługiwać musi historyczna prawda. Ze stanowiska prawdy niezmiennej nie można, zdaniem K. Fischera, mówić o historji filozofji. Takie stanowisko pozwala jedynie albo na opowiadanie o filozofach, ich systemach i szkołach, a brak będzie wszelkiej filozofji, albo też systemy filozoficzne staną się wyłącznie przedmiotem naszej krytyki i otrzymamy wtedy filozofję bez historji.

Stanowisko K. Fischera oparte o idealizm Hegla nie da się pogodzić z filozofją chrześciańską i nie jest koniecznym warunkiem możliwości historji filozofji, którą chyba równie dobrze można studjować i rozumieć ze stanowiska realistycznego, jak i idealistycznego. Przedmiot od ducha niezależny może dopuszczać w pewnych granicach historję, a napewno dopuszcza ją, jak sam K. Fischer przyznaje, nasze niedoskonałe poznanie, gdyż „adaequatio intellectus ad rem" godzi się ze stopniowym rozwojem i postępem w kierunku coraz głębszego i wszechstronniejszego nakrywania się myśli z przedmiotem. Tylko niezmiennego przedmiotu doskonałe poznanie wyklucza historję.

Jakkolwiek więc stanowiska metafizycznego, jakie zajmuje K. Fischer, podzielić nie możemy, to chętnie przyznajemy, że to stanowisko w wielu wypadkach wpłynęło dodatnio na rozwój nauk historycznych wogóle, a w szczególności na historyczne prace samego Fischera i przeoczenie tych wartości byłoby dowodem jednostronności.

Dlatego sądzimy, że pojawienie się czwartego wydania monografji o Schopenhauerze, jako IX tomu historji filozofji K. Fischera, każdy powita z radością.

Wydawca staje tu wobec trudnego problemu. Jeśli nie uwzględni zdobyczy późniejszych badań, dzieło straci w pewnej mierze na wartości, przestając być wprowadzeniem do głębszego studjum. By dzieło zyskało wartość aktualną, względnie by ją zachowało trzebaby uzupełnić autora w myśl rezultatów, do jakich doszły późniejsze badania. Kwestję uzupełnień dotyczących jedynie izolowanych faktów, dat i cytatów można rozwiązać sto-

sunkowo łatwo, bo ich zmiana nie pociąga konsekwencyj i nie wpływa na jednolitość dzieła. Do takich właśnie poprawek w tekście ograniczył się wydawca, prof. Herman Glockner, biorąc za podstawę tekst trzeciego wydania z 1908 r., które wprowadzało tylko nową pisownię do tekstu drugiego wydania z 1897 r., (t. j. ostatniego za życia autora).

Trudniej natomiast rozwiązać sprawę uzupełnień, odnoszących się do sądów, nowych naświetleń, które wchodzą nieraz bardzo głęboko w całe dzieło. Chcąc nadać dziełu wartość aktualną, by mogło nadal wprowadzać w studjum Schopenhauera, wydawca obrał chyba najodpowiedniejszą drogę, uzupełniając w dość obszernym dodatku (str. 538—564) katalog wydań dzieł Schopenhauera z krótkiem omówieniem istotnych cech każdego wydania. Dla orjentacji czytelnika w kierunkach studjum nad Schop. podaje wydawca literaturę od 1897 r. (t. j. od drugiego wydania). Czytelnik znajdzie krótkie omówienie „Jahrbücher der Schopenhauer-Gesellschaft" i „Schopenhauer-Archiv" najważniejsze publikacje niemieckie i inne, oraz najważniejsze stanowiska, z jakich badano życie i dzieła Schopenhauera. Dlatego czwarte wydanie dzieła K. Fischera będzie nadal wszechstronnem i głębokiem wprowadzeniem do pracy nad Schopenhauerem.

Ks. Józef Chechelski T. J.

Ks. Dr. Emil Szramek: Śląsk jako problem socjologiczny. Próba analizy. Katowice 1934. Str. 80 in 8°.

Że Śląsk jest problemem, a nawet splotem przeróżnych problemów, o tem chyba taki tylko może wątpić, kto zupełnie nie zna tego szczególnego kawałka ziemi, wystawionego od wieków na tak sprzeczne wpływy i wtłoczonego w najtrudniejsze warunki, uniemożliwiające prawie jednolity rozwój. O Śląsku bardzo wiele pisze się ostatniemi czasy, z różnych punktów widzenia i w różnych rodzajach naukowej i literackiej twórczości. Ale właśnie potraktowanie Śląska jako problemu, nad którym trzeba dużo się zastanawiać i pracować było bardzo potrzebne. A że tę kwestję w ten sposób omówił człowiek bardzo szlachetny, bardzo światły i oczytany, bardzo objektywny, a wybornie znający i kochający swą śląską ojczyznę, to trzeba powitać z wielką radością, jako poważny krok naprzód w poznaniu i należytem pokierowaniu skomplikowanych śląskich stosunków. Zasługa autora jest tem większa, że w tej kwestji jest z wielu względów niesłychanie trudno powiedzieć pełną prawdę, tak jak się ją rozumie i odczuwa, a mimo to ks. Szramek powiedział lub natrącił prawie wszystko, co powiedzieć było trzeba, a zrobił to z wielką godnością, spokojem i szlachetną miłością chrześcijańską. — Treść pracy ze wszystkich stron wychodzi poza jej ciasny tytuł. Autor porusza nietylko socjologiczne, ale narodowe, polityczne, ekono-

miczne, religijne, ogólno - psychologiczne zagadnienia, dotyczące swej ojczyzny. Niestety nie wyczerpuje ich dość dokładnie; trochę za wiele cytuje ze swej zadziwiająco rozległej lektury, a za mało daje nam wątku swoich własnych, cennych myśli. Ale mimo tych niedostatków; mimo że praca ta powinnaby być nie broszurą, lecz poważną książką, można się u ks. Szramka dużo nauczyć, dużo znaleźć wskazań dla myśli i pracy, a zawsze w bardzo trafnym kierunku. Zgóry można było domyśleć się, że ta książka będzie miała przeciwników i surowych krytyków, ale to bynajmniej nie zmienia faktu, że Autor jej dokonał czynu wielkiej zasługi i że trzeba sobie życzyć, by pracę jego gruntownie przestudjowali wszyscy, od których losy Śląska w jakiejkolwiek mierze zależą. W analizę poszczególnych problemów wdawać się tu nie możemy, bo są one zbyt złożone i rozległe. Możemy tylko tyle powiedzieć, że rozwój Śląska wymaga ekonomicznego podźwignięcia a zatem i socjalnego oraz intelektualnego podniesienia jego własnej ludności, pełniejszego jej uświadomienia w kierunku polskim, utrwalenia i obrony jej głębokiej religijności. A co się tyczy ułożenia politycznych warunków bytu, żadna ludzka siła nie sprawi, żeby polski Śląsk przestał spoglądać z tęsknotą, ku swej odwiecznej arterji życia — ku Odrze.

Ks. J. Rostworowski T. J.

S. Teresa Kalkstein C. R.: Zmartwychwstanka. Wewnętrzne dzieje S. Zofji Czarneckiej C. R. (1897—1926) Katowice 1933. Str. 404. in 8°. 14 ilustr. na kr. pap.

Szczęściem i u nas wchodzi potrochu w zwyczaj to, czemu np. Francja zawdzięcza cały ogromny dział swej literatury religijnej t. j. utrwalanie przez osobne biografje, pamięci dusz szczególnie od Boga obdarzonych i wybitniej Bogu wiernych. Że do takich należała młodziutka zakonnica, której dzieje wewnętrzne skreśliła w tej książce kochająca a wprawna ręka, o tem przekona się każdy, kto ten ładnie wydany tomik weźmie do ręki. Urodzona w r. 1897 w Warszawie, w zacnym, wybitnie inteligentnym domu, po skończeniu szkoły średniej i kursów pedagogicznych Kat. Zw. Polek, jesienią r. 1920 wstąpiła Zofja Czarnecka do Zgrom. SS. Zmartwychwstanek w Kętach. Obdarzona z natury idealnem, bardzo poetycznie nastrojonem usposobieniem, pod wpływem łaski i zewnętrznych warunków życia w gorliwem Zgromadzeniu zakonnem, zaczęła rwać się do coraz większego zjednoczenia z Bogiem, przez zupełną ze siebie ofiarę. Po bardzo szybkim rozwoju duchownym w nowicjacie Kęckim, złożywszy śluby, posłaną została do Warszawy, gdzie w Domu św. Józefa na Sewerynowie, obok pierwszych prac naukowo-wychowawczych, miała pogłębiać w sobie życie wewnętrzne i zaszczepione w nowicjacie zakonne cnoty. Praca naukowa, dzięki jej niepospolitym zdolnościom, szła świetnie,

ale przedewszystkiem duchowne życie wzmocniło się tak, że zaczęło dosięgać prawdziwych wyżyn. Bóg sam ją uczył i wyraźnie spieszył się, by w krótkim, przeznaczonym sobie okresie rozwoju, mogła „przeżyć czasów wiele". Bo niestety zdrowie, oddawna wątłe, zaczęło coraz bardziej podupadać. Płomień żarzący się wewnątrz przegryzał i osłabiał zewnętrzną powłokę. Nie pomógł wyjazd na wieś, nie pomogły zabiegi i starania podejmowane w klasztorze, a potem wyjazd do Zakopanego: z jednej strony gwałtowna tęsknota za niebem samej Wybranej, z drugiej wyraźny napór potężnych, przemieniających łask zwiastowały już bliski koniec. I w rzeczy samej 8 lutego 1926 zamknął się ten śliczny kwiat na ziemi, by otworzyć się w pełni w niebieskiej ojczyźnie. Autorce niniejszych kart będzie społeczeństwo polskie głęboko wdzięczne że tyle woni owego ślicznego kwiatu przechowała w swej książce, przeważnie utkanej z zapisków i listów samej świątobliwej Bohaterki.

Ks. Jerzy Terlecki.

Z piśmiennictwa rosyjskiego i ukraińskiego.[1])

Nazwisko Wacława Lednickiego, prof. Uniw. Jagiell., kierownika jedynej w Polsce katedry literatury rosyjskiej, autora szeregu znakomitych studjów rusycystycznych, w szczególności z zakresu „puszkinologji" daje najlepszą gwarancję wartości i poziomu studjów literacko-naukowych, wydawanych w cyklu „Prace Polskiego Towarzystwa dla badań Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu". Jako nr. V tego cyklu ukazała się książka p. t. *Z piśmiennictwa rosyjskiego i ukraińskiego,* na jak najżywszą uwagę zasługująca przedewszystkiem dlatego, że poświęcona jest tematom tak bardzo ciekawym i aktualnym, a tak mało posiadającym w Polsce znawców i badaczy. Szczególnie przyjmując pod uwagę znikomą ilość prac naukowych polskich, poświęconych literaturze rosyjskiej, z radością trzeba ten piąty zeszyt wspomnianego wydawnictwa powitać, jako poważny zwrot w obojętności, jaka dotychczas cechowała naszą naukę i nasze piśmiennictwo naukowe odnośnie zagadnień, związanych z Rosją i sprawami rosyjskiemi.

Wszystkie albo prawie wszystkie artykuły, składające się na omawianą książkę, drukowane były uprzednio w *Przeglądzie Współczesnym.* Książka rozpada się na dwie części: w pierwszej znajdziemy artykuły na tematy, mniej lub więcej aktualne, w ten czy inny sposób wiążące się z politycznemi, kulturalnemi czy artystycznemi zagadnieniami i potrzebami chwili bieżącej. Część druga w całości jest poświęcona Dostojewskiemu i jego twórczości.

[1]) Prace Polskiego Towarzystwa dla badań Europy Wschodnie i Bliskiego Wschodu — pod redakcją dra Wacława Lednickiego, prof. Uniw. Jagiell. Nr. V, Kraków 1934. Str. 162 i 58.

Z prac, dotyczących spraw rosyjskich, wyróżnić należy studja znakomitego poety rosyjskiego doby obecnej, czołowego przedstawiciela poezji emigracyjnej, Władysława Chodasiewicza p. t. *Literatura a władza w Rosji Sowieckiej* i *Literatura na wygnaniu*. Pierwszy z tych artykułów daje dokładny obraz tworzenia początków literatury sowieckiej, przyczem podkreśla rzadko spotykaną w dziejach literatury pięknej — olbrzymią rolę władzy państwowej w dziele budowania tego nowego piśmiennictwa. W interesujący sposób maluje autor walkę pisarzy i krytyki proletarjackiej z „poputczikami", t. j. pisarzami - inteligentami, którzy sympatyzując z rewolucją bolszewicką i oddawszy swój talent i swą sztukę na jej usługi, nie mogli wyzbyć się swej inteligenckości, „burżuazyjności" i swego — nie pokrywającego się z proletarjacko - materjalistyczną ideologją — poglądu na sztukę. Na uwagę i najwyższą pochwałę zasługuje „odbronzowanie" futurysty Majakowskiego, którego sylwetkę i rolę przedstawia Chodasiewicz we właściwem, a mało pociągającem świetle, a który — niewiadomo dlaczego — urósł w opinji sfer literackich i krytycznych Polski Odrodzonej do rozmiarów jednego z największych poetów rosyjskich. Surowy sąd Chodasiewicza i bardzo pesymistyczne wnioski jego, dotyczące piśmiennictwa sowieckiego, są słuszne i dadzą się usprawiedliwić, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że studjum jego pisane było przed epoką rozkwitu literatury sowieckiej... rozkwitu, reprezentowanego przez Szołochowa i A. Tołstoja.

Nietylko dużo objektywizmu i trzeźwego sądu, ale przedewszystkiem olbrzymią odwagę cywilną wykazał Chodasiewicz — sam emigrant i twórca emigracyjny — wydając wyrok potępienia i przepowiednię rychłej zagłady rosyjskiej literaturze emigracyjnej. Chwilami jednak sąd jego jest za surowy i nie zauważa czy nie chce zauważyć na polu piśmiennictwa emigracyjnego pisarzy i artystów tej miary, co Czirikow i Ałdanow.

Piotr Sawickij zaznajamia polskich czytelników z problemem i ideologją eurazyjską, której główną tezą jest uznanie Rosji za świat geopolityczny i kulturalny, odrębny od reszty Europy — świat eurazyjski. Cechuje więc Eurazjan negatywny stosunek do aktualnego od czasów Piotra Wielkiego „okcydentalizmu" rosyjskiego; uznając zdobycze rewolucji, szczególnie socjalną, gospodarczą, kładą Eurazjanie nacisk na konieczność zachowania i pielęgnowania religijnego pierwiastka w kulturze rosyjskiej. P. Sawickij jest nietylko wybitnym uczonym — teoretykiem ruchu eurazyjskiego, — w artykule omawianym okazuje się on i świetnym apologetą i propagatorem idej eurazjańskich, co szczególnie uderza w części drugiej. Szkoda, że w swem szczegółowem omawianiu literatury, dotyczącej ruchu eurazjańskiego, pominął p. Sawickij znakomitą książkę W. Iwanowa *My*, popularyzującą historyczne podłoża eurazjanizmu, w szczególności rzucającą nowe

światło na istotę państwowości i kultury mongolskiej w w. XII, XIII i XIV.

Sergjusz Hessen omawia losy ideału wychowania komunistycznego.

Wybitny poeta ukraiński, Eugenjusz Małaniuk zapoznaje czytelnika polskiego z egzotycznym dlań światem literatury ukraińskiej. Bardzo ciekawy jest artykuł o Tarasie Szewcence rzucający nowe światło na prawdę psychicznego i artystycznego tego rzekomo „chłopskiego" poety.

Studja o Dostojewskim w części drugiej są pióra Branka Lazarewic'a, Mikołaja Arsemowa i Jerzego Stempowskiego. Ten ostatni porusza w sposób niezwykle oryginalny, choć bardzo ryzykowny i mało przekonywujący, tak przykrą dla każdego Polaka sprawę fanatycznie — wrogiego stosunku Dostojewskiego do Polaków.

Z niecierpliwością czekamy na dalsze zeszyty wydawnictwa „Prace Polsk. Twa dla badań Europy Wsch. i Blisk. Wschodu". Narazie, prócz Stempowskiego, piszą o sprawach rosyjskich sami nie-Polacy, przeważnie Rosjanie. Jest jednak nadzieja, że podjęta przez prof. Lednickiego praca wydawnicza zachęci krytyków i badaczy polskich do zajmowania się sprawami rosyjskiemi. A o to głównie chodzi.

Teodor Parnicki.

J. Monval, Les Sulpiciens, Paris Grasset, Copyright 1634, str. 283, 8 vo.

Książka jest homagjum dla „ces Messieurs de Saint-Sulpice", którzy od wieków już tak pożytecznie pracują w zaciszu seminarjów duchownych dla dobra przyszłych kapłanów, którzy wyrobili wprost klasyczną tradycję wychowania kleru, nie tylko francuskiego. Zkolei powstają przed nami postacie czcigodne M. J. J. Olier'a, założyciela, M. Tronson'a, prawodawcy, M. Emery'ego, który zdołał przetrwać rewolucję, lecz patrzał na męczeństwo swych współbraci, a przy całej swej ustępliwości wobec dających się jeszcze pogodzić ze sumieniem, wymagań tylu rządów, umiał jednak przeciwstawić się Napoleonowi, sam jeden, w obronie praw Stolicy Apostolskiej. Dzieje Stowarzyszenia doprowadzone aż do ostatnich czasów, do generalstwa obecnego kardynała arcybiskupa paryskiego Verdier'a, którego wizyta domów Zgromadzenia w Kanadzie i Stanach z r. 1932 uzupełnia przegląd obecnego stanu posiadania. — W drugiej części przypatrujemy się duchowemu obliczu Sulpicjanina, począwszy od nowicjatu, poprzez życie ukryte z Chrystusem w Bogu. Tonem zasadniczym jego duszy to idea i ideał kapłaństwa Chrystusowego, do którego dąży przez ciche obumieranie sobie, ducha ofiary, zjednoczenie z Arcykapłanem N. Przymierza, a to wszystko połączone z umiarem, przysłowiowym duchem tradycji, wiernością w rzeczach

niepozornych. — Dla ilustracji: Kiedy Don Bosco, zaproszony na „lecture spirituelle" do seminarjum w Issy spóźnił się i porządek dzienny musiał ulec zmianie, powtarzano wierszyk, że dziś Święty zdziałał swój największy cud, bo reguła św. Sulpicjusza ugięła się przed nim. — Z drugiej strony bohaterska wierność przepisom usposobiła synów duchownych M. Olier'a do tego, że tak samo miarowym krokiem szli na męczeństwo, odmawiając brewjarz, jak zwykli iść na codzienne ćwiczenie duchowe. — Zresztą asceza nie przeszkadza pewnemu swoistemu suchemu humorowi, nie tamuje też linji postępu. Książka przynosi zaszczyt wydawnictwu „Les Grands Ordres monastiques et Instituts religieux", którego ukazało się już tomów 14.

M.

Ks. Piotr Stach: Kwestja biblijna w świetle encykliki „Providentissimus Deus", Lwów 1934. Bibljoteka religijna Str. 74.

Dnia 18 listopada 1933 r. upłynęło 40 lat od wydania encykliki Ojca św. Leona XIII *Providentissimus Deus*, która przyczyniła się niemało do wyświetlenia stanowiska katolickiego w t. zw. kwestji biblijnej, a tem samem do pięknego rozwoju studjów nad Pismem św. Ks. Dr. Stach, profesor i dziekan Wydziału teologicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie zabrał na 40-lecie encykliki głos w tej sprawie w lwowskiej „Gazecie kościelnej", a artykuły swe połączył w obecnej broszurze. Podaje w niej bardzo jasno nasamprzód tło historyczne encykliki, mianowicie: ataki racjonalistów na nieomylność Pisma św., zarażenie zasadami racjonalistycznemi niektórych egzegetów katolickich, zwłaszcza we Francji (Loisy). W drugiej części rozprawy streszcza dość obszernie encyklikę papieską, w trzeciej opowiada o doniosłych skutkach tejże encykliki. Rzecz przydatna nie tylko dla profesorów i słuchaczy teologji, lecz również dla wszystkich inteligentów, pragnących zdać sobie sprawę z nauki Kościoła o studjum Pisma św.

F. K.

W recenzji pracy Edwarda Krasińskiego „O Radziejowicach i ich gościach niektórych" (*Przegląd Powszechny* t. 202 str. 328/9) sprostowałam informacje o dacie drugiego ślubu Sienkiewicza. Obecnie Autor zwraca mi uwagę na niesłuszność poprawki. Cofam ją więc chętnie dodając, że w sprostowaniu opierałam się na informacji K. Czachowskiego („H. Sienkiewicz" str. 24), jak się okazuje, nieścisłej. Dodaję, że Czachowski podaje również nieściśle nazwisko drugiej żony Sienkiewicza.

Zofja Ciechanowska.

Z literatury powieściowej.

Giovanni Papini — Żywy Dante, przełożył Edward Boyé, wyd. J. Przeworskiego. — Paweł Hulka-Laskowski: Mój Żyrardów (z dziejów polskiego miasta i z życia pisarza) wyd. J. Przeworskiego. — Helena Boguszewska: Całe życie Sabiny, wyd. J. Przeworskiego. — Iwan Bunin: Pan z San Francisco, przełożył Wacław Rogowicz, wyd. J. Przeworskiego. — Franciszek Körmendi: Przygoda w Budapeszcie, wyd. Gebethnera i Wolffa. — Stefan Kiedrzyński: Dzień upragniony, wyd. Trzaska, Evert, Michalski. — Edward Ligocki: Prawnuczka Fausta, wyd. Literacko-naukowe. — Armand Palacio Valdès: Grzesznica święta (z legendy złotej), wyd. św. Wojciecha.

Jeżeli Papini w początku swej świeżo na polskie przełożonej książki, *Dante żywy* powiada, że nie pisze jej dla krytyków i dantologów, lecz dla zwykłych czytelników — to także i do pisania o niej uprawnia niejako niefachowców i niedantologów. Dantolodzy będą o tej książce pisać napewno uczenie i wyczerpująco, bo choć Papini ze zwykłą sobie gwałtownością i szorstkością uczonych i krytyków niejako łokciami roztrąca, wyrażając się o nich często bardzo nieuprzejmie, to jednak sam zdradza wielkie fachowe wykształcenie i wielkie w dantologji oczytanie. Obraca się z wielką swobodą wśród wszystkich źródeł i dokumentów, polemizuje z wszystkimi, którzy Dantego komentowali i tłumaczyli. Kolejno i z nim będą uczeni polemizować. Tak jak on inaczej od swoich poprzedników komentuje różne dokumenta, tak i inni będą mu wykazywać napewno, że komentuje je błędnie i rozumie fałszywie. Nauka historji, nauka historji literatury jest wbrew pozorom nauką najbardziej zmienną i żywą. Stare dokumenty wydają się zwykłemu śmiertelnikowi najsuchszą z notatek, mogącą być tylko w jednym, oczywistym sensie rozumianą. Myślą tacy laicy, że jak raz taki dokument znaleziono i odczytano, niema już w nim nic ciekawego. Tymczasem dla badaczy, te stare pożółkłe papiery, to istne palimpsesty, z których przez wieki całe ciągle coś nowego wyczytać się da. A cóż dopiero mówić o dziele poety, tym najżywszym i najbardziej zmiennym palimpsescie, tym magicznym papierze, z którego każdy na swój sposób czerpie nietylko wrażenia i wzruszenia, ale które opowiada każdemu czytającemu, wiecznie nowe, dotąd niezauważone tajemnice o życiu, o usposobieniu, o duchowem obliczu pisarza. Tę właśnie metodę stosuje Papini. Dzieło Dantego jest dla niego głównem źródłem do odtworzenia duchowego oblicza poety. Papini wczytując się w to dzieło stara się usunąć z przed swych oczu stereotypowy obraz Alighierego, obraz smutnego, surowego, laurem uwieńczonego poety. Stara się zapomnieć o wszystkich od dzieciństwa słyszanych komunałach, stara się poetę i jego dzieło odkryć na nowo, własnem nieuprzedzonem oglądnąć spojrzeniem. Rzeczywiście powiedzieć można, że cała jego książka jest klasycznem, „odbronzowywaniem". Ale jeśli przed sobą, a tem samem i przed

nami, kruszy stereotypowy, rzeczywiście już mchem obrosły i nudny posąg z bronzu, to w jego miejsce nie zostawia pustki, ani tem bardziej nie lepi posągu z gliny i błota, lecz bronz zastępuje materjałem ognia, a w miejscu posągu widzimy człowieka, wielkiego całą tragiczną wielkością ludzką, człowieka uskrzydlonego najpotężniejszą myślą, najpotężniejszym talentem, jakim kiedykolwiek Bóg - Stwórca obdarzył swoje stworzenie, człowieka w którym się pali iskra Bożej wielkości, ale który sam podległy jest wszystkim ludzkim słabościom. Ten *Dante* Papiniego, taki wielki i potężny, a tak ludzki, ułomny i niedoskonały — jest rzeczywiście żywy, rzeczywiście nam bliski. — Papini rozbija swoją książkę na 6 części: Prolegomena, Życie, Dusza, Dzieło, Los. Każda z tych części rozpada się na krótkie rozdziały. Każdy z tych rozdziałów mówi albo o jakimś fakcie z życia Dantego, albo o jednej z właściwości jego charakteru, albo o jakimś szczególe jego dzieła. Ale właściwie wiadomości o życiu poety są skąpe, wszystko sprowadza się do samej analizy dzieła. W *Boskiej Komedji* wyczytuje Papini historję religijnych i politycznych przekonań Dantego, w *Boskiej Komedji* czerpie wiadomości o gwałtowności jego uczuć, o jego ambicjach i marzeniach, o jego tęsknotach, gniewach i nienawiściach. Z jego dzieła wyczytuje historję jego sierocego dzieciństwa, wiadomości o jego małoznaczącej roli politycznej, o jego skromnej socjalnej pozycji, o jego burzliwem, namiętnościami wszelkiego gatunku rozdzieranem życiu. Pisarza tak niezmiernie żywego, jak Papini, Dante interesuje nietylko historycznie, interesuje go — i to przedewszystkiem — w jego stosunku do nas; dzieło jego czyta nietylko okiem badacza, ale okiem żyjącego w XX w. człowieka, człowieka, który w wiecznie młodej *Boskiej Komedji* szuka odpowiedzi na dziś gnębiące go pytania, szuka pokarmu dla swej dzisiejszej wrażliwości. I tu roztacza Papini przed nami myśli rzeczywiście młode i świeże. Uderza nas przedewszystkiem uwaga o politycznej niejako aktualności Dantego. Powiada Papini mianowicie, że w czasach renesansu i później procesy narodowe dążyły do formowania się narodów i że wtedy dantejska koncepcja wielkiej europejskiej jedności, wydawała się czystą utopją. Dziś widzimy, że te procesy były może konieczne, ale nie ostateczne. Rozkład średniowiecznego chrześcijaństwa doprowadził do rzezi i nędzy. Zagony, o które tak wściekle narody walczyły, okazały się dla nich zbyt szczupłe, a narody Europy są dziś między sobą tak złączone wspólnotą wszelkich interesów, że wracamy do „utopji dantejskiej", do utopji może zmienionej w kształcie, ale tej samej w zasadzie, i że ta utopja jednolitości europejskiej, europejskiej jedności, wydaje się wielu jedyną deską zbawienia dla świata. Ciekawa jest też, wysunięta przez Papiniego koncepcja artystyczna; mówi on, że przez długi czas Piekło uchodziło za najlepszą część *Boskiej Komedji*. Ten „sukces" Piekła przypisuje Papini realistycznym prądom w sztuce, prądom, które

ostrość i plastykę wizji uważały za najistotniejsze warunki piękna i twierdzi dalej, że dziś, gdy pojęcia się zmieniły, nawet oficjalna krytyka wysuwa na plan pierwszy uskrzydlone liryczne ustępy Raju. Takie estetyczne pewniki są zawsze chwiejne, nie mają i mieć nie mogą cech prawdy bezwzględnej. Cytuję to zdanie Papiniego, aby wykazać jakie możliwości „ożywienia" dzieła Dantego wysuwa jego książka, z jaką świeżością i swobodą pozwala się do niego odnosić, cytuję je także dla tego, że to zapatrywanie odpowiada moim osobistym upodobaniom, które zawsze przekładały niektóre pieśni Raju i Czyśca (zwłaszcza ostatnie) nad ponure obrazy piekła. Dotąd zawsze z poczuciem „winy artystycznej" otwierałam mój egzemplarz *Boskiej Komedji* na tych ulubionych ustępach, dziś będę to czynić bez skruchy i wstydu. I to właśnie jest wielką zasługą książki Papiniego, że czyniąc nam Dantego żywym, uczyni nam żywszym i bliszym jego nieśmiertelny poemat, pozwoli go nam czytać niejako swobodniej i bezpośredniej. Powiada prześlicznie Papini, że poezja to środek zapomocą którego jedna dusza zapala drugą swoim płomieniem. To powiedzenie da się w całej pełni zastosować nietylko do książki o Dantem, ale do całej twórczości Papiniego. Wielu Papiniego nie lubi, zarzuca mu fanatyzm, jakąś ponurą namiętność, przesadną grandilokwencję. Może to wszystko prawda, ale jest w jego książkach ten właśnie zapalający płomień, ten zaraźliwy ogień, który dla mnie przynajmniej jest wspaniały i biorący. Prawda, że jest w jego książkach i nienawiść, ale jest i potężna miłość, jest moc zachwytu i podziwu, jest jakiś olbrzymi entuzjazm. Powiada Papini, że pisze o Dantem jako florentczyk o florentczyku, jako artysta o artyście, jako katolik o katoliku; ale nie mówi tego, bo może sam o tem nie wie, że głównie, pisze człowiek nie znający uczuć letnich, człowiek wielkich nienawiści i wielkich umiłowań, człowiek namiętny i gwałtowny — o podobnym w tych względach do niego wielkim florentczyku, o człowieku, który dla nielubianych miał tylko ogień piekielny, a dla lubianych chwałę niebieską!

Jeżeli ktokolwiek, naskutek niewiadomo skąd powstałych plotek, miał jeszcze jakieś wątpliwości co do szczerości nawrócenia Papiniego, to chyba straci je czytając tę tak wspaniale chrześcijańską i tak pokornie katolicką książkę.

Francuskie przysłowie mówi, że wszystko zrozumieć, to znaczy wszystko wybaczyć. Jeśli nie w całej pełni, to w każdym razie częściowo, da się ono zastosować do Pawła Hulki-Laskowskiego i jego książki *Mój Żyrardów*. Hulkę Laskowskiego znaliśmy dotąd z jego pracy publicystyczno-literackiej, z szeregu licznych artykułów, drukowanych w przeróżnych pismach, w dużej mierze w *Wiadomościach literackich*. Artykuły te, zajmujące się chętnie kwestjami religijnemi, najczęściej dotykały nas niemile

w naszych katolickich pojęciach i uczuciach. Już nietylko duch ich był zupełnie niekatolicki, ale oddychały wyraźną do katolicyzmu i Kościoła niechęcią, zdradzały zupełną nieznajomość prawdziwego ducha katolickiego, choć i wielkie, gruntowne w religijnej literaturze oczytanie i wysuwały cały szereg nieszczerych zarzutów przeciw Kościołowi. Nauce Kościoła przeciwstawiały jakąś religję chwiejną, mętną, niby to „czysto chrześcijańską", ale z prawdziwym duchem Ewangelji też mało zgodną. Książka *Mój Żyrardów*, która jest historją życia autora, daje nam klucz do zrozumienia jego psychologji i mentalności, daje nam wytłumaczenie tej przykrej i zadziwiającej zjadliwości z jaką Hulka-Laskowski odnosi się i do katolicyzmu i często do samego Boga, wytłumaczenie oczywiście nie w tym sensie, aby nas stanowisko ideowe autora w jakikolwiek bądź sposób przekonało, abyśmy mu w jakimkolwiek punkcie przyznawali rację, ale w tym sensie, że dalej potępiając jego stanowisko ideowe, mamy jednak znacznie więcej wyrozumiałości, może nawet sympatji dla autora. W tej usprawiedliwiającej genezie ideologji Hulki-Laskowskiego widzimy naprzód, że w kształtowaniu się jego umysłu kwestja religijna była zawsze ściśle związana z kwestją społeczną. Zagadnienia religijne, religijne trudności i poszukiwania były o wiele mniej rzeczą abstrakcyjnej spekulacji (ta przyszła jako objaw wtórny i nigdy nie decydujący) jak kwestją wytłumaczenia i sposobem normowania życia.

Paweł Hulka-Laskowski urodził się jako syn robotnika żyrardowskiego, protestanta. Życie dziecka robotniczego, dziecka, które od dziesiątego roku życia musi pracować i zarabiać, życie robotnika pracującego 10 do 12 godzin dziennie (tak było przed wojną), robotnika, który mimo względnego dobrobytu, musi patrzeć na powolną śmierć żony suchotnicy, bo na kurację, wyjazdy, nawet na „lepsze życie" go nie stać — nie należy do rozkoszy. Bieda jest zawsze dokuczliwa mimo, że literatura (zwłaszcza dawniejsza) sławiła życie proste i ubogie, jako ideał, mimo że często ludzie zapijając drogi koniak po sutym obiedzie, mówią o szczęściu i beztrosce robotnika, „nie mającego potrzeb ani wymagań". Bardzo łatwo jest zrzec się pretensji za drugich, za drugich małem się kontentować... Bystry, wyjątkowo uzdolniony chłopiec, pragnący nauki, odczuwał boleśnie swoje życiowe upośledzenie. Z zazdrością patrzał na szczęśliwych tego świata, żyjących w dobrobycie, a przedewszystkiem mogących się kształcić. Atmosfera religijna domu nie łagodziła, przeciwnie zaostrzała jego światopogląd. Surowy, suchy protestantyzm, ukazywał dziecku Boga, nieugiętego i surowego. Chłopiec wzrastał w ciągłej obawie grzechu i piekła. Piekło było straszną zmorą jego dzieciństwa. Bóg, o którym słyszał w domu i zborze, nie okazywał mu nigdy życzliwego, miłosiernego oblicza, nigdy nie słyszał słów o odpuszczeniu grzechów, o miłości, o ufności. Bóg nie stał mu się nigdy przyjacielem, nie

był nigdy ciepłem i miłością jego strwożonego czułego serca. Przeciwnie, ten protestancki Bóg, był jedną grozą więcej. Możemy łatwo zrozumieć, jak w takich warunkach kształtował się młody umysł: na ziemi bieda, praca, ciężki los robotniczy, a nad tym światem cierpienia i krzywdy, Bóg, czyhający na najmniejszy grzech człowieka, aby go zań do piekła wtrącić. W ten sposób powstawało w dziecku obok śmiertelnej trwogi, uczucie buntu i goryczy. Powoli formowała się ta ideologja, przebijająca z całej twórczości Hulki-Laskowskiego, ideologja szeroko w książce wyłożona: Bóg chrześcijański zaleca ludziom jedynie rezygnację i cierpliwość, zaleca ją głównie biedakom i nędzarzom, przez to niszczy w nich wszelką chęć postępu, wybicia się i poprawienia sobie losu. Jako ideał stawia religja przed człowiekiem Łazarza na kupie gnoju, a tem samem przeciwstawia się, prawie za zło uważa myśl o wszelkim postępie. W ręku bogaczy jest jednem narzędziem więcej do ciemiężenia ubogich. Jak bardzo niekatolickie i niechrześcijańskie jest takie interpretowanie słów Ewangelji, która na każdej niemal karcie ciska gromy w bogaczy, która każe talenta w dziesięćkroć pomnażać, a człowieka, który je marnuje, bo nie dąży do postępu, potępia kategorycznie — tłumaczyć zbyteczne. Jak bardzo przeciwną duchowi chrześcijaństwa jest doktryna tępej rezygnacji, „nieprzeciwstawianiu się złu" wykazuje choćby historja 2000 prawie lat ery chrześcijańskiej. Polemizować z temi postulatami jak i z wieloma pokrewnemi zawartemi w tej książce (piekło sprzeciwia się miłosierdziu Boskiemu i t. d.) jest zbyteczne. Ale śledząc życie i rozwój umysłowy młodego pisarza rozumiemy jakie elementy, jakie warunki tę ideologję buntu i goryczy w nim wyrobiły. A jak silny musiał być ten w dzieciństwie i młodości odebrany „uraz psychiczny" świadczy to, że nawet późniejsze rozległe studja nie pozwoliły człowiekowi tak wybitnie inteligentnemu, tak nawet szlachetnemu, tego swego stronniczego i uprzedzonego stosunku do religji i Kościoła zmienić. Oprócz ideologji religijnej, drugą ciekawą stroną książki Hulki-Laskowskiego jest jego ideologja społeczna. Hulka-Laskowski daje nam wierny, prawdziwy i nieliteracki obraz życia robotniczego w Żyrardowie. Zwłaszcza w części pierwszej obraz ten jest literacko bardzo piękny. W drugiej części opisuje autor straszną, opłakane stosunki, panujące w Żyrardowie odkąd wszedł tam t. zw. kapitał francuski. Nie jestem w stanie osądzić, czy wszystko, co pisze Hulka-Laskowski o strasznym wyzysku, o rujnującej gospodarce, nadużyciach i wprost okrucieństwach, jakie zapanowały w Żyrardowie, jest ścisłe i prawdziwe. Myślę że tak, słowa jego mają przekonywującą właściwość słów prawdy, ale nawet gdyby się tu wkradła pewna przesada, to i tak odliczywszy coś na rozgoryczenie autora, to coby zostało, byłoby dostatecznie ohydne i okropne. Prawdziwa i okropna zostałaby zawsze „prawda" o tragedji bezrobocia. Nie trzeba zawsze nazywać „radykalizmem" i „ro-

botą wywrotową", gdy ktoś odsłania nędzę i krzywdy społeczne, których jest aż zbyt wiele. Przeciwnie, trzeba i należy o tem mówić i czytać, trzeba przed oczy sytych stawiać obraz nędzy, trzeba budzić ich sumienia niewygodnem pytaniem, czy w ich postępowaniu wszystko jest słuszne i sprawiedliwe z punktu widzenia sprawiedliwości chrześcijańskiej. Gdyby autor był mniej do Kościoła uprzedzony, wiedziałby zapewne, że Kościół często i ostro to pytanie stawia, że coraz częściej kwestjonuje słuszność systemu kapitalistycznego, w dzisiejszym jego przeroście, a zwłaszcza w niewątpliwej krzywdzie, jaką, w wielu wypadkach, wyrządza biednym i pracującym. Wystarczyłoby przeczytać pisma ks. Biskupa Kubiny, i gdyby Hulka-Laskowski w swych pretensjach i żalach nie obejmował i Kościoła i samego Boga, czyniąc ich niejako współwinnymi za dzisiejszy stan rzeczy, napewno zgodzilibyśmy się z nim na niejednym punkcie.

Pisząc do *Przeglądu Powszechnego*, musiałam się siłą rzeczy zająć głównie ideologiczną stroną książki *Mój Żyrardów*, zresztą ta strona jest może najciekawsza — i nie mam już miejsca by rozpisywać się szerzej o jej walorach literackich. Walory te są duże, polegają na wielkiej prostocie stylu, na szczerości opowiadania, na barwności i żywości obrazów i opisów. Może czasem nużą zbyt długie i szczegółowe opisy rzeczy skądinąd dobrze znanych, ale jest to błąd autobiografji, prawie że nie do uniknięcia. A sama książka, jako prawdziwy dokument ludzkiego życia, jako historja ciężkiego życia, ciężkiej walki, ciężkiego samodzielnego wybijania się młodego robotnika, na wszechstronnie wykształconego pisarza — jest naprawdę wzruszająca.

Całe życie Sabiny jest pierwszą prawdziwą powieścią Heleny Boguszewskiej. *Świat po niewidomemu* był artystycznym reportażem (reportażem na bardzo wysokim poziomie, wzruszającym i ślicznym) z życia dzieci niewidomych. Ci ludzie, obrazy z życia bezrobotnych, bardziej już zbliżali się swoją formą do powieści, ale *Sabina*, jeśli się tak wyrazić można, jest już powieścią czystą. Forma tej powieści jest bardzo nowa i oryginalna. Sabina złożona ciężką chorobą wie, że dnie jej są policzone. Wobec nadchodzącej śmierci przebiega myślą całe swe życie, ale nie konstruuje go w chronologiczną, porządną całość. Człowiek, zwłaszcza człowiek umierający, nie może budować swego życia jak powieści. Sabinie przychodzą do głowy obrazy, fragmenty, poszczególne sceny. Widzi siebie w różnych warunkach i okolicznościach życia, widzi ludzi, którzy z jej życiem byli związani, widzi ich w przeróżnych fazach i sytuacjach, w chwilach, gdy jej byli naprawdę bliscy i potem gdy jej byli nienawistni. Chcąc jednak wprowadzić pewien ład w te chaotyczne wspomnienia, stara się odtwarzać swoją historję według różnych, drobnych napozór okoliczności swego życia. Tak więc kolejno ogląda to swoje biedne

życie po „sukniach", po „mieszkaniach", po „służących", po „książkach", po zabawach i zajęciach, po porankach. Te suknie, mieszkania, służące pozwalają jej przypominać sobie szereg faktów, w różnych oświetleniach. Ci sami ludzie, te same zdarzenia przesuwają się przed nami po kilka razy, za każdym razem inaczej ujęci i oświetleni. Ten oryginalny układ wywołuje bardzo ciekawe efekta: życie Sabiny przesuwa się przed nami bez sztucznej martwoty powieściowego porządku, niema w niem powieściowych komentarzy i objaśnień. Wszystko dzieje się współcześnie, choć w przeszłości. Autorka nie troszczy się o czytelnika, zidentyfikowana (artystycznie, czy i autobiograficznie trudno zgadnąć) ze swoją bohaterką, jej jedynie oczyma na świat i życię patrzy. A czytelnik jest jedynie beneficjantem tego świeżego, bezpośredniego spojrzenia. Może czasem przychodzi mu wątpliwość, czy powieść nie zyskałaby jeszcze, gdyby te wspomnienia nie były tak systematycznie uszeregowane „wedle sukien", „książek" i t. d. czyby jeszcze nie zyskała na pewnem zatarciu tych ram, zbyt może pedantycznych, ale trzeba przyznać, że zawsze trudny dla powieściopisarza problem chronologiczny został tu po mistrzowsku rozwiązany. Do sugestji książki przyczynia się i to, że wspomnienia Sabiny są co chwilę przerywane faktami i przeżyciami chwili obecnej, że świetnie przedstawiona jest atmosfera choroby w domu, te niedomówienia, te konwenansowe kłamstwa, któremi porozumiewają się między sobą chory i jego rodzina, ta zmowa milczenia o jedynej ważnej rzeczy, o rzeczy, o której wszyscy myślą, a nikt nie mówi — o śmierci. To życie Sabiny, oglądane z łoża śmierci jest rzeczywiście smutne, szare i ponure. Smutne jest w swoich okolicznościach zewnętrznych: bieda, ciężka zarobkowa praca, syn, z którym się matka pozozumieć nie może, nieszczęśliwe małżeństwo. Smutne i ubogie jest w swej treści wewnętrznej. Nigdy nie przebiegł go żaden prąd większej idei, nigdy nie wzbogaciło się jakimś wzlotem, szukaniem, pytaniem. Małżeństwo, miłość, romanse nawiązywane i zrywane, to były rzeczy tak proste, zwykłe i oczywiste, jak zmiana mieszkań i sukien. Także i śmierć jest wypadkiem nie odróżniającym się doniosłością, od wypadków innych, nawet ona nie stawia przed oczy wegetującej bohaterki żadnego pytania. Nie chodzi oczywiście o to, by powieść zakończona była moralnie, by była budującą, by jej bohater był „przykładem do naśladowania". Jestem jak najdalsza od stawiania powieści takich wymogów. Ale chodzi o to, jaki panuje w książce „klimat", a klimat ten, zależny jest jedynie od tego, jakim jest sam autor, jakie są jego zapatrywania i przekonania. O tem prawie zawsze z powieści się dowiadujemy, choć nam tego wyraźnie nie mówi. Bo jeżeli autor przedstawia nam życie we wszystkich jego komplikacjach, jeżeli dotyka spraw i zawikłań przez swą istotę w zakres problemów etycznych wchodzących, o te problemy zazębionych, a w pewien sposób, od ogląda-

nia ich pod tym kątem się usuwa, tych problemów wogóle nie dostrzegając, to już to samo świadczy, że te problemy dla niego nie istnieją. I wtedy już ten brak — to usunięcie się, stanowi według naszych pojęć o niekatolickiej ideologji książki, o niekatolickiej jej etyce. I tak właśnie rzecz ma się z książką Heleny Boguszewskiej.

Tegoroczny laur nagrody Nobla, który spoczął na głowie Iwana Bunina był laurem prawdziwie „odkrywczym". Odkrycia robiła nagroda Nobla już i dawniej i propaganda literatury najlepszej na cały świat, jest jej niewątpliwą zasługą. Napewno dla większości Europy „Nobel" odkrył Reymonta, dla nas odkrył swego czasu Sygfrydę Undset. Ale gdy po tej nagrodzie rzuciliśmy się do czytania Sygfrydy — zrozumieliśmy odrazu, i ratyfikowali, wybór szwedzkiej akademji. Czy równie dobrze zrozumiemy nagrodę Bunina nie wiem, i śmiem wątpić. Nagroda ta zdziwiła nas, gdy Bunina nie znaliśmy, (bo przynajmniej u nas w Polsce nie zna go prawie nikt) i dziwi nas dalej, gdy czytamy nieliczne jego dzieła, dostępne ludziom nie znającym języka rosyjskiego. Władysław Chodasiewicz w ciekawem swem studjum o Buninie (*Przegląd Współczesny,* kwiecień) mówi, że Bunina nie zrozumie i nie oceni nikt, nie znający rosyjskiego, gdyż wielkie, jak twierdzi, walory artystyczne tego pisarza, są głównie lingwistyczne, że sam język, jako taki, jest u niego bohaterem i że na tem polu jest niedościgniony. Oczywiście, że treść i forma są w sztuce nierozłączne i jednak naprawdę, do dna zna się tylko autora czytanego w oryginale, tylko w oryginale rozgrywa się naprawdę „smak" jego sztuki, ale jednak zdajemy sobie sprawę z wielkości Tołstoja i Dostojewskiego, nie umiejąc po rosyjsku, zdają sobie sprawę z wielkości Shekespeare'a i Conrada ludzie nie znający angielskiego, a wierząc, że Bunin po rosyjsku jest zdumiewający, musimy wierzyć naprawdę na słowo, bo w tłumaczeniach rzeczywiście ładnych, wdzięcznych i pełnych poezji jego nowel, nie wyczuwamy jednak „lwiego pazura", naprawdę nie widzimy nic, coby było „Nobelfähig"! Ale nie bądźmy trudniejsi od surowego jury szwedzkiej akademji, bo prawdopodobnie to jury też udzieliło swej nagrody trochę „na kredyt", okazuje się, bowiem, że Bunin, który w młodości był poetą-symbolistą — i jako poeta niewielkim cieszył się sukcesem — prozą napisał bardzo mało. *Pan z San Francisko, Miłość Miti, Udar słoneczny.* To są zbiory nowel, obrazków, impresyj. *Drzewo Boże,* notatki i refleksje. Wielkie zaś dzieło jego życia dopiero wychodzi. Dziełem tem ma być *„Życie Arsenjewa"*. Jest to rodzaj autobiografji intelektualnej, także o walorach głównie językowych, jak twierdzi Chodasiewicz. Tego dzieła wyszedł dopiero tom pierwszy, tom drugi wychodzi w jednem z rosyjskich pism emigracyjnych. *Życie Arsenjewa* nie jest jeszcze tłumaczone na żaden język. Gdy pomyślimy że taki Że-

ez Nobla, że bez Nobla umarli Conrad i Proust, dziwimy się jeszcze więcej. Nie żeby ujmować talentu Buninowi, ma go niewątpliwie, ale tak jak trafnie ktoś powiedział, il ne s'agit pas d'être aimer, il s'agit d'être préféré — tak i o nagrodach można powiedzieć: nie chodzi, by nagradzać dobrych, lecz najlepszych. Ale gdy tak rozglądniemy się wśród tych najlepszych i gdy wśród nich dostrzeżemy choćby Mereżkowskiego i Gorkija (bo już na Rosję patrzymy) zaczyna nam świtać pewne wyjaśnienie: Akademja szwedzka musi brać pod uwagę pewną, choć dość jednostronnie obserwowaną kolejność narodów. Zdaje się że „wypadało" nagrodzić pisarza rosyjskiego. Tu trudności były znaczne (trudności oczywiście polityczne). Nagrodzić pisarza bolszewickiego nastręczało pewne niedogodności, nagradzać Mereżkowskiego, było może nieuprzejmie względem potężnego państwa Sowietów, co innego ich nagradzać, a co innego drażnić. Czyż w tych warunkach cichy, łagodny, mało znany, nikogo nie drażniący Bunin nie był wyjściem idealnem? Był i Rosjaninem i emigrantem, a u Sowietów jego nazwisko nie znajdowało się na pewno na zbyt czarnej liście. Zastrzegam się, że są to absolutnie moje prywatne domysły, ale przyzna chyba każdy, że wytłumaczenia trzeba szukać, gdy nagradzając pisarza rosyjskiego pomija się Mereżkowskiego i Gorkija, gdy obok Hamsuna, Sygfrydy Undset, Tomasza Manna, obok Reymonta, Sienkiewicza i Rollanda zasiadł Iwan Bunin. Bunin jest, powtarzam, pisarzem dobrym, pełnym wdzięku i poezji, pisarzem o dużem odczuciu przyrody, o pewnym typowo rosyjskim „smętku", pisarzem dostrzegającym nieraz w sposób sugestywny tajemną dwulicowość życia, jego jakżeż czasem tragiczną, podszewkę (znakomite obrazy w noweli *„Pan z San Francisko"*, ale mimo tego wszystkiego, wydaje nam się nikłym i jakimś małoważnym, w gronie swych dostojnych kolegów. Chyba, że na przyszłość pokryje w 100% zażyrowany mu trochę „in blanko" weksel!

Oprócz tegorocznego odkrycia Nobla, amerykańskie firmy wydawnicze odkryły węgierskiego pisarza Franciszka Körmendi, którego książka *Przygoda w Budapeszcie* stała się sukcesem sezonu. Została ona nagrodzona na konkursie, ogłoszonym przez największe firmy wydawnicze angielskie i amerykańskie, z pośród 1800 nadesłanych powieści. Reklamy opowiadają o fantastycznych ilościach egzemplarzy, które się rozeszły w przeróżnych językach, mówią też, że autor nie był „pisarzem", lecz zredukowanym budapeszteńskim urzędnikiem, i porównują jego książkę, z dziełami autorów też „niefachowych" Remarqua i Celina. W tych reklamowych wiadomościach jest oczywiście trochę przesady. Remarque pisywał przed swoją sławną książką, Celine podobno 6 razy książkę swą przerabiał i dopiero tę szóstą redakcję „wypuścił", co dowodzi zupełnie świadomej pracy literackiej.

Także i Körmendi pisywał już przedtem i wydał tom nowel, które zresztą przeszły bez echa. Te drobne niedokładności informacyjne są zresztą obojętne, jedynie ważnem jest pytanie, czy książka, która tak nagle wystrzeliła sukcesem usprawiedliwia to swoje powodzenie istotnemi wartościami literackiemi. Jeżeli chodzi o powieść Körmendiego, to myślę, że umiejętna reklama dużo jednak pomogła do sukcesu książki, bo nie widzę w niej tych jakichś nowych, nadzwyczajnych i rewelacyjnych walorów, które mogłyby o własnej sile świat podbić. Jest to niewątpliwie powieść napisana dobrze, dobrze skomponowana, o akcji żywej i zajmującej. Należy ona do gatunku książek, które nazwaćby można, „książkami środowisk", „książkami chwili". Są to książki, w których autorzy nie zajmują się człowiekiem, jego odwiecznemi zagadnieniami i właściwościami, lecz raczej cechami pewnych epok, pewnych środowisk specjalnych. Właśnie tak robi Körmendi, dodając do swoich zainteresowań psychologję pewnej ludzkiej zbiorowości, jej nastroje i reakcje. Przyjmując to założenie, trzeba przyznać, że autor radzi sobie z niem dobrze. Ukazuje nam ciekawe środowisko uczącej się młodzieży wiedeńskiej. Nawiasem mówiąc, kładzie głównie nacisk na erotyczne życie tejże młodzieży i stara się wykazać, że jedynie małżeństwa koleżeńskie są rękojmią jej moralności i dobrych obyczajów!... Zkolei ukazuje nam zamęt rewolucyjny w pierwszych dniach powojennych w Budapeszcie, potem tępą martwotę wegetującego w kryzysie miasta. Doskonale są przedstawione wysychające źródła dochodów i pracy, kurczenie się życia, jakaś jego beznadziejność i duszność, brak wszelkich życiowych możliwości życiowej „konjunktury". W takiej atmosferze przygnębienia zbiera się co miesiąc w kawiarni grupa dawnych szkolnych kolegów. Nagle rozchodzi się wiadomość, że jeden z dawnych kolegów tej grupy, powszechnie nielubiany i za osła uważany Antoni Kadar, który od wielu lat znikł z horyzontu jest wielkim architektem w południowej Afryce i oczywiście arcymiljonerem, i że ten właśnie Antek Kadar — dziś Mister A. T. Cadar — przyjeżdża wraz z żoną do Budapesztu. Jakiś wiatr nadziei wieje przez całą dawną klasę. Wszyscy go lubili, każdy od niego czegoś się spodziewał, każdy wiedział, że on jest zdolny, każdy buduje zamki na lodzie. Ta część powieści jest naprawdę bardzo dobra. Ogólna psychoza rozbudzonych nadziei i marzeń, zabiegi dawnych kolegów koło Kadara, atmosfera podziwu dla niego, a potem, gdy nie zrobiwszy nic dla nikogo, wyjeżdża — powszechne odwrócenie opinji: znowu wszyscy wiedzieli, że Kadar to nic, że to pewnie oszust i nabieracz — to rzeczywiście doskonałe karty powieściowe. Natomiast sama historja Kadara, historja jego fantastycznej i dość przypadkowej karjery jest znacznie słabsza. Również słabsza i dość przeciętna jest historja jego *„Przygody w Budapeszcie"*, to jest jego zakochania się w rudowłosej Joli. Ta historja jest połączona z retrospektywnemi

historjami licznych jego małżeńskich niewierności. W oczach ładnej pani Ilonki Kadarowej niewierności te są właśnie gwarancją jej szczęścia małżeńskiego. Nietylko im nie przeszkadza, ale raczej pomaga. To pojęcie o dobrem i „uczciwem" pożyciu małżeńskiem jest równie trafne, jak pojęcie o moralności „małżeństw koleżeńskich"!... Jeżeli obejmiemy okiem całość powieści Körmendiego to mimo jej doskonałych kart, mimo niewątpliwego talentu naratorskiego, a nawet epickiego autora nie możemy jednak dopatrzeć się w niej niczego, coby tak bardzo wyróżniało ją z pośród współczesnych powieści europejskich. Prawda, że poziom tych powieści jest bardzo wysoki i że na to, by wśród nich zabłysnąć trzeba naprawdę genjuszu. A właśnie mimo talentu, tego tchnienia genjuszu u Körmendiego nie widać. Jego książka nie ukazuje nam żadnych perspektyw, nie możemy przez je oko spojrzeć ani w głąb własnej duszy, ani w tajemnice otaczającego nas świata. Nawet zewnętrznego kształtu życia nie układa nam Körmendi we fres nowy i świeży, nie spogląda nań oryginalnem, twórczem okiem wielkiego artysty. Jeżeli daję krytykę negatywną *Przygody w Budapeszcie*, wykazując czem nie jest, zamiast kontentować się, że jest poprawnie pisaną, zajmującą powieścią — to jedynie dlatego, żeby dać słuszną jak mi się wydaję — przeciwwagę zbytnim entuzjazmom i nadmiernym pochwałom, jakiemi stara się ją otoczyć reklama.

Przy czytaniu *Dnia upragnionego* Stefana Kiedrzyńskiego przychodzą do głowy refleksje zasadnicze, co do powieści wogóle, co do jej celu, zamierzeń i osiągnięć, bo jedynie zależnie od rozstrzygnięcia tych spraw zasadniczych, od ustalenia naszych co do powieści wymogów, powiedzieć możemy, czy *Dzień upragniony* jest powieścią lichą, czy dobrą, (dobrą literacko, bo pod żadnym innym względem nie ma jej słowa do zarzucenia). Nato, by ocenić wartość literacką jakiegoś utworu, musimy sobie zdać sprawę z artystycznych zamierzeń i założeń autora, i ze stopnia, w jakim udało mu się te założenia zrealizować. Założenia te mogą być wielkie, śmiałe, nowe; mogą być skromne, a nawet błahe. Może je autor w pełni osiągnąć, może mu do tego osiągnięcia tchu i środków zabraknąć. Wiemy doskonale, jakie artystyczne dążenia, jakie artystystyczne postulaty, przyświecają twórczości Dąbrowskiej, Nałkowskiej, Choromańskiego, zdajemy sobie sprawę z mniejszej lub większej doskonałości ich wypełnienia, w poszczególnych dziełach tych autorów. Otóż, jeżeli pod tym kątem patrzeć będziemy na powieść Kiedrzyńskiego, sąd nasz o niej musi wypaść ujemnie. Nie widzimy tu bowiem żadnych artystycznych założeń, żadnego artystycznego celu, zresztą poza artystycznym, innego celu nie widzimy także, ani celu ideowego, ani społecznego, ani nawet politycznego. Zdarza się bowiem (przepraszam

bardzo wszystkich wyznawców sztuki dla sztuki), że czasem takie założenia są nawet artystycznie wystarczające, jakby to łatwo wykazać można na głośnej w tej chwili książce Celina *Podróż do kresu nocy,* a takie założenia, obok artystycznych zdarzają się często nawet w dziełach miary najwyższej, choćby wspomnieć *Boską Komedję.* Ale czytając książkę, musimy koniecznie zdawać sobie sprawę z powodu jej napisania, a im książka wydaje nam się „konieczniejsza", tem wydaje nam się i lepsza w myśl znanej i słusznej zasady, że w sztuce to co jest niepotrzebne i zbędne, jest tem samem i słabe. Dlatego może właśnie słaba wydaje nam się z punktu widzenia artystycznego powieść Kiedrzyńskiego, bo żadnej w niej celowości, żadnej konieczności nie widzimy. Za konieczność taką bowiem nie możemy uznać ani zawartych w niej problemów psychologicznych, które są żadne, ani chęci dania obrazu współczesnej Warszawy, który niema w sobie nic charakterystycznego, ani wynikających z niej postulatów myślowych, że nie należy sądzić wedle pozorów, że kobieta jest w życiu bardziej od mężczyzny bezbronna, że w Polsce ludzie się nienawidzą i wzajemnie na swoje posady czyhają. Tezy te są zbyt znane i niedość sugestywnie z powieści wynikają, abyśmy przeprowadzenie ich za leitmotiw książki uznać mogli.

Jednakowoż zadowolenie się tem skonstatowaniem artystycznej (w znaczeniu najwyższem) nicości *Dnia upragnionego* byłoby dla jej autora wysoce krzywdzące. Bo możemy wobec powieści zająć i inne stanowisko. Nie idąc tak daleko jak Witkiewicz, który twierdzi że powieść wogóle do „sztuki" nie należy, możemy się zapytać czy każda powieść musi być klasyfikowana według norm literatury wielkiej, i największej, czy dostatecznemi jej zaletami nie są żywość, zainteresowanie, jakie wzbudza, jej umotywowaniem nie jest sposobność jaką daje ludziom do spędzenia kilku miłych i beztroskich chwil, i czy w takim razie nie wystarcza, jeśli jest napisana żywo, interesująco, jeśli jest dobrze i rzetelnie zrobiona? Takie stanowisko względem powieści jest zdaje mi się zupełnie możliwe do przyjęcia, i jeżeli je zajmiemy, to powieść Kiedrzyńskiego chwalić możemy bez zastrzeżeń. Jest właśnie pisana żywo i zajmująco, nawet bardzo zajmująco. Akcja prawidłowo zawikłana przedstawia cały szereg ciekawych perypecyj, nie nuży ani chwili, jest doskonale w swych nieprawdopodobieństwach prawdopodobna, jest przytem przeprowadzona z dużą i doskonałą techniką, zamknięta cała w dwóch dniach daje obraz rzadkiej zwartości i skondensowania. Język książki choć niczem specjalnem nie uderza, niczem też nie razi, poziom kulturalny jest zupełnie dobry. To też choć dała mi powód do tak niepochlebnych dla niej refleksyj ogólnych, choć literatura t. zw. wielka rzuca może na nią cień nieżyczliwy, przyznać muszę, że czytałam ją jednym tchem, bez chwili znudzenia, przeciwnie z prawdziwą przyjemnością.

Aby wedle zaleceń Mickiewicza patrzeć naprzód na zdrową nogę, a potem na kulawą, trzeba stwierdzić, że w książce Edwarda Ligockiego: *Prawnuczka Fausta* ładnie opisany jest Friul, ze swymi wdzięcznemi pejzażami, staremi zamkami, typowem charakterystycznem życiem zasiedziałego tam ziemiaństwa i arystokracji, że ciekawe jest środowisko pół-włoskie pół-austrjackie, ciekawe i charakterystyczne stosunki powojenne w tym kącie ziemi, gdzie przesuwanie granic państw najdziwaczniej poprzesuwało ludzi, tak, że członkowie jednej rodziny znaleźli się nagle i niespodziewanie w czterech różnych państwach. Ale po tym wysiłku dobrej woli trudno nam wiele więcej zalet w książce Ligockiego znaleźć, bo jego problemy psychologiczne, filozoficzne i dynastyczno-dziedziczne mało mają wdzięku i nie są przekonywujące. Autor przedstawia nam młodą pannę, Marhor Faust von Zauberthal, i chce wykazać, że jako prawnuczka Fausta, jest dziedzicznie obciążona. Metody użyte do tej demonstracji nie wydają się szczęśliwe. Marhor, jako dziecko, znała młodego Polaka. (Opowiadanie prowadzone jest w pierwszej osobie, zdaje się, że tym Polakiem jest nieśmiertelny bohater Ligockiego, Kamieniecki). Po wielu latach, po wojnie, spotyka go już jako żona podejrzanego jakiegoś Serba czy Rumuna. Okazuje się wtedy, że Marhor już jako dwunastoletnia dziewczynka kochała Polaka, uświadamia to sobie po latach dziesięciu. Polak nie jest nieczuły na wdzięki Marhor. Chce unieważnić małżeństwo jej z Rumunem, które kościelnie ważne nie jest. Ale mając wysokie pojęcie o małżeństwie i o cnotach swej przyszłej żony doznaje szeregu przykrych niespodzianek. Okazuje się, że idealna „nieszczęśliwa" Marhor miała „chwilę zapomnienia" w postaci romansu z jakimś Węgrem. Potem wychodzi na jaw, że chwile zapomnienia były częstsze, potem pokazuje się, że podczas gdy Kamienieckiemu przysięgała wieczną miłość „nie mogła się oprzeć" jakiemuś oficerowi. Zbiegiem wypadków coraz jest jaśniejsze, że Marhor jest „dziwna"; zaczyna coraz częściej mówić od rzeczy, zachowywać się niepoczytalnie. Na samym końcu wykrywa się prawda. Marhor jest morfinistką. Że dla pana Kamienieckiego powolne odsłanianie się tej prawdy jest przykre, nie ulega wątpliwości, ale trzeba przyznać, że czytelnik jest zirytowany tem, że kazano mu się zajmować „na serjo" psychologją warjatki i morfinistki i myśli słusznie, że na miejscu Kamienieckiego, żyjąc z Marhor tygodniami po różnych uroczych zakątkach Riviery, byłby się znacznie wcześniej spostrzegł, że jego luba jest pomylona i że się morfinuje. Trudno też dopatrzeć się w tem zdegenerowaniu pięknej Marhor jakichkolwiek wpływów dziedzictwa po dziadku, Fauście-czarodzieju, a niekończące się wywody genealogiczne nużą nas, problemy arystokratyczne i dynastyczne nie zajmują i nie obchodzą. Dużą rolę odgrywają w powieści roztrząsania religijno-moralne,

o małżeństwie, etyce, rodzinie. Tu musimy przyznać, że pan Kamieniecki ma zapatrywania zdrowe i najzupełniej katolickie, a jeśli się od nich czasami odchyli, koryguje go zacny i poczciwy ksiądz. Żałować więc tylko należy, że powieść tak bardzo „uczciwa" i w zasadach swych zacna, nie jest bardziej udana i bardziej zajmująca.

Fatalny i uparty zwyczaj zmieniania w polskich tłumaczeniach tytułów oryginałów, poprawia teraz nieco, to że weszło w modę dawać na pierwszej stronie faksymilę karty tytułowej oryginału. Z tej pierwszej karty hiszpańskiej, dowiadujemy się, że *Grzesznica święta* A. Palacio Valdèsa nosi po hiszpańsku tytuł *Santa Rogelia*. Tytuł nie jest dla książki rzeczą obojętną. Jest jakby rodzajem wskazówki, jak książkę zrozumieć, czego w niej szukać, co chciał w niej autor powiedzieć. Jest jakby jej hasłem, jej lapidarnem streszczeniem. Nie wiem jakie były trudności w przetłumaczeniu „Santa Rogelia" na „Święta Rogelja". Tytuł ten wraz z podtytułem, zaznaczającym, że opowiadanie wyjęte jest ze Złotej legendy, doskonale był dostosowany do prostej, naiwnej a pełnej wdzięku treści opowiadania. Tymczasem pretensjonalny tytuł *Grzesznica święta* myli nas, podsuwając myśl, że książka jest zwykłą powieścią. A ta zmiana nastawienia jest tutaj kwestją kapitalną. Książka Valdèsa widziana pod kątem powieści nie wytrzymałaby żadnej krytyki, ze swemi przeskokami i nieprawdopodobieństwami psychologicznemi i sytuacyjnemi. Natomiast jako transponowana legenda, legenda uwspółcześniona, jest jednak pełna wdzięku, życia i poezji. Gdy mamy tak nastawiony umysł nie dziwi nas i nie razi prześliczna Rogelja, szlachetna żona bandyty, nie dziwi nas metamorfoza ciemnej chłopki w wykwintną i wykształconą damę, nie dziwi jej nagłe nawrócenie, pokutny pobyt w Ceucie, utrwalona nagle cnota i świętość, i wprost oczekujemy „szczęśliwego zakończenia", które przez śmierć męża-bandyty pozwala cnotliwej i świętej Rogelji wrócić do kochanego człowieka i dziecka. Wszystko to jest dla legendy dopuszczalne, nawet konieczne i ten jej prymitywizm decyduje o jej uroku. Nie mogłam w egzemplarzu Złotej legendy, który miałam pod ręką doszukać się życia św. Rogelji, trudno mi więc sądzić czy i co Valdès w niej zmienił. Mam jednak wrażenie, że zachował ją w całości, zmieniając tylko epokę, że opowiadanie, które w pierwowzorze odbywało się jakie 1000 lat temu przeniósł w czasy obecne. Pomysł jest ładny, myślę że legenda zyskuje na świeżości a nawet oryginalności, nie tracąc wdzięku naiwności i archaizmu. Książkę czyta się z przyjemnością i zainteresowaniem, a jako lektura miła i pożyteczna zasługuje na szerokie rozpowszechnienie.

Zofja Starowieyska - Morstinowa.

Notatki bibljograficzne.

Mgr. Feige, Noblesse oblige, Paris Téqui 1933, str. X+132, 32-o.

W tytule zawiera się podział: popularny, lecz teologicznie solidny wykład o łasce poświęcającej, z całym zasobem cnót i darów jej towarzyszących, poczem następują wskazania ascetyczne. Książeczka, napisana z werwą i polotem, nadaje się do rozważań dla inteligencji, godna polecenia.

J. Raimond, Je suis la Voie..., Paris Téqui 1934, 21+309, 8 vo.

Są to konferencje o życiu duchownem na tle tajemnic Różańca, przeznaczone w pierwszym rzędzie dla zgromadzeń zakonnych.

Marguerite Aron, L'Eglise et L'Enfant, Paris Grasset, Copyright, 1934, str. XVII+245, 8 vo.

Autorka przeprowadza jakby ankietę, oczywiście niezupełną, wśród wieków chrześcijańskich, jaką była rola dziatwy w Kościele. Zewsząd dochodzą ją głosiki dziecinne, rozgwar ulubieńców matki powszechnej, tulących się pod jej płaszcz, uczących się i wychowujących się pod okiem, śpiewających Bogu na chwałę. Dziś niestety rozgrywa się walka o dziecko, wyrywane z objęć matki Kościoła, wskazuje się tedy na zasady katolickie, celem złagodzenia konfliktu. Rzecz pożyteczna, czyta się ją z zajęciem.

J. Will S. J., Handbuch der Katholischen Aktion, Freiburg i B. Herder 1934, IX+137, 8 vo.

Zadaniem tego podręcznika, który jest uzupełnieniem poprzedniej pracy autora o biblijnych i dogmatycznych podstawach A. K. z r. 1932 (tłumaczonej już na portugalskie i włoskie), to zaznajomić z duchem tego „ruchu" — polecenia papieskie tylko go popierają — i dać pewne ogólne wskazówki praktyczne do ujęcia go w karby organizacji dość giętkiej, aby go dostosować do warunków miejscowych. Autor przechodzi cały szereg problemów społecznych i kulturalnych, nie cofając się przed sformułowaniem odbiegających od szablonu wytycznych do ich rozwiązania w duchu A. K. — Omawia następnie biblijne i kościelne podstawy tej organizacji miłości, jakby ją nazwać można, zwracając zwłaszcza uwagę na ducha apostolstwa w mistycznem ciele Chrystusa, na społeczny charakter bierzmowania, na ruch liturgiczny, eucharystyczny, rekolekcyjny. — Następują wskazówki praktyczne jak tworzyć „komórki" A. K. i doprowadzić je do rozrostu. — Wkońcu mamy zestawienie listów apostolskich Piusa XI w sprawie A. K. wraz z przekładem ważniejszych. Dołączony jest wykaz literatury dotyczącej.

Ks. Dr. J. Bochenek, Chrystus w parafji, cz. II, Kraków 1934 str. 312.

Autor przechodzi cały szereg aktualnych zagadnień i bolączek, porusza, poucza, zachęca tonem tak żywym i bezpośrednim, że marka „czytania o życiu parafjalnem" mogłaby ustąpić „konferencjom", pogadankom i. t. p. — Szybkie rozchwytanie części I. może wróżyć o powodzeniu obecnej, czego całem sercem życzymy. Rzecz zresztą nadaje się dobrze do kazań seryjnych, np. majowych.

O. D. Joret, OP, Dziecięctwo, duchowe, przekład z francuskiego opracował i przedmową poprzedził O. Dr. A. Gmurowski Z. K., Lwów, wyd. OO Dom., bez roku, str. 162.

Mimo dość obfitą literaturę ascetyczną o „Małej drodze" św. Teresy z Lisieux i ta będzie wdzięcznie przyjęta. Widać, że ją pisał teolog, ale pozna się na tem tylko wtajemniczony, co w tym wypadku jest korzystnem, bo książka przeznaczona jest dla wszystkich. Niełatwo z prostotą pisać o prostocie, a autor się dobrze z tego wywiązał. Rzecz godna polecenia i rozpowszechnienia.

Jan Szelejewski: Wielkomiejskie dziecko proletarjackie Poznań, Wydawnictwo *Przyjaciela Szkoły*. Str. 69.

Pedagogika zwraca dziś baczną uwagę na środowisko, gdyż to wywiera duży wpływ na kształtowanie duszy dziecka. Zasadniczo rozróżnić można dwa środowiska: wiejskie i miejskie. Autor zajmuje się tem ostatniem, stara się przedstawić je bliżej i zbadać jego wpływ na dziecko proletarjackie, od lat najmłodszych życia. Na podstawie tych danych kreśli następnie plan pracy, jaką nauczyciel powinien rozwinąć w szkole względem dziecka wielkomiejskiego, by wychować je jaknajlepiej i wyrównać braki domu i otoczenia. Rzecz napisana w sposób jasny i praktyczny, godna polecenia.

Jan Szelejewski: Dziecko wiejskie. Tamże, str. 101.

Druga broszura tegoż autora ma być w myśl jego „przyczynkiem do poznania dziecka wiejskiego". Autor kreśli najprzód obraz środowiska wiejskiego i duszy chłopa polskiego, a potem charakterystykę dziecka wiejskiego w wieku przedszkolnym i szkolnym. Obszerniej podaje następnie wskazówki co do nauczania w szkole wiejskiej, przyczem przechodzi szczegółowo pojedyncze przedmioty. Próba charakterystyki dorastającej i dorosłej młodzieży wiejskiej, od 14-o roku życia, kończy tę pożyteczną broszurę.

Ks. Fr. Dymarski, Z. Hoffmann - Krystyańczyk: Londyn i okolice. Polski przewodnik. R. 1934; nakł. własnym. Str. 240 i kilka map.

Powoli zaczynamy się zdobywać na, tak potrzebne wobec rosnącego ruchu turystycznego, przewodniki polskie po obcych

krajach. Obecny tomik uznać należy za rzeczywiście udany. Zawiera on praktyczne uwagi dla Polaka, wybierającego się do Anglji, informuje ogólnie o całej W. Brytanji i szczegółowo o Londynie. Sam opis Londynu i okolicy uwzględnia szczególnie miejsca, mogące interesować Polaka, a dołączone mapy umożliwiają orjentację. Na końcu tomiku, obok skorowidzu alfabetycznego, znajdują się najważniejsze rozmówki i słowniczek polsko-angielski.

Kpt. Antoni Stanisław Tomaszewski i Ppłk. Constantin Constantin: Słownik wojskowy. Część I: polsko-rumuńska, Str. XVI+294. Część II rumuńsko-polska. str. XVI+275. Warszawa 1934, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy.

Słownik powyższy, polsko-rumuński i rumuńsko-polski, ma dopomóc do współpracy na polu wojskowem obu zaprzyjaźnionych państw, Polski i Rumunji. Autorami jego są też oficerowie obu tych krajów. Podaje on na początku zasady wymowy, poczem następuje właściwy słownik w porządku alfabetycznym, zawierający około 10.000 wyrazów z dziedziny taktycznej i technicznej wszystkich rodzajów broni i służb. Przy końcu załączono rozmówki z zakresu marszu i postoju; umożliwiające, dzięki podanej wymowie, porozumienie się nawet bez znajomości języka.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem różnych.

Ks. Dr. Józef Nowacki: Opactwo św. Gotarda w Szpetalu pod Włocławkiem Zakonu Cysterskiego. Gniezno 1934, nakł. *Sfadia Gnesnensia*. Str. 251.

Olgierd Górka: „Ogniem i mieczem" a rzeczywistość historyczna. Warszawa 1934, Libraria Nowa. Str. VI+141.

Olgierd Górka: Dziejowa rzeczywistość a racja stanu Polski na Południowym Wschodzie. Tamże 1934; str. 32.

Roman Dybowski: Uniwersytety wśród przemian światowych. Kraków 1934. Str. 50.

R. Dybowski: Marjan Zdziechowski (odbitka). Kraków 1934. Str. 9.

Hermann Muckermann: Gestaltung der Lebenslage. 16 Aufl. Freiburg im Breisgau 1934, Herder & Co, Str. XIV+274.

Ks. Gracjan Tretkowski; Krótkie homilje, na niedziele całego roku. T. III-i. Pelplin 1934, Księg. „Pielgrzyma". Str. VIII+287.

Dr. Herbert Gruhn: Bibliographie der Schlesischen Kunstgeschichte. („Schlesische Bibliographie", t. 6). Breslau 1933, W. G. Korn. Str. XVI+357.

Historja Sztuki. (Dzieło zbiorowe) Tom I: Józef Żurowski: „Sztuka prehistoryczna Europy". Stanisław Jan Gąsiorowski: „Sztuka starożytna". Lwów 1934; Wyd. Zakładu Nar. Im. Ossollińskich. Str. X+450 z licznemi ilustracjami.

Veit Stoss. Beiträge zu seiner Lebensgeschichte und zu seinem Werk. Von Karl Dinklage und C. Theodor Müller. (Sonderdruck). München, Knorr & Hirth. In 4°; str. 69 z ilustr.

Jerzy Giżycki: Biali i Czarni. Fragmenty kolonjalne. Warszawa, Gebethner i Wolff. Str. 360 z ilustr. i mapą.

A. Bea S. J.: Pontificii Instituti Biblici de Urbe prima quinque lustra, 1909—1934. Roma 1934, e Pontificio Instituto Biblico, Str. 79 z ilustr.

Ilse Schwidetzky: Die polnische Wahlbewegung in Oberschlesien. (Schriften des Osteuropa - Institutes in Breslau, H. 1.) Breslau, Ferdinand Hirt. Str 116.

Dr. E. Klamroth: Mutter und Tochter. Ein Beitrag zur Psychologie des reifenden Mädchens. Langensalza 1934, Hermann Beyer & Söhne. Str. 169.

H. Wildecki: Niebezpieczeństwo żydowskie. Poznań 1934 nakł. autora. Str. 96.

Handbuch der Philosophie herausgegeben von A. Baeumler und M. Schröter, München und Berlin 1934, Verlag von R. Oldenbourg,
B. I: Die Grunddisziplinen. Str. 954.
„ II: Natur, Geist, Gott. Str. 748.
„ III: Mensch und Charakter. Str. 904.
„ IV: Staat und Geschichte. Str. 1030.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z dalszych dziejów katolickiej Austrji. — Młoda nadzieja Kościoła i różne na nią poglądy. — Ofensywa bezbożnictwa w Polsce.

Wśród wszystkich tych dziwnych i nieoczekiwanych wydarzeń, jakie zapisały się na kartach dziejów Europy w ciągu ostatnich lat kilku, jednem z najdziwniejszych a najbardziej pocieszających jest to, co dokonało się i dokonywa w związku krajów niemieckich tworzących niegdyś rdzenną część habsburskiej monarchji. Najświeższa historja Austrji przedstawia widok doprawdy wspaniały. Bo chociaż wiele państw — zmuszonych zresztą koniecznością — zawróciło z drogi, odżegnywując się mniej lub więcej szczerze i mniej lub więcej głęboko od tych zasad liberalnych, które XIX wiek uważał za podstawę swej ewangelji, jedna tylko Austrja zdobyła się na wielki rozum i wielką odwagę całkowitej konsekwencji. Kierownicy polityki austrjackiej zrozumieli, i potrafili wpoić to przekonanie w ogromną większość narodu, że nie dość jest zerwać z zasadami wielkiej rewolucji, ale że trzeba sięgnąć daleko głębiej, aż tam, gdzie zaczęły swe działanie siły, których sama rewolucja była owocem, do tego momentu, w którym reformacja i zrodzony z humanizmu, naturalizm, sprowadzały na bezdroża nowożytną kulturę. W tej myśli powiedzieli sobie kanclerz Dollfuss i ci ludzie, co koło niego tak mężnie stanęli, że jedynym radykalnym środkiem naprawy stosunków jest powrót do tego, od czego u schyłku średniowiecza odeszły nowe czasy: do zupełnego uznania w publicznem życiu zasad chrześcijańskich, t. j. nauki i praw katolickiego Kościoła. I co sobie powiedzieli, to wykonali. Wiekopomny akt, który dokonał się w Wiedniu dnia 1 maja b. r. nie jest niczem innem, tylko mocnem przedsięwzięciem narodu i jego wodzów, żeby całe życie państwowe

i społeczne odrodzonej republiki budować odtąd na fundamencie Chrystusowym.

Nie tutaj jest miejsce potemu, żeby szczegółowo roztrząsać poszczególne artykuły czy to przyjętej niemal jednogłośną uchwałą Rady narodowej, Konstytucji, czy też ratyfikowanego zaraz potem, blisko rok temu podpisanego, konkordatu. Pragniemy tylko zwrócić uwagę na kilka szczegółów, dzięki którym owe akty nowej Austrji stały się prześlicznym i nieomal wzorowym wyrazem poglądów katolickich na ustrój publicznego życia.

Poprzednia, przez socjalistyczne rządy narzucona Austrji po przewrocie Konstytucja, zaczynała się od tego pustego wstępu, równie banalnego, jak fasady wielu dzisiejszych, wszelkiego stylu pozbawionych budowli: „Austrja jest demokratyczną republiką. Wszelkie jej prawa pochodzą od ludu".

Nowa Konstytucja inaczej. „W imię wszechmocnego Boga, od którego wszelkie prawo pochodzi, otrzymuje lud austrjacki następującą konstytucję, jako podstawę dla swego chrześcijańskiego, niemieckiego, stanowo zorganizowanego państwa".

A więc przedewszystkiem zrywa się tu zupełnie z owem proton pseudos liberalizmu, jakoby władza w ostatniej instancji mogła pochodzić od ludu. Pochodzi ona ostatecznie we wszystkich swoich formach i rozgałęzieniach od Tego, który jako Stwórca, Prawodawca i Sędzia człowieka, sam jeden ma prawo nakładać na wolę moralne więzy. W konsekwencji zatem tego wstępnego wyznania wiary, oświadcza republika austrjacka, nietylko to, że wszyscy, którzy będą w niej innym rozkazywać, będą to czynić w imieniu Boga, ale i to także, że treść wszystkich praw i ustaw musi ostatecznie wspierać się na prawie Bożem czyto naturalnem czy pozytywnem, albo przynajmniej być z niem w zupełnej harmonji.

Że zaś ta konsekwencja jest istotnie i całkiem świadomie zamierzona, na to wskazuje dalszy doniosły wyraz, w tym nagłówku Konstytucji użyty. Austrja ma się nazywać i ma być państwem „chrześcijańskiem". Nie mówi się więc, że chrześcijaństwo jest w niej uprzywilejowaną albo nawet panującą religją, ale że całe państwo ma być zbudowane na chrześcijańskich podstawach, ma być przesiąknięte chrześcijańskim duchem, ma być logicznem, w publicznej sferze dopełnieniem osobistego chrześcijańskiego życia jednostek. A ponieważ to chrześcijaństwo nie jest pojmowane jako abstrakt, ale tak, jak istotnie narodziło się i rozwinęło, t. j. jako religja rzymsko-katolickiego Kościoła, cały ustrój młodej republiki opiera się ciągle o Kościół i postanowienia konkor-

datu zostały wyraźnie uznane za integralną część nowej Konstytucji. I owszem, ponieważ ten Kościół niedawno w encyklice *Quadragesimo anno* wytknął kierunek, w jakim rozwój nowożytnej państwowości iść powinien, wskazując pomiędzy liberalizmem a socjalizmem i komunizmem na ustrój stanowy, jako na najzdrowszą formę organizacji publicznego życia, Austrja stwierdza zgóry, że chce tych wskazówek się trzymać i do tego ideału dążyć, budując swój ustrój na stanowej podstawie.

Co się zaś tyczy konkordatu, doprawdy miałoby się ochotę tutaj tego wyrazu zaniechać. Samo to słowo bowiem przywodzi na myśl jakąś pracowitą, wymęczoną umowę, w której z jednej strony państwo stara się jaknajbardziej skrępować i „unieszkodliwić" tę instytucję, której Bóg powierzył opiekę nad najwyższemi dobrami ludzkości, z drugiej strony Kościół wszelkiemi siłami zabiega o odrobinę chociaż swobody, ażeby móc dobrze czynić, dźwigać, uświęcać i zbawiać. W konkordacie austrjackim nic podobnego. U obu kontrahentów nic innego nie występuje na jaw, tylko najpełniejsza, najszczersza, najbardziej oddana życzliwość. W uznaniu praw Kościoła posuwa się młoda republika tak daleko, że właściwie mamy tu już do czynienia nie z ujętą w paragrafy ugodą, ale z tem wzajemnem zrośnięciem i przerośnięciem obu instytucyj, jakie cechowało społeczeństwo średniowieczne.

Żeby zejść do szczegółów owego zupełnie wyjątkowego konkordatu, musimy najpierw krótko przypomnieć jego antecedensy.

Pierwszym aktem wyzwolenia Kościoła austrjackiego z pod jarzma józefińskiego systemu i ducha był najpierw patent cesarski z 4 marca 1849 roku, potem osobne zarządzenie z kwietnia tegoż roku, w których przyznano już Kościołowi i wiernym cały szereg odebranych poprzednio swobód. Oba te dokumenty rozszerzył jeszcze i potwierdził konkordat z r. 1855, który zaliczyć trzeba do najlepszych w całej nowożytnej historji. Konkordat ten jednak, bardzo ograniczony przez t. zw. zasadnicze prawa z r. 1867 a jeszcze bardziej przez osławione „prawa majowe" z roku następnego został formalnie wypowiedziany po ogłoszeniu dogmatu nieomylności papieskiej, notą dyplomatyczną z dn. 30 lipca 1870 roku. Miejsce konkordatu zastąpiono jednostronną ustawą „O zewnętrznych stosunkach prawnych katolickiego Kościoła" wydaną 7 maja 1874 roku, która, w zasadzie Kościołowi bardzo nieprzychylna, tylko dzięki osobistej religijności cesarza, aż do czasów wojny pozostawiała katolikom i wierze jaką taką swobodę. Po przewrocie wreszcie socjalistyczne rządy, których ostatni filar złamany został parę miesięcy temu, doprowadziły stosunki religijne Austrji do

fatalnego stanu. Zwłaszcza na polu wychowania i ustawodawstwa małżeńskiego zapanowało położenie, które groziło już społeczeństwu zupełnym rozkładem.

To wszystko musiał naprawić lub do porządku doprowadzić obecny konkordat. Zaprojektowany w ogólnych zarysach już w r. 1930 za kanclerstwa Dr. Schobera i dalej dyskutowany za jego następcy Dr. Endera, został wreszcie szczęśliwie podpisany przez obecnego kanclerza 5 czerwca u. r., a uroczyście ratyfikowany i ogłoszony w historycznym dniu 1 maja b. r.

Na pierwsze miejsce wybija się w tym dokumencie unormowanie spraw szkolnych i małżeńskich. Co do pierwszych gwarantuje się we wszystkich szkołach niższych i bardzo szeroko pojętych, średnich, obowiązkowe nauczanie religji katolickiej pod kierunkiem i nadzorem Kościoła, oraz obowiązkowy charakter wspólnych praktyk religijnych, a nadto zostawia się Kościołowi i jego zgromadzeniom zakonnym zupełną swobodę otwierania prywatnych zakładów naukowych z tym zachęcającym dodatkiem, że jeśliby w jakiejś okolicy taki zakład prywatny zastępował, lub wydatniej odciążał istniejący tam lub mający powstać zakład publiczny, to takiemu zakładowi prywatnemu będą w miarę możności udzielane zasiłki z państwowego budżetu ministerstwa oświaty. Cel, który tym postanowieniom przyświeca, precyzuje § 4 artykułu szóstego w ten sposób, że przedsiębierze te rzeczy „dla rozwoju katolickiego szkolnictwa w Austrji i żeby w ten sposób torować drogę do wprowadzenia w przyszłości szkół wyznaniowo-katolickich".

W dziedzinie prawa małżeńskiego przyznaje się wszystkie skutki cywilne małżeństwom zawartym wedle formy kościelnej katolickiej i uznaje się kompetencję trybunałów kościelnych we wszystkich sprawach, dotyczących czy to nieważności małżeństwa czy dyspensy w wypadku małżeństwa ważnie zawartego lecz niedopełnionego, z tem zastrzeżeniem że odnośne decyzje ostatniej instancji będą przedstawiane do zbadania najwyższemu trybunałowi Sygnatury Apostolskiej, który prześle swoje orzeczenia w tej mierze najwyższemu Sądowi Państwowemu, by za jego dekretem mogły wejść w życie cywilne skutki powziętej uchwały. Podobnież uznaje się kompetencję trybunałów kościelnych przy postępowaniu odnośnem do t. zw. „Pawłowego Przywileju", czyli co do małżeństw zawartych między jedną ochrzczoną a drugą nieochrzczoną stroną. Natomiast postępowanie w kwestjach separacji od stołu i łoża pozostawia Stolica św. sądom cywilnym.

Co do innych artykułów konkordatu można powiedzieć krótko, że nadają one Kościołowi w państwie austrjackiem

zupełną pod każdym względem swobodę, tak, że wielka jego misja uświęcania i zbawiania dusz ani w jednym punkcie nie doznaje skrępowania czy ograniczenia. Z drugiej zaś strony trzeba stwierdzić, że nadane Kościołowi swobody w niczem zgoła nie uszczuplają nietylko praw, ale prestiżu państwa i jego organów. Konkordat austrjacki może służyć za wzór jak obie władze, duchowna i świecka w prawdziwie katolickim kraju nie stoją do siebie w żadnej opozycji, ale owszem stworzone są do tego, by się wzajemnie wspomagać i udostojniać.

Nie ulega wątpliwości, że przed odrodzoną Austrją jeszcze jest długa droga do przeprowadzenia wszystkich ustrojowych planów, do pokonania ostatków wewnętrznych wrogów, do wyjścia z rozmaitych, zwłaszcza ekonomicznych, trudności. Ale wobec tego, co już zrobiono, można mieć najlepsze nadzieje. Rządcy młodej republiki pokazali tyle dzielności, tyle konsekwencji, tyle umiarkowania a nadewszystko głębokiego rozumu, gdy związali losy swego kraju z tem, co nieśmiertelne, że można chyba śmiało liczyć na dalsze błogosławieństwo Boże.

A to błogosławieństwo, jakie w tej chwili nad Austrją widocznie spoczęło, jeszcze z innego względu może nasunąć poważne myśli.

Jeśli się porówna to, co dzieje się w tej chwili w naddunajskiej republice, z tem, czego widownią są kraje Trzeciej Rzeszy, trudno obronić się głębokim refleksjom. Pewne dalsze cele, przyświecające gorączkowej przebudowie obu sąsiednich państw niemieckich, np. stanowe urządzenie społeczeństwa i wymiar sprawiedliwości społecznej, są identyczne. Ale jakże gwałtowny kontrast zachodzi między środkami jakich tu i tam się używa i duchem, który oba rządy ożywia. Tu bezgraniczna pycha rasystyczna i narodowa, która podnosi się na wszystko, co nie jest nordyjsko-niemieckie — tam skromne uznanie swego właściwego miejsca w wielkiej rzeczypospolitej państw chrześcijańskich; tu akty gwałtu i teroru, któremi hitlerowcy ciągle niepokoją swego słabszego niemieckiego sąsiada — tam spokojna ale pełna godności i konsekwencji, samoobrona; tu walka z Chrystusem i Kościołem, dochodząca aż do wytworzenia ściśle wziętego pogańskiego kultu — tam zupełne oddanie się chrześcijaństwu i sprawie Królestwa Bożego na ziemi.

Do niedawna mówiono nam ciągle o wyższości narodów protestanckich nad katolickiemi. Możnaby sądzić, że tej teorji wnet zadadzą kłam rzeczywiste dzieje. Na protestanckie Niemcy, a przynajmniej na sam ich protestantyzm, którego światopogląd hitlerowski jest nieodrodnem dzieckiem,

zaczyna zapadać cień; nad maleńką, słabą, ledwie siedmiomiljonową Austrją wyraźnie słońce wschodzi.

Oby to młode państwo, którego „niemiecki" charakter nowa konstytucja silnie i tendencyjnie podkreśla, stało się nowym ośrodkiem ideowym wielkiego narodu, któremu zgubę przyniosły Wittenberga i Berlin.

Jak nowy typ państwa, na którego narodzenie wszędzie niemal patrzymy, wymaga koniecznie nowych ludzi i dlatego z szczególną usilnością zabiega o wyrobienie w swym duchu młodego pokolenia, tak potrzebuje tych nowych ludzi i Kościół. Bo chociaż żadne zmiany epok ni prądów nie mogą doprowadzić w Kościele do przebudowy czy to objawionej wiary, czy zasadniczego, przez Boga nadanego ustroju, nowe warunki pracy i walki mogą nieraz wymagać specjalnego typu ludzi, po których oczywiście sięgnąć trzeba do tej niewyczerpanej, a pełnej wszystkich nadziei, rezerwy, jaką jest młodzież.

I rzeczywiście, za jednem z tych wyraźnych zrządzeń Ducha Świętego, których tyle obserwować można w dziejach kościelnych, powstało ostatniemi czasy w Kościele ogromne i prześliczne dzieło Boże, którego jedynym celem jest, od najwcześniejszego wieku wyrabiać młodzież na takich sług i szermierzy Królestwa Bożego, jakich dzisiejsze czasy koniecznie potrzebują.

Mamy tu na myśli nieocenioną i błogosławioną w swych skutkach Krucjatę Eucharystyczną dzieci.

Kiedy przeszło ćwierć wieku temu, na widok ogromnych potrzeb i trudności dusz, Pius X otwarł szeroko tabernakulum kościołów i wezwał do jak najczęstszej Komunji św. nietylko dorosłych, ale nieletnie nawet dzieci, nie spodziewał się zapewne wielki Papież, że to odrodzenie duchowe, które było owego aktu wyraźnem następstwem, wytworzy całą potężną organizację młodzieńczą, skupioną koło Eucharystji, jako swojego centrum i źródła siły.

Pierwsza myśl tej organizacji padła na Kongresie Eucharystycznym w Lourdes, w przededniu nieomal wielkiej wojny. Widząc, z jakim zapałem garną się młodziutkie serca do otwartego sobie przez Papieża Stołu Pańskiego i jak wielkie stąd odnoszą pożytki, powzięto plan złączenia tych najmłodszych dzieci Kościoła w osobne zrzeszenie, które stanowiłoby jakby przedszkole do innych katolickich stowarzyszeń.

W czasie wojny zajmowały się te rodzące się związki dzieci głównie modlitwą o pokój i uczynkami miłosierdzia względem walczących, ale po powrocie normalnych stosunków zaczęła się w ogniskach Krucjaty, które wnet rozrosły

się z niesłychaną szybkością na cały świat, systematyczna duchowa praca.

A praca ta szła przedewszystkiem w dwóch kierunkach. Najpierw przez zawiązanie ścisłych, serdecznych węzłów między dziećmi a ukrytym w Najśw. Sakramencie Zbawicielem starano się rozbudzić w nich nadprzyrodzone życie wiary, żywą pobożność, katolickie, kościelne usposobienie, a powtóre kierowano praktycznie tę pobożność do wyrobienia charakteru, zaprawiając dzieci w dostępnej im, ciaśniutkiej sferze, do zwycięstwa siebie, do przynoszenia malutkich ofiar Bogu i bliźnim, do wszystkiego, jednem słowem, co zdolne jest wytworzyć w duszach głęboką szlachetność uczuć i zasoby moralnej siły.

Co Krucjata Eucharystyczna w tych dwóch kierunkach dokonała, to przeszło wszelkie oczekiwanie jej twórców. Co Pius X zapowiedział był w chwili, gdy pozwalał wcześniej niż dotąd, dopuszczać młodzież do Stołu Pańskiego: „Zobaczycie, że będziemy mieli święte dzieci" — to spełniło się dosłownie. W ciągu ostatnich lat piętnastu rozwinęła się i u nas i zagranicą cała prześliczna gałąź literatury hagiograficznej, opisującej życia tych właśnie „najmłodszych ulubieńców Zbawiciela", których wyrobiła przeważnie Krucjata, a w każdym razie osobliwa cześć Najświętszej Eucharystji. A obok tych wyjątkowo pięknych i wonnych kwiatów świętości, z których niejeden pewnie stanie kiedyś na ołtarzach, słyszymy zewsząd — a ma Krucjata w rozmaitych krajach i językach już do pięćdziesięciu swoich organów — o wybornych skutkach tego stowarzyszenia w niezliczonych duszach dziecinnych, których stoi w tej chwili pod eucharystycznym sztandarem już blisko trzy miljony. Dzieci robią się posłuszniejsze, pilniejsze, z wyższych pobudek koleżeńskie, głęboko i szczerze pobożne. Kto tylko się zetknie z któremś z owych tysiącznych kół Krucjaty, rozsypanych po całym świecie, także i w naszym kraju, ten napewno się przekona, że wychowawczy wpływ tej organizacji jest równie silny, jak we wszystkich kierunkach błogosławiony.

Bo najpierw z religijnego punktu widzenia przynosi Krucjata ogromne pożytki. Dzieci nabierają, nie narzuconej tylko, ale własnej i świadomej pobożności; zdobywają potrzebną siłę, żeby niebezpieczne dla moralności lata przeżyć czysto i szlachetnie; ćwiczą się ciągle we wszystkich sobie dostępnych rodzajach cnót chrześcijańskich; wprawiają się do organizacji i uczą się interesować katolickiem kościelnem życiem. Z jakiej bądź strony na tę rzecz patrzeć, trudno znaleźć lepszego przysposobienia do późniejszej pracy w Akcji Katolickiej czy w innych formach związkowości kościelnej.

Ale niemniejsze pożytki przynosi Krucjata dla szkoły jako takiej, a więc i dla tego wielkiego dzieła państwowego i narodowego wychowania, któremu szkoła służy. Da się to z wszelką ścisłością stwierdzić, że małe rycerzyki i rycerki Krucjaty należą zawsze do najpilniejszych, najkarniejszych, najlepiej ułożonych, najszlachetniej patrjotycznych dzieci. Nigdzie jeszcze nie dało się stwierdzić najmniejszej kolizji między ustawami i obowiązkami Krucjaty a rozumnemi wymaganiami szkoły. I owszem, gdzie w szkole Krucjata istnieje, tam panuje wśród dziatwy jakiś wyższy, podnioślejszy nastrój, który dziełu wychowania pod każdym względem dopomaga.

Trzeba to więc powitać jako dowód — zapewne że i dobrej woli Rządu, którą świeżo Ojciec św. w liście do Biskupów polskich podkreślił — ale przedewszystkiem rozumnej troski o dobre wychowanie młodego pokolenia, że ze strony Ministerstwa W. R. i O. P. kilkakrotnie już padły słowa życzliwe dla religijnych stowarzyszeń w szkole a specjalnie dla Krucjaty Eucharystycznej, którą uznano za stopień przygotowawczy dla szkolnych sodalicyj marjańskich.

Ale, jak na to już dziesiątki razy zwracano uwagę, trafiają się raz po raz wypadki, że podwładne instancje nietylko nie wchodzą w myśl Ministerstwa, ale pozwalają sobie na wystąpienia, z intencjami centralnych władz zupełnie niezgodne.

Tak np., żeby wspomnieć jeden z licznych, a wprost naszego przedmiotu dotyczących wypadków, pod dniem 10 kwietnia b. r. Nr. 231/34 Taj. wyszedł z Kuratorjum lwowskiego następujący okólnik:

> Otrzymałem poufne informacje, że na terenie niektórych publicznych szkół powsz. tut. Okręgu szkol. pojawiają się pozaszkolne organizacje młodzieży szkolnej, przeważnie o charakterze religijnym, prowadzone przez duchowieństwo polskie jak i ruskie w rodzaju „Drużyn Eucharystycznych", „Stowarzyszenia Dzieciątka Jezus", „Apostolstwa Modlitwy", „Hurtków Serca Jezusowego", „Krucjaty Eucharystycznej" itp. Członków wzmiankowanych stowarzyszeń, t. j. młodzież szkolną, zachęcają księża katecheci do składek — podobno na cele charytatywne, bez jakiejkolwiek jednak kontroli ze strony władz szkolnych. Ponadto, jeżeli chodzi o stowarzyszenia ruskie, to pod płaszczykiem religijnym, kler grecko-kat. uświadamia młodzież nacjonalistycznie i nastawia nieprzychylnie do szkoły polskiej, utrudniając tem samem oddziaływanie wychowawcze i podrywając autorytet nauczycielstwa. Proszę Pana Inspektora o zebranie odpowiednich materjałów w tej sprawie i nadesłanie mi wyczerpującego sprawozdania w terminie do końca kwietnia b. r.
>
> Za Kuratora Okr. szk. *Koestlich* w. r. p. o. Nacz. Wydz.
> Inspektorat Szk. Miejsk. we Lwowie.

Wspomniany Inspektorat rozesłał wyżej przytoczone pismo pod dniem 16 kwietnia b. r. Nr. 24 taj.

Do Kierownictw Publicznych i Prywatnych szkół powszechnych we Lwowie.

Przesyłam do wiadomości i ewentualnego zlikwidowania wymienionych w piśmie Kuratorjum Okr. Szk. Lw. stowarzyszeń, o ile na terenie szkoły istnieją, zaś w razie przynależności dzieci do tych organizacyj, jako pozaszkolnych, skłonienia ich do wystąpienia.

Wańczura w. r.

Doprawdy że nieraz *difficile est satyram non scribere*: Gdzie my właściwie jesteśmy? Czy dzieje się to w odwiecznie katolickiej Polsce, czy gdzieś za Apuchtinowskich czasów, w jakimś zarządzie szkolnym byłego Kongresowego Królestwa? Więc tem nie wzrusza się żadne Kuratorjum, jeśli gdzieniegdzie ze strony samych władz szkolnych dochodzi do młodzieży wyraźnie bezbożniczy, religijnie i socjalnie destruktywny wpływ, ale jeśli łączą się serca dziecinne, by się ćwiczyć w cnocie, by bardziej kochać swego Boga i Zbawiciela, by może — choć to prawie zupełnie nie ma miejsca — jakąś maleńką ofiarą dopomagać ubóstwu, albo zagranicznym kościelnym misjom — to ma być aż tak niebezpieczne, że trzeba w tej kwestji puszczać w ruch cały aparat tajnych okólników i urzędowej presji?! Nie sądzimy, żeby było wskazane wprowadzać taki rozdźwięk w pojęciach o wychowaniu, między władzami szkolnemi a tem społeczeństwem, do którego dzieci należą i które na wychowanie ich łoży. Być może, że tym lub owym jednostkom z pośród władz szkolnych, religja wydaje się głównem niebezpieczeństwem dla dobrego wychowania młodzieży, ale olbrzymia większość społeczeństwa sądzi inaczej. W przekonaniu całego prawie narodu niebezpieczeństwo zagraża naszym dzieciom nie od „Krucjaty Eucharystycznej“ czy „Apostolstwa Modlitwy“ czy „Dzieła Dziecięctwa Jezusowego“ itp., ale ze zgoła innej strony i od innych wpływów, którym musimy zkolei poświęcić chwilę uwagi.

Kiedy zgórą rok temu z wyżyn Prymasowskiej Stolicy Polski rozległ się ostrzegawczy głos, że zaczyna i u nas wzbierać fala wojującego bezbożnictwa, niejednemu wydała się ta diagnoza naszego położenia religijnego zbyt pesymistyczna, a byli i tacy, co wprost skarżyli się na to, że przez tak ciemne obrazy przyszłości odbiera się dzieciom Kościoła odwagę i nadzieję. Pokazuje się dzisiaj, że sąd wyrażony wówczas przez J. E. Księdza Prymasa był bardzo objektywny i raczej umiarkowany, bo jesteśmy w tej chwili świadkami

niebywałego wzmożenia bezbożniczej propagandy, a tak zuchwałej i zaciętej, że może iść o lepsze z najskrajniejszemi formami bolszewickiej nienawiści do wszystkiego, co Boże.

Jednego wspólnego ośrodka akcja ta w Polsce nie posiada, owszem składa się z grup zupełnie luźnych, a poczęści sobie obojętnych lub wrogich, ale wspólny cel tej roboty jest zupełnie jasno zakreślony i aż nazbyt głośno proklamowany: przyszła Polska ma być zupełnie wyzwolona z pod wszelkiej wiary w Boga i z pod jakiejkolwiek pozytywnej religji, czy związanej z nią religijnej organizacji. W tym kierunku stanowczo idzie przynajmniej lewica socjalistyczna, nie mówiąc już o zwolennikach komunizmu, oraz skrajne skrzydło radykalnych ludowych stronnictw; to hasło wywiesza, jak to już niejednokrotnie mieliśmy sposobność stwierdzić, smutnej sławy „Legjon Młodych" — przynajmniej w dotychczasowej swej formie — zarażając tym samym duchem stykające się z nim koła „Straży Przedniej"; w tym kierunku rozwija bardzo ruchliwą ostatniemi czasy działalność „Polski Związek Myśli Wolnej", który przez swe pisma: *Wolnomyśliciel Polski* — dla inteligencji i *Błyski Wolnomyślicielskie* — dla ludu, szerzy otwarcie zupełny ateizm i jeszcze świeżo, przez rozpisaną 20 kwietnia b. r. rozległą ankietę, usiłuje zszeregować do walki z religją jaknajliczniejszych zwolenników we wszystkich klasach społeczeństwa; tutaj wreszcie — żeby nie wymieniać już luzem idących jednostek — należy cały zastęp ludzi ugrupowanych około *Wiadomości Literackich,* który, choć może w subtelniejszy sposób, usiłuje wyrwać do ostatniego korzenia, czy dogmatyczne, czy zwłaszcza moralne zasady rzeczywistego chrześcijaństwa. Jeśli idzie o artykuły po czasopismach, o mniejsze broszury czy ulotki, to produkcja literacka wszystkich tych grup wojujących liczy się w ostatnich tylko latach na tysiące numerów, ale obok tych drobnych wycieczek antyreligijnych pojawiają się i obszerniejsze dzieła poświęcone walce z Bogiem i Kościołem, jak np. skandaliczne książki: Władysława Spasowskiego *Wyzwolenie człowieka,* Henryka Ułaszyna *Z walk z kłamstwem,* Janiny Baryckiej *Stosunek kleru do państwa i oświaty* i t. d.

W ideową rozprawę z tymi autorami wdawać się tu oczywiście nie możemy, nietylko dlatego, że ramy sprawozdawczego artykułu nie nadają się do teoretycznych dyskusyj, ale i dlatego, że szukając z najlepszą wolą, najbardziej objektywnie, najwyrozumialej i najpobłażliwiej — niepodobna znaleźć w tych elukubracjach naszych bezbożników jednego ziarnka myśli, która zasługiwałaby na naukowe roztrząśnienie. Aż ręce opadają, gdy się widzi te same

zawsze wyświechtane, spłowiałe, po tysiąc razy zbite, czy sprostowane i wytłumaczone „argumenty", czy gołosłowne twierdzenia, czy rzekome „fakty", czy proste dekłamacje przeciw chrześcijaństwu, zdolne trafić chyba do niesłychanie ograniczonej głowy, albo do bardzo już znieprawionego serca. Nic nowego ci panowie nie wymyślili, nic nowego nie znaleźli, z niczem popisać się nie mogą, coby jakkolwiek pokazać się mogło w jasnem świetle prawdziwej wiedzy, ale zato wydostają ze swych umysłów i serc inne „nowości": coraz to zawziętszą nienawiść Boga i Bożego świata, o którym nie mają żadnego pojęcia, coraz to poprawniejsze edycje tanich efektów rzekomo naukowych czy literackich, coraz to nowe zasoby niepojętego tupetu, z jakim się ogłaszają pionierami prawdziwej kultury i budowniczymi przyszłej Polski.

Nie wdając się jednak w naukową dyskusję, możemy przypatrzeć się temu smutnemu zjawisku z kilku innych punktów widzenia.

A najpierw skąd się ten ruch bierze i czem się istnienie jego u nas tłumaczy? Przecież jest faktem nie dającym się zaprzeczyć, że na wielkim świecie myśli i europejskiej i ogólno-światowej pojawia się wyraźny zwrot ku religji, a specjalnie ku chrześcijaństwu. Czemuż więc w naszej Polsce, która miałaby sto i jeden tytułów, żeby w tym ruchu religijnym przodować — prawda, że na podwórkach tylko, ale jednak dość licznych — ma uchodzić za najwyższą filozofję, to zdanie, że religijność i postęp stoją do siebie i stać muszą w stosunku bezwzględnie odwrotnym?

Złożyły się na to różne czynniki. Obok niezaprzeczonych i nieszczęść i zaniedbań polskiego Kościoła, wpłynęły na wytworzenie tych ognisk duchowej zgnilizny i pewien osad materjalistycznych i pozytywistycznych poglądów, który dużo prędzej pokonany na Zachodzie, u nas dziwnie długo czepiał się umysłów i zatrute tchnienie tak przedwojennego, jak powojennego rosyjskiego ducha i bardzo wyraźne w ostatnich kilkunastu latach, a wybitnie destruktywne działanie judaizmu i jakieś zgrubienie tak pojęć, jak uczuć, które u pewnej kategorji ludzi pozostawiły po sobie twarde lata wojennych trudów i niezdrowy układ oraz fatalny wzajemny stosunek warstw społecznych, który zamiast zachowawczych i umiarkowanych, wytwarza coraz to nowe czynniki, z natury swojej skłonne do wszystkich radykalizmów, społecznych, politycznych i religijnych.

Ale obok tych wszystkich przyczyn jest jeszcze coś, co zwłaszcza w ostatnich latach dało się odczuwać dość silnie. Oto, choć jest rzeczą niewątpliwie prawdziwą, co dwa tygodnie temu, w swej znanej mowie do nauczycielstwa, po-

wiedział Ks. Biskup Adamski, że „instancje i osoby, które decydują o losach Państwa, wytknęły sobie jasną i wyraźną linję zgody Państwa z Kościołem“ [1]) to jednak nie da się zaprzeczyć, że nasze sfery rządzące, wzięte jako całość, stoją na jakimś dwuznaczniku, na chwiejnem religijnie i niezdecydowanem stanowisku. Z jednej strony chciałoby się, żeby Polska w myśl wiekowych swoich tradycyj, była chrześcijańskiem i katolickiem państwem i dlatego okazuje się Kościołowi pewne względy, jużto słowem i gestem, jużto — coprawda rzadziej — tym lub owym, dość skąpo zresztą mierzonym, czynem; z drugiej strony nietylko toleruje się, ale popiera się czasem kierunki i organizacje, które z niepojętem zuchwalstwem bluźnią Bogu i Chrystusowi i wszystkiemu, co święte w chrześcijaństwie, błotem i kałem miotają na tę samą hierarchję, której Rząd polski okazuje oficjalny szacunek, podkopują zajadle tę religję, której sama Konstytucja a jeszcze bardziej żywa rzeczywistość polska przyznaje doniosłą rolę w kształtowaniu publicznego życia narodu [2]).

---

[1]) Por. „Czas“ z 18 maja str. 2.

[2]) Bluźniercze ekspektoracje pism wydawanych przez „Legjon Młodych“ są już dość powszechnie znane. Podobnych wyjątków z prasy innych, młodych i niemłodych ugrupowań możnaby przytoczyć bardzo wiele. Ale może rzuci czytelnikom pewne światło na nasze zagadnienie następujący ustęp z dzieła człowieka, który przez kilkadziesiąt lat zajmował stanowisko nauczyciela i wychowawcy na różnych szczeblach naszego szkolnictwa. „Powstała w strachu przed groźnemi żywiołami przyrody i w związku z kultem okrutnych, groźnych wodzów i naczelników plemion, religja utrzymuje się w dalszym ciągu dzięki władzy duchownej, dzięki zainteresowanej w tem kaście kapłańskiej, zastraszającej wyobraźnię ludu, dzięki władzy świeckiej z jej prawodawstwem upatrującej w niej doskonałą podporę dla panującego ustroju i wreszcie dzięki ciemności i głupocie ludzkiej, gorliwie przez ten system podtrzymywanej. Systemy religji pozytywnej, wyzyskujące naiwność prostaczków zapomocą zabobonów, złudzeń, hipostaz, ofiar, czarów, ceremonij i t. p. zawsze były preparowane i podsycane przez oszustwo kapłanów, którzy wsławili się swemi szarlatańskiemi wyczynami wszędzie: W Eleuzis, Tebach, Memfisie, Mecce, Lourdes i t. d....

Z chwilą wyodrębnienia się sekty kapłańskiej kapłani stali się z reguły oszustami w teorji i w praktyce, cynikami, czarodziejami, magami, dla przywłaszczenia sobie dóbr ziemskich i władzy, oraz popierania klasy posiadającej w dobrze zrozumiałym interesie przy podziale zysków i łupów. Kapłani wszelkich wyznań, te „byczki boże“, jak ich lud polski nazywa, bogom zawsze oddawali jedynie dech żywota, dusze ofiar i cień kosztowności, sobie zaś zabierali mięso i materje kosztowne podczas wszelkiego rodzaju uroczystości religijnych, odpustów, składania wotów i t. p. Poza wyjątkami niezmiernie rzadkiemi, kapłani po wszystkie czasy stanowili bandę oszustów, rozpowszechniających brednie o bogach, w których sami przeważnie nie wierzyli wcale. Oni to sami robili cuda, wyśmiewane w skrytości przez siebie, lecz traktowane zarazem jako świetny interes, tuczyli się ofiarami ciemnych mas, posługiwali się bogami jak talizmanem, dla zabezpieczenia swych ogromnych skarbów wszędzie — w labiryncie egipskim, Rzymie, Lassie i t. d. Posługiwali się w miarę potrzeby wszelkiemi zbrodniami, kłamstwem, obłudą, podstępem, podło-

Otóż tego rodzaju dwuznaczność i połowiczność postępowania, prócz bardzo wielu szkód, jakie wyrządza naszemu publicznemu życiu, pociąga za sobą i tę jeszcze, że nieraz wbrew intencjom sfer rządzących dodaje odwagi antyreligijnej, bezbożnej robocie. Możnaby na to przytoczyć dziesiątki przykładów, że różne czy to podwładne instancje, czy mniej lub więcej zależne od Rządu instytucje i organa, interpretując sobie po swojemu zamiary władz wyższych, a kierując się owem fatalnem, całkiem słusznie napiętnowanem w ostatnich tygodniach, podchlebianiem się „naczalstwu", pozwalały sobie na różne antyreligijne wystąpienia, kompromitując tem władze i niemało szkodząc dobrej sprawie.

Należałoby sobie gorąco życzyć, by ten Rząd polski, który już w tylu kierunkach wewnętrznej i zewnętrznej polityki ze zdumiewającą konsekwencją i rozumem trzyma się raz wytkniętych linij, i kwestję stosunku Państwa do religji przemyślał aż do dna. Jeżeli wiara nie jest niczem innem, jak pewnym zbiorem formuł i gestów i konwencyj i jeśli nic innego nie może dać jednostkom i społecznościom ludzkim, jak rodzaj dekoracji i czysto zewnętrznej pozłoty, to niewątpliwie dla religji robi się u nas za wiele. Ale jeśli wiara, komunikując światu Bożą prawdę i łaskę, jest dla ludzi i narodów niewyczerpanem źródłem zbawiennych mocy — to może byłby ktoś skłonny powiedzieć, że dla obrony i rozszerzenia tej wiary robi się u nas za mało.

Ale jakiekolwiek będzie teraz, czy w najbliższej przyszłości nastawienie religijne sfer rządowych, z tego wzmożenia u nas bezbożniczej działalności, wypływa dla katolików i działaczy kościelnych wieloraki a bardzo poważny obowiązek.

Przedewszystkiem trzeba sobie uświadomić doniosłość i rozmiar grożącego niebezpieczeństwa, nie można się tem usypiać, że duża część społeczeństwa jest bezwątpienia prawdziwie pobożna i że nawet mniej pobożna jego część, z pe-

---

ścią, trucizną i sztyletem, dzieciobójstwem i królobójstwem — dla nasycenia jedynie własnej chciwości panowania i bogactw. Nietzsche słusznie nazywa kapłana przeczycielem, oszczercą, trucicielem życia z powołania, adwokatem nicości i zaprzeczenia. Kapłan, jego zdaniem, „stoi do wszystkich rzeczy w kierunku skośnym i nieuczciwym", jest obrońcą dwóch najzłośliwszych błędów — „świata prawdziwego" i „moralności jako esencji świata"! „Teolog, kapłan, papież każdem zdaniem, jakie wypowiada, nietylko błądzi, lecz łże" i to z całą świadomością; „kapłan jest najniebezpieczniejszym rodzajem pasorzyta, jadowitego pająka życia". Władysław Spasowski: *Wyzwolenie człowieka*. Warszawa. Nakładem F. Hoesicka. 1933, str. 48 i n. Podobnych do tej stronnic możnaby przytaczać całe dziesiątki. Doprawdy zastanawia się człowiek, czego właściwie potrzeba, by miał miejsce przewidziany w Kodeksie karnym występek przeciw religji i bluźnienie Bogu.

wnego konserwatyzmu i przyzwyczajenia, po dawnemu wypełnia kościoły. Akcja bezbożnicza prowadzi się bardzo intensywnie na wyższych a poczęści i w średnich uczelniach i wśród rozmaitych związków młodzieży; obejmuje całe koła inteligencji, najczęściej skupione koło jednego organu, lub w ramach jednego zrzeszenia; szerzy się w bardzo niepokojący sposób wśród ludowego nauczycielstwa; przedostaje się aż do armji i półwojskowych formacyj ludzi cywilnych; duże spustoszenie czyni w szeregach robotniczych, zwłaszcza w fabrycznych okolicach zagłębia Dąbrowskiego i Ostrowca; w wielu miejscach zaraża już i prosty lud wiejski, szczególnie tam, gdzie sekciarstwo lub kościół narodowy przygotowały grunt pod moralną gangrenę. Choćby tylko dziesiąta część tego, tak obficie sianego, kąkolu wzejść miała, byłoby czem zaniepokoić się bardzo poważnie o naszą religijną przyszłość i pobudzić się do energicznego przeciwdziałania.

Do tego przeciwdziałania powołana jest przedewszystkiem Akcja Katolicka. Trudno o ważniejsze i wspanialsze dla niej zadanie nad to, żeby najpierw dokładnie obserwować postępy bezbożnictwa i środki jego propagandy, potem wszelkiemi siłami uświadamiać, uodporniać umysły zwłaszcza w pracy stowarzyszeniowej i wszędzie niejako budować duchowe twierdze, zdolne oprzeć się czy to otwartym, czy zamaskowanym napaściom niewiary.

Ogromną rolę ma tu do spełnienia i popularna prasa katolicka. Te niezliczone doprawdy pisma i pisemka, które w niewiarygodnych ilościach wsiąkają w rolę serc naszego ludu, powinny dużą część czysto dewocyjnej treści zastąpić poważnem apologetycznem pouczeniem o podstawach chrześcijańskiego światopoglądu, o sposobach dowodzenia, jakiemi posługują się wrogowie Boga i odpowiedziach, jakie im przeciwstawia nasza wiara i wiedza.

Misjonarze ludowi a przedewszystkiem przewodnicy duchowni rekolekcyj, urządzanych z ogromnym pożytkiem dla zarządu stowarzyszeń lub działaczy Akcji Katolickiej, powinni otwierać oczy na grożące niebezpieczeństwo i uzbrajać serca oraz umysły do dania mu stanowczego odporu.

A wreszcie szkoła. Jak wedle znanego słowa Piusa XI, bolszewizm jest dzwonem, wzywającym do rachunku sumienia nad spełnieniem obowiązków społecznych, tak wzrost bezbożnictwa w naszym kraju powinien przynaglić do poważnego zastanowienia, czy nauczanie religijne na wszystkich stopniach, choćby w dostatecznej mierze odpowiedziało i odpowiada swym zadaniom.

To jednak jest temat dłuższy, który wymaga zupełnie specjalnego omówienia.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Pierwsze dwudziestopięciolecie Papieskiego Instytutu Biblijnego.

Dnia 7 maja obchodził Papieski Instytut Biblijny w Rzymie dwudziestopięcioletni jubileusz swego istnienia. Sama uroczystość była mało rozgłośna, bo polegała prawie tylko na dziękczynnem nabożeństwie, odprawionem w przepięknym kościele Sant' Ignazio przez jednego z pierwszych alumnów Instytutu, holenderskiego biskupa Msgr. Smita, w asyście innych alumnów dawnych i obecnych, w obecności całego grona profesorskiego Instytutu Biblijnego, rektorów i profesorów Uniwersytetu Gregorjańskiego, Instytutu Orjentalnego oraz szeregu zaproszonych gości, głównie rektorów kolegjów kościelnych, których alumni są słuchaczami Instytutu, jakoteż członków Papieskiej Komisji Biblijnej.

Następnego dnia popołudniu w wielkiej auli Instytutu odbyło się skromne przyjęcie dla grona dawnych alumnów i przyjaciół Instytutu, zaszczycone obecnością kardynała Bisleti, Wielkiego Kanclerza i Generała zakonu OO. Jezuitów, O. Ledóchowskiego, Wicekanclerza Instytutu, jednego patrjarchy, kilku biskupów, prałata, opata i innych znakomitych gości.

W półoficjalnym organie Watykanu, *l'Osservatore Romano,* pojawiło się kilka artykułów poświęconych Instytutowi. Z wielu stron nadeszły listy i telegramy gratulacyjne, z pośród których oczywiście najmilszem było dla przełożonych i profesorów Instytutu pismo odręczne Ojca św., wyrażającego „swojemu" Instytutowi uznanie za dotychczasową działalność i błogosławiącego jego poczynaniom na przyszłość.

Punktem kulminacyjnym uroczystości była wielka audjencja udzielona przez Ojca św. Instytutowi Biblijnemu i stowarzyszonym *(consociati)* Instytutom, t. j. Uniwersytetowi Gregorjańskiemu i Instytutowi Orjentalnemu, w sobotę 12 maja, w sam dzień imienin Jego Świątobliwości.

Instytut Biblijny ze swej strony uczcił swój jubileusz paru publikacjami, jako to wydaniem w większych rozmiarach zeszytu czasopisma *Biblica,* który w osobnej odbitce stanowi pierwszy z dwu tomów zbiorowego wydania artykułów, napisanych przez profesorów Instytutu, byłych jego alumnów i innych współpracowników p. t. *Miscellanea Biblica.* Także i innych czasopism Instytutu, a zwłaszcza *Orientalia* wyszły odświętne numery.

Najważniejszą zaś publikacją, wydaną przy tej okazji przez Instytut jest sprawozdanie z jego wykopalisk w dolinie Jordanu, p. t. *Teleilat Ghassul.* Compte rendu des fouilles de l'Institut Biblique Pontifical, 1929—1932. Par Alexis Mallon S. J., Robert Koeppel S. J., René Neuville. Roma 1934. 4^0, stron XVIII, 193. 67 rycin w tekście, 64 stron reprodukcyj fotomechanicznych czarnych i 9 kolorowych poza tekstem.

Jeszcze nie nadszedł czas do pisania historji Instytutu w ścisłem słowa znaczeniu. Dwudziestopięcioletnia jego działalność, podobnie jak jego obecne uroczystości jubileuszowe, z natury rzeczy też nie była bardzo rozgłośna; ale jak wynika z tego, co zaraz powiemy, nie mogła nie wywrzeć odpowiedniego piętna na studjach biblijnych w Kościele katolickim.

Założony 7 maja 1909 Listem Apostolskim *Vinea Domini* przez Piusa X celem kształcenia profesorów Pisma św. dla seminarjów duchownych i uniwersytetów katolickich oraz pisarzy w tymże zakresie, Papieski Instytut Biblijny wiernie spełniał to swoje zadanie. Z pośród więcej niż ośmiuset słuchaczy, pochodzących więcej niż z 250 diecezyj świata i około sześćdziesięciu zgromadzeń zakonnych, którzy przez to pierwsze dwudziestopięciolecie przesunęli się przez sale wykładowe Instytutu, w obecnej chwili trzystudziesięciu naucza na różnych katedrach. Inni, o ile żyją, zostali przez przełożonych użyci na innych stanowiskach, dziesięciu zaś zostało posuniętych na wyższe godności kościelne, między nimi jeden na kardynalską.

Polskie diecezje i zgromadzenia zakonne były w Instytucie zawsze licznie reprezentowane. Na ową liczbę 310 uczniów Instytutu, sprawujących urząd profesorski, 24 przypada na Polskę, a więc prawie 8%. Największa liczba, bo aż 65 (21,3%) przypada na Włochy, poczem idą pokolei Hiszpanie (16,7%), północni Amerykanie (11,5%), Francuzi (9%); wszyscy inni następują dopiero po Polakach.

Działalność profesorów Instytutu nie ograniczała się i nie ogranicza do samego nauczania Pisma św. i nauk pomocniczych, do urządzania „tygodni biblijnych" dla profesorów Pisma św., jak dotąd włoskiej tylko narodowości, do wykładów publicznych i wycieczek naukowych do Palestyny, lecz przejawia się też w formie mniejszych i większych prac naukowych i artykułów popularyzujących. Od piętnastu lat wydaje Instytut kwartalnik *Biblica,* w którym artykuły są pisane w sześciu językach. Miesięcznik *Verbum Domini* pisany po łacinie ma za zadanie popularyzować wśród duchowieństwa postępy wiedzy biblijnej. Wreszcie *Orientalia*, które przez jedenaście lat wychodziły w nieokreślonych odstępach czasu i zawierają w 55 zeszytach szereg monografij i wydań tekstów, głównie sumeryjskich, assyryjskich i babilońskich, zostały od dwu lat przekształcone na czasopismo perjodyczne, wychodzące trzy razy do roku. Prócz tego powstało wydawnictwo *Analecta Orientalia*, zawierające obszerniejsze monografje o rzeczach starożytnego Wschodu i publikacje tekstów.

Wielki zbiór pod wspólnym tytułem *Scripta Pontificii Instituti Biblici* zawiera prace odnoszące się do Pisma św. i nauk pomocniczych, pisane w różnych językach przez profesorów Instytutu i innych współpracowników.

Kurs w Instytucie Biblijnym trwa regularnie trzy lata, o ile kandydat ma zamiar ubiegać się o stopień doktora Pisma św. Kto poprzestaje na licencjacie, dającym już prawo do uczenia w seminarjach duchownych, może się zadowolić dwuletnim pobytem w Instytucie. Słuchaczami Instytutu zwyczajnymi i nadzwyczajnymi są duchowni, którzy ukończyli kurs filozofji i teologji scholastycznej. Ci jednak, którzy się ubiegają o stopnie akademickie, muszą posiadać przynajmniej stopień licencjata teologji.

Obok fakultetu biblijnego został w roku 1932 kanonicznie erygowany jeszcze fakultet orjentalistyczny, też z prawem nadawania stopni akademickich. Otwarcie go było tem bardziej wskazane, że już i tak nauczano przy fakultecie biblijnym kilkunastu języków wschodnich i innych przedmiotów, odnoszących się do starożytnego Wschodu.

Do pomocy w studjach mają słuchacze do dyspozycji wielką bibljotekę, zawierającą około 100.000 tomów książek i roczników czasopism. Czasopism zaś bieżących, częścią abonowanych, częścią otrzymywanych drogą wymiany, jest więcej niż trzysta. Prócz tego istnieje przy Instytucie niewielkie muzeum, służące do ilustracji starożytnego i obecnego Wschodu, zbiór kart geograficznych, oraz około 4000 przeźroczy. Celem zaś dania słuchaczom możności uzupełnienia teoretycznych studjów o Palestynie i o Wschodzie, otwarto w 1927 r. filję Instytutu w Jerozolimie, w której mają oni sposobność spędzić, jeżeli nie więcej, to przynajmniej kilka miesięcy, celem osobistego zapoznania się z geografją i archeologją Syrji, Palestyny i Egiptu, a przez to poznania tła, na którem powstały księgi Pisma św.

Filja jerozolimska prócz tego stara się przyczynić do postępu wiedzy o Palestynie przez artykuły o niej, pisane na podstawie badań przeprowadzonych na miejscu, a ostatnio także przez wykopaliska w ścisłem słowa znaczeniu, podjęte w dolinie Jordanu na północ morza Martwego; o wynikach tych to wykopalisk traktuje wspomniana już monografja OO. Mallona, Koeppela i Neuville'a.

Już na podstawie prowizorycznych sprawozdań uznali archeologowie wielką doniosłość odkryć poczynionych w owych wykopaliskach, żeby wspomnieć choćby malowidła ścienne, rodzaj fresków, conajmniej z przed 4000 lat, które wydobyto na światło dzienne. Po wydaniu zaś wspomnianego tomu będą specjaliści jeszcze lepiej mogli studjować ich znaczenie, i samych w sobie i w porównaniu z wynikami innych wykopalisk.

Także dla egzegetów ma ta publikacja wielkie znaczenie ze względu na to, że wykopaliska Instytutu Biblijnego robiono w okolicy, gdzie najprawdopodobniej leżały owe miasta, o których zagładzie za czasów Abrahama (około 2000 przed Chrystusem) jest mowa w pierwszej księdze Starego Testamentu. Obecnie nikt nie będzie mógł zajmować się kwestją owych miast, żeby przynaj-

mniej nie wspomnieć o wynikach wykopalisk Instytutu Biblijnego nad morzem Martwem, choćby nawet nie przyjmował ich identyfikacji z odkopanemi ruinami.

Jeśli się do tego jeszcze doda, że świeżo nakładem Instytutu wyszło krytyczne wydanie grecko-łacińskie Nowego Testamentu, opracowane przez jednego z jego profesorów, trzeba przyznać, że dorobek jego dwudziestopięcioletniej pracy, mimo kilku ciężkich lat wojennych, jest imponujący. Oby następne dwudziestopięciolecie mogło zaznaczyć się, jeżeli nie znakomitszemi, to przynajmniej równemi pierwszemu owocami!

Ks. Ludwik Semkowski T. J.

Związek Nauczycielstwa Polskiego a społeczeństwo polskie.

O *Związku Nauczycielstwa Polskiego* pisaliśmy, poczynając od r. 1921, już kilkakrotnie na łamach tego pisma.[1]) Przez szereg lat obejmował on tylko nauczycielstwo szkół powszechnych, jako „Związek Polskich Nauczycieli Szkół Powsz.", a obecną nazwę przejął dopiero od lipca 1930 r., po połączeniu się ze „Związkiem Zawodowym Nauczycieli Polskich Szkół Średnich". Podawaliśmy — podobnie jak o bratniej jego organizacji *Stowarzyszeniu Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych* — sprawozdania z jego stanu i działalności, oceniając je naogół życzliwie, co nie przeszkadzało nam bynajmniej poddawać należnej krytyce wszelkich niewłaściwych wystąpień.

To nasze zasadniczo życzliwe stanowisko niezawsze było mile widziane z prawej strony i narażało nas nawet na przykre zarzuty. Lecz nie zmieniliśmy go w przekonaniu, stwierdzonem zresztą prawie zawsze po bliższej rozmowie, że przyczyną stawianych zarzutów jest nieporozumienie. Nie broniliśmy przecież organizacji „lewicowej, walczącej z Kościołem", lecz broniliśmy sprawy nauczycielstwa.

Bezwątpienia *Związek N. P.* miał od początku charakter raczej lewicowy. Przyczyniał się do tego niemało skład jego członków, w pewnej części socjalistów i wyzwoleńców; przyczyniał się

[1]) Por. *Przegląd Powszechny* z listopada r. 1921, str. 364, z grudnia r. 1923, str. 238, ze stycznia r. 1928, str. 122, z kwietnia r. 1930, str. 49, z lutego r. 1932, str. 269.

przedewszystkiem Gł. Zarząd, który bardziej skłaniał się ku lewicy i w którym brak było człowieka o wyraźnym charakterze katolickim. Ale nikt, pod groźbą minięcia się z prawdą, nie mógł zarzucić tym blisko 40-u tysiącom członków *Związku*, że są wrogami religji i Kościoła. Znajdowali się tam i znajdują liczni najlepsi katolicy, którzy niejednokrotnie są prawdziwą podporą miejscowego proboszcza. Najlepszym tego dowodem były zresztą pochlebne świadectwa, jakie o nauczycielstwie złożyli Dostojnicy Kościoła tych stron, w których Związek najdłużej i najsilniej się rozwijał.

Prawda, że pomiędzy nauczycielem a księdzem wybuchały nieraz spory; lecz były to zajścia na tle osobistem, z winy raz jednej raz drugiej strony, których jednak w żaden sposób nie można było uważać za przejaw walki duchowieństwa z nauczycielstwem, lub nauczycielstwa z duchowieństwem. Dlatego pisząc o tych rzeczach przestrzegaliśmy wytrwale przed powierzchownem wyciąganiem takich wniosków lub uogólnianiem przykrych sporadycznych wypadków.

Staraliśmy się nadto rozróżniać ściśle pomiędzy organizacją a jej członkami. Stawaliśmy w obronie tych ostatnich, potępianie ogółu nauczycieli, skupionych w *Związku* uważaliśmy nietylko za niepożądane, ale za krzywdę. Występowaliśmy natomiast nieraz przeciw Zarządowi, jako odpowiedzialnemu za kierunek, jakkolwiek i wobec niego staraliśmy się zawsze zajmować stanowisko pojednawcze, z wyraźną tendencją doprowadzenia do porozumienia i współpracy. To nasze stanowisko znajdowało też zrozumienie zarówno u prezesów obu organizacyj nauczycielstwa szkół powszechnych, jak u tych przedstawicieli Kościoła, którym mieliśmy sposobność je przedłożyć.

Spokojny bieg wymiany myśli zakłóciły jednak, a później przerwały wypadki innej natury. Przedewszystkiem już w kilka lat po odzyskaniu niepodległości Polski pokazało się, że do pewnych kół *Związku* wkrada się różnemi drogami komunizm. Walka z nim, wśród nauczycielstwa i w niektórych seminarjach nauczycielskich, pochłaniała przez dłuższy czas energię Zarządu, a utrudniał ją brak zdecydowanego charakteru ideowego organizacji, oraz niedostateczne poparcie ze strony ówczesnych władz szkolnych (naprz. tolerowanie przez długi czas t. zw. „spasowiaków").

Największe jednak trudności, tym razem w łonie całego *Związku*, wyłoniły się w okresie rządów pomajowych. Po paru latach początkowego entuzjazmu rozpoczęły się — w związku z reformą szkolną, przeciążeniem pracą i pogorszeniem materjalnej sytuacji nauczycielstwa — tarcia wewnętrzne, które w ostatnich czasach przybierały coraz ostrzejszą formę. [1]) Do tych jednak spraw, dotyczących raczej politycznej i czysto zawodowej strony życia nauczycielskiego nie uważaliśmy za wskazane się mieszać. Toteż od dłuższego czasu nie zabieraliśmy głosu w sprawie *Związku*.

Dopiero teraz zaszedł wypadek, który przerwał to milczenie.

Przed paru miesiącami ukazała się książka Janiny Baryckiej p. t. *Stosunek kleru do państwa i oświaty*. Na 200-u stronach zbiera autorka różne „fakty i dokumenty", które zdaniem jej wykazują wrogi stosunek duchowieństwa do nauczycielstwa, oświaty i państwa. Otóż pomijając już przekręcanie lub niewłaściwe naświetlanie pewnych faktów, które *Kurjerowi Warszawskiemu* z dn. 27 kwietnia b. r. (nr. 114 str. 11) pozwoliły ocenę tej książki zatytułować „Fałsz i oszczerstwo", należy podkreślić, że praca ta jest pod względem rzeczowym bez wartości, gdyż autorka, widocznie osoba innego wyznania lub bezwyznaniowa, nie ma pojęcia o nauce Kościoła. Autorka nie posiada nadto przygotowania naukowego do podjęcia takiej pracy, nie umie krytycznie dobrać i ocenić materjału, a nie znając całokształtu nauki katolickiej, choćby w zakresie omawianej kwestji, wyrywa pewne zdania bez należytego uwzględnienia kontekstu, dzięki czemu naturalnie „udowadnia" wszystko. Pewna zaś liczba faktów, ilustrujących zatargi między nauczycielem a księdzem, nawet przyjąwszy, że były one liczne i prawdziwe, nie upoważnia bynajmniej, jak powiedzieliśmy powyżej, do wyprowadzania postawionych przez autorkę wniosków.

Jednem słowem książka p. Baryckiej jest to pod względem naukowym jeden wielki skandal, jedna z tych publikacyj, których celem jest niezważająca na środki walka z religją katolicką, jeżeli nie z religją wogóle. Dla nieuprzedzonego czytelnika powinna ona być nowym dowodem prawdziwości a w każdym razie głębi religji

[1]) Wspomnieliśmy o nich krótko, pisząc o „fermentach" w łonie organizacji. *Przegląd Powszechny* z września 1932 r. str. 343.

katolickiej, skoro przeciw niej walczyć może jedynie fałsz lub ignorancja.[1])

Toteż książką nie zajmowalibyśmy się wcale, gdyby nie jeden szczegół — „skład główny" tej książki (wydanej przez kogo?) znajduje się w księgarni *Związku N. P.*; Zarząd Główny *Związku* „nabył pewną liczbę egzemplarzy", żeby sprzedawać ją członkom po zniżonej cenie; organ *Związku* poświęca jej specjalny artykuł polecający w swym organie. To „książka, jakich mało", pisze *Głos Nauczycielski* z dn. 25 marca b. r. (nr. 25), każe „podziwiać taki akt odwagi cywilnej" autorki i zwraca się do społeczeństwa, by „usłyszało nareszcie głos bólu walczących z ciemnotą i wstecznictwem światłych obywateli".

Rzeczywiście, biedny byłby nasz kraj, gdyby tacy „światli obywatele", jak ci, co pisali i polecają powyższą książkę, szerzyli w nim oświatę. Ciemnota zaległaby nas wkrótce. Lecz takimi „światłodawcami" nie są nasi nauczyciele szkół powszechnych; ich wielką i owocną pracę znamy i oceniamy wszyscy, widzimy w nich prawdziwych pionierów cywilizacji i kultury! Tymi, którzy są odpowiedzialni za akcję, nie mającą nic wspólnego z oświatą, owszem wrogą jej, są inni.

I tych musimy zapytać, tych, którzy stoją u steru *Związku*: w czyim interesie polecają taką książkę i chcą szerzyć zawarte w niej hasła? W czyjem imieniu napisali ów artykuł polecający, w którym roi się od fałszów i oszczerstw? Bo w każdym razie nie jest to głos nauczycielstwa polskiego, które w swej większości jest katolickie i nie podpisałoby bez przymusu podobnej odezwy. Nie sądzimy też, by krok ten przyczynił się do wzmocnienia trzeszczącej coraz silniej spoistości *Związku*. Kto zna wewnętrzne jego stosunki, ten wie, że napięcie pomiędzy Gł. Zarządem a członkami organizacji rośnie. Członkowie ci, prywatnie a czasem i publicznie, zarzucają coraz częściej Zarządowi zapoznanie ich praw i uzasadnionych postulatów, wielu z nich otwarcie wzywa

[1]) Wymowną ilustracją tych ostatnich słów są odczyty i rozprawki prof. J. Baudouin'a de Courtenay (zmarłego przed paru laty), oraz prof. Henryka Ułaszyna. Nie chcąc któremukolwiek z nich zarzucać złej woli, musimy jednak kategorycznie stwierdzić, że występy ich nie przynoszą bynajmniej chluby zajmowanemu przez nich stanowisku, gdyż opierają się na nieznajomości rzeczy. Pomimo widocznych wysiłków sięgania do źródeł, obaj wspomniani autorzy walczą właściwie nie z religją katolicką, tylko ze stworzoną przez siebie koncepcją.

do niepłacenia wkładek członkowskich. Odnosi się wrażenie, że gdyby nie nacisk z góry i obawa o byt, *Związek* dziś rozleciałby się na części.

Wydanie książki p. Baryckiej uważamy za dalszy policzek, wymierzony przez Zarząd wszystkim nauczycielom katolikom, zgrupowanym w *Związku*. Jest to fałszowanie opinji i podstępne wbijanie klina tam, gdzie rozbicia niema. Jest to liczenie na naiwność nauczycielstwa i odwracanie uwagi jego od właściwych winowajców w inną niewłaściwą stronę. Mogą zajść spory między nauczycielem a księdzem — i wówczas pragniemy, aby bez względu na osobę pełna sprawiedliwość została wymierzona — ale nie może być niezgody pomiędzy nauczycielstwem katolickiem a Kościołem! Kościół katolicki, który wówczas ratował oświatę, kiedy inne czynniki nie były w stanie spełnić tej roli, dał najoczywistszy dowód, że ceni naukę i tych, którzy ją drugim przekazują, i że pragnie szczerej i ścisłej z nimi współpracy.

Postępując w duchu wprost przeciwnym, sprzeniewierza się również Zarząd *Związku* całemu katolickiemu społeczeństwu! Gdyby jakiś nauczyciel Polak uczył w szkole żydowskiej i podburzał dzieci przeciw religji żydowskiej, to choć wiara ta jest błędną, potępilibyśmy takie metody. O ileż bardziej zwrócić się musimy z tym wyrzutem do kierowników Związku! Szczucie nauczycielstwa przeciw Kościołowi, to podjudzanie go przeciw społeczeństwu katolickiemu, to burzenie pokoju i wprowadzanie najstraszniejszych a beznadziejnych walk religijnych. To działanie przeciw Rządowi, który podkreśla zgodę i współpracę z Kościołem. To robota nietylko przeciw Kościołowi, ale przeciw Państwu Polskiemu!

Uw. Tuż przed wydrukowaniem niniejszego sprawozdania dowiedzieliśmy się (K. A. P., biul. 121), że pod pseudonimem J. Baryckiej ukrywa się nauczycielka z Górnego Śląska, Janina Zajchowska, znana z walk z szkołą katolicką. Zachwalanej w *Głosie Nauczycielskim* „odwagi" brakło więc zarówno jej, jak wydawcom książki, którą też słusznie p. W. Rzymowski nazywa „książką bez ojcostwa, bez metryki wydawniczej, książką podrzutkiem".

Ks. St. Podoleński T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 28 maja 1934.

Spis rzeczy tomu 202.

Artykuły.

Str.

A. Bar: Kryzys współczesnej kultury 3, 226

Ks. S. Podoleński T. J.: Jeszcze w sprawie życia „nienarodzonych" 25

Dr. S. Brzeziński: Biskup-podkanclerzy Piotr Tomicki na tle swej epoki 44

Prof. Dr. B. Bruckus: Problematyka planowej gospodarki Sowieckiej Rosji 65

F. Rapf: Na falach eteru 75

Ks. A. Bukowski T. J.: Jak dokonało się odkupienie ludzkości 173

J. Pajewski: Głos niemieckich uczonych o Polsce 191

Ks. P. Chojnacki: Czy istnieje filozofja specyficznie chrześcijańska? 205

T. Parnicki: Nowe drogi rosyjskiej powieści historycznej 250

Ks. J. Urban T. J. Pokłosie po pracy o „Mieczysławskiej" 274

Ks. Arcbp. A. Szeptycki: Ze wspomnień o Bracie Albercie 357

Ks. S. Podoleński T. J. Lekarz katolik 367

T. Grabowski: Krytyka neofilologiczna w Polsce i dążenie nowej krytyki 388

J. Berger: Rola poety we współczesnych Niemczech . . . 401

Ks. Poplatek T. J.: Początki i rozrost kultu Bł. Andrzeja Boboli 415

R. Dybowski: O potrzebie ducha miłości w świecie dzisiejszym 430

Przegląd piśmiennictwa.

Hans Heckel: Geschichte der deutschen Literatur in Schlesien. I. Band, (T. Grabowski) 86

Polska Akademja Umiejętności. Jan St. Bystroń: Przysłowia polskie (J. Birkenmajer) 89

Ks. Nikodem Ludomir Cieszyński: Roczniki Katolickie na Rok Pański 1934 (Ks. W. Zajączkowski T. J.) 92

Str.
Henryk Romanowski: Filozofja cywilizacji (A. Romer) . . . 94
Mickiewicz Adam: Dzieła wszystkie. Tom VI (Dr. Z. K. Ciechanowska) . . . 97
Juljusz Kleiner: Mickiewicz. T. I. Dzieje Gustawa (T. Grabowski) . . . 100
Ks. Dr. Kaz. Kowalski: Nauki rekolekcyjne o Akcji Katolickiej (Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.) . . . 103
Morice Henri: La vie mystique de Saint Paul (Ks. W. Prokulski) . . . 104
Leon Pomirowski: Nowa literatura w nowej Polsce. — Tenże: Walka o nowy realizm (T. Grabowski) . . . 105
Ks. Wład. Hozakowski: Dzieje mszy św. Z angielskiego (Ks. B. Waczyński T. J.) . . . 107
Wład. Pobóg-Malinowski: Narodowa Demokracja 1887—1918. Fakty i Dokumenty (A. Romer) . . . 109
Purgatorium iuxta doctrinam Seraphici Doctoris S. Bonaventurae propositam a P. Thoma Villanova Gerster a Zeil, O. M. Capuc. (M. Rode) . . . 112
Georg Bernhard: Tragedja Niemiecka. Samobójstwo Republiki 1933 (A. Romer) . . . 113
Eugenius Druwé S. J.: Libri sancti Anselmi „Cur Deus homo" prima forma inedicta (Ks. J. Piwiński T. J.) . . . 116
Doering Oskar: Christliche Symbole. — Hesse Ludwig: Die letzten 1000 Jahre. Kulturgeschichtliche Tabellen (Ks. S. Bednarski T. J.) . . . 117
Morawski Michał Ks. Dr.: Monografja Włocławka (Ks. S. Bednarski T. J.) . . . 118
Henryk Zyczyński: Problemy wersyfikacji polskiej. Cz. I. Rytm poetycki (T. Grabowski) . . . 119
Benedictus Henricus Merkelbach O. P.: Summa theologiae moralis. T. III (Ks. Dr. E. Chomrański T. J.) . . . 120
Kossak-Szczucka Zofja: Pątniczym szlakiem (Ks. S. Bednarski T. J.) . . . 120
Marja Kępińska: Świadome macierzyństwo (Ks. S. Podoleński T. J.) . . . 121
Spacil Theofilus S. I.: Doctrina Theologiae Orientis Separati de Revelatione, Fide, Dogmate. Pars. I (S. Felczak T. J.) . . . 122
Bron. Ostrowska: Pisma poetyckie tom czwarty. Pierścień życia. — Tartak słoneczny. — Wiersze ostatnie (Ks. T. Karyłowski) 123
O. Dr. Kostecki, Dominikanin: Św. Albert Wielki, wyznawca, biskup i Doktór Kościoła (Ks. J. Piwiński T. J.) . . . 124
Car. Boyer S. I.: Tractatus de Deo creante et elevante, ed. 2. (Ks. Morawski T. J.) . . . 124
De Oriente documento, studia et libri (S. Felczak T. J.) . . 125
S. John: Doctrina Nestorii de mysteris Incarnationis (Ks. J. Piwiński T. J.) . . . 125

Str.

Michał Ochorowicz: Utopiony księżyc (Ks. T. Karyłowski T. J.) 126
Ks. Dr Eugenjusz Dąbrowski: Historyczność zapowiedzi prymatu Piotra w świetle krytyki i filologji. (S. Felczak T. J.) 126
Juljan Podoski: Rycerze z K. O. P. Powieść. (Ks. T. Karyłowski) 127
Dr Anna Danuta Drużbacka: Esquisse du développement du problème du mal physique et moral depuis l'antiquité jusqu'à saint Augustin. (S.) 127
Z literatury powieściowej. Jan Parandowski: Odwiedziny i spotkania. — Michał Rusinek: Człowiek z bramy. — Michał Choromański: Opowiadania dwuznaczne. — Adam Grzymała Siedlecki: Miechowiec & Syn. — Wanda Miłaszewska: Trzecia siostra. — Kaz. Zdziechowski: Podzwonne. — Janusz Meissner: Latający djabeł. — François Mauriac: Powrót do Boga, przekł. Marji Rafałowicz-Radwanowej. — Maks. Józef Ziomek: Czytelnictwo powieści w Polsce w świetle cyfr. (Z. Starowieyska-Morstinowa) 128
Z literatury niemieckiej. I. Poezja niemiecka na drogach rozstajnych. (Dr. Otto Forst de Batagl ja) 143
Notatki bibljograficzne: Ks. Dr A. Bukowski T. J.: Sakramentalny charakter małżeństwa. — Przewodnik po Ziemi Świętej. — T. Zieleniewski: Szczytami Karpat. — Edward Nehring: Zasady łyżwiarstwa. — W. Ziętkiewicz: Sprzęt narciarski. — Żeglarstwo w zimie. — Świat i Życie, zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Rok II. Zesz. 1—3. 150
Tadeusz Sinko: Hellada i Roma w Polsce (J. Birkenmajer) 288
Stan. Pigoń: Pan Tadeusz. Wzrost. — Wielkość — Sława. (T. Grabowski) 294
Stasiewski Bernhard Lic. et Dr: Untersuchungen über drei Quellen zur ältesten Geschichte und Kirchengeschiche Polens. (Z. Kozłowska-Butkowa) 296
Marcel Barrière: Les Princes D'Orleans. Huitième édition. (A. Romer) 299
W. H. Edwards: Paul der Dritte oder die geistliche Gegenreformation. (Ks. J. Poplatek T. J.) 302
Geisler Walter: Die Sprachen-Nationalitätenverhältnisse an den deutschen Ostgrenzen und ihre Darstellung. (Dr. Z. Ciechanowska) 303
Giuseppe Messina: Der Ursprung der Magier und die Zarathustrische Religion. (Ks. M. Morawski T. J.) 306
Roman Kołoniecki: Społeczne zadania literatury. (Z. K. Ciechanowska) 307
L. Bertrand: Posiew krwi. Tłum. Anna Kicińska. (A. Popiełowa) 309
Helena Niewiadomska: Broń się prawdo! O buncie Młodzieży Lindseya. (Ks. S. Podoleński T. J.) 310

Str

Robert Chabrié, Docteur ès- Lettres de Genève: Michel Boym, Jesuite Polonais et la Fin des Ming en Chine (1646—1662). Contribution a l'Histoire des Missions d'Extrême Orient (Ks. J. Krzyszkowski T. J.) 311

Bernhard Jansen S. J.: Aufstiege zur Metaphysik heute und ehedem (Ks. F. Kwiatkowski T. J.) 312

Stefan Kołaczkowski: Dwa studja: Fredro i Norwid (T. Grabowski) 314

Ks. Bron. Gładysz: Hymny brewjarza rzymskiego oraz patronatu polskiego (Ks. T. Karyłowski T. J.) 315

F. Kieffer T. M.: Autorytet w wychowaniu domowem i szkolnem (A. Popielowa) 316

Ks. J. Pastuszka: Filozofja współczesna. T. I (Ks. F. Kwiatkowski T. J.) 318

Le désarmement moral et la pensée chrétienne (H. Dembiński) 319

Łakomy Ludwik: Piśmiennictwo śląskie przed założeniem Akademji Krakowskiej (Dr. Z. Ciechanowska) 321

Heinrich Schumacher: Kraft der Urkirche. Das „Neue Leben" nach den Dokumenten der ersten zwei Jahrhunderte (Ks. S. Felczak) 323

Abbé Felix Klein: La vie humaine et divine de Jésus Christ Notre-Seigneur (Ks. S. Felczak) 324

Ks. Wład. Budzik: Wybór z Pisma św. (Ks. F. Domański T. J.) 325

Nauczajcie wszystkie narody. Zbiór nauk o misjach (M. R.) . 326

Raoul Plus S. J.: La direction d'après les maitres spirituels (A.) 327

Dr Emmanuel Kern: Das Tugendsystem des hl. Bernhard von Clairvaux (S.) 328

Krasiński Edward: O Radziejowicach i ich gościach niektórych (Dr. Z. Ciechanowska) 329

Z literatury niemieckiej. Historja nowszej literatury niemieckiej Józefa Nadlera (Dr Otto Forst de Battaglia) 329

Notatki bibljograficzne. J. I. Kraszewski: Chata za wsią. Oprac. Stan. Turowski. — Postacie Świętych. — Pierre Saint-Quay: Vivre, ou se laisser vivre. — L'ascension d'une Ame 337

Adam Heydel: Jacek Malczewski, człowiek i artysta. (J. Birkenmajer) 436

Jan Ptaśnik: Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce. (M. Niwiński) 439

Dr Joseph Iwanicki: Leibniz et les démonstrations mathématiques de l'existence de Dieu. (Ks. J. Chechelski T. J.) 441

Félix-Stanislas Jasiński, graveur — sa vie et son oeuvre par Léopold Wellisz avec une étude sur les procédés techniques de F. Jasiński par Thadée Cieślewski Fils. (J. Pagaczewski) 443

Ryszard Piestrzyński: Naród w państwie. (A. Romer) 447

Str.

Ks. Paweł Kubicki, biskup-sufragan sandomierski: Bojownicy kapłani za sprawę Kościoła i Ojczyzny w latach 1861—1915. (Ks. J. Urban T. J.) 449
Franklin Delano Roosevelt: Spojrzenie w przyszłość. (Ks. W. Zajączkowski T. J.) 450
Kuno Fischer: Schopenhauers Leben, Werke und Lehre. (Ks. J. Chechelski T. J.) 452
Ks. Dr. Emil Szramek: Śląsk jako problem socjologiczny. (Ks. J. Rostworowski T. J.) 453
S. Teresa Kalkstein C. R.: Zmartwychwstanka. (Ks. J. Terlecki) 454
Z piśmiennictwa rosyjskiego i ukraińskiego. (T. Parnicki) . 455
J. Monval: Les Sulpiciens. (M.) 457
Ks. Piotr Stach: Kwestja biblijna w świetle encykliki „Providentissimus Deus". (F. K.) 458
Z literatury powieściowej. Giovanni Papini: Żywy Dante. — Paweł Hulka-Laskowski: Mój Żyrardów. — Helena Boguszewska: Całe życie Sabiny. — Iwan Bunin: Pan z San Francisco. — Franciszek Körmendi: Przygoda w Budapeszcie. — Stefan Kiedrzyński: Dzień upragniony. — Edward Ligocki: Prawnuczka Fausta. — Armand Palacio Valdès: Grzesznica święta. (Z. Starowieyska-Morstinowa). 459
Notatki bibljograficzne: Mgr. Feige: Noblesse oblige. — J. Raimond: Je suis la Voie. — Marguerite Aron: L'Eglise et L'Enfant. — J. Will S. J.: Hanbuch der Katholischen Aktion. — Ks. Dr. J. Bochenek: Chrystus w parafji. — O. D. Joret, OP.: Dziecięctwo duchowe. — Jan Szelejewski: Wielkomiejskie dziecko proletarjackie. — Jan Szelejewski: Dziecko wiejskie. — Ks. Fr. Dymarski, Z. Hoffman-Krystyańczyk: Londyn i okolice. — Kpt. A. S. Tomaszewski i Ppłk. Constantin Constantin: Słownik wojskowy 473
Nadesłane 152, 338, 475

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:
Kwiecień: Pierwsze podmuchy Kulturkampfu w Trzeciej Rzeszy. — Poważne nauki płynące z francuskich wypadków. — Pocieszające i niepokojące objawy na niwie katolickiej w Polsce. (Ks. J. Rostworowki T. J.) 155
Maj: Ruina Kościoła w Rosji bolszewickiej. — Postępy akcji unijnej na Kresach. — Trudności z Łemkowszczyzną. (Ks. J. Urban T. J.) 341
Czerwiec: Z dalszych dziejów katolickiej Austrji. — Młoda nadzieja Kościoła i różne na nią poglądy. — Ofensywa bezbożnictwa w Polsce. (Ks. J. Rostworowski T. J.) 477

Str.

Drogi wodne w Polsce i zagadnienie Wisły. (A. Konopka) . . 165

Kronika gospodarcza. Inwestycje. — Kapitał zagraniczny w Polsce. — Węgiel. — Międzynarodowy ruch towarów, kapitałów i osób. — Inflacja — dewaluacja — deflacja. (M. J. Ziomek) 350

Pierwsze dwudziestopięciolecie Papieskiego Instytutu Biblijnego. (Ks. L. Semkowski T. J.) 491

Związek Nauczycielstwa Polskiego a społeczeństwo polskie. (Ks. S. Podoleński T. J.) 494